

Kyle Marffin

GOTHIQUE
OPOWIEŚĆ O WAMPIRACH

Dla moich trzech M.

Cafe Caveat Niesamowite opowieści

Turniej autorski Mike'a Codziennie wieczorem od 21 Tydzień rozpoczyna się od kawy z dreszczykiem. Wasi ulubieni pisarze horrorów czytają Wam najbardziej przeraźliwe historie. Specjalnie dla Was w tym miesiącu „Nosferatu Noir's". W celu uzyskania dokładniejszej informacji zapraszamy do odwiedzenia naszej strony internetowej pod adresem [www...](#)

Policja w Chicago

Wydział Przystępstw Nieletnich

Raport nr 9903

Temat: Założenia policji dotyczące zachowań nieletnich, drugi kwartał roku 1999

Zgodnie z raportami Systemu Informacji, w tym roku odnotowano 32 - procentowy wzrost zaginięć nieletnich. Opieka społeczna Cook County potwierdza statystyki, podając zbliżoną wartość 34% wzrostu w pierwszym kwartale w porównaniu do tego samego kwartału zeszłego roku.

Do wiadomości: Wydział Zabójstw, Wydział Obyczajowy, Wydział do Walki z Przemocą Domową, wszyscy dzielnicowi...

Kronika klubowa Chicago, 4 maja Modne miejsca

Tutaj odprężysz się po wykańczającym dniu. Klub Dominae wprowadził do programu „Noc fetyszu". Lubiący pęta chłopcy i dziewczęta przybywajcie, wbijcie się w swoje najśliczniejsze ciuszki z lycry i skóry i powitajcie gościnnie występującego u nas DJ Bad - Bobbie Ball - Gag, a on specjalnie dla was zapoda najlepszy techno - pop, przy którym czas minie jak z bicza trząś.

ŻĄDZE I PRAGNIENIA

Rozdział pierwszy

Ciemność pojawia się na wschodzie. Później powoli wypełza na całe miasto.

A oni budzą się wraz z nią.

Czerń pojawia się nagle, prześlizguje ponad wschodnim horyzontem, a następnie przetacza nad rozległą taflą błękitnej wody.

Mrok zapada czarną kurtyną, rozpalając iskry światła w oknach stojących na brzegu morza drapaczy chmur i w pobliskich rzędach skromnych domów. Żaluzje z trzaskiem odcinają resztki dnia. Zasłony zasuwają się szczelnie. Ze wschodu nadchodzi ciemność. Niebo oblewa czerwień, a miasto się kuli.

Kolejna noc.

Czas na pobudkę.

Dzieci ciemności wypełzają z legowisk i wpadają wprost w objęcia wieczoru.

Budzą się.

Przytomnieją w willowych sypialniach, w przerobionych na mieszkania magazynowych poddaszach, w pokojach na czwartym piętrze bez windy i w apartamentach na ostatnim piętrze drapaczy chmur. Nagle rozglądają się świadomym wzrokiem w anonimowych miejscach pracy, w ergonomicznych pracowniczych boksach, za kasami fiskalnymi i fornirowanymi ladami, po całodniowym ślęczeniu w zatłuszczonych barach zalanych fluorescencyjnym, naśladowującym światło dzienne blaskiem. Budzą się w sklepach z używanymi płytami i komiksami, w księgarniach oraz w butikach aspirujących do miana „trendy”, sprzedających używaną, markową odzież w drugorzędnych uliczkach, które kiedyś może i były modne. Po ocknięciu się stwierdzają, że są w sklepach walczących o przetrwanie, w stłoczonych na przedmieściach domach handlowych.

Oto nadeszła kolejna noc.

Odwracają się od monitorów, czatów i stron internetowych. Odkładają komiksy, powieści z obrazkami, używane książki, pisemka marketingowe, poplamione tuszem ziny, wielotomowe podręczniki i pożyczone posążki. Zamykają laptopy, odłączają kupione w lombardach gitary, pakują plastikowe zestawy perkusyjne i wypatrzone w MTV upragnione amatorskie klawisze. Nagle przestają zauważać człowieka, mijającego ich w drodze z aresztu, podążających do gimnazjów chłopców i dziewczyny z zespołów tanecznych,

sztynne matrony za bibliotecznymi biurkami, szefa, skrytego w gabinecie na rogu, rodziców, zmagających się z rodzinnym obiadem. Zdzierają z siebie różowo - pomarańczowe uniformy sprzedawców pączków, tanie podkoszulki z firmowym logo, zielone służbowe wełniane spodnie i stylowe mundurki francuskich pokojówek. Przez chwilę, nawet jeśli miałyby to trwać tylko tę jedną noc, zapominają o niedokończonych programach komputerowych i młodzieńczych wierszach o nieszczęśliwej miłości, fragmentach powieści i ręcznie nagryzmołonych scenariuszach, niedbale nabazgranych chaotycznych freskach i skradzionych, zeskanowanych i zamienionych na pliki dziełach sztuki New Age. Porzucają dotychczasowe drogi do pożądanego piekieł wybrukowanych niekształtnymi, wciąż niedokończonymi dziełami.

Miasto skryło się w ciemnościach, a oni się budzą.

Żywi.

Wolni.

Cieszą się wolnością istnienia zgodnego ze spaczonymi regułami ich sztywnych zwyczajów.

Rozpoczynają rytuały. Cenią sobie te chwile, cieszą się i delektują czasem. Pragną i wierzą, że dzisiejszej nocy wszystko będzie inne.

Prawdziwe.

Chcą dziś stać się prawdziwi. Może to już tej nocy. Może to dzisiaj przydarzy im się coś więcej niż byle odgrywanie ról w piętrowych garażach i poczekalniach multipleksów, kawiarnianych kąciakach i tanich, tandetnych zakątkach w suterrenach, które zwykle służą im do macania się nawzajem.

Noc zapada wokół schronisk i sanktuariów, malując na czarno okna, podczas gdy oni robią miny do garderobianych luster, lśnią w strumieniach wody w brudnych kabinach prysznicowych, mierzą dumnie wzrokiem swe wdzięki, kołysząc się w takt muzyki filmowej w stylu Sturm und Drang, sącząc się ze słuchawek albo głośników na książkowych półkach.

W końcu zaczynają grzebać w szufladach z bielizną i skarpetkami oraz w plecakach, szukając zamówionych pocztą cynowych czaszek i tandetnych pierścionków z nietoperzymi skrzydłami, pomalowanych chromową farbą, podrabianych plastikowych krzyży ankh, aksamitek i nabijanych ćwiekami winylowych obróż. Malują na czerwono i czarno obgryzione do krwi paznokcie, a potem przyklejają na nich

kalkomanie. Obsypują się burdelowym różem Whitechapel, smarują powieki kremową zielenią, błękitem i sobolą sadzą Cray - Pas. Wcierają w skórę barwniki, rozmazują je i obwodzą czarną kredką. W rękach ściskają tanie, modelujące pędzelki do ust, które aż ociekają od lepkiej purpury i błyszczyka w kolorze ciemnej, rubinowej czerwieni, a potem nadają ustom błyszczący, seksownie wilgotny wygląd dzięki uwodzicielskim, autoerotycznym ruchom. Wodzą zmysłowo palcami, jakby wymieniali z kimś pocałunek z języczkiem. Efektem tych działań są modne twarze o narkotycznym wyglądzie, pociągłe i boleśnie blade, lecz podniecające niczym oblicza z piosenek o miłości, która jest śmiercią. Tego zresztą pragną.

Pożądatają.

Teraz z szuflad, starannie zabezpieczonych przed śledztwem mamusi i tatusia, wścibstwem sióstr i braci, kąśliwymi uwagami koleżanek i zgorzeniem współmieszkańców akademika, wydobywają siatkowane ciuchy Frederick's of Hollywood, nadwyżki z magazynów wojskowych, dodatki załączane do magazynów filmowych, kiczowate kostiumy z epoki, bieliznę Victoria Secret z wyprzedaży i sztuczne klejnoty z pchlego targu.

Teraz zamieniają się w dotyk. Czują na miękkich, kościstych, białych dłoniach rękawiczki bez palców. Czują szorstkie szwy wewnątrz sznurowanych gorsetów z supermarketu, a świeżo pomalowane paznokcie drą błyszczące tanie nylony, zamieniając je w mgliste, czarne pajęczyny. Czują, jak bezpłciowe, czarne rajstopy opinają anorektyczne biodra, a na kościstych, białych ramionach ślizgają się tasiemki gorsetów. Czują, jak skóra Harley Hog drży na ich niezgrabnych nogach. Posłuchajcie - to artystycznie poszarpane dzinsy, skórzane spodnie i plastikowe spódnice, szeleszcząc, wpełzają na ich ciała, a sztywna satyna sadowi się na miejscu. Ze świstem zapinają się zamki błyskawiczne kurtek. Ciężkie robocze buty i perwersyjne obcasy stukają, unosząc opięte czarną lycrą nogi. A oni, boleśnie skrepowani odzieżą, pojawiają się w drzwiach, mrocznie wodząc wokół, tym jakże trudnym do wyćwiczenia, sponiewieranym spojrzeniem.

Wychodzą.

Chłodny wieczór kapie w podmuchach błyszczące od makijażu twarze, wślizguje się pod kuszące spódniczki i szarpie zafarbowane, powycinane i storturowane we fryzjerskim salonie loki.

Zagłębiają się samotnie w noc, gdzie wszystko tętni życiem, pędzi przed siebie i sprawia wrażenie po stokroć lepszego od rzeczywistości. Tutaj kostiumy są jak średniowieczna zbroja, chroniąca przed pogardliwą miną przechodnia. Niczym osłony z kevlaru, ciuchy bronią ich przed pijanymi i śmiesznymi zwykłymi ludźmi, którzy nie mają pojęcia o niczym ważnym, a tylko przejeżdżają obok w vanach, stoją na przystanku za zasłoną gazety „USA Today” lub wyczekują na peronie kolejki, na postoju taksówek albo na rogu ulicy. Obłudni krawaciarze i sekretarki znikają w mroku w szytych butach i marynarkach w prążki, w konwencjonalnych kompletach z supermarketów i przyzwoitych pantoflach, spiesząc się ku porządnym kolacjom, podawanym na wygodnie anonimowych przedmieściach lub w kultowych barach, albo podrabianych włoskich knajpkach i kawiarenkach z łańcucha supermarketowych lokali. Wszyscy są tacy sami. Symbolizują ohydny proletariat, rozlaźle zadowolony, bo może oglądać odgrzewane sitcomy i śnić w tanich szeregowcach swoje mieszczańskie sny.

Albowiem właśnie zapada ciemność.

Wokół panuje noc.

Ulice należą do nich.

Na razie. To oni zapełniają je wymyślonymi zabawami i paradami. Karnawał. Festyn. Co noc odbywa się Mardi Gras, Święto Zmarłych, Noc Walpurgi krzykliwe fety, jakby zaraz miała nadejść śmierć.

Zbierają się w miejscach kultu, siedzibach bractw i stowarzyszeń, w niekomercyjnych kawiarniach o autentycznym, artystycznym zapleczu, o czym mają świadczyć nagie ceglane ściany i kubki od kompletu. Wtajemniczeni spierają się o Siouxi Sioux, Bauhaus, Maplethorpe'a, Gautiera oraz Shelleya i LeFanu, prawiąc kazania nowicjusom, którzy, jak to zwykle nieopierzeni, czerwienią się i niemalże dochodzą do orgazmu w towarzystwie tych wszystkich Brite'ów i Rice'ów (Poppy Z. Brite, Anne Rice - popularne autorki książek o wampirach.), ogarnięci najnowszym szaleństwem LARP (LARP - Live Action Role Play, gra fabularna rozgrywana na żywo).. Siedzą w ścisku przy lepkich stołach w podrzędnych barach przerobionych z ulicznych sklepów i w klubach zaaranżowanych w dawnych magazynach, a także w przejściach i alejkach, które dopiero czekają na stosowną przeróbkę. Oblizują czubki akrylowych protez

zębów, brzegi purpurowych pucharów z krwią, usta, swoje ciało i siebie nawzajem. Liżą rany, wciąż krwawiące niespełnionymi snami. W światłach ulic i stroboskopach błyskają igły. Podwójne ostrza Gillette odmierzają sproszkowane porcje odwagi. Odkorkowuje się resztki alkoholu z barków, rozlewa zawartość i żłopie, a wokoło unosi się śmierdzący, duszny, owocowy zapach niezliczonych kolorowych papierosów, otulając wszystkich niczym cmentarna mgła.

Dokładnie - jak mgła.

Albo cmentarny opar. Ależ by było cudownie!

Narkomani, seksoholicy, pedofile, zapaleńcy - wszyscy pogrążają się w lubieżnych marzeniach.

Śnią.

Marzą.

Pragną.

Rozpaczliwie czekają i mają nadzieję, że wreszcie się spełni.

Tej nocy, o tak.

Wszystkie filmy, piosenki, nagrania, książki, płyty, komiksy i ziny, podręczniki gry, strony internetowe i czaty, kluby, pozy i kostiumy - to wszystko (błagają o to!) dziś się spełni, zdarzy się choć raz naprawdę, zetrze monotonię dnia, zamieni w rzeczywistość (nieustannie błagają!) i stanie się prawdą. Niechaj zamienią się w spowitych mgłą dzikich bluźnierców, dzierżących w rękach rozświetlone księżycową poświatą kryształowe puchary pełne prawdziwej, ciepłej czerwieni. Niechaj opętają i zmuszą zwykłych ludzi do posłuszeństwa temu, kto wejdzie do ich domu, zbliży się do łóżka, wśliźnie w pościel i dotknie w ten jedyny prawdziwy sposób, dokładnie tam, gdzie trzeba, zacznie całować dokładnie w to miejsce, w które trzeba, a potem - och, tak - ugryzie, nie tak na niby, tylko naprawdę, o tak, dokładnie w ten jedyny prawdziwy sposób.

Tak naprawdę.

W ten prawdziwy sposób.

Och, jakże oni o to błagają...

„Chicago Business Monitor" Wydanie czerwcowe

Regionalna konkurencja Media Mogul Maults dokonuje ekspansji Whitestar Media Group, drugi pod względem wielkości koncern medialny w Chicago, kontrolujący kilka środkowozachodnich telewizyjnych i radiowych stacji regionalnych oraz coraz większą liczbę tytułów lokalnych, zakończył przejęcie konkurencyjnej sieci kin BBX Entertainment Ltd. Whitestar od dwóch lat bez zapału działał na regionalnym rynku rozrywki, skromnie inwestując w kilka znaczących sieci restauracji tematycznych w Chicago. Rzecznik Whitestar nie skomentował bezpośredniej akcji nabycia majątku BBX, ale...

„Southwest News - Herald" Piątek, 9 czerwca, dział 2, strona 4

Znaleziono drugie ciało w Marquette Park Lagoon

Policja ósmej dzielnicy odnalazła w niedzielę rano kolejne zwłoki w Marquette Park Lagoon. Rzecznik policji zdradził jedynie, iż należały do młodej białej kobiety i nosiły ślady molestowania seksualnego. Najprawdopodobniej kobieta padła ofiarą morderstwa. Jest to trzecie ciało, które odkryto w ciągu ostatnich trzech tygodni w odległych od siebie parkach w południowo - zachodniej części miasta. Tylko jedne zwłoki zostały jak dotąd zidentyfikowane. Rozpoznany został dwudziestoletni Jonathan M.

„Charade Magazine" Moda w czerwcu

Czerń przez całe lato!

Nie wyrzucaj swoich ślicznych, czarnych ciuszków na czas krótkiego, chicagowskiego lata. Poszukaj lekkich, czarnych lnów wśród czerni, panującej miłościwie we wszystkich lepszych salonach na Oak Street. Nowe, odjazdowe, cieniutkie skórzane spódniczki są seksowne jak twoja własna skóra i nie tracą na swej atrakcyjności w najgorętszym szale na parkiecie. Diabelsko świetnie komponują się z nowymi, przejrzystymi pończochami z mikrofibry, doskonale podkreślającymi smukłą sylwetkę i jasną karnację. Jeśli dodacie tegoroczną elegancką biżuterię Eulenaire z kości słoniowej, w której skład...

DZIEDZICTWO MEGAN

Rozdział drugi

Wślizgując się do windy, Megan Russell była pewna, że udało jej się uciec przed Nickym.

W drodze na dziewięćdziesiąte szóste piętro Hancock Building dwa razy strzeliło jej w uszach, a żołądek nieustannie fikał koziółki. Tylko że żołądek fikał koziółki, odkąd uciekła tego ranka ze swojego apartamentu. Ale mimo wszystko udało jej się przez cały dzień być o jeden mały krok przed Nickym.

Gdy jednak dostrzegła go na Michigan Avenue, rozwalonego na ławce na przystanku autobusowym, wpatzonego w nią zza odwróconej do góry nogami gazety „Sun - Times” z tym swoim rozlazłym uśmiechem na ustach, pomyślała, że za chwilę zwymiotuje na chodnik.

Zamiast tego uciekła.

Wtopić się w tłum na Michigan? Proste. Właśnie skończył się film w multipleksie w Water Tower Place, Megan wepchnęła się więc między ludzi, ledwie ośmielając się zerknąć przez ramię. Dostrzegła, że Nicky odrzuca gazetę do kosza i przebiega przez Michigan, podążając w jej kierunku. Wtem zniknął w wieczornym tłumie.

Wtedy właśnie Megan wsunęła się między dwie taksówki i wpadła w obrotowe drzwi Hancock Building.

Hol był pusty. Przy recepcji nie stał ani jeden strażnik. Gdy szła ku windzie, jej sandały od Folgolio stukały o marmur jak wybuchające kapiszony. Zanim drzwi windy zamknęły się za nią, upłynęła cała wieczność. Tuż przed ich zatrzaśnięciem po raz ostatni wysunęła głowę, by rozejrzeć się po holu. Nie dostrzegła Nicky'ego. W ogóle nikogo tam nie było.

Dziewięćdziesiąt sekund, tyle właśnie zajęło windzie wwiezienie kobiety na dziewięćdziesiąte szóste piętro. Drzwi otworzyły się cicho. Odgarnęła z czoła rozwiane włosy i starła ze skóry zimny pot. Megan zaczerpnęła głęboko tchu i wkroczyła do Klubu 96.

- Dobry wieczór, panno Russell. - Hostessa zstąpiła z podium, dzierżąc na ramieniu długie na dwie stopy menu. - Jeszcze jeden długi wieczór w redakcji?

- Dobry wieczór - odparła Megan. „Bonnie? Czy Bunny?”, Megan nigdy nie była dobra w zapamiętywaniu imion.

- Trochę późno na kolację, panno Russell. O jedenastej zamykamy kuchnię. Obawiam się, że szef już poszedł do domu. Ale mogę...

- Nie, wpadłam tylko na drinka na dobranoc. - Megan machała torebką. Miała wciąż śliskie od potu palce, ale zmagiała się z zapięciem Prady. Jej ciało przebiegł nagły dreszcz. W dole, na Michigan Avenue, parowała lepka, lipcowa noc, ale tu, na górze, w Klubie 96, panował chłód klimatyzacji.

- Panno Russell, niech pani pozwoli, pomogę...

- Nie! - Megan cofnęła się, przyciskając torebkę do piersi. Po chwili dodała spokojniejszym tonem: - Nie, dziękuję.

- Hm, czy mogę w takim razie zaproponować stolik? Ma pani wybór.

- Bonnie albo Bunny, jakkolwiek miała na imię, wskazała wnętrze klubu, czyli szeregi pustych stolików i zakamarków.

Przy oknie na stoliku dla dwojga jakaś para trzymała się za ręce. Za nimi widniała pocztówkowa, rozjarzona panorama nieboskłonu nad Chicago. W centrum klubu barman przesunął drinka ku odzianemu w garnitur mężczyźnie w średnim wieku, który cały był pochłonięty pożeraniem wzrokiem oddalonej o cztery stoliki samotnej kobiety.

Megan zmierzyła wzrokiem scenę: profesjonalnie uprzejmą hostesę, zerkającego na zegarek barmana, błyszczącą obrączkę u mężczyzny, który sięgał po drinka, i porozumiewawcze mrugnięcie kobiety, przesuwał ręką zbyt ozdobnej sukienki po nodze, wyzywająco założonej na drugą. Para młodych ludzi wstała, starannie odliczając pozostawiany na stole napiwek.

Nicky'ego tu nie było.

- Poproszę chivas z lodem, do tamtego stolika w rogu. - Megan wskazała osobne miejsce, wciśnięte pod olbrzymie ukośne belki, które dzieliły na części panoramiczny widok. - Podwójny Chivas. A ja się pójdę odświeżyć.

- W końcu udało jej się otworzyć torebkę i wyciągnąć pięciodolarowy banknot.

Bonnie - Bunny wzięła napiwek i skinęła głową z wyćwiczonym uśmiechem. Megan ulotniła się.

W łazience było pusto.

Drzwi w czterech kabinach pozostawały na wpół uchylone, ale Megan zajrzała do każdej z nich, by się upewnić. Najwyraźniej osoba opiekująca się toaletami poszła już do domu. Klub 96 nie był miejscem wieczornych spotkań. Megan ochlapała twarz zimną wodą, a potem skorzystała z perfum z porządnego rządka flakoników stojących wzdłuż marmurowego zlewu. Poprawiła makijaż, muskając tu cieniami, a tam szminką. Nie potrzebowała różu, bo jej policzki już się zaczerwieniły, dzięki całodniowemu i całowiecznemu biegowi przez Chicago, a zwłaszcza dlatego, że lipiec tego roku przyniósł upał i wilgoć.

Także z tego powodu, że tak bardzo bała się o swoje życie.

Krótkie, ozdobione pasemkami włosy Megan ułożyły się same, gdy przeczesła je szczotką. Makijaż poprawił jej wygląd, mimo że na twarzy wciąż gościł wyraz zmęczenia. Wyglądała na trzydziestopięcioletnią, przepracowaną kobietę na kierowniczym stanowisku, bez formy pozwalającej na całodzienne, szaleńcze biegi przez miasto. Żakiet od Donny Karan - który jeszcze tego ranka prezentował się jak schludny, lniany klejnocik - teraz wyglądał jak wyciągnięty psu z gardła. Pod pachami pojawiły się nieznaczne półkola potu. Wyśliznęła się z żakietu i prychnęła, widząc wielkie półksiężycy plam na przepoconej, jedwabnej bluzce. Ta bluzka kosztowała ją w Neiman's dwieście dwadzieścia dolców. Żadna pralnia nie spierze już tych plam.

Zmęczona twarz.

Wymięte ubranie.

Zmęczenie i strach.

Megan wysunęła stopę z pantofla. Niemal westchnęła, czując na nagiej skórze dotyk marmurowej podłogi. Kremowe buty od Folgolio zawsze wyglądały obezwładniająco, gdy przemierzała w tę i z powrotem salę konferencyjną w „Charade Magazine”, z poczuciem, że góruje nad wszystkimi i ma wszystko pod kontrolą. Już wystarczająco ciężko było stać na samych palcach, gdy świat szarpał ją za kostki. Zwykle zdejmowała te pantofle, gdy tylko wchodziła do biura, a potem trzymała stopy za biurkiem. Teraz nogi piekielnie ją bolały, ale w końcu cały dzień biegała po śródmieściu na siedmiocentymetrowych obcasach. Aż dziw, że nie okulała.

Stopa nie chciała teraz zmieścić się w bucie, ale w końcu się udało. Wrzuciła z powrotem kosmetyczkę do torebki, a potem

przejrzała jej zawartość: klucze, pióra Waterman, złota zapalniczka Colibri, bez gazu, identyfikator pracownika „Charade Magazine”. Portfel spuchł od dolarów, które udało jej się dzisiaj zdobyć.

Pakiecik z biura podróży z gotowymi biletami samolotowymi. I koperta.

Oblepiona znaczkami koperta z adresem:

Whitestar Media Group 211 East Fairmont Court

Chicago, Illinois 60611

Do rąk własnych Jeffa Stanchecka

dyrektora artystycznego „Charade Magazine”.

Koperta bez adresu zwrotnego.

Megan wpatrywała się w nią. Patrząc, myślała o dyskietkach w środku i zapisanych na nich plikach. Rozmyślała... a raczej knuła.

Wrzuciła kopertę do skrzynki na lotnisku, i to tylko wówczas, gdy naprawdę będzie musiała. Zawsze mogła przechwycić ją później w biurze. Jeśli tylko wszystko pójdzie dobrze. Och, Jeff, jeśli rzeczywiście przeczytałby którykolwiek z tych plików, pomyślałby, że jej kompletnie odbiło. Pomyślałby, że znów coś bierze. Ale mogła to naprawić. Powiedziałałaby, że to tylko żart. Może notatki do książki. O tak... albo do sztuki. Wszyscy w „Charade” pracowali nad książką albo scenariuszem. Jeff nabrałby się na to. Był pod tym względem strasznie naiwny. Jeff, niech go Bóg ma' w swej opiece, był czasem tak naiwny, że aż się stawał debilem. Tak, na lotnisku będzie miała trochę czasu. Mogła tam wysłać kopertę. Gdy tylko Nicky przestanie jej szukać, gdy nieco ostygnie jej trop.

Gdy tylko się napije.

Megan zarzuciła torebkę na ramię i wyszła z toalety. Wciąż trzymała w ręku kopertę, wpatrując się w nią, gdy wchodziła do klubu. Skierowała się ku stolikowi. Choć dzień był tak wyczerpujący, niemalże uśmiechnęła się do podwójnego Chivas z lodem, który wyglądał tak odświeżająco, chłodno i nieskazitelnie na swojej plastikowej podstawce.

Niemalże się uśmiechnęła.

Ale nie udało jej się to. Uśmiech, już wypęłzający na usta, znikł, gdy tylko go ujrzała. Nicky Koltzy rozpierał się po drugiej stronie stolika.

Megan natychmiast schowała kopertę za plecami.

Na jej czole znów pojawił się pot, a Nicky uśmiechnął się szeroko i pokiwał na nią zakrzywionym palcem.

Wypuściła kopertę z dłoni, a ta wylądowała na podłodze, skryta do połowy za donicą z paprotką.

*

Nicky promieniał niczym niegrzeczny chłopczyk, któremu udało się wykiwać nauczyciela.

- Cieszę się, Megan, że nie zaczęłaś wiać. Nie cierpię robienia scen w tak stylowym miejscu. - Sięgnął do kieszeni skórzanej kurtki i wyciągnął paczkę kools i plastikową zapalniczkę. - To tutaj krawaciarze chodzą na jednego, co?

Megan wierciła się z zażenowaniem. Czowała, jak spódnica podjeżdża jej w górę, a wilgotna skóra przykleja się do skórzanej tapicerki krzesła.

- Nicky, czego chcesz? - Ale Nicky zajął się zapalaniem koola. Podsunął jej paczkę. - Nie, dzięki - odparła. - Palenie zabija.

Podrzucił paczkę, a zakończony korkopodobnym filtrem papieros wysunął się do połowy.

- Wiele rzeczy może cię zabić, Megan. - Nawet mimo oddzielenia od niego stołem wyraźnie czuła zapach mentolu. Oblizwała wargi i sięgnęła po papierosa, a potem pochyliła się ku plastikowej zapalniczce. Ręka jej się trzęsła, a usta drżały. Papieros chybotął się w płomieniu. Nicky prychnął i przytrzymał jej dłoń, dopóki nie zapaliła. Aż się skuliła, czując jego zapach, skomponowany z taniej supermarketowej wody kolońskiej, żelu do włosów i odświeżacza samochodowego. Wciągnęła dym i odchyliła się, opierając o skórzane oparcie. Najpierw kaszlnęła, a w końcu zaczęła rozkoszować się smakiem. Nicky przesunął po stole szklanę z Chivas. - Dalej, napij się. Po to się tu znalazłaś, prawda? Wpadłaś się napić?

- Nicky, dlaczego za mną łazisz przez cały dzień? Czego tak naprawdę chcesz?

Jego uśmiech zgasł. Tak naprawdę bez tego jego twarz wyglądała mniej groźnie.

- Napij się.

Megan złapała oburącz szklanę i łyknęła.

- Dobra, skończmy te pierdoły, Megan. Wiesz, czemu cię śledzę. Masz coś, czego chcę.

- Nie wiem, o czym.

Nicky trzasnął pięścią w stół. Bonnie - Bunny podniosła wzrok znad swojego podium, a barman wychylił się zza baru.

- Przepraszam - zawołał do nich Nicky z nieprzytomnym uśmiechem.

- Oparzyłem się papierosem. Przepraszam. - Odwrócił się znów do Megan. - Wiem, że myślisz o mnie, że jestem nikim - zniżył głos do szeptu.

- Ale powiem ci raz, Megan, i więcej tego nie powtórzę, nie zaczynaj ze mną.

- Wcale nie uważam, że jesteś nikim, Nicky. - Chivas spotęgował odwagę Megan. - Myślę, że jesteś wart znacznie mniej. Wykolejeniec, młodociany przestępca, złodziejaszek, dilerek, frajer, mniej niż zero. Pamiętaj, Nicky, znalazłam cię już wcześniej. Nie zgrywaj mi tu mafioso, bo się udławię ze śmiechu. - Napiała się ze szklanki, zadowolona ze zmieszania widocznego w oczach Nicky'ego. Z zaciśniętych ust wystawał mu papieros i dymił wściekle. Megan zgasiała swojego.

- No i? - spytał. - Może i tak było. Chyba nieźle wyszłaś na nieoficjalnych informacjach, które przekazywałem twoim spedalonym redaktorom przez parę ostatnich lat. Ale tu już nie chodzi o drobiazgi, sama dobrze wiesz. Gdyby tak było, może nie musiałybyś uciekać, co? Pewnie sądzisz, że mi możesz śmiało napyskować. Ale co z nimi? - Megan zakrzuszyła się, kiedy powiedział o „nich”. Gdy odstawiała drinka, znów zaczęły jej się trząść ręce.

- Och, Megan, tak mi przykro. Zdenerwowałem cię czymś? - Nicky chwycił jej wpół opróżnioną szklankę i osuszył ją. Kostki lodu zagrzechotały o zęby, gdy wysączał ostatnią kroplę. - Wiesz, zamierzałem przeprowadzić to w miły sposób. Pomyślałem, że osłodzę ci to, przez co musisz przejść, postawię wino i obiad, potem bzyknę, a ty w zamian będziesz współpracować. Ale koniec z gierkami. Masz coś, czego chcę. Coś, czego oni chcą.

- Mam to w domu, Nicky. Jeśli tak bardzo tego chcesz, dobrze. Chodźmy do mnie i sobie to weźmiesz.

- W twoim domu nie ma nic. Uważasz, że nie umiem prześliznąć się obok portiera? - Nicky dmuchnął jej dymem w twarz. - Fajne sobie uwiłaś gniazdko. Sam sobie niebawem takie sprawię. Wysoko, z widokiem na jezioro. Oczywiście, trochę w nim teraz bałaganu.

- Włamałeś mi się do mieszkania?

- Błagam cię. Dziś rano znalazłem się w środku i dziesięć minut po twoim wyjściu zacząłem przeglądać rzeczy. Joey cię śledził, a ja przeglądałem. Jak się nad tym głębiej zastanowisz, to zrozumiesz, że palnęłaś głupotę. Jeśli wiedziałaś, że za tobą idę, dlaczego nic z tym nie zrobiłaś? Dlaczego po nikogo nie zadzwoniłaś?

W kącikach oczu Megan wezbrały łzy.

- Nie... Nie chciałam nikogo narażać na niebezpieczeństwo.

- No i? Przecież z ciebie taka gruba ryba. Pani wielka redaktor poczytnego magazynu. Masz koneksje, prawda? Dlaczego nie zadzwoniłaś po gliny?

Po policzkach Megan pociekły łzy.

- Gliny? - Uśmiechnęła się smutno.

- Chyba masz rację. Po co? - Nicky wzruszył ramionami. - Przecież by ci nie uwierzyli. - Pochylił się ku niej nad stołem, zniżając głos do konspiracyjnego szeptu. - Ale czegoś tu nie rozumiem. Jesteś taka, kurwa, sprytna, to wiesz, że gliny ci nie uwierzą. Nikt ci nie uwierzy. Więc się nie przejmuj.

- Nicky, ktoś musi...

- Nie, nikt nie musi. Nikt nic nie musi. - Oparł się z powrotem na swoim krześle. - A więc w twoim mieszkaniu nic nie było. Musisz to mieć ze sobą, prawda? Podaj mi torebkę.

- Nicky, w mojej torebce nic nie ma. Nic ze sobą nie mam. Nie mam tego, co myślisz, że mam. I co oni myślą, że mam. Nigdy nie miałam.

Nicky potrząsnął głową i westchnął.

- Taka, kurwa, sprytna. I taka głupia. - Sięgnął za pazuchę, a potem przesunął rękę pod stołem. - Megan, wiesz, jak to jest otłuc komuś mordę pistoletem?

Kobieta wytarła łzy z policzków.

- Co... takiego? Otłuc kogoś pistoletem? Uważasz, że uda ci się mnie tutaj uderzyć? W Klubie 96? Sądzisz, że nie wezwą ochrony i nie wywalą cię wprost na Michigan Avenue?

- Megan, wcale nie powiedziałem, że to zamierzam zrobić. Ja tylko zapytałem, czy wiesz, co to oznacza.

Megan, kompletnie zaskoczona, odpowiedziała:

- No pewnie. Wiem, jak to jest, gdy ktoś komuś obija pysk pistoletem.

- Naprawdę? Patrzcie państwo. Naprawdę mądra z ciebie dziewczynka. Bo widzisz, ja tak naprawdę nigdy nie wiedziałem. Tak się mówi, ale jak to naprawdę jest? Jak to jest, gdy ktoś cię obija pistoletem? - Nicky zaśmiał się. Dźwięk jego głosu sprawił, że Megan poczuła, jak żołądek znów jej się kurczy. - Ale choć jesteś taka sprytna, mogę się założyć, że wciąż cię wyprzedzam o krok.

- Nicky, o czym ty mówisz?

- A wiesz, jak to jest, wypierdolić kogoś kulką?

Megan drgnęła. Nagle poczuła, jak w kolana wbija jej się zimny metal, rozpychając je na boki. Potem chłód popęzł wzdłuż jej ud, by spocząć między nogami. Zatrzymał się w połowie drogi pod jej spódnicą.

- Nie, Nicky... nigdy...

- Bo sam to wymyśliłem. Widzisz, między nogami trzymasz mauzera 9 mm. Celuję ci wprost w cipkę. Jak pociągnę za spust, to ci zrobi śliczną dodatkową dziurkę. I pewnie trochę zniszczy modne majteczki, które teraz masz na sobie. - Mrugnął do niej. - Naprawdę przekopałem się dziś rano przez wszystkie twoje rzeczy. - Megan skuliła się, pewna, że za chwilę zwymiotuje. - No, już, kochanie - dodał uspokajająco. - Nic takiego nie zrobię. Jeden ruch, Megan. Tylko jeden, a kulka poskacze sobie w tobie, aż zrobi z ciebie sieczkę. Założę się, że zanim umrzesz, usłyszysz, jak to małe kurestwo odbija ci się od kości. - Mężczyzna zachichotał ponownie. Wtem jego usta skrzywiły się w szyderczym grymasie. - A więc podaj mi tę pieprzoną torebkę.

Kobieta pchnęła torebkę po stole, pospiesznie mierzając wzrokiem klub. Para przy sąsiednim stoliku zniknęła. Starszy mężczyzna przy barze i mierzająca go wzrokiem dziewczyna też się ulotnili. Megan nie widziała barmana ani hostessy. Dostrzegła tylko sprzątaczkę, Latynoskę, która skierowała się z wózkiem ku toaletom.

- Megan, chyba nie chciałaś się wymknąć bez „do widzenia”, prawda?

- Nicky otworzył saszetkę z biura podróży. - Ojej, bilety do Los Angeles, rezerwacje motelu, wypożyczalnia samochodów. - Skierował na nią wzrok.

- Kochanie, może przede mną udało ci się uciekać, ale czy sobie wyobrażasz, że oni nie daliby rady cię wyśledzić?

- Nie, Nicky, to sprawy gazety. Po prostu...

- Sprawy gazety, tak? Och, ależ tylko popatrz, bilety zostały wystawione na jakieś inne nazwisko. - Nicky potrząsnął głową. - Megan Smith? Na tyle cię było stać? - Przestudiował rachunek biura podróży. - Zapłacone gotówką? Doprawdy, starałaś się.

Megan wyciągnęła szyję i zastanowiła się, czy udałoby jej się wrzasnąć i zamówić jeszcze jednego drinka. Byleby ktoś tu przyszedł. Ponownie dostrzegła sprzątaczkę, która odkurzała teraz rośliny w donicach w holu przy łazienkach. Kobieta przykucnęła i coś podniosła.

Wpatrywała się w ten przedmiot.

A potem wetknęła go do kieszeni fartucha.

„Koperta?”.

- A jeśli mówimy o gotówce... - Nicky gwizdnął, wyciągając zwitek banknotów. - Jezu, tysiąc, tysiąc pięćset, dwa... Nie planowałaś zbyt szybkiego powrotu, prawda?

- Nie, Nicky, zupełnie źle to odbierasz. To po prostu... zaliczka na koszty podróży. Mówię ci, że planowałam podróż służbową. Sesję zdjęciową na wybrzeżu i...

- Czy podać coś jeszcze, pani Russell?

To Bonnie - Bunny nagle stanęła obok ich miejsca. Megan żałowała z całych sił, że nie zna imienia dziewczyny.

- Zamykamy już, ale może udałoby mi się przemycić państwu jeszcze drinka.

Zanim Megan zdążyła odpowiedzieć, Nicky wyciągnął setkę z banknotów z jej torebki i wsunął ją w rękę hostessy.

- Nie, dziękujemy. Właśnie mieliśmy wychodzić. - A potem wsunął resztę pieniędzy do kieszeni.

Hostessa zawahała się i popatrzyła wprost na Megan.

- Jesteście pewni? Niczego... wam... nie potrzeba?

Megan zerknęła na Nicky'ego. Czuła, jak broń obija jej się o nogi.

- Nie - odparła. - Naprawdę musimy już iść.

*

Nicky zaklął bezgłośnie, kiedy odkrył, że drzwi dla personelu obok wind są zamknięte. Zerknął przez ramię, upewnił się, że na korytarzu panuje pustka, a potem wyjął coś z kieszeni i wsunął do zamka. Rozległ się stuk i drzwi się otworzyły.

- Ma się te zgrabne paluszki, co? - Poklepał Megan po plecach pistoletem. - No, idziemy.

Poszli ciemną klatką schodową. Wokół nich zamknęły się betonowe ściany, pod nogami dzwoniły metalowe stopnie. Opierali dłonie na nagich, metalowych poręczach.

- Dokąd idziemy? - zapytała Megan. Słyszała stukot maszyn, grzmiących gdzieś pod betonem.

- Na przechadzkę. - Nicky przesunął pistoletem po plecach i wetknął jej lufę w kark. Dwa stopnie. Trzy. Na czwartym natknęli się na kolejne zamknięte drzwi. Nicky otworzył zamek dokładnie tak, jak poprzednio. - Dalej - powiedział, szturchnąwszy ją pistoletem.

Megan, przestępując przez drzwi, poczuła na twarzy uderzenie ciepłego, wilgotnego wiatru.

- Jezu. - Tylko tyle była w stanie z siebie wydobyć.

- O mamó, to szczyt świata - krzyknął Nicky. Ujrzał, że Megan nie zrozumiała dowcipu, i kopniakiem zamknął drzwi. - Sto pięter nad ziemią. Czyż to nie piękne? - Megan, czując pistolet w plecach, wygramoliła się na dach Hancock Building. Wokół niej rozpościerała się migocząca panorama Chicago. Przez chwilę kobieta czuła zawroty głowy, stojąc na otwartej przestrzeni, a wicher szarpał jej ubraniem. Nic jej nie odgradzało od reszty miasta, żadne okna ani balustrady. Zerknęła w górę i ujrzała wielkie bliźniacze anteny Hancock, kołyszące się na wietrze. Poczuła, że się zatacza. Niemal spadła. Nicky złapał ją za ramię i przytrzymał. - Nazywam to „najwyższym szczytowaniem”. Czujesz? Szczyt szczytów! - Megan nic na to nie odpowiedziała. Zupełnie zaschło jej w gardle. Ponownie pociekły jej łzy, gdy Nicky popchnął ją ku krawędzi dachu. - Dobrze, tyle wystarczy. - Zatrzymał się o metr od krawędzi. Megan zaczęła się obracać. - Nie, nie okręcaj się. Chcę, żebyś patrzyła w dół. To daleka droga, co nie?

- Nicky, po co to robisz?

- Zamknij się. - Ponownie szturchnął ją w plecy mauzerem. W zasadzie było to ledwie stuknięcie. Ale Megan i tak krzyknęła. - Dobra, a teraz ściągaj ciuchy.

- Co? - „To o to chodzi? O seks?”. Megan zdecydowała, że Nicky Kowitz rzeczywiście był nikim. I pomyślała, że zamierza... że go zmusili...

- Powiedziałem ci, żebyś ściągała ciuchy. I to już.

- Nicky, jeśli zamierzałeś mnie zerznąć, to czemu tego po prostu nie powiedziałeś? - Czy znów uda jej się mu wymknąć, czy trzeba

będzie bzyknąć tego obrzydliwego śmiecia? - Wiedziałam, że cały czas masz na mnie ochotę. Widziałam to po tym, jak na mnie patrzyłeś. Ale nie tutaj, Nicky. Chodźmy do mnie. - Wyobraziła sobie mauzera, leżącego na stoliku nocnym obok łóżka, poza zasięgiem Nicky'ego, ale za to pod jej ręką. Czowała w rękach jego metaliczny, chłodny ciężar. Widziała, jak celuje w jego skurczonego fiuta. - Albo wynajmiemy sobie pokój. Na każdym rogu w mieście jest hotel, moglibyśmy...

Mauzer grzmotnął w tył jej głowy. Megan wrzasnęła, straciła równowagę i runęła ku krawędzi dachu.

Nicky złapał ją i ściągnął z powrotem.

- A teraz, Megan, zamkniesz się, do kurwy nędzy, i ściągniesz te ciuchy.

Megan ściągnęła marynarkę.

- Podaj mi to - rzekł Nicky, nim zdążyła ją upuścić.

Rozpięła bluzkę, czując na piersiach i brzuchu podmuchy wiatru. Chłodziły ją, mimo panującego ciepła. Ziębiły, wysuszając pot na jej skórze. W głowie Megan kłębiły się myśli, tylko że teraz galopowały bezładnie. Sięgnęła do tyłu i rozpięła spódnicę. Marynarka, bluzka, spódnica, stanik, ściągała je po kolei i podawała Nicky'emu. W końcu stanęła tylko w majtkach i pantoflach Folgolio. Obcasy chrzęściły na wtopionym w smołowany dach żwirze.

- I co teraz, Nicky?

- Ściągaj wszystko. - Megan zacisnęła zęby i zsunęła majtki.

- Buty też.

- Nicky, tu jest żwir.

- Ściągaj te pieprzone buty. - Gdy oddawała buty, żwir wbijał jej się w delikatne podeszwy stóp. Czowała, że w papie na dachu wciąż drzemią resztki upału. - Dobra, możesz się obrócić.

Tak też zrobiła.

Nicky stał, trzymając stopę na stosie jej ubrań. Wiatr szarpał je i próbował rozrzucić we wszystkie strony. Mężczyzna wciąż trzymał w jednej ręce wycelowany pistolet, w drugiej...

Megan zakrztusiła się. Nicky uniósł do twarzy koronkowe majtki w kolorze kości słoniowej i powąchał je, jakby były świeżymi kwiatami, a potem uśmiechnął się obleśnie.

- Chyba je sobie zatrzymam. - Wetknął majtki w kieszeń marynarki.

- I co teraz, Nicky?

- Teraz? - Jego oczy ślizgały się po jej nagim ciele jak robaki. - Teraz dam ci ostatnią szansę, byś mogła powiedzieć, gdzie to jest.

- Nicky, już ci mówiłam. Nie mam tego, o czym myślisz, że mam. Nie mam tego, o czym oni myślą, że mam - krzyczała, szlochając tak głośno, że niemalże nie dało się zrozumieć jej słów. Umysł Megan już nic nie planował. Już nie wyobrażała sobie, że trzyma w rękach mauzera. Po prostu czuła się naga i przerażona. I bardzo wystraszona.

- O nie, Megan. Chyba mnie nie słuchasz. Zamierzam ci dać jeszcze jedną, ostatnią szansę.

- Nicky, pozbyłam się wszystkiego. Naprawdę, wszystkiego. Wiedziałam, że nikt mi nie uwierzy, dlatego wywaliłam każdy cholerny plik. Przysięgam na Boga, tak zrobiłam.

Nicky potrząsnął głową.

- Masz to, co? Wszystko jest u ciebie w domu. Wszystko trafił szlag. - Uniósł pistolet i wycelował go wprost w czoło Megan. - Niech to szlag. Miałaś szansę.

Megan zasłoniła twarz rękami i instynktownie cofnęła się pół kroku. Nagle przypomniała sobie, gdzie jest, i zamarła.

- Nicky, przysięgam, tak zrobiłam. Pozbyłam się wszystkiego, co tylko udało mi się znaleźć. Nic już nie ma. Nikomu nic nigdy nie powiem. Przekaż im to. Oni ci uwierzą, oni...

- Wystarczy, Megan. - Skinął pistoletem. - A teraz... skacz. Twarz jej pobladła.

- C...Co? Skacz?

- Słyszałaś. Skacz. Ale już. Dalej.

- Nie... Nicky, nie mówisz tego poważnie, ty... - W jej głosie pojawiły się nuty hysterii. Nicky, broń, ubrania, anteny i migoczący horyzont - wszystko pływało jej przed oczami, gdy po policzkach ciekły zamazujące obraz łzy. - Nicky, na miłość boską, nie rób tego. Nie...

- Skacz, Megan. Albo będę musiał cię zastrzelić.

- Nicky, proszę...

- Tak czy owak, nie ujrzysz jutrzejszego poranka.

- Nicky, proszę, Jezu Chryste, błagam cię! - Megan padła na kolana. Gorący żwir wbił jej się w kolana. - Proszę!

- Skacz, Megan.

- Nie. - Łzy przestały płynąć. Megan Russell podniosła wzrok. Jej wzrok nagle stwardniał. Zacisnęła zęby. - Nie - powtórzyła. Nicky ostrożnie przysunął się do niej i pochylił mauzera, aż lufa spoczęła na jej skroni. - Zastrzel mnie - syknęła Megan. - Zastrzel. Strzel mi w głowę, gdy na ciebie patrzę. - Czowała, jak lufa dygoce na jej czole. Ujrzała, jak palce Nicky'ego zaciskają się i rozluźniają na rękojeści. - Kolitzky, brak ci do tego jaj.

Nicky zawahał się i opuścił pistolet.

- Masz rację, Megan. Chyba ich rzeczywiście nie mam.

Kobieta zacisnęła powieki i wypuściła wstrzymywane powietrze.

Wtedy but Nicky'ego Kolitzky kopnął ją w ramię. Przewróciła się. Zawisała głową, ramionami i tułowiem nad przepaścią. Wisiała tak przez zdumiewająco długą chwilę. Jej myśli zaczęły wirować na widok malutkich samochodzików i ulicznych świateł, migoczących o sto pięter niżej.

Jeszcze jeden kopniak, tym razem wymierzony w jej nogi, posłał Megan za krawędź. Na milisekundę zawisała w powietrzu, machając ramionami i nogami, a potem runęła w dół, wprost w objęcia pustki.

Zerwał się wiatr i pochłoniął jej krzyk.

Nicky ostrożnie przysunął się do krawędzi dachu, by popatrzeć, jak nagie, spadające ciało Megan błyska w świetle okien wieżowca niczym w stroboskopie. Odwrócił się, zanim uderzyła o chodnik. Podniósł torebkę Megan Russell i jej ubranie.

Rozdział trzeci

Jeff Stancheck trzykrotnie walnął w myszkę. Ostatni raz zrobił to pięścią. Wymowny chrzęst plastiku przykrywającego układy scalone zdradził mu, że jeszcze jedno urządzenie odeszło w niepamięć. Ale czasem miażdżenie komputerowych gryzoni było jedynym sposobem na odreagowanie sytuacji, gdy zawodziły obydwie dyski komputera naraz. Po to właśnie miał całą szufladę części zapasowych.

Czasami zrujnowanie myszki było dokładnie tym, czego potrzebował.

Czasami. Ale tym razem komputer odmówił posłuszeństwa i Jeff stracił stronę 47. i 48. lipcowego wydania „Charade Magazine”. Wydania, które tej nocy miało zostać przesłane do druku.

Jeff wyrwał z komputera kabel myszki i wyrzucił ją do przepelnionego kosza za plecami. Potem wyjął z szuflady biurka zupełnie nową, w plastikowej, przezroczystej osłonie. Właśnie zaczynał rozdzierać opakowanie, gdy w drzwiach pokazała się głowa Blair.

- - Jeff, za pięć minut mamy spotkanie.
- Blair, jestem pogrążony po uszy.
- Obiecuję, że zajmę ci tylko chwilę. Przyjdź do biura Megan.

Blair Armstrong, asystentka głównego redaktora „Charade Magazine”, zniknęła, zanim zaczął się wykłócać.

Jeff podłączył nową myszkę, poczekał chwilę, aż ponownie ukazał się plik, i zaczął szukać stron 47. i 48. Ponieważ nie mógł ich odnaleźć, zaczął kłać w stronę ekranu. Złapał pusty kubek po kawie i zerknął na przytłaczający stos zipów i płyt CD, które wciąż czekały na aprobatę. Sto dwadzieścia osiem stron lipcowego wydania, które o piątej pośpiesznie odbierze od niego drukarnia, a on był dopiero na stronie 47. Jeff prychnął w stronę komputera i pomyślał z rozrzewnieniem o starych dobrych czasach gumowych odlewów, osadzania czcionek i prac zecerskich. One nigdy nie znikwały w cyberprzestrzeni.

Za drzwiami jego pokoju działał artystyczny „Charade Magazine” zbierał się ślamazarnie do przerwy na lunch. Wszędzie piętrzyły się stosy projektów i sterty nieposegregowanych fotografii, gromady dyskietek i wszelkiego rodzaju wydruki, rozrzucone w nieładzie na stanowiskach pracowników. Skanery, drukarki atramentowe i serwery wymrukiwały hałaśliwą sonatę roboczego dnia.

- Potrzebuję ochotnika - krzyknął Jeff. Jak na zawołanie wszyscy schowali głowy za ścianami przepierzeń. - Znow popsuł mi się komputer. Straciłem stronę 47. i 48., ktoś będzie musiał sprawdzić dyski i zlokalizować je w systemie. - Wciąż nie słyszał żadnej odpowiedzi. Jeff zajrzał za przepierzenie biurowej zagrody. - Gabrielle, dziękuję, że się zgłosiłaś.

Gabrielle odsunęła od ucha słuchawkę i przycisnęła ją do piersi. Patrzyła na niego gniewnie z za długiej zasłony czarnej fryzury jak z Rodziny Addamsów i grubo wysmarowanych tuszem rzęs. Jeff nie umiał określić, czy jej złość wywołało przerwanie jej jednej z niekończącego się strumienia prywatnych rozmów, czy też wyznaczenie dodatkowego zadania. Najprawdopodobniej jednak obraziła się za sposób, w który wymówił jej imię. Według niej należało wymawiać je „Ga - BREJ - el” i zawsze nalegała, by tak właśnie brzmiało.

Jeff odpowiedział jej takim samym spojrzeniem, ponownie zastanawiając się, czy dziewczyna kiedykolwiek miała osiem lat, huśtała się na konikach, bawiła lalkami, wślizgiwała do domku na drzewie i reagowała, gdy ktoś zawołał „Gabi”. Zerknął na jej dzisiejszą czarną odzież, skrywającą ją od stóp do głów, i na wpół zjedzony jagodowy błyszczak na ustach. Doszedł do wniosku, że pewnie nie.

- Jeff, umówiłam się na lunch - jęknęła.
- Jest dopiero jedenasta trzydzieści. Masz mnóstwo czasu.
- Ale...
- Przykro mi, Gabrielle, ale mam spotkanie u Megan. Muszę lecieć.

Jeff pomyślał, że dziewczyna była teraz gotowa iść na bosaka przez zamieć. Potrząsnął głową, uśmiechnąwszy się do siebie, gdy wychodził z działu artystycznego. W drodze do redakcji napełnił kubek kawą. Idąc, pociągnął łyk i natychmiast się skrzywił: cynamon. I coś jeszcze. Gałka muszkatołowa? Nadeszły takie czasy, że zwykła, bezkofeinowa kawa w automatach w „Charade” była opcją niestandardową. Teraz, podnosząc kubek do ust, zawsze był niemile zaskoczony jakąś przyprawą.

Magazyn „Charade” wprowadził się trzy lata temu na szesnaste i siedemnaste piętro budynku Whitestar Media Group przy ulicy Fairmont Court. Czasem Jeffowi brakowało ich starych śmieci na

piętrze magazynu na zachód od Chicago Loop. Bardzo na zachód. Tak daleko, że fala miejskich renowacji jeszcze tam nie dotarła, by „uszlachetnić” dzielnicę. Spędził tam siedem dobrych lat, a teraz tęsknił za oknem, które można było naprawdę otworzyć, darmowym parkingiem na ulicy, a zwłaszcza za godną zaufania, przyzwoitą włoską knajpą z wołowiną w Westside Grill.

Ale musiał przyznać, że obecne sztuczne marmury i paskudztwa z zielonego szkła oferowały działającą klimatyzację, jeżdżące windy, które nie groziły upadkiem z piątego piętra, a jedyne gryzonie, widoczne w zasięgu wzroku, tkwiły z wtyczkami w komputerach, a nie wily za nimi gniazd.

Z drugiej strony, tutaj, w okolicach Streetville, w niewielkim kwartale wysokich biurowców, luksusowych apartamentów i nielicznych budynków z piaskowca, wciśniętych między Michigan Avenue a jezioro, parking kosztował trzysta trzydzieści pięć dolarów miesięcznie. A do tego Jeff nie znalazł tu w ciągu trzech lat ani jednej godziwej włoskiej wołowiny.

Cóż, za to zdarzał się przyzwoity polski kotlet z musztardą i grillowanymi cebulkami na wynos w St. Clair.

Jeff podążał wyłożonym wykładziną korytarzem między boksami działu sprzedaży, które odróżniały się od korytarza jedynie kontrastującą wykładziną. Nie zwracał uwagi na sekretarki i osoby wpisujące dane, które podnosiły wzrok znad komputerów, by go ponownie obejrzeć od stóp do głów. Jeff stanąłby w pasach ze zdumienia, gdyby się dowiedział, że damska połowa załogi „Charade Magazine” - samotna i w związkach - uważała, że jest przystojny. Natomiast on sam zwykle myślał o tym, jak niechlujnie jest ubrany w modne pięć lat temu powyciągane ciuchy. W końcu to „Charade Magazine” obecnie decydowało arbitralnie, co w Chicago miało być trendy. A Jeff był dyrektorem artystycznym tego magazynu. Ale to z kolei stanowiło jedną z wewnętrznych szarad w „Charade”, przykład kolejnego szkieletu w błyszczącej na zewnątrz szafie redakcji, która tak naprawdę była jednym wielkim cmentarzyskiem.

Pociągnął kolejny łyk z kubka, ale przypomniał sobie, że to obrzydliwie cuchnąca breja, i wypluł cynamonowy wywar z powrotem. A raczej próbował, bo zamiast tego ciecz poląła mu się z ust po białej koszuli i džinsach. Krople opryskały też kowbojskie buty. Zauważyła to sekretarka za komputerem i usiłowała stłumić chichot.

Jeff skrzywił się w jej kierunku, a potem zdał sobie sprawę, jak głupio wygląda, zamienił więc grymas na uśmiech. Wzruszył ramionami, a sekretarka puściła mu oko. W końcu wkroczył do centrum dowodzenia Megan Russell, imperatorskiego, narożnego biura pani redaktor naczelnej.

Nigdzie ani śladu Megan.

Zamiast tego na wykładanym irchą fotelu Megan przycupnęła Blair Armstrong, ściskając podłokietniki, jakby się przymierzała do miejsca swojej zwierzchniczki.

- Blair, mam nadzieję, że Megan się znów nie spóźnia. Wiesz, musimy dziś oddać numer do drukarni. - Jeff opadł na fotel dla gości, stojący przy emaliowanym biurku Megan.

- Nie mam pojęcia, Jeff. Od paru dni nie widziałam Megan. Jeff poderwał się.

- Jak to, nie widziałaś... To kto zadzwonił dziś rano?

- Ja.

- Ty? A odkąd to wzywasz mnie na spotkanie? Czegoś tu nie zauważyłem? Ja - dyrektor artystyczny, ty - asystentka redaktor naczelnej? Chyba wciąż mam wyższą pozycję, czyż nie, Blair? - Jeff nie znosił biurowego politykierstwa bardziej niż cynamonowej kawy, ale uwielbiał drażnić się z Blair. O jej życiu i śmierci decydowały starcia sił, przyływy i odpływy, plotki z wyższych pięt Whitestar, schematy organizacyjne i dyscyplinujące notatki. Blair obróciła się o trzysta sześćdziesiąt stopni w wielkim skórzanym fotelu, ukazując świetnie skrojoną, letnią garsonkę i długie nogi. Kiedy ponownie skierowała ku niemu twarz, prychnęła:

- Ja cię wzywam na spotkanie, kiedy Megan nie ma. Musimy wprowadzić zmiany w lipcowym wydaniu.

Jeff roześmiał się cicho.

- Nie, masz na myśli sierpniowe wydanie. - Złapał biurkowy kalendarz Megan. Wciąż widniała na nim data sprzed trzech dni. Przerzucił kartki, by znaleźć dzisiejszą datę, środę 12 lipca, i pchnął go po biurku. - Czy możesz z łaski swojej spojrzeć na daty? Wiesz, który dziś mamy, prawda? Dzień ostatecznego projektu. Dzień oddania do druku. To nie jest dzień na poważne zmiany.

- Nic na to nie poradzę, Jeff.

- Czyj to pomysł, Megan?

- Hm... W zasadzie nie.

- A zatem czyj? Blair wierciła się.

- To coś w rodzaju połączonych starań działu sprzedaży i redakcji.

- A to oznacza, że jest twój - stwierdził Jeff. - Ale Megan go zaaprobowała, tak?

- Jeff, przecież ci mówiłam, że od paru dni nie widziałam Megan. Z tego, co mi wiadomo, to nikt jej nie widział.

Jeff rozparł się w fotelu.

- To dziwne. To znaczy... nie ma nic nadzwyczajnego w tym, że Megan wyjeżdża na parę dni, ale nigdy się to nie zdarzyło w dniu ostatecznego projektu. To nasza tradycja, zawsze przeglądaliśmy z Megan strony, zanim oddawaliśmy je do druku.

- Cóż, Jeff, nie mam nic przeciwko mojej szefowej, ale czy nie sądzisz, że Megan ostatnio bywała nieco... hm... zajęta?

Jeff zamyślił się nad tym. Im więcej myślał, tym bardziej zdawał sobie sprawę, że Megan Russell w ciągu ostatnich tygodni była raczej nieobecna. Ledwo się pokazywała w biurze.

- Staram się nie wtykać nosa w nie swoje sprawy - rzekł w końcu. - Może coś się wydarzyło w życiu osobistym Megan.

- Megan nie ma życia osobistego - odparła Blair. Wsunęła zakończone wymanikiowanymi paznokciami palce w blond włosy. - Jej życie osobiste to „Charade”. Och, Jeff, pracowałeś z nią od chwili, gdy była jedną z redakterek, a ty nic niewartym grafikiem. Minęło już dziesięć lat, prawda? No wiesz, te dni chwały, do których oboje wracacie z takim sentymentem, kiedy „Charade Magazine” było drugorzędną, tanią imitacją „Village Voice”? Pamiętasz, to było, zanim „drugorzędna” nie spadła na trzecie miejsce? Jeff przytaknął.

- Praca z nami wówczas nieźle by ci posłużyła, Blair. To do „Charade” skierowali się ludzie, chcąc czytać najświeższe artykuły tematyczne, ogłoszenia i demaskatorskie materiały. - Odwrócił się od niej i wyjrzał przez okno na Lake Shore Drive. - Zawsze mieliśmy najlepsze eseje, fragmenty najlepszych książek, najlepsze opowiadania. Saul Bellow, Studs Terkel, Robinson, Mailer, kto tylko chcesz i...

- I ledwo na siebie zarabialiście - dodała Blair, pochylając się nad biurkiem. Wzrok Jeffa przykuł rąbek koronki wystającej z rozchylnych klap dwurzędowego kostiumu. Szybko odwrócił

spojrzenie. - Jeff, nie próbuj na mnie zrobić wrażenia swoimi hipisowskimi sentymentami. Dni buntu nikogo już nie obchodzą.

- No wiesz, nawet mnie one nie interesują - odrzekł Jeff. - Nawet nie jestem pewien, kiedy to w ogóle było. Do diabła, pewnie wciąż wtedy marnowałem czas w liceum Świętego Bartłomieja. - Jeff wyobraził sobie, że Blair założyła pod biurkiem nogę na nogę. Dobiegał go nikły dźwięk ocierania się nylonu o płótno.

- Nieważne - stwierdziła. - Musimy teraz pomartwić się, jak dodać trzy strony do wydania.

Jeff mrugnął oczami i pomyślał: „Jest tutaj od trzech lat i wciąż nic nie łąpie”.

- Blair, przejdźmy przez to raz jeszcze, tak, byś zapamiętała wszystko do czasu, kiedy już naprawdę zasiądziesz na tym krześle. Strony tworzone są poczwórnice, jak książeczki. „Charade” drukowane jest w formie szesnastek. Nazywa się to sygnaturką, pamiętasz? Syg - na - tur - ką. Tak składa się każdy większy magazyn na świecie.

- Wiem o tym wszystkim - powiedziała.

- Zatem wiesz też, czemu nie możemy dodać trzech stron. - Nawet pomimo pełnego lipcowego słońca, które grzało przez wielkie okna, podświetlając sylwetkę Blair w wielkim skórzanym fotelu, Jeff widział, jak jej twarz krzywi się, przybierając wyraz twarzy małej nadętej dziewczynki.

- Nie możemy po prostu dodać jakiejś ulotki?

- Wróćmy do początku naszej rozmowy - rzekł Jeff. - Co tak naprawdę mam tam zmieścić?

Kobieta otworzyła kopertę z bananowca i rozłożyła na biurku fotografie oraz linoryty. Jeff skrzywił się, gdy tylko na nie zerknął.

- Znowu? - spytał. - Czy nie...

- Tak, to znów one. Dział sprzedaży dopiero co wydusił z nich czterokolorową reklamę na rozkładówkę. Dodatkowo mamy czterostronicowy płatny artykuł. Zdjęcia do reklamy już do nas idą z ich agencji. - Blair zniżyła głos. - Choć akurat to, co się mówi na ulicy, ma dla tej agencji najmniejsze znaczenie. Słyszałam, że szukają kogoś nowego. Więc chyba to ty będziesz się musiał zająć przygotowaniem reklamówki. - Jeff przerzucał fotografie. Ujrzał kolejne modne zdjęcia Helmuta Newtona: anorektyczne, blade nastolatki w cmentarnych strojach z ponurymi minami na twarzy. Krzykliwe ciuchy sado - maso miały odzwierciedlać ostatni trend w

modzie. Nadęta poza, oto czym żyły ostatnio wszystkie nocne kluby i butiki Chicago. Blair wyczuła jego reakcję. Może zdradziła go mina. - Och, przypuszczam, że gdyby to było przemówienie działu transportowego miasta Chicago, to pewnie znalazłbyś nieco miejsca? A może jeśli okazałoby się, że to kolejne popieprzone opowiadanie, które zdobyło nagrodę literacką na jakimś college'u na zadupiu, to pewnie wszystko byłoby super?

- To nie tak, tylko...

- Słuchaj, sprzedaż podlizuje się ich agencji od miesiący. Bóg jeden wie, że wrzuciłam w moją kolumnę wystarczająco dużo darmowych zapowiedzi. Muszą czymś się nam odpłacić. Zaczęli wspominać o dwustronicowej rozkładówce co miesiąc przez cały rok i o kwartalnych ulotkach. Dadzą też więcej materiałów reklamowych. A może też zasponsorujemy im jakiś wieczór tematyczny. Zdajesz sobie sprawę, o jakich mówimy przychodach?

- No dobrze - odpowiedział Jeff. - Przestań próbować mnie przeciągnąć na swoją stronę. Dołączę te trzy strony. Jak to się stanie, to już inna historia.

- A właściwie to czemu nie możesz dorzucić paru dodatkowych stron?

- spytała Blair. - Uzupełnisz je jakimiś śmieciami i tyle. Jeff potrząsnął głową.

- To kwestia budżetu. Zamówienie na papier składa się z wielomiesięcznym wyprzedzeniem. Tak samo określa się czas pracy maszyn drukarskich.

- Potarł brodę. - Chyba że chcesz zadzwonić do Whitestar i poprosić o zmiany w budżecie.

Oboje spojrzeli po sobie.

„Charade Magazine” wystartowało jako darmowy tygodnik w roku 1971. Magazyn został po raz pierwszy wydany przez dwóch studentów, wyrzuconych z Northwestern University, którzy faktycznie wcześniej byli hipisami. Trzy lata temu sprzedali magazyn Whitestar Group za siedmiocyfrową sumkę dla każdego z nich i najprawdopodobniej zakładali teraz jakąś firemkę z luksusowymi lodami. To Whitestar wprowadził „Charade” do ekskluzywnych pomieszczeń przy Fairmont Court. To Whitestar skomputeryzował dział artystyczny. To Whitestar, bazując na niebywale rozdmuchanych referencjach, podkupił Blair Armstrong od „Interview Magazine”,

gdzie była wychwalaną asystentką administracyjną. To Whitestar zamienił „Charade” w najmodniejszy magazyn o trendach i nocnym życiu. To Whitestar Media Group wywali ich oboje, jeśli tylko wspomną o zmianie budżetu.

- Nie - powiedzieli jednocześnie Blair i Jeff.

Uśmiechnęli się do siebie nawzajem i przynajmniej na tę chwilę zawarli rozejm.

- Możesz wyciąć parę zdjęć z tytułu „Smak Chicago” - zaproponowała Blair odrobinę mniej sztywnym głosem. - A ja sprawdzę ze sprzedażą i zobaczę, czy nie możemy uwalić całostronicowego materiału o Krowne. Słyszałam, że od sześciu miesięcy nie płacą rachunków.

- Czyli tu coś przemycimy, a tam obetniemy? - spytał Jeff.

- Pasuje mi to. - Blair zerknęła na roleksa. - Słuchaj, dziesięć minut temu miałam wkraczać tanecznym krokiem na lunch w La Stradzie. Niech twoje Picassy się zajmą tematem, a ja wpadnę późniejszym popołudniem i sprawdzę, jak im idzie. Kto wie? Może do tej pory Megan się znajdzie.

Jeff wstał z fotela.

- Bez znaczenia, ty czy Megan, lepiej zaplanować na dzisiejszy wieczór sprawdzenie zmian. Pewnie będzie koło ósmej, a może dziewiątej. Oczywiście, o ile dostaniemy szybko tę reklamę.

Blair powstrzymała zdjęcia i wydruki z powrotem do koperty z bananowca i przesunęła ją po biurku w stronę Jeffa.

- Tak późno?

- Tak późno.

Ale ona już wyszła zza biurka i skierowała się w stronę drzwi.

- Cóż, będziemy chyba musieli na kogoś się zdać. A może prześlesz mi coś na faks do domu.

Blair, wypowiedziawszy te słowa, zniknęła.

Pozostał po niej tylko unoszący się w biurze zapach perfum.

Jeff wciągnął woń i uśmiechnął się. W uszach wciąż miał szelest kostiumu, ocierającego się o nogi Blair.

Potrząsnął głową, ścierając uśmiech z ust i przeganiając jej zapach. Potem sięgnął po kopertę. Nazwa projektu już na niej widniała, wypisana schludnie na etykietce.

GOTHIQUE

Rozdział czwarty

Środowy upał i wilgoć stawały się wraz z upływem dnia coraz bardziej uciążliwe. Wszystko trwało w bezruchu, począwszy od powietrza, po śmieci, które niemal kipiały pod peronem Morse Avenue El.

Colleen Russell, popychana na peronie ku wyjściu na Morse przez tłum pędzący w godzinach szczytu, czuła, jak asfalt przywiera do podeszew jej niezgrabnych butów na płaskim obcasie. A może to tylko guma do żucia topiła się w zamglonym, popołudniowym słońcu? Colleen ścisnęła portfolio w spoconej dłoni, w drugiej trzymała torebkę. Wszyscy mówili o tłumach kieszonkowców na stacji El. Wysunięta na północ część Chicago nie była już taka jak kiedyś. Zwłaszcza Rogers Park.

Do diabła, pewnie nigdy nie była taka jak kiedyś.

Zatrzymała się w koreańskim sklepiku na Morse i wypiła duszkiem zimną wodę sodową. Opierała się o lodówkę tylko po to, by poczuć, jak chłód przenika przez zmięty, bawełniany kostium. Pomyślała, że dziś wieczorem znów będzie musiała go wyprasować, i wyszła z powrotem w upał. Rano miała kolejną rozmowę o pracę, a potem jeszcze jedną, tuż po lunchu. Spośród całej jej garderoby beżowe, bawełniane wdzianko i spódnica najbardziej przypominały prawdziwe ubrania biznesowe.

Parła przed siebie po Morse, a popołudniowe słońce grzało tył głowy, aż parzyły ją długie, rude włosy. Tego dnia dobrze by było je spiąć albo schować długie czerwone kosmyki pod chustką. Ale rano nie pomyślała o tym.

Za Sheridan skręciła w lewo. Słońce zaczęło jej świecić w lewy policzek, próbując ją upiec. Kremowa, jasna cera pokryła się piegami na pierwszym roku w college'u. Nawet czasem Colleen wyczuwała te piegi, czające się tuż pod powierzchnią skóry, mimo że od tamtego czasu minęło już sześć lat.

Wokół unosił się szum setek wentylatorów i klimatyzatorów zamontowanych w oknach jednopiętrowych domków. Przynajmniej w tych należących do szczęśliwców. W wypadku mniej szczęśliwych okna po prostu wisiały, otwarte, a wypłowiele od słońca zasłony falowały na słabym wietrzyku, przybrudzone od spalin samochodów przejeżdżających Sheridan i śmierdzących, napędzanych olejem autobusów. Ten nikły wietrzyk zdawał się nieco przynosić ulgę w

upale. Mimo wszystko nie był chyba ani odrobinę mniej wilgotny, gdy Colleen przechodziła obok Loyola Park. Jezioro Michigan okalały niewielkie boiska do siatkówki i skrawki srebrzystej plaży.

Czuła, jakby do jej pantofli ktoś nasypał żwiru. Szorstkie wnętrze butów ocierało jej stopy. Ale czego mogła się spodziewać? Kupiła je w Tanich Butach na Broadwayu tego samego dnia co strój na rozmowy w sprawie pracy. Wykonano je z plastiku, papieru i tworzyw sztucznych. Przez chwilę Colleen czuła pokusę, by je zzuć i przejść resztę drogi do domu na bosaka. Ale wystarczyło jedno zerknięcie na chodnik, upstrzony wyplutymi gumami do żucia, potłuczonymi butelkami, a czasem nawet zużytą prezerwatywą, by skutecznie odwieść ją od tego pomysłu.

Przeszła jeszcze pięć budynków wzdłuż Sheridan. Potem skręciła w prawo w Chase Avenue, krótką uliczkę, po której obu stronach tłoczyły się bloki różnych rozmiarów i z różnymi fasadami, osłonięte starymi klonami, lecz szczyłące się widokiem na jezioro. W burzowe noce fale uderzały o falochrony i przemacały każdy zaparkowany tu nieprawidłowo samochód. Zimą w ciągu godziny mgielka znad wzburzonej tafli zamieniała samochód w lodową rzeźbę. Ale dzisiaj jezioro tylko lizało betonowe bariery, zbyt rozgrzane i zmęczone, by się burzyć.

Colleen skierowała się ku ostatniemu budynkowi na końcu alejki. Czteropiętrowa kamienica wymagała remontu. Wyglądała tak, jakby wraz z nadejściem kolejnej nawałnicy miała się zwalić do jeziora. Kobieta przeszła przez nigdy nie zamykaną bramę i minęła nigdy nie koszony szczeciniasty spłachetek trawnika między czterema ścianami kamienicy. Weszła w zawsze otwarte drzwi i skierowała się po schodach ku czwartemu piętru.

Po pięciu dniach rozmów o pracę to była chyba najdłuższa wspinaczka jej życia.

Pięć rozmów, z których pierwsza zaczynała się o dziewiątej, następna o jedenastej, a trzy kolejne odbywały się po południu. Na wszystkie dojeżdżała do śródmieścia. Tam ludzie przemykali między piętrami i biurami w bardzo pilnych i ważnych sprawach. Wszyscy, prócz Colleen.

Po pięciu minutach każdej z rozmów wiedziała, że nikt jej nie da pracy. W końcu o 15.30 pewien dyrektor artystyczny spędził z nią nieco więcej czasu, badając jej życie osobiste staranniejszym niż zyciorys.

Ledwo zerknął na jej portfolio, choć z pewnością zmarnował więcej czasu, wgapiając się w jej nogi. Colleen wiedziała, że ma ładne nogi, ale mimo wszystko...

Może gdyby chciało jej się dziś założyć rajstopy, może ta chęćka byłaby bardziej...

Nie, mężczyzna był obleśny, a poza tym było za gorąco, by nawet pomyśleć o włożeniu...

A niech to.

Colleen zanurzyła rękę w torebce, wciąż kierując się do drzwi.

A niech to. Chusteczki higieniczne, długopisy, recepty, drobniała, tampony, portfel, zapalki, na wpół zużyty puder w kompakcie Walgreen z winylową gąbeczką.

Nie było kluczy.

A niech to. Colleen upuściła swoje pełnowymiarowe portfolio na podłogę półpiętra i gorączkowo przeszukiwała kieszenie marynarki. Jezu, oby tylko Cass był w domu.

Już się miała poddać i przestać pukać, gdy w końcu rygle odsunęły się. Towarzyszyła temu litania trzasków i stuków łańcuchów oraz haczyków po drugiej stronie drzwi. Wrota otworzyły się, ukazując Cassa z mokrymi włosami i okręconym wokół talii czarnym ręcznikiem. Drugi wisiał mu na szyi.

Zakołysał kluczami.

- Czegoś rano zapomnieliśmy, prawda? - Colleen chrząknęła i przeszła obok niego, kulejąc i wyciągając rękę. Cass rzucił klucze w jej dłoń. Upuściła portfolio obok drzwi, cisnęła torebkę na podłogę, a sama padła na sofę. - Kochanie, wyglądasz, jakby cię dziś przepuścili przez wyżymaczkę - stwierdził. Ponownie chrząknęła, zdzierając z siebie pogniecioną marynarkę. - Colleen, skądś znam tę koszulkę. Nie przyznaję się natomiast do potu.

- Wybacz - odparła i zrzuciła pantofle, które stuknęły o podłogę z charakterystycznym plastikowym dźwiękiem. - Wciąż spałeś, gdy się dziś rano przygotowywałam. Nie miałam żadnej czystej rzeczy. - Zerknęła na plamy potu, znaczące białą koszulkę. - Upiorę ją, Cass. W zasadzie dziś się zajmę praniem.

- Pewnie, że tak. Ty, pralka i moje ubrania? Równie dobrze mógłbym je teraz oddać Armii Zbawienia. - Przetarł ręcznikiem włosy. Krótko ostrzyżone skronie już mu wysychały, a bujne, farbowane na blond kosmyki wciąż wisiały, mokre i błyszczące.

Rzucił w nią ręcznikiem. - Wyglądasz, jakbyś go potrzebowała bardziej ode mnie.

- Dzięki. - Złapała ręcznik i przetarła nim kark i twarz. Poczowała przyjemny chłód i przez chwilę gorące, wilgotne powietrze, które sączyło się przez malutkie otwarte okienko w dużym pokoju, nie śmierdziało aż tak mocno.

- Nie miałaś dziś szczęścia? - Cass opadł na fotel naprzeciwko sofy, nieświadomy, że owinięty wokół jego talii ręcznik rozchylił się częściowo. A może wcale go to nie obchodziło.

- Nie, tak jak zwykle. - Colleen zerknęła na jego szczupłe biodra, a potem szybko odwróciła wzrok. - Kto mnie pchnął ku projektom graficznym? Wiem, że nie moi rodzice. Pewnie wciąż przewracają się w grobach, że nie poszłam do szkoły dla pielęgniarek.

- Nie - rzekł Cass. - Na kurs prawa. Colleen potrząsnęła głową.

- Księgowości.

- Do szkoły pedagogicznej. - Cass uniósł brew. - Nauczanie podstawowe. Klasy 1 - 3.

- Oczywiście, w szkole katolickiej - dodała Colleen. - Nie ma sensu babrać się z dziatwą publiczną i poganami.

- I mogłaś sobie znaleźć miłego narzeczonego przed ukończeniem studiów. Zaręczyć się przed egzaminami końcowymi. Może nawet z jakimś magistrem marketingu i zarządzania. - Cass wstał z fotela i zawiązał ręcznik, zanim ten opadł. - Kochanie, strasznie mi przykro, ale wydaje mi się, że tylko i wyłącznie ciebie można obarczyć winą za wybór projektowania graficznego. Artyści, którzy wybierają pełną miskę, skupiają się na projektowaniu graficznym. - Skinęła głową, jakby powierzył jej jakiś życiowy sekret. - A jeśli chodzi o marnowanie czasu, to już jestem spóźniony. - Wziął drugi ręcznik z rąk Colleen i wyszedł z pokoju.

Pociągnęła w górę ściągacz koszulki i podmuchała sobie na piersi. Uniosła spojrzenie, by zobaczyć, jak Cass idzie korytarzem. Smukła sylwetka, długie, szczupłe nogi i lekka burza jasnobrązowych włosów. Jędrny tyłeczek podrygiwał pod ręcznikiem. Miał skórę jaśniejszą od niej. Kiedy wchodził do łazienki, zdążyła jeszcze po raz ostatni popatrzeć na jego twarz, zbyt doskonałą jak na mężczyznę.

Drzwi łazienki zamknęły się. Wstała z sofy i potrząsnęła głową.

Wszyscy prawdziwi mężczyźni to geje, prawda?

Skierowała się do swojego pokoju.

*

Colleen poczuła się od razu lepiej, gdy zdjęła pomięty kostium. Kiedy Cass opuścił łazienkę, zmyła z twarzy i rąk miejski brud. Pomyślała o prysznicu, ale zdecydowała, że kosztowałby ją zbyt wiele wysiłku. Zamiast tego przeszukała kuchnię.

Budynek z podwórkiem został zbudowany w latach dwudziestych, gdy jeszcze „znano się na sztuce budownictwa”. Grube drzwi ważyły tonę, a ściany wykonano z prawdziwych belek i gipsu. Ale drzwi i ściany nie były na tyle grube, by puszczana przez Cassa muzyka nie sprawiała, że talerze i kubki w kuchni zaczynały klekotać. „Znów jakiś apokaliptyczny szajs” - pomyślała Colleen, sprawdzając, czy na ostatnich dwóch kromkach chleba Wonder Bread nie widać zielonych plamek. Screaming Dead, The Cure, Christian Death, Lords of the New Church, Dark Theatre, Alien Sex Fiend... do cholery, chłopak słuchał wyłącznie tego typu muzyki. Colleen wyłożyła na kromkę pastę o zbyt błyszczącym wyglądzie, by była zdrowym dodatkiem do chleba i zapisała sobie w myślach: „Nigdy nie wynajmować mieszkania z fanem muzyki gotyckiej”.

Skierowała się do dużego pokoju, zonglując papierowym talerzykiem z kanapką i paroma nieświeżymi chrupkami kukurydzianymi, jednocześnie dzierżąc w drugim ręku pocztę i szklankę z gazowaną wodą. Przechodząc przez korytarz, w przelocie ujrzała Cassa za uchylonymi drzwiami sypialni. Mężczyzna kiwał się w takt ponurej muzyki, nagusieńki, nie licząc czarnych, błyszczących majtek. Miała nadzieję, że to nie była jej bielizna. Lubił przegrzebać jej szufladę przed wyjściem na wieczór. Ale przecież to ona dziś rano podkraśniała mu bez pytania koszulkę.

Wet za wet.

Cassidy „Cass” Lumbach przysunął się bliżej do pełnowymiarowego lustra na drzwiach swojego pokoju i starannie umalował usta burgundowoczną szminką. Już wcześniej zdążył umalować oczy szarym cieniem i tuszem do rzęs. Colleen wiedziała, że trzymał się z dala od jej kosmetyków, bo były zbyt zwyczajne jak na jego gust.

Colleen poczyniła kolejną uwagę w myślach, sadowiac się na fotelu przy oknie: „Nigdy nie wynajmować mieszkania z prześlicznym dziwakiem”. Powąchała kanapkę. „Nigdy... No, chyba że to był Cass”.

Mieszkali razem od prawie roku. Był jej powiernikiem, bankomatem, gdy brakowało jej gotówki (czyli prawie zawsze), nadgorliwym, lecz sfrustrowanym doradcą do spraw mody i życia uczuciowego, a czasem nawet krytykiem. I, co najważniejsze, był jej najlepszym przyjacielem, a do tych kwestii Colleen podchodziła nadzwyczaj poważnie. Nikt inny w Chicago nie mógł zostać nazwany jej przyjacielem.

Z pewnością żaden z baranów, z którymi pracowała do zeszłego miesiąca na kasie w sklepie Groshman's Art Supply.

I na pewno żadna z dziewcząt, z którymi dzieliła pokój w akademiku U of I's Circle Campus. Nie studentka szkoły teatralnej, która zamieniła ich ciasny pokoik w całodobowy teatrzyk. Nie studentka akademii medycznej, która trzymała narkotyki w minilodówce i ukradła Colleen sprzęt grający, gdy dragi już jej się skończyły. Na pewno nie studentka socjologii, która zawsze upierała się, by prawić Colleen kazania pod prysznicem na temat golenia nóg jako kolejnego przykładu patriarchalnego podporządkowania kobiet. „Masz piankę do golenia, laska, a będziesz ładniej prezentować się w szortach”. Colleen wrzuciła do ust ostatnią kukurydzianą chrupkę.

Wyjrzała przez okno, przyglądając się mgłę pełnącej po tafli jeziora. Obserwowała ją podczas wielu gorących i wilgotnych wieczorów, takich jak dzisiejszy. Wiedziała, że zanim się ściemni, ledwo będzie widać mieszkania po drugiej stronie dziedzińca. Pomyślała, że Cassowi by się to spodobało. Lubił, gdy było mgliście i ponuro. Pewnie dlatego wybrał tę dziurę na czwartym piętrze.

- A ty co porabiasz, dziewczynko?

Oto pojawił się, w lśniących, barbarzyńsko czarnych, skórzanych spodniach, odziany w koszulę z falbankami przy nadgarstkach, rozpiętą aż po pępek, by ukazać niemal bezwłosą klatkę piersiową. Przez ramię przerzucił czarny prochowiec.

- Kończę kolację - odparła. - A co z tobą? Nie wiesz, że na zewnątrz jest prawie czterdzieści stopni?

- Zwleczyć tyłek z kanapy i przygotuj się - powiedział Cass. - Myślałem, że się ze mną wybierzesz dziś wieczorem.

Oparła się o framugę okna.

- Tam? Znowu? Chyba się ze mnie nabijasz. Cass usiadł na oparciu kanapy. Jego dwudziestoparoletnia twarz i pierś już

lśniły od potu. Gapiała się na błyszczącą skórę w miejscu, gdzie rozchyłała się koronkowa koszula. Znow założył ten cudaczny medalion na czarnym rzemyku. Przedstawiał malutką złoconą trumienkę z przezroczystym, plastikowym wieczkiem. W środku znajdowała się ziemia. Jeszcze jeden z tandetnych skarbów Cassa, zamówiony pocztą z reklamy na ostatniej stronie okładki krwawych gotyckich magazynów albo odkryty na jednym z nieustannie odwiedzanych konwentów miłośników filmów grozy. Spuściła wzrok na okruchy na papierowym talerzyku.

- Colleen, nie pozwolę, byś siedziała całą noc w tej zatechłej dziurze. Znow przez cały gówniany dzień łąziłaś na rozmowy. Wyjdźmy i zabawmy się.

- Cass, to był naprawdę kolejny gówniany dzień, a rozmowy wcale nie okazały się lepsze. Jutro rano czeka mnie to samo, jeśli więc mi na to pozwolisz, zamierzam poszłajać się cały wieczór po domu w bieliźnie i napchać lodami.

- Zjadłem lody na obiad.

- No to tylko się poszłajam w bieliźnie. Cass odłożył płaszcz i opadł na siedzenie.

- Colleen, wiem, że każesz mi się zamknąć i pilnować swojego nosa, ale sama dobrze wiesz, że nie musisz obnosić swojego portfolio po trzeciorzędnych dyrektorach artystycznych, którzy i tak myślą tylko o tym, jak ci zdjąć majtki.

- Cass, nie zaczynaj.

- Nie, kochanie, posłuchaj mnie. Wiesz, że gdybyś tylko zadzwoniła do siostry, jutro miałabyś pracę. I założę się, że dobrą. - Wskazał na puszkę w ręku Colleen. - Może wtedy przestałybyś kupować wodę supermarketowej marki.

- Lubię wodę supermarketowej marki - odparła Colleen z nieświadomą agresją. - I nie ma takiej możliwości, bym zadzwoniła do Megan i błagała ją o pracę w „Charade Magazine”.

- A to z jakiego powodu?

- Cass, mam swoją dumę. Nie rozumiesz?

- Tak naprawdę to nie bardzo. Sądzę, że zapomniałem o swojej dumie po raz pierwszy, gdy w liceum dupki sprząły mnie na kwaśne jabłko. Napis „pedał” na szafce w szkole dla chłopców sprawia, że kwestie dumy jakoś wylatują z pamięci.

- Słuchaj, sama znajdę pracę, i to dobrą. Sama sobie radziłam w college'u i potem też - stwierdziła. - Megan zajęła się swoją karierą, kiedy mama zdecydowała się przekroczyć perłowe bramy niebios i nie potrzebowała kuli u nogi w postaci siostry, która by jej spowalniała pęd życia. Cass, ona jest ode mnie sporo starsza. W dzieciństwie nie bawiłyśmy się razem lalkami. Do diabła, kiedy ja się bawiłam lalkami, ona już studiowała i miała swoją kolumnę w jakimś magazynie literackim. - Colleen odstawiła pusty talerz i wodę, a następnie wyciągnęła nogi na kanapie. - Choć muszę przyznać, że kupiła mi parę lalek.

- Nie sądzę, byś dała jej szansę - rzekł Cass.

- A ja nie uważam, by to był twój zasrany interes. - Nie chciała tak naprawdę tego powiedzieć. - Przepraszam, Cass. Starczy tego gadania o Megan, dobrze?

- Dobrze.

- A ty dokąd się wybierasz? Na „Noc ze skrepowanymi pokrakami”? - Nie... - nagle zaczął nieśmiało mówić. - Może formuje się nowa grupa. Zobaczymy, czy... Cóż, może zaczniemy nową sesję... Colleen jęknęła.

- Znowu RPG? Jak się nazywa tym razem? „Canolli”? Spojrzał na nią wściekłym wzrokiem.

Ale ona chciała się z nim trochę podrażnić.

- „Carmilla”? „Chamomille”? „Amarillo”? „Amaretto”? - Cass sięgnął po płaszcz. - Czekaj, przepraszam. Jeszcze raz przepraszam. Nie nabijam się z tego, czym zamierzasz się zająć... - zawahała się. - No, może trochę. Ale nigdy nie nudzą ci się te... to wszystko? Magazyny o potworach, filmy o potworach, konwenty z potworami?

- W twoich ustach to tak głupio brzmi.

- Hej, ty to powiedziałaś, nie ja. Nie nudzi ci się cała ta zabawa z potworami?

- Nie - odrzekł. - Poza tym to nie „zabawa z potworami”. To coś znacznie poważniejszego.

- Cass, nazywaj to, jak sobie chcesz, ale ubrania, muzyka i ci ludzie, z którymi się zadajesz, tworzą niezdrową atmosferę. I te gry RPG... Czy naprawdę chciałbyś, żeby Bela Lugosi zrobił ci czerwony znak na szyi? - Mężczyzna przewrócił oczami. - Och, wybacz, jak ma naprawdę na imię... Christopher Lee?

- Colleen, nic nie rozumiesz, prawda?

- No dobrze, wiem, Tom Cruise. Cass uśmiechnął się do siebie samego.

- Ha! - rzekła. - Naprawdę chcesz udawać, że...

- Colleen, nigdy nie słyszałaś o fantazji? Spojrzała na jego koszulę z falbankami i makijaż.

- Cass, nigdy nie uważałam, że ci jej brakuje.

- No to nazwij to stylem życia.

- Sądziłam, że ten też już masz. .

- Colleen...

Zadzwoił telefon i skończył ich rozmowę. Już wcześniej się tak spierali i nigdy ich to nigdzie nie zaprowadziło. Tak samo jak Colleen uparcie odmawiała poproszenia Megan o pomoc. Cass zeskoczył z kanapy i sięgnął po telefon.

- Och, lepiej się pospiesz - zachichotała. - Może któremuś z twoich przyjaciół udało się zmontować przytulne, trumienne mieszkanie.

Rzucił jej wymowne spojrzenie i podniósł słuchawkę. Wciąż obmyślała kolejny docinek, gdy dostrzegła wyraz twarzy Cassa. Początkowo wyglądał na zdumionego. Potem spoważniał.

- Colleen, to do ciebie.

- Komu by się chciało do mnie dzwonić? - Spuściła nogi na podłogę. - Pewnie jeden z pracodawców nie mógł się doczekać, by mi powiedzieć, że nie dostałam pracy, co?

- Nie - odparł, podając jej słuchawkę. - To policja.

Cass opadł na sofę i przyglądał się Colleen. Mówiła do telefonu z wahaniem „tak”, na większość pytań odpowiadając „nie”. Zaczęła trząść się, kiedy powiedziała:

- Tak... Tak... Mam siostrę... Tak, tu, w Chicago... Tak, Megan Russell...

Colleen odłożyła telefon i stała tak, wpatrując się przez minutę gdzieś przed siebie.

- Colleen, czego chcieli?

- Co? - Przez chwilę nie mogła się pozbierać. - To dotyczy Megan. Chcieli, bym natychmiast przyjechała.

- Czy Megan znalazła się w kłopotach? Chcą, żebyś przyjechała na posterunek?

- Hm? - Colleen obróciła się twarzą do Cassa. Miała zaszkłone oczy. Wtem po policzku potoczyła się łza. Kobieta wyglądała na przestraszoną. - Nie, nie na policję. To znaczy nie na posterunek.

- To gdzie?

- Do kostnicy.

Rozdział piąty

Frank Hoelevich wyglądał przez frontowe okno, rozparty w fotelu, a Libbie brzdąkała w kuchni talerzami po obiedzie. Dzisiaj zadowolilby się kanapką z grzanką, ale Libbie uparła się na prawdziwy obiad. W mieszkaniu wciąż unosiła się woń wielkiego steku, gotowanych ziemniaków i krojonych w plastry buraków.

Frank zaproponował Libbie, że pomoże jej pozmywać, tak jak zwykle, a ona wygoniła go z kuchni, też tak jak zwykle. Od ponad pięćdziesięciu lat stanowiło to ich wieczorny rytuał. Frank całował przelotnie Libbie w policzek i klepał po pupie, a ona wyganiała go do salonu, na fotel pod oknem. Jedyna różnica polegała na tym, że teraz, po wygodnym usadowieniu się, nie mógł zapalić cygara. Lekarz zabronił mu palenia, a Libbie była cholernie wymagającą pielęgniarką.

Frank poluzował nieco pasek i wyciągnął ze spodni koszulę z krótkim rękawem. W menu państwa Hoelevich już nie gościł chleb z piekarni posmarowany masłem, a na deser nie było ani razu pieczonych domowych kołaczy. Kolejne sugestie młodocianego kardiologa. Nie to, że Frank musiał stracić na wadze. W wieku siedemdziesięciu czterech lat rozmiar jego spodni był tylko o dwa numery większy niż wtedy, gdy w czterdziestym szóstym opuszczał wojsko. Niewielu mogło się tym pochwalić.

W kuchni trzasnęły drzwi spiżarni.

Pazury zastukały po linoleum, a następnie po deskach dużego pokoju.

Sox zaprzestał własnego cowieczornego rytuału, gdy Libbie zmyła zlew i wystawiła śmieci. Gdy Libbie sprzątała, karmelowo - biały szetland zawsze pałętał się w kuchni. Mierzył wzrokiem okrojony tłuszcz i kawałki ziemniaków, gdy zsuwały się do torby ze śmieciami. Sox wiedział, że gdy odkładano talerze i wystawiano śmieci za drzwi, była szansa na przekąskę.

Frank mógł podzielić się z psem, ale gdy przyprowadził Soksę do domu, Libbie postawiła sprawę jasno. W tym dniu zwierzę miało się dowiedzieć, że wszystkie psy rzeczywiście w końcu trafiają do nieba. „Ty go tu przyprowadziłeś, Frank, i to ty będziesz za niego odpowiedzialny. Jeśli myślisz, że wystarczą mu skrawki od rzeźnika, to mylisz się, mój panie. Pożre je w mgnieniu oka”. Oczywiście, od lat nie było w okolicy żadnego rzeźnika, a Libbie kupowała mięso w

wielkim supermarkecie Jewel, tak samo jak pozostali sąsiedzi, choć zawsze narzekała na zmieniające się czasy.

Libbie była mniej surowa, niż Frank mógł podejrzewać. Czasem, gdy zmywała talerze, pozwalała Soksowi pochwycić ukradkiem resztki kotleta albo kiełbasy.

Ale nie dzisiejszy stek. Libbie przyniosła tylko dwie porcje. Wraz z Frankiem zjedli je caluśkie.

Sox nie głodował, tak samo jak Frank radził sobie bez kołaczy. Pies miał siedem lat. Urodził się w tym samym roku, w którym Frank w końcu zamknął ich niewielki sklepik z narzędziami, mieszczący się pod mieszkaniem. Sox w wieku siedmiu lat wyglądał jak półtora psa, ważąc prawie dwadzieścia pięć kilogramów. Libbie nieustannie powtarzała, że to dowód jego skundlenia, bo zapewne jakiś collie węszył wokół szetlandzkiej budy przodków Soksa. „Węszył, a pewnie też i coś więcej”, mawiała, a potem jej policzki oblewały się czerwienią, jakby wpadła jej do głowy nieczysta myśl, którą trzeba będzie wyznać ojcu Silverezowi w następną sobotę.

Frank odwrócił się od okna, gdy Sox sunął bokiem ku fotelowi. Pies podniósł wzrok i spojrzał na niego okrągłymi, brązowymi, niespokojnymi oczami, które zawsze zdawały się mówić „A co teraz?”. Frank poklepał go po głowie, a potem obrócił się ku oknu i wsunął palec między listwy żaluzji, by wyrzeć na ulicę.

- A teraz kogo śledzisz? - Libbie rozwiązała fartuch, wchodząc do dużego pokoju. Usiadła na kanapie i przetrła czoło zwiniętym fartuchem. - Frank?

- Patrzę sobie.

- A co takiego interesującego dzieje się na Damen Avenue, czego nie widziałeś milion razy? - Libbie wyciągnęła program telewizyjny spomiędzy poduszek i zaczęła śledzić programy środowego wieczoru. - Frank?

- Nic. Patrzę na samochód.

- Samochód?

- Ładny kabriolet - odpowiedział. - Biały oldsmobil. Rocznik '71, a może '72. Prawdziwa piękność.

- Och, a za kierownicą pewnie siedzi seksowna młoda blondynka?

- Kobieto, nie bądź głupia. - Frank przysunął twarz do żaluzji. - Jakaś para spod ciemnej gwiazdy. Siedzą tam przed wejściem do Palace Theater.

Libbie zamknęła program telewizyjny i wstała, by włączyć telewizor. Kiedy wracała na kanapę, zerknęła na ulicę ponad ramieniem Franka.

- Palace? - Potrząsnęła głową, siadając, a na ekranie pojawiła się powtórka Columbo. - Frank, minęło już piętnaście lat, odkąd to kino nie nazywa się Palace Theater.

- Może i tak - odparł - ale dla mnie już zawsze to będzie Palace. - Odwrócił się od okna i spojrzał na żonę, jej brązowe, tylko miejscami posiwiałe włosy, które tak się różniły od jego całkowicie srebrzystej od czasu, gdy skończył sześćdziesiąt lat, choć nadal gęstej czupryny. Popatrzył na jej bawełnianą sukienkę, uszytą tak jak te, które po wojnie kobiety nakładały od chwili zamążpójścia. Libbie spociła się. Wyglądała na starą i zmęczoną. W oczach Franka Hoelevicha wyglądała równie pięknie jak na ich pierwszej randce. - Pamiętasz, jak tu kiedyś było? Odźwierni w szykownych liberjach, z latarkami. Aksamitne fotele. Nieskazitelnie czyste przejścia. Pamiętasz, jak chodziliśmy do kina co tydzień, by wygrać srebrną zastawę?

- Oczywiście, że pamiętam, kochanie. Wzór Rogers 1847, taki jak reklamowali w „Ozzie & Harriet”. Szkoda, że już go nie ma. - Zagadka Columbo już niemalże pochłonęła Libbie, ale na chwilę podniosła wzrok na męża i uśmiechnęła się. - Pamiętam, Frank.

- Czyż nie byłoby morowo ubrać się ładnie pewnego wieczoru i obejrzeć film po drugiej stronie ulicy? - spytał. - Może coś z Idą Lupino i Bogartem? Robertem Mitchumem i Deborah Kerr? Tak jak za dawnych czasów?

- O, dziękuję, wybrałabym Olivię DeHaiveland i Errola Flynna. Frank, filmy, które mogłeś niedawno tam zobaczyć... Cóż, ciesz się, że ich już więcej nie wyświetlają. - Libbie zmarszczyła brwi, przypominając sobie ostatnie tchnienie Palace w połowie lat osiemdziesiątych, gdy na drzwiach pojawił się szyld z potrójnym X i ogłoszeniem o tancerkach na żywo. Zdarzyło się to, zanim kino przeszło przez ręce tuzina kolejnych właścicieli, a potem przez rok próbowało szczęścia z koncertami rockowymi. Później pojawiły się pogłoski o zamianie go w supermarket. Przez kilka ostatnich lat Palace stało puste.

- To chyba rocznik '72 - stwierdził Frank. - Ten oldsmobil. Tylko skąd dwóch takich brudnych łotrzyków wzięło taki piękny samochód?
- Zmrużył oczy, wyglądając zza żaluzji. Słońce zawisło tuż nad dachem Palace, mgliste, brudnopomarańczowe, przytłumione chicagowskim smogiem. Dwaj kolesie w zaparkowanym na Damen Avenue kabriolecie słuchali głośnej muzyki. Słyszał ją mimo odległości i na wpół przymkniętych okien. Obaj kopcili papierosy, zapewne z filtrem. Frank miał doskonały wzrok, a okularów używał tylko do czytania. Wstał z jękiem z fotela, a Sox natychmiast poderwał się wraz z nim. - Chyba przejdę się, żeby spalić obiad.

- Frank, w taki gorący wieczór?

- Libbie, muszę wyprowadzić psa na spacer - odparł i pochylił się, by pocałować ją w policzek. - Obudzić cię, jak wrócę?

- Nie będziesz musiał. Zaczekam na wiadomości i zobaczę, czy kończą się już te upały.

Uśmiechnął się, podążając do kuchni, skąd wziął smycz. Wiedział doskonale, że Libbie pograży się we śnie, zanim Columbo napotka mordercę, a tym bardziej zanim zaczną się wiadomości. Sox odbił dwie białe łapy na tylnych drzwiach. Frank spojrział na smycz, potem w dół, na psa, i z powrotem na smycz. Przysięgłby, że pies skinął łbem.

- Frank! - zawołała Libbie. - Spal ten obiad dzisiaj tylko przy dwóch piwach, dobrze?

Mężczyzna wymienił spojrzenia z psem.

- Skąd ona wie, o czym myślę, zanim nawet wpadnie mi to do głowy? - Sox zadarł łeb i odpowiedział mu wzrokiem, który mówił: „Chodźmy już”.

- Frank, nie dawaj psu piwa. Będzie całą noc miał gazy. Obiecujesz?

*

Kabriolec, oldsmobile cutlass był z roku 1971 i w rzeczywistości miał odcień szarości. Nicky Kolitzky zlecił małemu warsztatowi na 63 Street przemalowanie go z rzygliwej pomarańczy.

Nicky wyrzucił na wpół niedopalonego koola na ulicę i bębnił przez chwilę palcami o kierownicę. W radiu leciała głośno jakaś stara piosenka Guns N' Roses. Basy wstrząsały siedzeniami kabrioletu. Meksykanie, którzy sprzedawali Nicky'emu kokainę, podnieśli głośniki po bokach. Kazał im zamontować w bagażniku wielkie

subwoofery, które miały wielkość małych telewizorów i mogły wywalić drzwi z samochodu. Ale Nicky nie chciał, żeby teraz się tak stało.

- Joey, ścisź to gówno, dobrze? - Joey Fortuna siedział na siedzeniu pasażera i nawet się nie ruszył. - Joey, powiedziałem, żebyś ściszył to pieprzone gówno. - Nicky pochylił się i wyłączył radio.

- O co ci chodzi, Nicky? Nie lubisz dobrej muzyki?

- Bardzo lubię dobrą muzykę, ale nie to gówno, którego słuchasz.

- To co to jest dobra muzyka? Elvis? Disco? Zespół folklorystyczny twojego kuzyna?

Nicky nie odpowiedział. Po prostu zsunął okulary przeciwsłoneczne po nosie i spojrzał na Joeya. To wystarczyło, by dzieciak się zamknął.

Joey ostatnio denerwował Nicky'ego. Nie zrobił nic poważnego, po prostu od czasu do czasu wkurzył go jakimś drobiazgiem, na przykład dzisiejszą muzyką. Joey miał tylko dwadzieścia jeden lat i powinien wiedzieć, że należy okazywać Nicky'emu więcej szacunku. Ale tak nie było. Nicky utrzymywał z nim kontakty tylko dlatego, że uważał go za Włocha. Wiedział, że chłopak trochę handlował narkotykami i ukradł parę samochodów. Rozsądne było założyć, że ma koneksje. Sześć miesięcy później okazało się, że Joey był pół Meksykaninem i pół Portorykańczykiem i wcale nie znał żadnych mądrych ludzi. Tak samo jak Nicky.

Ale od wielu miesięcy nie miało to już żadnego znaczenia.

Na pewno, odkąd Nicky zadał się z NIMI.

- Hej, Nicky, patrz. - Joey dał Nicky'emu kuksańca łokciem i wskazał na drugi kraniec ulicy. - Pieprzona Lassie.

Frank Hoelevich wyszedł z przejścia pomiędzy dwoma budynkami. Zanurkował w grządkę geranium i szperał tam przez chwilę, a kiedy się podniósł, w zębach ściszał grube cygaro. Skrecił w Damen w kierunku południowym. Sox ciągnął smycz, człapiąc białymi łapami po chodniku.

- Och, Lassie! - zawołał Joey. - Lassie! Nicky trzasnął go po ramieniu.

- Zamknij się, Joey. - Frank zerknął w ich kierunku, zacisnął zęby na cygarze, ale szedł dalej. Zresztą Sox nie pozwoliłby mu się zatrzymać. - Joey, słyszałeś kiedyś o dyskrecji?

- Nicky, słuchałeś kiedyś samego siebie?

- Głupi brudas.

- Polaczek - odgryzł się Joey. - Zauważ, że nie powiedziałem „głupi Polaczek”, bo to rozumie się samo przez się. - Sięgnął na tylne siedzenie i wyciągnął dwunastopak. Brakowało już trzech puszek, a pozostałe były śliskie od skroplonej wody. Otworzył jedną z nich i wypił duszkiem pół zawartości. - Chcesz jedną, Polaku?

- Nie - odparł Nicky. - Wierz mi, będę chciał się upić po spotkaniu.

- Jeśli chodzi o spotkanie... to czemu nie mogę iść z tobą?

- Zaufaj mi, Joey. Wcale tego nie chcesz.

- A właśnie, że chcę.

- Cóż, nie jesteś jeszcze na nich gotowy.

- Och, Nicky Kolitzky, gruba ryba. Ty jesteś gotów na wielką imprezę, a ja nie?

- Joey, to nie tak. Jesteś tylko... Potrzebuję cię, byś posiedział w samochodzie i miał oko na wszystko.

- To znaczy na co?

- No, na wszystko, co się dzieje - odparł Nicky. - Na wypadek... na wszystko.

Siedzieli przez chwilę, nic nie mówiąc, niekoniecznie w ciszy, bo Nicky zapalał papierosa jednego za drugim, a Joey siorbał piwo.

Ale z Palace nie dobiegał ich żaden dźwięk.

Czteropiętrowy budynek górował nad ich głowami. Markizę osłonięto czarnym brezentem, a gorący powiew był zbyt słaby, by choć odrobinę poruszyć plastikiem. Rzędy okien na górnych piętrach zabito deskami albo zamalowano. Wszystkie pozostawały szczelnie zamknięte.

Budynek był olbrzymi. Zajmował pół kwartału. Piętrowe domki i sklepy w drugiej części kwartału kulily się w jego mamucim cieniu. Ledwie tydzień temu cała fasada z ciemnoszarego kamienia została wyszorowana piaskiem. Wyczyszczono wszystko, łącznie z łukami nad oknami i niesamowitymi gargulcami, które czały się w cienistych niszach. Budowla wyglądała jak zamek, a raczej jak zdeformowana hollywoodzko - disneyowska, naćpana wersja zamku, pseudośredniowieczna okropność porzucona na Damen Avenue. Z gniazdek nad markizą zwisały przewody, nad miejscem, gdzie mimo wypiaskowania wciąż było widać pozostałości wypisanego zawijasami szyldu Palace. Tuż przed strzałą Nicky'ego rozparł się

wielki kontener na śmieci, wypełniony zwałami połamanego gipsu, starymi przewodami izolowanymi materiałem i podartymi kinowymi fotelami, które wysypywały się teraz na krawężnik.

- To jak, panie Cwaniaku, będziemy tu siedzieć całą wieczność? - zapytał Joey. - Kiedy ma się odbyć to bardzo ważne spotkanie?

Nicky nie spojrzął na zegarek na desce rozdzielczej. Nie zerknął też na czasomierz na nadgarstku. Zamiast tego podniósł wzrok na niebo.

- Jeszcze nie czas. - Joey Fortuna burknął i sięgnął po kolejne piwo. Nicky zerknął na przeciwną stronę ulicy, na domek z opuszczonym sklepikiem na parterze, czyli na budynek we wschodniej części Damen Avenue, skąd wyszedł staruszek z psem. Dolną część fasady okrył cień, podczas gdy górna pławiła się w pomarańczowym słonecznym blasku. - Wiem, kiedy nadejdzie czas.

Stare kino otuliło ich obu kocem cienia, który powoli pełzł po frontowej ścianie domu Franka i Libbie Hoelevichów po przeciwnej stronie ulicy, gdy zbliżał się zachód słońca.

Rozdział szósty

Jeff Stancheck zmiotł z biurka polerkę i faliste chipsy, by zrobić miejsce dla zmienionych wydruków stron, dopiero co przyniesionych przez Kelly Feeny, jego asystentkę.

- Czy Blair musi zobaczyć zmiany?

- Oczywiście, że tak, ale ich nie zobaczy. - Jeff uśmiechnął się. - Jeśli Blair chce, by właściwie od nowa zaprojektować cały numer w ciągu jednego dnia, to mogła pomyśleć, że należy tu do nas zajrzeć, nie uważasz?

- Może uda nam się ją namierzyć? Mam numer domowy jej sekretarki. Jeff potrząsnął głową, przeglądając wydruki.

- Nie zamierzam spędzić reszty tego wieczoru, przeczesując każdą snobistyczną knajpę w mieście, by ją odnaleźć i dać wydanie do aprobaty. I ty też nie, Kelly. Tak czy owak, jest już po ósmej, a równo o dziewiątej zjawi się tutaj kierowca z drukarni. Pieprzyć to.

- Przepraszam. - W drzwiach pojawiła się Gabrielle. Wyglądała na wykończoną. W wymęczonych dłoniach, odzianych w czarne koronkowe rękawiczki, niosła wydruki. - Macie moje dwa. - Rzuciła je na stosik wydruków, do których właśnie zabierał się Jeff. Kelly zsunęła oba na bok. Jeff zachichotał pod nosem i skończył skrobanie „J.S.” w rogu pierwszego stosu. - Te są dopiero niesamowite! - zachwyciła się Gabrielle, zerkając przez ramię Kelly. - Kto nad nimi pracował?

- Jeff - odparła Kelly. - A ty myślałaś, że kto?

- Jeff? - Gabrielle spojrzała na mężczyznę, potem w dół na strony, a następnie znów skierowała na niego wzrok. - Ty... je zrobiłeś?

- Nigdy nie poradzę sobie tak sprawnie z komputerem jak ze stołem kreślarskim - odrzekł Jeff. - Ale owszem, jakoś udało mi się coś zrobić, podczas gdy ty głądziłaś cały dzień przez telefon.

Gabrielle odsunęła Kelly i pochyliła się nad biurkiem Jeffa. Wgapiła się w wydruki.

Na pierwszym znajdowała się ponura dwukolorowa fotografia niezwykle bladej, nagiej dziewczyny o smolście czarnych włosach i uczernionych oczach. Klęczała na wieku trumny, ściskając w dłoniach bukiet wędnących lilii. Artystyczne logo, które Blair przekazała wcześniej tego dnia Jeffowi, było ziarniste. Najwyraźniej ktoś inny też o tym pomyślał, ponieważ przez całą szerokość wydruku biegł

zawijasowaty napis, wykonany atramentem: „Wygląda nieświeżo. Da się coś z tym zrobić?”. Jeff rozpoznał niezadowolonego klienta i sam się zabrał za wygładzanie grafiki, zanim osadził ją na wydruku.

- Jeff... - odezwała się Gabrielle. - To logo... jest...

- Skopiowane skądś?

- Nie, jest takie... wstrętne.

- To chyba dobrze?

- Wspaniale. „Gothique” - wymówiła powoli nazwę, jakby czytała każdą literę z osobna, wodząc głosem po ostro wykończonych zawijasach czcionki. - „Gothique. Całą noc. Na zawsze”.

Gabrielle zaczęła przerzucać strony. Jeff rozparł się w fotelu i mrugnął do Kelly.

Pozostałe reklamy i strony sponsorowane były upstrzone fotografiami, równie dziwnie przestylizowanymi jak pierwszy wydruk. Chłopak i dziewczyna z pokraczonym diabelskim makijażem, obwieszeni kiczowatą biżuterią, wytatuowani i odziani w podarte skórzane wdzianka, zgarbieni tańczyli w sztucznej mgle.

Dwaj obnażeni do pasa chłopcy z fryzurami w stylu Duran Duran stali. Z tyłu ktoś skrępował im ręce różańcem. Przytulili się do siebie klatkami piersiowymi i zbliżyli twarze. Wysuwali gotowe do francuskich pocałunków języki.

Na jednym ze zdjęć widniała dziewczyna w podartych, czarnych rajstopach. Była naga, a na głowie miała cierniową koronę. Po czole ciekła jej strużka krwi... zza kadru bezcielesna, dziewczęca dłoń o czarnych paznokciach sięgała do jej piersi.

- Według ciebie te strony wyglądają dobrze? - spytała Kelly z sarkazmem, którego Gabrielle nie zauważyła. Dziewczyna przestała ślinić się nad fotografiami i zaczęła mruczeć słowa tekstu. - Co? Ależ oczywiście. „Gothique to więcej niż klub, to kompleks rozrywkowy, który dostarcza niewyobrażalnych wrażeń. To styl życia...” Jeff wyłączył komputer i wyciągnął klucze z górnej szuflady. - „Gothique - Dance Club Extraordinaire - otwarcie już tej jesieni”. - Borsuczy wzrok Gabrielle ponownie spoczął na fotografiach. Dziewczyna uśmiechnęła się na widok ostatnich słów ogłoszenia. - „Gothique. Umrzesz z zachwytu”.

Kelly zgarnęła wydruki z biurka.

- Zakładam więc, że można je przekazać do drukarni? Wykonane tuszem obwódki oczu Gabrielle zwięziły się.

- Tak, Kelly, apróbuję je. - Dziewczyna odwróciła się do Jeffa i jej szyderstwo ustąpiło. Nieznacznie. - Przepraszam. Nie miałam na myśli...

- Nie szkodzi. - Mężczyzna podniósł teczkę i przerzucił przez ramię sztruksową bluzę. Obszedł biurko. - Cieszę się, że ci się podobały.

- Ale nie chciałam, żebyś pomyślał, że... to znaczy nie uważam, że ty...

- Gabrielle, nie musisz już nic mówić. - Jeff uśmiechnął się i poklepał ją po odzianym w czarną koronkę ramieniu. Dziewczyna drgnęła. Widać było, że przez jej myśli przemknęła sprawa Koise EEOC i pozwu o molestowanie seksualne. Jeff natychmiast oderwał dłoń. Kelly zrolowała strony i wyszła z biura za Jeffem. - Dobra, Kelly, dopilnuj, żeby wszyscy zarchiwizowali pliki, zanim wyjdą.

- Dobrze, Jeff. Wszystko z pewnością zostanie skończone w ciągu godziny. Jeff zerknął na zegarek.

- Dobrze. Zdążymy w ostatniej sekundzie. Znowu.

Żadne z nich nie zauważyło, że za ich plecami wlecze się Gabrielle, owinąwszy ramiona czarnym szalem, z torebką wielkości walizki.

- Hm, Jeff, zapomniałam wspomnieć ci o tym wcześniej, ale nie mogę zostać, żeby skopiować swoje pliki.

- Gabrielle - zaczęła Kelly - wiedziałaś, że musimy zostać w pracy do późna...

- Ale ja już mam plany.

- Wszyscy mieliśmy plany - ciągnęła Kelly. - Dwa razy w tym tygodniu wyszłaś wcześniej. Dzisiaj spędziłaś dwie godziny na lunchu. A teraz ktoś inny musi...

- Niech idzie - odezwał się Jeff.

Gabrielle wyszła z działu artystycznego bez pożegnania, wykrzywiając jedynie szyderczo cienkie lukrecjowe usta, gdy przemykała obok Kelly. Jeff krążył, pokazując dwóm praktykantom, Timowi i Ivy, jak zarchiwizować strony z reklamami. Odpowiadał na ostatnie pytania pracowników, a Kelly szła krok w krok za nim, zapisując notatki.

- Widzicie? Naprawdę jesteśmy w stanie złożyć całe wydanie w ciągu zaledwie jednego dnia - rzekł. - Co powiecie na pomysł, żeby wziąć sobie wolny następny miesiąc i pojawić się tylko ostatniego

dnia? - Z boksów dobiegły go chichoty i pojękiwania. Tim i Ivy rzucili w niego flamastrami. - Wszyscy wykonali wspaniałą robotę - stwierdził, wychodząc już, szef działu artystycznego. - Wszyscy mają gwarantowane płatne nadgodziny. I obiecuję osobiście zamordować jutro rano Megan Russell za to, że pozwoliła, by Blair się to wszystko upiekło.

*

Jeff włączył kierunkowskaz i skręcił czerwonym pontiakiem trans american rocznik '78 z południowego odcinka Lake Shore Drive na autostradę Stevenson Expressway.

Steverson była pusta. Najwyraźniej wszyscy pracoholicy już opuścili śródmieście.

Rozpędził pontiaka do siedemdziesiątki. Przecinał miasto, kierując się na południowy zachód. Za jego plecami panorama miasta wyglądała niczym mrugający krajobraz z baśni, powoli niknąc w lusterku. Przed nim gorejąca pomarańcza spoczywała w objęciach horyzontu. Niebo ciemniało. Mężczyzna przejechał obok ciągnących się kilometrami starych, opustoszałych kompleksów przemysłowych i poukładanych jak domino jednopiętrowych domów, które usilnie starały się wyglądać jak rezydencje. Na każdym bloku wisiały na przerdzewiających ryglach fotooferty, otoczone aureolą ulicznych świateł.

Piętnaście kilometrów za śródmieściem Jeff zjechał na prawo, kierując się ku zjazdowi na Pulaski Road.

Nagle wcisnął hamulce i zwolnił, ledwo się tocząc. Utkwił wzrok w stojącym na poboczu billboardzie.

Na czarnym tle widniały czerwone litery.

Zwykła czerwona czcionka. Sądząc po wyglądzie, Garamond kursywa.

Czerwony tekst głosił: „Całą noc. Na zawsze. Tej jesieni”.

Jakiś samochód z tyłu zatrąbił na niego. Jeff przejechał wolno obok znaku i skierował się ku wyjazdowi.

Jadąc Pulaski Road na południe, nie zwracał uwagi na pozostałe samochody. Zamiast tego zastanawiał się nad przeprojektowywanym przez siebie logo i fotografiami, którymi bawił się cały dzień. Ten Helmut Newton, germański odjazdowy cudak z klubów, wcale nie był w jego stylu. Ani nie w jego guście. Ale Gabrielle najwyraźniej się podobał, sądząc po tym, jak się śliniła nad zdjęciami. Tej odzianej w

szykowne ciuszki z lumpeksu dziewczynie, wymalowanej Maybeline, w charakteryzacji z horroru. Tej ekspertce od sprawiania wrażenia najbardziej zapracowanej, podczas gdy cały dzień surfowała w internecie. Tej, która знаła się na przycinaniu ośmiogodzinnego dnia pracy do sześciu godzin, w ciągu których i tak nic nie robiła. To ona wykrztusiła słowa: „Ty... je zrobiłaś?”.

Wkrótce będzie musiał coś zrobić z Gabrielle. Jeff miał nadzieję, że dział personalny „Charade” da jej szybko odejść. Ale tu nie chodziło tylko o nią. Jeff zobaczył Blair, jak uśmiechała się do niego krzywo zza biurka Megan Russell, zbyt wygodnie rozparta w jej fotelu, tak spokojna w letnim kostiumie z zapewne wszytą w środku metką projektanta. Przy każdym ruchu nadgarstka podzwaniała biżuterią. „Jeff, nie próbuj na mnie zrobić wrażenia swoimi hipisowskimi sentymentami”.

Mężczyzna spojrział na swoje wyprostowane ręce na kierownicy, wymiętą, białą, zapiętą na guziki koszulę (ozdobioną do kompletu plamą po cynamonowo - muszkatołowej kawie). Zerknął na ulubione kowbojskie buty, poobijane, ale czyste, które nikły pod mankietami wygodnych dżinsów Levi's.

Jeff nie umiał się powstrzymać przed obróceniem ku sobie lusterka. Jasnobrązowe włosy zawijały mu się za uszami i łaskotały w kark. Nie układał ich za pomocą żelu i pianki. Były beznadziejnie niestylowe. Jego twarz mówiła, że miał trzydzieści lat, nie siedem więcej. Ozdabiały ją niebiesko - piwne oczy, zwane przez niego w dokumentach szarymi.

Samochód. Włosy. Koszulka, dżinsy i buty. Jeśli moda miała termin przydatności, to wiedział, że jego dawno już się skończył.

- Pracuje pan w niewłaściwym biznesie - stwierdził głośno Jeff i skręcił w 49 Street.

Wzdłuż kwartałów wznosiły się szeregowce i domki jednorodzinne. Każdy dom miał niewielki trawnik przed wejściem, samotny kasztan przy wąskim podjeździe i przycięty żywopłot przy schodach wejściowych. Mężczyzna skręcił z 49 Street w Karlov, jednokierunkową, południową uliczkę, obsadzoną tak jak i pozostałe drzewami i domkami. Zwolnił, by jego 400 koni nie rżało zbyt głośno sąsiadom w okna. Zbliżał się do końca kwartału i zatrzymał po prawej przy wejściu do domu.

Blair Armstrong stała oparta o zderzak swojego srebrnego lexusa. Strzepywała pyłek ze spódnicy. Podniosła wzrok i pomachała mu.

*

- Zwiedzamy slamsy? - zapytał Jeff, gdy Blair weszła za nim do kuchni, która służyła też za jadalnię. Mężczyzna rzucił teczkę na ladę i zapalił światła.

- Niezupełnie. Masz coś do picia? - Otworzyła lodówkę. - Coś oprócz piwa?

Jeff przerzucał listy. Wśród nich nie kryło się nic ważnego, nie licząc wyciągu ze stanem spłaty kredytu. Jeszcze tylko czterdzieści wpłat i domek z cegieł będzie jego.

- Druga półka, za mlekiem. Chyba mam tam butelkę wina. Ja nie pogardzę zimną szklanką.

Blair odnalazła butelkę wina i skrzywiła się, widząc nakrętkę na szyjce.

- Małe co nieco dla cioci Zosi, na wypadek gdyby wpadła? - podała Jeffowi piwo, a potem zaczęła przekopywać się przez szafki.

- W rzeczy samej, miałem ciocię Zosię. Zmarła dwa lata temu. Wołała whisky z piwem. - Jeff łyknął zimne piwo. - Trzecie drzwiczki na górze.

Kobieta zdjęła kieliszek z górnej półki, uniosła go ku światłu, a potem dmuchnęła do środka i zmarszczyła nos, kiedy uniósł się kurz.

- Hej, a to co? - Wyciągnęła plastikową miseczkę z Kubusiem Puchatkiem i kubek do kompletu.

- Pamiątki. Włóż je z powrotem.

Blair wypłukała kieliszek i nalała sobie białego wina.

- Wpakowałam się w kolację z Bennym z działu sprzedaży. Do miasta zjechało Nowojorskie Konsorcjum Mody i chciało usłyszeć o naszych wielkich planach na następny rok, łączonych kampaniach reklamowych i innych górienkach. - Oparła się o zlew i sączyła wino. - Jakies pół godziny temu wrzuciliśmy te marketingowe wory w samolot na Midway. Wpadłam, bo przejeżdżałam obok.

- Jeśli sobie pomyślałaś, że mam przy sobie kopie tych nowych stron, to nie masz szczęścia, Blair. Od paru minut powinny znajdować się w drukarni.

- Czy Megan zobaczyła je, zanim wyszły?

- Nie widziałem jej - odparł. - Sam zaakceptowałem strony.

- Cóż, wyśledzimy ją jutro - powiedziała Blair i wychyliła kieliszek. - Mogę skorzystać z toalety? - Schwyciła torebkę. - Nalej mi jeszcze jednego, dobrze? - Zniknęła w ciemnym korytarzu.

Minęło kilkanaście minut, w ciągu których Jeff załadował do zmywarki talerze z zeszłego wieczoru i poranny kubek po kawie. Wciąż była prawie całkowicie pusta. Zamierzał ją włączyć nazajutrz.

- Hej, Blair, nic ci nie jest? Nie usłyszał odpowiedzi.

Trzymając piwo w rękę, przeszedł krótkim korytarzem do łazienki. Drzwi uchylono. W środku nie paliło się światło. Pomieszczenie było puste.

Na klamce wisiała marynarka Blair.

Po paru krokach Jeff potknął się o jej buty w korytarzu.

Przy drzwiach do sypialni zauważył, że w szpary między żaluzjami wśliznęły się światła ulicznych latarni. W półmroku dostrzegł, że na oparciu łóżka wisi spódnica.

Sama Blair ułożyła się na nim.

- Gdzie moje wino? - zapytała, uśmiechając się i sięgając w tył, by rozpiąć stanik. - Jeff wyciągnął przed siebie rękę z piwem. - Wołałabym wino.

- Przyniosę - odrzekł.

Blair odrzuciła stanik i złapała piwo. Przesunęła zimną, wilgotną butelką po karku i piersiach, a potem łyknęła i odstawiła napój na stół.

- Nie. Wolę ciebie. - Zaczęła zdejmować majtki.

Jeff odsunął jej ręce, zarzucając je sobie na szyję. Pocałował ją i wsunął palce w jej bieliznę.

- Ja to zrobię.

*

Po drugiej stronie miasta cienie nadal wysączały się z Palace Theater. Sunęły po Damen Avenue ku domowi Hoelevichów, aż wreszcie stopiły się z ciemniejącym niebem. Zapaliły się latarnie. Jedna z nich stała tuż nad kabrioletem Nicky'ego. Mężczyźnie wcale się to nie podobało, uruchomił silnik i przesunął się kilka metrów, aż zniknął z kręgu światła.

- Hej, Nicky, popatrz no tylko - rzucił Joey, kiedy opróżnił kolejną puszkę z piwem. Wskazał na ulicę, którą podążała w ich stronę odziana w krótką spódnicę dziewczyna. - Nawet z takiej odległości wygląda mi na niezłą laskę.

Kiedy dziewczyna dotarła do świateł latarni, Kolitzky dostrzegł, że jego kolega miał częściowo rację. Kobieta była wysoka i miała długie nogi, obute w babcine trzewiki na wysokich obcasach, z których wystawały koronkowe skarpetki. Spod ciężkich łańcuchów, okalających jej talię wystawała minispódniczka. Piersi podskakiwały pod czarną, prześwitującą bluzką.

Jeff zgniótł puszkę i rzucił ją na ulicę.

- Te, laska, chodź no tutaj. Tak, ty. No, chodź...

- Joey, zamknij się, do kurwy nędzy. - Nicky walnął go w żebra. - Mówiłem ci wcześniej, że próbujemy się nie ujawniać. - Dziewczyna minęła ich bez jednego spojrzenia, a potem zatrzymała się przed zaciemnionymi szklanymi drzwiami Palace Theater. - To pewnie i tak tylko jakaś narkomanka. Patrz tylko na nią.

Z bliska ciężki makijaż dziewczyny upodabniał ją do koszmarnego mima. Miała białą twarz, na policzkach rozsmarowaną czerwień, krwistoszkarłatne usta i puste oczy, pomalowane tak, by wyglądały jak zapadnięte. Wyciągnęła z torebki skrawek papieru, popatrzyła na niego i z powrotem na Palace.

- Narkomanka, wariatka, dziwka, gównu mnie to obchodzi - odparł Joey. - Nudzę się, człowieku. Siedzimy tu już całą wieczność. Kiedy ma się odbyć to bardzo ważne spotkanie?

- Kiedy nadejdzie czas.

- A kiedy ten czas, kurwa, nadejdzie?

- Wtedy, kiedy ja ci powiem... - Nicky zamilkł i wskazał głową wejściowe drzwi do kina. Joey odwrócił się.

Połowa czarnych, szklanych drzwi zamykała się powoli. Koronkowe, białe skarpety, obramowujące wierzch babcinych trzewików tylko mignęły, znikając w środku.

- Już niedługo, Joey. Niebawem.

Nicky wysiadł z samochodu i otworzył bagażnik. Obrzucił wzrokiem ulicę, nikogo nie zauważył. Wyjął płócienną torbę i przeniósł ją do samochodu. Zatrzymał się przy drzwiach kierowcy, by zapalić kolejnego koola. Wydmuchnął obłok dymu, który wisiał wokół jego głowy w powietrzu, niezmaconym ani jednym podmuchem. Schował paczkę i zapalniczkę do wewnętrznej kieszeni kurtki. Kiedy sięgał do klamki, zerknął w tył, na kino.

I wtedy ich zauważył.

Dwie postacie czaiły się w cieniu pod markizą. Odziani w czerni, sami niemal upodobnili się do cieni.

Kolitzky obrócił się, wyczuwając jakiś ruch za śmietnikiem. Jeszcze dwóch gapiło się na niego tymi wrednymi oczami. Nie usłyszał żadnego odgłosu, tylko ujrzał, jakby skradała się ciemność i nagle jeszcze dwójka pojawiła się nie dalej niż sześć - siedem metrów od niego. Pomyślał, że to dziewczyny, ale z nimi nigdy nic nie wiadomo, tacy byli popieprzeni.

Otworzyło się jedno skrzydło szklanych drzwi Palace. Nicky'emu zdawało się, że kiwa do niego powoli blada dłoń. Chyba ujrzał też unoszącą się w ciemnościach białą twarz.

Przycisnął ramię do boku i poczuł pod kurtką ciężar skórzanej kabury i przyciśniętego do żeber mauzera 9 mm. Tego wieczoru panował stanowczo za duży upał, nie słabnący nawet mimo panujących wokół ciemności. Było za gorąco na kurtkę, ale zakrywała kaburę, a broń działała na niego w jakiś sposób pocieszająco.

- Joey, poczekasz w samochodzie, tak jak ci mówiłem - rzekł. Nagle zaschło mu w ustach. - Chyba nadszedł czas.

Rozdział siódmy

Jeffa obudził dzwonek telefonu w kuchni.

Przy trzecim przechylił się przez krawędź łóżka i próbował wymacać w mroku dzinsy.

- Jeff, zostań - wymamrotała Blair z kołdrą na twarzy. - To pewnie tylko drukarnia z mnóstwem głupawych pytań. - Wyciągnęła ku niemu rękę, ale zamiast mężczyzny wymacała tylko pusty materac.

Jeff już był na nogach i wbijał się w dzinsy. Przy czwartym dzwonku usłyszał, jak włącza się automatyczna sekretarka. Blair mruknęła jeszcze coś, a potem wcisnęła głowę pod poduszkę. Jeff wyszedł za drzwi.

Mężczyzna zatrzymał się w drzwiach kuchni i zmrużył oczy. Gdy jego wzrok dostosował się do jasnych lamp nad głową, wyciągnął z lodówki kolejne piwo i odsłuchał nagranie na sekretarce. Kiedy usłyszał głos, zacisnął dłoń na butelce.

Sprawdził zegarek. Była 23.30.

Tam była 21.30.

Zaklął bezgłośnie i wykręcił numer do Encino.

Przez pierwsze parę dzwonek miał chyba nadzieję, że odezwie się inna sekretarka. Ale zmienił zdanie, kiedy usłyszał radosne „Halo”.

- Cześć, Jacks. Zamknęli szkołę na wakacje, a ty w domu?

- Tato! - Jacqueline „Jacks” Porter - Stancheck (drugi człon nazwiska po myślniku był pomysłem matki) niemal wrzasnęła w słuchawkę. - Hej, ogromne dzięki za tę koszulkę Bulls, którą mi przesłałeś! Czy to autentyk?

- Moja droga, zdarłem ją wprost z pleców Michaela Jordana. Wciąż była mokra od potu.

- Tato, on musi mieć ze trzy metry wzrostu. Nałożyłam ją dziś na basen i sięgnęła mi kostek. No, prawie.

- Mam nadzieję, że nałożyłaś coś jeszcze. - Życie było znacznie prostsze, kiedy garderoba Jacks składała się z koszulek z nadrukami z Ulicy Sezamkowej i kostiumów Kopciuszka. Kiedy dziewczynka skończyła dziesięć lat, Jeff wyluzował i dał dojść do głosu matce.

Kiedy skończyła trzynaście, zagadnienie mody stało się abstrakcją. Tydzień po trzynastych urodzinach Jacks przeprowadziła się z matką do Kalifornii. Jeszcze nie zdążyły przyjść kopie pozwu rozwodowego. Cztery lata temu? Jak to szybko minęło.

- Spoko, tato. Pewnie, że miałam na sobie coś jeszcze. Ale fani Lakersów patrzyli na mnie spode łba.

- Pewnie ci zazdrościli, Jacks.

- Trochę musi być u ciebie późno, prawda? Chyba chciałbyś zamienić słowo z mamą?

- Tak, chciałbym. Co się stało? Wydawała się strasznie zmartwiona.

- Nie wiem - odrzekła Jacks. - Strasznie jest drażliwa, odkąd znowu... Oj, chyba się jednak wydało. Nie powinnam raczej...

- Tym razem sama odeszła czy znów ją wywalili?

- Tato, chyba po trosze oba te powody.

Jeff nic na to nie odrzekł. Wszystko, co miał tu do powiedzenia, nie powinno dotrzeć do uszu Jacks.

- Cóż, na pewno masz lepsze zajęcia, niż wysłuchiwanie starego, Jacks. Jakaś randka dziś wieczorem?

- Tato, błagam! - jęknęła dziewczyna, zakłopotana jak mogła być tylko siedemnastolatka. - Nie mam dziś randki. Nie poszłam na żadną, odkąd zerwałam z Bobbym Marchem, i już dokonałam obowiązkowego obwieszczenia mojego wolnego stanu. Kilkoro przyjaciół przychodzi później do mnie i zostaje na noc. Nie martw się, żadni chłopcy.

Ręka otoczyła pierś Jeffa. Obrócił się i ujrzał Blair. Stała tam z zaspanymi oczami i blond włosami zmierzwionymi w żółtą futrzaną kulę. Miała na sobie jego białą koszulę. Blair przesunęła palcami po jego piersi, bawiąc się, a potem zaczęła całować go delikatnie po karku.

Jeff uniósł palec do ust, ale ona tylko uśmiechnęła się i dalej go całowała.

- A może zawołasz mamę, Jacks?

Blair przestała uśmiechać się figlarnie. Wyszarpnęła piwo z dłoni Jeffa i wymaszerowała z kuchni.

- Jeffrey?

Jeff jak zwykle drgnął, słysząc głos Elaine Stancheck - ponownie - Porter. Przynajmniej jak zwykle od czterech lat.

- Dziękuję, że od razu oddzwoniłeś - rzekła Elaine. - Musi być już późna godzina, prawda?

- Nie szkodzi, i tak niedawno wróciłem do domu.

- Wciąż zabawy z „Charade”?

- Ten temat wyczerpaliśmy już chyba za naszych małżeńskich czasów - odparł Jeff. - Co się stało?

- Muszę cię poprosić o parę przysług.

- Ile potrzebujesz i na co?

- Jeff, nie musisz być aż takim fiutem.

„Czemu nie?”. Nie był pewien, czy to powiedział, czy tylko pomyślał.

Jeff nie robił żadnych trudności w trakcie postępowania rozwodowego, choć to Elaine zdumiała go żądaniem rozvodu pewnego wieczoru, gdy wchodził do domu po czternastogodzinnej pracy w biurze. „Oto wizytówka mojego adwokata, Jeffrey. Zadzwoń do niego jutro. Wyjeżdżam do Los Angeles”. Zupełnie, jakby to była zwykła transakcja.

Mimo wszystko Jeff nie wyklócał się o szczegóły. Nie chciał, by Jacks widziała, jak tatuś i mamusia drą koty, kłócąc się o porcelanę i książeczkę czekową.

„Alimenty? Podaj kwotę”, powiedział Elaine.

„Majątek na pół? Do diabła, weź sześćdziesiąt albo siedemdziesiąt procent, wedle swojej woli. Tylko nie zabieraj mi córki”, błagał Jeff. „Proszę, Elaine, nie zabieraj Jacks, błagam”.

Jeff dostał połowę domu, a Elaine Jacks.

- Elaine, nie próbuję być wredny, ale już dostajesz miesięcznie tysiąc sto dolarów na dziecko i...

- Jeffrey, Jacqueline jest też twoją córką.

- Poczekaj minutę i pozwól mi skończyć - odparł, próbując zachować spokój. - Wiesz doskonale, że nie wyklócam się ani o jednego centa, jeśli chodzi o Jacks. Nie chcę stracić prawa widzenia się z nią... - Przerwał, próbując uspokoić głos. - Zacząłem mówić, że dostajesz siedemset pięćdziesiąt dolarów miesięcznie za połowę domu, tysiąc sto na dziecko, a przecież miałaś dostawać alimenty tylko za pierwsze dwadzieścia cztery miesiące po rozwodzie. Minęły już cztery lata, a ty wciąż masz mnie na haczyku za dziewięćset pięćdziesiąt dolarów na „koszty utrzymania”.

- Jeffrey, zawsze ci chodzi o pieniądze, prawda? Nieźle zarabiasz w swojej modnej pracy. Nie masz pojęcia, jak to jest być rozwiedzioną kobietą po trzydziestce, która samotnie próbuje wychować swoją nastoletnią córkę.

„Nie - pomyślał - ale chciałbym mieć. To znaczy to ostatnie”.

- Elaine, to ty potrzebowałaś „przestrzeni do rozwoju”. To ją masz. Rozwijaj się, ile tylko zechcesz. Zastanawiam się tylko, kiedy będę mógł przestać podlewać ten ogródek.

- Koszt utrzymania jest tu nieco inny, Jeffrey.

„To kto ci kazał spakować moją córkę i wysłać ją do Kalifornii?”

- Słuchaj, możemy się pokłócić innym razem - rzekł Jeff. - Jestem na to zbyt zmęczony. Wróćmy do mojego pierwszego pytania, ile i na co?

- Trzy tysiące.

- Trzy... Elaine, po co ci, do cholery, trzy tysiące dolarów?

- Hm... W zeszłym tygodniu odeszłam z pracy.

- O kurczę, a to miała być już ta ostatnia - stwierdził Jeff. - Pomyślmy, miałaś ją przez... cztery miesiące, prawda? Co tam robiłaś, znów „szkoliłaś się na kierowniczkę” w sklepie z płytami?

- W sklepie z płytami, Jeffrey? Asystentka koordynatora handlowego w Plum Multimedia - poprawiła go. - Ale kierownik był tylko nieco starszy od Jacqueline. Po prostu nie było miejsca na dialog na temat żadnego z moich pomysłów.

- No dobrze, potrzebujesz trochę więcej pieniędzy, żeby się pozbierać - powiedział Jeff. - Ale aż trzy tysiące?

- W zasadzie to mam już kolejną pracę.

- To w czym problem?

- No cóż, będę dużo czasu spędzać w drodze, pierwszą prowizję dostaną dopiero po sześćdziesięciu dniach i...

- Poczekaj minutę, co to za praca?

- Będę asystentką regionalnego administratora sprzedaży w Nowych Wymiarach Sp. z o.o., Jeffrey, na cały region i...

- Poczekaj, Elaine. Co to za Nowe Wymiary Sp. z o.o.?

- Och, pewnie nic o nich nie słyhać tam u was, na środkowym zachodzie. To najlepszy program budowania własnej siły, jaki widziałam w życiu. Sama go zastosowałam, a Calvin powiedział, że mam wrodzony talent komunikacyjny i...

- Czekaj. - Jeff po prostu musiał jej znów przeszkodzić. - Kto to jest Calvin?

- Calvin? To dyrektor programowy na Kalifornię Południową... Elaine mówiła. I mówiła.

I tak dalej.

Po chwili Jeff przestał jej słuchać. Och, z pewnością była podekscytowana. Ale zawsze tak się działo w wypadku następnej wieczorowej szkoły psychologii, następnego seminarium spirytualnego i kolejnej czasowej pracy, która nie miała prawa nie wypalić. Zaproponował, że pokryje jej studia, by mogła zdobyć dyplom, ale skończyło się na tym, że musiał płacić za szereg drugorzędnych, niekonsekwentnych kursów. Teraz wiedział, że lepiej się zamknąć, niż służyć radą. Gdyby tylko nie miała do niego takiej urazy. Gdyby nie obwiniła go tak bardzo za to, że zaszła z nim w ciążę, gdy wciąż studiowali.

Gdyby nie oddaliła się od niego po urodzeniu Jacks. Za dużo tych „gdyby”. Płyną teraz wartkim strumieniem pod mostem rozvodu.

- ...i Calvin uważa, że powinnam podróżować, i to dlatego będzie mnie najpierw osobiście szkolić, a potem...

Jeff w końcu jej przerwał.

- Nieważne, Elaine. Jak dla mnie to bomba, szczególnie ta część o pokrywaniu kosztów za próbki. Ale, do diabła, jeśli Calvin jest tak pewien, że to słuszne, to kim ja jestem, by się z nim spierać? Wsunę czek w pocztę pod koniec tygodnia.

- Cóż, miałam nadzieję, że możesz przesłać mi przelewem.

- A po co ten pośpiech?

- Jeffrey, czy choć chwilę mnie słuchałeś? Chyba nie, prawda? Boże, ale z ciebie dupek. Mówiłam, że w przyszłym tygodniu zaczynam szkolenie. Jadę do Forth Worth rano w poniedziałek. Potrzebuję od razu całej sumy.

Zajęło mu to minutę:

- Forth Worth? Poniedziałek? - Jeff przerwał. - A gdzie będzie wtedy Jacks, kiedy Calvin będzie cię obdarzał siłą psychiczną w Forth Worth?

- Cóż, to kolejna przysługa, o którą miałam zamiar cię poprosić.

- Słucham cię.

Ale gdy Elaine zaczęła objaśniać, Jeff przestał tak naprawdę słuchać. Przynajmniej przestał się wsłuchiwać w szczegóły. Zbyttno się podekscytował. Jacks spędzi resztę wakacji z nim!

- A jak ona się z tym czuje, Elaine? Wiesz, jej przyjaciele, jej...

- Och, jeszcze jej nie powiedziałam. Miałam nadzieję, że ty to zrobisz, Jeffrey. Ujmiesz to tak, jakbyś to ty chciał, żeby z tobą zamieszkała.

Najpierw zamierzał przywalić ścianie, ale zamiast tego wymierzył cios w powietrze. Dwaj podrzędni adwokaci od rozwodów próbowali wykiwać się wzajemnie w kwestii odwiedzin. Jeff przegrał i w końcu musiał zapłacić rachunki obydwu adwokatów. A teraz to go spotyka?

- Elaine, niczego nie będę ujmował. Chcę, żeby tu była. Chciałbym, żeby była tu cały czas, i ty o tym wiesz. Ale chyba Jacks zasługuje na to, byś jej opowiedziała, czym się zamierzasz zająć.

- Nie musisz mi mówić, na co Jacks zasługuje. Nie próbuj wzbudzać we mnie poczucia winy, że zabieram się za coś, co może być moją ostatnią szansą na wielką okazję. Coś, co jest dla mnie cenne... - Przerwała, czekając, aż Jeff coś jej odpali. Ale on tego nie zrobił. - Jeff?

- Elaine, jutro zabiorę Jacks. Wszystkim się zajmę.

- To dobrze. Uważam, Jeffrey, że powinienes jej powiedzieć, że...

- Powiedziałem, że się tym zajmę, Elaine. Słuchaj, jestem naprawdę wykończony. Omówię z tobą wszystko jutro, po rozmowie z Jacks, dobrze?

- Dobrze. Ale nie zapomnij o przelewie.

Jeff odłożył słuchawkę, niepewny, czy ma zakląć, czy się uśmiechnąć.

Kolejne trzy tysiące dolarów.

Jacks na całe wakacje!

Kierując się ku sypialni, pofolgował sobie w obydwu kwestiach.

Zza drzwi sypialni sączyło się niebieskie światło. Mężczyzna wszedł do środka i ujrzał włączony telewizor. Było już nieco po 23.30, ale wciąż trwały wieczorne wiadomości. Najwyraźniej Cubs zagrali rewelacyjnie. Blair wyłączyła dźwięk.

Siedziała na skraju łóżka. Zdjęła jego koszulę, ale za to włożyła swoją bieliznę. Właśnie wydeła usta, podnosząc pończochy.

- Jeff, następnym razem ja to zrobię, dobrze? ' - Zwinęła je w kulkę i wetknęła do torebki. - To nie sportowe skarpety, wiesz?

Jeff usiadł obok niej.

- Co robisz?

- Ubieram się.

- Po co?

- Żeby mnie nie zatrzymano za jazdę na golasa.

- Blair, nie musisz nigdzie iść.

- Och, oczywiście, że muszę. - Podniosła z podłogi spódnicę, ale tylko położyła ją sobie na kolanach. - Jeff, to śmieszne uczucie, być „tą trzecią”.

- Blair, Elaine to nie moja żona. To moja była żona. Bardzo była. Tak bardzo, że bardziej już nie można.

- W zasadzie nie miałam na myśli Elaine.

- Och. - Odwrócił wzrok i zerknął na bezdźwięczne wiadomości w telewizji. - Jacks przyjeżdża do mnie na jakiś czas.

- Słyszałam. - Blair ścisnęła w dłoniach spódnicę. - Trochę podsłuchiwałam. Tak więc nasz romansik ulega zawieszeniu?

- Nie, tylko... - Jeff wyszarpnął jej spódnicę z dłoni i rozwiesił ją porządnie na oparciu łóżka. - Nie, ale w ciągu najbliższych dni będziemy musieli porozmawiać na temat naszego „romansiku”?

- O czym to niby?

- Na przykład o tym... czym to naprawdę jest? Czy będziemy razem, u ciebie, u mnie, czy to tylko seks...

- Jeff, seks to świetna rzecz. - Blair sięgnęła obok niego i porwała spódnicę z oparcia. - Poprawka, seks to coś jeszcze więcej. Cóż, to nie tylko seks.

- Nie? To co?

- Jeff, jesteśmy... kolegami.

- Kolegami?

- Słuchaj, nie szykuję sobie posagu - odparła. - I tak nie sądzę, byś miał gdzieś w zapasie pierścionek zaręczynowy. Chyba że masz jeszcze ten dla Elaine, którego i tak bym nie zechciała. - Wyciągnęła spódnicę i wsunęła do środka nogę.

- W zasadzie Elaine nigdy nie zwróciła pierścionka zaręczynowego. Ani obrączki. Sądzę, że je po prostu sprzedała.

- Tak więc - Blair wsunęła drugą nogę w spódnicę - nie będziemy się tym kłopotać, bo jesteśmy kolegami.

- Blair, zostań. Jest późno, a ty na pewno czujesz się zmęczona.

- Mam zebranie pisarzy o dziewiątej.

- Zrobię ci śniadanie.

- Płatki owocowe i kawę zbożową. Dziękuję, Jeff.

- Kupię ci śniadanie.

- Kanapki z jajkiem? Może sadzone? - Spódnica Blair zatrzymała się w połowie ud.

Jeff zsunął ją do samych kostek.

- W zasadzie miałem na myśli restaurację na trasie Archer i Pulaski, ale...

Pochyliła się i pocałowała go. Najpierw był to tylko cmok. Błękitne oczy Blair wpatrywały się w jego szare. Pocałowali się znowu, długo i łagodnie. Kiedy ich usta w końcu się rozdzieliły, przytuliła się mocno do Jeffa, kładąc mu głowę na ramieniu.

- Dobrze, proszę pana, ale tym razem najpierw wezmę prysznic.

- Zgoda.

Jeff wstał i rozpiął dżinsy. Ponownie zerknął na ekran telewizora. Jakaś reporterka relacjonowała w ciszy coś z miejsca zdarzenia. Ujęcie z minikamery zeszło z jej twarzy i ukazało setkę pięter Hancock Building. Jeff rozejrzał się w poszukiwaniu pilota, by wyłączyć telewizję.

Za jego plecami Blair rozpięła stanik, a potem zsunęła majtki.

- Boże, mam nadzieję, że w biurze mam jakiś przyzwoity kostium. Zastanawiam się, czy będę miała dość czasu, by wstąpić do domu? - Podpełzła do skraju łóżka. - Wiesz, jak jest, jedyny problem z „dnem po” leży w nałożeniu wczorajszych ciuchów. Chyba nie ma tu żadnej bielizny albo zapasowych pończoch? Lekko beżowe byłyby w sam raz, możliwie bez szwów, ale nie jestem wybredna. Wsunęła palce za pasek dżinsów Jeffa i ściągnęła je. - Wcale zresztą nie myślałam, że tu jakieś będą. - Otoczyła go ramionami i przycisnęła piersi do jego pleców. - Hej, nie zmieniłam zdania, nie jestem za oglądaniem telewizji. Jeff?

Ale Jeff gapił się w ekran szeroko otwartymi oczami. Wiadomości wróciły ponownie do studia i prowadzącego.

- Gdzie jest pilot? - zapytał mężczyzna.

- Jeff?

- Gdzie ten cholerny pilot?

- Jeff, o co... - Słowa zamarły Blair w gardle, gdy spojrzała na ekran. Jeff znalazł pilota wśród skotłowanych prześcieradeł. Nacisnął przycisk głośności i padł na łóżko obok Blair. Wciąż gapił się na zdjęcie za plecami prezentera.

Głowa Blair przysunęła się ku jego. Spletli palce.

„...rzecznik prasowy Whitestar Media Group, spółki matki czasopisma »Charade Magazine«, stwierdził, że nie udzieli żadnych komentarzy w chwili obecnej na temat redaktor naczelnej. Nasze źródła w wydziale do spraw zabójstw twierdzą jednak, że choć

samobójstwo jest prawdopodobnym scenariuszem, śledztwo nadal trwa. Za chwilę Steve Peterson przedstawi szczegóły tego zaskakującego wydarzenia...".

Jeff wyłączył telewizję.

W sypialni zapanowała ciemność, nie licząc bladych świateł latarni, sączących się przez żaluzje.

Blair wtuliła się w Jeffa. Trzęsła się.

- Jeff, to zdjęcie... czy... czy to właśnie...

- Tak. - Otoczył ją mocno ramionami. - To była Megan Russell.

Rozdział ósmy

Nicky Kolitzky, przedzierając się przez zapuszczone lobby kina Palace, potknął się o stos izolacji.

Stare kino było w trakcie przebudowy. A przynajmniej wszystkie materiały znajdowały się pod ręką. Na podłodze zwinęły się miedziane i plastikowe rury. Pręty i aluminiowe druty tkwiły za starym barem. Przeszedł przez dwoje drzwi i wkroczył do środka właściwego kina. Wyciągnął przed siebie ręce, macając w ciemnościach. Wciąż miał oko na postać, która prześlizgiwała się wraz z nim.

- Trochę wykroczyliście poza harmonogram, co? - W przypominającej jaskinię przestrzeni głos Nicky'ego odbił się echem.

Chudy, androginiczny przewodnik trzy metry przed nim nic na to nie odpowiedział. Nawet się nie odwrócił. Po prostu szedł przed siebie ze świstem ocierających się o siebie nogawek czarnych, skórzanych spodni.

Kino było olbrzymie. Palace wyglądało imponująco z zewnątrz, ale tu wydawało się jeszcze większe, zwłaszcza dlatego, że wszędzie panowały ciemności. Wysoko nad głowami wznosił się zakrzywiony sufit. Dwupiętrowy balkon wisiał nad nimi na wysokości półtora piętra.

Wszędzie był bałagan.

Choć panowały takie ciemności, Nicky widział, jak wokół było niechlujnie. Tam, gdzie był kiedyś ekran, wisiały wystrzępione kurtyny. W każdym kącie piętrzył się sięgający na kilka metrów gruz. Wzdłuż ścian stały podesty dla robotników. Na podłodze wciąż walały się rzędy kinowych krzesel. Inne fotele tworzyły poplamione pluszowe góry. Bezbarwna, straszliwie postrzępiona wykładzina, zwinięta w wielkie rolki, opierała się o ściany i czekała na wyrzucenie.

Nicky zmarszczył nos i zakaszłał. Strasznie tu śmierdziało rzygami, szczynami i szczurzymi gównami. „Otwieramy tej jesieni” - pomyślał. „No pewnie”.

- Chyba powinienem porozmawiać z firmami wykonawczymi - rzekł Nicky. - Trochę je pogonić, nie? - Chudy dziwak w czarnych ciuchach zignorował go. Nadal po prostu sobie szedł, aż zniknął w drzwiach obok sceny. Nicky pospieszył za nim, pnąc się po ciemnych

schodach. - Ten kopiec wciąż stoi tylko dlatego, że termyty trzymają się za ręce - mruknął do siebie.

Minęli drugie i trzecie piętro, kierując się na czwarte.

Niemożliwie ciemna klatka schodowa na zapleczu cuchnęła jeszcze mocniej od reszty kina. Nicky'emu wydawało się, że niemalże słyszy, jak farba złazi ze ścian. Na pewno czuł gipsowy pył, osypujący się mu na głowę z każdym krokiem. Przed nim po schodach sunął bezszelestnie ni to chłopak, ni dziewczyna. Osobnik przeciął mroczny korytarz na czwartym piętrze. Ze skrzypnięciem otworzyły się drzwi. Nicky prześliznął się obok niego - niej, czując na twarzy zimny oddech.

Przysięgłby, że dziwak obwąchał go, zanim zniknął w ciemnościach. Nicky wkroczył do pokoju. Drzwi zatrzęsły się za nim.

Pomieszczenie było puste, nie licząc zwłok dziewczyny na podłodze.

Bładolica dziwka, którą spotkał na Damen Avenue, leżała powykęcana na brudnym linoleum. Oplątana pajęczynami pojedyncza żarówka pod sufitem przeświecała się przez jej przezroczystą, rozdartą szeroko na piersiach bluzkę. Łańcuchy, wcześniej zaplątane wokół jej talii, teraz ciasno owijały nadgarstki i kostki. Czarną minispódniczkę zadarto wysoko nad biodra.

Martwe, szeroko otwarte oczy okalały kręgi rozmazanego tuszu. Utkwiła wzrok w Nickym, a może w kimś innym. Oczy wyrażały zdumienie i dogłębne rozczarowanie, jakby dziewczyna mówiła: „Nie, to nie tak miało być, tak wcale nie dzieje się w książkach ani w piosenkach, myślałam, że będzie inaczej, nie...”.

Nicky odwrócił spojrzenie od martwych źrenic i zerknął na rany na nadgarstkach tuż nad łańcuchami oraz na rozdarte gardło. Dziewczyna leżała z rozłożonymi kolanami. Nicky dostrzegł sińce na białych udach, brzydkie rany na rozdartej skórze, które znaczyły jej ciało, aż po zakrwawione majtki.

Spojrzał na dwa schludne nakłucia na bladej piersi tuż nad sutkiem.

Odwrócił wzrok.

Poprawił płócienną torbę na ramieniu.

Poklepał się po żebrach i poczuł mauzera pod bluzą.

Zapalił papierosa.

Podszedł do okna i podniósł ciemną zasłonę. Pociągnął końcami palców do skutku, aż w końcu okno się otworzyło.

Szkło pomalowano od wewnątrz na jednolitą, nieprzeniknioną czerń.

Gdzieś w rzeczywistym świecie rozległo się trąbienie klaksonu. Odrzutowiec wysoko nad głowami leciał na O'Hare. Niemrawy wietrzyk przyniósł zapachy Damen Avenue i nikłe wonie jeziora oddalonego o półtora kilometra na wschód. W porównaniu do wilgotnego, dusznego smrodu pomieszczenia powietrze zza okna pachniało niczym czysty tlen.

Zapalił papierosa. Wypalił ich jeszcze parę, oparłszy się o otwarte okno. Wyglądał na Damen Avenue, na samochód, na Joeya Fortunę i cały świat na dole. Po prostu nie chciał patrzeć na martwą dziewczynę za plecami.

W końcu ujrzał na ulicy tego samego staruszka z psem, który wyglądał jak Lassie. Mężczyzna zatrzymał się przy doniczce przed dwupiętrowym domkiem z opustoszałym sklepikiem na parterze. Staruszek wetknął coś pod kwiaty, ogarnął spojrzeniem ulicę i Joeya, drzemiącego w kabriolecie. Zmarszczył brwi i pozwolił, by pies wprowadził go w ciemny korytarzyk, wiodący na zaplecze domu.

Nicky niemal stracił poczucie czasu. Minęło piętnaście minut? Godzina? Paczka koolów była już prawie pusta, ale zapalił jeszcze jednego i głęboko się zaciągnął.

- Moge jednego? Nicky odwrócił się.

I oto pojawili się, cała czwórka. Marek i Arianne, z Drake'em za plecami.

Jeszcze bardziej w tyle czaił się dziwaczny ni to chłopiec, ni dziewczyna, który go tu przyprowadził.

- Niech się pan tak nie boi, panie Kolitzky - rzekł Marek. Pochylił się ku niemu zbyt blisko, aż jego usta niemal dotykały policzka Nicky'ego.

Nicky cofnął się o krok. Czuł w policzku jednocześnie chłód i żar, zupełnie, jakby dotknął go suchy lód.

- Jednego mojego? A tak, oczywiście. Proszę.

Marek wziął koola i przytknął go do nosa. Nozdrza mu drgnęły.

- Mięta? - Polizał czubek filtra. - Nie, eukaliptus. Kamfora. Och, no pewnie, że mentol. Straszne, co teraz dodają do tytoniu.

Nicky szczerknął zapalniczką i przysunął ją bliżej papierosa, ale Marek uśmiechnął się, potrząsnął głową i wyrzucił papierosa przez otwarte okno. Nicky zrobił to samo, mając nadzieję, że upadnie Joeyowi na głowę i go zbudzi.

Marek zamknął okno jednym ruchem nadgarstka.

Nicky rozejrzał się, mrużąc oczy, by cokolwiek widzieć w anemicznym świetle pojedynczej żarówki. Mężczyzna spojrzął na nich, na wysokiego Marka o królewskiej postawie, odzianego w wykwinny czarny garnitur i czarną koszulę bez kołnierzyka. Błyszczące czarne włosy szesał z bladego czoła w tył.

Arianne oparła się o przeciwległą ścianę. Jak zwykle olśniewała urodą i jak zwykle wyglądała na kompletnie obojętną. Długie, faliste włosy, czarne jak futro pantery, okalały jej szczupłą twarz dziewczynki. Miała ciemne, opalizujące, stare oczy i pełne wydęte usta. Miała na sobie czarną jak jej włosy, modną sukienkę koktajlową na cieniutkich ramiączkach ze sztywnych warstw gazy. Ubranie wisiało na niej, sprawiając, że biała skóra wydawała się jeszcze bardziej szokująco blada. Nicky przypomniał sobie porcelanową tancerkę, którą mama trzymała na gzymsie kominka poza zasięgiem jego rąk. Skóra Arianne wyglądała dokładnie jak porcelana. Kobieta miała gołe nogi i stopy. Leniwie wodziła palcami stóp po wymyślonych liniach na podłodze.

Bladolicy chłopak, czy dziewczyna, kucnął obok zwłok dziwki. Zaczął lub zaczęła chichotać. Nicky rozpoznał po głosie, że to jednak chłopiec, na dodatek z kompletnie pomieszanymi zmysłami. Nie wiedział o tym, że sam chłopak nazywał siebie Fonda, bo w rzeczywistości nie mógł sobie przypomnieć prawdziwego imienia. Fonda pochylił się nad martwym ciałem dziewczyny, by jeszcze bardziej ją obnażyć. Wciąż chichocząc, dźgnął jej sutek. Powtórzył, aż z ranki na piersi wysączył się bąbel krwi. Szalenie zanurzył palec, a potem uniósł go do ust...

Drake kopnięciem odsunął jego rękę od warg.

Drake wyglądał jak uciekinier z hipisowskiej kapeli z lat osiemdziesiątych. W zasadzie to nim właśnie był. W długich, ciemnych włosach widniały blond pasma. Podarta koszulka bez rękawów ukazywała żylaste mięśnie i tatuaże. Zza porwanych, czarnych dzinsów wyzierała dziwaczna blada skóra. Drake uniósł

ponownie but z jaszczurczej skóry i zamierzył się, ale Fonda odpełził do kąta.

Arianne skrzyżowała ramiona na piersiach i wyglądała na zniecierpliwioną.

- Proszę im wybaczyć - powiedział Marek, wskazując na Drake'a i dziwaka. - Niektóre dzieciaki są zupełnie pozbawione manier. Panie Kolitzky, jakie wieści nam pan przynosi?

- Pieprzyć wieści - odparł Nicky. - Dawaj kasę.

- Jakież to merkantylne.

- Mer... kurwa, metylne. Dziwka nie żyje, to wyskakuj z kasy. Marek przygładził włosy i przez chwilę wyrównywał mankiety koszuli.

- Może jednak mógłby nam pan najpierw opowiedzieć, jak panu poszło z panną Russell?

Nicky rzucił płócienną torbę na podłogę, tuż przy błyszczących pantoflach Marka.

- Tu masz sprawozdanie, jak mi poszło. Sam zobacz.

Marek obrócił się do Drake'a i Fondy. Powiedział coś bezgłośnie. Obaj sięgnęli po torbę.

Na podłogę posypały się ubrania Megan Russell.

Nicky opowiedział im wszystko, począwszy od brutalnego przeszukania mieszkania Megan, aż po dopadnięcie jej w barze na szczycie Cock. W tym czasie napomknął przychylnie o Joeyu. Gdyby udało mu się zgrabnie pominąć kwestię torby Megan z pieniędzmi... cóż, należało mu się pokrycie kosztów. Nicky promieniał, opowiadając im, jak celował do Megan z pistoletu między jej udami, o jej błaganiach i o tym, jak się rozbierała, a potem, wciąż błagając, stała nago na skraju dachu sto pięter nad ulicą, by później krzyczeć, gdy pędziła w dół.

A ściśle mówiąc, opowiadał o tym Markowi.

Arianne najwyraźniej nie słuchała.

Drake zajął się odpruwaniem podszewki w marynarce Megan, bluzce i spódnicy. Potem opróżnił torebkę i zaczął grzebać w jej rzeczach.

Fonda też znalazł sobie zajęcie. Obwąchał i wylizał majtki Megan, a potem zaczął przymierzać jej stanik na swoim ubraniu. Biustonosz okazał się za mały, mimo że chłopak miał szczupłą klatkę piersiową, trzymał go więc tylko na miejscu i chichotał do siebie.

- Nic - stwierdził Drake i uderzył Fondę w twarz. Szalencie warknął, ale upuścił stanik. - Bilety lotnicze, rezerwacje hotelowe, fałszywe nazwisko, tak jak to mówi nasz najemny pistolecik. - Uśmiechnął się, mówiąc „najemny pistolecik”, i podniósł wzrok na Nicky'ego. - Ale w jej rzeczach nic nie ma.

- Nic? - spytał Marek. - Papierów? Kserokopii? Dyskietek, taśm, mikrofilmów? Nic? - Odwrócił się do Nicky'ego, marszcząc brwi nad ciemnymi oczami. Pobłażliwy uśmiech zniknął z jego warg. - Nicholasie, błagam, nie pozwól, byśmy uznali, że - jak to byś tu ujął - „pogrywasz sobie” z nami. - Wbił wzrok w Nicky'ego, a jego głos rozbrzmiał jeszcze bardziej śmiertelnie niż zwykle. - Proszę, nie pozwól mi tak myśleć. Nawet przez małą chwilkę.

- Marek, nie sprzedawaj mi tego swojego czarodziejskiego kitu - odparł Nicky. Próbował brzmieć jak twardziel, ale nagle poczuł się mały i kruchy. Instynktownie uniósł rękę do kabury pod kurtką, ale zmusił się, by ją opuścić. - Dostajesz to, co udało mi się zdobyć. Nie ma z czym tu sobie pogrywać, A zresztą, co za różnica? Ona nie żyje. Zamieniła się w kotlet na chodniku. Już nie może cię napastować.

Arianne przewróciła opalizującymi oczami. Nicky przysięgłby, że przez sekundę rozblęsnęły czerwienią, niczym światła hamującego samochodu. Ześliznęła się po ścianie, siadając na brudnym linoleum. Skrzyżowała nogi, mrużąc coś do siebie samej.

Marek, widząc to, zacisnął usta. Miał wrażliwe, okrutne wargi.

- Na co teraz narzekasz?

- Mówiłam ci - odparła. - Po prostu nie mogę uwierzyć, że pozwoliłeś, by się tym zajął ten słowiański przygłup.

- Arianne...

- Ty i te twoje świetlane plany. Ty i ci twoi „poddani”.

- Arianne, proszę cię. Nie kłóćmy się przy pomocnikach. Wzruszyła kościstymi ramionami i odwróciła się.

Nicky próbował nadażyć za ich rozmową, ale po prawdzie tylko połowa z niej została wypowiedziana. Reszta toczyła się w... w myślach? Przekazywały ją bezgłośnie wyrazy, które udało mu się podsłuchać.

- Marek - rzekł - przyniosłem ci wszystko, co Megan Russell miała przy sobie. Kobieta nie żyje. Zniknęła. To w czym problem?

- Tak, panie Kolitzky, kobieta nie żyje - odrzekł Marek - ale pańskim zadaniem nie było jej zabicie, albo przynajmniej nie do czasu, gdy dostalibyśmy to, co chcemy.

- A co ona miała takiego ważnego, do kurwy nędzy? - spytał Nicky. - Może powinienem zażądać podwójnej stawki za to zadanie?

- Może... - warknął Marek - a może miałbyś szczęście, gdybyś pozostawił ją dziś przy życiu.

Nicky tym razem nie powściągnął ręki, sięgającej pod kurtkę. Wyrwał mauzera i odsunął się od ich czworga.

Arianne roześmiała się. Dźwięk przywiódł Nicky'emu na myśl lód, grzechoczący w szklance.

- Och, Marku, chyba twój gangster robi się niespokojny. - Podciągnęła długie nogi i oparła brodę na kolanach, a potem uśmiechnęła się do Nicky'ego. - Nie rozumiesz, imbecyłu? Taki jesteś dumny z siebie, że ją zabiłeś. Wyczuwam to. Ale panna Russell zginęła, zanim dała ci to, czego chcemy. Panie Kolitzky, to może się znajdować już w dowolnym miejscu. Mogła to dać komukolwiek. Jutro możesz czytać o nas na pierwszej stronie gazet.

- Mauzer zadrżał w ręku Nicky'ego.

- Żaloszny - syknęła.

Marek przysunął się do Kolitzky'ego, ignorując broń.

- Nicky, Nicky, Nicky. Nie poradziłeś sobie. Bardzo mnie rozczarowałeś. Miałem nadzieję, że z tej eskapady uda mi się uzyskać więcej niż nową bieliznę do zabawy dla Fondy.

- Ma...Marku, stój na swoim miejscu - wyjąkał Nicky. Gorączkowo przenosił broń z jednego człowieka na drugiego. Ale Marek wciąż się do niego zbliżał.

- Nicky, a jak myślisz, co da się tą bronią zrobić? Zastrzelić mnie? Zabić?

- Oczy Marka zaczęły iskrzyć. Czarne źrenice zblakły, a potem rozbłysły czerwienią, skupiwszy się na Nickym. - Oczywiście, sprawisz mi ból. Ale zabić? Chyba już się trochę w tym orientujesz, co? Poza tym jest nas czwórka.

- Marek uśmiechnął się brzydsko i złośliwie, ukazując białe zęby.

- Nie, Marku. Nie rób tego - błagał Nicky. - Nie chcę być zmuszony do...

- Do czego, Nicky? Jak sądzisz, co zamierzam zrobić? - Marek uśmiechnął się jeszcze szerzej, szyderczo. Wyglądał jak żmija. -

Pewnie pomyślałeś sobie, że chcielibyśmy cię zatrzymać ze sobą na zawsze, prawda? Po tym, jak nas przekreśliłeś? Och, Nicky, obawiam się, że tak nie jest. - Nicky wymierzył pistolet w pierś Marka i zacisnął palec na spuście. - Nicky, nie zamierzasz mnie chyba zastrzelić.

Ale Nicky tak naprawdę usłyszał: „Nikolai, nie wyjdiesz dziś wieczorem”. W głowie zawodziła mu matka. „Nikki, nie wychodź”.

- Nicky - rzekł Marek niskim, potężnym, rozkazującym głosem. - Proszę, umieść pistolet w swoich ustach.

W uszach Nicky'ego zadudnił inny głos, Tyrone'a, czarnego wielkoluda, który rządził w areszcie dla szóstej dzielnicy. „No, dalej, Nicky - Dicky, wkładaj do buzi, o tak, to jak ssanie pałeczki lukrecji, prawda, biały chłopczyku?”.

- Nie, Tyrone, nie chcę. - Nicky trzymał oburącz mauzera. Obie ręce trzęsły się niekontrolowanie. - Marek, nie. Nie rób mi tego. - Lufa kołysała się o kilka centymetrów od warg Nicky'ego.

- Oj, Nicky. Otwórz szeroko usta. O tak. Obejmij ustami lufę. Bardzo ładnie.

Nicky zaszczekał zębami o naoliwiony metal lufy.

- Mmm... Marek, nie. - Zadławił się pistoletem, gdy broń wsunęła się głębiej.

- A teraz pociągnij za spust, Nicky. - Na lufie mauzera błyszczała ślina. Po policzku Nicky'ego spłynęła łza. - Nicky, a teraz pociągnij za spust.

Wystrzał rozbrzmiał zadziwiająco donośnie.

Przez parę sekund odbijał się echem w pomieszczeniu. Trwało to na tyle długo, by stłumić mokre plaśnięcie, z którym kawałek oderwanej głowy Nicky'ego uderzył w przeciwległą ścianę. Zanim Nicky upadł na podłogę, kawałeczek oblepionej krwią kości i włosów zaczął się ześlizgiwać po murze.

W przeciwległym krańcu pomieszczenia chichotał Fonda. Chłopak odpętlął od zwłok dziwki i stosu modnych ubrań Megan Russell, a potem podczołgał się do Nicky'ego. Spojrzał przez ramię na Arianne, ale kobieta tylko obnażyła zęby i syknęła na niego. Potem zwrócił wzrok na Marka, który zrewanżował się skinieniem.

Drake także popatrzył na Marka, mając na twarzy wypisane pytanie. Oczy powoli wzbierały mu czerwonym żarem. Marek skinął mu także. Drake kopnięciem odrzucił na bok Fondę, a potem uklęknął u boku Nicky'ego.

Arianne przysłuchiwała się przez chwilę mokrym odgłosom ssania, a potem nagle wstała.

- Żalotne - prychnęła. - Wszyscy jesteście tak samo bezdennie żalotni. - Popatrzyła gniewnie na Marka, a potem potrząsnęła głową. - Posprzątajcie ten bałagan, jak już skończycie. - Wyszła z pomieszczenia.

- Tak. - Marek mruknął gniewnie, gdy już wyszła. - Oczywiście, Arianne. - W oczach rozbłysła mu gniewna czerwień. - Podszedł do okna i otworzył je jednym pociągnięciem palca. Wciągnął zapach wilgotnego, nocnego powietrza. Przyjrzał się mglistemu horyzontowi i spojrzał w dół, na Damen Avenue. - Drake, kiedy już skończysz, bądź tak kochany i zjedź na dół, by przyprowadzić towarzysza pana Kolitzky'ego. Chyba chciałbym zamienić słowo z tym Joeyem Fortuną.

„Chicago In - Size”, 9 lipca Ogłoszenia drobne / Dział: towarzyskie

Podłe towarzystwo pozna podobnych do siebie w celu prowadzenia turniejów gier fabularnych, chodzenia do klubów i nie tylko. Zgłoszenia wyłącznie od osób obdarzonych prawdziwą wyobraźnią. Przebranie obowiązkowe. Osobom z nadwagą albo po trzydziestce dziękujemy. Nie przyjmujemy fanów Star Trek! Interesują nas jedynie noce w piątki i soboty, północno - zachodnie przedmieścia. Wymagamy własnego środka transportu. Odpowiedzi kierować na: #INSP007555

„Daily Southtown”, 11 lipca Kronika policyjna

Policja Willow Woods interweniowała, otrzymawszy zgłoszenie aktu wandalizmu, który miał miejsce na położonym na południowo - zachodnich przedmieściach cmentarzu Przenajświętszego Serca. Nieznany sprawca przewrócił kilka nagrobków, zniszczył oznaczenia kwater i włamał się do dwóch mauzoleów, a następnie obrabował je. Sierżant policji z Willow Woods, J. Renwicki, nie potwierdził doniesień, iż kilka krypt w mauzoleach zostało otworzonych, a zwłoki ekshumowano. Jest to czwarty taki przypadek dewastowania cmentarzy, który pojawił się w ciągu ostatnich...

Radio WMKK FM

„Poranne wariactwa szalonego Mattiego”

14 lipca, 8.30

„...a po przerwie porozmawiamy z Leticją Lividną, która sama siebie ochrzciła mianem „Królowej Ciemności Księstwa Chicago” o najświeższych nowinkach na temat miejsc, gdzie można się spodlić w ten weekend i dać zauważyć w fali ciemności. Liwie podrzuci wam także kilka własnych hm... sugestii na temat ciuchów. Po prostu pogadamy o wszystkim, co was kręci. Ale najpierw co nieco o korkach...”

GDYBY BAUDELAIRE I RIMBAUD WIEDZIELI...

Rozdział dziewiąty

- Proszę podwójne espresso, dwa kieliszki merlota i... - Dziewczyna za ladą nawet nie mrugnęła, przechodząc tuż obok Colleen Russell. Może była głucha. Nie, nie mogła być głucha. Dziewczyna postukiwała palcami o uda w rytm muzyki, ryczącej z głośników. Może niewidoma? To było możliwe. A jeśli nie była niewidoma, to nie mogła poruszać oczami. Błada cera kelnerki, ciemnoczerwony rumieniec, gruba kreska wokół oczu, purpurowe usta i ciemny cień na powiekach - cały makijaż wyglądał tak, jakby ktoś wykonał go amatorsko wałkiem do malowania. Jeśli dziewczyna mrugnęłaby, z pewnością na twarzy pojawiłyby się pęknięcia. Colleen rozstawiła dwa palce, wetknęła je w usta i gwizdnęła z całej siły. Ze zdumieniem stwierdziła, że zagłuszyła nawet grzmącą z głośników piosenkę Gene Loves Jezebel Sweet Rain. Dziewczyna za ladą zatrzymała się na chwilę, by podjąć wędrówkę w żółwym tempie. Spojrzała gniewnie na Colleen. - Proszę podwójne espresso, dwa kieliszki merlota, ciemną Java Supreme i...

Barmanka potrząsnęła głową.

- Nie zapamiętam tego wszystkiego.

- Dobrze - odparła Colleen. - Podaj mi to, co zapamiętasz, a potem powiem ci resztę.

Dziewczyna trawiła jej słowa przez niemożliwie długą minutę.

- No dobra. Chyba tak też można.

Colleen usiadła przy jednym ze stolików, które stały wzdłuż baru. Każdy z nich był z innej parafii. Obróciła się, przyglądając się Jaskini Rimbauda. Jeśli pamięć jej nie zawodziła, sześć miesięcy wcześniej to ponure miejsce na Elston i Wolcott było pseudobeatnikową kafeterią zwaną Nieprawdopodobną Fasolką, a jeszcze sześć miesięcy wcześniej knajpą z żarciem dla hord motocyklistów. Teraz to była Jaskinia Rimbauda. Colleen jak przez mgłę przypomniała sobie, że Rimbaud był chyba jakimś pisarzem, a może poetą piszącym wiersze w stylu tych, których Cass i jego przyjaciele uczyli się na pamięć i które recytowali sobie wzajemnie przy stoliku.

- Nie, moja droga - powiedział Cass, gdy wróciwszy tego wieczoru z pracy, usiadła ciężko na kanapie. - Pustelnicze życie wychodzi z mody. Nawet wdowy podnoszą welon po czasie żałoby.

- Cass, to nie ma nic wspólnego ze śmiercią Megan. Miałam ciężki tydzień w pracy. Jestem zmęczona i na pewno nie podoba mi się nazwa „Jaskinia Rimbauda”.

Pojawiła się kelnerka, niosąc pierwsze napoje. Colleen powoli zamówiła resztę, a potem wierciła się jeszcze na stołku, badając wzrokiem najnowszą ulubioną knajpę Cassa.

Musiała zmrużyć oczy. Jaskinia Rimbauda upodobała sobie wystrój ze sznurów niebieskich choinkowych świateł i paru przyciemnionych reflektorów stadionowych, które podświetlały grubą warstwę dymu, unosząc się cztery stopy nad ziemią. Zapewne miała imitować mgłę w horrorze. Opar niesamowicie cuchnął cieniutkimi owocowymi cygaretkami, obowiązkowymi goździkowymi papierosami i okazałą lufką, naładowaną czymś podejrzanym.

Pod nagimi, ceglanyścianami ustawiono wyświechtane sofy z wyprzedazy, na których rozparł się liczny tłum fanów muzyki gotyckiej i new romantic, odzianych w czarne skóry i białe koronki. Popijali kawy smakowe i czerwone wino ze zdekompletowanych kieliszków. Próbowali wyglądać na zblazowanych, gdy zabłąkał się jakiś krawaciarz lub przypadkowy przechodzień, szukający miejsca na przerwę na lunch. Zdarzało się, że tacy ludzie wpadali do środka, ale wtedy równie szybko wychodzili. Pośrodku pomieszczenia stłoczono kilka stołów, przy których siedziało jeszcze więcej dzieciaków z białym pudrem na twarzach, kreśląc w powietrzu zawile wzory papierosami, trzymanymi w palcach w czarnych rękawiczkach. Dyskutowali o nowych zespołach, najnowszych zinach i najlepszych stronach internetowych. Tu i ówdzie grupki wertowały książki do gier fabularnych. Wyglądało na to, że wszyscy w tym tłumie to artyści, muzycy, producenci filmowi, projektanci stron internetowych albo ludzie zajmujący się każdym z tych zajęć po trochu.

Sklecona naprędce scena przy oknach od ulicy była na szczęście pusta. Colleen pomknęła po nową kolejkę, gdy tylko skończył się ostatni występ dwóch wampirycznych dziwaków, polegający na improwizowanym recytowaniu przypadkowych wierszy i jednoczesnym wzajemnym kąsaniu karków i obnażonych piersi, czemu towarzyszyły fontanny sztucznej (taką przynajmniej Colleen miała nadzieję) krwi.

Ach, ta sztuka performance.

Kelnerka w końcu wróciła, ale gapiała się na filiżanki z kawą i kieliszki wina, stojące szeregiem na barze, jakby te były jakimiś obcymi formami życia, kielkującymi z lepkiego drewna.

- Dobrze, to będzie... hm, czekaj... Chyba będę potrzebować kalkulatora.

- Nic nie szkodzi, możesz użyć moich liczydeł. - Kelnerka czekała, jakby się spodziewała, że Colleen rzeczywiście wyciągnie liczydła z torebki. Chyba spotkał ją zawód, gdy ta wygrzebała w końcu dwudziestkę i położyła ją na dziesiątce, która już się przykleiła do baru. - Zatrzymaj resztę i uznajmy, że jesteśmy kwita, co? - Kelnerka zmierzyła banknoty podejrzliwym wzrokiem, przekonana, że klientka próbuje ją okraść. - Słuchaj, wyjdiesz na swoje - dodała. - Zaufaj mi. Jeśli dałam ci za mało, możesz mnie zmusić, bym ci pomogła podawać do stolików, czy co tam sobie zażyczysz. Siedzę tam. - Pokazała swoje miejsce. - A teraz możesz mi podać jakąś tacę?

- Tacę czego?

- Tacę na... Och, nieważne. Na szczęście gdy Colleen zaczęła stawiać spodki na filiżankach, pojawił się Cass.

- Daj, Col, wezmę parę. - Upuścił na podłogę papierosa w czarnej bibułce i zmiażdżył go butem. Był ubrany w obcisłe, czarne, aksamitne spodnie i falbaniastą, białą koszulę, której towarzyszyła zwykła kolekcja dziwacznych, cynowych pierścieni, kolczyków i innych ozdób. Oczywiście, miał też makijaż. Cass niewątpliwie czuł się w Jaskini Rimbauda jak u siebie w domu. Wcześniej, przed wyjściem, Colleen musiała wytrzymać pół godziny, podczas gdy Cass cmokał ze współczuciem, stojąc w otwartych drzwiach jej szafy. „Twoje ciuchy to coś w rodzaju skrzyżowania supermarketu z szafą starego marynarza. Dziewczyno, mogą ci wlepić podwójną karę tylko za włożenie tych butów do tenisa. Teraz, gdy dostałaś już prawdziwą pracę, czemu nie wybierzesz się ze mną na zakupy?”. Kiedy weszli do Jaskini Rimbauda, poczuła się tak, jakby wpadła na bal kostiumowy bez kostiumu. Cass wyjął jej z ręki jedną kawę i owinał palce wokół nóżek kieliszków. - Wyczuwam, że nie bawisz się zbyt dobrze.

- Tak to widać?

- Tylko po spojrzeniu krzyczącym: „Cassidy, zamorduję cię, gdy wrócimy do domu”. Chcesz już iść?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Nie, chcesz w końcu zagrać z przyjaciółmi. - Nie była pewna, czy zabrzmiała wystarczająco przekonująco. - Przykro mi, Cass, Jaskinia Rimbauda to nie do końca mój styl.

- Moi przyjaciele są dla ciebie za dziwaczni, prawda?

- Cass, ja z tobą mieszkam. Co może być dziwaczniejszego? Tak naprawdę większość twoich przyjaciół jest w porządku.

- Chyba dla ciebie to pewna niespodzianka. Ale stopniowanie nie przeszło niezauważone. „Większość”, jak mniemam, jest tu słowem posiłkowym - rzekł. - Colleen, ja sam nie znam zbyt dobrze tych ludzi. Tamta dziewczyna powiedziała mi tylko, że jakiś czas temu wywalili ją z roboty. Nie spędzamy zbyt wiele czasu, rozmawiając o naszych miejscach pracy. Pewnie zauważyłaś, że mnóstwo ludzi, gdy tu wchodzi, zostawia za drzwiami rzeczywisty świat.

Colleen rzuciła okiem na drzwi, gdy wymawiał te słowa. Wisiał tam znak, przedstawiający niestarannie wymalowany, a la średniowieczny napis na sztucznym, czarnym marmurze.

„Gdzie dzieciątka bezsenne
dręczy chłód
i groza...”

RIMBAUD

- Trochę to dla ciebie dziwna sytuacja, co? - spytał Cass.

- Stanowczo zbyt dziwna. Jest nieopisanie dziwna. Cass, to ja jej zabrałam tę cholerną pracę.

- Cóż, przecież wtedy tego nie wiedziałaś. A teraz zanieśmy napoje do stolika, zanim zaczną się ślinić. - Cass żonglował kubkami i kieliszkami. - Zresztą, jej poszczekiwanie są groźniejsze od ugryzień. Po prostu nie pozwól, by Gabrielle na ciebie wsiadła.

*

Od nocy w Centrum Badań szpitala Cook County minął ponad miesiąc

cennego chicagowskiego lata.

Tamten wieczór nie przebiegał tak, jak to sobie Colleen wyobrażała.

Ze zwłok nie ściągnięto białego prześcieradła. Nikt nie rozpiął czarnego, gumowego worka. Nawet nie pojawił się monitor, ukazujący ciało w sąsiednim pomieszczeniu.

Wszystko zrozumiała, gdy tylko wytłumaczyli, jak zginęła Megan, a raczej jak to się stało według ich domysłów. Po upadku z setnego piętra z ciała niewiele pozostało.

Policja przez czysty przypadek odkryła, że to Megan Russell.

Kobieta nie miała przy sobie dowodu osobistego. Colleen dowiedziała się, że nie miała też na sobie żadnych ubrań. Ale po zgłoszeniu upadku z dachu drapacza chmur policja zaczęła śledztwo od najwyższych pięter. Na sześćdziesiątym dziewiątym hostessa wspomniała, że poprzedniego wieczoru późną porą pojawiła się tam Megan Russell. Zachowywała się dziwnie, a towarzyszył jej jeszcze dziwniejszy facet. Zanim nastał poranek, policja rozmawiała już z Whitestar Media Group. Tego popołudnia zidentyfikowali Megan Russell dzięki zapisom leczenia dentystycznego, którego wyniki pasowały do resztek jej szczęki. Zanim nastał wieczór, odkryli, że Megan miała siostrę, która mieszka w Chicago.

Nie poradzili sobie tylko zbyt dobrze z rozlicznymi „dlaczego”, które kryły się za stupiętrowym lotem Megan we wtorkową noc.

Pracownicza polisa na życie Megan wystarczyłaby na znacznie więcej niż przyzwoity pogrzeb, kwaterę na cmentarzu i nagrobek. Ale wobec faktu, iż śledztwo wciąż trwało, a okoliczności śmierci były tak niezwykle, nie należało się spodziewać szybkiego zakończenia procedur ubezpieczeniowych.

Colleen i Cassa nie stać było na więcej niż średniej klasy urnę i kremację. W tym momencie wkroczyła Whitestar i pokryła wszelkie koszty.

A co do uporu Colleen Russell, w końcu wielka siostra Megan „załatwiła” jej pracę w „Charade Magazine”.

Jako jedyna krewna Megan - było jeszcze paru drugorzędnych kuzynów gdzieś w Pensylwanii, ale Colleen nie była tego pewna - dziewczyna odkryła nagle, że stoi w wyczarowanej przez Cassa czarnej sukni ze sklepu z używaną odzieżą, obok trumny za dziesięć tysięcy dolarów, na jednym z najbardziej nobliwych cmentarzy - parków w śródmieściu Chicago. Wymieniała uściski dłoni z nieustającym strumieniem współpracowników Megan z „Charade Magazine”, typami z korporacji Whitestar, modelkami, pisarzami, fotografami, redaktorami, reporterami i całą śmietanką medialną Chicago. Najpiękniejsi ludzie pojawili się z obowiązku i okazywali należyty smutek. W większości mijali po prostu trumnę, nawet na nią

nie zerknawszy, ściskali niezgrabnie dłoń, ocierali niewidzialną łzę, kiwali głową stojącemu za plecami Colleen Cassowi i wyfruwali jak najszybciej z kaplicy. Najwyraźniej piękni ludzie nie lubili zajmować się śmiercią, nawet jeśli kryła się pod zamkniętym wiekiem trumny.

Ale nie Jeff Stancheck.

On był inny. Wydawało się, że śmierć poruszyła go do głębi. Było mu wyraźnie przykro z powodu Megan. Stłumił dyskretnie pociągnięcia nosem i wytarł łzy, gdy przyklęknął po raz pierwszy przy trumnie. Dziewczyna oceniła Jeffa Stanchecka jako człowieka, któremu łzy nie przychodzą łatwo. Mężczyzna został i spędził u jej boku cały wieczór, specjalnie dla niej wymieniając nazwiska składających kondolencje osób.

To on zaproponował Colleen pracę, wspominając w tym czasie, że ktoś z jego załogi odchodzi z redakcji.

Nie pytała o szczegóły, o płacę ani o godziny pracy. Wiedziała tylko tyle, że ten człowiek był u jej boku w tym strasznym dniu, a później zabrał ją i Cassa na obiad. W końcu odwiózł do domu. Poza tym nie wyglądał na typa, który miałby ją gonić wokół basenu.

Cass nieustannie szturchał ją łokciem, dlatego Colleen mówiła „tak” i „dziękuję”, a trzy dni później siedziała w biurze „Charade Magazine” i wypełniała ankietę pracowniczą.

*

Przy stoliku, nie licząc Cassa i Colleen, siedziało sześć osób. Wśród nich znajdował się Mróz, nazwany tak ze względu na całkowicie wybielone włosy i równie bladą skórę o takim odcieniu, że Colleen zastanawiała się, czy nie jest albinosem. Ale nie, miał brązowe brwi i rzęsy. A może tylko tak jej się wydawało, bo mógł przyciemnić je makijażem. Dzielił się napojem ze swoją dziewczyną, Gem, o zafarbowanych henną, budyniowych włosach, odzianą w błyszczący, aksamitny obcisły kostium i przezroczystą, czarną narzutkę. Śpiewali w gotyckiej kapeli, a raczej w tym, co z niej zostało. Kapela o nazwie Taniec Śmierci przeżywała swoją szóstą inkarnację. Członkowie zespołu nieustannie opuszczali ją w poszukiwaniu pracy, dzięki której zarabiali prawdziwe pieniądze. Mróz grał na gitarze basowej, Gem zajmowała się klawiszami na cyfrowym zestawie ESP30. Objasniała z dumą Colleen, że w zasadzie nie umiałyby przeczytać ani jednej nuty, nawet gdyby od tego zależało jej życie, ale za to rąbnęła byłemu chłopakowi stos

zaprogramowanych dysków, kiedy jeszcze włączyła się z innym zespołem, a te załatwiały całą sprawę linii melodycznej.

Przy stoliku siedzieli też Brandon i Fitch, dwaj faceci, którzy mogli być, albo i nie, parą. Nieczęsto włączali się do konwersacji, siedząc głównie z nosami wetkniętymi w podręczniki gry, chyba że podnosili wzrok, by zaszydzić z czyichś ubrań albo makijażu, który był ich zdaniem poniżej krytyki. Ich własny wygląd oscylował wokół wąskiej granicy między jaskrawym hołdem złożonym najnowszej modzie a dziwacznością szokującą nawet w tym tłumie.

Znalazła się tam też Chelsea, krzepka dziewczyna przy kości. To przeszkadzało jej w byciu równie anorektycznie bladą jak pozostali. Próbowwała nadrabiać dziką, czarną fryzurą i czarną, przezroczystą bluzką, która ukazywała wszystkim jej rozkołysane piersi, a do tego galerią perwersyjnych tatuaży na sflaczałym ramieniu.

Siedziała tam też Gabrielle.

Gabrielle odsunęła Chelsea na bok jak natrętną muchę. Pulchna dziewczyna nieustannie chichotała, szeptała konspiracyjnie i ostentacyjnie całowała ją w policzek.

Gabrielle pochyliła się nad stołem, opierając brodę na odzianych w koronkowe rękawiczki rękach.

Gabrielle nieustannie odsuwała z twarzy czarne, długie włosy i krzywiła usta w nieszczerym uśmiechu, wpatrując się gniewnie w Colleen, zbyt zajęta podawaniem napojów, by przysłuchiwać się rozmowom.

- Słyszałem, że dostałaś czasową pracę w Dark Mystique Books?
- spytał Cass, przesuwając po stole kieliszek merlota dla Gabrielle.

Dziewczyna oderwała spojrzenie od Colleen.

- Co? A, tak, czymś się muszę zająć. Pomyślałam, że tyle czasu tam spędzam, szperając wśród książek, że mogę za to brać pieniądze. Ale to nie jest prawdziwa praca. Skończyłam z komercyjnym sprzedawaniem siebie.

Cass wzruszył ramionami.

- Dla mnie brzmi bosko. Sam tam ze dwa razy próbowałem dostać pracę.

- Cóż, zatem wciąż będziesz dorabiał w alejkach, by zarobić na czynsz, prawda? - Gabrielle sączyła wino. - Nie, to tylko parę wieczorów w tygodniu. Teraz, gdy już nie tracę tyle czasu na pracę, mogę się skupić na malarstwie. Słyszałeś o mojej wystawie w

przyszłym miesiącu? Nie? Och, tutaj ludzie po prostu kochają moje obrazy. Nie mogą się doczekać, żeby zwolnić dla mnie miejsce. Już powiesili jeden z nich.

- Naprawdę? - spytał Cass, obracając głowę. - Gdzie?

- Tam. - Gabrielle wskazała tył Jaskini Rimbauda. - Widzisz? - Nie, gdzie?

- Tam. Za ostatnią kanapą. - Idąc w ślady Cassa, Colleen powiodła wzrokiem za palcem Gabrielle w głąb pomieszczenia. W końcu dostrzegła nieoprawiony blejtram, który wisiał krzywo na ścianie obok drzwi męskiej toalety. Panowały tam jeszcze większe ciemności niż w pozostałych częściach klubu. Kobieta dostrzegła na malowidle jedynie majączące białe twarze i strużkę krwi. - Ale wystarczy o mnie - dodała i odwróciła się do Colleen. - Tak się cieszę, że cię spotkałam. Jak często się zdarza, by spotkać swoją następczynię w pracy, nie? - Uśmiechnęła się wąskimi ustami, które błyszczały jak zepsute wilgotne winogrona. Wskazała na brązową butelkę w rękach nowej pracownicy „Charade”. - Kurczę, nawet nie wiedziałam, że tu dają piwo. Wygląda mi na inwazję proletariatu. Niedługo w Jaskini Rimbauda będą grać Shanię Twain, a rozrywką wieczoru będą wybory miss mokrego podkoszulka. - Gabrielle zdjęła jedną koronkową rękawiczkę, a potem wskazała czarną koszulkę Colleen. - Och, ale ty już się przygotowałaś, prawda? Ooo, czerń, jakie to... artystyczne.

Cass trzasnął kubkiem z kawą o spodek.

- Gabrielle, wyluzuj.

Brandon i Fitch zanurzyli głowy głębiej w podręczniki do gry „Dzieci grobowców”. Chelsea wyglądała na rozdrażnioną faktem, że Gabrielle poświęca całą swoją uwagę nowej dziewczynie. Mróz i Gem oblizali umalowane usta i okazali zainteresowanie.

Colleen tylko postukiwała palcami o butelkę.

- Oj, Cassidy - odparła Gabrielle, przekopując się przez swoją torebkę wielkości plecaka. - Nie matkuj nam. Nie musisz bronić swojej przyjaciółki. Zwykle dziewczyny ciągnące się z ciotkami same potrafią się bronić. - Wyciągnęła scyzoryk i uśmiechnęła się znów do „swojej następczyni”. - Nie martw się, ruda, to nie na ciebie.

- Słuchaj, przykro mi, że straciłaś pracę w „Charade” - rzekła Colleen. - Ale, wierz mi, nie miałam z tym nic wspólnego. Z tego, co słyszałam, i tak mieli cię zwolnić.

Gabrielle otworzyła ostrze.

- No tak. Chyba nie dosłyszałam, jak nas Cassidy przedstawiał. Nazywasz się Colleen Russell, tak? Coś jak Megan Russell, dyrektor... oj, przepraszam. .. to znaczy była dyrektor zarządzająca? To wcale nie ułatwiło sprawy, nie?

- Gabrielle, przestań - powiedział Cass.

Colleen pochyliła się nad stołem, aż jej twarz znalazła się zaledwie o parę centymetrów od Gabrielle. Taka sama odległość dzieliła ją od scyzoryka.

- Jak ci się nie podoba, że zostałam zwolniona, zadzwoń do prawnika. Jeśli ja ci się nie podobam, to spierdalaj. Jasne? - Z powrotem rozparła się na krześle i pociągnęła duży łyk piwa.

Gabrielle wciąż uśmiechała się do Colleen, ale jej oczy zamieniły się w okolone czernią szparki. Przytknęła scyzoryk do wnętrza swojej dłoni i przeciągnęła ostrzem po skórze. Natychmiast pojawił się wąski czerwony strumyczek. Uniosła rękę nad kieliszkiem wina i pozwoliła, by krew skapnęła do merlota. Cały czas nie odrywała spojrzenia od Colleen.

- Jasne - odparła, zamykając z trzaskiem scyzoryk, a potem naciągając z powrotem rękawiczkę. - Jak słońce. - Przytknęła do ust i zaczęła saczyć krwistowinny koktajl.

Colleen zaczęła coś mówić, ale w końcu odsunęła krzesło i wyszła z klubu.

- Zaraz wracam - powiedział Cass, wstając w ślad za nią.

- Nie kłopotz się - prychnęła Gabrielle.

- Przestań, nie skacz po Cassie. On jest w porządku - powiedział Mróz. - Po prostu ma normalną przyjaciółkę.

- Może i normalną - wtrąciła się Chelsea - ale uważam, że jest słodziutka.

- Jeszcze jedna taka uwaga - stwierdziła Gabrielle - a sama się dziś pójdziesz pierdolić, lesbo.

Gem zdecydowała się załagodzić sytuację, choć to było do niej niepodobne. Ale niemalże każdego wieczoru ktoś się tym musiał zajmować. Stanowili paczkę wrednych ludzi, żyjących walkami toczonymi między sobą nawzajem. Cenili je sobie znacznie bardziej od merlota i zapachowego tytoniu.

- Uspokójcie się wszyscy. Cass zaraz wróci i znów będzie zmanierowanym sobą. Musi tylko wsadzić bezpiecznie swoją lokatorkę do taksówki i wysłać w drogę ku normalnemu światu.

Porozmawiajmy o ważnych rzeczach. - Gem odwróciła się do Gabrielle. - Na przykład o tym, gdzie są ci wspaniali kołesie, których spotkałaś w Dark Mystique? Rzeczywiście są tacy fajni, jak ich przedstawiasz? Lepiej, żebyś nie zmyślała.

- Tak, idziemy wieczorem na cmentarz? - spytał Mróz. - Jeśli tak, to lepiej już się zbierać. Gem i ja powinniśmy dziś jeszcze poćwiczyć.

- Tak, idziemy - odparła Gabrielle między jednym a drugim łykiem wina. - I nie martwcie się, ci ludzie są super. Umrzecie z zachwytu, gdy ich spotkacie.

Rozdział dziesiąty

Whitestar Media Group nie była organizacją o rozproszonej strukturze. Piramida władzy zbiegała się w niezwykle ostrym czubku, a na wierzchołku istniało miejsce tylko dla jednej osoby, czyli Roberty Whitehead.

Roberta nigdy nie poczuła ukłucia winy z powodu tego, w jaki sposób wykorzystwała pieniądze swojego starego męża, zbite na ropie naftowej i rolnictwie. Wydała je na konsorcjum medialno - wydawnicze. Jej sumienie ani drgnęło. Na pewno nie mogło obudzić go wspomnienie, że zaledwie piętnaście lat temu znano ją pod pseudonimem „Gwiazda Roberts”, tancerka erotyczna w jednym z lepszych „klubów dla dżentelmenów” w Phoenix. Choć dobiegała trzydziestu dwóch lat, podawała się za doświadczoną dwudziestopięciolatkę. A już na pewno nie obudził sumienia fakt, że wiązała koniec z końcem dzięki dorywczym fuchom, czyli robieniu laski niektórym dżentelmenom między jednym a drugim tańcem.

Nie czuła się ani trochę winna z tego powodu.

Albowiem to w końcu w taki sposób poznała Hamiltona Whiteheada. Miała usta wypełnione jego siedemdziesięcioletnim kutasem, gdy w końcu się jej przedstawił. Oczywiście, wtedy nazwisko starego pryka nic Gwiazdzie Roberts nie mówiło. Ale dwa szeleszczące tysiąc dolarowe banknoty, wciśnięte jej w rękę wraz z jego wizytówką zrobiły na niej wrażenie. Trzy miesiące później Gwiazda Roberts szła w kościele w dziewiczej bieli, pod rękę ze starym Hamiltonem, stając się Robertą Whitehead.

Jedynym zdumiewającym przypadkiem w starej jak świat historii pod tytułem „striptizerka i cichodajka wychodzi za mąż za starego głupca”, było to, że nikt nie zaprotestował przeciw testamentowi Hamiltona Whiteheada, gdy starszy pan zmarł po dwóch krótkich latach, które upłynęły od miesiąca miodowego. Roberta nigdy nie poczuła wyrzutów sumienia, że stary, drogi Hamilton wszystko jej zostawił. Zwłaszcza że zrobiła, co w jej mocy, by do tego doprowadzić, turlając się dwa razy dziennie w importowanej, satynowej pościeli, aż staremu Whiteheadowi zupełnie się pomieszało w głowie.

Roberta dysponowała prywatną łazienką, przylegającą do biur w korporacyjnej, głównej siedzibie Whitestar Media Group na dwudziestym siódmym piętrze. W tej chwili złapała się wspaniałego

kanaryjskiego marmuru w owej łazience. Złapała go mocno, bo bała się, że jeśli go puści, znów zrobi jej się słabo i upadnie na podłogę.

Odrywała od śliskiego marmuru po jednym palcu, a potem ostrożnie zarzuciła pasek białego, jedwabnego szlafroka na ramię. Nic nie mogła zrobić z koronkową halką, która wisiała na niej w strzępach, niczym paski skręcające się w porozdzierane, pajęczce wzory. Błyszczący, porwany jedwab znaczyły czerwone plamy.

Poplamiała go krew Roberty.

Kobieta przesunęła ręką po farbowanych, srebrnych włosach. Fryzura była spleciona i nie sposób jej było ułożyć. Roberta opryskała twarz zimną wodą, ochlapała nieco kark i poczuła, jak krople ściekają jej po piersiach, wprost na purpurowe siniaki, okalające sutki. Podstawiła dłoń pod złoty kran i chlapnęła garść na szyję. Zaszczypało, przygryzła wargi. Oczywiście, to bolało, ale za to jak wspaniale.

Siniak na szyi wyglądał jeszcze gorzej od tych na piersiach. Miał pośrodku małe ranki, z których wciąż sączyła się czerwona krew.

Samo spojrzenie na ich odbicie w lustrze sprawiło, że Roberta ścisnęła nogi. Ten widok sprawił, że poczuła w środku ciepło i wilgoć. Wytarła ręcznikiem krew i wodę, spróbowała się uspokoić, a potem wtoczyła się do swojego biura.

Marek stał przy sięgającym od podłogi do sufitu oknie, najwyraźniej upajając się rozmiętym nocnym pejzażem Fairmont Court.

Roberta padła na zakrzywioną sofę, jeden z mebli tworzących miejsce przeznaczone do niezobowiązujących konwersacji. Mebel wyściełany był mediolańskim zamsem. Zwykle rezerwowała to miejsce dla intelektualnych brzydali, których właśnie wywalala z pracy. Małe korporacyjne fretki nie umiały powstrzymać wzroku, który zsuwał się na jej kształtne nogi, krzyżujące się i rozkrzyżowujące na skraju poduszek. Oczywiście, jeden lub dwóch z nich mogło tu ocalić swoje stanowiska, ale królowa Whitestar Media udzielała tej łaski tylko najładniejszym absolwentom studiów zarządzania, stawiającym swe pierwsze kroki w prawdziwym świecie, a i to wyłącznie wówczas, jeśli wytrwali odpowiednio długo, pręźnie i twardo na posterunku, ignorując rany bitewne, które poniosło jej czterdziestosiedmioletnie ciało w wypełnionym diabelskimi sztuczkami życiu.

Marka jednak nie obchodziły mediolańskie sofy. Zupełnie jakby wiedział, że Roberta, siedząc tam, wyobraża sobie, że ma wszystko pod kontrolą.

Tego wieczoru zaprowadził ją wprost do sięgającego od podłogi do sufitu okna, a to podwójnie podnieciło Robertę, tak jakby wszystko inne, co jej robił Marek, nie było bardziej ekscytujące, podłe i smakowicie niebezpieczne od rzeczy podpatrzonych na zapleczach klubów ze striptizem. Marek po prostu zdarł jej haute couture suknię z Paryża, jakby była wykonana z gazy albo tiulu, a potem ścisnął, posiniaczył, podrapał i ugryzł - o tak, gryzł, ale to było z tego wszystkiego najlepsze. Ugryzł ją, a Roberta zastanawiała się, czy jej pantofle, które uderzyły w okno, mogły wybić szybę i wyrzucić ją dwadzieścia siedem pięter w dół, na Michigan i Fairmont. Tak jak...

- Czy mógłbyś zrobić mi drinka? - Roberta wyciągnęła się na miękkiej skórce. - Marek? - Mężczyzna odwrócił się od okna. Oświetła lampa na jej biurku oświetlała jedynie dolną część jego ciała, czarne spodnie od garnituru i marynarkę. Twarz wciąż skrywał cień. Mimo to Roberta widziała jej biel i żar w oczach. - Marek? Proszę. - Nawet nie drgnął. Czują, jak jego źrenice wpatrują się w nią gniewnie z mroku i wwiercają spojrzeniem w jej głowę. - Prze...praszam - wystękała i zsunęła się z sofy, by począpać do baru.

Szkocka paliła jej gardło, szczególnie z boku, tam gdzie Marek przywarł lodowatymi wargami do szyi, polizał ciało zimnym, aksamitnym językiem, przycisnął zęby do delikatnej skóry i...

- Roberto, muszę zaraz iść. - Marek odsunął fotel od biurka. Krzesło miało monstrualne rozmiary i przypominało tron na kółkach. Wykonano je specjalnie, by pasowało do tego niemożliwie wielkiego biurka. - Chodź, mamy pracę do wykonania.

- Marek, proszę, nie tej nocy. Czy nie możemy po prostu... - Poklepał fotel. Kobieta ponownie napełniła szklanę szkocką, zerknęła na naczynie i zostawiła je na barze. - Proszę. Potrzebuję więcej... - Zabrała ze sobą całą butelkę.

- Nieważne, czego potrzebujesz.

- Cokolwiek powiesz. - Roberta uśmiechnęła się z nadzieją, a potem odsunęła butelkę i oparła się o niego, ale on odepchnął ją od siebie, sadzając w fotelu.

Chwilę jej zajęło, zanim skupiła się na umowach i formularzach, rozrzuconych na biurku.

Marek wsunął jej w rękę onyksowo - złote pióro.

- Nie czytaj, kochanie. Podpisuj.

Jej oczy śmigają od jednego papieru do drugiego. Upuściła pióro.

- Nie podpiszę tego. - Podniosła jedną z umów. - Półtora miliona? Oszalałeś? - Roberta wskazała inny. - Mniejszościowe udziały w kolejnym klubie nocnym? Nie otworzyłeś nawet pierwszego.

- Roberto, po prostu planuję. Jestem przedsiębiorcą, budowniczym imperium, tak jak i ty. Tak się to odbywa w Ameryce, prawda? - Marek podniósł pióro i wsunął je z powrotem między jej palce. - Zaczynaj podpisywać. Muszę zejść dziś jeszcze w parę miejsc.

*

Powinien czuć żal na myśl o cutlassie Nicky'ego. Kabriolet był zupełnie jak nowy.

Ale Joey Fortuna nic nie czuł, topiąc samochód w kanale Cal - Sag, bo przecież dostał kluczyki do nowiutkiego, czarnego mercedesa. Samochód był niesamowicie wielkim krążownikiem szos. Gdy Joey zobaczył w środku sprzęt do odtwarzania, pomyślał, że może zapomnieć o kabrioletcie Nicky'ego i bezkrwistych zwłokach właściciela, gnijących w bagażniku oldsmobila.

Zresztą pomyślał, że teraz może zapomnieć o wielu rzeczach.

Gapiąc się na chodnik w Fairmont Court, Joey wcisnął guzik i przeskoczył do następnego utworu na płycie. Podgłośnił i z głośników ryknął mroczny rock Type O Negative.

O tak, Joey Fortuna zakopał wspomnienia, odkąd ma ten samochód, dopływ gotówki i inne zdobycze.

Marek otworzył tylne drzwi mercedesa i wśliznął się bezszelestnie, rzucając na siedzenie stos papierów.

- Wyłącz to, Joseph - syknął. - Natychmiast.

Joey wcisnął przycisk zmieniarke i włączył inną płytę. Skrzypce wygrywały zadumane nuty. Z głośników sączyła się VIII symfonia Schuberta, Niedokończona. Joey nie wiedział jednak, kto to był, u diabła, ten Schubert. Tyle że Marek pewnego wieczoru słuchał jej w kinie i pamiętał, że nawet Arianne kręciła się w pobliżu i przysłuchiwała się, a przecież jej prawie nic się nie podobało.

- Dokąd jedziemy? - zapytał Joey.

- Do domu.

Nie było późno, dochodziła zaledwie 21.30. Na Michigan Avenue panował duży ruch, a jeszcze większy na Lake Shore Drive. Ale czarny mercedes płynął jednostajną siedemdziesiątką, bezgłośnie, prześlizgując się obok innych samochodów, dostosowujących się do ograniczenia do czterdziestu pięciu. Joeya to nie obchodziło. Przypiął do prawa jazdy pięć studolarowych banknotów. Jeśli jakiś pies chciał ich zatrzymać, sześciomiesięczny zapas pieniędzy na piwo i kręgle wędrował wraz z prawem jazdy do rąk oficera. A jeśli funkcjonariusz był na tyle niewdzięczny, by zastosować się do przepisów... cóż, Marek umiał radzić sobie z ludźmi. Umiał być bardzo przekonujący.

Joey zjechał z Lake Shore Drive i odbił od leżącego przed nimi jeziora, ale ruch na ulicy tylko się zwiększył.

- Czy wszystko poszło dobrze na spotkaniu?

- Tak, Joseph, cudownie. W rzeczy samej, mam przy sobie papiery, które będziesz musiał zostawić jutro prawnikom.

- Jakim prawnikom? Marek uśmiechnął się.

- Och, rzeczy coraz bardziej się komplikują, prawda? Muszę je przemyśleć.

- Jakies zadania na jutro? Mercedes skręcił w Damen Avenue.

- W zasadzie tak. Pani Whitehead poinformowała mnie, że ktoś w Urzędzie Licencji wciąż wstrzymuje ostateczną decyzję o sprzedaży alkoholu. Dostarczyłeś wszystkie koperty, tak jak ci polecono, Joseph? Żadna z nich nie zniknęła?

Przed oczami Joeya mignęły bezkrwiste zwłoki Nicky'ego z ziejącą dziurą w głowie.

- Oczywiście, że nie. Pięć wspaniałych cudów. Sam je wręczałem. I w straży miejskiej. I w wodociągach. I na policji...

- Bardzo dobrze, Joseph, ufam ci. Niemniej jednak coś trzeba zrobić z tym asystentem radnych.

- Czy ma... zniknąć? Marek potrząsnął głową.

- Joseph, Joseph, ty po prostu wciąż upierasz się przy taktyce brutalnej siły. Myślałem, że już z tym skończyliśmy, gdy twój przyjaciel, pan Kolitzky, zdecydował się nas opuścić.

- Ja tylko miałem na myśli, że...

- Joseph, tylko poprosisz, by asystent radnych wpadł z wizytą jutro wieczorem, mniej więcej około ósmej.

- No dobra, jeśli chce pan się zająć...

- Jeszcze jedno, Joseph. Zapewne odkryjesz, że ten uparciuch ma córkę, młodziutką szaloną osóbkę, o której już mi opowiadano. Ma brzydki problem alkoholowy i jeszcze brzydszy nałóg heroinowy. Dopilnuj, by ona również pojawiła się w kinie jutro wieczorem. Jej chęć przyjscia nie gra tu specjalnie ważnej roli. - Ruch zamarł na Damen. Ulice na północnym brzegu zawsze wyglądały jak wymarłe. Marek ponad siedzeniami podał Joeyowi umowy. - Jestem święcie przekonany, że obecność dziewczyny wystarczy, by „zmotywować” naszego opornego asystenta w komisji do spraw przyznawania licencji na alkohol.

Joey skinął głową. Jutrzejszy dzień zapowiadał się pracowicie.

- To gdzie znajdę tę laskę?

- Zanim dziś sobie pójdziesz, porozmawiaj z Drake'em. Jestem pewien, że udzieli ci wszelkich wskazówek.

- Nie mogę - odparł Joey.

- Co znowu?

- Nie mogę porozmawiać z Drake'em. Wraz z Fondą wyszedł, tuż zanim myśmy opuścili budynek - odparł Joey. - Arianne też.

- Arianne? - Marek oparł się na siedzeniu i złapał zimną ręką ramię Joeya. - Dokąd?

Joey wzruszył ramionami.

- Pewnie na polowanie.

*

Jeff Stancheck przeklął zatłoczone arterie północnego brzegu. Nie znał na tyle mocnych przekleństw, by pasowały do określenia zadziwiającego labiryntu jednokierunkowych uliczek.

Przesuwał się zygzakiem w swoim czerwonym pontiaku na południowy wschód. Może Cubs grali jakiś późny mecz? Może tej nocy odbywał się znów jakiś festyn nad jeziorem? Przecież o 21.30 nie było już na ulicach spóźnialskich z godzin szczytu. „Niech tylko dojadę do Lake Shore Drive - pomyślał - albo do Kennedy. Gdziekolwiek, gdzie będzie ruch”. Poddał się na Montose i skręcił na południe w Damen Avenue.

Jeff był oswojony z pracą do późnych godzin. Tak wyglądało życie. Ale ostatnio cały czas sprawdzał, kiedy zegarek wskaże 17.00, pragnąc pojechać już do domu.

Po raz pierwszy od dłuższego czasu ktoś na niego w domu czekał.

Miesiąc temu Jacks wprowadziła się z powrotem do swojego starego pokoju. Kiedy Jeff wracał do domu, Jacks stała w kuchni albo odnawiała kontakty ze starymi przyjaciółmi, ale jeśli znajdowała się w kuchni, z niedbale zawiązanym wokół koszulki fartuchem, to coś dobrego skwierczało w piecyku, a ona mówiła: „No wiesz, mogłeś zadzwonić. Z obiadu pewnie nic nie zostało”.

W uszach Jeffa brzmiało to jak muzyka.

Już nie była dzieckiem. Do diabła, Jeff rzucił jej nawet parę razy kluczyki do trans arna, mimo że w Illinois jej prawo jazdy było nieważne. Mówiła o studiach, drażniąc się z nim, że zastanawia się nad projektowaniem i kto wie, może zacznie studiować nawet tutaj, w Chicago. Parę razy siedzieli do późna i sączyli galon napoju czekoladowego. Czuli się znów rodziną. I co z tego, że Jacks zamieniła zlew w łazience w miniaturowy dział z kosmetykami, a jej muzyka tak działała mu na nerwy, że aż kupił jej słuchawki? Co z tego, że musiał nieustannie pochylać się, by nie zawadzić głową o suszące się na prysznicu staniki... Co z tego?

Jeff był w siódmym niebie.

Ale memo, które Blair przyniosła parę tygodni temu było jasne, choć niezwykle. Napisała je sama Roberta Whitehead: „...należy skierować starania wszystkich współpracowników »Charade Magazine« - załogi, pisarzy, działu zakupów, produkcji i działu artystycznego - na zarządzanie projektem Gothique. Aktualnie prowadzimy negocjacje marketingowe, które...”.

Memo?

To był rozkaz.

Tak więc Jeff pracował znów do późna. Znów aprobował wydruki w drukarni na północnym brzegu. Ponownie ścisnął się z radosnymi przedstawicielami handlowymi i krzepkim drukarzem związkowcem, spierając o zbyt znajome mu czerwono - czarne logo, oraz wydobywał blade odcienie na coraz większej liczbie zdjęć modnie anemicznych trupów.

Znów wysyłał listy o Gothique.

Zaczynał się czuć tak, jakby magazyn był tylko działalnością uboczną.

Jeff jechał za długim, czarnym mercedesem, który wyglądał równie nie na miejscu na Damen Avenue, jak i jego pontiak. Ulica niegdyś należała do tętniącej życiem dzielnicy handlowej. Wzdłuż

chodnika widać było sklepiki i piętrowe domki. Tyle że wystawy zamknięto albo zabito deskami, a domki ukazywały w oknach niezwykle stare plansze „Do wynajęcia”.

Kiedy mężczyzna wpatrywał się w wyblakłe domy, mercedes wystrzelił do przodu, odsadzając Jeffa o długość budynku. Nagle jego światła błysnęły czerwono i czarny sedan zjechał na prawo.

Jeff także wcisnął hamulec, początkowo delikatnie, by nagle gwałtownie się zatrzymać. Mężczyzna gapił się.

Oto i on.

Zobaczył to czerwono - czarne logo z tym samym znakiem, który nabazgrał miesiąc temu pod wpływem chwili, a teraz wpatrywał się w niego niemalże każdego dnia.

GOTHIQUE

Mężczyzna mrugnął i zdał sobie sprawę, że był to szyld, wymalowany wielkimi, czerwonymi literami na czarnej markizie. To tu znajdował się ten klub.

GOTHIQUE

Jeff gapił się na stary, górujący nad nim budynek, aż w końcu za nim zatrzymał się inny samochód i zatrąbił. Jeff próbował wypatrzyć jakieś miejsce, gdzie mógłby się zatrzymać. Czarny mercedes wpasował się w jedyny pusty plac przed kinem. Resztę krawężnika blokowały przepelnione śmietniki. Jeff przeciął północną uliczkę i zaparkował po drugiej stronie ulicy.

GOTHIQUE

Sądząc po wyglądzie, było to stare kino, najwyraźniej z lat trzydziestych, zbudowane na wzór pseudośredniowiecznego zamku: blanki, wieżyczki, nisze z gargulcami, łukowate okna, przypominające osłonięte oczy czarne, nieprzeniknione szyby.

Ten kompleks klubowo - rozrywkowy z powłóczką wielokulturowego blichtru doprowadzał go do szału od paru tygodni. Przysporzył mu dodatkowej pracy. Nie podobał mu się sposób, w jaki Blair opowiadała nieprzerwanie od paru tygodni, że będzie to najfajniejsze miejsce w Chicago. Nawet Jacks zadawała pytania, mówiąc, że dzieciaki paplają głównie o tym Gothique.

Ale musiał przyznać, że przytwierdzone do starej markizy, prawie pięciometrowe logo, wykonane z metalu i akrylu, wyglądało imponująco. Zapomniał nawet, że nie dostał złamanego grosza za dodatkową pracę. Jeff przypomniał sobie, że w bagażniku ma

polaroida. Zdecydował, że sfotografowanie budynku będzie świetnym pomysłem. Kluby i kompleksy rozrywkowe trwały w Chicago tyle samo, ile trwało lato.

Kiedy cyknął trzy zdjęcia, otworzyły się tylne drzwi czarnego mercedesa. Wsiadł z niego mężczyzna, a potem pochylił się i powiedział coś do kierowcy. Był wysoki i według oceny Jeffa miał trzydzieści albo czterdzieści lat. Nosił modny, czarny, dwurzędowy garnitur, czarną koszulę, miał czarne, przylizane włosy.

Jeff ujrzał przez wizjer aparatu, jak mężczyzna zamyka drzwi samochodu, a potem patrzy przez ulicę wprost na niego. Kliknęła migawka i z otworu na przedzie aparatu wyśliznęła się kolejna fotografia.

Jeff położył zdjęcie na dachu trans ama i podniósł wzrok, ale mężczyzna zniknął. Skrzydło czarnych drzwi pod markizą Gothique zamykało się powoli.

Mercedes ruszył z krawężnika i skierował się Damen Avenue w kierunku południowym.

Nagle Jeff poczuł, że coś czai się z tyłu przy jego nogach.

Usłyszał warknięcie.

Jeff odsunął się od samochodu i powoli odwrócił.

Potem spojrział w dół.

Sox wpatrywał się w niego wielkimi, brązowymi oczami, obrzucając spojrzeniem, które mówiło: „Ale pana nabrałem”.

- Proszę się nie bać, nie gryzie. - W cieniu przejścia między domami stał Frank Hoelevich. - Po prostu mówi „Cześć”. Głupi pies zawsze szuka przekąski. Podszedłby do każdego. - Jeff pochylił się i poklepał łeb psa. Sox oparł się o jego nogę i spuścił uszy, prosząc o więcej. Karmelowo - białe futro miał zmierzwione i niewyczesane, ale mimo wszystko miękkie. - Chodź, Sox, przestań się napraszać.

- Nie naprasza się - odparł Jeff. - Uwielbiam psy. Sam miałem kundla ze schroniska, kiedy byłem dzieckiem. Szkoda, że teraz nie mogę sobie wziąć.

Frank przywołał psa i przypiął smycz do obroży Soksa.

- Uważaj, czego pragniesz, bo możesz to dostać. Chciałby pan wyprowadzać tego psa co wieczór? - Sox napiął smycz. - A pan jest kimś w rodzaju fotografa?

- Ja? Nie. - Jeff spojrział na aparat w swoich rękach. - Nie, po prostu zrobiłem parę zdjęć budynkowi naprzeciwko.

- Tak, zauważyłem.

- Wygląda dość niezwykle - stwierdził Jeff. - Wykonałem dla nich kilka prac. Jestem... - Kim? Jeff zwykle jąkał się, próbując wyjaśnić komuś spoza jego branży, czym się zajmował w pracy. Kim był? Artystą? Dyrektorem artystycznym? Projektantem? - Pracuję w wydawnictwie.

- Co za wstyd, co też się zrobiło z tym starym miejscem - odparł Frank.

- Gothique. Co to ma, do cholery, być? Cokolwiek ma się tam dziać, ta nazwa nie brzmi dobrze. Był pan tam kiedyś, gdy jeszcze to miejsce nazywało się Palace?

- Nie, w zasadzie jestem z innej części miasta. Ale założę się, że było tu naprawdę widowiskowo.

- O tak. - Frank ruszył chodnikiem. Sox szedł kilka stóp przed nim, obwąchując wszystko, co wpadło pod jego czarny nos. Nagle Frank zatrzymał się. - Zabawne, ale jest w nim teraz coś szczególnego. Może to zabrzmie dziwnie, ale nie sprawia wrażenia... zdrowego. - Sox pociągnął smycz.

- Cóż, dobrej nocy panu życzę.

Jeff patrzył, jak staruszek odchodzi. Myślał o fotografiach Gothique, które zaaprobował dziś do druku, przedstawiających makabryczne modelki i anorektyczne nastolatki rodem z planu zdjęciowego jakiegoś horroru, albo burdelu sado - maso.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo to miejsce jest niezdrowe - mruknął do siebie.

Wziął zdjęcia z dachu samochodu i wskoczył do środka. Zdjęcia już się wywołały. Jeff zerknął na nie.

Potem przyjrzał się im.

Dziwne.

Zmrużył oczy i wpatrywał się w fotografie, na których widniał stary budynek kina, markiza i logo, zajmujące niemal całą klatkę. Przy krawężniku stał mercedes.

Nawet drzwi kina z ciemnego szkła były na wpół otwarte. Na zdjęciu wyszły zamazane, ale było je widać.

Ale mężczyzna w czarnym garniturze...

Nie pojawił się na żadnym zdjęciu. Jakby wcale go tam nie było.

Rozdział jedenasty

Gabrielle po prostu wiedziała, że Brandon i Fitch stchórzą.

Nawet Mróz i Gem chrząkali i wykręcali się, mówiąc, że mają gdzie zagrać, choć wszyscy wiedzieli, że z większym prawdopodobieństwem wpadną pod autobus, niż ktoś ich zaangażuje. Bez perkusji, lidera - pozostało im jedynie skrzeczenie Gem - klawiszowca i grama talentu byli skazani na granie samym sobie w mieszkaniu, bez żadnej publiczności.

Gabrielle zostawiła ich w Jaskini Rimbauda, z nosami w kieliszkach i zinach z grami fabularnymi. Brandon, Fitch, Mróz i Gem - cała ich czwórka po prostu wymiękła, gdy pojawili się nowi przyjaciele Gabrielle. „Niektórzy ludzie uważają, że chodzi tu o makijaż Maybeline, ubieranie się w sieci rybackie i uczenie na pamięć Anne Rice” - pomyślała, wychodząc tanecznym krokiem ze swoją nową paczką.

Wielki, czarny cadillac tylko nieznacznie trząśł, wpadając w dziury na Clark Street. Gabrielle siedziała pośrodku tylnej kanapy, z nogami nad wybrzuszeniem w podłodze. Chelsea wierciła się na jej kolanach. Jechali na północ. Cass gapił się przez okno albo tylko udawał, że obserwuje, jak yuppies z Lincoln Park ustępują z wolna miejsca dziwkom. Nic nie mówił, a przynajmniej nie do niej, odgadła więc, że wciąż jest na nią wkurzony za docinki pod adresem jego wiedźmowatej lokatorki.

Ale ona przecież jeszcze nie skończyła z Colleen Russell, o nie.

- Ojej, ależ mi się podoba ten samochód - powiedziała Chelsea, gładząc wypchany welur. - Przypomina mi karawan. - Gabrielle przewróciła oczami. Chciałaby, żeby dziewczyna wreszcie się zamknęła, ale ona dalej świergotała. - Znałam kiedyś ludzi, którzy mieli karawan. Naprawdę. Ale był stary i cały poobijany i rzadko się udawało go uruchomić. Nie był taki szykowny jak ten samochód.

Gabrielle kręciła się na siedzeniu. Próbowwała usadowić się wygodnie, ale Chelsea dalej wierciła się jej na kolanach, gniotąc strasznie spódnicę i zadzierając ją w górę ud, aż ukazały się skraje czarnych, nieprześwitujących pończoch i czarnych pasków, odcinających się na tle białych ud. Gabrielle z radością zadarłaby spódnicę nad głowę, gdyby uznała, że to kogokolwiek podnieci. Ale gdy spojrzała na Cassa po swojej lewej stronie i Fondę po prawej, stłumiła śmiech. Cass próbował udawać, że nikt go nie interesuje i nie

tak łatwo go rozszyfrować. Ale o mało nie zaczął się ślinić na widok siedzącego z przodu Drake'a.

A Fonda obserwował Cassa.

Drake? Skupił się na samochodach przedzierających się przez Clark Street.

A Arianne?

Gabrielle nie wiedziała, na co patrzyła Arianne. Kobieta była niczym sople lodu. Gabrielle nie знаła zbyt dobrze pozostałych jej znajomych, ale zdawało się, że Arianne może pojawić się w dowolnym miejscu, nawet jeśli siedziała z przodu na wyciągnięcie ręki.

- To zabawne, że nie widziałam żadnego z was przedtem w klubach, na pokazach albo odczytach czy przy innych okazjach - paplała dalej Chelsea. - Tak więc spotkaliście Gabrielle w Dark Mystique, co? Ale fajnie. Wciąż ją błagam, by mi tam załatwiła pracę. Bo wiecie, zawód kelnerki jest taki beznadziejny. Nawet nie będę wam o tym opowiadać. Mam na sobie pieprzony mundurek, z którego prawie wyskakują mi cycki, i podaję pizzę krawaciarzom. Nie do wiary, nie?

Gabrielle przesunęła Chelsea ze swoich kolan na Cassa i odgarnęła z twarzy jej sztywne od nadmiaru pianki włosy.

- Chelsea, zatkaj dziób, co?

- Masz, najlepiej tym. - Fonda podał Chelsea butelkę jałowcówki. Uśmiechnęła się do niego i zatrzepotała sztucznymi rzęsami, jednocześnie pijąc.

- Drake - pytała Gabrielle - na który cmentarz jedziemy? Ale na to odpowiedział Fonda:

- Graceland, kochanie.

- Och. Dobrze. Już tam kiedyś byłam. Czasem tam maluję. Kocham te stare mauzolea, posagi i inne rzeczy. Są takie... autentyczne.

- Pod jakim względem? - odezwał się Drake z przedniego siedzenia. Wypowiedział pierwsze słowa tego wieczoru.

- Och, wiecie, „autentyczne” w sensie gotyckości - odparła Gabrielle. - Tak jak Shelley, Coleridge, Whitby i „Les Innocents”. No, sami wiecie.

- W zasadzie to nie bardzo wiemy - stwierdził Drake.

- No cóż, chodzi tu o... atmosferę. Wibracje. Mają je te laguny, wierzby i pomniki. Chyba tak musi wyglądać cmentarz Highgate, wiecie, ten w Anglii.

- To chlew.

Oto odezwała się Arianne. Wszyscy w samochodzie na nią spojrzeli.

- Co...

- Nie wygląda tak jak na fotografiach w magazynach - rzekł Drake. - Nawet nie można wejść do starych, najciekawszych części cmentarza, gdzie pochowano wszystkich sławnych poetów i artystów. Tam jest zbyt niebezpiecznie. - Skręcił cadillakiem z Clark Street w boczną uliczkę.

- Ojej, byliście tam? - spytała Gabrielle, najpierw kierując te słowa do Drake'a, a potem do Arianne. - Ale czyż to nie tam został zainspirowany Bram Stoker? No, wiecie, grobowcem Lucy i...

- Bzdury - odezwała się ponownie Arianne. Powiedziała tylko jedno słowo, ale to wystarczyło, by uciszyć Gabrielle. Miała dziwny głos, niski, ale melodyjny. Brzmiał jak wiolonczela albo obój. Albo połączenie ich obu. Rozlegał się tutaj, ale jednocześnie wydawał się dobiegać z oddali.

Cass odwrócił się od okna, przez które niby wyglądał.

- Czy zamierzamy ustalić jakieś reguły, zanim tam dotrzemy? Nie wiem, z którego klanu jesteście, jakie charaktery odgrywacie i jakie macie charakterystyki. Może powinniśmy zabrać jeden z podręczników do gry Fitcha?

- My nie gramy - zachichotał Fonda. - Na pewno nie w gry fabularne.

Drake zaparkował cadillaca w ciemnej alejce. Po przeciwnej stronie ulicy, zza ledwo widocznego płotu z kutego żelaza, majaczył cmentarz Graceland.

- Wybierzemy się tylko na przechadzkę - powiedział Drake, wyłączając silnik. - Po prostu upoimy się nieco tą „autentyczną” atmosferą.

Fonda ponownie zachichotał donośnie.

- O tak, wessiemy trochę tych „wibracji”. Drake obrócił się i oparł o przednie siedzenie.

- Hej, Cassidy, nie mów mi, że rzeczywiście zajmujesz się tymi głupkowskimi grami. Co?

- Nie... - wymamrotał Cass, nie mogąc odwrócić oczu od opalonych źrenic Drake'a. - Nie, ale założyłem, że...

Drake potrząsnął głową i uśmiechnął się. Jego zęby iskrzyły nawet w ciemnym wnętrzu samochodu.

- Nie uważasz, że ten cały gotyk przypomina komiks dla dzieci? Myślę, że gdy coś przybiera postać ze słabego serialu telewizyjnego, który nie przetrwa nawet tygodnia, czas najwyższy uznać to za passe, co ty na to?

- Masz rację, Drake.

- Absolutnie, Drake - wtrąciła się Gabrielle. - Cały ten fabularny szajs stał się taki... mieszczański. Ja pomyślałam sobie, że przyjechaliśmy się tutaj zabawić. - Odwróciła się do Arianne. - Ja wiedziałam...

Ale ta już wysiadła z samochodu, stała przy krawężniku. Letni wietrzyk rozwiewał jej czarne, długie włosy i lizał krawędzie krótkiej, taniej sukienki.

Nawet nie spojrzała na Gabrielle ani na samochód. Wpatrywała się przed siebie, w mrok, by w końcu ruszyć ku cmentarnemu płotowi.

- No dobrze - rzekł Drake. - A zatem zabawmy się.

*

Dwaj gliniarze z dwudziestej trzeciej dzielnicy byli nieźle wkurzeni, gdy z krótkofalówek przy pasach dobiegło ich wezwanie. Hajih dopiero co przyniósł z zaplecza pączki, oblane lepkiem lukrem i zwieńczone grubo czekoladą. Nawet nie zdążyli zdjąć pokrywek z podwójnych kaw ze śmietanką i cukrem. Strasznie się wkurzyli, że muszą porzucić słodkości i wskoczyć do wozu.

- Znów ktoś wrzeszczał na tym pieprzonym Graceland - powiedział jeden glina, gdy odjeżdżali od cukierenki. - Tylko czekać paździenika. Jak się zacznie Halloween, Hajih będzie nam musiał tam dowozić te cholerne pączki, bo całą noc będziemy pilnować nagrobków.

Zgłoszenie odbyło się przez 112. Ktoś zadzwonił z mieszkania po drugiej stronie torów kolejki w Kenmore. Inny patrol już jechał sprawdzić zeznania dzwoniącego. Najprawdopodobniej sporządzi notatkę na temat sąsiada, który za głośno włączył telewizor i nie zamknął okien. Chryste, było lato. Czy ci ludzie nie mogli ściszyć nieco fonii, oglądając rzeźnickie filmy? Pewnie później pojawi się inny patrol, a tymczasem Hajihowi wyjedzą wszystkie pączki.

Strażnik wprowadził policjantów przez ornamentowane, żelazne bramy Graceland, wiodąc ich wijącymi się cmentarnymi alejkami. On niczego nie słyszał, ale nic dziwnego, skoro radio w biurze włączył na cały regulator.

Policjanci wykonali dwa okrążenia. To był duży cmentarz. Patrolowe latarki przeszukiwały teren wśród fikuśnych mauzoleów i dziwacznych posągów, padając na znajome chicagowskie nazwiska w rodzaju Pullman, Armour, Marshall Field, Mies van der Rohe.

Nie odkryli żadnych nowych graffiti ani przewróconych nagrobków. Nigdzie nie było śladu po dzieciakach z sąsiedztwa, które pędziłyby ku płotowi z puszkami piwa upchanymi w kurtkach.

- Założę się o własną dupę, że ktoś rozdziewiczył jakąś lolitkę przy zatoce, a ta zaczęła się drzeć, jeszcze zanim zrobiło jej się dobrze - stwierdził policjant w trakcie drugiego okrążenia. - Założę się o własną dupę, że...

- Stój - powiedział drugi, kładąc mu rękę na ramieniu.

Strażnik na tylnym siedzeniu przykleił twarz do okna. Śledził oczami snop światła latarki, który przeciął snującą się przy ziemi mgłę i mrok, wpadając do labiryntu wewnątrz grobowca. Zdołał wydobyć z siebie tylko:

- Jezu Chryste.

Patrol zatrzymał się. Obaj gliniarze odpięli kabury rewolwerów. Strażnik pomacał pas i poczuł żal, że nie dostał licencji na broń.

Kierujący wozem policjant omiatał okolicę światłem latarki, ale nic się nie poruszyło. Ale już wszystko zobaczył. Pozostali tak samo. Wiedział, że miną długie godziny, zanim on i jego partner znajdą się w pobliżu kawy i świeżych pączków.

- W takiej sytuacji należy wzywać imię boskie - rzekł policjant, sięgając do klamki i wyciągając z kabury trzydziestkę ósemkę. Wspomnienia obrzydliwej sceny, widniejącej w strumieniu światła latarki piętnaście metrów od samochodu zmyli dopiero znacznie później, za pomocą dwóch podwójnych kolejek w O'Bannion's, nie zaś pączków i kawy.

*

Gabrielle próbowała dotrzymać kroku Drake'owi i Fondzie.

Mężczyźni pędzili ku płotowi przez mrok i mgłę. Gdy wybiegali z cmentarza, ona za każdym niezgrabnym krokiem wpadała na kolejny posąg. W końcu zza jej pleców wyłoniła się zwiewnie Arianne i

złapała ją za rękę. Nagle obie znalazły się nad żelaznymi, ostrymi zwieńczeniami i przeskoczyły je. To wszystko tak szybko się stało. Czarny cadillac zapalił i wyjechał z alejki z piskiem opon. Tylne drzwi otworzyły się gwałtownie i Arianne wrzuciła ją do środka. Kiedy samochód pędził z rykiem ku Clark Street, Gabrielle wdrapała się na tylne siedzenie i wyjrzała przez szybę. W głębi cmentarza Graceland błysnęły czerwone i niebieskie koguty.

- Tak... po prostu ich tam zostawimy? - spytała.

Fonda odwrócił się i uśmiechnął do niej lubieżnie. Na jego bladej twarzy widniały czerwone plamy, a usta błyszczały wilgocią.

- Chcesz wrócić? Drake może zostawić cię przy bramie, skarbie. Ale ten tylko klepnął go w kark.

- Człowieku, daj jej spokój.

- Dlaczego? Chciała się upoić wibracjami. Chciała autentycznej atmosfery - zachichotał Fonda. - No to masz swój autentyzm, Gabi. I jak ci się podoba?

Drake przejechał na żółtym, puścił kierownicę i odwrócił Fonde ku sobie.

- Po prostu siedź cicho.

- Czemu?

Drake wskazał oczami tylne siedzenie i Arianne.

- Och. - Fonda skurczył się na fotelu i zaczął gapić wprost przed siebie.

- Po prostu baw się swoimi zabawkami - dodał Drake. Fonda skinął głową, choć raz nie chichocząc. Ale gdy zaczął grzebać w wysadzonej kryształkami górskimi torebce Chelsea i portfelu Cassa, znów wybuchnął śmiechem. Banknoty dolarowe, klucze, wrzucone luzem monety. Fonda obwąchiwał je wszystkie, a potem wyrzucał przez okno.

Z tyłu Arianne owinęła ramiona Gabrielle długą chłodną ręką.

- Coś cię martwi? Ta zadrzała.

- N...Nie. Ja... tylko...

- Ta dziewczyna coś dla ciebie znaczyła?

- Chelsea? Nie, ona tylko... to znaczy tak, czasami... no cóż, sama wiesz. Chelsea była po prostu...

Chelsea była po prostu... kim była?

Chelsea była po prostu dziewczyną, która w pewnym momencie stanęła na palcach na skraju wysokiego nagrobka. Łykała resztki

dżinu Fondy. Śmiała się pijana i flirtowała z Drake'em. Flirtowała z każdym, kto zechciał na nią spojrzeć. Gabrielle ignorowała ją, zbyt zajęta spacerem między rzędami grobów. Fonda zajął miejsce pod kolumnami, obok wejścia do mauzoleum. Starał się jak mógł podkraść bliżej do Cassa. Ale ten się odsuwał, skupiwszy wzrok na Drake'u.

W jednym momencie Chelsea stała na czubkach palców na skraju nagrobka z butelką w ręku, przybierając pozę zawianej baleriny. Może nadmiar merlota i jałowcówki jej nie posłużył. Jej twarz zzieleniała, co widać było mimo smug różu i cieni do powiek. Chelsea zakołysała się, śmiejąc, i zaczęła zsuwać z krawędzi kamienia. Wciąż się śmiała.

Jeszcze się śmiała.

W następnej chwili krzyczała. Przewróciła się i padła brzuchem na trawę.

Mocno uderzyła o ziemię.

Wtedy Drake skoczył.

Komiczny pisk Chelsea zamienił się we wrzask, gdy Drake wskoczył na nią i zaczął zdzierać z niej ubranie.

Cass siedział na stopniach mauzoleum. Gabrielle odsunęła się od Arianne.

- Powiedziałam mu, żeby przestał - rzekła Gabrielle. - Myślałam... myślałam, że chce ją zgwałcić. - Arianne skinęła głową i przyciągnęła ją do siebie. - Myślałam, że... Myślałam...

- Hej, człowieku, odczep się - krzyknęła Gabrielle. - Ona nie chce...

Ale głowa Drake'a odwróciła się ku niej. Na ten widok słowa zamarły Gabrielle na ustach. Ujrzała jego twarz, która wcale nie wyglądała jak na filmach, w czasopiśmie, w książkach, w zinach z grammi fabularnymi, na okładkach płyt. Nie była podobna do niczego, co wcześniej widziała. Jego oczy pałały czerwonym, piekielnym ogniem. Z ust kapłała mu krew, przypominając ciemny syrop. Warknął na nią, a potem opuścił głowę ku nagim piersiom Chelsea i ugryzł. Mocno. A ta znów krzyknęła.

- Och, zamknij się, do kurwy nędzy - wybulgotał, ale ona dalej wrzeszczała, aż Drake przeciągnął jej pazurami po gardle. Gabrielle usłyszała obrzydliwie mokry i miękki odgłos. Chelsea przestała wtedy wrzeszczeć i wydawała z siebie tylko ciche, straszne pobekiwanie, miotając się na mokrej trawie pod Drake'em.

- Tęsknisz za tą dziewczyną? - spytała Arianne, przeczesując długimi, białymi palcami włosy Gabrielle. Cadillac zjechał z Clark Street. Ciepły wietrzyk wpadał do środka przez uchylone przednie okna. Fonda podpalił zapalniczką prawa jazdy i dowody osobiste. Obserwował, jak każdy dokument płonie, a potem wyrzucał go przez okno.

- Za Chelsea? Cóż... ja... - Gabrielle oparła głowę o piersi Arianne. Biała sukienka miękko chłodziła jej policzek. Arianne była taka miękka i taka spokojna w białej sukience. - Nie, nie będzie mi jej brakowało.

Cass zerwał się ze stopni mauzoleum, ale w mgnieniu oka dopadł go Fonda. Gabrielle ujrzała, jak twarz Fondy rozbłyskuje niczym u Drake'a. Czerwone węgle rozjarzyły się w ciemnych oczodołach. Biała skóra zabarwiła się od tego blasku na różowo. Szalencie szeroko otworzył usta i rzucił się Cassowi do gardła. Razem upadli na schody. Cass początkowo walczył. Walił pięściami, wił się i kopał, lecz nagle przestał. Zarzucił ramiona na plecy Fondy. Złapał koszulę Fondy, przyciągając go bliżej. Cass w końcu zaczął pojękiwać niczym chłopczyk, któremu po raz pierwszy przydarzył się mokry sen.

- A ten drugi, ten młody mężczyzna? - Chłodne palce Arianne kreśliły delikatne linie po karku Gabrielle, jej klatce piersiowej, by w końcu wśliznąć się pod jej sukienkę i zakreślać leniwe kółka wokół piersi. - Żałujesz, że go nie oszczędziliśmy?

- Nie wiem... - Gabrielle wiła się, gdy ręka Arianne błądziła jej pod sukienką. Dziewczyna zwinęła się na wypchanym, pluszowym siedzeniu i umościła na podołku Arianne. Druga biała i chłodna dłoń gładziła jej nogę, tańcząc na skraju czarnej pończochy, by wśliznąć się na nagie udo. - Prawie nie znałam Cassa. Ja tylko... spotkałam go parę... mmm...

- Tak więc nie martwisz się tym? - Dłoń Arianne wśliznęła się pod pas do pończoch Gabrielle, do jej majtek.

- Mmm, nie... Ja...

- Ale jest coś - stwierdziła Arianne. Chłodny palec błądził po ciepłych, wilgotnych zakamarkach, pieszcząc niczym piórko. - Coś, a może ktoś?

- Ktoś... Nie. - Przed oczami Gabrielle ukazała się twarz okolona rudymi włosami. Kobieta miała na sobie czarną koszulkę, w oczach gniewne spojrzenie. Białe trampki wyniosły ją za próg Jaskini

Rimbauda. Uda Gabrielle zwierwały się i rozchyłały pod wpływem dotyku chłodnej dłoni. - Nie, nie, nie... - Dziewczyna chwyciła fałd pluszowego siedzenia i wessała powietrze przez zęby.

Krzyki Chelsea ustały, tak samo jak jęki Cassa. Przez chwilę na cmentarzu panowała cisza, która powinna tam panować nocą. Wtem Drake wstał znad kłębka, niegdyś zwanego Chelsea, wycierając bladą ręką usta i wylizując do czysta palce. Przeszedł po trawie i ukląkł przy Cassie i Fondzie.

A Gabrielle po prostu cały czas tam stała. Nie krzyczała, nie płakała, nie próbowała uciekać. Po prostu stała, czując za plecami chłodną, spokojną obecność Arianne. Kapała się w niej. Nurzała. Wtedy poczuła jej dotyk. Zimne dłonie złapały ją i poprowadziły. Gabrielle przestąpiła nagie zwłoki Chelsea.

Arianne powiodła ją do Cassa.

Drake zatrzymał cadillaca przy krawężniku.

- Dokąd jedziemy?

Arianne powoli wysunęła ręce spod sukienki Gabrielle.

- Dziękuję, tu wystarczy.

Fonda wyskoczył z samochodu i otworzył tylne drzwi. Arianne wyśliznęła się, a potem pochyliła, wyciągając rękę do Gabrielle.

- Chodź - powiedziała. Ta zawahała się przez chwilę, a potem obciągnęła sukienkę i postawiła stopy na chodniku. Ciepłe nocne powietrze uderzyło ją w twarz.

Czerwień skapująca z ust Drake'a i Fondy wydawała się czarna nawet mimo kompletnych cmentarnych ciemności. Fonda spojrzał na Arianne. Gabrielle usłyszała pytanie, choć ich usta się nie poruszyły.

- Tak - odpowiedziała Arianne. - Zrób to.

Fonda uśmiechnął się i wgrzyzł w swoje nadgarstki. Przysunął je do ust Cassa. Gabrielle patrzyła, jak wycieka z nich krew, kapiąc na twarz Cassa i jego usta.

Gdy Fonda już skończył, Cassem wciąż targały lekkie spazmy. Co kilka sekund przebiegały go dreszcze. Pięknie czarne, aksamitne spodnie zsunęły się do połowy ud, ukazując bladą skórę, poszarpane majtki i smugi krwi. Na pięknej, falbaniastej koszuli widniały plamy czerwieni, a pozbawiona włosów klatka piersiowa błyszczała od ciemnej wilgoci. Z otwartych ust dobywało się chrapliwe dyszenie. Spojrzał na Gabrielle błagalnymi oczami. A ta pomyślała, że

mężczyzna potrząsa głową, ale było za ciemno, by była tego pewna. To mogły być tylko dreszcze.

- Dalej, dziecko - rzekła Arianne. - Tego chciałaś. O tym marzyłaś, nieprawdaż? - Arianne złapała za kark Gabrielle i pchnęła ją na Cassa. - Zrób to. Spróbuj.

Gdy cadillac odjechał, Gabrielle pozwoliła, by Arianne poprowadziła ją po chodniku. Gdyby ta ją puściła, pewnie rozjechałyby się jej nogi i upadłaby na beton. Podniosła wzrok i uśmiechnęła się.

Nad jej głową majaczyła wielka markiza. Światło latarni odbijało się od czerwonych, gotyckich liter na czarnym tle.

GOTHIQUE

Arianne przyciągnęła ją do siebie i uniosła jej głowę. Najmroczniejsze z oczu, przypominające czarne diamenty, wwierciły się w oczy Gabrielle. Pochyliła się i pocałowała ją.

- Wciąż go u ciebie wyczuwam, dziecko. A ty?

Gabrielle przebiegła językiem po ustach. Wyczuwała smak Arianne, ale też i kogoś jeszcze.

Wyczuła smak grzechu, seksu, śmierci i kłamstw. Przesyciły ją upojne aromaty tysiąca sekretnych życzeń. Wciąż czuła na wargach smak krwi Cassa, której spróbowała, wysysając ją z jego gardła, podczas gdy on umierał na mokrej trawie na ciemnym cmentarzu, w wilgotną chicagowską noc.

- Tak, wciąż czuję jego smak.

- I jak, dziecko?

- Jest jak... - Odwróciła wzrok od czarnych oczu Arianne. Zerknęła ponownie na Damen Avenue, latarnie, piętrowe domki i wystawy sklepowe, klomb z kwitnącym geranium przy wejściu, skrzynkę pocztową w rogu i przerdzewiały samochód, zaparkowany na ulicy. Odwróciła ponownie wzrok ku swojej przewodniczce. - Jest... po prostu świetny.

Gabrielle weszła za Arianne w drzwi klubu.

Rozdział dwunasty

- Patrz i szlochaj, padre. - Frank Hoelevich rozłożył na stole wachlarz kart z dużym stritem i nagrodził się kolejnym łykiem piwa. - Ostrzegalem cię, że dziś mój szczęśliwy dzień.

Ojciec Silverez spojrział na swoje nędzne dwie pary.

- Wciąż uważam, że oszukujesz. To pies, prawda? Macie jakiś kod? On wyczuwa karty i mruga do ciebie, mam rację?

Frank pochylił się i poklepał Soksa po grzbiecie.

- Nie, poker to nie jego gra. - Pies zignorował go, zająwszy się pod stołem zmaganiem z kością, wielką na pół długości jego ciała. - To jak, jeszcze jedno rozdanie?

Ksiądz zerknął na zegarek i pustą szklanę.

- Pewnie, jeszcze jedno. - Potasował karty, a Frank przesunął wygraną z ostatniego rozdania na swoją stronę stołu. Zebrało się tego siedemdziesiąt trzy centy. - Hej, Mike, przynieś tu jeszcze kolejkę!

Barman napełnił dwie szklanki pilsnerem i przyniósł je do stolika, zgrabnie przestępując Soksa.

- Miałem wrzucić tę kość od szynki do jutrzejszej grochówki, ale Soksowi chyba bardziej smakuje - rzekł. - Do diabła, po prostu wrzucę trochę rosółu w kostkach. Proszę, ojcze.

- Dzięki - odparł Silverez. - Przypomnij mi, żebym jutro zamówił grochówkę. - Ksiądz rozdał nową partię.

Szybko im poszło. Frankowi wystarczyła para dziewiątek, by zgarnąć dolara i dwadzieścia centów wygranej.

Choć Sox obgryzł kość od szynki niemal do czysta, barman Mike owinął ją w folię i wetknął do lodówki na następną wizytę. Frank i ojciec Silverez pożegnali się i pozwolili, by pies wyprowadził ich z klimatyzowanego baru. Przez chwilę musieli dostosować się do wilgotnego nocnego powietrza. Zatrzymali się obok szyldu Tawerny Mike'a, obecnie wypisanego w trzech językach w trosce o klientelę z sąsiedztwa. Najwyżej widniał napis: COLD BEER, pośrodku: ZIMNE PIWO, a ostatnio na dole dodano: CERVEZA FRIA.

Sox napiął smycz, jakby to była jego życiowa misja. Obwąchiwał stojące przy krawężniku kosze na śmieci i hydranty. Szli Damen Avenue w kierunku północnym. Piętrowy domek Franka Hoelevicha, z długim, zasłoniętym okiennicami sklepem żelaznym na pierwszym piętrze, znajdował się o cztery przecznice przed nimi. Parafia Świętego Alstantiusa, gdzie ojciec Gilberto Gil" Silverez pełnił

funkcję księdza (i obecnie był tam jedynym kapłanem), znajdowała się nieco dalej za rogiem, na Montrose.

- Te drobnaki doprowadzą mnie do szału - stwierdził Frank. - Weź je, padre.

- Dzisiejszej nocy wygrałbym prawie wszystkie partie. Ten pies na pewno podpowiada ci karty.

- Serio, Gil. Co ja zrobię z dziewięcioma dolarami w monetach? - Frank owinał smycz wokół nadgarstka, a potem wysypał drobne z kieszeni. Podał monety w złożonych dłoniach kapłanowi. - No, weź. Nie zamierzam spędzić dodatkowych stu lat w czyścicu za hazard z księdzem.

- Jeśli zostaniesz dłużej w czyścicu, kolego, to tylko za opuszczanie mszy co tydzień. - Ale ojciec Silverez wsunął drobne w kieszenie spodni. - Patrz, byłem na dziewiątej już w zeszłym tygodniu. Wiesz, jeśli pokazałbyś się kiedyś w kościele, choć raz poza Wielkanocą i Bożym Narodzeniem, może przekonałbyś swoją żonę, by przestała przychodzić na 10.30.

Frank potrząsnął głową.

- Raczej niemożliwe. Libbie chodzi na msze o 10.30, co niedzielę, odkąd wprowadziliśmy się tutaj w 1948.

- Frank, ale ta jest po hiszpańsku. Msza o 10.30 to msza łatynoska, wiesz o tym.

- Wiem. Libbie też to wie. Ale kiedyś odbywała się o tej porze msza polska, aż do... cóż, aż do paru lat wstecz. Tak czy owak, Libbie twierdzi, że podoba jej się msza po hiszpańsku. Przypomina jej starą łacinę. Brzmi mniej więcej tak samo. - Poczekali, aż zgaśnie czerwone światło na rogu. W zasadzie czekanie nie miało sensu, bo w żadną stronę nie jechały samochody. Damen Street i boczne uliczki były wymarłe jak cmentarz. - Polubiłbyś wtedy tę okolicę - rzekł. - To jest w 1948, kiedy wraz z Libbie się tu wprowadziliśmy. Wokół prosperowały malutkie i miłe sklepy. W tak gorące noce jak dzisiaj na ławkach przed domami do późna siedzieli przyjaciele. Siedzieliśmy, rozmawialiśmy, piliśmy zimne piwo. Tutaj mieszkał Budd Yulkowski. Robił swoją śliwowicę - wiesz, wino ze śliwek - która mogła wypalić ci język w ustach. Mieszał ją ze zmrożonym 7 - Up. To dopiero miało smak w letnie noce. Tam miał sklep z urządzeniami elektrycznymi Stan Lemovicky. Kupiłem od Stana nasz pierwszy telewizor. Co jesień jeździł na polowania na jelenie do Wisconsin. Sam suszył

mięso. Smakowało wspaniale, jak kabanosy. A tam... - Spojrzał na swoje blade odbicie, mijane w brudnym oknie wystawowym. - Cóż, trochę się tu pozmieniało. Ale spodobałoby ci się, Gil.

- Może. Nie wiem, czy twoi dawni przyjaciele by mnie polubili. Mój polski jest mniej więcej na poziomie twojego meksykańskiego.

Teraz Frank ujrzał w popękany szkłe wystawowym kolejnego sklepu odbicie ojca Silvereza. Szeroka szyja księdza rozsadzała koloratkę. Pod krótko przyciętą grzywą posiwiałych włosów błyszczała od potu jasnobrązowa skóra. Ojciec Silverez był krzepkim mężczyzną. Nadal wyglądał rześko, mimo swoich prawie sześćdziesięciu lat. Sprawiał wrażenie robotnika portowego, a nie księdza. Śmiał się jak zwykły facet i tak też żartował. Nawet pił piwo jak zwyczajny facet. To się Frankowi w nim podobało.

Oczywiście, mimo to grał w pokera jak kapłan.

- W mojej księdze stoi, że nie ma znaczenia, czy wybierasz enchilades czy kielbasę, bylebyś był dobrym człowiekiem. Polubiliby cię tutaj. Bądź co bądź jesteś księdzem. I weterynarzem. Jak można cię nie lubić? - Minęli przerdzewiałe kombi, stojące na ceglach. Pod złamaną wycieraczką na przedniej szybie wetknięto stos wypłowiałych od słońca mandatów za złe parkowanie. - Widzisz, Gil, w 1948 nic tu tak nie wyglądało.

- Oczywiście, że nie, w końcu to toyota z 1991.

- Wiesz, o czym myślę. Policja od razu kazałaby zabrać tego grata. - Sox uniósł pysk znad chodnika i wydał z siebie zainteresowane warknięcie. Hen przed nimi Frank dostrzegł samotną postać, która idąc, obijała się o latarnie. - No i to... Cóż, nigdy nie musiałbyś się przejmować jakimś kręcącym się w pobliżu lumpem ani ryzykiem, że cię ktoś okradnie. Nie bałbyś się iść wieczorem po swojej ulicy.

- Chcesz przejść na drugą stronę?

- Po co? Mam tu swojego psa stróżującego.

- Sox obwąchiwałby go i czekał na prezenty, a on by cię w tym czasie obrabiał.

- Padre, nie doceniasz mojego kumpla.

- Frank, nie strugaj przede mną chojraka. Chciałbym odprawić mszę w niedzielę bez konieczności tłumaczenia się z siniaka.

- Och, za bardzo się przejmujesz. Przecież byłeś komandosem, to czym się martwisz?

- Frank, kapelanem komandosów. Wiesz, to nie oznacza, że służyłem w siłach specjalnych. - Postać zbliżała się do nich coraz bardziej. Frank i kapłan ujrzeli, że był to tylko dzieciak, pijany albo naćpany, a może jedno i drugie. Przeszedł obok nich bez słowa, trzymając się za szyję i objając się o kolejne latarnie. W końcu zniknął w oddali. - Nigdy o tym nie rozmawiasz, prawda? - spytał ojciec Silverez.

- O czym?

- Wiesz, o służbie i wojnie. Mike powiedział mi, że...

- Mike nie umiałby odróżnić swojej dupy od kawałka kości. Nie słuchaj, co ci Mike mówi.

Ale Mike wiele wiedział. Otworzył bar w tym samym roku, w którym Frank i Libbie otworzyli swój sklep z artykułami żelaznymi. To on powiedział Silverezowi, że w życiu nie domyśliłby się z miłego uśmiechu Franka i jego pogodnego charakteru, jak straszne rzeczy widział ten mężczyzna w czasie drugiej wojny światowej. Pewnego szarego, czerwcowego poranka w 1944 roku 1. Dywizja, dowodzona przez generała Norman „Burzę” Cota, znalazła się w pierwszej, krwawej fali lądowania na plaży Omaha w Normandii. Następnie uderzyła w linię Zygryda pod St. Vith. Ucierpiała znacznie w lesie Hurtgen i została napadnięta przez SS Panzers w bitwie o Bulge. Ale przetrwała i wmaszerowała do Niemiec wiosną 1945.

Ale Frank Hoelevich nie widział tego ostatniego marszu.

Dostał szrapnelem zaraz o poranku na początku słynnej akcji DD. Pozbierał się i ponownie został trafiony w grudniu w Ouren, tym razem przez odzianego w czerń strażnika Waffen SS z automatem, który maniacko chichotał, idąc wzdłuż grupki amerykańskich jeńców. Wiele takich rzeczy działo się w Bulge. Frank miał kule w nodze, lewym płucu i biodrze, ale udawał zmarłego, aż sukinsyny sobie poszły, a potem odczołgał się po śniegu, ciągnąc rannego kaprała, chłopca jeszcze młodszego od niego. Pełził tak przez sześć lodowatych kilometrów, aż dotarł do amerykańskiej kolumny, cały czas myśląc o słodkiej istotce o imieniu Elizabeth, która mieszkała za Montrose i Hoyne i lubiła, jak ją nazywano Libbie, tak jak te warzywa w puszkach. Pocałował ją tylko raz, na dworcu Union Station, zanim odjechał.

Kiedy go znaleźli, Frank nadal ciągnął kaprała. Chłopak zamarł na kość. Nie żył.

Mike znał mnóstwo opowieści o Franku. Na przykład jak Frank wskoczył do stanowiska, skąd leciały niemieckie granaty ręczne, by uratować kolegów, a gdy ostrzał ustał i koledzy wyciągnęli go, okazało się, że biedny Frank popuścił w spodnie, ale żołnierze ukradli czystą parę dowódcy, tacy byli mu wdzięczni. I jeszcze, jak Frank umiał trafić jabłko z pięćdziesięciu metrów, jeśli tylko miał dobry celownik w M - 1. Mike wiedział o Purpurowym Sercu i Krzyżu za Zasługi, które gdzieś się wałały w mieszkaniu nad starym, pustym sklepem żelaznym. Mike sam był sierżantem polowym w 1. Dywizji i znał wiele takich opowieści.

- Wiesz, Frank, jeśli będziesz chciał o czymkolwiek pogadać, to jestem księdzem.

- Tak, wiem. - Frank nie mówił nic, gdy przechodzili obok kolejnej zabitej wystawy, a potem pustego, porośniętego chwastami parkingu. - „Pogadanie” to, e... nowoczesna czynność, wiesz? To nie dla mnie. - Zbliżyli się do domku Franka. - Gil, widziałem tam wiele rzeczy, których nikt na ziemi nie powinien oglądać. I nie chcę nigdy więcej nic takiego zobaczyć.

- Amen.

Sox zatrzymał się.

Zadarł ogon, jednocześnie kładąc po sobie uszy. Pies zajrzał w korytarz i zaczął warczeć, tym razem na poważnie. Karmelowo - biały pysk zmarszczył się, ukazując kły.

- Co, u diabła? Sox, co się dzieje?

Ale Frank i Silverez mimo mroku w korytarzu zobaczyli wystarczająco wiele.

Ujrzeni dwie sylwetki, przemykające obok ceglanych ścian budynku. Chudy chłopak w błyszczącym, skórzanym kombinezonie wyciągał ręce do jeszcze chudszej dziewczyny. Jedną dłonią zdarł z niej bluzkę, a drugą ciągnął za spódnicę. Potem jego głowa zaczęła poruszać się między obnażonymi piersiami dziewczyny.

Sox zaczął szczekać i wcale nie miał zamiaru przestać. Frank ledwo był w stanie utrzymać smycz.

Chłopak w przejściu podniósł wzrok.

Do cholery, jego oczy żarzyły się, czerwone jak światła stopu.

- Jezus Maria - powiedział Silverez i przeżegnał się.

Sox nadal szczekał. W końcu szarpnął tak mocno, że wyrwał smycz Frankowi z ręki. Szetland pomknął w mrok.

- Sox, nie! - Frank pobiegł za nim.

Chłopak w przejściu odsunął się od dziewczyny, która upadła na chodnik. Kopnął ciężko obutą nogą i trafił Soksę w grzbiet, posyłając go wprost na przeciwną ścianę. Pies uderzył w nią całą siłą dwudziestu kilku kilogramów. Chłopak miał twarz białą jak duch, ale wcale nie wyglądał na przestraszonego, gdy odpychał Franka na bok i wybiegał z zaułka. Przystanął na chwilę, gdy mijał księdza. Przez ten krótki moment blada twarz zdawała się wyrażać strach. Ale tylko przez chwilę. Potem chłopak uśmiechnął się do Gila Silvereza, który wypowiadał kolejne „Jezus Maria”, roześmiał się i zniknął gdzieś w mrokach Damen Avenue.

- Frank, nic ci nie jest? - Ojciec Silverez wpadł do przejścia, gdzie wciąż czekał Sox. Ten jednak pomagał dziewczynie wstać.

- Tak, nic mi nie jest. Pomóż mi, Gil.

Ale wychudzona dziewczyna z tanim makijażem odepchnęła na bok Franka. Kopnęła ojca Silvereza butem na wysokim obcasie i sama wstała.

- Co żeście, do cholery, narobili? - Stała tak, ze spódnicą zsuniętą do połowy ud, w porwanych pończochach i szeroko rozchylonej, łopoczącej na wilgotnym wietrze bluzce. Nawet nie spojrzała na Franka i księdza. Zamiast tego patrzyła gdzieś poza zaułek, na Damen Avenue, gdzieś na przeciwną stronę ulicy.

- Frank, może moglibyśmy ją wprowadzić i zawołać policję?

- Pewnie, Gil. - Frank obrócił się do dziewczyny. - Chodź, popraw sobie strój i możemy...

- Idź do diabła, staruchu. - Przeszła obok nich i wyszła z przejścia. Tam przystanąła, by podciągnąć spódnicę. Odzyskawszy godność, obróciła się.

- I czego się, kurwa, wtrąciliście? I zniknęła.

Frank złapał za smycz Soksę i uciszył psa.

- Może powinniśmy tak czy owak zadzwonić po gliny? - odezwał się ksiądz.

Frank wzruszył ramionami, gapiąc się w zaułek. Palace ledwo było widać. Dostrzegął kawałek markizy, kawałek czerwonego napisu, GOTH z całego GOTHIQUE.

- Może. - Odwrócił się do Silvereza. - Może. Oboje zniknęli. Chyba nie potrzebowała żadnej pomocy, co?

- Chyba nie.

- Może powinienem wraz z psem pójść z tobą do świętego Alstantiusa, co ty na to?

Silverez potrząsnął głową.

- Nie, potem musiałbyś wracać sam, chyba żebyśmy eskortowali się nawzajem całą noc. Cokolwiek zamierzał ten chłopak, już go nie ma.

- Mimo wszystko...

- Frank, nic mi nie będzie. To tylko parę przecznic. - Silverez ruszył, by wyjść z zaułka. Zatrzymał się, gdy dotarł do chodnika przy alei, i odwrócił się. - Frank, widziałeś jej... jej...

- Jej... klatkę piersiową? Tak. Cała była we krwi. - Ojciec Silverez przytaknął. - Co jej robił ten zboczeniec? - spytał Hoelevich.

- I czemu mu na to pozwalała?

- Nie jestem pewien, Frank, ale muszę stwierdzić, że on ją gryzł.

- Gryzł? Jej cycki?

- I wygląda na to, że sama tego chciała. - Silverez wyszedł na chodnik. - Frank, chcę cię widzieć w kościele w niedzielę.

Rozdział trzynasty

Park Stratford to nie był zbyt wysoki hotel. Przynajmniej nie według chicagowskich standardów, gdzie budynki poniżej czterdziestu pięter nikomu zbyt nie imponowały. W zasadzie nie wznosił się też w parku, choć kilka drzew i trawników otaczało punkt krajobrazowy Chicago Water Tower po przeciwnej stronie ulicy. Ale jeśli nawet budynek Park Stratford kulił się w cieniu kanionów z marmuru i szkła, to jego dwanaście pięter wspaniale się prezentowało, kiedy patrzyło się na nie z niewielkiego placu na skrzyżowaniu Michigan Avenue z Chicago Avenue.

Blair Armstrong nie mogła, niestety, docenić tego urzekającego widoku.

Zarówno żaluzje, jak i ciasno zasunięte kotary nie wpuszczały światła do niewielkiego, lecz przytulnego pokoju na jedenastym piętrze Park Stratford. Choć już przedstawiono prognozę pogody na rano, a po południu miał padać deszcz, to szybki numer w porze lunchu stanowił ryzykowny pomysł. Drapacze chmur nad hotelem miały mnóstwo okien i każde z nich zdawało się gapić wprost na to jedenaste piętro.

Blair już zamówiła u obsługi hotelu butelkowaną wodę źródlaną i lód. Prawie zapomniała o wodzie gazowanej dla Jeffa. Pokojówka właśnie wtaczała wózek z powrotem do windy, gdy Jeff wysiadał na jedenastym piętrze. Zapukał do pokoju 1115, a Blair z uśmiechem otworzyła drzwi, ubrana w czarną halkę i stanik.

Nie traciła czasu na uprzejmości, tylko od razu zajęła się odzieżą Jeffa. Niebieska bluza, buty, skarpetki, spodnie i bokserki spadły w komplecie, zanim jeszcze zamknęły się drzwi. Gdy Blair zmagiła się z guzikami jego koszuli, Jeff manewrował nią w półmroku, kierując do łóżka. Nie udało im się zdjąć koszuli Jeffa ani halki Blair, ani jej stanika. Nie ściągnęli nawet kapy z pościeli. Seks miał najwyższy priorytet. Przecież ona cały poranek robiła do niego maślane oczy po przeciwnej stronie konferencyjnego stołu, podczas gdy szefowie pozostałych działów przekopywali się przez miesięczne raporty budżetowe. Posiedzeniu przewodniczyła sama Roberta Whitehead. Wtedy Blair posłała Jeffowi wiadomość, zgrabnie wypisaną na szablonie memo „Charade Magazine”: Park Stratford. Pokój 1115. Południe. Obecność obowiązkowa.

Seks był szybki i równie dobry jak głośny. Gdy skończyli, wreszcie ściągnęli resztki ubrań, odsunęli kape, nalali wodę gazowaną i Perriera z lodem i wyciągnęli się na wielkim łóżu.

- No cóż, termin minął - stwierdziła, przytykając zimną firmową szklankę hotelu do czoła. Przysunęła się bliżej, a jej sięgające ramion blond włosy przykleiły się, teraz mokre, do piersi Jeffa.

- Minęło trochę czasu.

- Sześć tygodni, proszę pana. Tak, liczyłam.

- To czemu zrobiliśmy taką przerwę? Wiem, że poświęcałem wiele czasu na zajmowanie się śmieciami z trupią grafiką, ale w końcu ty także. Praca po godzinach wcześniej nas nie powstrzymywała.

Blair wzruszyła ramionami.

- Trochę się pozmieniało.

- Och?

- Jeff, nie udawaj, że nie wiesz, o czym mówię.

- Masz na myśli Jacks?

- Oczywiście, że mam na myśli Jacks. Zupełnie zniecka wpadłam w ten związek rodziciela z potomkiem.

- Czyżbyś była zazdrosna?

- Może w jakiś sposób i tak. Wcześniej nie musiałam dzielić się tobą z nikim. - Usiadła na łóżku. - Nie licząc czasopisma.

Usiadł obok niej i zaczął masować jej plecy i ramiona.

- No dobrze, nie jestem pewien, czy chcę pracować u ciebie po godzinach, gdy na całe lato przeprowadziła się do mnie Jacks. Może i wyrosła, ale nie na tyle, bym chciał zostawić ją samą w domu na noc. Jeśli zaś się głębiej zastanowię, to okaże się, że jest zbyt dorosła, by ją zostawić samą w domu na noc. - Objął ją. - Ale istnieje proste rozwiązanie. Po prostu musisz przejeżdżać częściej przez prowincjonalne południe.

- Czy to będzie dla ciebie wielka niespodzianka, gdy stwierdzę, że nie bardzo pasuję do scenerii złożonej z domków jednorodzinnych i trawników? - Blair sięgnęła po butelkę źródlanej wody. - A poza tym może nie powinieneś afiszować się mną przed swoją córką?

- Chyba Jacks poradzi sobie z faktem, że jej podstarzały tata ma dziewczynę.

Blair oparła się o niego.

- Dziewczynę? Hm, nigdy wcześniej mnie tak nie nazwał. Teraz myślisz o mnie jak o swojej dziewczynie?

- No dobrze, co powiedziałem nie tak? Powinienem powiedzieć „przyjaciółce”, „partnerce”?

- Koleżance.

- Och, rzeczywiście, zapomniałem. No cóż, „koleżanko”, może wpadniesz dziś na kolację i zostaniesz na noc?

- Sądysz, że Jacks jest już na tyle dorosła?

- Coś mi się wydaje, że Jacks widziała już w Encino sporo gości, którzy zostawali na noc - odparł Jeff.

- No dobrze, zatem mamy randkę, proszę pana. - Blair oparła się o Jeffa, przewracając go na materac. Jednym obrotem siadła na nim. Jej włosy łaskotały go w twarz. Jej nogi ocierały się o jego. Uśmiechając się, sięgnęła w dół i jeszcze raz wsunęła go w głąb siebie.

. - Sądysz, że mamy na to czas?

Blair zsunęła z nadgarstka zegarek i rzuciła go na stolik nocny.

- Minęło sześć tygodni. - Zaczęła całować go po piersiach, przesuwając się do szyi. - Starczy nam czasu.

Potem wzięli szybki prysznic i zaczęli zbierać ubrania rozrzucone po zaciemnionym pokoju. Zza zasuniętych zasłon dobiegł ich grzmot. Jeff zapiął pasek i odsunął zasłony.

- Hej, ja się wciąż ubieram - powiedziała Blair, wbijając się w czarną spódnicę.

- Nie martw się, nikt tu nie zajrzy. Patrz, jak pada. - Ulewa zamazała kontury budynków biurowych i apartamentowców wzdłuż Michigan Avenue. Usiadł ciężko na łóżku i dopiął koszulę. Zdjął bluzkę Blair z szafki na buty i rzucił jej. Czarny jedwab pofrunął wprost w jej rękę.

Wygładziła spódnicę, a potem włożyła bluzkę. Gdy odnalazł już swoje buty, zaniósł jej marynarkę.

- A co się stało z letnią bielą? - Sięgnął zza pleców i pomógł jej dopiąć bluzkę.

- Letnią co?

- Ostatnio twoja garderoba zdaje się przybierać mroczniejsze barwy. Blair wzięła czarne, zamszowe kozaczki.

- Cóż, wszyscy twórczy ludzie są zakochani w czerni. Zdaje mi się, że ty nie. Bo czemu nie iść z prądem? Nie zaszkodziłoby ci, gdybyś zamienił te swoje koszulki i dzinsy na coś bardziej...

- Gotyckiego?

- Nie, Jeff, nie to miałam na myśli. - Zachichotała. - Już cię widzę, wystrojonego w czarną skórę i koszulę z falbanami. Może maznąć ci trochę cieniem po powiekach? - Wciągnęła czarną, aksamitną marynarkę.

- Nie sadzę, żebym kiedykolwiek go potrzebował. Jeszcze mnie nie przekabacili.

- Och, Boże, nie zaczynaj z tym od nowa. - Zniżyła głos, naśladując go, dodała: - Coś nie gra z tym miejscem. Nie dam za to głowy, ale jest tam coś...

- Hm, coś jest dziwnego w tym całym gotyku. - Jeff pociągnął po raz ostatni ze szklanki i skierował się ku drzwiom, w ślad za Blair. - Nie miałaś jeszcze okazji spojrzeć na te fotografie, które zrobiłem? Mówię ci, facet stał tam, ale wcale nie pokazał się na zdjęcie...

Blair uciszyła go pocałunkiem.

- Starczy rozmów o Gothique - powiedziała, odrywając usta. - Nie sadzę, by diabeł ustanowił swój przyczółek na Damen Avenue. - Sięgnęła za plecami i otworzyła drzwi. - A teraz chodź, albo nigdy nie uda się nam złapać taksówki w tym deszczu.

Gdy kierowali się ku windom, grzmot wstrząsnął oknami hotelu Park Stratford.

*

Jeff i Blair wciąż strząsali krople deszczu z marynarek, gdy Colleen Russell zapukała w drzwi biura.

- Przepraszam, Jeff, czy masz minutę?

Blair niemal odskoczyła od Jeffa i zanurzyła się w fotel dla gości.

- Pewnie, Colleen. Co się dzieje?

- Skończyliśmy już wstępny układ stron do wrześniowego wydania. Czy nie będziesz miał nic przeciwko, jeśli dziś wyjdę wcześniej?

- Nie widzę przeciwwskazań - odparł, przeglądając wiadomości na sekretarce. - Nic się nie stało?

Colleen zawahała się.

- W zasadzie nie. Chodzi o mojego współlokatora. Od paru dni nie pojawił się w domu i zaczynam się martwić.

- Ma na imię... Cass, prawda? - spytał. - To facet, który był z tobą na pogrzebie siostry?

Blair poderwała się z fotela i otoczyła ramiona Colleen pełnym współczucia gestem.

- Co się stało?

Colleen wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Po prostu zniknął. Nie słyszałam o nim od ponad tygodnia. To niepodobne do Cassa.

- Pytałaś kogoś, rodzinę, przyjaciół?

- Nie sądzę, by Cass miał jakąś rodzinę - odparła Colleen. - W zasadzie po raz ostatni, gdy go widziałam, przebywał w towarzystwie swoich "przyjaciół", włączając w to Gabrielle.

Jeff uniósł brew.

- Czy możemy ci jakoś pomóc?

- Dzięki, ale chyba nie.

- Czy myślałaś o... - Przerwał. - Czy myślałaś o zadzwonieniu na policję?

Colleen zagryzła usta i skinęła głową.

- Ostatni raz... i jedyny, gdy musiałam rozmawiać z policją, wiązał się... no, wiesz. Boję się. Nadal mam nadzieję, że gdy wrócę do domu z pracy, będzie tam, a ja zmyję mu głowę za to, że mnie tak przeraził.

Blair ponownie ścisnęła ramiona Colleen.

- Masz tyle czasu, ile tylko potrzebujesz, skarbie. Prawda, Jeff?

- Oczywiście. I serio, jeśli tylko będziesz potrzebować pomocy, po prostu krzycz.

- Dzięki wam. Jesteście dla mnie tacy dobrzy. Nie wiem, jak wam... Do biura Jeffa wjechał z piskiem wózek z pocztą i przerwał wypowiedź

Colleen. Jakiś nowy pracownik „Charade” zdejmował z wózka owinięty gumką pakiecik. Był to jeszcze jeden androginiczny nastolatek, ubrany w obowiązkową czerń, z kolczykami we wszystkich możliwych miejscach. Pod strzechą farbowanych włosów widać było na wpół zaspane oczy.

- Ja ją wezmę - powiedziała Colleen.

- Dobra. - Dzieciak podał jej paczkę poczty. - Ale chciałbym cię uprzedzić, że ten list na górze to nie moja sprawka.

Colleen zerknęła na kopertę na wierzchu pakietu. Wyglądała niewinnie. Była zaadresowana jak większość poczty, skierowanej do ich działu:

Whitestar Media Group

211 East Fairmont Court

Chicago, Illinois 60611

Do rąk własnych Jeffa Stanchecka dyrektora artystycznego „Charade Magazine”

Na pierwszy rzut oka wyglądała niewinnie.

- Co jest w niej takiego niezwykłego? - Koperta była bardzo brudna i nieco podniszczona. Zaadresowano ją ręcznie, co było rzeczywiście nieco niezwykłe. Colleen wpatrywała się w kopertę i ręczne pismo.

Coś było w tym dziwnego...

- Słuchajcie, tydzień temu dopiero zacząłem pracę w sortowni - powiedział nastolatek. Wskazał długim wypolerowanym paznokciem na znaczek pocztowy. 13 czerwca. - Wczoraj znalazłem za szafką cały worek listów. Pewnie przeleżały tam ponad miesiąc. Ale to nie moja wina.

Colleen zerknęła na znaczek i ponownie spojrzała na adres. Coś było nie tak z tym pismem. Wzruszyła ramionami i podała pocztę Jeffowi.

- Przepraszam, panie Stancheck - powiedział dzieciak. - Mam nadzieję, że nie ma tam nic ważnego. Ale tak jak powiedziałem, zacząłem pracę w zeszłym tygodniu i to nie...

- To nie twoja wina - dokończył Jeff. - Zrozumiałem.

Dzieciak wytoczył wózek z biura. W tej samej chwili Kelly Feeny wetknęła głowę w drzwi.

- Wychodzę na lunch - powiedziała. Jeff marszczył brwi, gapiąc się na kopertę.

- Och, cóż, jeśli nie wywołała jak dotąd żadnego kryzysu, pewnie nie ma w niej nic ważnego. - Otworzył teczkę i wrzucił kopertę do środka. - Idź, Colleen. Powiedz mi, jeśli będziesz potrzebować więcej wolnego.

- Dzięki, wielkie dzięki. - Zerknęła na teczkę szefa, zanim wyszła, wciąż mając przed oczami pismo, widniejące na starej kopercie.

- Cóż, wracamy do prawdziwego świata - stwierdziła Blair. Stojąc w drzwiach, mrugnęła do Jeffa.

- Dziś wieczorem jemy u mnie kolację, prawda?

- U ciebie? Dobrze. - Blair ulotniła się z biura.

Jeff wyciągnął szyję, obserwując, jak sunie korytarzem ku swojemu gabinetowi. Uśmiechnął się do siebie i przestał patrzeć, gdy obok drzwi przebiegła Colleen, krzyząc:

- Zatrzymaj mi windę!

*

Colleen i Kelly zjechały razem.

- Kogoś poznałaś? - spytała Colleen.

- Widać, prawda? - Kelly zerknęła na swoją czarną minisukienkę bez rękawów.

- Zbyt seksowna jak na rozmowę o pracę albo wyprawę po aprobatę do drukarni. Wyglądasz zabójczo.

- Tak naprawdę nie pasuje do mnie. Kupiłam ją wczoraj wieczorem. - Kelly przestępowała z nogi na nogę w płaskich, czarnych, skórzanych pantoflach, które też wyglądały na zupełnie nowe. Przeczesała szczotką wypłowiałe brązowe włosy, ale tego deszczowego, lipcowego dnia na nic się to zdało. - Sądysz, że jest zbyt elegancka, jak na lunch? Bez dżinsów i podkoszulków zupełnie się gubię.

- Założę się, że ten facet chętniej wydobędzie cię z tej sukienki niż z dżinsów i podkoszulka - odpowiedziała Colleen, zmuszając się do uśmiechu.

- Pewnie nie powinnam się aż tak stroić. W końcu to tylko lunch, ale mam na karku prawie trzydziestkę. Od tak dawna chodzę na kiepskie randki, że należy mi się przynajmniej kiepskie małżeństwo.

Drzwi windy otworzyły się. Kobiety przeszły marmurowym lobby. Błyszczące pantofle Kelly stukały jak buty do stepowania.

- To musi być dopiero ktoś - stwierdziła Colleen.

Kelly przytaknęła.

- O tak. A przynajmniej ja tak myślę. Tylko raz gdzieś byliśmy razem. W zasadzie przyszliśmy tam osobno. - Wrzuciła szczotkę do torebki. Kiedy zbliżały się do szklanych drzwi, obie patrzyły, jak deszcz płynie po Fairmont Court. - Wczoraj był na planie zdjęciowym do plakatu Gothique. Potem zabrał mnie na drinka. Wiesz, wokół przechadzały się półnagie modelki, a on zaprosił mnie na drinka. To jest coś, prawda?

- Nigdy nie wiadomo, do czego doprowadzi taki lunch - stwierdziła Colleen.

- Oto i jego samochód. - Kelly promieniała, wskazując wielkiego, czarnego mercedesa, który podjechał pod wejście.

- Jak ma to cudo na imię?

Kelly wyszła na deszcz i otworzyła parasolkę.

- Joey - zawołała, pędząc do samochodu.

Rozdział czternasty

Colleen zupełnie przemokła po tym, jak opuściła Dark Mystique i biegła od peronu El do przystanków autobusowych. W końcu zdecydowała się wziąć taksówkę.

Nie tak łatwo było przywołać samochód późnym deszczowym wieczorem. Ze względu na deszczową pogodę tego dnia wcześniej zaczęły się korki. Poza tym opady nie przypominały letniego deszczu, tylko zamieniły się w prawdziwą burzę z piorunami, błyskającymi wśród złowrogich chmur. Błyskawice sięgały ku antenom na dachach i kominom fabryk, a nawet ku obserwatorium burzowemu na przedmieściach.

Colleen prawie przez dwie godziny kluczyła wśród stalowoszklanych kanionów Michigan Avenue. Potem przedarła się przez stare miasto i nowobogackie budynki Lincoln Park, by w końcu wylądować w nowym mieście, bastionie modnych, sześciopiętrowych budynków i w korku do Dark Mystique. Przy wietrze sprawiającym, że deszcz siekł niemal poziomo, jej parasolka do niczego się nie przydała. Dziewczyna przebiła się jeszcze przez sześć przecznic, dzielących ją od stacji Ravenswood El na Belmont. A potem okazało się, że te dwie godziny poszły na marne.

Klon Morticii (Morticia Addams - postać z filmu Rodzina Addamsów.) za ladą w malutkiej księgarni okultystycznej z gotycką tapetą na twarzy nie był na tyle zainteresowany odpowiedziami na pytania, by unieść głowę znad najnowszego wydania „Propagandy”. Przynajmniej dopóki Colleen nie pochyliła się nad artykułem o historii Siouxi and the Banshees, którego czytanie tak pochłonęło Panią Oryginalną. Splątane kosmyki ociekających wodą włosów Colleen rozsiały deszczówkę na rozkładówce magazynu. To w końcu sprawiło, że dziewczyna zaczęła udzielać odpowiedzi. Ale ich zdawkowość sprawiła, że Colleen zaniepokoiła się jeszcze bardziej. Tak, dziewczyna przypominała sobie niejasno zniewieściałego geja o imieniu Cass. Nie, nie widziała go ostatnio. Nie widziała też Gabrielle. Jeśli Colleen ją zna, może jej powiedzieć, by pojawiła się po odbiór czeku, bo już ją zwolniono. Nie pojawiała się od tygodnia.

Colleen opuściła Dark Mystique, z ulgą witając strugi deszczu, zmywające z niej smród dławiących kadzidełek, które paliły się w księgarni. Zaczęła iść z powrotem po Halsted. Deszcz siekł ją po twarzy, a grzmot błyskawic nad głową przypominał ścieżkę

dźwiękową jednego z niezliczonych horrorów Cassa. W końcu zdecydowała się rozejrzeć za taksówką.

Odświeżacz do powietrza o zapachu olejku paczuli, który wisiał w taksówce, był jeszcze gorszy od kadzidełka w Dark Mystique. Odetchnęła z ulgą, gdy jaskrawy żółto - zielony checker marathon w końcu zatrzymał się na obrzeżach miejskiego osiedla na Elston i Wolcott. Kierowca burknął, widząc jej pięćdziesięciocentowy napiwek. Już wrzucał bieg, gdy Colleen zmagająca się z parasolką, mającą ją chronić podczas biegu po chodniku do Jaskini Rimbauda.

Choć na zewnątrz było szaro i chmurno, jej oczy przez minutę przyzwyczajały się do naśladowanego wieczór półmroku wewnątrz Jaskini Rimbauda. W środku panowały niemal zupełne pustki. Była dopiero czwarta po południu. Najwyraźniej ludzie gotyku i gracze nie wstawali przed zachodem słońca. Zamówiła czarną kawę i poszła do damskiej toalety, a ta sama beznadziejna kelnerka, która zajmowała się nią podczas ostatniej wizyty, wpatrywała się w dwa puste naczynia w ekspresie.

Colleen po drodze minęła malowidło Gabrielle, które wciąż wisiało krzywo na ścianie przy drzwiach do męskiej toalety. Zmarszczyła nos, czując mieszaną sosnowego odświeżacza do powietrza i moczu. Wpatrywała się w obraz bez ram, namalowany dziwnie paćkanymi, brudnymi kolorami na kupionym w supermarkecie blejtramic. Był to nieudolny hołd, złożony temu samemu popularnemu, seksualnemu stylowi, który panował na ekranach działu artystycznego „Charade Magazine”. Kolejne bladolice, nagie postacie, splecione w dziwnych pozycjach, tryskały jaskrawą kadmową czerwienią z ust, karków, piersi i nadgarstków. Wokół nich widniało coś jakby cementarz. Jeśli Gabrielle miałyby więcej talentu i mniej zadęcia, mogła nie pozostawiać obserwatora w niepewności. A może Jaskinia Rimbauda zawiesiła ten obraz, bo nie miała pieniędzy na dzieła prawdziwych artystów.

Kucnęła pod łazienkową suszarką do rąk, zdmuchując deszcz z długich włosów. Jednocześnie czytała graffiti, które pojawiło się tutaj, jeszcze zanim powstała Jaskinia Rimbauda. Napisy pamiętały czasy obskurnej kafejki dla krawaciarzy i knajpy dla motocyklistów. Kiedy suszarka zaczęła tryskać iskrami, zdecydowała, że woli niewygodną wilgoć i z pluskiem w trampkach ruszyła z powrotem do baru.

Z głośników ryczał niezidentyfikowany, brytyjski rock z lat dziewięćdziesiątych. Kelnerka przesunęła na barze wielki kubek z kawą. Colleen zapłaciła i rozejrzała się po Jaskini Rimbauda. Dwie dziewczyny, rozparte na wytartej sofie, spletały ze sobą nogi, które wyglądały jak długie laski lukrecji. Dzielily się długim papierosem. Przemoczony do suchej nitki chłopak w wieku co najwyżej szesnastu lat przerzucał gazetkę o bondage'u przy stoliku pod oknem. Popijał czekoladowe mleko z kieliszka na wino i kręcił palcem w kolczyku w sutku, przeświecającym spod czarnej satynowej kamizelki.

Colleen zapięła pasek wokół parasolki, wzięła łyk z kubka i przyjrzała się czwórce skulonej na dwóch sofach w mrocznym kącie. Od razu rozpoznała białą grzywę Mroza, a potem włosy Gem, pomalowane henną na kremowo. Dwaj faceci z głowami w tanich książkach musieli być Brandonem i Fitchem. W tej chwili Gem podniosła wzrok, rozpoznała Colleen i pomachała do niej.

- Nie, my też ich nie widzieliśmy... Colleen, prawda? - Gem wyciągnęła bi-disa z paczki Mroza i zapaliła, przesadnie wydmuchując lekko - słodki dym w kierunku Brandona i Fitcha. - Zniknęli tej nocy, gdy Cass przyprowadził cię, byś się pospoufała ze sławami. Zdziwiłam się, że cię tu znów widzę. Hej, wraz z Mrozem ułożyliśmy słowa do naszej nowej piosenki. To dopiero będzie hit. Powiedz, co o tym myślisz. - Gem wyciągnęła notatnik na spirali.

Colleen przycupnęła na samym skraju sofy. Dwaj chłopcy niechętnie odsunęli się, by zrobić jej trochę miejsca.

- Hm, może trochę później. - Colleen wzięła notatnik z rąk Gem, ale położyła go na kanapie. - Słuchajcie, Cass chętnie balangował przez całą noc, ale zniknięcie na tak długo nie jest w jego stylu. Zadzwońliby przynajmniej.

- Ale przecież Cass nie pracuje w godzinach od do, prawda? Zorientowaliśmy się, nawet jeśli nie znamy go od dawna - powiedział Mróz. - Może się zaangażował w jakiś wygodny układzik sponsorski? - stwierdził. Zauważył, jak Colleen marszczy brwi. - Hej, nie udawaj przed nami niewiniątka. Jak chcesz nam urządzić scenę zazdrości, to...

Colleen porwała parasolkę i wstała.

- Czy wy, popaprańce, specjalnie staracie się wkurzać ludzi? - Pomyślała, co by było, gdyby cisnęła kubkiem z gorącą kawą w ich fikuśne czarne ciuszki z satyny i koronki. Albo jeszcze lepiej, na notatnik Gem.

Ale tylko wymaszerowała z Jaskini Rimbauda.

Kiedy znalazła się za drzwiami, żałowała, że wyszła. Poświęciła całe popołudnie, żeby tu dotrzeć. Burza nadal szalała, a deszcz wciąż siekł. Pozostało jej złapać taksówkę i dojechać do Elston i Wolcott, a potem drugą, by dostać się do domu. Nie, to niemożliwe. Colleen otworzyła parasolkę i ruszyła w dół Elston. Parę bloków dalej znajdował się przystanek autobusowy.

W Jaskini Rimbauda Gem obserwowała przez okno, jak Colleen odchodzi, a potem wróciła na sofę.

- A to dopiero miła pogawędka, prawda? - Złapała notatnik, a potem zmierzyła wzrokiem wciąż parujący kubek z kawą Colleen, po czym przysunęła go do siebie. - Chyba powinniśmy jej powiedzieć?

- O czym?

- O Gabrielle i Chelsea. O tym, że one też zniknęły. Mróz wzruszył ramionami.

- Może wróciły na łono normalnego świata? Może zaszyły się gdzieś i pieprzą jak króliczki?

- Może - odparła Gem. - Gabrielle zerznęłaby wszystkie dziewczyny w czarnych ciuchach. - Ale jej słowa nie brzmiały przekonująco. - Tylko Cass był inny. Choć gej. A Chelsea? Nie wiedziałyby, co to kutas, nawet jakby jej wyrósł.

- Gdyby jej wyrósł, nie potrzebowaliby Cassa. - Mróz zabrał Gem kubek z kawą i opróżnił go do połowy.

- Nie, coś się stało - stwierdziła dziewczyna. - Coś z udziałem... tamtych.

Mróz przyjrzał się jej zza kubka z kawą.

- Ale co?

- Nie wiem, ale przyprawili mnie o dreszcze. Mieli jakąś taką... aureę, wiesz?

- Ojej. A teraz pomachamy kryształami?

- Wal się, Mróz. Do cholery, wiesz, co mam na myśli. Też to wyczułeś. Mieli jakiś plan, o którym nic nie chcę wiedzieć.

Rozległ się grzmot, który wstrząsnął nagimi, ceglanymi ścianami Jaskini Rimbauda. Nawet Brandon i Fitch podnieśli wzrok znad swoich tanich książek.

*

- Już gotowe, tato. - Jacks zakryła pokrywką kotlety i rozwiązała fartuch nałożony na luźne spodnie i koszulkę. - W zasadzie były gotowe godzinę temu.

Jeff zerknął na zegarek. Dochodziła 19.00.

- Zaraz tu będzie. Pewnie przez tę burzę zrobiły się straszne korki. - Postawił na stole butelkę białego wina, a potem wyjął dwa kieliszki z szafki i opłukał je pod kranem.

- Hej, a gdzie mój kieliszek?

- Tam, gdzie pozostanie do czasu, aż skończysz dwadzieścia jeden lat, dziecko.

- Aha, a jesteś pewien, że nie chcesz, bym wyszła wcześniej na koncert? - spytała Jacks. - Nie wolelibyście cichej kolacyjki we dwoje? Wiesz, światła świec, cicha muzyka...

- ...kotlety, żarcie w kuchni. - Jeff wytarł kieliszki. - W zasadzie nie bardzo. Przez te wszystkie nadgodziny, których się podjąłem, stęskniłem się za kolacjami z tobą. A przecież zostajesz tu jeszcze tylko przez miesiąc. Poza tym chciałbym, żebyś poznała Blair.

Jacks sprawdziła miskę z sałatą i jeszcze raz zamieszała warzywa.

- Tato, już to wcześniej przechodziłam. Mama zwykle woli przyjmować gości beze mnie, żeby jej nic nie zepsuła. Może się boi, że zacznę jeść spaghetti palcami, albo co. - Odstawiła miskę na stół i potrząsnęła głową. - Rodzice i randki. Ktoś powinien napisać taki poradnik.

Zaczęli jeść o 19.30. Jacks przechowała sałatę w lodówce i dwa kotlety Blair w piecyku, zakryte folią.

O 20.00 Jeff zaczął ładować zmywarę. Jacks plątała się po kuchni.

- Nie powinnaś zacząć szykować się na koncert? - zapytał. Wzruszyła ramionami i podała mu talerz.

- Chyba tak, ale mogę odwołać. Spędzimy razem wieczór.

Jeff wydobył talerz, przygotowany przez Jacks dla Blair i wyrzucił kotlety i warzywa do kosza.

- Dzięki, dziecko, ale nie martw się swoim starym. Idź, zrób coś ze sobą, bo pachniesz jak kotlet.

Jacks pomknęła do swojego pokoju. Kiedy posprzątał w kuchni, wyjął teczkę i skierował się do prowizorycznego domowego gabinetu - malutkiej sypialenki, w której główne miejsce zajmował wciąż stół kreślarski, markery i upchnięty w kącie przestarzały komputer. Usiadł

w fotelu przy biurku, zastanawiając się, czy powinien zadzwonić do Blair. Wyciągnął parę razy rękę do telefonu, ale nie wykrecił numeru.

- Tato, moi przyjaciele czekają już przed drzwiami. Muszę iść. -
W drzwiach pokazała się Jacks.

Mrugnął oczami na jej widok. Luźne spodnie i koszulka zniknęły.

- Masz zamiar tak wyjść?

- To znaczy jak? - Jacks przyjrzała się swojemu strojowi. - Myślałam, że fajnie wyglądam. - Wyglądała jak nowi pracownicy w „Charade”: od stóp do głów odziana w czerń. Gdzieś tam, w strategicznych miejscach, ubrania świeciły dziurami. Miała zmierzwione i usztywnione włosy oraz gruby, ciemny makijaż. - Nie podoba ci się - stwierdziła Jacks.

- Nienawidzę tego - odparł, a potem się roześmiał. - O Boże, mówię zupełnie jak mój stary. Wrzeszczał na mnie, żebym ściał włosy, i odgrażał się, że spali mi te bikiniarskie spodnie.

- Co znaczy „bikiniarskie”? - spytała. - Żartuję. Tato, jesteś dyrektorem artystycznym w jednym z najbardziej modnych magazynów w mieście. Myślałam, że będziesz trochę bardziej nadążał za modą.

Teraz Jeff zerknął w dół, na bojówki, buty i zapiętą koszulę.

- Oto ja, sól w oku twórczej społeczności Chicago.

- Na pewno wszystko będzie dobrze?

- Pewnie. Czemu nie?

- Bo cię wystawiono. Jeff skrzywił się.

- Paskudnie brzmi, gdy powiedziałaś to na głos. Ale nic mi nie będzie skarbnie. Nadrobię trochę pracy.

Jacks podbiegła do ojca i uściskała go z całych sił.

- Cóż, moim zdaniem Blair Armstrong nie wie, co traci. Najfajniejszy gość w mieście... i moje kotlety. - Puściła go i zaczęła wychodzić z pokoju. - Wróć o drugiej.

- O północy - krzyknął Jeff.

- Pierwsza trzydzieści?

- Pierwsza.

- Zgoda. - Obróciła się.

- Jacks?

- Tak, tato?

- Naprawdę te ciuchy mi się nie podobają. Podbiegła i przytuliła się do jego ramienia. A potem jej siatkowe ubrania i ciężkie buty zniknęły za drzwiami. Uśmiechnął się.

- Och, gdzie podziały się czasy zuchów i szkolnego baletu - powiedział na głos, włączając lampkę na biurku i otwierając teczkę.

Stary list, który podrzucił mu dziwak z działu poczty, leżał na samym wierzchu. Jeff rozerwał kopertę, z której wypadły trzy nieoznakowane dyskietki. Jeff ponownie spojrzał na znaczek na kopercie.

13 czerwca.

Dzień po śmierci Megan Russell.

Włączył stary komputer.

Kiedy maszyna wystartowała, Jeff wsunął jedną z dyskietek. Ekran zgasł. Mężczyzna spróbował jeszcze raz, ale wynik był ten sam. W końcu pokazał się napis: „Dysk nie może być odczytany. Sformatuj albo spróbuj ponownie”. Jeff wyjął dyskietkę.

Spróbował tego samego z dwoma pozostałymi dyskietkami. Jeff przyjrzał im się bliżej. Na obudowie jednej z nich widniało pęknięcie, a metalowa zaślepka na drugiej była pocięta. Najprawdopodobniej pliki uległy zniszczeniu. Ta koperta wiele przeszła. Wrzucił dyskietki z powrotem do teczki.

- Pewnie znów jakieś gotyckie śmieci - mruknął do siebie. Zapomniał o dyskietkach i dał nura w stosy papierów, wysypujących się z jego teczki. Z redakcji przysłano tego popołudnia mnóstwo zmian, ale Kelly ich nie wprowadziła.

Ponieważ Kelly nie wróciła z lunchu.

*

Paczka goździkowych papierosów Mroza skończyła się, zwędził więc marlboro dzieciakowi przy barze, a Gem w tym czasie poszła do damskiej toalety.

Właśnie skończyli błagać kierownika, by im dał szansę zagrać w Jaskini Rimbauda, w dowolnym czasie, nawet wieczorem, w środku tygodnia, nawet za darmo. Bolało ich, że muszą się płaszczyć przed tym dupkiem. Kierownik był starzejącym się krawaciarzem, który zajął się gotyckim nurtem tylko po to, by zdejmować majtki co ładniejszym chłopcom. Gem wyszeptwała Mrozowi w ucho, że może powinien to wziąć pod uwagę, ale zanim zdążył cokolwiek odpowiedzieć, kierownik powiedział im, by wrócili, gdy już będą

mieli prawdziwy zespół. Duet, występujący kiepskie wiersze do mikrofonu z lombardu przy wtórze zaprogramowanych elektrycznych organów to marna rozrywka.

Mróz skrzywił się, przechodząc obok frontowego okna Jaskini Rimbauda. Deszcz wciąż płynął strumieniami. Padało coraz mocniej, odkąd przyszedli tu przed południem. Mróz padł z powrotem na sofę naprzeciwko Brandona i Fitcha. Zapalił marlboro ostatnią zapalką z pomiętego pudełka.

- Co tam czytacie?

Fitch nawet nie uniósł głowy znad egzemplarza książki Poppy Brite z pozaginanymi oślimi uszami, ale Brandon uniósł używane tanie wydanie Kwiatów zła Baudelaire'a.

- I jak się podobają?

- „...de son empire si nos efforts te delivraient” - zaczął czytać Brandon. - „Tes basiers ressusciteraient...”

- Zaczekaj no, Pepe LePeu. - Mróz wyjął książkę z rąk Brandona.

- Zachowaj sobie paryską gwarę na sesje RPG, dobrze? - Rzucił okiem na stronę. - „Zaprawdę, o stworzenie głupie, gdy panowanie jej upadnie, twe pocałunki zbudzą snadnie życie w wampira twego trupie”(Charles Baudelaire Kwiaty zła, tłum. Jan Opęchowski,)

. Hej, fajne gówno. Nadaje się na jebane słowa do piosenki!

- Człowieku, Baudelaire był zupełnie jak prawdziwy fan gotyku - powiedział Brandon. - Powinieneś to przeczytać. Wiesz, on te Kwiaty zła zadedykował Teofilowi Gautier.

- Aha. No i?

- Teofil Gautier - odparł Brandon, przewracając oczami. - Martwy Leman? Clarimonda? La Mort Amoureuse?

Mróz przesadnie potrząsnął białą grzywą.

- A czy oni wszyscy nie pisali tego samego? Sorki, kolego, ale ja tu jestem tylko po to, by robić muzykę i występować. Daj mi coś w stylu Straconych chłopców i Marylina Mansona. Nie mam cierpliwości do tego wiktoriańskiego gówna.

Brandon potrząsnął głową i powrócił do Baudelaire'a. Mróz nudził się, nie mając u boku nadskakującej mu Gem. Wygrzebał trochę fizeliny spod podszewki czarnych, aksamitnych spodni, a potem kopnął książkę w rękach Brandona, aż się zamknęła. - I co myślisz o tym wszystkim?

Ten podniósł ją i wygładził pofałdowaną okładkę książki z antykwariatu.

- O czym wszystkim? Mróz wzruszył ramionami.

- O wszystkich tych dziwacznych rzeczach, molu książkowy, takich jak zniknięcia, albo tym, co stwierdziła ta wiedźma Cassa, że zapadł się pod ziemię, nawet nie mówiąc, dokąd idzie. Albo o tym, że nigdzie nie ma Gabrielle i Chelsea.

- Nawet tego nie zauważyłem - odparł Brandon, szukając strony w książce. - Może znalazły sobie porządną pracę. Może oskarżono je o zakłócanie porządku publicznego i skierowano gdzieś na detoks?

- No dobrze, ale co w takim razie z tą grupką dziwaków, którą Gabrielle przyprowadziła ze sobą tamtego wieczoru? Na ich widok stanął ci mały w jedwabnych gaciach, w które cię wciska Fitch? Czy cię tak wystraszyli, że się poszczałeś? Bo ja się poszczałem. - Gem wyszła z toalety tanecznym krokiem i Brandon z wdzięcznością zagłębił się ponownie w książce. Mróz wskoczył na oparcie sofy i podał ramię Gem. - Czy mam cię poprowadzić do naszego powozu, najdroższa?

- Nie chcesz jeszcze raz spróbować porozmawiać z kierownikiem, zanim wyjdziemy? Niech nam da szansę - stwierdziła Gem. - Zaproponuj mu swój śliczny tyłeczek, a na pewno się zgodzi. A może podsuń mu coś lepszego. Zaoferuj mu tyłki Brandona i Fitcha.

Mróz przez chwilę się nad tym zastanawiał, by potrząsnąć głową.

- Nigdy się na to nie zgodzą. Kierujmy się do powozu, ukochana. Gem wetknęła parasolkę pod ramię i grzebała w torebce.

- Cóż. Mrozie, jeśli nie masz jeszcze jednej dwudziestki i pięćdziesięciu centów, nasz powóz odchodzi z przystanku autobusowego bez nas.

Poprowadził ją do drzwi.

- Już się tym zająłem. Zwinałem Fitchowi parę drobnych.

- Nie powiemy dobranoc?

Mróz spojrzął za siebie, na Brandona i Fitcha, skulonych na kanapie, mrużących oczy w mroku, by dojrzeć litery w książkach.

- Nie, Fitch może zateęsknić za swoimi pieniędzmi.

Oboje opuścili Jaskinię Rimbauda, ramię w ramię, w koronkowych bluzkach, osłonięci parasolką Gem. Skakali przez kałuże, biegnąc po Elston Avenue. Aksamitne spodnie i starannie podarte rajstopy przemokły im, zanim dotarli do przystanku

autobusowego. Na alei już zapalono latarnie. Ich światła omywały sylwetki Mroza i Gem, gdy znikali w porwanych przez wiatr zasłonach deszczu.

Gdy już sobie poszli, otworzyły się drzwi czarnego cadillaca, który przycupnął przy krawężniku o dwa budynki dalej od Jaskini Rimbauda.

Wyłoniła się zeń Gabrielle. Nie zwracała uwagi na burzę. Jej ubrania i farbowane włosy rozwiewał wiatr. W twarz siekł deszcz. Zerknęła w głąb samochodu i skinęła głową, a potem wmaszerowała do swojej niegdyś ulubionej knajpy, zastanawiając się, czy znajdzie się chętny na przejażdżkę.

*

Kelly Feeny wcisnęła guzik na przednim siedzeniu mercedesa, a fotel odchylił się do tyłu jak krzesło lotnicze. Kobieta zsunęła skórzane pantofle i wyciągnęła nogi, opierając nagie stopy na desce rozdzielczej. Sukienka podjechała w górę opalonych ud.

- Och, co za noc. Co za dzień. Chyba aż za dużo się działo.

Joey Fortuna miał oko na pustą, sieczoną deszczem Damen Avenue. Drugim mierzył nogi Kelly. Wysunął rękę i poklepał ją po udzie.

- Hej, Joey wie, jak dobrze zabawić damę.

- O tak. - Kelly wierciła się na miękkim skórzanym siedzeniu, gdy ręka Joeya sunęła powoli coraz wyżej. Położyła dłoń na jego ręce, ale nie powstrzymała go przed wsunięciem jej pod sukienkę. - Lunch w Greektown, picie w Excaliburze, taniec na Rush Street. Człowieku, jutro w biurze mnie zabiją.

- Oj, zasługujesz na chwilę wolnego i na to, by ktoś o ciebie specjalnie zadbał. - Palce Joeya wpełzły jeszcze wyżej. - I na mężczyznę do takiej specjalnej opieki.

Kelly zerknęła na cyfrowy zegarek na orzechowej desce mercedesa.

- Już druga! Nie uda mi się jutro wstać. Ale nie mogę znieść, że ta noc się zaraz skończy. - Odwróciła wzrok od zegara i śledziła oczami przesuające się wycieraczki. Ruch był hipnotyzujący, tak jak palce Joeya na jej nagiej skórze pod sukienką, które zanurzały się w majtki.

- Kto mówi, że się musi skończyć? - Joey zaparkował przy krawężniku. Usiadła.

- Gdzie jesteśmy?

Niechętnie wyciągnął dłoń spod sukienki.

- Cóż, sprawdź sama.

Kelly zmrużyła oczy, próbując dostrzec coś przez rozpryskujący się o szyby deszcz. W końcu dojrzała wielką, czarną markizę ze znajomymi, czerwonymi literami, która majaczyła wysoko nad ich głowami.

- O rany... Gothique!

- Nie chcesz zaimponować kolegom? Założę się, że żaden z nich nie był w środku.

- W środku? Naprawdę? Joey, możemy tam wejść? - Kelly już wsuwała nogi w buty.

- Hej, skarbie, już ci mówiłem, że mam znajomości. - Pochylił się i pocałował ją, długo i z jęczyzkiem. Jego ręka popęzła do rąbka jej sukienki, zatrzymała się, a potem odsunęła od niej. Kelly odwzajemniła się mokrym, nieco pijanym całusem. - Pędź, skarbie.

Nawet nie złapała parasolki. Deszcz wciąż padał, ale wielka markiza Gothique sięgała niemal krawężnika. Kelly wytarła krople deszczu z nagich ramion, a Joey sięgnął ku czarnym, szklanym drzwiom.

- Joey, nie potrzebujesz klucza czy czegoś w tym rodzaju... Otworzył przed nią drzwi.

- Nie, nie ja. Jestem tu kimś w rodzaju VIP - a.

Pozwoliła, by wziął ją za rękę. Kiedy zamknęły się za nimi drzwi, w środku zapadły kompletne ciemności.

- Joey, jesteś pewien, że tak ma tu być?

- Pewnie, chodź. - Prowadził ją w ciemnościach, mijając wahadłowe drzwi. Pograżali się w coraz większym mroku.

- Joey, jesteś pewien, że wiesz, dokąd idziesz?

- Kochanie, ja tu w zasadzie mieszkam. Trafie z zamkniętymi oczami. - Poprowadził ją ku drewnianemu krzesłu. - Usiądź sobie tutaj, a ja przygotuję coś do picia.

- Nie, czekaj. - Kelly złapała go za rękę. - Nie zostawiaj mnie tu w ciemnościach.

Ale on oderwał od siebie jej palce.

- Nie martw się, idę zapalić światło.

- Joey, chyba nie potrzebuję nic do picia. - Ale on już zniknął. Słyszała tupot jego butów na dywanie, który cichł coraz bardziej, aż w końcu umilkł.

Siedziała w ciemnościach. Kręciła się, zakładając nogę na nogę. Już nie myślała o tym, jak trzymał ją za udo ani jaki poczuła zamęt, gdy jego palce wsunęły się do majtek. Zamiast tego poczuła na nagich ramionach nagły podmuch. Miała wilgotną skórę. Roztarła ręce, ale tym razem na skórze nie czuła deszczu, tylko zimny pot. Pod pachą uformowała jej się kropla, która powoli spłynęła po boku pod sukienką.

- Hej, Joey, chyba chcę już iść... Joey, chcę iść stąd natychmiast. Joey?

Usłyszała szelest w ciemnościach. Poczuła jeszcze jeden podmuch, zupełnie jakby gdzieś wiał zimny wietrzyk, muskając jej twarz, aż poczuła gęsią skórę. Podmuch pachniał kwiatami i niezdrową słodyczą. Przywodził na myśl zepsuty owoc.

- Joey? Ja naprawdę chcę już iść, dobrze? Zapalisz światła? Proszę. Gdzieś nad głową za jej plecami rozległ się głośny trzask. Tuż nad nią zapalił się reflektor. Kelly zerwała się z krzesła, przewracając je na dywan w kolorze burgunda. Stała w środku kręgu światła, mrugając oczami i splatając dłonie.

Trzęsła się.

- Jo... Joey?

Gdzieś w ciemnościach ktoś zaszurał nogami. Pochyliła się, mrużąc oczy w świetle, ale nic nie dostrzegła. Wtem usłyszała szept za plecami. Obróciła się, ale za kręgiem blasku widziała tylko mrok i cienie. Zdawało jej się, że te cienie... się ruszają.

- Joey, to nie jest zabawne, wiesz? Naprawdę chcę już iść.

Nagle ktoś zachichotał. Gdzieś w oddali ktoś mruknął coś, a potem się roześmiał. W ciemnościach czaiły się głosy, ale nie widać było nikogo, kto mógłby je wypowiedzieć. Usłyszała syk.

- Joey... Proszę!

Kelly krzyknęła, gdy jej ramienia dotknął zimny palec. Zaczęła się obracać, rozwścieczona, zwijając ręce w pięści. Przygotowała się do walnięcia Joeya Fortuny w bebechy za to, że ją tak straszyl.

Nagle otworzyła dłonie. Trzęsła się. Jej ciało zwiotczało na widok czerwonych oczu, żarzących wokół niej w ciemnościach. Ujrzała, jak cienie wpełzają w krąg światła. Teraz nie były już cieniami, tylko

postaciami, sunącymi po burgundowym dywanie. Miały czarne, skórzane, aksamitne, szyfonowe i koronkowe ubrania, bladą skórę i wychudzone sylwetki. Pomalowane paznokcie wbijały się w podłogę.

Czerwone, brzydkie, niegodziwe oczy pały w czarnych oczodołach.

Zimna, biała ręka złapała ją za kostkę. Kolejna wystrzeliła z ciemności i zacisnęła lepkie palce wokół jej ramienia. Jeszcze jedna złapała ją za rękę.

Nagle wszędzie pojawiły się lodowate palce, ściskając ją, dźgając i szczypiąc ciało. Blade ręce złapały nową sukienkę dziewczyny i ciągnęły ją, aż bawełna zaczęła się rwać. Upadła na kolana.

- Jo... Joey!

Postacie ściągnęły ją na podłogę. Martwe, białe twarze dzieliły od niej ledwie centymetry. Czerwone usta uśmiechały się. W blasku reflektora błyszczwały ostre, białe zęby. Jeden z napastników pochylił się i zacisnął usta na jej nodze. Zaczęła wrzeszczeć jak szalona, do zdarcia gardła, pod wpływem przeszywającego bólu w udzie i obezwładniającego strachu. Kolejny stwór wgryzł się w jej ramię. Jeszcze jeden rozerwał sukienkę i przyssał się do piersi. Próbowwała walczyć, ale cienie ożyły i w kręgu światła pojawiło się jeszcze więcej postaci. Chichotały, syczały, toczyły ślinę, chrząkały i ciągnęły ją ku kłębowisku zimnych białych rąk, rozpalonych czerwonych ust i wyszczerzonych w uśmiechu białych zębów.

Krzyczała rozpaczliwie, a jej przerażony wrzask odbijał się echem w ciemnościach. Rozbrzmiewał w mrocznych czeluściach Gothique jeszcze długo po tym, jak wygłodniałe usta wgryzły się w gardło dziewczyny, uciszając na zawsze Kelly Feeny.

Rozdział piętnasty

W dziale artystycznym „Charade Magazine” zawsze panował chaos. W końcu twórcze osobowości miały prawo cechować się odrobiną anarchii.

Ale zanim poranek dobiegł końca, zapanował chaos jak w domu wariatów. Na Jeffa czekała tradycyjna klika wolnych strzelców, fotografów, przedstawicieli drukarni i handlowców, walcząc o trzy krzesła w poczekalni przy boksach pracowników redakcji. Komputery Tima i Ivy zepsuły się. Dwoje praktykantów oddaliło się profesjonalnie na kawę, zamiast próbować naprawić maszyny. I tak wszyscy wiedzieli, że Tim i Ivy spotykają się potajemnie i korzystają z każdej szansy, by wymknąć się „na kawę”, nawet jeśli miało to oznaczać zamkniętą kabinę w toalecie. Reszta załogi zmagala się ze zmianami, które wczorajszego popołudnia przesłała Blair Armstrong.

Nieustannie dzwoniły telefony.

Jeff trzasnął słuchawką, pozostawiwszy po raz trzeci wiadomość na sekretarce Blair. Obrócił się ku ekranowi swojego komputera. W tym momencie Colleen zapukała do jego drzwi.

- Jeff, mam wydruki po zmianach.
- Dobrze. Jak się dziś trzymasz? Colleen wzruszyła ramionami.
- W porządku. Praca absorbuje myśli.
- Nie miałaś wczoraj szczęścia? Potrząsnęła głową.
- Tyle dobrego, że przynajmniej nie przemokłam dziś w drodze do pracy. Nocą nad jeziorem przeszła burza i oddaliła się, by szaleć dalej po Michigan. Zostawiła po sobie zachmurzone niebo i schnące Chicago.

- Cóż, zobaczmy, co tu mamy.

Colleen przyglądała się, jak Jeff od razu przymierza się do zmian z czerwonym długopisem w ręku. Usiadła.

- Kelly zachorowała?
- Kelly, niech ją ręka boska broni, i tak już ma kłopoty - odparł Jeff. - Wczoraj po południu nie wróciła z lunchu. Dziś nie zadzwoniła. Nie podnosi słuchawki w domu. Próbuję się do niej dodzwonić od 9.30.

- Zupełnie to do niej nie pasuje.

Jeff uniósł wzrok znad stron. Jego oczy spotkały się z Colleen.

- Wcale, prawda?

Telefon ponownie zadzwonił. Po nim zaświeciła się kolejna linia, a potem jeszcze jedna. Jeff odpowiedział na pierwszy telefon, przewrócił oczami i przytulił słuchawkę do piersi.

- Colleen, odbierz pozostałe. To mi zajmie chwilkę. Pokazała mu uniesiony kciuk i pomknęła do swojego boksu. Jeff zaczerpnął tchu.

- Dzień dobry, Elaine.

- Jeffrey, nie każ mi czekać - prychnęła Elaine Porter - Stancheck. - To niegrzeczne.

- Nie kazałem... O co chodzi? Naprawdę mam dużo pracy.

- Zawsze masz dużo pracy. Ale nie martw się, Jeffrey, to nie zajmie dużo czasu. Sama dziś jestem dość zajęta.

Słuchał. Elaine nigdy nie mogła dojść do sedna. Po kilku minutach ogólnikowego bicia piany przerwał jej jednak.

- Houston, Dallas, południowe stany, Calvin, podróże... Elaine, o co ci chodzi?

Nie odpowiedziała od razu, ale po dłuższej przerwie stwierdziła:

- Jeffrey, czy uważasz, że... to znaczy, czy myślisz... czy Jacqueline będzie smutno, jeśli zostanie z tobą nieco dłużej?

Serce podskoczyło mu w piersiach.

- O ile dłużej? - Wiedział, że na twarzy wykwitł mu głupawy uśmiech. Elaine nie odpowiedziała. - Elaine, czekaj. Jacks musi wracać za miesiąc do szkoły, prawda? To będzie jej ostatni rok... promotor, świadectwa, matura, podania na studia, no wiesz, te sprawy. Nie powinniśmy zawalić jej szkoły. Ile dłużej? - Elaine odpowiedziała mu, ale nie przekazała żadnych konkretów. Zamiast tego rozpoczęła kolejny długi wywód, po którym Jeff był jeszcze bardziej dezorientowany. - Elaine, przejdźmy do sedna. Z tego, co słyszę, Calvin jest niezwykle dobry w łóżku, a ty chcesz pożyć z nim na walizkach, aż program samopomocy znudzi go za jakiś rok albo dwa, a wtedy ja będę musiał przesłać ci pieniądze, byś wróciła do domu z jakiegoś zadupia w Teksasie, gdzie ten facet cię porzuci. - Z każdym słowem głos Jeffa stawał się coraz donośniejszy. - Kiedy już zrujnowałaś życie naszej córce i, do diabła, mi również, po niesamowicie kosztownej wycieczce z przewodnikiem po meandrach wymiaru sprawiedliwości, nagle pragniesz, by Jacks spędziła trochę więcej cennego czasu ze swoim ojcem. Ma opuścić swoich przyjaciół, szkołę i zaprzepaścić ostatni rok. Czy tak to ma wyglądać?

- Jeffrey, jesteś rzeczywiście okrutnym, niewrażliwym sukinsynem. Nie mogę uwierzyć, że za ciebie wyszłam. Gdyby nie Jacqueline...

- Gdyby nie Jacks, ktoś inny by ci zrobił brzuch, a ty byś go obwiniała przez resztę swojego życia. - Teraz już krzyczał, ale nic go nie obchodziło.

Nawet nie marzył, że Elaine sprawi mu taką niespodziankę. Ale też nie chciał pozbawić Jacks jej środowiska w ostatniej klasie szkoły średniej.

- Oszczędź sobie tej psychologicznej gadki dla Calvina. To on robi ci kurs wspomagania w Waco Holiday Inn. Obmyślmy, co zrobić z Jacks. - Jeff wyszedł zza biurka i wyciągnął przewód telefoniczny tak, że aż sięgnął drzwi gabinetu. Druga część rozmowy zapowiadała się jeszcze głośniejsze.

Gdy drzwi do pokoju Jeffa zamknęły się z trzaskiem, Colleen wyrzała znad swojego boksu. Zbyła kolejnego przedstawiciela laboratorium fotograficznego na linii trzeciej i wcisnęła przycisk wstrzymania, by wrócić do przerwanej rozmowy.

- Przepraszam - powiedziała - jak się pani nazywa?

- Detektyw Shepherd, pani Russell. - Kobięcy głos brzmiał przyjemnie, niemal radośnie. - Terri Shepherd. - Cóż z tego, skoro była detektywem.

Detektywi. Policja. Megan. Cass.

Colleen wiedziała, że jej głos brzmi nerwowo, ale nic na to nie mogła poradzić. Zwinęła w supeł lok rudych włosów.

- I... hm... O co chodzi?

- Zdaje się, że to pani zgłosiła zaginięcie na czternastym posterunku?

- Cassa? Tak.

- Pana Cassidy Lumbacha, zgadza się. Powiedziała pani, że nie pojawił się od tygodnia?

- Tak, prawie od tygodnia. I co? Nic mu nie jest? Czy ma kłopoty? Czy...

- Pani Russell, chciałabym pani zadać parę dodatkowych pytań. Czy może pani wpaść tu dzisiaj?

- Ojej, chyba tak. Dziś mam strasznie dużo pracy. Może w porze lunchu, ale...

- Mogę do pani przyjechać, jeśli będzie pani wygodniej.

- Tu, do pracy? Policja?

- Dobrze, zatem mogę się z panią spotkać po pracy. Pani pracuje w Rogers Park, prawda? Mam gdzieś tu pani adres.

Umówiły się na 18.30. Colleen miała nadzieję, że zdąży na czas do domu. Jeśli poranek zwiastował, jak ma wyglądać reszta dnia, popołudnie zapowiadało się strasznie. Skoncentrowanie się na wprowadzaniu poprawek będzie ją kosztowało dużo pracy, ponieważ myślała o Cassie i spotkaniu z detektyw Shepherd.

*

Joey Fortuna zaparkował mercedesa w alejce obok Gothique. W każdym innym miejscu nawet nie pomyślałby o pozostawieniu tego czarnego cuda pod schodami przeciwpożarowymi, bo gołębie by je obsrały.

Ale z jakiegoś powodu gołębie nigdy nie pojawiały się wokół starego kina, choć wprowadzały się bez wahania do wszystkich budynków wokoło. W kinie nie było ani jednego ptaka.

Kiedy podnosił bagażnik, w brzuchu zaburczało mu po śniadaniu. Zerknął przez ramię, by upewnić się, że jest bezpieczny. Zobaczył opustoszałą alejkę. Wszystko w porządku. Wyjął ciężkie, poobijane pudło. Skrzynka była brudna, trzymał więc ją z dala od błękitnej marynarki i białych spodni. Jego były kolega, Nicky Kolitzky, nauczył go, by zawsze nosić marynarkę, nawet w gorące, letnie poranki. W końcu błyszczący mercedes, jedwabna koszula i zwitek banknotów w tylnej kieszeni przebyły z nim długą drogę. Ale nie mógł paradować po mieście z kaburą pod pachą, bo jakiś policjant w końcu zadałby mu o nią pytanie.

Wszedł na zaplecze, starannie wstukując kod alarmowy i odryglowując drzwi. Wieczorem każdy mógł tu wejść. Wtedy żadne drzwi nie były zamknięte. Ale wtedy też żaden człowiek - na tyle głupi, by się odważyć - stamtąd już nie wychodził.

Ale nigdy za dnia.

Gothique zawsze było zamknięte w ciągu dnia na cztery spusty. Joey sam zamknął zeszłego wieczoru wszystkie drzwi i ustawił alarm. A raczej dziś rano. Prawie świtało, zanim z nią skończyli. Zabawili się nieźle z Kelly Feeny. Dziewczyna była czysta. Może wypła o parę margerit za dużo, ale nie brała narkotyków, nie była na nic chora. Prawdziwy smakołyk.

Oni już schowali się przed światłem dnia, gdy wrzucił ciało Kelly do jeziora. Tym razem zrobił to na południowym brzegu, wprost do zbiornika przepływowego za Calumet Harbor. Nikt go nie widział. Nawet gdyby ktoś go zobaczył, z pewnością by się nie wtrącał. To nie była przyjemna dzielnica. Ludzie zjawiający się o tej porze mieli własne sprawy do ukrycia.

Całkiem nieźle poradzili sobie z Kelly. Jej nagie, blade ciało pokrywały wzory potwornych sińców, rozdartej skóry i nierównych nakłuć. Ale w jej ciele nie pozostała ani kropla krwi.

Wszystko wysali. Co do kropelki.

Przez chwilę zwłoki Kelly unosiły się na powierzchni zanieczyszczonej Wody. Joey wrzucił dwie drewniane kłody, które przywiązał jej wcześniej do nóg. Ostatnie, co zobaczył, to martwa twarz Kelly tonąca pod powierzchnią oleistej cieczy. Dziewczyna miała wybaluszone oczy, jakby tuż przed śmiercią zwariowała.

Pomyślał, że zapewne tak było.

Zamknął za sobą tylne drzwi. W jednej ręce ciążyło mu pudło. Drugą wciskał do kieszeni klucze. Joeyowi powierzono wszystkie. Szedł ku głównemu wejściu labiryntem ciemnych korytarzy. Przemierzając drogę, zapalał światła. W korytarzach na zapleczu wciąż panował bałagan. Leżały tam materiały budowlane, gruz po przebudowie i śmieci z Palace, które wciąż czekały na wyniesienie na śmietnik. Ale kiedy zbliżał się do głównych pomieszczeń klubu, prace wyglądały na ukończeniu. Niektóre z miejsc były niemal gotowe. Najwyższy czas. Wielkie otwarcie Gothique zaplanowano na wrzesień.

Joey wkroczył do obszernego holu, w którym niegdyś mieściło się kino. Rzędy siedzeń i ekran zniknęły. Obecnie przekształcono go w loch rodem z koszmaru, z naśladowymi średniowiecznymi kolumnami łukami, podświetlanymi witrażami, ciemnymi alkowami ze stolikami, sofami i zacisznymi kącikami. Z rur nad głową zwieszały się wielkie głośniki i światła. Na ścianach wisiały olbrzymie ekrany, przypominając puste blejtramy w czarnych ramach. Wąski podest, niegdyś rozciągający się przed ekranem, teraz rozbudowano, tworząc ogromną scenę, obramowaną nie mniejszym ozdobnym proscenium, wzbijającym się na ponad dwadzieścia metrów w mrok.

Joey odnalazł główny panel i zapalił światła.

- Dzięki. - Upuścił ciężkie pudło. Jego zawartość zadzwoniła. Odwrócił się, kładąc rękę na pistolecie pod marynarką. - Joey, nie zsikaj się. To tylko ja. - Gabrielle przycupnęła na skraju długiego baru z czarnego marmuru, który biegł niemalże przez całą długość głównego holu. Skrzyżowała nogi w czarnych pończochach. Na stopie kołysał się zamszowy pantofel z ostrym czubkiem. Paliła gitana, elegancko umieszczając go między czubkami dwóch palców, zakończonych długimi paznokciami. - A myślałeś, że kto to może być?

- Nie powinnaś mnie tak zaskakiwać - odparł i pochylił się, by podnieść pudło. - To najkrótsza droga do śmierci.

Odsunęła z twarzy długie, farbowane włosy.

- Och, no nie wiem. Założę się, że jest więcej takich sposobów.

- Tak? To może się kiedyś im przyjrzymy? - Postawił pudło na barze. - A tak w ogóle, to co tu robisz?

Wzruszyła ramionami, aż zsunął się jej koronkowy szal.

- Wczoraj wieczorem zostałam tutaj. Nie chciało mi się wracać do domu. Nic tam na mnie już nie czeka. Myślałam, żeby się tu wprowadzić.

- Och, doprawdy? A oni znają twoje poważne plany?

- W zasadzie tak. Arianne powiedziała, że to dobry pomysł. Stwierdziła, że przyda się tu za dnia ktoś, kto potrafi myśleć.

- Co... Tak ci... Marek może też tu mieć coś do powiedzenia.

- Marek? - prychnęła. - Ciebie chyba zbyt często faktycznie nie nawiedza myślenie. - Zaciągnęła się i uniosła głowę, by wypuścić nosem dym w kierunku Joeya. - Typowy śmieć w stylu macho. Przez takich kretynów jak ty świat wygląda paskudnie. Och, idź i popracuj. Nie przyszedłam tu po to, by sobie gawędzić z jakimś meksykańskim alfonsiem.

- Och? A twój alfons to nie meksykaniec?

- Nie, jest... Wal się, Joey. - Dziewczyna obróciła się na stołku i skrzyżowała odziane w czarne pończochy nogi. Przyglądała się kątem oka, czy Joey na nie patrzy, ale nie rzucił nawet okiem. - Doprawdy, brak ci rozumu, jeśli zakładasz, że Marek tu dowodzi tylko dlatego, że to on jest mężczyzną.

- Nie, po prostu wiem, skąd się bierze kapusta.

- No to jeśli o mnie chodzi, możesz sobie ją wyhodować na jajach. Nie przyszedłem tu, tak jak ty, po pieniądze albo po używaną cipkę.

- Doprawdy? - uśmiechnął się szyderczo. - Wolisz te świeże, co? Gabrielle rzuciła w niego papierosem, ale uchylił się. Papieros wylądował na podłodze, szybko wypalając dziurkę w burgundowej wykładzinie.

- O kurwa! - wrzasnęła Gabrielle. Zeskoczyła z baru, podniosła niedopałek i ugasiła tłącą się dziurę obcasem. - I co narobiłeś? Poza tym po cholere im wykładzina w klubie nocnym?

Joey roześmiał się, podnosząc pudło z baru.

- Kiedy Marek to zobaczy, przypomnij mu, jak działa świat, skarbie. - Joey oddalił się. Jego śmiech odbijał się echem w sklepionym pomieszczeniu.

- Hej, Joey, nie powiesz mu chyba, że ja to zrobiłam, prawda? - Gabrielle wrzuciła papierosy i zapalniczkę do czarnej, zamszowej torebki i pospieszyła za nim. - Joey, proszę. Zrobię ci loda.

Zatrzymał się na końcu korytarza, przy drzwiach dla personelu.

- Nie, dzięki. Tak wcześnie rano nie chce mi się ścierać twojej jagodowej szminki. Ale jak przez chwilę przestaniesz być upierdliwa, to mi bardzo pomożesz.

- Pewnie, Joey. Dla ciebie wszystko. - Poszli dalej labiryntem korytarzy i klatek schodowych. Zapalali światła, tam gdzie mogli i posuwali się powoli w mroku, tam gdzie ich brakowało. Zeszli do piwnicy, gdzie dopiero zeszłego tygodnia zamontowano nowiutki kocioł gazowy, a potem podążyli jeszcze niżej, gdzie pod koniec czerwca ukończono prace nad remontem hydrauliki. Podpisał i zaaprobował go osobiście miejski inspektor i przystawił Pieczętkę. Chwilę później Drake i Fonda przewiesili go przez świeżo zamontowane miedziane rury, rozerwali gardło i raczyli się nim wprost z krwiobiegu. Joey i Gabrielle zeszli kolejną wąską klatką schodową, zagłębiając się w czeluście na wysokości fundamentów starego budynku. Betonowo - kamienne ściany pokrywały dziury i pleśń. Powietrze stęchło, z braku cyrkulacji stojąc tam pewnie od chwili wzniesienia kina. Jeśli w budynku żyły jakieś szczury, to pewnie tutaj się rozmnażały. - Nie zamierzasz im chyba przeszkadzać, prawda? - spytała, trzymając się tuż za plecami Joeya, kiedy mijali kolejne drzwi w korytarzu.

- Myślałem, że to ty jesteś zaangażowana we wszystkie „akcje”. Jak mogę im przeszkodzić o tej porze? - Zatrzymał się przy ostatnich drzwiach w korytarzu. Próbował balansować ciężkim pudłem, jednocześnie grzebiąc w kieszeni. - Wyciągnij mi klucze, dobrze? - Wyciągnęła pęk i z piskiem zardzewiałych zawiasów otworzyła. Weszli do kompletnie czarnego pomieszczenia. - Zapal światło. Włącznik jest na ścianie tuż za tobą.

Przekręciła włącznik. Nad ich głowami zapaliła się samotna żarówka, skryta pod zasłoną pajęczyn.

- Och, ale fajnie. - Pomieszczenie miało niecałe osiem metrów. Brzydki, szary beton ociekał wilgocią. Podłogę pokrywał brud, spod którego ledwo wyzierał cement. Jedyna żarówka pod sufitem rzucała nikłe światło na rzędy staroświeckich prycz z kutego żelaza, przypominających piętrowe łóżka w internacie. Zagłówki i nogi prycz wykonano z wygiętych rur. W równych rzędach stało dwadzieścia miejsc. Na każdym z nich leżał skąpy, szary materac, każdy jeszcze bardziej porwany i poplamiony od poprzedniego. Tuż pod wiszącą żarówką na dwóch łóżkach skulili się Brandon i Fitch. Byli zupełnie nadzy. Nadgarstki i kostki owinięto im srebrną taśmą izolacyjną. Taką samą taśmą zaklejono im usta. - A więc to tu ich zabrali - powiedziała. Szła za Joeyem, który poszedł z pudłem w kierunku łóżek. - Zeszłego wieczoru pozwolili mi popatrzeć. Ci dwaj zrobili z siebie niezłe przedstawienie. Padali na każdym schodku. Ale gdy Drake skoczył... Fitch zaczął się drzeć jak niemowlę z pełną pieluchą, a wtedy Drake i Fonda po prostu gdzieś go powlekli. Chciałam iść za nimi, ale kazali mi zaczekać na schodach. - Dziewczyna usiadła na skraju pryczy Brandona i dźgnęła go palcem w żebro. - Chyba ich kompletnie wyssali. - Brandon chciał ją kopnąć kolanami, ale Gabrielle z łatwością się uchyliła.

- Ten jest zupełnie zimny - stwierdził Joey, macając puls Fitcha. - A jednak żyje. Tak jakby. - Brandon jęknął zza knebla z taśmy. - Nabyłem te prycze na licytacji miejskiej - rzekł Joey. - Chyba używali ich w areszcie na 26 Street, a może gdzie indziej. Pewnie z milion lat temu. - Rzucił pudełko na ziemię i otworzył. Gabrielle zajrzała do środka. Wypełniały je kajdanki. Sądząc po wyglądzie i po tym, jak odbijały blask żarówki, były zupełnie nowe. - A te zdobyłem od naszych w siedemnastej dzielnicy. Standardowe wyposażenie policyjne. - Dopasował kluczyki do kajdanek i otworzył dwie pary. -

Wystarczy odpowiednia kwota, przekazana we właściwe ręce i całe to pieprzone miasto, Gabrielle, stoi przed tobą otworem. Z pewnością Marek to wymyślił. Pamiętaj o tym, kiedy zastanowisz się, kto tu rządzi.

Joey sięgnął do kieszeni marynarki i wyciągnął nóż sprężynowy. Ostrze pojawiło się, klikając niebezpiecznie.

- Co mu zrobisz?

- Nie wiem - odparł Joey. - Przesunął dwumetrowym ostrzem po klatce piersiowej Brandona, potem po brzuchu, kierując do włosów poniżej. - Może mu utnę jaja. Pewnie wtedy bardziej koledzy ci się spodobają, prawda? - Gabrielle błysnęła oczami, skupiwszy wzrok na srebrnym ostrzu, gładzącym skórę Brandona. Ten zaczął płakać. Łzy ciekły mu po policzkach, ale szloch tłumiła taśma. - Nie martw się - powiedział Joey. - Nie dotknę twoich klejnocików. Mógłbym coś jeszcze złapać. - Wcisnął ostrze pod taśmę, wiążącą stopy Brandona, pociągnął i przeciął ją. Ten natychmiast zaczął kopać, ale Joey złapał go za nogę i zacisnął jeden pierścień kajdanek wokół jego nogi, a drugi przypiął wokół żelaznych prętów pryczy. - Gabrielle, pomóż mi. - Dziewczyna przytrzymała ramiona Brandona, podczas gdy Joey przecinał taśmę na nadgarstkach i przykuwał chłopca do wezglowia. - Dobrze, w pudełku jest jeszcze parę kajdanek. Przypnij je do wezglowia i nóg każdej pryczy. Zostaw drugi pierścień kajdanek otwarty, żeby było łatwiej je zamknąć, gdy pojawi się więcej... gości. - Joey dalej odcinał taśmę z nadgarstków i kostek Fitcha, a potem przypiął go do ramy łóżka. Fitch nie protestował. Nawet się nie poruszył. Oddychał tylko chrapliwie, kiedy ten przetaczał go po pryczy. Kiedy z nim skończył, wyjął kajdanki i zaczął przypinać je do pozostałych łóżek.

Ale Gabrielle nadal siedziała przy Brandonie. Najpierw patrzyła na zsiniałe ślady na jego ramieniu, a potem na groźniejsze, poszarpane rany na gardle. Przebiegła mu paznokciami po udzie. Chłopiec wił się na brudnym materacu, dzwoniąc kajdankami o metalową ramę. Łóżko piszczało jak stado myszy. Dziewczyna pogładziła jego wiotkiego penisa długim czarnym paznokciem i patrzyła, jak różowy robaczek próbuje ukryć się w gęstwinie włosów. Przyglądała się mu uważnie, a potem odgarnęła penisa na bok i pochyliła się, by bliżej przypatrzeć się dwóm nakłuciom, skrywającym się w kroczu Brandona.

- O, co my tu mamy?

- Co takiego? - zawołał do niej Joey z drugiego krańca pokoju.

- Chyba kutasa. - Zachichotała. - Tylko jakiegoś takiego małego.

- Poglądziła Brandona po kroczu, wodząc palcami wokół ran. Dziurki były wciąż śliskie od wypływającej krwi. Zanurzyła palec w czerwonym strumyku i rozsmarowała płyn na wargach. Uśmiechnęła się i mrugnęła borsuczymi oczami. - To musiał być Fonda, co? - Dźgnęła go ponownie, gdy próbował odsunąć się od niej na materacu. Policzki miał mokre od łez. - To wygląda nieco inaczej niż w czasach Jaskini Rimbauda, kochanie, gdy tak bardzo chciałeś, by wszystko z książek się spełniło.

- Nie drocz się z nim - powiedział Joey.

- Nic na to nie mogę poradzić - zachichotała Gabrielle. - Patrz na niego, staje mu.

- I co cię to obchodzi?

- No dobrze. - Porzuciła Brandona, który wił się na materacu, próbując sięgnąć zakutymi rękami do taśmy na ustach.

Kiedy już przykuli wszystkie pary kajdanek do ram łóżek, Joey i Gabrielle stanęli przy drzwiach, omiatając wzrokiem obskurny pokój. Fitch wciąż leżał nieruchomo, a Brandon nadal rzucał się na pryczy. Joey wyłączył żarówkę nad głowami i pomieszczenie ponownie pograżyło się w ciemnościach. Brandon zaczął jeszcze mocniej rzucać się w więzach.

- Przypomina mi to akademik, na który mnie skazali rodzice - powiedziała. - W szkole dla dziewcząt w Wisconsin. Mieli dziwny sposób na rozwiązywanie problemów dorastania.

- Tam zostałeś lesbą? Wpatrzyła się w niego gniewnie.

- Nie, Joey. Dzięki temu moje wakacje stały się nieco znośniejsze.

- Przypomina mi to więzienie.

- A byłeś?

- Przez chwilę. I nie mam zamiaru wracać. - Wyszedł z ciemnego przejścia. - Zamierzasz stać się jedną z nich, co?

- No pewnie. I to jak najszybciej. Jeśli mi na to pozwolą. I lepiej dla nich, żeby się tak stało.

Wskazał jej ubranie.

- A o co chodzi z otoczką? No wiesz, z gotyckością. Skąd się to, do cholery, wzięło?

Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. A ty zamierzasz...
- Ja tu jestem dla pieniędzy.
- Och, tak. Zapomniałam. I dla cipek z pańskiego stołu.

Joey zacisnął pięści i zrobił jeden groźny krok w jej kierunku. Sarkastyczny uśmiech zniknął Gabrielle z ust. Nagle zdała sobie sprawę, jak wysoki był Joey Fortuna i jak rękawy marynarki wypychały mu mięśnie ramion. Materiał odkształcała też kabura pistoletu.

Zatrzymał się.

- Chyba uważasz, że jestem jakimś przygłupim kutafonem - powiedział. - Niespecjalnie też mnie kręcisz. Ale co ty na to, byśmy jakoś rozegrali tę sytuację? - Joey zamknął drzwi, odcinając się od stłumionych wrzasków Brandona, a potem zasunął rygiel. - Nie wiem, co ty sądzisz, ale ja nie zamierzam kończyć, przykuty do jednego z tych łóżek. Możesz sobie teraz nosić wedle życzenia czarne kiecki i słuchać wszystkiego, co ci wpadnie w ucho, czytać, co zechcesz, i robić taki makijaż, jaki ci przyjdzie do głowy. Ale oboje wiemy, że gdy coś spierdolimy, skończymy, wrzeszcząc w ciemnościach jak tamta ciota. - Wrzucił klucze do kieszeni. - Co ty na to? Umowa?

Gabrielle zerknęła na zamknięte drzwi. Wciąż dobiegał zza nich łomot kajdanek o ramę łóżka.

- Zgoda.

Rozdział szesnasty

Detektyw Terri Shepherd wyglądała bardziej na nauczycielkę z przedszkola niż na oficera policji.

Zjawiła się u drzwi mieszkania Colleen punktualnie o 18.30, dokładnie tak, jak to ustaliły. Ta kręciła się nerwowo po salonie, zbierając porzucone ubrania, stare gazety i brudne naczynia, które narosły przez kilka wieczorów.

- Przepraszam bardzo za bałagan, pani detektyw. W tym tygodniu pracowałam do bardzo późna.

- Nie ma problemu, pani Russell.

- Proszę mi mówić Colleen.

- Dobrze. Nie kłopotz się, Colleen. - Detektyw Terri Shepherd nie tylko wyglądała jak przedszkolanka, na dodatek była zupełnie młodzietka i miała dziewczęcy głos. Może był trochę za piskliwy, ale to również do niej pasowało. Miała sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu i brązowe włosy, przez co wyglądała jak elf. Do tego teraz potargał je wiatr i zmoczył deszcz, zamieniając w poplątaną gmatwaninę. Pod brązowymi kosmykami kryły się czujne brązowe oczy i nieco przydługi nos, który sprawiał, że kobieta tym bardziej przypominała elfa. Jeśli ktokolwiek na nią spojrzał, natychmiast w myślach określał ją jako „słodką”.

Ale miała jeszcze parę innych cech.

Nawet nie ubierała się jak detektyw. A raczej tak, jak Colleen wyobrażała sobie, że powinni się ubierać oficerowie policji. Spotkała w życiu tylko dwóch prawdziwych detektywów. Obaj dobiegali pięćdziesiątki. Obaj zajmowali się morderstwami i wraz z nią przedzierali się przez różne pytania po śmierci Megan. Obaj doskonale wpasowali się w jej wyobrażenia o policjantach - podtatusiali, łysawi, z upodobaniem do wytartych na łokciach, bezbarwnych kurtek sportowych, rozwiązanych krawatów i tanich, letnich półbutów.

Ale detektyw Terri Shepherd naprawdę wyglądała tak, jakby miała za chwilę powiedzieć gromadce pięciolatków „Dzień dobry, dzieci”.

Miała na sobie spódnicę khaki, nie za długą i nie za krótką, z wetkniętą za pasek męską koszulą w paski oraz brązowe, dopasowane kolorystycznie pantofle. Z kieszeni koszuli zwisały zwykłe okulary przeciwsłoneczne. Niosła cienką aktówkę, która pękała w szwach od

papierów. Colleen wrzuciła do kuchni stos brudnych talerzy, zastanawiając się, gdzie detektyw chowała broń. I czy miała w ogóle jakąś przy sobie.

- Czy nie chciałabyś sprawdzić mojej tożsamości? - spytała detektyw Shepherd, gdy Colleen wróciła do salonu.

- Cóż, chyba powinnam.

Detektyw otworzyła brązowe, skórzane etui i pokazała je Colleen. W środku znajdowała się odznaka i identyfikator: detektyw sierżant Terri Shepherd, Wydział Dochodzeń Wewnętrznych.

- Zawsze myślałam, że skrót to WW - stwierdziła Colleen. - Jak we wszystkich programach policyjnych. - Wskazała kanapę, na której obie usiadły.

- To Wydział Wewnętrzny. Nie pracuję tam, chociaż przez trzy lata byłam tam zatrudniona.

- Naprawdę? Nie wyglądasz...

- Wiem. Nie wyglądam na tyle lat, by ktokolwiek mógł powiedzieć, że gdziekolwiek pracowałam przez trzy lata. - Detektyw Shepherd uśmiechnęła się. - Proszę się nie przejmować, nieustannie to słyszę. Ale służę już od sześciu lat, odkąd skończyłam studia prawnicze. - Widziała, że Colleen przygląda się jej jeszcze uważniej. - Mam trzydzieści dwa lata.

- Naprawdę? Nie wyglądasz, jakbyś miała...

- Wiem, dajesz mi dwadzieścia jeden lat. Gdybym dostała dolara za każdym razem, gdy to słyszę... - Roześmiała się. - Czyż to nie dziwne? Kobiety w moim wieku rujnują się na stoisku kosmetycznym w Fielda, a ja żałuję, że nie mam paru zmarszczek, by ludzie w pracy dali mi chwilę spokoju.

- Otworzyła teczkę i wyciągnęła jasnobrązowy segregator. W trakcie Colleen zauważyła, że pani detektyw rzeczywiście miała pistolet, na dodatek wielki i paskudny. Przypięła go w kaburze wewnątrz teczki.

- W czym więc mogłabym pomóc Wydziałowi Dochodzeń Wewnętrznych? - zapytała Colleen. - A co ważniejsze, jak się to ma do sprawy Cassa? Detektyw otworzyła jasnobrązowy segregator i przejrzała pośpiesznie

parę notatek i formularzy.

- Pan Cassidy Lumbach. Twój współlokator?

- Dokładnie.

- Mężczyzna rasy kaukaskiej, około metra osiemdziesięciu wzrostu, osiemdziesiąt kilogramów wagi, włosy brązowe, farbowane miejscami na blond...

- Tak, to Cass - odparła Colleen. - Nie podoba mi się brzmienie tych słów.

- Colleen, zgłosiłaś wczoraj wieczorem zaginięcie współlokatora, ale powiedziałaś, że zniknął przed pięcioma dniami. Czemu tyle zwlekałaś? Większość ludzi dzwoni od razu. Możemy rozpocząć poszukiwania, jeśli dorosły nie pojawi się w ciągu czterdziestu ośmiu godzin.

- Sama nie wiem. - Colleen zaczęła się pocić. Rozmowa z policjantką przywołała wciąż świeże i bolesne wspomnienia. Poza tym w mieszkaniu było jak zwykle niesamowicie gorąco. Zeskoczyła z kanapy i otworzyła okna salonu. Przez okna wpadł powiew wilgotnego wiatru. - Cass i ja przyjaźniliśmy się, ale zwykle nie spędzaliśmy czasu w swoim towarzystwie. To znaczy on miał swoje towarzystwo, a ja... Cóż, ja nie miałam swojego. Już wcześniej zniknął na całą noc. Pomyślałam sobie, że... może... - Zamilkła, siadając na fotelu przy oknie. Wiatr zwiewał długie rude włosy na twarz i suszył spoconą skórę. Jej oczy powędrowały w stronę jeziora. Wzdłuż falochronów podnosiła się mgła, która już zaczynała wpełzać na podwórko.

- Tak więc, Colleen, kiedy widziałaś się z nim po raz ostatni, wyszliście razem, prawda?

- Tak, ale nie wróciliśmy razem do domu.

- Czy to było niezwykle?

- Trochę. Chciałam opuścić towarzystwo, a Cass był gotów iść ze mną, ale przebywał ze swoimi przyjaciółmi, a ja nie chciałam mu zepsuć wieczoru.

Detektyw notowała.

- Czy pamiętasz może, co twój lokator miał na sobie tamtego wieczoru?

- Pewnie, ale powiedziałam już wszystko, gdy zadzwoniłam na policję wczoraj wieczorem.

- Czasem ledwie rozróżniam litery na formularzach - odparła detektyw Shepherd. - Policjanci mają charakter pisma gorszy od lekarzy. Opowiedz mi to jeszcze raz, proszę.

Colleen wruszyła ramionami i zastanowiła się.

- Hm, Cass miał na sobie obcisłe spodnie, najprawdopodobniej z czarnego aksamitu i białą koszulę z falbankami. - Spojrzała w oczy policjantce. - Brzmi dziwnie, prawda? Ale Cass nie ubierał się zwyczajnie. - Zamknęła oczy i zastanawiała się dalej. - Koszula z falbankami i czarne buty Beatle... hm, dużo biżuterii, czyli łańcuchów na szyi, kolczyków i...

- To dość niezwykle pytanie... A może i nie. Czy miał makijaż? Colleen zachichotała.

- Nie, wcale nie jest niezwykle. Musiałaby pani poznać Cassa. - Skinęła głową. - Tak, Cass dość grubo posmarował się MaxFactorem tego wieczoru. Jak zwykle, gdy wychodził. Tak jak powiedziałam, dość z niego niezwykle człowiek. - Podwinęła nogi pod siebie. - Proszę mnie posłuchać, pani detektyw...

- Skoro ja mogę ci mówić Colleen, mów mi Terri.

- Dobrze... Terri. Powiedz mi, o co tu chodzi. Wiem, że zamierzasz powiedzieć mi coś strasznego. I o co chodzi z tym Wydziałem Dochodzeń Wewnętrznych?

Detektyw Shepherd zamknęła segregator.

- Jak już mówiłam, prowadzę dochodzenie dla Wydziału Dochodzeń Wewnętrznych. Zajmuję się sprawami, które mogą angażować wiele działów policji albo innych działów służb miejskich. Colleen, czy twój współlokator miał dziewczynę?

- Cass i ja mieliśmy swoje tajemnice, ale z pewnością nie był policjantem ani nie pracował w żadnym urzędzie miejskim. I na pewno nie miał dziewczyny. Akurat pod tym względem mam stuprocentowe wiadomości.

- Rozumiem. - Terri Shepherd przerwała, rozejrzała się po salonie i zauważyła oprawione w ramki plakaty filmowe na ścianach: Brzytwiany uśmiech, Straceni chłopcy, Taniec przeklętych. Zaczepnęła tchu.

- Colleen, chciałabym ci powiedzieć, że twój współlokator tkwi w celi albo odpracowuje trzydzieści dni przy robotach publicznych czy coś w tym rodzaju, ale nie mogę.

- Nie żyje. - Colleen zagryzła wargi. - Powiesz mi, że Cass nie żyje, prawda?

- Tego też ci nie mogę powiedzieć. W zasadzie to niewiele mogę powiedzieć. To dlatego znalazłam się tutaj, by ci zadać parę pytań.

Colleen zeskoczyła z okna i zaczęła przechadzać się po pokoju.

- Proszę poczekać. Już to wcześniej przerabiałam. „Bardzo nam przykro, pani Russell, wiemy, że pani siostra spadła z setnego piętra budynku Hancock, ale nie wiemy dlaczego i co do tego doprowadziło. Czy może nam pani cokolwiek powiedzieć, co mogłoby nam pomóc w śledztwie”? Co się dzieje z wami, do cholery? Czy wy w ogóle coś wiecie?

- Wiem, że twoja siostra Megan nie żyje. Żałuję, że wydział nie mógł ci swoim śledztwem w niczym pomóc. Tak się składa, że wiem, iż nie pojawił się żaden znaczący trop. - Terri podeszła do Colleen i zatrzymała ją, ująwszy pod ramię. Zaprowadziła z powrotem na kanapę, a potem znów otworzyła segregator i wpatrzyła się w notatki. - Dobrze, mam. Sześć dni temu samochód patrolowy w dwudziestej trzeciej dzielnicy odpowiedział na wezwanie w sprawie zakłócania porządku - dokładniej ujmując, powtarzających się krzyków - na cmentarzu Graceland. Dwaj umundurowani funkcjonariusze wraz ze strażnikiem z biura cmentarza przeprowadzili patrol w terenie. Spodziewali się odnaleźć akty wandalizmu, pijących alkohol nastolatków albo tego typu wykroczenia. Zamiast tego natknęli się na zwłoki niezidentyfikowanej kobiety i mężczyzny. Obydwoje byli częściowo rozebrani i nosili siady molestowania seksualnego. Obydwa ciała nosiły ślady ran nieokreślonej natury.

Po policzkach Colleen płynęły strugą łzy.

- Ca... Cass? Zamordowany na jakimś cholernym cmentarzu? Z... dziewczyną? - Wytarła policzek rękawem. - A o co chodzi z tymi wszystkimi „niezidentyfikowanymi” i „nieokreślonymi”? Kim ona była? Czy mogę zobaczyć Cassa? To znaczy, czy muszę iść do... To znaczy już wcześniej przez to przechodziłam. Już byłam w kostnicy.

Terri Shepherd westchnęła. Wyciągnęła rękę nad kanapą i wzięła Colleen za dłoń.

- W tym punkcie opowieści pojawia się ja. Dwa niezidentyfikowane ciała zostały zabrane nocą do Cook County Medical Examiner, do koronera albo, jak to nazywasz, do kostnicy. Niestety, jeśli sobie przypominasz, była to szczególnie gorąca i wilgotna noc. W takie noce pojawia się szczególnie wiele zwłok. Wojny gangów, postrzały, morderstwa, zawały, co tylko zechcesz. Żadne oględziny nie zostały wykonane ani tej nocy, ani następnego dnia. Nie liczę oględzin, dokonanych na miejscu przez wezwanych policjantów. Ciała sfotografowano, oznaczono jako NN i schowano w

lodówce. Jeśli brzmię zbyt bezduszenie, to po prostu... - Colleen potrząsnęła głową. - Dobrze. Personel patologii w końcu zajął się ciałami trzy dni temu. Kobiety wciąż nie udało się zidentyfikować, choć przekazaliśmy jej zdjęcie do innych dzielnic, do wydziału do spraw nieletnich, do punktu zgłoszeń osób zaginionych i podobnych miejsc. Jej badanie potwierdza, że choć nie została zgwałcona, molestowano ją seksualnie. Na różnych częściach jej ciała odnaleziono wiele śladów ugryzień. Jeśli chodzi o samą przyczynę śmierci, to istnieją rozbieżności. Najwyraźniej wykrawiała się na śmierć, a nie zmarła od poniesionych ran. Choć na miejscu morderstwa odkryto wiele krwi, nie było jej tyle, ile ubyłoby ofiarom.

- A co z Cassem? Tak samo? - spytała Colleen.

- Colleen, rozmawiam z tobą dziś wieczorem dlatego, iż ani wydziałowi policji, ani oddziałowi patologii nie udało się określić, jak zginął mężczyzna ani czy rzeczywiście był to twój współlokator.

- Ale pasował do mojego opisu, prawda?

- Tak, w rzeczy samej, jeśli chodzi o makijaż, ubranie i pozostałe elementy.

Colleen wstała zniechęcona.

- To musimy pojechać do kostnicy, prawda? - Kręciła się zaaferowana po pokoju. - Niech tylko... tak... wezmę torebkę. I klucze. Zawsze zapominam o kluczach. Cass zawsze gdera z tego powodu, niech ja...

- Colleen, zatrzymaj się. - Terri odgarnęła z twarzy włosy i potarła czoło, jakby czuła zbliżający się ból głowy. - Nie idziemy na oddział patologii -

Colleen zatrzymała się przy drzwiach, prawie zarzuciwszy już torebkę na ramię.

- Pewnie, że idziemy. Dam radę. Nie udało mi się pożegnać z Megan, przynajmniej niech mi się uda z Cassem.

- Nie, Colleen, nie rozumiesz. Jeśli to był Cass, to nie możesz go zidentyfikować ani się z nim pożegnać.

- Dlaczego?

- Bo jego zwłoki zniknęły.

*

Terri Shepherd podała Colleen zimne piwo z lodówki i sama sobie też otworzyła jedno. Obie sączyły napoje wprost ze zroszonych butelek. Colleen wprowadziła panią detektyw do pokoju Cassa.

- Pewnie, proszę się rozejrzeć. - Usiadła na skraju łóżka Cassa. Zachręściła błyszcząca, satynowa pościel. - Ale nadal nic nie rozumiem. Jak mogli zgubić zwłoki?

Terri odstawiła piwo i teczkę, a potem obeszała pokój, przyglądając się regałom z książkami Cassa. Stał tam cały szereg podręczników do gry fabularnej Dzieci grobowców, od serii pierwszej do czwartej, dzieła Montague Summersa, Brama Stokera oraz nieodłączna Anne Rice. Byli tam nawet Lumley i Brite. Odkryła schludny stosik czasopism: „Delerium”, „Rysunek Krwią”, „Salon Mroku”, „Carpe Noctem”, „Straszny” oraz stosy spiętrzonych na półkach komiksów: „Wampirzyca”, „Szkarałat”, „Wampy”, „Pani Śmierć”.

- Powiem szczerze, jeśli opinia publiczna dowiedziałyby się, jak często nam się to zdarza, od razu byłaby sensacja na pierwszej stronie „Tribune”. Ale rzadko się to wydaje. Zwykle dzieje się tak w wypadku bezdomnego, narkomanów, tanich dziwek - nikogo, kto zostanie przed pochowaniem złożony w kaplicy. - Detektyw przeszła w stronę kaset i płyt Cassa. Odnalazła wśród nich klasykę, którą spodziewała się znaleźć: Bauhaus, The Cure, The Damned. Pojawiły się tam inne żelazne pozycje: Dark Heresy, Cradle Of Thorns, Eva O, Black Rose. - Dlatego też to ja prowadzę śledztwo. Wydział policji i oddział patologii już zaczęły wytykać się palcami. Pewnie zgadłaś, że moim zadaniem jest przypilnować, by palce wskazały na właściwe osoby. - Terri złożyła notatki na kupkę i przeglądała górną szufladę komody Cassa, w której odkryła dwa plastikowe modele potworów. Jeden z nich przedstawiał Belę Lugosi, drugi półnągą femme fatale, odsłaniającą w uśmiechu długie zęby. W szufladzie wałała się cynowa i pozłacana biżuteria, mieszając się z pędzelkami do makijażu, szminkami, eyelinerem i różem. Zaczęła otwierać szufladę. Zerknęła na Colleen, która skinęła głową.

- Poczekaj chwilę - powiedziała Colleen. - Chyba mówiłaś, że pracownicy biura koronera sfotografowali obydwie ofiary, gdy je tam przywieziono?

- Tak, udało im się to zrobić. - Terri otworzyła obydwie szuflady w szafie. Każdą wypełniała płatanina bielizny, czarnych jedwabnych majtek i bokserek oraz skórzanych i koronkowych rękawiczek o różnych fasonach. Skarpetki i niezliczone czarne podkoszulki dzieliły miejsce ze zwojami nylonowej linki i paroma zabawkami

erotycznymi, wymieszanymi ze stosami komiksów, taśm wideo i dwiema parami majtek Colleen, które nigdy nie wróciły do jej szuflady. Terri zamknęła dolną szufladę i otworzyła teczkę.

- Jesteś pewna, że chcesz to zobaczyć? - Wyciągnęła ku niej zdjęcie w formacie A4.

Colleen przełknęła ślinę, ale wzięła je.

- Och. - Oddała fotografię. - To ta dziewczyna.

- Tak. Znasz ją?

- Spotkałam ją tego wieczoru. - Wstała z łóżka i otworzyła przed Terri szafę Cassa. - Była wśród przyjaciół Cassa. Chrissie czy Jessie... Chelsea. Tak się nazywała. Chelsea.

Terri zapisała to w notatniku.

- Pewnie to przybrane imię. Widziałam już ją. Wyglądała na bardzo młodą. Założę się, że uciekła z domu. Na pewno chciałabym poznać imiona wszystkich przyjaciół Cassa, których spotkałaś. Chciałabym z nimi porozmawiać.

Natychmiast przed oczami Colleen stanęła twarz Gabrielle.

- Życzę szczęścia. W porównaniu z nimi Cass to makler giełdowy. - Usiadła ciężko na łóżku i łyknęła piwa.

- Zdziwiłabyś się, gdybyś się dowiedziała, czym się zajmują niektórzy maklerzy. - Terri przeszukiwała półki w szafie: dwie narzutki z czarnej satyny, stylizowane na średniowieczne koszule i kamizelki, koronkowe bluzki z falbankami, rzędy czarnych spodni, legginsów, koszul i ubrań ze skóry. - Widywałam już dziwniejsze rzeczy w szafach. - Zamknęła drzwi i uśmiechnęła się, gdy Colleen wyciągnęła do niej rękę z wcześniej odstawionym piwem. Detektyw pociągnęła łyk, a potem skinęła głową w stronę okna. - O rany, ależ tu nawiewa mgły znad jeziora.

- O tak. Cassowi się to podoba. A może... podobało. Niesamowite, prawda?

- Colleen, pracujesz w Whitestar Media Group, prawda? „Charade Magazine”? - Colleen przytaknęła. - Siostra pomogła ci zdobyć pracę?

- Nie, zaczęłam tam pracować po jej śmierci. To... długa historia.

- Cóż, może mi ją kiedyś opowiesz. - Terri podeszła do okna i otworzyła je. Do środka wpadł kłęb mgły. Stała tam, wdychając niesiony wiatrem zapach. - „Charade” nieźle się dopasowało do tego gotyckiego trendu, prawda?

Colleen uśmiechnęła się.

- Gdyby usłyszał cię mój szef, pękłby ze złości.

- O, a czemu?

- Och, po prostu ma powyżej uszu kierunku, w którym zmierza pismo. Gardzi powierzchownością nocnego życia, clubbingiem i trendami oraz gotyckim szumem. W zasadzie go rozumiem. To znaczy niektóre kawałki muzyczne mi się podobają, ale cała reszta to po prostu lekko pornograficzne sado - maso dla zblazowanych bywalców modnych kawiarni, prawda?

Pani detektyw roześmiała się.

- Nie mam pojęcia. Sama pijam czarną kawę w kubku, bez pianki i dołączonego podręcznika bondage w formie rymowanego eposu. Wygląda mi na to, że twój szef ma jednak rację.

- Tak, Jeff jest w porządku. - Colleen odstawiła piwo na stolik nocny Cassa. - A więc?

- A więc?

- A więc... grasz na zwłokę. Nie zamierzasz pokazywać mi drugiej fotografii?

- Jesteś pewna, że chcesz...

- Muszę.

Tern wyjęła z teczki kolejną fotografię i podała ją Colleen. Colleen spojrzała na nią, podniosła wzrok na Terri Shepherd i oddała ją z powrotem.

- Oto ostatnia część mojej zagadki.

- Ale...

- Wiem. Rozmawiałam dwukrotnie z personelem biura koronera. Utrzymują, że to właściwa fotografia. - Ponownie podała ją Colleen. - Widzisz, ich aparat automatycznie drukuje na górnym brzegu datę i godzinę, kiedy zostało zrobione zdjęcie. Przepytałam dokładnie trzecią zmianę, która zrobiła tę fotografię i wierzę im. Ofiara, dostarczona wraz z nieznaną kobietą, zwaną przez ciebie Chelsea, dokładnie pasuje do opisu twojego współlokatora Cassa. Jest mi bardzo przykro to stwierdzić, ale twój współlokator nie żył i najprawdopodobniej został zamordowany w brutalny sposób. Chyba że patrol policyjny tej nocy wraz z pączkami i kawą spożył magiczne grzybki. I jeśli nie pogorszyłam znacząco jakości pracy i nagle nie straciłam umiejętności oceny ludzkich charakterów, to ten pracownik

mówił prawdę, gdy utrzymywał, że zrobił zdjęcie leżącym na stole zwłokom Cassidy'ego Lumbacha.

Butelka z piwem wysliznęła się Colleen z rąk i potoczyła się po drewnianej podłodze, wylewając piwo w szczeliny między klepkami.

- Ale... nie ma zwłok. Terri, na tym zdjęciu jest tylko pusty, stalowy stół.

- Wiem. - Terri ponownie rzuciła okiem na fotografię, a potem jednym haustem wysączyła resztę piwa.

Rozdział siedemnasty

Następnego wieczoru, w piątek, Jeff Stancheck wyłączył komputer tuż po wyjściu Colleen. Od dziesiątej przedzierał się przez papierową robotę szefa działu, choć praca po godzinach w piątek równała się bluźnierstwu. Zdecydował jednak, że w ten weekend zostawi pracę w pracy.

Nie zdziwił się, gdy Tim i Ivy wypadli z biura punkt piąta. Pozostali wymknęli się wkrótce po nich. Zwykle Jeff liczył, że w wypadku nawału pracy zostanie z nim Kelly, ale to, gdzie dziewczyna podziewała się przez ostatnie dni, stanowiło osobną kwestię. Najprawdopodobniej nie zdecydowała się na zdobycie referencji w „Charade Magazine”. Gdyby Colleen nie zaproponowała, że zostanie, poniedziałkowy poranek okazałby się porażką.

Dziewczyna sama miała wiele problemów. Jeff zaproponował jej kolację i odwiezienie do domu, ale odmówiła w obydwu wypadkach. Zajęła się komputerem i wyglądała całe stosy reklam Gothique i wkładki do „Charade”, a potem powiedziała „Dobranoc”.

Bez znaczenia, czy pozostali pracownicy wiedzieli o tym czy nie, Colleen Russell miała wkrótce przejść na pozycję zastępcy głównodowodzącego, mimo niezbyt długiego stażu pracy. Może małą siostrę Megan Russell sprowadził do „Charade” przedziwny splot okoliczności, ale Jeff wiedział już, że zwolnienie Gabrielle było najmądrzejszą rzeczą, jaką zrobił w ciągu roku.

Okazało się zresztą, że w samą porę. Blair Armstrong oszalała w ciągu ostatnich dwóch dni. Wprowadzała poprawki do zmian we wrześniowym wydaniu i przysyłała stosy stron do zrobienia dla nowego partnera „Charade” - plakatów, reklam, wysyłek, stron www, programów punktowych i tak dalej. Dyskusowanie na temat przeciążenia pracą nie miało sensu. Wszyscy wyraźnie widzieli najwyższy priorytet Whitestar.

Mówiąc szczerze, w ciągu ostatnich dwóch dni nie dało się niczego omówić z Blair. Od czasu rżnięcia w Park Stratford w porze lunchu zamieniła z Jeffem ledwie parę słów.

Tylko parę słów od tamtej środy, gdy nie pojawiła się na kolacji.

Nawał przesyłanych notatek zasygnalizował powrót „starej Blair”, kobiety, która zjawiała się tu wprost z „Manhattan and Interview Magazine” w pantoflach za czterysta dolarów, lexusie i z

podrasowanym życiorysem w torebce od Gucciego. Tej Blair Jeff na początku nawet nie lubił.

Tak było w czasach, zanim zostali „koleżeństwem”.

Jeff rozpoczął wypełnianie comiesięcznych raportów o zmianach budżetowych i wrzucił je w wewnętrzną skrzynkę pocztową działu. Potem sprawdził godzinę i przeszedł do prognoz na wrzesień. Było parę minut po 23.

Znacznie wcześniej wpadł do domu. Jacks nocowała u swojej przyjaciółki Rachel, parę domów dalej. Gdyby na niego czekała, czułby się winny, też dlatego, że nie było go razem z nią. Ale Jacks po przyjeździe w czerwcu odnowiła znajomość z niektórymi starymi przyjaciółmi z sąsiedztwa, a teraz, kiedy już się zadomowiła, stała się pełnoprawnym członkiem ich paczki.

- Tato, dlaczego traktujesz to jako poważną katastrofę? - zapytała, gdy powiedział jej o telefonie Elaine. Jacks mówiła, że „wraca do domu”, choć Jeff był pewien, że trochę nadrabia miną. Pewnie ją zabolalo, że matka podejmuje kolejną niepewną pracę, w jej życiu pojawia się Calvin i ma przed sobą jakieś absurdalne seanse w teksańskich pokojach hotelowych.

Jeff został do późna właśnie z powodu Jacks. Przez weekend chciał wszystko dokładnie z nią omówić, tak by nie przeszkadzały w tym aprobaty i zmiany na stronach oraz zwyczajowa papierkowa robota, której nigdy nie dało się załatwić za dnia. Musieli zająć się wieloma sprawami: zaaranżowaniem przeniesienia reszty rzeczy Jacks z Encino, telefonami do przyjaciół, których nie miała już zobaczyć tego roku, przeniesieniem papierów szkolnych, wypełnianiem formularzy szkoły w Chicago. Jeff wspomniał - tylko wspomniał - przyparafialną szkołę pomaturalną na skrzyżowaniu 56 Street i Pulaski, ale niedowierzające spojrzenie Jacks wyjaśniło mu, co dziewczyna sądzi o zakonnicach, mundurkach i braku chłopców.

Gdy Jeff w końcu zakończył ostatnią część wrześnieowych prognoz, sprzątaczką wtaczała skrzypiący wózek do działu artystycznego. Mężczyzna wrzucił papiery do skrzynki pocztowej i wyłączył lampę na biurku. U boku miał otworzoną teczkę. Siłą przyzwyczajenia sięgnął do niej, gotów zamknąć i zanieść do domu. Ale nagle usiadł, a ręka przez chwilę wisiała nad klapą. W środku znajdowały się wydruki próbne, papiery i tego typu rzeczy. Na wierzchu spoczywały zniszczone dyskiety, które dwa dni temu

przyniósł chłopiec od poczty. Stary komputer w domu nie chciał ich odczytać. Nawet nowoczesny sprzęt działu nie mógł sobie z nimi poradzić. Najwyraźniej były zupełnie zniszczone.

Jeff wpatrywał się w dyskietki, zastanawiając się, czy powinien je po prostu wyrzucić.

Zamiast tego napisał notatkę na żółtej karteczce samoprzylepnej: „Wysłać w poniedziałek rano do działu usług mediów w celu odzyskania plików”. Spiął dyskietki gumką, oznakował je i wrzucił do skrzynki.

Jeff zamknął teczkę, wsunął ją pod biurko i zdjął marynarkę z haczyka na drzwiach. Zerknął na zegarek i wyłączył światła: 23.20. O tej porze w nocy nie będzie zbyt dużego ruchu na ulicach. Czerwony trans am wciąż nosił brudne ślady, pozostawione przez środową burzę. Samochód zasłużył na solidne weekendowe mycie, ale część smug mogła zmyć się w drodze do domu na południowo - zachodnim skraju miasta. Jeff powinien dotrzeć tam przed północą. Zaczął wychodzić z gabinetu.

Nagle zadzwonił telefon.

Zatrzymał się tuż za drzwiami biura.

To musiała być drukarnia albo jeden z grafików - wszyscy pracowali na trzy zmiany. Nic się nie stanie, jeśli nagrają wiadomość na poczcie głosowej.

Jeff chwycił słuchawkę po czwartym dzwonku, zanim włączyła się sekretarka.

- Jeff Stan... Nawet nie dokończył.

- Co takiego? Dobrze, spróbuj się uspokoić... Jesteś pewna, że już tam nikogo nie ma? Zadzwoniłaś na policję... Do kogo? Detektyw? Dobrze... Nie przepraszaj... Podaj mi swój adres. - Naskrobał numer domu na kartce. - Colleen, będę za dwadzieścia minut.

*

Na Howard El w godzinach szczytu w każdy dzień tygodnia panował paralizujący tłok. Dzięki szalonym godzinom pracy w „Charade” Colleen nauczyła się, że wieczorem sytuacja wcale nie wyglądała lepiej. Nawet w piątki.

Gdy wsiadała do popielatego, aluminiowego wagonu kolejki, zmierzając do śródmieścia, ledwie się mogła wcisnąć, ale wraz z każdym przystankiem w drodze na północ robiło się coraz luźniej.

Gapiła się bezmyślnie na mijane perony południowej dzielnicy. Na każdym z nich tłoczył się tłum japiszonów z Lincoln Park, odzianych w stylizowane na lata sześćdziesiąte jedwabne szkockie pledy i spodnie khaki od Gapa. Jechali do kabaretów w River North i na późne kolacje w centrum, na których serwowano rybę piłą z grilla. Pociąg pędził na północ, do New Town i Wrigleyville, gdzie dwudziestoparolatki stroiły się w powyciągane postgrunge'owe ciuchy i chodaki, a na głowach miały specjalnie niemyte włosy. Stały na peronach, wyciągając szyję w oczekiwaniu na pociąg, który miał ich zabrać na południe, ku wieczorkom poetyckim, domowym imprezom i klubom z pirackim rockiem.

Irving, Montrose, Lawrence Avenue - wszędzie tu na peronach panował taki sam tłok. Tym razem jednak tłum miał na głowach znajome, farbowane fryzury i ciemny makijaż wokół oczu, jagodowy błyszczący na ustach i cynowe krzyże ankh, spodnie i spódniczki, obowiązkowo z czarnej skóry, koronkowe rękawiczki, aksamitne bluzki i wszechobecne czarne rajstopy... Nieważne, że o 22.30 w tę wilgotną noc było ponad 25 stopni Celsjusza. Kierowali się ku księgarniom z okultystycznymi książkami, całonocnym seansom gier, fetyszystowskim imprezom, i innym zajęciom, którym oddawali się ci ludzie przebrani za śmierć i dominy.

Widząc te ubrania, makijaż, nogi przypominające laseczki lukrecji i czarne, babcine buty, które przydeptywały niedopałki, Colleen automatycznie znów zaczęła myśleć o Cassie, Terri Shepherd i jej wszystkich pytaniach o przyjaciół i znajomych, Whitestar Media Group i „Charade Magazine”.

I o Gothique.

Choć nie była specjalnie pobożna, cały tydzień modliła się, by Cass po prostu kompletnie zauroczył się w jakimś młodym chłopaku, innym miłośniku filmów o Draculi, damskich ciuszków i dudniącej muzyki techno - pop. „Błagam cię, Boże, niech się naćpa czymś strasznym i mieszka w najbrzydliwszym baraku w najgorszej dzielnicy Chicago, niech się puszcza w jakiejś alejce w mieście, by zdobyć pieniądze na kolejną głupią zabawkę. Błagam, Boże, niech Cass robi wszystko, tylko nie...”.

Wszystko, tylko niech nie okaże się prawdą, że został zgwałcony i brutalnie zamordowany w wieczór, gdy zostawiła go sam na sam z tymi nieczułymi potworami.

Wszystko, byle nie wykrwawił się na śmierć na cmentarzu, jak zarżnięty pies.

Cass - ometkowany jak kawał mięsa, leżał i stygł w szufladzie w kostnicy.

Cass - zniknął, tak jak na pustym zdjęciu stalowego stołu.

Pusty pociąg zatrzymał się z piskiem na przystanku Morse Avenue. Wyszła i poczłapała po schodach.

Wiedziała, że w lodówce w domu panują pustki, nie licząc dwóch piw, które pozostawiły zeszłego wieczoru z detektyw Shepherd. Wiedziała, że w szafkach kuchennych też jest pusto. W ciągu ostatnich paru dni Colleen nie myślała o sklepach spożywczych i robieniu zakupów.

Nie miało to żadnego znaczenia, bo tak naprawdę wcale nie chciało jej się jeść. Tak czy owak, sklepy wzdłuż Morse już były zamknięte.

Colleen wlokła się po lepkiem chodniku ku Sheridan. Koszulka lepiła się do jej pleców, a w skórę wrzynał się pasek od stanika. Nogi pływały w dzinsach, a stopy jęczały o chwilę odpoczynku, męcząc się w skarpetkach i tenisówkach. Gdy dotarła do Sheridan, bryza znad jeziora przyniosła jej nieco ulgi, mimo że podmuch był ciepły i wilgotny, a od mieszkania wciąż dzieliło ją sześć budynków. „Muszę mieć samochód” - nagle zdecydowała. „Kiedy się wszystko uspokoi, muszę kupić samochód”. „Charade Magazine” nieźle płaciło, a ona niewiele wydawała, nie licząc czynszu i zwykłych wydatków na życie. To, że nagle musiała sama zapłacić cały czynsz, nie grało już takiej roli. Dziewczyna podciągnęła wyżej na ramieniu pasek torebki i poszła wzdłuż skraju Loyola Park. Fale omywały pasek plaży tuż za wąskim budynkiem, a pod światłami latarni już się zbierała mgła. „Tak, rozejrzę się za jakimś samochodem, gdy wszystko wróci do normy”.

Kiedy skierowała się ku swojemu budynkowi, nagle szum samochodowych radioodbiorników i silników został stłumiony przez kopułę korony kasztanowca, rozkołysaną w świetle ulicznych latarni. Chodnik był pocętkowany ruchomymi plamami światła i cienia. Dziewczyna minęła dalsze pół bloku, a ruchliwa ulica za plecami poszła w niepamięć. Zapadła kościelna, wręcz cmentarna cisza, nie licząc szeptu fal i szelestu liści nad głową. Tenisówki Colleen ledwo było słyhać na popekanym chodniku.

Czyje więc kroki stukały po betonie?

Ścisnęła torebkę pod ramieniem i zatrzymała się. Dźwięk kroków ucichł.

Ponownie ruszyła przed siebie. Chwilę później ponownie rozległ się miarowy stukot skórzanych podeszew na podniszczonym cemencie.

Colleen była kobietą miasta z krwi i kości. Już kiedyś wyszarpnęła złodziejowi torebkę w metrze i kopnęła kolanem w krocze nieznajomego, który zapuścił palce w jej ubranie w windzie w Marshall Fields. Nauczyła się rzucać zimne spojrzenie, które uciszało wrzaski mijanych budowlańców.

Ponownie przystanęła.

Kroki ucichły.

Odwróciła się.

Chodnik był pusty.

Ledwie sto metrów od niej po Sheridan przemykały samochody. Ich sylwetki zamazała mgła, wpełzająca na Chase Avenue. Drzewa kołysały się, latarnie zaś próbowały przeświecać spomiędzy gałęzi. Stare kamienice przycupnęły po obydwu stronach ulicy, ciche i ciemne, nie licząc jednego czy dwóch zapalonych okien.

Nikogo tam nie było.

Żadnych białych twarzy ani borsuczyczych oczu, czy też jagodowych ust, krzywiących się we wrednym uśmiechu. Nie widziała Gabrielle, wyjmującej mściwie scyzoryk.

Colleen potrząsnęła głową. Miała ochotę powiedzieć sobie, że się głupio zachowuje. Mimo to zmęczone nogi niosły ją coraz szybciej. Skreśliła w podwórko. Kobieta już nie nasłuchiwała. Wpadła w bramę budynku prędzej niż zwykle i popędziła w górę po dwa stopnie na raz. Skrzynka na listy mogła zaczekać do jutra. Zatrzasnęła za sobą drzwi do mieszkania i starannie zasunęła rygle i łańcuchy.

Żadne kroki nie podążyły za nią na czwarte piętro. Była tego pewna. Przekonywała sobie samą, że były efektem czternastogodzinnego dnia pracy.

Nie zapaliła świateł i nie otworzyła okna, mimo że przez cały dzień słońce nagrzewało mieszkanie. Rzuciła torebkę przy drzwiach, zrzuciła tenisówki, rozpięła stanik i już w holu wyjęła go spod podkoszulka. Zaraz potem zdejmowała dżinsy po drodze do swojego

pokoju. Zatrzymała się na chwilę przy otwartych drzwiach do pokoju Cassa.

Wszystko leżało tak, jak pozostawiła zeszłego wieczoru, gdy detektyw Shepherd życzyła jej dobrej nocy. Drzwi do szafy i szuflady pozostawały zamknięte, tak samo jak i okna. W pomieszczeniu panowały ciemności.

Przeszła do pokoju z džinsami zsuniętymi do łydek, szurając stopami po podłodze. Zdjęła spodnie, gdy tylko padła na łóżko.

Zanurzyła twarz w poduszce i zacisnęła powieki, ale zasnęła, zanim jeszcze zdołała wciągnąć nogi na materac.

Ale nie minęło pół godziny, gdy otworzyła powieki.

Nagle poderwała głowę, a potem podniosła się, budząc z koszmaru.

Sen był paskudny. Pojawiła się w nim detektyw Shepherd, przerażające zdjęcie tej dziewczyny, Chelsea, a także Gabrielle i wszyscy ludzie z Jaskini Rimbauda. Colleen przyśnił się Cass, kostnica, fotografia pustego, stalowego stołu, a nawet jej siostra, Megan.

I ta koperta.

Colleen usiadła na łóżku, trzęsąc się, mimo że w pokoju panował upał.

Ta koperta. Przyniesiono ją do Jeffa dwa dni temu, a przeleżała gdzieś w rozdzielni poczty od czerwca.

Nagle Colleen zorientowała się, czyje pismo widniało na kopercie.

Megan.

To jej siostra zaadresowała ręcznie kopertę do Jeffa. Może stało się to w dniu jej śmierci.

Colleen zerknęła na radiobudzik na stoliku nocnym: 23.15. Czy było zbyt późno, by zadzwonić do Jeffa i dowiedzieć się, co było w tej kopercie, oraz powiedzieć, kto ją wysłał?

Wciąż drżąc, podciągnęła pod brodę kłęb prześcieradła i koca. Przeciąg musnął jej włosy zwisające wokół twarzy.

Przeciąg?

Colleen zaczęła jeszcze mocniej drżeć, kiedy nagle zdała sobie sprawę, że na policzkach czuje wyraźny powiew. Zimny podmuch niósł znajomy zapach jeziora. Zerknęła na okno w sypialni.

Było szczelnie zamknięte.

Podciągnęła kolana pod brodę i zaczęła kołysać się na łóżku, gdy zdała sobie sprawę, że dobiega ją plusk wody, rozbijającej się o falochrony cztery piętra niżej. Mogła go słyszeć tylko, gdy...

Gdy okna były otwarte.

Zagryzła wargi, kiedy usłyszała znaczący pisk okiennych zawiasów zasmarowanych grubo farbą...

Okien w sypialni, w korytarzu.

Poczuła, jak na skórę występuje jej zimny pot. Usłyszała, jak skrzypi podłoga pod przesuwającymi się stopami w pokoju Cassa. Kroki szurały, jakby ktoś starał się iść na palcach w butach o grubej podeszwie.

Usłyszała, jak otwiera się szuflada.

Colleen utkwiała oczy w nieprzeniknionych ciemnościach tuż za drzwiami swojego pokoju. Próbowwała coś powiedzieć, ale z poruszających się ust nie wydobył się żaden dźwięk. Przełknęła ślinę, kiedy usłyszała kroki i otwierające się drzwi szafy. Przełknęła raz jeszcze, wciągając powietrze i zbierając ślinę. W końcu udało jej się coś powiedzieć.

- Cass? - Dźwięki, dobiegające z pokoju Cassa, ucichły. - Cass, to ty?

*

Kiedy Libbie wyłączyła telewizję, Frank Hoelevich obudził się z wygodnej drzemki na fotelu.

- Która godzina? Sox podniósł głowę z łap. On też spał, tuż przy fotelu Franka.

- Prawie północ - odparła Libbie, wyłączając lampy w salonie. - Zasnąłeś. Cubs przegrali w dogrywkach, jutro znów będzie gorąco i wilgotno, a ten piosenkarz country, który ci się podobał, wystąpił u Jay Leno.

Frank usiadł w fotelu.

- Pamiętam, że poszłaś odebrać telefon. Następną rzeczą, o której dowiedziałem się, jest to, że już jest jutro?

- Frank, telefon dzwonił tuż przed dziewiątą.

Ten potrząsnął głową, zdumiony, że spał niemal trzy godziny. A raczej zdziwił się, że Sox pozwolił mu spać. Pies ostatni raz wychodził przed kolacją.

- I kto dzwonił?

- Stella. Powiedziała, że da nam jeszcze jedną szansę. - Libbie odłożyła program telewizyjny i zabrała wieczorne przekąski do kuchni. - Frank skinął do siebie głową. Stella była szwagierką Libbie. Dzwoniła z Sarasoty, dokąd w ciągu ostatnich dziesięciu lat przeprowadziła się połowa rodziny Libbie. Frank i jego żona nigdy za nimi nie pojechali, ale odwiedzali ich co roku latem przy okazji dorocznego spotkania rodzinnego. A przynajmniej Libbie próbowała tak robić. Frank miał powyżej uszu opalonych starszych mieszkańców i ich wszystkowiedzących dzieci, którzy brzęczeli mu, by sprzedał swój domek i wprowadził się do jednego z małych standardowych mieszkań. Ale Frank wiedział, że Libbie bardzo lubiła te wizyty. Gdy dzieci dorastały, jednocześnie co roku ubywał ktoś z ich pokolenia. Oczywiście, ominęła ich zeszłoroczna impreza. Brakowało im pieniędzy. Tu rachunek od lekarza, tam recepta do wykupienia. Wszystko drożało. Odsetki od lokaty, zasiłek i parę dolarów emerytury ledwo starczały na życie. Tego roku nie było mowy o wyjeździe. Libbie wróciła do salonu. - Nie idziesz spać?

- Pewnie tak, za minutę. Co dokładnie mówiła Stella?

- Och, to samo. Przypominała mi, że jej wnuczka wychodziła za męża, a my nie byliśmy na zaręczynach, ślubie i rodzinnym pikniku.

- No cóż, Libbie, może mogliśmy...

- Frank, nie bądź niemądry. Hotele i posiłki kosztowałyby nas fortunę.

- A jeśli pojechałoby jedno z nas? Mogłabyś mieszkać u Stelli.

- Och? Byś mógł z ojcem Silverezem co wieczór chodzić na piwo i grać w karty?

- Nie, chodziło mi o to, że taniej by było, gdybyś pojechała sama i...

- Frank. - Libbie potrzęsła głową. - Sprawdziłam bilety lotnicze. Nawet po obniżkach kosztują więcej, niż nas stać. - Rozejrzała się po salonie, mierząc wzrokiem te same meble, tę samą tapetę, wszystko to samo, co widziała od lat. - Idę spać.

- Cóż, lepiej wyprowadzę psa, albo zacznie mnie budzić, gdy tylko się położę. - Może Frank nie postąpił zbyt mądrze, nie opowiadając Libbie o zdarzeniu w bramie. Miał nadzieję, że Gil także zachowa je dla siebie. Niepokojenie żony nie miało sensu, skoro nic się tej dziewczynie nie stało. Libbie i tak rzadko sama wychodziła

wieczorami. Pewnie pomyślała, że Frank nie chciał wyprowadzać psa w nocy ze względu na paskudną pogodę.

Sox jakby rozumiał każde słowo Franka i Libbie. Już myszkował u drzwi, węsząc przy zwisającej przy wieszaku smyczy. Od paru wieczorów nie było wycieczek do knajpy Mike'a. Pan i pies prawie wcale nie spacerowali wieczorami. Wychodzili tylko na krótką przechadzkę po podwórku. Sox nie rozumiał, dlaczego tak się stało. Ale nawet mimo swojego małego psiego mózgu pamiętał przepychankę w przejściu i nagły kopniak w żebra. I zapach. Sox pamiętał nienaturalny zapach złego, czarnego cienia z ciężkimi butami. To akurat dobrze pamiętał.

- Chodź, chłopcze, idziemy - powiedział Frank, kiedy z trudem schodzili po schodach na podwórko. - Ale nie marnuj czasu. Jest już późno.

Kiedy wyszli na podwórko, poczuli nieprzyjemny upał. Dobrze, że wiał lekki wietrzyk, rozwiewający karmelowo - białą sierść psa. Frank zatrzymał się przy przejściu między domami, zajrzał w mglisty mrok i ujrzał płamę światła latarni na końcu.

- No chodź, chłopcze - zawołał jeszcze raz, kiedy zobaczył, że Sox skończył i teraz dostojnie machał tylnymi łapami, wyrzucając w powietrze kępy trawy. - Gangsterzyki czy nie, mam ochotę zapalić. - Frank przypiął smycz Sokska do jego obroży. - Od dwóch dni nie paliłem.

Szybko minęli ciemne przejście, ale zanim weszli w krąg światła, Frank przystanął. Wytknął głowę i rozejrzał się w prawo i lewo.

Nic się nie działo.

Nie minął ich ani jeden samochód. Naprzeciwko, tuż pod markizą The Palace zaparkował czarny mercedes i cadillac.

- Nie powinienem więcej nazywać tego miejsca „Palace Theatre”. Od teraz jest to „Gothique”. - Frank potrząsnął głową, pochylając się nad jedną z doniczek z geranium, posadzonym przez Libbie. Pod spodem znajdowało się niklowane, szczelne pudełko, rozdawane szeregowcom przed wylądowaniem na plażach Normandii. Wówczas zawierało bandaż, proszek sulfamidowy i jedną kapsułkę morfiny. Frank jednak wcisnął tam dwa hawańskie cygara. Zaczął palić je w obozie. Sprawily, że twarz nastolatka wyglądała odrobinę poważniej. Pojemnik przetrwał wojnę. Frank trzymał go od tamtego czasu.

Sox wachał kwiatki, kiedy Frank zapalał cygaro i ożywiał je oddechem.

- To dopiero jest problem z Libbie, stary. - Pies uniósł pysk w jego stronę, jak to zwykle robił, gdy Frank do niego mówił, a potem powrócił do gorliwego węszenia, gdy upewnił się, że człowiek nie mówił o jedzeniu. - Bóg mi świadkiem, że nie chcę się wlec do Sarasoty. Banda staruchów, którzy udają, że znów mają pięćdziesiąt lat. Rozbijają się w wózkach golfowych w samych szortach. Albo po prostu czekają na swój koniec, a ich dzieciaki z kolei tylko patrzą, jak zgarnąć po ich śmierci ile się da - mówił, kopiąc cygaro. Letni wietrzyk zwiwał dym w spirale wokół jego głowy. Usiadł na stopniu schodów wiodących na parter i oparł się o antywłamaniowe kraty. Na szkle wciąż widać było napis: SKLEP ŻELAZNY HOELEVICHA. W oknie wystawowym kiedyś świecił neon, jednak Frank zdjął go, gdy zamykał interes. - Ale Libbie z pewnością cieszy się na doroczną imprezę. Wiesz, rodzina. Stary, rodzina jest ważna.

Sox podniósł głowę znad klombu, a potem z powrotem zanurzył nos w rośliny. Zarówno dla Libbie, jak i Franka rodzina była ważna. Kłopot w tym, że nie mogli mieć własnej. Po trzech poronieniach lekarz powiedział Libbie, by przestali próbować. Frank raz wspomniał o adopcji, ale zamiast tego oboje dawali pieniądze siostrzeńcom i bratankom. Poza tym obdarowywali słodyczami i dwudziestopięciocentówkami co biedniejsze dzieci z sąsiedztwa.

- Jezu, chciałbym zarobić trochę kasy. - Zerknął naprzeciwko, gdzie majaczył wysoki budynek kina. Zza czarnych szklanych drzwi ani z okien na trzech piętrach nie sączyła się ani jedna smuga światła. - Ale nie ma co płakać. - Obserwował, jak niedaleko od nich, w mglistym mroku ulicy, majaczą dwa bliźniacze światła.

Nagle Sox szarpnął smyczą, wpatrując się uważnie w coś przed sobą. Postawił uszy, zjeżył się i zadarł ogon, marszcząc czarny nosek.

Frank podniósł się ze stopnia. Nagle poczuł nerwowy dreszcz, przebiegający wzdłuż kręgosłupa.

- O co chodzi? - Rozglądał się po Damen. Światła uliczne rozświetlały szerokie kręgi mgły. Następne skrzyżowanie pogrążyło się w niewyraźnej szarości. Tylko te dwa reflektory jarzyły się, oddalone o jeden blok.

- Chodź tu, Lassie. Mam dla ciebie coś specjalnego... - W gardle Soksa rósł warkot. Słowa dobiegły znikąd, ale jednocześnie rozlegały

się wszędzie. Unosiły się po prostu w ciemnościach, wypowiedane ledwo słyszalnym szeptem. Odbijały się echem między wielkim kinem a domkiem Hoelevicha. Frank rozglądał się wokół, omiatając wzrokiem przestrzeń od kina po biegnącą wzdłuż alejkę i majaczące reflektory, żarzące się czerwienią we mgle. - Chodź, piesku i zobacz, co dla ciebie mamy...

- Kto tam? - Frank upuścił cygaro. Coś otarło się o jego plecy.

Sox warknął i skoczył, ale on ściągnął smycz.

Nic nie widział.

Nikt nie stał na malutkim, frontowym trawniku. Nikt nie pojawił się przy przejściu. Nikt nie szedł chodnikiem. Nikogo...

- Czego szukasz, staruchu? Wyszedłeś popatrzeć sobie na czyjeś cycy, co? Rozległ się kolejny bezcielesny głos:

- O co chodzi, nie chce ci się już patrzeć na cyce swojej starej?

- Kto tam jest? - Frank wysunął się o krok. - Tylko się pokażcie, a ja was nauczę, jak...

Słowa uwięzły Frankowi w gardle. Nagle zauważył, że bliźniacze światła wcale nie były reflektorami samochodu, tylko rozżarzonymi punkcikami, unoszącymi się we mgle na Damen Avenue. Powoli się zbliżały.

- Gdzie twój kumpel?

- Tak, przyprowadź księdza, staruchu. Założę się, że on też chętnie popatrzy sobie na cycuszki.

Frank skoczył. Coś ponownie się o niego otarło. Odwrócił się, zaplątując smycz Soksą wokół kostek. Pies ponownie warknął, szarpnął, rozwijając smycz i niemal zwałając Franka z nóg.

- Sox, nie!

Ale Sox pomknął naprzeciwko.

Nagle Frank ich zobaczył.

Początkowo byli tylko cieniami, skrawkami mroku, odrobinę ciemniejszymi od czarnego tła. Jeden wyszedł z za zaparkowanego naprzeciwko cadillaca, a drugi wysunął się z za mercedesa. Jeszcze dwaj wyśliznęli się z alejki przy kinie. Pozostali zdawali się wyłaniać z cienia pod markizą.

Sox wpadł między dwa czarne samochody, szczekając jak chart podczas polowania na lisa.

Lecz szczek urwał się, gdy wpadł za cadillaca. Przez chwilę panowała cisza. Potem rozległ się wysoki skowyt.

- Sox? - Frank wspiał się na krawężnik. - Gdzie jesteś, piesku? Nic ci nie jest? - Rozglądał się wokół, obserwując, jak ciemne postaci suną w jego kierunku. Kątem oka dostrzegł, że rozżarzone punkty zbliżają się coraz bardziej.

Nagle wszyscy zniknęli.

Czerwone punkty i cienie zapadły się pod ziemię, jakby wcale ich tam nie było. Na ulicy zapadła cisza, nawet wiatr ucichł. Ale mężczyzna słyszał skowyt psa.

- Sox?

Tak jak nagle zniknęli, znienacka pojawili się, tym razem tuż przed nim.

- Jezu Chryste... - Frank niemalże upadł na siedzenia, lecz z ciemności wystrzeliła biała ręka i złapała go za gardło, tłamsząc słowa i oddech.

Tuż przed jego twarzą majaczyło blade oblicze, obdarzone szeroko otwartymi, jarzącymi się pomarańczowo oczami, które przypominały węgielki na grillu. Był to ten sam chłopak z przejścia, którego wraz z Gilem przyłapali na szarpaniu dziewczyny.

- Wybacz, stary - prychnął chłopak złośliwym głosem. - Ale ani słowa kościelnej gadki, dobra? To niegrzeczne. - Frank walczył. Wziął szeroki zamach, ale wychudzony chłopiec z łatwością się uchylił. Wciąż trzymał go mocno za gardło, unosząc tak wysoko, że aż musiał wyciągnąć nogi i stanąć na palcach, by się nie udusić. Do cholery, oczy dzieciaka naprawdę się żarzyły, a jego twarz była biała jak u klauna. Uśmiechnięte usta były czarne jak zużyty olej, a zęby... Umysł Franka wykonał fikołka. Święta Matko - te zęby - Matko Boska, módl się za nami grzesznymi... - No, no, stary, już ci mówiłem, nawet o tym nie myśl. Wciąż cię słyszę.

Jedna z mrocznych postaci sunęła ku nim po chodniku. Jej oczy również się jarzyły, a czerwone usta wykrzywiły się w diabelskim uśmiechu. Zęby błyskały w przesłoniętym mgłą świetle latarni.

- Postaw go - powiedziała kobieta, a jej głos brzmiał jak żywcem wycięty z koszmaru. Przypominał świst wiatru w kominie i odgłos tłuczonego szkła. Był do głębi zły. - Złamiesz staremu kark i do czego się wtedy przyda?

Znów przyszedł świt nad plażą Omaha. Ponownie trwał grudzień w Malmedy, a śnieg skrzypiał pod czarnymi butami, które się do

niego zbliżały. Frank widział odbezpieczone lugery. Był pewien, że zmoczy spodnie albo jeszcze gorzej. Ale tak się nie stało.

Dziewczyna przeszła przez krąg światła latarni. Po asfalcie nie snuł się za nią cień. To była ta sama dziewczyna, którą zobaczyli w przejściu, której próbowali pomóc, dziewczyna, którą tamten drugi próbował... Tylko że teraz to ona.

Niosła Soksę pod pachą.

Z koronkowych rękawiczek wystawały długie, białe palce. Kończyły się ciemnymi paznokciami, które teraz gładziły sierść psa.

Ale pies się nie poddawał. Wił się jak złapana w sidła łasica, szarpiąc pazurami przezrzystą bluzkę, aż ją porwał na strzępy, ukazując piersi, białe niczym rybi brzuch. Sox szarpał głową, szczerząc zęby, i próbował sięgnąć jej rękawów.

Dziewczyna złapała psa za grzywę na karku i wyciągnęła przed siebie, zupełnie jak magik, wyciągający królika z kapelusza. Pies zwisał z jej chudej ręki niczym papierowa lalka, warcząc i kłapiąc paszczą.

Odwarknęła do niego, marszcząc nos i mrużąc oczy. Obnażyła zęby. Pies zawahał się, a to wystarczyło, by zacisnęła drugą rękę wokół jego pyska.

- Mam cię, kupo gówna. - Podeszła do Franka i otarła się o niego.
- I co powiesz, stary? Mam się nim zająć? Chciałbyś zobaczyć, co mogą zrobić temu kundlowi prawdziwe zęby?

Frank próbował kopnąć chłopaka, który go wciąż trzymał za gardło. Kopał nogami z całych sił, ale dzieciak nawet się nie uchylił.

Inne cienie unosiły się na Damen Avenue, otaczając ich kręgiem bladych twarzy o czarnych oczach i żarzących się źrenicach. Ukazywały czarne usta i błyszczące zęby. Wszystkie stwory miały na sobie czarną skórę, falbaniaste koszule i błyszczącą biżuterię. Sięgały ku Frankowi i Soksovi bladymi rękami zakończonymi długimi, pomalowanymi paznokciami, dźgały ich i poszturchiwały, śmiejąc się. Otaczały ich coraz ciaśniejszym kręgiem, aż nawet Frank zmarszczył nos. Wydzielali zapach. Pozornie była to przyjemna woń nadmiernie wyperfumowanej kobiety. Kwiatowy, słodki zapach przypominał kadzidełko.

Z odrobiną zgnilizny.

Pachnieli jak kaplica pogrzebowa.

- A więc chodzi o to, stary - powiedział ten, który trzymał Franka - że może twój piesek kiedyś zniknie, gdy będziesz spał. - Przysunął swoją wariacką twarz mima do twarzy Franka, niemal stykając się z nim. Ten nie mógł odwrócić wzroku od oczu jarzących się w ciemnych oczodołach. - Chyba że zajmiesz się swoimi sprawami. Może powinieneś zamknąć oczy, spuścić żaluzje i trzymać gębę na kłódkę. Jeśli będziemy potrzebować pieprzonej publiki, to z pewnością nie w twojej osobie.

- Albo, jeszcze lepiej, może znikniesz? - Ponownie odezwała się dziewczyna. Wciąż okrażała Franka, ocierając się o niego. Za każdym razem przeszywał go dreszcz. Cały czas zatapiała paznokcie w futro Soksa, a pies wił się i skowytał. Biała ręka wciąż więziła jego pysk. - Czemu nie wysadzisz się i nie zdechniesz? Albo nie spakujesz się i nie wyjedziesz. Nie chcemy, żebyś tu był. Żadnych klech, żadnych staruchów, rozumiano? To teraz nasza ziemia i tylko młodzi, piękni i wyluzowani będą tu mieszkać.

Frank śledził oczami okrażającą go dziewczynę. Wpatrywał się w nią z wściekłością równą strachowi. Jej śmiercionośne paznokcie wbijały się w ciało Soksa. Ale chłopak o żelaznym uścisku szarpnięciem zwrócił twarz Franka ku sobie.

- A teraz możesz pędzić i znaleźć księdza. Tyle że my się go nie boimy. A może zadzwonisz po policję? - Dwa cienie szturchnęły się wzajemnie i roześmiały na tę myśl. - Ale wówczas możesz odkryć pewnego poranka, że twoja kobieta nie żyje, rozumiesz? A może, może... Ona po prostu zniknie? Może najgorzej będzie zastanawiać się przez najbliższe parę lat, które ci pozostały, jak ją wykończyliśmy? No wiesz, czy szybko, czy wolno, czy z rykiem wołała twoje imię, kiedy zdychała?

- Albo może będziesz na to patrzył. - Dziewczyna uśmiechnęła się, a potem rozchyliła ciemne usta i wysunęła jeszcze ciemniejszy język, trzepocząc nim obscenicznie.

- Pomyśl o tym, staruchu - rzekł chłopak. Nagle zniknął.

Frank upadł na kolana, wprost na krawężnik. Uniósł wzrok, ale chłopaka po prostu już nie było.

Tak samo jak dziewczyny.

Wszyscy zniknęli, tylko wilgotna mgła snuła się po Damen Avenue, skręcając w widmowe wiry, poruszana niewyczuwalnym wiatrem.

U boku mężczyzny pojawił się Sox. Pies dyszał, skowytał i lizał mu twarz, aż zaczęła ociekać śliną.

- Dobry pies - powiedział, obejmując psa i przytulając mocno. - Dobry pies. Już sobie poszli.

Wpatrywał się w zaparkowane naprzeciwko czarne samochody i mroczną pustkę. Podniósł wzrok na górujące nad nim ciemne kino.

Na najwyższym piętrze otworzyło się jedno okno. Sączyło się stamtąd blade światło. Dobiegł stamtąd stłumiony dźwięk i rozniósł po Damen Avenue, gdzie na krawężniku siedział Frank i kaszlał, aż go bolało gardło, jednocześnie tuląc do siebie psa niczym dziecko. Był to ten sam szalony, rozchichotany, niegodziwy głos, który zanosił się śmiechem gdzieś w czeluściach starego Palace Theater.

Gdzieś w Gothique.

Rozdział osiemnasty

Optymista? Naiwniak? Czy po prostu głupek? Jeff powinien wiedzieć, że nie uda mu się dotrzeć do mieszkania Colleen w ciągu dwudziestu minut.

Dwadzieścia minut zajęło mu wyminięcie samochodów na parkingu oraz tłumu, wychodzącego ze śródmiejskich kin i klubów, nim wreszcie wjechał na Lake Shore Drive. Tam dodał gazu, a czerwony samochód z rykiem pomknął wiodącą na północ ulicą, dobijając do niebezpiecznej osiemdziesiątki we mgle sączącej się z nad plaż. Mimo wszystko minęła niemalże godzina, zanim skręcił z Sheridan Road w Chase Avenue. Natychmiast ujrzał radiowóz, zaparkowany przy końcu budynku. Kogut rozświetlał mgłę niesamowitą czerwono - niebieską aureolą.

Jeff zaparkował do połowy w zbyt małym dla jego samochodu miejscu i pomknął na podwórko. Frontowe drzwi do budynku Colleen stały otworem. Popędził w górę, biorąc po dwa stopnie.

- Kim pan jest? - Dwaj umundurowani funkcjonariusze zajęli całe półpiętro. Sączyli kawę z papierowych kubków. Jeden kopał papierosa.

- Nazywam się Stancheck. Colleen Russell zadzwoniła do mnie. - Wskazał otwarte drzwi mieszkania. Bał się, że stało się najgorsze. - Pracuje u mnie. - Policjant z papierosem zwieszającym się z kącika ust popatrzył na niego pustym wzrokiem. Jego partner miał w oczach to samo pytanie: „I co z tego?”. - Mogę się zobaczyć z Colleen? Nic jej nie jest?

W tym momencie z kuchni wyłoniła się niska młoda kobieta i weszła do salonu.

- O co chodzi, koledzy?

- Jakiś facet się tu zjawił i mówi, że jest szefem dziewczyny.

- No to go wpuście - zarządziła detektyw Shepherd. - Możecie już iść. Rano skończę z wami papierkową robotę. - Dwaj policjanci zerknęli do środka mieszkania, prychnęli na widok plakatów z horrorów, wiszących w ramach na ścianie, a potem zeszli z czwartego piętra, tupiąc głośno. - Pan Stancheck? Detektyw Shepherd. - Kobieta wyciągnęła rękę na powitanie. - Brązowe włosy Terri Shepherd sterczały niczym kolce jeżozwierz. Nawet długie pasma stały sztywno, jakby dopiero co wstała z łóżka. Na twarzy nie miała śladu makijażu, przez co na kościach policzkowych i wzdłuż długiego

nosa widać było ślady piegów. Miała na sobie pogniecioną koszulkę Loyola University, niedbale wetkniętą częściowo w niebieskie, zbyt długie dzinsy, które zakrywały białe buty do biegania.

Początkowo Jeff myślał, że jest przyjaciółką Colleen. Ale nie sposób było nie zauważyć wielkiego rewolweru, wystającego z zapiętej na zatrask kabury, tuż obok plastikowej plakietki policyjnej, zwisającej z paska przy dzinsach. Choć brązowe oczy Terri Shepherd wyglądały na nieco zaspane, Jeff dostrzegł w nich onieśmielającą czujność. Zauważył także, że są duże, okrągłe i mają głęboki odcień sjeny, doskonale komponując się z jej twarzą o długim nosie. Mimo okoliczności ich spotkania zdumiał się, z jaką niechęcią wypuścił jej dłoń ze swojego uścisku. Zaprosiła go do środka. - Colleen powiedziała mi, że zadzwoniła do ciebie do biura. Dobrze, że przyjechałeś.

- Zatem nic jej nie jest?

- Ma się dobrze, ale przeżyła wstrząs. Jest... Colleen wyłoniła się z łazienki.

- Przyjechałeś! - Podbiegła do niego, łkając. Instynktownie objął ją w ojcowskim uścisku. - Och, Boże, przepraszam, że do ciebie zadzwoniłam, ale nie wiedziałam, co robić. Tak... Tak się przestraszyłam, a potem... Ja...

- Colleen, nic nie szkodzi. Wszystko będzie dobrze - powiedział, choć nawet nie wiedział, co się zdarzyło. Starał się jedynie brzmieć pocieszająco. Miał za sobą trzynastoletnie doświadczenie w pocieszaniu. Robił to, gdy Jacks obtarła sobie kolano albo ktoś zranił jej uczucia, zanim jeszcze została zabrana do Kalifornii. Zignorował fakt, że Colleen była jego pracownicą. Po prostu ją mocno przytulił.

- Boże, tak mi głupio - szlochała Colleen.

- No coś ty - odparł i zaprowadził ją na kanapę.

Detektyw Shepherd, która stała naprzeciwko nich w salonie, przypatrywała się mu uważnie.

- Colleen zadzwoniła też do mnie - rzekła. - Zasnęłam na kanapie przy włączonym telewizorze. Aż dziw, że w ogóle usłyszałam telefon. Powiadomiłam patrol z tej dzielnicy, by tu podjechał. Colleen zadzwoniła do ciebie, gdy na niego czekała.

Jeff był zdziwiony, ale doszedł do wniosku, że uśmiech detektyw Shepherd wyglądał na szczery. I tak mu się podobał. Podeszła do kanapy.

- Colleen, czy jest szansa, że gdzieś w tym bałaganie czai się kawa?

- Mo... może. Nie wiem. Nie chodziłam na zakupy ani...

- Pogadajcie sobie - powiedziała Terri - a ja tu pomyszkuję. - I zniknęła w kuchni.

Colleen opowiedziała Jeffowi o wszystkim: jak jechała pociągiem do domu, a potem wydawało jej się, że ktoś ją śledzi w drodze do domu, jak później zasnęła i śniły jej się koszmary, jak słyszała dźwięki, dźwięk okna otwieranego w pokoju Cassa, szuranie butów po podłodze, otwieranie szuflad, skrzypienie drzwi garderoby.

- Jeff, bałam się, jak chyba nigdy w życiu. Kiedy wreszcie udało mi się coś powiedzieć, zawołałam go. Zawołałam imię Cassa, a kroki nagle ucichły, tak samo jak szuranie szuflad i wszelkie inne dźwięki. Po prostu wszystko umilkło.

- A potem?

- Pomyślisz, że jestem szalona. - Udało jej się uśmiechnąć niewyraźnie. Kobieta otarła oczy. - I tak źle się stało, że ściągnęłam tu szefa w środku nocy. Jeśli ci to powiem, jutro rano wyślesz mnie do kadr, gdzie mi powiedzą, że im bardzo przykro, ale...

- Zapomnijmy na chwilę, że jestem twoim szefem, dobrze? Uważaj mnie za przyjaciela.

- Naprawdę tak uważam, Jeff. - Mięła w rękach dół koszulki. - Naprawdę. - Zerknęła przez ramię, na korytarz prowadzący do sypialni. - Pokażę ci. - Pokój Cassa wyglądał, jakby przeszło przez niego tornado. Dwa skrzydła wielkiego okna były zupełnie potrzaskane. Wisiały na wyłamanych zawiasach. Szafa, garderoba, półki z książkami i łóżko zostały przewrócone. Przedmioty porozciągano po podłodze. Drzwi od szafy rozwalono. Na podłodze leżały lampy. Wszędzie wałały się ubrania, czasopisma, książki i płyty. - Jeff, rozległ się ten dźwięk. Świst. Usłyszałam, jak trzaskają okna, tłucze się szkło. Nagle rozległ się hałas, jakby przeciągnął tędy z rykiem wicher. - Colleen podniosła jeden z gotyckich zinów ze stosu na podłodze i ustawiła go na wywróconym regale. - Poczekałam parę minut w swoim pokoju. Byłam tak przerażona, że nie ruszyłam nawet palcem. Nagle zapadła cisza, wtedy pobiegłam do telefonu.

Do pokoju Cassa weszła Terri Shepherd, żonglując trzema parującymi kubkami z kawą.

- Cóż, masz tylko rozpuszczalną. Nie znalazłam cukru. Colleen, jeśli to coś w lodowce ma być mlekiem, to już zzieleniało.

Colleen i Jeff wzięli kubki. Jeff sączył płyn, przestępując przez rozrzucone po podłodze rzeczy Cassa.

- No to, pani detektyw, o co tu chodzi? Po co ktokolwiek miałby tak demolować ten pokój?

Kobieta uniosła brwi, patrząc na niego znad kubka.

- Nie wiem. Ale czy nie widzisz czegoś szczególnego w tym bałaganie? Jeff rozejrzał się po pomieszczeniu i wzruszył ramionami.

- Zauważ, jak wszystko zostało zrzucone z półek, wywalone z szuflad szafy i garderoby. Wszystkie rzeczy układają się w jednym kierunku - na zewnątrz. Nawet okna są wyłamane od środka, i to z taką siłą, by wybić szyby. Zupełnie jakby coś potężnego, może poryw wiatru, po prostu wyrwało wszystko z miejsca i wyssało niczym próżnia przez okno.

Jeff potrząsnął głową. Czuł się głupio i wyglądał na zmieszanego.

- Nie rozumiem. Kto miałby dokonać tych wszystkich zniszczeń?
- Postawił z powrotem przewrócony regał. - Ktoś się tu musiał włamać i...

Teraz Terri Shepherd potrząsnęła głową.

- Colleen utrzymuje, że zamknęła drzwi, gdy wchodziła do mieszkania. Znajdują się na nich dwa rygle, zamek przy klamce, dwie zapadki i para łańcuchów. Umundurowani funkcjonariusze wraz ze mną uważnie przypatrzyli się drzwiom. Nie ma śladów włamania.

- To był Cass - stwierdziła Colleen. Jeff i Terri odwrócili się ku niej. - Mówię wam, to był Cass.

- Colleen, jeśli naprawdę zamknęłaś te drzwi, do środka nie mógłby się dostać nikt, nawet jeśli miałby klucz - stwierdziła Terri. Rozmawiały już o tym. - Nie przy tych zapadkach i łańcuchu. Taki ktoś potrzebowałby profesjonalnych narzędzi do włamania. Bardzo profesjonalnych.

Jeff stał przy rozwalonym oknie. Wychylił się i spojrział cztery piętra w dół, na podwórko. Trawę zakryło jezioro mgły. Jeszcze więcej oparów wypęzało znad falochronów.

- Cóż, nikt nie mógłby się wspiąć po ścianie. Ceglane mury są dość zniszczone, ale nie dają oparcia rękom. Trzeba mieć ekwipunek do górskiej wspinaczki albo coś w tym rodzaju.

- To był Cass - powtórzyła Colleen.

Terri Shepherd otoczyła ją ramieniem i zaczęła wyprowadzać z pokoju. Odwróciła się do Jeffa.

- Wracamy do salonu. Może nie należy tego mówić, ale chyba powinniśmy opowiedzieć co nieco o Cassie.

*

Parę godzin później skończył się słoik z kawą rozpuszczalną.

Cały czas rozmawiali. Colleen i pani detektyw wyjaśniały mu dziwaczne szczegóły życia mężczyzny, który został zamordowany wcześniej na cmentarzu. Powiedziały nawet o tajemniczym zniknięciu zwłok z oddziału patologii Cook County Medical Examiner.

Pokazały też zdjęcia głowy i nagich, poranionych ramion białej jak kreda, martwej Chelsea, a także fotografię pustego stołu koronera, gdzie leżały zwłoki Cassa w chwili robienia fotografii.

Jeff słuchał uważnie, nie zwracając uwagi na to, jak dziwna mogła się wydawać ta opowieść. Nie miał powodów, by wątpić w słowa Colleen Russell. Choć znał ją dopiero od niedawna, był absolutnie pewien, że była uczciwa, rozsądna i racjonalna. Była też siostrą Megan Russell, jego długoletniej współpracownicy w „Charade”. Wcale nie znał Terri Shepherd, ale mówiła jak profesjonalistka i brzmiała dość przekonująco. Prawdę powiedziawszy, mogła powiedzieć mu, że na dachu wylądowały w statku kosmicznym małe purpurowe ludziki, i on by jej uwierzył. Wielkie brązowe oczy, patrzące na niego spod loków, sprawiły, że chciał uwierzyć we wszystko, co miała mu do powiedzenia.

- Dyskietki! - Colleen zeskoczyła z kanapy. - Jeff, te dyskietki! To mnie obudziło.

- Jakie dyskietki? - zapytała Terri.

- Jeff odebrał w biurze list, który zaginął wcześniej w pokoju pocztowym i tam przeleżał parę tygodni. W środku znajdowały się dyskietki.

- To nic takiego - odparł Jeff. - Próbowałem je otworzyć, ale są zniszczone. Pewnie pliki do niczego się nie nadają albo się skasowały.

- Jeff, to Megan przesłała te dyskietki - powiedziała Colleen. Odwróciła się do Terri. - Zostały przesłane pocztą dzień po jej śmierci. Pamiętam znaczek pocztowy. Przez cały tydzień nie mogłam skojarzyć pisma na kopercie. Aż w końcu wczoraj wieczorem, zanim rozpętało się piekło, obudziłam się z koszmaru i nagle wiedziałam, że to pismo Megan.

- Czy masz wciąż tę kopertę? - spytała Terri. Jeff potrząsnął głową.

- Nie, wyrzuciłem. Od dawna nigdzie jej nie ma, za to mam dyski. Miałem przesłać je do informatyków w poniedziałek rano, by sprawdzili, czy można coś z nich odzyskać. Ale nawet jeśli wysłała je Megan, mogą nie mieć żadnego znaczenia. Mogą zawierać kopię czasopisma, raport budżetowy albo jakieś notatki czy milion innych nieważnych rzeczy.

- Nie - powiedziała Colleen. - Mam przecucie. Terri Shepherd spojrzała brązowymi oczami na Jeffa.

- Cóż, cokolwiek na nich jest, będę wdzięczna, jeśli mi o tym powiesz.

- Pewnie - odparł - jeśli tylko uważasz, że to ważne. - Potem próbowali przekonać Colleen, by tej nocy poszła spać do hotelu. Jeff zaproponował jej, że pokryje koszty, a kiedy odmówiła, nalegał, by wprowadziła się na weekend do niego. Ale nie przyjęła żadnej propozycji. Mgłę znad jeziora podświetlała subtelna purpurowa poświata wstającego słońca. Jeff i Terri w końcu wyszli z mieszkania i przecięli podwórko, kierując się w stronę Chase Avenue. - Jak sądzisz, da sobie radę?

Terri wzruszyła ramionami.

Chyba tak. Mam nadzieję. Tak czy owak, zamierzam znów zadzwonić do dzielnicowego i poprosić, by podesłali tu radiowóz, jeśli tylko dysponują jakimś wolnym patrolem w piątkową noc. Myślę, że się przyda. - Przeszli Przez bramę i wyszli na Chase Avenue. Całą ulicę otulała warstwa mgły.

Panowała kompletna cisza, właściwa jedynie chwilom tuż przed świtem. - Czy dobrze znałeś siostrę Colleen?

- Wiele przeszedłem wraz z Megan. To znaczy nie w sensie związku, tylko pracy. Nigdy nie wiedziałem, że miała młodszą siostrę, dopóki nie została... dopóki nie zginęła.

- Zdaje się, że nie uważasz tego za wypadek?

- Lot ze szczytu Hancock Building? Na pewno nie.

- Samobójstwo?

- W żadnym wypadku - odrzekł. - Czy możesz mi coś powiedzieć na ten temat? To znaczy o Megan.

- Cóż, jeśli chcesz znać oficjalne stanowisko, nic. Ale powiem ci, że jeśli sama zeskoczyła z dachu, to sama musiała się najpierw

rozebrać. Co by było dziwne, no nie? Nigdzie nie znaleźliśmy odzieży. Uwierz, przeszukaliśmy starannie budynek i okolice, bo wiał wiatr. Ale jak ci już mówiłam w mieszkaniu, jestem z Wewnętrznego, nie z Zabójstw.

Jeff spojrzał w jej oczy.

- Ale nie mówisz mi wszystkiego, co wiesz, prawda?

- Nie. Cokolwiek mogłabym jeszcze powiedzieć, byłoby to zupełnie nieoficjalne, poufne i wpakowałoby mnie w niezłe tarapaty.

Podeszli do samochodów.

- Pani detektyw, nie będzie mnie pani uważać za szaleńca, jeśli pani powiem, że fotografia koronera, którą zobaczyłem, ta z pustym stołem...

- Tak?

- Co jeśli powiem, że to nie jest jedyne zdjęcie, które widziałem ostatnio, gdy ktoś, kto powinien na nim być, jest... cóż, nieobecny?

Zatrzymała się nagle.

- Słucham.

Opowiedział jej o zdjęciach, które zrobił przed Gothique, a także o ujrzanym w przelocie ciemnowłosym mężczyźnie w czarnym garniturze, który wysiadł z mercedesa prowadzonego przez kierowcę i zniknął za czarnymi, szklanymi drzwiami kina. Jeff powiedział, że mężczyzna znajdował się w obiektywie, gdy robił mu zdjęcie.

A potem zniknął, gdy zdjęcia się wywołały.

- Wszystko wygląda tak, jakby się tu wzięło ze złego filmu - powiedział.

Skinęła głową.

- Z jakiegoś horroru.

Ruszyli ponownie, aż dotarli do trans arna Jeffa.

- Detektyw Shepherd, nie jestem o nic podejrzany, prawda? - Spojrzała na niego zdumiona. - Mam na myśli to, że... Hm, nie spaliśmy tej nocy. Moja córka powinna za parę godzin wrócić z noclegu u przyjaciółki. - Zadzwoił nerwowo kluczykami. - Ale czy nie... miałabyś nic przeciwko, by zjeść ze mną śniadanie? Terri uśmiechnęła się.

- Absolutnie nie.

*

Libbie obudziła się punktualnie o 5.45, jak zwykle, bez względu, czy siedziała do późna w noc czy nie. Hoelevichowie nie mieli nawet budzika.

Sięgnęła ręką ku Frankowi, ale poklepała pusty materac. Usiadła. Łóżko po stronie Franka było nietknięte, a kołdra wetknięta schludnie pod poduszkę.

- Frank?

Nie usłyszała odpowiedzi.

Zarzuciła szlafrok i wsunęła stopy w kapcie, a potem rozchyliła żaluzje, by różowy świt wsączył się do niewielkiej sypialni. Ubranie męża nie leżało na krześle. Obok szafy nie stały jego buty.

- Frank?

Wyszła z sypialni, szurając nogami.

- Frank, gdzie jesteś? Zatrzymała się w salonie.

Frank Hoelevich oparł się o poręcz fotela. Trzymał palcami dwa paski żaluzji w oknie, rozchylając je odrobinę. Patrzył przez wąski otwór na stary budynek kina. Obok fotela przycupnął Sox, przysuwając pysk do żaluzji i poruszając nozdrzami.

- Frank, nic ci nie jest?

Obrócił się w jej stronę. Libbie położyła dłoń na piersiach, czując, jak jej serce zamiera na chwilę. Frank Hoelevich wyglądał, jakby postarzał się w ciągu tej nocy dziesięć lat.

- Frank?

Mężczyzna ścisnął w rękę wielki, srebrny krucyfiks.

Wewnętrzny biuletyn prawny Illinois AC45Gr0097 Wydany przez Wydział Szeryfa miasta Calumet

Data: 21.08.

Notatka: Z zatoki Calumet wydobyto niezidentyfikowane zwłoki kobiety, obciążone łańcuchem i belkami drewna.

Oдноśnik: Mst. Cal. Pkt 2399. Zwłoki zostały odnalezione przez rybaków, których zeznania znajdują się w aktach. Stan zwłok: nagie, pokryte wieloma ranami. Zawartość krwi: 0%. Zaawansowany stan rozkładu. Opis osoby: wiek - dwadzieścia parę lat, wzrost - ok. metra siedemdziesięciu, włosy - brązowe. Przewieziono do koronera dnia 19.08. W celu uzyskania dalszych informacji należy sięgnąć do akt nr...

Dark Delvings World Net Chat Chicago

26.08., godzina 23.41

MW: (Hi, hi) Spoko, dałem sobie luz z tymi palantami. Chcą się tylko przebierać i chodzić do tego gościa, Covenn Lorda, żeby oglądać tam filmy.

Cee - Mee: Podobno jego rodzice siedzą z wami w tej piwnicy.

MW: Dokładnie! Tyle że mama CL przynosi nam browara, więc może być.

Cee - Mee: A my troje idziemy na sesję RPG w piątek wieczorem. Tyle że muszę się gdzieś wcześniej przebrać.

MW: Możesz u mnie. Starzy wychodzą w piątek wieczorem. Możecie mnie też wliczyć. Załatwiłaś sobie te nowe kły?

Cee - Mee; Nie, dentysta mówi, że nie zrobi ich bez pisemnej zgody starych. I tak muszę czekać, aż mi zdejmą aparat. Nie?

MW: Pewnie. A co tam mówią o Gothique? Obleci czy żenada?

Cee - Mee: Jak dla mnie obleci. Ale jak sobie kupisz nową drukarkę, możemy spróbować znów wydrukować prawa jazdy. Chodź...

NOC I WALKA

Rozdział dziewiętnasty

Każdy z nich oznaczył swoje terytorium w ciemnych lochach pod Gothique.

Niektórzy dosłownie wychowali się na starych czarno - białych horrorach wytwórni Universal z lat trzydziestych i czterdziestych, pokolorowanych w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych przez Technicolor Hammer. Oglądali je na kanale z fantastyką, w późnych programach telewizyjnych i, oczywiście, na wideo. Wierzyli teraz w każde słowo telewizyjnego przesądu. I choć rzadko bywało tak, by jeden mit scenarzysty pokrywał się z innymi, zanim nadeszły lata dziewięćdziesiąte, wszystko było jak rodem z teorii Junga. Wtedy jeszcze nic nie zastąpiło starych baśni.

Wtedy żądali trumien.

Niektórzy zadowolili się brzydkimi pudłami, zbitymi z palet i desek. Pozostali lubowali się w takich wyłożonych satyną, z błyszczącego metalu, skradzionych z domu pogrzebowego w zachodniej dzielnicy. Jakiś biedny nieszczęśnik ucinał sobie drzemkę w zniszczonym kartonowym pudle po lodówce, choć mościł się w nim z taką godnością, że nikt nie odważył się z niego śmiać.

Byli też wśród nich i inni.

Ci szydzili z przesądnych głupców i ich skrzyń, zakurzonych z wierzchu grudkami kruchej chicagowskiej gliny i pyłem z chodników, uważając tych pierwszych za beznadziejnie zmanierowanych. Byli też tam ci, którzy zjawili się dzięki rozbudowanym grom RPG, zwabieni do industrialnych klubów muzycznych i na imprezy fetyszowe, oraz maniacy, których zdaniem to rzeczywistość od czasu do czasu przerywała prawdziwe życie komputerowe lub cotygodniowe sesje z komiksami fantasy i horrorami.

Ale nawet jeśli nie układali się w trumnach i nie osłaniali oczu, przemykając obok kościoła Świętego Alstantiusa i nawet jeśli nie ćwiczyli sztucznych pseudobałkańskich i brytyjskich akcentów, zazdrośnie strzegli swoich brudnych materacy. Tak samo gorliwie strzegli swojej ziemi i oznaczali terytorium graffiti, malowanymi sprayem na brudnym cemencie i ceglach. Przylepiali na zapleśniałych ścianach plakaty i okładki płyt oraz strony, wyrwane z „Propagandy”, „Carpe Noctern” i muzycznych zinów.

Niektórzy mówili nawet o odłączeniu się i znalezieniu swojej kryjówki gdzieś w mieście albo o wyniesieniu się na odludzie, gdzie

cmentarze do pieszczano niczym pola golfowe, a mauzolea tylko czekały, by je zająć, niczym modelowe mieszkania. Plotka głosiła, że po nocach włóczyły się tam słodkie dzieci o czystej krwi w żyłach, cudnie nieświadome tego, że na piętrowych parkingach, za koskami na śmieci Dunkin' Donuts lub w restauracyjkach w centrach handlowych może czaić się niebezpieczeństwo i śmierć.

Ale zamiary kończyły się tylko na rozmowie.

Pominąwszy bunt okresu dojrzewania i nastoletnią bufonadę, żaden z nich nie miał na tyle jaj, by się odłączyć i ruszyć swoją drogą.

Jeszcze nie.

Tego ciepłego wieczoru w pierwszym tygodniu września wszyscy obudzili się wraz z zachodem słońca, tak jak zwykle.

Niektórzy usiedli gwałtownie na materacach. Inni budzili się wolniej, ziewając i przeciągając w trumnach. Oblizywali czerwone wargi, które wciąż nosiły smak hulanki z zeszłej nocy. Inni zwinęli się w kłębek, owinięci stertą brudnych, czarnych ubrań albo zupełnie nadzy. Białe ciała wiły się w ciemnościach.

Ale wszyscy obudzili się z tym samym odczuciem zimnego, przeszywającego pragnienia, które trawiło wnętrzności, paliło gardło i zadawało ból dziąsłom i zębom.

Niektórzy brali prysznic we wspólnych łazienkach, które zainstalowano dla nich na dole. Nie za wiele im to pomogło. Cały zbiornik jeziora Michigan nie wystarczyłby, by zmyć zapach śmierci z zimnych ciał, które w końcu przecież nie żyły. Narzekali na wspólne mieszkanie, podczas gdy na bladą skórę lała się letnia woda. Może śmiali się pod nosem na wspomnienie krwawego ataku na hydraulików tuż po tym, jak zamontowano ostatni kran i odpływ. Robotnicy wili się jak małpy, a palniki dzwoniły, upadając na podłogę. Niemal zagłuszyły chłopięce piski, dobywające się z gardeł krzepkich mężczyzn, nim jeszcze krtanie zaczęły ciec niczym najgorsza z nieszczelnych rur.

Oczywiście, niektórzy po prostu pławili się w swym cmentarnym smrodzie, ciesząc się z tego, jak zapach oznaczył ich leże. Upodobnili się do psów, zaznaczających terytorium w alejce.

Na zachodnim nieboskłonie zniknęły ostatnie różowe smugi. Zaczęli się stroić. Zanim tu przybyli, zrzucili się na stroje, które teraz stanowiły wspólną własność. Otwierali kufry, rozpinali torby, przeczesywali sklecone naprędce wieszaki. Białe ręce przebierały

stęchłe stopy porzuconej odzieży i kiczowatej zbieraniny ozdób. Wbijali się w czarne, wysadzone cekinami spodnie i obcisłe, skórzane wdzianka, wycinali nowe dziury w czarnych dżinsach i koszulkach bez rękawów, polerowali ciężkie buty i pantofle od Capezio, rwali i wciągali na siebie czarne rajstopy, legginsy i kabaretki, zastanawiali się, którą czarną, mikroskopijną minispódniczkę wciągnąć do aksamitnego topu oraz jaką wybrać bieliznę. Wiązali włóczkowe czapeczki, wciągali czarne bluzki z rozszerzonymi rękawami, czarne sweterki w serek, skórzane kamizelki, kurtki motocyklowe, sandały, klapki i szpilki. Gdy nakładali biżuterię, dzwonienie łańcuchów, pierścionków i zawieszanych naszyjników przypominało odgłosy rozbijania wojskowego obozu.

Niektórzy wciąż zadawali sobie trud i wykonywali makijaż. Delektowali się niepotrzebnymi rytuałami malowania zakrzywionych paznokci, nakładania różu w zagłębienia białych, zapadłych policzków. Starannie malowali borsucze okręgi wokół i tak już czarnych oczu i obwodzili zimne usta jagodowym i czarnym błyszczakiem.

Nikt się nie spieszył.

Ale nie guzdrali się. Po prostu mieli tyle czasu, ile zapragnęli.

W końcu, odstrojeni w błyszczące skóry i nylony, podzwaniając cynową biżuterią i łykając koronkami, wysypywali się w koszmarnych grupkach ze swoich cel. Śmiali się, plotkowali, chichotali, szturchali się w żebra niczym dzieciaki, by zatrzymać się w ciszy na chwilę i nasłuchiwać jęków, zawodzeń, szłochu, a czasem nawet okrzyku. „Jezu Chryste, mamó, wypuście mnie stąd!” dobiegało zza zaryglowanych drzwi, gdzie przetrzymywali swoich „gości”. W końcu wybuchali śmiechem, przypominającym rozbijane szkło i kryształ. Niektórzy weszli tuż przy progu, a inni, gdy przechodzili obok, oblizywali czerwone usta zimnymi, różowymi językami. Wspinali się po wilgotnych schodach do kina. Czarne źrenice błyskały czerwienią i pomarańczowym płomieniem, przesywając wzrokiem ciemności.

Trzy miesiące temu było ich zaledwie sześciu.

Miesiąc temu czternastu.

Tej ciepłej nocy na początku września po schodach wspinały się dwadzieścia cztery osoby. Dwadzieścioro czworo dzieci ulic, klubów i kawiarni. Dwadzieścia czworo „dzieci nocy”.

Dwadzieścia cztery osoby zapomniały już o żmudnej pracy w punktach ksero, restauracjach, sklepach z używaną odzieżą, o krzątaniu się w alejkach w pogoni za heroiną, seksem i pieniędzmi, o pijanych ojczymach, wtaczających się co noc do ich sypialni i żartownisiów ze szkoły średniej, którzy spuszczaali im manto na przystankach autobusowych. Dwadzieścia cztery osoby zapomniały o policjantach, wyganiających ich ze stacji metra, i o tym, jak marzyły i tęskniły wcześniej, przebierając się i udając każdej nocy, że filmy, piosenki, gry i książki były prawdą.

Wtedy tak bardzo chciały, by opowieści zamieniły się w rzeczywistość.

Dwadzieścia cztery nowo narodzone wampiry.

*

Marek rozparł się w swoim wielkim, skórzanym fotelu, obracając się za równie wielkim biurkiem.

Znajdował się w tym samym pomieszczeniu, w którym dwa i pół miesiąca temu Nicky Kowitz gryzł lufę mauzera 9 mm. Zniknęły już jednak rozsmarowane plamy krwi, która trysnęła z odstrzelonego tyłu czaszki Nicky'ego.

W ciągu minionych dwóch i pół miesiąca pokój zmienił się, tak samo jak reszta starego kina. Odnowiono ściany oklejone zapleśniałą tapetą i podłogi pokryte wypłowiałym od słońca linoleum. Teraz długie pomieszczenie na czwartym piętrze nad Damen Avenue pomalowano przecieraną farbą, na podłodze położono nierzucającą się w oczy, gładką wykładzinę i ozdobiono oprawionymi w ramki grafikami, przywłaszczonymi z jednej z najbardziej ekskluzywnych galerii na River North. Wyprofilowana sofa z czarnej skóry i fotele tworzyły kącik do rozmowy. Wysokie okna zakrywały dopasowane mikrożaluzje.

Arianne znalazła się naprzeciwko Marka, ignorując go, zezłoszczona, bo bawił się nowym krzesłem niczym zabawką.

Stała przy jednym z wysokich okien z podniesionymi żaluzjami. Choć szybę zamalowano, tak jak i wszystkie inne okna w całym budynku, teraz okno otworzono. Kobietę muskał wrześnieowy wietrzyk, zdmuchując z jej bladej twarzy długie czarne włosy. Wiatr igrał z bezbarwną, szyfonową sukienką, która zwisała na jej ramionach. Cienki materiał zwijał się wokół jej nóg. Arianne stała boso, zatapiając w dywanie palce u stóp.

Wiatr aż gęstniał od zapachu jeziora Michigan, oddalonego zaledwie o trzy kilometry na wschód. Wyostrzone zmysły Arianne wyczuwały jednak w powietrzu znacznie więcej: nieubłagane nadejście jesieni, żółknącą trawę, zbrązowiałe trawniczki na tyłach domów, subtelne wonie już zwijających się liści. Choć wietrzyk był ciepły i przepelniony zapachami rozgrzanego za dnia miasta, ona wyczuwała w nim zmianę, podszytą zapowiedzią północnego mrozu.

Lato szybko minie. Przez miasto przemknie jesień, a potem w mgnieniu oka spadnie na nich gorzka, środkowozachodnia zima. Arianne nigdy nie chciała przyjeżdżać do Chicago. To był pomysł Marka. Ona chciała pojechać gdzieś, gdzie było cieplej. Monaco. Rio. Może Miami.

- Kiedy jest uroczyste otwarcie? - zapytała, wciąż wyglądając przez okno na zapadający nad miastem mrok. - Czy przypadkiem nie rozminąłeś się nieco z planem?

Marek przestał obracać się w fotelu i oparł splecione ręce na nieskazitelnym blacie biurka. Nic nie mąciło jego doskonałości - żadne papiery, długopisy, kalkulator, komputer. Nie było tam nawet telefonu. - Wkrótce. Mieliśmy kilka opóźnień.

- Kiedy?

- Sadzę, że za dwa tygodnie. Może za trzy. Arianne nie odpowiedziała mu spojrzeniem, ale potrząsnęła głową. Kąciki czerwonych ust wykrzywił ledwo dostrzegalny uśmiech. Na zewnątrz latarnie migotały w setkach zasłoniętych okien tanich kamienic, czteropiętrowych budynków i wieżowców, które widać było z otwartego okna. Na piętrze nad nieczynnym sklepem po przeciwnej stronie ulicy spomiędzy żaluzji migotało niebieskie telewizyjne światło. Arianne zmrużyła oczy, zastanawiając się, czy nie wydawało jej się, że żaluzje poruszyły się i wprost na nią popatrzyła para oczu.

Przez dłuższą chwilę ani Arianne, ani Marek nie odzywali się. Gdyby nie wiatr, rozwiewający jej czarne włosy, pokój mógłby być wystawą sklepową albo sceną w muzeum. Wyglądali jak manekiny w teatrze z doskonałymi rysami twarzy, bez tchu, martwi.

W końcu Marek przerwał męczącą ciszę.

- Nie podoba ci się to?

- Wiesz, że nie.

- Dlaczego? - Jego głos pobrzmiwał rozpaczą. - Dlaczego się na to nie zgadzasz?

Odwróciła się, a jej czarne spojrzenie wwierciło się w niego.

- Nie zrobiłam nic, by cię powstrzymać.

- Ani też, by mi pomóc.

Uchyliła jeszcze bardziej stare, drewniane skrzydło okna, oblepione niezliczonymi warstwami farby i podtrzymywane siedemdziesięcioletnimi, zardzewiałymi zawiasami. Ona jednak przesunęła je jednym lekkim ruchem palca, zakończonego długim paznokciem. Arianne usiadła na wąskim parapecie i skuliła się, podwijając nogi pod brodę. Wyglądała bardziej na nastolatkę w ozdobnej kotylionowej sukience niż na niesamowicie pięknego demona.

- Nie wtrącałam się.

- Wiesz o tym, że inni mogą wyczuć niezgodę. To już jest przeszkodą samo w sobie. Może są młodzi, ale za to czujni. Wyczuwają wiele rzeczy.

Kobieta wzruszyła białymi ramionami, aż zsunął się koronkowy pasek jej sukienki.

- I co z tego? Niech sobie idą.

- Arianne...

- Za daleko się posunąłeś. - Wpatrywała się w niego gniewnie znad założonych ramion. - Ten cały... cyrk, który budujesz. To nazbyt wiele. A ci twoi poddani? - Uśmiechnęła się szyderczo, a w białych zębach odbił się blask księżyca. - Przyczynią się do twojego upadku, Marku. Do upadku nas obojga.

- Przyznaję, że niektórzy z nich są zbyt porywczy, ale...

- Zniszczą nas - odpowiedziała mu. - Są za młodzi, zbyt śmiali. Wymknęli się spod kontroli.

- Razem możemy ich z łatwością kontrolować.

- Doprawdy, Marku? Jesteś tego taki pewien?

Przez chwilę przeżuwał jej słowa. Upłynęło tyle czasu, by światła latarni uformowały mglistą kopułę nad budynkami za oknem Arianne. Marek wstał z krzesła, obszedł biurko. Jego garnitur był czarny jak emaliowane drewno.

- A co powiesz o wycieczce na cmentarz? O ciałach, zostawionych dla policji? Ja tego nie nazwałbym dyskrecją. - Zatrzymał się przy skraju biurka i oparł się o nie plecami. - Tak czy owak, początkowo był to twój pomysł.

- Mój? - Arianne dramatycznie wzruszyła ramionami. - To ma być mój pomysł?

- Tak, jeśli dobrze sobie przypominam...

- Nie. - Arianne zsunęła z parapetu białe nogi. - Nie, mieliśmy prowadzić coś małego, przytulnego, cichego i na uboczu. Miejsce ucieczki. Malutki nocny klubik, gdzieś, gdzie można się schować i przez chwilę nazywać go domem.

- Jakies ciemne miejsce, gdzie blade twarze nie wyglądają na aż tak białe? - spytał sarkastycznie Marek. - Coś w rodzaju... och, na przykład niepopularnej kafejki artystycznej w Pradze?

- Tak. - Jej oczy zasnuła mgła. - Jak w Pradze.

- Tak. Praga - stwierdził. - Ale lata trzydzieste się już skończyły. Czasy się zmieniają. - Marek przemierzył długi pokój i stanął u jej boku. - I o ile sobie przypominam, kiedy zjawilo się gestapo, bez pardonu zrobili porządki w twoim niegodziwym gniazdku. Zabrali żydowskich kelnerów do obozów i wyrzucili twoje cenne krwiożercze kurewki na światło słoneczne.

O ile mnie pamięć nie myli. Arianne ponownie zmrużyła oczy.

- Tak, nie myli cię pamięć, Marku. - W czarnych źrenicach zamigotały wściekłe, czerwone iskierki. Odwróciła się w jego stronę i przesunęła mu bladymi palcami po policzku. - Z tego, co pamiętam, ktoś im nas zadenuncjował.

Wzruszył ramionami, krzywiąc wargi w pełnym satysfakcji uśmiechu.

- Cóż, ktoś musiał ich uświadomić na temat skandalicznych zajęć. Lewacy i homoseksualiści, związkowcy i żigolaki, wszyscy publicznie przeklinali, odstawiali zakazane kabaretowe numery, pili francuskiego szampana i palili opium. Nie zrozum mnie źle, to było nawet zabawne. Tak czy owak, pieniądze nazistów były tak samo dobre jak kogokolwiek innego. - Wyciągnął dłoń i pogłaskał zimnymi palcami błądy policzek Arianne, delikatnie i słodko, gestem kochanka. Potem przesunął je na czerwone usta Arianne i tam zatrzymał dłoń. - Po prostu ciesz się, że uciekłaś, zanim spalili twój burdelik.

Uśmiechnęła się.

- Och, ależ cieszę się, Marku. - Jej zęby błysnęły. Nagle rzuciła się, przytrzymując czubki jego palców.

Szarpnął dłoń ku sobie.

- Zawsze będę ci taka wdzięczna - stwierdziła. - Ale wtedy dostałeś, co chciałeś. Wprowadziłam cię. Lata temu spłaciliśmy swoje wzajemne długi.

- Chyba nie żywisz już urazy, prawda? - zapytał, ssąc koniuszki palców.

- Jeszcze się nie zdecydowałam. Zapytaj mnie za jakieś sto lat, to może wtedy się okaże.

Odpowiedział jej najzimniejszym z szyderczych uśmiechów.

- Czyli wracamy do podstaw. Wciąż się nienawidzimy, ale nadal jesteśmy od tylu lat razem.

- Tak. To główny problem takich jak my, prawda? Niektórzy uparcie utrzymują się przy życiu, jeszcze długo po tym, jak przestałam o nich dbać.

- To mnie zniszcz. Nie mów, że czułabyś się winna? A może boisz się, że już nie masz mocy, Arianne? - Zaśmiał się pod nosem. - No, dalejże. Zabij mnie, jeśli potrafisz. - Przysunął się do niej. - Ale wtedy staniesz się najgorszym z wyrzutków. Przez całą wieczność będziesz nosić na rękach moją krew.

- Bardzo dobrze, o ile tylko nie poplamy mi sukienki. - Arianne wpatrywała się w niego przez chwilę, jakby rzeczywiście rozważała tę możliwość, a potem z powrotem wskoczyła na parapet. - Starczy o tym. Wracajmy do twoich planów.

- Zbyttno się przejmujesz - rzekł Marek, przemierzając pokój z powrotem do swojego biurka i ukochanego skórzanego krzesła. Błada twarz skrzywiła się w wyrazie pogardy, kiedy zaczął się ponownie kiwać.

- Marku, to wszystko staje się zbyt krzykliwe. Młodzież krąży po ulicach w pościgu za krwią. Ogłoszenia w gazetach i czasopismach. Billboardy! Jestem zdumiona, że jeszcze nas nie widać w telewizji.

- Jeszcze nie, moja droga. Ale w przyszłym tygodniu rusza reklama w radiu. Moja pani Whitehead jest właścicielem stacji.

- Prosisz się o kłopoty.

- Moja droga, prawo nie zostało napisane z myślą o nas.

- Wręcz przeciwnie. Ono tylko nie zostało napisane przez nas.

- Cóż, za jakiś czas pewnie i to się da zmienić.

- Marku, nie posuwaj się za daleko.

- Och nie, czeka nas znów ogniste kazanie. Krzyże, kołki, księża i rozwścieczeni wieśniacy, święcona woda i pochodnie. Arianne,

naprawdę jesteś anachronizmem. - Przewrócił ciemnymi oczami. - Nikt w to już nie wierzy. Nawet niektórzy z nas w to już nie wierzą. Wcale nie jestem przekonany, że można ich w ten sposób zniszczyć. Nikt już nie wierzy w krzyże i święconą wodę, nawet księży, bo nikt już w nic nie wierzy. Bóg, diabeł, wampiry. Dzisiaj zajmuję się tym telewizją i komiksami. Już nie jesteśmy potworami, tylko seksualnym fetyszem. - Zaśmiał się do siebie. - Sposobem na życie.

- Może i tak - odparła. - Nie zdawałam sobie sprawy, że nazistowski elitarny oddział nauczył cię takiej wnikliwości w obserwacji społecznego życia.

- Nauczyli mnie, Arianne, że każdy - każdy - ma swoją cenę. Wszyscy mają sekretne marzenia. Dla większości jest to coś kompletnie banalnego - pieniądze, a może seks. I te właśnie marzenia włożyły mi w ręce całe miasto - media, policję, polityków. - Aby podkreślić swoje słowa, uniósł dłoń i zacisnął ją w pięść. - Dla niektórych, bardzo nielicznych, tym marzeniem jesteśmy... my. - Marek roześmiał się ponownie. - A dla tych nielicznych mamy dokładnie to, czego pragną, kochana. Ich paskudna muzyka, głupie książki i wilgotne nocne marzenia stają się przerażającą prawdą. - Obrócił się w fotelu o trzysta sześćdziesiąt stopni i zatrzymał, by na nią spojrzeć. - Myślisz wciąż o Erze Wiary, która od dawna jest martwa. Arianne, my już nie jesteśmy z innego świata. Teraz jesteśmy... trendem w modzie.

- Skoro tak mówisz. - Arianne obróciła się na parapecie i pozwoliła, by wrzesniowy wietrzyk muskał jej twarz i pierś. - Ale może wiara wraca w cyklu, albo może ewoluuje i tylko nieliczni to rozumieją. Jesteś wciąż młody, Marku. W moich oczach niewiele przewyższasz wiekiem te twoje denerwujące dzieciaki w głupawych kostiumach. I jesteś niemalże tak samo impulsywny. - Potrząsnęła głową i pozwoliła, by jej włosy zmierzwił wiatr.

- Ale dla mnie Inkwizycja jest czymś więcej niż przypisem w książkach historycznych. - Arianne rozpostarła ramiona, kołysząc się na skraju parapetu cztery piętra nad ciemną pustką Damen Avenue. Pozwoliła, by wiatr rozwiał jej tiulową skromną sukienkę niczym skrzydła. W końcu opuściła ramiona, a ciemne włosy zakryły jej twarz. - Dobrze - powiedziała, nie wiadomo, czy do wiatru, czy do Marka. - Wyślij swoich ludzi. Niech się tym zajmą.

*

Dwie godziny później dzieciaki o bladych twarzach wyłoniły się z frontowych drzwi pod markizą Gothique. Przypominały czarne, dryfujące z wiatrem cienie. Samotnicy pięli się po Damen, pary sunęły po chodniku, trzymając się za ręce. Troje czekało, aż Drake i Fonda zapalą silnik cadillaca zaparkowanego tuż przed budynkiem.

Wszystkim błyszczały oczy i usta w oczekiwaniu na noc polowania.

Joey Fortuna i Gabrielle stali, oparci o bagażnik mercedesa. Kopcili papierosy i pili wspólnie małą wódkę. Obserwowali, jak tamci odchodzą. Oboje otrzymali długą listę zadań i musieli dziś bardzo dobrze ze sobą współpracować, by je wykonać. Było wiele do zrobienia w ciągu niezbyt długiego czasu. Marek określił zasady: otwarcie Gothique ma się odbyć zgodnie z planem, albo ktoś na tym ucierpi. Ani Gabrielle, ani Joey nie chcieli być tym kimś.

Spotkanie w gabinecie Marka potrwało dłużej niż zazwyczaj. Jeszcze bardziej niezwykle było to, że wszyscy znaleźli się tam w tym samym czasie. Marek zwykle załatwiał sprawy niczym mafijny don, wyszeptując rozkazy tylko w jedną parę uszu. Ale tego wieczoru nawet Joey i Gabrielle stłoczyli się w jego gabinecie na czwartym piętrze, wraz z resztą... jego ekipy.

Zapach prawie trzydziestu ciał, które powinny być martwe i dawno pogrzebane, zatykał dech w piersiach pogrzebową zgnilizną i słodkawym aromatem kostnicy. Od czasu do czasu rozlegało się mlaśnięcie języka, oblizującego ciemne wargi, albo węszenie wokół dwóch śmiertelników pośrodku. Joey rozpaczliwie pragnął, by spotkanie się już skończyło, bo w ustach zbierała mu się ślina na myśl o papierosie lub solidnym drinku. Ale Gabrielle najwyraźniej wszystko się podobało. Wpatrywała się w pary czarnych oczu i pławiła się w wymyślonym niebezpieczeństwie, jakby stała na krawędzi legowiska lwów w zoo.

Wszystkim wyznaczono jakieś zadanie. Początkowo rozległy się narzekania, które Arianne uznała za zabawne. Uśmiechała się z wyższością, przycupnięta na parapecie. Ale gniewne spojrzenie czerwonych oczu Marka niezwykle szybko uciszyło potencjalne skargi.

Niektórzy z nich wcześniej pracowali jako kelnerzy, tak jak nieudolna barmanka z Jaskini Rimbauda, która dołączyła do nich dopiero w zeszłym tygodniu. Teraz mieli pracować w tych samych

zawodach, czy im się to podobało czy nie, a chowanie dla siebie napiwków było surowo wzbronione.

Niektórzy grali w amatorskich kapelach, inni kończyli studia aktorskie albo byli artystami, niespełnionymi z braku talentu. Ci mieli pomóc w kwestii rozrywki, umawiając zespoły, rezerwując artystów estradowych i ustawiając skomplikowane sesje gier RPG. Inni byli magikami komputerowymi, spędzającymi dni i noce na surfowaniu po internecie w poszukiwaniu bratnich dusz, lubujących się w masturbowaniu przy krwi i plastikowych zębach. Mogli zatem zająć się zaprogramowaniem systemu dźwięku, ekranów wideo i świateł. Pozostali to były zbiry i cwaniaczki. Ci mogli zająć się wpuszczaniem do lokalu i ochroną.

Niektórzy byli kompletnie bezużytecznymi, pozbawionymi ambicji gagatkami, którzy pracowali na ćwierć etatu jako sprzedawcy i kasjerzy, jednocześnie testując, ile jeszcze czasu wytrzyma społeczny system zasiłków i dobra wola tatusia. Udawali też, że pracują nad zdobyciem tytułów na studiach licencjackich. Czy im się to podobało czy nie, mieli zająć się prowadzeniem domu.

Praca dla wszystkich, jak to w zwykłej, małej komunie. Ale nawet Marek zgodził się, że muszą zdobyć więcej towarzyszy. To miało być zajęcie numer jeden na parę przyszłych wieczorów.

Tylko tę pracę powitano z czystą radością.

Joey i Gabrielle obserwowali, jak cadillac odjeżdża, a wszyscy pozostali znikają we mgle, unoszącej się nad Damen Avenue: Potem oboje wsiedli do mercedesa.

- Aż mnie dreszcze przechodzą, gdy muszę z nimi siedzieć w tym pieprzonym gabinecie - rzekł Joey. - Tobie najwyraźniej to nie przeszkadza.

Gabrielle wzruszyła ramionami i opuściła szybę po stronie pasażera. Wiatr szarpał kosmykami jej farbowanych włosów.

- Nie. Mnie się podobało.

- Pewnie.

- Nie ponosi cię ta moc, Joey? Nie chcesz być taki jak...

- Nie. - Skrecił z Damen na Diversey i skierował się na zachód. -

Wiesz, jesteś kompletnie popieprzona, Gabrielle. Naprawdę. Ja siedzę w tym dla pieniędzy i lasek. Jak się nachapię, to spadam. Niebezpieczne? Może i tak. Ale przynajmniej ma to jakiś sens. Ale ty?

- Wyciągnął rękę, złapał małąkę wódki i napił się. - Wiesz, czym oni

są, a wciąż cię rajcują. Wiesz, Gabrielle, to pierdolone trupy. Oni nie żyją.

- Niezupełnie - odparła, wyglądając przez otwarte okno na pary pokolenia X, przechodzące obok antykwariatów i kawiarenek na Diversey. - Poza tym, co z tego? Czemu wszyscy się tak podniecają tą całą śmiercią?

- Jezu, nie wiem - rzekł Joey. - Może chodzi tu mniej więcej o to, że już się nie żyje?

Nie odpowiedziała mu na to. Podał jej wódkę. Zatrzymał się na czerwonym świetle i spytał:

- Nie jesteś wkurzona tym, że dostałaś zadanie? Zwykle nie chcesz zajmować się taką żmudną robotą.

Gabrielle zapaliła gitane'a i wydmuchała dym nosem.

- Pewnie, że jestem wkurzona. Myślałam, że uda mi się tę noc spędzić w towarzystwie Arianne. Wiesz, chodzi mi o to, kiedy zamierza mi w końcu to zrobić? - Pochyliła się i zajęła radiem, aż w końcu znalazła odpowiadającą jej stację. Wtedy maksymalnie pogłośniła dźwięk. - Ale słyszałeś Marka.

- Tak - odpowiedział Joey. - Wielkie plany. Wielkie sprawy. Ciężkie zadania.

Gabrielle łyknęła jeszcze wódki.

- Będą potrzebować jeszcze więcej materacy i kajdanek.

Rozdział dwudziesty

- Jeff, nie wiem, jak to opisać - stwierdziła Colleen. - To brzmi jak ping - ping - ping, a potem rozlega się łomot.

Jeff odwrócił się od ekranu komputera i środkowych stron październikowego wydania „Charade”. W środku darmowy plakat Gothique!

- Przepraszam, Colleen, ale mówiłem ci w zeszłym tygodniu, gdy klimatyzacja pompowała ci gorące powietrze: dostajesz tyle, za ile zapłaciłaś. - Wskazał fotel dla gości po przeciwnej stronie biurka, a ona zajęła miejsce. - Byłbym niezmiernie szczęśliwy, mogąc pomóc ci w kupnie samochodu, ale chciałaś to zrobić sama. I co masz teraz? Koreański samochód ekonomiczny. Na dodatek demonstracyjny egzemplarz sprzedawcy. Nie ma jak stary dobry wyrób z Detroit.

Colleen prychnęła.

- Bez obrazy, ale twoja wyścigowa bryka pewnie w połowie składa się z azjatyckich części. Słyszałeś może kiedyś o globalizacji?

- Tak, Colleen, ale nie pozbawiaj mnie złudzeń.

- Cóż, dali mi pełną gwarancję. Jeff skinął głową.

- O tak. I będziesz jej w pełni potrzebować.

- Pewnie masz rację. Zwykle nie ulegam tak bardzo emocjom, ale zaczęłam czuć się nieswojo w metrze po... Cóż, po prostu miałam się na baczności.

- Wiem, Colleen. Słuchaj, jeśli sądzisz, że ten wózek z Panmujon dotoczy się na południe, to przyprowadź go w sobotę, a ja rzucę na niego okiem.

- Naprawdę, Jeff? Byłabym ci wdzięczna.

- Nie rób sobie zbyt wielu nadziei, Colleen. Znam się na samochodach, ale nie na puszkach po konserwach z silnikami od kosiarek w środku. Z nimi nie radzę sobie tak łatwo.

- Mimo wszystko ufam ci. - Zarzuciła na ramię dżinsową kurtkę i wstała. - Aha, przepraszam, że się znów spóźniłam.

Jeff zerknął na timeksa.

- Pięć minut nie do końca kwalifikuje się w tym dziale jako spóźnienie. - Skinął w stronę otwartych drzwi i pustych boksów. - Nie zauważyłaś?

- Pewnie masz rację. Cóż, lepiej, jeśli zabiorę się do pracy. - Skierowała się ku drzwiom. - Jeff, czy nic się nie siało? Wyglądasz na nieco... hm, nieobecny. Potrząsnął głową.

- W zasadzie wkurzyłem się.
- Na mnie?
- Nie, skądże. - Wyciągnął ze skrzynki wewnętrzne memo „Charade” i podał je Colleen. - Blair znów atakuje.

Colleen pospiesznie przejrzała notatkę.

- Czekał no, przekazała doroczny przegląd graficzny „Charade”... Arnoldowi Gateysowi? Czy on nie jest... hm...

- Trzeciorzędnym, niezrzeszonym pismakiem? - Jeff skinął głową. - Twoja siostra, Megan, i ja razem robiliśmy doroczny przegląd graficzny. Megan wiedziała, że to moje dziecko, dlatego osobiście zawsze pisała tekst.

- Wiem - odparła Colleen. - Czytałam to co roku. Ależ czasem toczyliście boje. - Uśmiechnęła się, a potem myśl o siostrze starła jej uśmiech z twarzy. - Arnold Gateys w życiu nie napisał czegoś, co by się dało miło przeczytać. Czasem układałam kolumny jego artykułów. Żywcem wzięte z prasy brukowej, i to tej najpodlejszego gatunku.

- Och, Arnold odpowiada pewnym grupom wiekowym.

- No pewnie. Pomiedzy szóstym a dziewiątym rokiem życia. - Oddała notatkę. - Nie mam nic przeciwko Blair, ale chyba robi „Charade” niedźwiedzią przysługę. Teraz jest to nieco inne czasopismo, niż było... hm, parę miesięcy temu. Co się z nią dzieje?

- Blair? - Jeff wzruszył ramionami. - Blair zyskuje przy bliższym poznaniu. Musisz spróbować ją zrozumieć. Wiem, że dla kogoś z zewnątrz wydaje się zainteresowana jedynie strojami od projektantów mody, roleksami i modnymi klubami. Ale w środku jest naprawdę... - Przerwał i gapił się na notatkę, by w końcu wrzucić ją do skrzynki z pocztą. - Gdy ją poznasz bliżej, to w środku naprawdę jest zainteresowana jedynie strojami od projektantów mody, roleksami i modnymi klubami. - Wskazał dział artystyczny, rozpościerający się za drzwiami. - Zdaje się, że żołnierze zajmują stanowiska. Idź, a ja sobie pomyślę.

Jeff patrzył, jak Colleen kieruje się do działu. Do pomieszczenia wkraczali właśnie tanecznym krokiem Tim i Ivy. Potem obrócił się z powrotem do monitora. Dwustronicowa, czterokolorowa płachta wypełniła dwudziestocalowy monitor: chuda jak szczapa balerina z makijażem, który sprawiał, że jej skóra wyglądała trupio, niebiesko i zimno. Stała na czubkach palców na sztucznym pomniku. W cieniach za chwastami i martwymi gałęziami widać było kable oświetlenia. Jeff

miał przesłać komuś z personelu plik do retuszu, kiedy wreszcie pojawi się cała załoga. Każda pora między 9.15 a 9.45 w tych dniach była uczciwa.

Jeff wiedział, że nie powinien się przejmować. Nikt nie dostrzeże kabli. Czytelnicy zbyt się zajmą wpatrywaniem w sztuczną krew, skapującą ze sztucznych ran na gardle baleriny i błyszczącej struźce, która spływała po białym trykocie i pończochach aż po satynowe baletki.

Będą zbyt miłośnie wpatrzeni w logo Gothique, wypalone laserem na płycie nagrobka.

- Masz chwilę?

W drzwiach stała Blair Armstrong. Miała na sobie czarną skórę i aksamit.

- Pewnie. Wejdz.

- Październikowe wydanie jest już w przygotowaniu?

- Jeśli przestaniesz przysyłać zmiany do zmian, to uda nam się je skończyć - odparł Jeff. - Zawsze nam się udaje.

- Pewnie, że tak, Jeff. Jesteś tutaj jedynym człowiekiem, na którego mogę liczyć. - Podeszła chwiejnie na niemożliwie wysokich zamszowych szpilkach i zajrzała mu przez ramię. - Pracujesz nad rozkładówką? Świetnie.

Zaczął oglądać się przez ramię, by na nią spojrzeć, ale w końcu zamiast tego uniósł brwi.

- Świetnie? W końcu przejęłaś zarządzanie, a twoje pierwsze wydanie ma mieć rozkładówkę? Kiedy zaczniemy zamieszczać zdrapki i konkursy?

Blair pieszczotliwie uderzyła Jeffa w ramię.

- Och, daj spokój. To takie artystyczne. Sprawি, że mój pierwszy numer będzie wydaniem dla kolekcjonerów.

Jeff dopiero teraz się odwrócił i wpatrzył w Blair. Kostiumy Chanel, jej znak rozpoznawczy, buty Ungaro i biżuteria z Michigan Avenue zostały zastąpione spowijającą kobietę od stóp do głów czernią z butików Near North. Domyślił się, że wciąż porażały ceną, ale znacznie bardziej pasowały do nowego charakteru „Charade”. Od biedy dało się nazwać jej strój „gotycką haute couture”.

- Artystyczne? Blair, całe to wydanie to czasopismo dla Draculi.

- Zamknął plik z rozkładówką i przebiegł przez resztę skończonych stron. - Patrz tylko, wycieczka po najbardziej ekskluzywnych

cmentarzach Chicago. Dział recenzji filmowych traktuje o włoskim kinie Giallo. Profil galerii Black Lyceum. Artykuł o muzyce przedstawia Velvet Noir i wywiad z Robertem Smithem.

- Cóż, jest modny. Poza tym, Jeff, to wcale nie jest „dla Draculi”. Samo słowo „Dracula” nigdzie się nie pojawia. To coś bardziej wysublimowanego. - Ten ponownie otworzył rozkładówkę i wskazał ekran. - Och, Jeff, daj spokój, to sztuczka, by sprzedać więcej egzemplarzy.

To reklama Gothique. Całe czasopismo to reklama cholernego Gothique.

- Jeff, dziś piszemy o Gothique, następnego roku będziemy zajmować się kolejnym przelotnym trendem, a jeszcze rok później czymś zupełnie innym. Wiesz, to tylko czasopismo, kupa zdjęć i gównianych artykułów, potrzebnych, by sprzedać reklamy. To jest właśnie „Charade”, Jeff, a nie „New Yorker”.

Potrząsnął głową.

- Nie. Wcale tym nie jest. - Kliknął na tytułową ikonkę i zamknął rozkładówkę. - Co cię tu sprowadza? Odwiedziny u ubogich krewnych?

- Nie. To zwykła wizyta. - Blair usiadła na krześle dla gości. - Przeczytałeś moją notatkę o dorocznym przeglądzie graficznym?

- Tak, chyba coś sobie przypominam. Dzięki, że to też mi spieszy.

- Jeff, wiem, że Megan Russell kiedyś się tym zajmowała, ale nie mam czasu dla całych artykułów.

- Tak przy okazji, moje gratulacje. Nie widziałem cię, odkąd ukazało się ogłoszenie.

- Dzięki. Odejście... hm... śmierć Megan to niezbyt przyjemny sposób, by zostać redaktorem naczelnym, ale...

- Ale tego właśnie chciałaś.

- Och, to miłe. - Blair bawiła się wymodelowanymi i nażelowanymi włosami, które otaczały dziką grzywą zbyt mocno wymalowaną twarz. Ta twarz zawsze mu się podobała. Zawsze myślał, że pod powierzchnią przesadnie drogiej tapety czeka ktoś miły, ale okazało się, że nie ma w niej nic prócz ładnego opakowania.

- Tak naprawdę, Jeff, prawdziwym powodem, dla którego tu wpadłam było to, że miałam nadzieję... cóż, że możesz być nadal moim kolegą.

Zaczął się wiercić w fotelu.

- Blair, nie wiem, czy...

- Nie martw się, nie myślę o południowym numerku w Park Stratford, choć nie ukrywam, że to kusząca perspektywa. - Odsunęła czarny aksamitny mankiet, by zerknąć na roleksa. Pokiwała lekko głową, jakby naprawdę namyślała się, czy uda jej się skraść chwilę. - Nie, tak naprawdę chodzi mi o eskortę dziś wieczorem.

- A co się dzieje?

- Och, to tylko niewielkie przyjęcie u Roberty Whitehead. - Czekwała, aż jej słowa wywołają jakąś reakcję. Chciała, by uniósł brew, spojrział zdumiony lub uśmiechnął się z aprobatą. Ale jego twarz nawet nie drgnęła. - Wydaje niewielkie koktajl party w apartamencie, by uczcić mój awans na redaktora naczelnego. To będzie niezła okazja, by poznać się z decyzyjnymi osobami.

- Nie, dzięki.

- Jeff, nie martw się, nie musisz wypożyczać smokingu czy czegoś w tym rodzaju. - Zerknęła na jego ubrania i zwalczyła ochotę, by zmarszczyć brwi. Znoszony polar zwisał z oparcia krzesła. - Choć mógłbyś się przebrać. Przynajmniej w garnitur albo...

- Blair, nie interesuje mnie to.

- Pewnie nie zmienisz zdania, jeśli wspomnę ci, że chodzą plotki, iż pokażą się niektórzy z tych zagadkowych ludzi z Gothique?

- Wcale.

- No coś ty, Jeff, bądź kolegą. - Wpatrywał się w nią gniewnie. - Dobrze, chyba źle dobrałam słowa.

- Blair, sprawy i tak idą tu na wariackich papierach. Do tego Jacks zaczęła nową szkołę i...

- Jacks? Myślałam, że twoje dziecko wraca do Kalifornii?

- Plany się zmieniły. Opowiedziałbym ci, ale ostatnio nie byłaś w pobliżu.

- Hm, wyczuwam pewną nutę wrogości - odparła Blair, próbując się odciąć. - Nie chodzi tu o mój awans, prawda? Wszystko było w porządku, gdy byłam asystentką redaktora naczelnego, ale już nie jest, gdy to ja mam władzę? - Zerknęła przez ramię na drzwi do gabinetu Jeffa. Przy laserowej drukarce stała Colleen Russell i czekała na wydruki. Blair odwróciła się do Jeffa i uśmiechnęła się. - Kolegujesz się ostatnio z kimś innym?

- Puszczę to mimo uszu. Colleen jest na tyle młoda, by być moją córką. Traktuję ją jako moją znacznie młodszą siostrę.

- Cóż, krążą tu pewne plotki. Wiesz, jak to jest, to też należy do pracy szefa. Chyba się nieźle zakumpłowaliście.

Jeff zmrużył oczy.

- Wiesz tak jak i ja, że dziewczyna miała mnóstwo kłopotów. Próbowałem jej pomóc. Czy w polityce kadrowej Whitestar są jakieś przeciwwskazania?

- Nic nie mówiłam. - Wstała z krzesła. - Wiesz, że nie chciałam cię wystawić tamtego wieczoru. Wrobili mnie w obiad z Robertą i paroma klientami. Naprawdę chciałam zadzwonić.

- Nic nie szkodzi, Blair.

- Wiesz... No cóż, masz córkę. I chodzi tu jeszcze o tę drobnomieszczańskość południowej dzielnicy. Jesteś dyrektorem artystycznym najbardziej popularnego czasopisma w mieście, ale wciąż upierasz się, by... by...

- Nic nie szkodzi.

- Jesteś pewien, że nie zmienisz zdania? Nie zaszkodzi twojej karierze, jeśli przez jeden wieczór posłodzisz trochę elicie. Może nawet być zabawnie. Mógłbyś odkryć, czy naprawdę ludzie z Gothique są tacy czaderscy.

- To nie dla mnie, Blair.

Sunęła ku drzwiom. Skóra, nylon i aksamit świszczą przy każdym ruchu.

- Nadal jesteśmy kumplami, Jeff? - Zanim wyszła na korytarz, zatrzymała się i odwróciła. - Albo ujmę to inaczej... Wciąż jesteśmy przyjaciółmi?

- Pewnie.

*

Tłuszcz z niezłej polskiej kiełbaski z musztardą i cebulką, którą Jeff wyniósł z budki przy St. Clair, zdążył już przesaczyć się przez papier i torebkę. W drugiej ręce niósł kebaba ze wszystkim, co tylko się dało do niego wpakować, z którego kapała kwaśna śmietana, wymieszana z zagadkowym sosem mięsnym. Mężczyzna pobiegł przejściem podziemnym pod Lake Shore Drive przy Ohio, potem przebiegł wzrokiem tłumu ludzi w parku przy jeziorze na północ od Navy Pier, spędzające tam porę lunchu. Sekretarki opalały się w ostatnich promieniach letniego słońca. Grupka menedżerów niższego

szczebla grała w siatkówkę. Pot plamił francuskie, spięte spinkami koszule. Mężczyźni w modnych, zwięzanych butach niezgrabnie rzucali się do piłki. Pary zajmowały ławki w parku i koce na trawniku.

- Coś do picia, kolego?

Jeff obrócił się i ujrzał detektyw Tern Shepherd z trzymanym oburącz wielkim napojem.

- Pomarańczowy albo piwo korzenne - powiedziała, uśmiechając się. - Wybieraj.

Wziął piwo i podał jej ociekającą torebkę z gyrosem.

- Miał być ze wszystkim, prawda? - spytał. Skinęła głową i zajrzała do środka.

- Gyros bez śmietany i cebulki to nie jest prawdziwy gyros, prawda? - Mówiła „dzyros”. - Hej, wciąż jest ciepły. Chodź, przy falochronach jest pusta ławka.

Zjedli lunch na brzegu. Niebieskozielona woda pluskała trochę ponad metr niżej. Wysoki nasyp Lake Shore Drive rzucał niepokojące cienie na ich plecy, skąpane w ostatnich promieniach letniego słońca. Terri Shepherd radziła sobie zgrabnie z rozpaćkanym gyrosem, nie roniąc ani kropli na granatową spódnicę. Jeff pożarł kielbasę czterema potężnymi kęsami. System pracy „Charade” wychowywał szybkich zjadaczy.

- Ten gyros jest znacznie lepszy od tamtego sprzed tygodnia - powiedziała Terri z ustami pełnymi pity i jagnięciny. - Mówiłam ci, że ta knajpa Przy McClurg to dno. Nigdy nie należy nic kupować tam, gdzie jadają mundurowi. Mają kubki smakowe zmumifikowane zbyt wieloma pączkami z kawą.

- Będę o tym pamiętał - odparł, naśladowując rzut Jordana, kiedy celował kubkiem i papierkami do kosza. Kubek trafił z odległości prawie dwóch metrów. Papierki odbiły się i potoczyły po trawie. - Może kiedyś pozwolisz mi postawić sobie prawdziwy lunch.

Ostatni kęs gyrosa zniknął w ustach Terri.

- Może. A może kiedyś ugotuję ci kolację? - Głośno pociągnęła ze słomki. - Jak tylko nauczę się gotować. - Wcisnęła śmieci do pustego kubka po napoju i rzuciła je przez ramię. Kłęb trafił w sam środek kosza.

- Ale popis.

- Nie, to przypadek - odparła.

- Z tego też tak zawsze trafiasz? - Wskazał pistolet, wystający z kabury pod jej brązową marynarką.

- Lepiej. Byłam najlepsza w grupie na akademii.

- To też sobie zapamiętam - stwierdził Jeff. - Czy musiałaś kiedykolwiek jej używać?

- Ludzie zawsze o to pytają.

- Większość z nich nigdy nie miało okazji strzelać.

- Nigdy nie wyciągnęłam jej na służbie. Wydział Wewnętrzny zwykle zajmuje się biurokratycznymi śmieciami, wiesz, w rodzaju: skorumpowany inspektor budowlany kuma się ze skorumpowanym gliną. Dzielnicowy nachodzi właścicieli knajp, urzędnik kradnie kosztowności w kostnicy. - Wstała z ławki. - Nie są to typy gangsterów, wobec których stosuje się broń. Chodź, przejdziemy się.

Szli wzdłuż brzegu, zostawiając za plecami nasypy. Kiedy ich ścieżkę zaczęły osłaniać drzewa i krzewy, ledwo słyszeli silniki i klaksony, wyjące parę przecznic z tyłu na Lake Shore Drive.

Terri wypytywała Jeffa, jak Jacks sobie radzi w nowej szkole. On dowiadywał się, jak jej szło z tapetowaniem łazienki w mieszkaniu na północno - zachodnim brzegu. Podczas ich ostatniego lunchu, parę dni temu, pokazała mu cztery rolki próbek, by z nich coś wybrał, a jeszcze parę dni wcześniej dwa próbki. Oczywiście, kiedy już dokonał wyboru, przewróciła oczami. „I ty jesteś projektantem?”, powiedziała wtedy i roześmiała się.

Obeszli park i skierowali się ponownie ku śródmieściu. Przestali rozmawiać i szli w ciszy, napawając oczy słońcem i błękitnym niebem. Po prostu cieszyli się swoim towarzystwem.

- Tu jest naprawdę ślicznie - stwierdziła Terri, patrząc wysoko na wieżowce górujące nad drzewami. - Aż trudno uwierzyć, co się naprawdę dzieje w mieście.

- Rzeczywiście wierzysz, że dzieje się coś niedobrego? - spytał.

Roześmiała się.

- Zawsze dzieje się coś niedobrego. Minimum dwa morderstwa dziennie. A to są w końcu tylko te, które wykrywamy. Tymczasem trąbimy wszem wobec, że o połowę spadły statystyki zabójstw. Jeff, dokładnie w tej chwili ktoś ginie zadźgany nożem. Ktoś gwałci dziewczynę albo ją okrada. W każdej chwili ktoś komuś sprzedaje działkę narkotyku albo i większą ilość. Oto Chicago. Zła tu nie brak.

- Terri, wiesz, co miałem na myśli. Jej uśmiech zgaś.

- Tak. Masz rację, dzieje się coś niedobrego.

- Ale ty mi nie powiesz, o co chodzi.

- Nie. - Dotarli do skraju parku i przeszli pod Lake Shore Drive. - Morderstwa na cmentarzach. Zaginione zwłoki. Zdarzenie w mieszkaniu Colleen. - Spojrzała mu głęboko w oczy. - Lepiej, jeśli ci nie powiem, co ja o tym myślę.

Kiedy już wyszli z tunelu, znaleźli się z powrotem w kanionach, utworzonych przez biurowce i apartamentowce.

- Założę się, że wiem, o czym myślisz - odparł. - Pewnie to samo, co ja, choć sam wiem, że to szalone. Myślisz, że...

- Nie, nawet tego nie wypowiadaj. Nie chcę tego słyszeć, bo to naprawdę wariacko brzmi. - Poszli na wschód ulicą Ohio, ramię w ramię, mijając tłumy na chodniku. Przy każdym kroku ich ręce ocierały się o siebie. Zanim doszli do Fairmont Court i ujrzeli budynek Whitestar Media Group, mającący z oddali, ich palce splotły się ze sobą. Po paru krokach już trzymali się za ręce. Żadne z nich nie powiedziało nic na ten temat, bojąc się, że druga osoba może zabrać rękę. Szli tak na północ po Fairmont, ściskając się za dłonie. - I jak, poszczęściło ci się z tymi dyskietkami? - spytała.

- Dyskietkami? Och. - Jeff potrzęsnał głową. - Nie. Wróciły wczoraj po południu. To już trzeci serwis, który wypróbowałem. Muszą być kompletnie zniszczone.

- Ale Colleen nadal sądzi, że przysłała je jej siostra?

- Tak. Nawet jeśli przysłała je Megan, wcale to nie oznacza, że jest na nich coś ważnego.

- Mimo wszystko chętnie dowiedziałabym się, co tam zapisano. Zwłaszcza że Megan Russell nadała je w dniu swojej śmierci. Może przekażesz je mnie? Nasz magik komputerowy może okazać się lepszy od twojego.

- Och, jakoś się do nich dobierzemy.

- Mogłabym je wziąć jako dowody. - Przyjrzała się jego twarzy, ale najwyraźniej nie zareagował na te słowa. - No dobrze, po prostu powiadom mnie w razie czego. - Zwolnili, zbliżając się do głównego wejścia do budynku Whitestar. Żadne z nich nie chciało jeszcze wypuścić ręki. - Cóż, ja również nie miałam szczęścia - rzekła. - Co do twojej byłej pracownicy, Gabrielle.

- Chyba się w nic nie wplątała? Colleen powiedziała, że widziała dziewczynę tego wieczoru, gdy zaginął jej współlokator.

- Najprawdopodobniej była z nim, ale nie możemy jej odnaleźć. Nie pojawiła się w miejscu ostatniej pracy i nawet nie wróciła do mieszkania. Właściciel sprzedał wszystkie jej rzeczy. Ona sama zniknęła.

- Cóż, nigdy specjalnie nie darzyłem sympatią Gabrielle, a to, co opowiedziała Colleen, sprawiło, że zacząłem ją lubić jeszcze mniej. Ale mam nadzieję, że jej się nic nie stało. - Spojrzał w górę na ściany wieżowca z zielonego marmuru i szkła, sięgając wzrokiem aż po dwudzieste siódme piętro i apartament Roberty Whitestar. Z zewnątrz wyglądały jak kolejny poziom, obudowany ciętym kamieniem i lustrzanym szkłem. - Sądziś, że „Charade Magazine” jest w to wszystko zamieszany?

- Nie twierdzę tak - odparła Terri. - Ale uważam, że powinieneś trzymać oczy szeroko otwarte.

- Och? - Roześmiał się. - Czyżbyś mnie prosiła o małe, prywatne śledztwo?

Mocniej ścisnęła mu dłoń.

- Nie. Na pewno nie. - Przyciągnęła go bliżej siebie. Zaskoczyła go jej nagła powaga. - Proszę, byś na siebie uważał.

- Dobrze. - Uśmiech Jeffa zgasł. - Wie pani, pani detektyw, wkrótce pewnego dnia będziemy musieli porozmawiać poważnie, bez żadnych tajemnic.

- Tak pan uważa?

- O tak. Może przy okazji obiadu? Powiedzmy, w tę sobotę?

- Jeff, powiedziałam ci, że nie potrafię gotować. To znaczy może umiałabym...

Położył palec na jej ustach, by ją uciszyć.

- Może ty nie, ale ja potrafię. Wpadniesz po południu? Wrzucę coś na grilla. Nic specjalnego. Może pojawi się też Colleen. Powiniennem sprawdzić jej samochód. - Przerwał na chwilę. - I spotkasz się z Jacks. - Obserwował jej oczy, zastanawiając się, czy już wystraszył Terri Shepherd.

- Dobrze. - W jej oczach rozbłysły iskierki. - Będiesz musiał się zachowywać przy Colleen i swojej córce. - Uśmiechnęła się. - To znaczy, że nie można tego nazwać prawdziwą randką.

Jeff westchnął. „Czy znów pojawi się rozmowa o byciu kolegami?”.

- W zasadzie można to nazwać prawdziwą randką. Wciąż masz ochotę przyjść?

Skinęła głową, uśmiechając się jeszcze szerzej.

- Pewnie.

- To do zobaczenia w sobotę - odparł, niechętnie wypuszczając jej dłoń. Ale ona przyciągnęła go bliżej i kompletnie zaskoczyła pospiesznym pocałunkiem w usta. Potem obróciła się na pięcie i pomaszerowała w dal po Fairmont. - Sobota! - krzyknął za nią.

Obserwował, jak jej niska i szczupła postać znika w tłumach na chodniku. Wciąż czuł ciepło jej dłoni i smak ust... szminka, gyros, kwaśna śmietana, cebulka. Miał go wciąż na wargach, choć pocałunek trwał nieco ponad sekundę. W końcu odwrócił się twarzą w kierunku Whitestar Building i skierował do środka.

*

Jacks szła powoli Archer Avenue, ciągnąc po chodniku nogawki workowatych dzinsów. Na plecach niosła plecak wypełniony po brzegi podręcznikami. Rachel, kolejna przyjaciółka Jacks z czasów dzieciństwa, miała zupełną rację. Rory, młodszy brat Rachel i najwyraźniej nowy wielbiciel Jacks, od pewnego czasu szedł za nimi.

- Dokąd idziecie, dziewczyny? - spytał Rory, zrzucając plecak, w którym panowały niemal zupełnie pustki, jeśli nie liczyć kilku płyt i czasopism. - Do McDonalda?

- Może - odpowiedziała Rachel. - Czemu pytasz?

- Bo może zapłacę za was.

- A może nie - odpowiedziała Jacks.

- Ale ja zapłacę. Słowo.

- Może jednak nie, Rory. - Czekali na zmianę świateł na ruchliwym skrzyżowaniu Archer i Pulaski. Zostawili za plecami szkołę średnią imienia Marii Curie, wielką bryłę w stylu lat siedemdziesiątych, zbudowaną z brązowej cegły. Wybiegli stamtąd przed dziesięcioma minutami, równo z dzwonkiem o trzeciej po południu. Wraz z nimi ze szkoły wysypały się setki innych uczniów, tłocząc się na przystankach autobusowych i przecinając jezdnię w drodze do osiedla domków po przeciwnej stronie Archer.

- Spokojnie, Jacks - powiedziała Rachel teatralnym szeptem na tyle głośno, by upewnić się, że Rory ją słyszy. Wyciągnęła głowę i potrząsnęła długimi brązowymi włosami. - Jeśli chce płacić, to mu pozwól. Uwierz mi, to mu się zazwyczaj nie zdarza.

Rory przyspieszył, aż znalazł się przy obydwu dziewczynach. Ominął słup latarni i znalazł się u boku Jacks.

- Nie dokuczaj mi, siostra. - Zwrócił się następnie do Jacks: - Nie daje mi żyć, odkąd poszliśmy na randkę.

- Ja nie nazwałabym tego randką - odparła Jacks.

- Myślałem, że jak każdy płaci za siebie, to jest to zgodne z etykietą. Miałem wiedzieć, że z ciebie staroświecka dziewczyna?

- Rory. Jesteś młodszy, ja jestem starsza. Ja prowadziłam samochód, ja zapłacałam. To nie była randka. I tyle.

Przeszli parking przy kręgielni i skierowali się ku Golden Arches.

- Och, po prostu rozpaczasz, gdyż nasz związek dobiegł tragicznego końca.

Rachel sięgnęła ręką i strzeliła brata w tył głowy. Jacks roześmiała się, odpychając Rachel łokciem.

- Rory, jeśli chcesz zapłacić, to śmiało. Ale mówię ci, że mi to nie sprawi żadnej różnicy.

- Oj, daj spokój, Jacks. Wiesz, że możesz nas tam wpuścić. Masz kontakty.

- Daj spokój, Rory.

Wyprzedził je i otworzył przed nimi drzwi, kłaniając się teatralnie, gdy przechodziły obok.

Usiedli w zakątku, uzbrojeni w koktajle mleczne i podwójne frytki. Rory dotrzymał obietnicy i zapłacił, ale zanim usiadł, starannie przeliczył resztę. Rachel wykorzystwała jego zwłokę i wśliznęła się na miejsce u boku Jacks, zanim jej brat zdążył to zrobić.

- Czemu nie dasz jej spokoju? - spytała Rachel, unosząc do ust garść frytek. - Mówiła ci już milion razy, że nie może ci pomóc.

- Bo niełatwo jest mi zaakceptować odmowę - odparł, siadając po przeciwnej stronie stolika i rozrywając jedną z zatłuszczonych torebek.

- Naprawdę? Jezu, a ja nie zauważyłam. - Jacks pociągnęła łyk czekoladowego koktajlu, jednocześnie bez zainteresowania maczając frytkę w keczupie. - Słuchajcie, powiem swoje ostatnie słowo na ten temat. Mój tata nie może i nie zrobiłby nic, by załatwić nam wejściówki. Nawet gdyby mógł, istnieje coś takiego jak limit wiekowy.

Rory przewrócił oczami.

- To żaden problem. Mam fałszywe dowody. I nigdy nie sprawdzają dziewczyn. Zapytaj się mojej siostry.

Rachel posłała Jacks pełne winy spojrzenie ponad koktajlem.

- Tylko raz. I tylko w tym barze z piwem na skrzyżowaniu 47 Street i Kedzie. To wcale nie był prawdziwy klub.

- Hej, siostra, widzę, że się zestrachłaś - stwierdził Rory. - Z łatwością możesz uchodzić za dwudziestą ednolatkę. - I to była prawda. Rachel była piękną. Mogłaby być modelką, bo miała śliczne włosy, wiotką figurę i wielkie oczy, stworzone do reklam tuszu do rzęs. - Zaufaj mi - powiedział chłopiec. - Im krótsza spódniczka i bardziej przejrzysta bluzka, tym mniej będą patrzeć w twój dowód.

- To się zawsze sprawdza w twoim wypadku, co? - spytała Jacks, pijąc napój, aż zaczęła siorbać przez słomkę. Sięgnęła po serwetkę. - Słuchaj, Rachel może się to powieść, ale mi na pewno nie. Nie robią aż tak krótkich spódnic. A nawet jeśli by takie były, to ja bym jej nie nałożyła.

- No to co powiesz o przezroczystej...

- Rory!

- O kurczę.

- Rory, mam podejrzenie, że bramkarze z Gothique mogą być nieco ostrzejsi od ochrony w barze w południowej dzielnicy. Prawda?

- Jacks przestała bawić się frytkami, na które tak naprawdę nie miała ochoty, i przesunęła je po stole w stronę Rory'ego. Chłopak natychmiast się na nie rzucił. - A jeśli chodzi o panią, pani Butterfly...

- Odwróciła się i złapała Rachel za ramię. - Czy to nie jest jakaś knajpa dla motocyklistów? Przynajmniej tam się mieściła, zanim nie przeprowadziłam się do Encino.

Rachel próbowała zniknąć za swoim koktajlem, ale nie była aż tak szczupła.

- Mówiłam, że byłam tam tylko raz. Poza tym trochę się pozmieniało w ciągu tych czterech lat. Już nie ma tam zbyt wielu harleyowców. Teraz przychodzą tam ci, co słuchają deathmetal.

- Ach tak, no to w porządku. Co cię opętało, żeby tam pójść, Rach?

- Hm... - zawahała się. - Był tam taki jeden...

- Starczy. - Jacks wysączyła resztki koktajlu z dna kubka. - Chodźcie, ja już muszę iść. Boynton zarzucił nas pracą domową.

Sama nie wiem, czemu zapisałam się na programowanie zaawansowane.

Rory wciąż się nie poddawał, gdy przechodzili przez Archer Avenue.

- A co ma twój stary do Gothique? Myślałem, że dla nich pracuje.

- Trochę - odpowiedziała Jacks, zarzucając przeciążony plecak na drugie ramię. - Pracuje dla „Charade Magazine”.

- No tak, ale to przecież to samo, prawda?

- Tata Jacks przydzwoniłby ci za te słowa - powiedziała Rachel i odwróciła się do Jacks. - Ale serio, co mu się nie podoba w Gothique? Przecież to tylko klub.

- Nie tylko klub - stwierdził Rory. - To kompleks rozrywkowy. Najbardziej czadowe miejsce w tym zapyziałym mieście od... od zawsze!

Jacks nie zwróciła na niego uwagi.

- Chyba tacie nie podoba się, w jaki sposób Gothique zawładnęło „Charade Magazine”. Jak dla niego jest zbyt trendy. - Cała trójka skręciła w Karlov. - Zauważyliście chyba, że mój tata nie do końca nadąża za modą.

- Ja uważam, że jest fajny - zagruchała Rachel. - Chcesz coś mieć, to się o to upomnij. Jest zbyt fajny, by być prawdziwym tatą.

- Cóż, zaufaj mi, jest prawdziwym tatą. Zabiłby mnie, gdyby się dowiedział, że próbuję zakraść się do Gothique czy jakiegokolwiek innego klubu.

- Oj, jest po prostu za stary jak na gotycką modę, i tyle - stwierdził Rory. - No, powiedz, pewnie lubi The Who, Led Zeppelin, VH - 1 i tak dalej?

Doszli do rogu, przy którym stał dom Jacks, i tu się na chwilę zawahali.

Kiedy tak stali, czarny mercedes, który jechał za nimi, odkąd wyszli ze szkoły, zaparkował na wolnym miejscu parę przecznic za nimi, na Karlov Avenue.

- Dalej, dokuczaj mi, Rory - rzekła Jacks. - A może i ja lubię The Who i Led Zeppelin.

- Dzień dobry, Jacks, witaj w nowym stuleciu. Czas sprzedać magnetofon na giełdzie. .

Jacks przyjrzała się czerni, w którą Rory był odziany od stóp do głów. Nosił porwane džinsy, martensy, koszulkę z Propagandą i cynową biżuterię. Miał fryzurę o postrzępionych bokach i dłuższych, poplątanych włosach na czubku. Rachel opowiadała, że ich ojciec groził mu ogoleniem głowy, gdy chłopak zaśnie.

Rory nie miał na sobie tylko borsuczego makijażu i błyszcząca na ustach.

Na niektóre rzeczy południowa dzielnica jeszcze nie była przygotowana.

- Posłuchaj, wasza muzyka jest całkiem fajna - powiedziała Jacks. - Niektóre zespoły mi się podobają. Czytam czasem wasze czasopisma. Niekiedy w internecie zaglądam na strony, które lubicie. - Zerknęła na Rachel: czarne buty na platformie, czarne kabaretki, czarna spódnica, czarny sweter. Na twarzy makijaż nieco ostrzejszy, niż pasował do ładnej buzi. - Ale nie angażuję się w cały ten gotyk tak jak wy.

Rachel wzruszyła ramionami.

- Cóż, masz do wyboru to albo muzykę house i popijanie cerveza fria. Tak to jest, Jacks. Obecnie mamy do wyboru tylko te dwa style. Chyba że chcesz się zadawać z grunge'owcami. - Skrzywiła ciemnoczerwone usteczka. - Ale to takie... przestarzałe.

- I nie ma żadnej alternatywy, co? - spytała Jacks. Rory i Rachel potrząsnęli głowami.

- Cóż, skoro zaczęłaś kurs programowania zaawansowanego z Boyntonem, to możesz dołączyć do klubu Cybermianiaków. Ale wtedy będziemy musieli cię wydziedziczyć.

Jacks zerknęła na zegarek.

- Bez obaw, ludziska. Chociaż myślałam nad przyłączeniem się do drużyny pingpongowej. Kapitan jest słodziutki. Ma fajne spodenki... - Przerwała. - Jezu, żartuję. - Poszła w stronę domu. - Muszę spadać. Zadzwońcie?

- Pewnie - odpowiedział rozpromieniony Rory.

- Miałam na myśli Rachel.

- Spoko, Jacks. Jak zwykle. Możemy zakrzyczeć tego tu oto chłopczyka. - Zaczęła przepychać się z bratem i odciągać go.

- Dzięki za frytki! - zawołała Jacks, grzebiąc w torbie w poszukiwaniu kluczy.

- Odpuść sobie podziękowania i załatw wejściówki do Gothique!
- odkrzyknął Rory. - Na wielkie otwarcie. - Rachel ponownie go stuknęła, tym razem na poważnie. - Wystarczy, że będą to wejściówki dla VIP - ów. Wprowadź nas na jedną z tych prywatnych sal, które tam szykują, dobra? A niech to, obojętnie której nocy, dobrze? Jacks...

Rachel pacnęła Rory'ego w tył głowy i w końcu go uciszyła.

Jacks obejrzała się przez ramię, śmiejąc się z nich obojga. Potem przeskoczyła schody, biorąc po dwa stopnie naraz i otworzyła drzwi do brązowego, parterowego domku, takiego samego jak wszystkie wzdłuż Karlov Avenue.

Kiedy zamykała za sobą drzwi wejściowe, czarny mercedes odbił od krawężnika za przecznicą i bardzo powoli przejechał obok domu Stanchecków.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Po drugiej stronie miasta ojciec Gil Silverez parł spiesznie po Montrose Avenue. Dochodziła piąta, a ruch uliczny już się wzmógł. Lecz korki na Montrose nie mogły przeszkodzić księdzu, bo Gil już od dawna nie miał samochodu. Ostatni z nich, vauxhall chevette rocznik '78, który kupił w 1984 roku z trzeciej ręki, składał się głównie z rdzy. Niektórzy kapłani nieźle sobie żyli ze swojej duszpasterskiej pensji, ale u Świętego Alstantiusa - sklasyfikowanego przez archidiecezję jako „średnia klasa średnia” - zawsze ktoś potrzebował paru dolarów znacznie bardziej niż parafia.

Gil spędził cały dzień na wizytach u parafian. Wciąż miał przed sobą jeszcze dwie, nim mógł skierować się do domu na kolację. Pierwsza miała być pani Heullarta, która od miesiący nie wychodziła z domu, odkąd po raz trzeci w ciągu roku ją obrabowali, a potrzebowała komunii. Następnie Augie Lachowicz, którego córka zadzwoniła dziś rano, by powiedzieć, że stan starego Augie się pogorszył. Gil nie wiedział, czy wpadnie po to, by pogadać sobie ze staruszkiem, czy też dokonać ostatniego namaszczenia.

Po paru krokach po Montrose kapłan ujrzał biało - zieloną, kamienną fasadę oddziału biblioteki publicznej Chicago. Zatrzymał się i prawie uderzył w czoło, gdy nagle przypomniał sobie, że na plebanii zostawił cztery książki z biblioteki, których termin oddania upłynął parę tygodni temu. Marian, malutka bibliotekarka z sąsiedztwa, dziewczyna tuż po licencjacie, niezmiernie dumna z dyplomu z bibliotekarstwa, na pewno urządzi mu piekło. Och, z pewnością mogła mu puścić płazem kary. Księżom nieustannie darowywano takie drobiazgi. Ale jedną z książek był najnowszy bestseller o terrorystach przejmujących samolot wojskowy z bombą nuklearną i pewnie wszyscy chcieli go przeczytać.

Zszedł na bok, pozwalając precyzyjnie się obok grupce dzieciaków. Kiedy to zrobił, dostrzegł przed drzwiami do biblioteki znajomy kłęb karmelowo - białej sierści. Sox leżał przywiązany do stojaka na rowery. Kiedy podchodził do psa, zwierzę uniosło głowę i zamachało ogonem, zanim jeszcze otworzyło wielkie brązowe oczy.

Kapłan wyciągnął rękę, by podrapać go za uszami.

- A co ty tutaj robisz? - Gil osłonił oczy ręką i zajrzał przez okno biblioteki.

Zobaczył Marian, słodką i śliczną. Druciane okulary zsunęła w tył głowy, na krótkie włosy. Miała na sobie słynną już długą spódnicę i bluzkę z kołnierzykiem w stylu Piotrusia Pana. Czasem Gil drażnił się z nią, mówiąc, że jest zbyt młoda i ładna na staroświecki mundurek, który pewnie wybrała tylko dlatego, by wyglądać bardziej jak prawdziwa bibliotekarka. Czasem pytał ją, czemu chowa tak śliczne oczy i nie zmieni okularów na szkła kontaktowe. Czasami Marian odpowiadała, że zadzwoni do archidiecezji i poskarży się na niego. A czasami czerwieniła się i Gil przysięgłby, że bardzo podobały jej się jego słowa, nawet jeśli wypowiadał je ksiądz.

Marian pochylała się nad malutkim komputerkiem bibliotecznym, pomagając jakiemuś emerytowi. Gil poczuł, że się czerwieni. Nagle wystraszył się, że bibliotekarka podniesie wzrok, zobaczy go i zacznie ścigać za niezwrócone książki. Ale Marian wciąż pochylała się nad komputerkiem, przesuwając myszkę i wskazując na ekran.

Na fotelu siedział sam Frank Hoelevich. Wyglądał na oszołomionego i potrząsał głową. Otaczał go stos książek.

Silverez zerknął na Soksa, upewniając się, że to właśnie on, a nie jakiś inny karmelowo - biały szetland. Potem ponownie spojrzął w okno biblioteki. Od czasów, gdy po raz pierwszy napili się razem piwa i zagrali w karty w tawernie Mike'a, nigdy nie widział, by Frank kiedykolwiek dotknął książki.

A teraz siedział przy komputerze?

Sox zaskomlał, by go znów pogłaskać. Gil spełnił jego prośbę, gotów wstąpić do biblioteki, ale najpierw zerknął na zegarek. Pani Heullarta spodziewała się go kwadrans temu. I nie wiadomo, ile wytrzyma stary Augie.

- Przepraszam, kolego, ale muszę pędzić dalej - powiedział ksiądz do psa. - Ale na pewno chciałbym się dowiedzieć, od kiedy to Frank zabrał się za czytanie.

Gil zajrzał po raz ostatni w okno biblioteki, a potem pomknął w dal Montrose Avenue.

*

Pani Heullarta przetrzymała Silvereza ponad godzinę. Wciągnęła go w pułapkę, ściśle rzecz ujmując, umieszczając fotel bujany tuż przy drzwiach do mieszkania. Ucieczka nie była więc taką prostą sprawą. Och, oczywiście, że potrzebowała komunii, ale znacznie bardziej od sakramentu potrzebowała zjednoczenia z inną ludzką duszą. Jej

sześciopiętrowa kamienica była przechowalnią dla złodziejasków, nielegalnych imigrantów, dilerów narkotykowych i jednej lub dwóch dziwek. Korytarze wypełniała dusząca mieszanina zapachów szczyń, śmieci i czegoś jeszcze gorszego. Gil posłusznie gawędził ze staruszką, słuchając wielokrotnie powtarzanych historii ze szczegółowym opisem każdego z trzech okropnych rabunków. Obiecał poszukać kogoś w parafii, kto pomógłby jej w zakupach, a potem nawet zgodził się przyjść za tydzień.

- Wtedy będzie ksiądz mógł zostać trochę dłużej - tak to ujęła starsza pani. Okazało się, że nie miało żadnego znaczenia, czy wyszedł od pani Heullarty wcześniej czy później, ponieważ Augie Lachowicz odszedł po południu. Całe szczęście, że we śnie. Córka właśnie wybierała się do zakładu pogrzebowego, gdy przybył Gil. Poszedł z nią, pocieszając na tyle, ile mógł wesprzeć czterdziestopięcioletnią kobietę, która od siedmiu lat myła ojca gąbką, wymieniała kaczki i baseny, czyściła wymiociny, a własne życie przeciekało jej między palcami. Mogła nawet teraz poczuć ulgę. Zamiast tego wyglądała na zagubioną.

Gil zostawił ją, sam czując się nieco niepotrzebny.

Tak więc zbliżała się dziewiętnasta, gdy ojciec Gil Silverez wracał Montrose Avenue ku plebanii, zastanawiając się, czy w lodówce wciąż ma coś jadalnego. Budżet Świętego Alstantiusa nie przewidywał gosposi ani kucharki, dlatego Gil dawał sobie radę, prosząc dwa razy w tygodniu o posprzątanie ochotniczki z kółka różańcowego. Może uda się na spacer wzdłuż Damen do tawerny Mike'a na hamburgera lub kawałek odgrzewanej w mikrofalówce pizzy? Wciąż zastanawiał się nad wyborem menu, gdy przeszedł obok drzwi biblioteki.

Sox znikł.

Gil zajrzał przez okno.

Przy biurku stał Frank Hoelevich, a Marian podawała mu stos książek. Sox stał u boku Franka. Gdy otworzył drzwi, najwyraźniej autopilot włączył mu machanie ogonem.

- Nie mów mi, że ten zwierzak ma kartę biblioteczną.

- Sox? - Frank uśmiechnął się. - Nie, czyta tylko strony ze sportem. Marian go wpuściła. Nawet nie wiedziałem o tym, dopóki psiak nie zaczął obwąchiwać mi mankietów spodni, kiedy siedziałem przy tym cholernym komputerze.

- Jakieś dzieciaki drażniły się z nim przed biblioteką - powiedziała Marian, wsuwając kartę z terminem do książki Franka. - Pomyślałam, że bezpieczniej będzie dla niego, jeśli znajdzie się w środku. Co tam przepisy.

- Co cię tu sprowadza, Gil?

- Myślałem, że to ja ci powinienem zadać to pytanie - odparł Silverez. - Żona wyjechała, to zająłeś się czytaniem, tak?

Marian zamknęła okładkę ostatniej książki Franka i przesunęła stosik po blacie.

- A ja myślałam, że przesiaduje w bibliotece, bo się we mnie zakochał. Frank, jestem zrozpaczona.

Frank zaczerwienił się lekko, obejmując książki wielkimi rękami i wtykając je pod ramię. Zebrał ich pokaźną liczbę. Spytał księdza:

- Dokąd idziesz?

Ten wzruszył ramionami.

- Próbowałem podjąć decyzję, kiedy przechodziłem obok. Nie wiedziałem, czy iść na plebanie, zjeść kanapkę i wypić piwo, czy też pójść do Mike'a.

- No to ja ci zaproponuję coś lepszego - stwierdził Frank. - Mam na kuchence gar gotującej się cały dzień kapusty z grochem i kiełbaskami. Chodź do mnie i zjedz ze mną.

Gil potrząsnął głową i odwrócił się do Marian.

- Tylko patrz na tego faceta. Żony nie ma w mieście od trzech tygodni. A jak on sobie z tym radzi? Ogląda tańce erotyczne w zachodniej dzielnicy? Stacza się? Nie! Ryzykuje zawał z powodu przejedzenia kiełbaskami.

- Jesteś zainteresowany czy nie? - spytał Frank. - Sox pewnie ma nadzieję, że nie. Tym sposobem zostaje więcej dla niego.

- Oczywiście, że jestem. - Gil sięgnął po książki pod ramieniem Franka. - Daj mi je, poniosę ci parę, staruszku, i możemy...

- Nie. - Frank odsunął się. Nagle uśmiech zgasł na jego twarzy, by wkrótce powrócić z niemalże taką samą prędkością. - Nie, Gil, ja poniosę. Nie są takie ciężkie. - Sięgnął po smycz Sokska. - Możemy sobie iść, gdy Marian już pozamyka. Powiedziałem, że odprowadzę ją do samochodu.

- Och, idźcie sobie już obaj - powiedziała. - Jestem już dużą dziewczynką i sama odnajdę swój samochód.

- Nie, Marian - odparł Frank. - Lepiej się poczuję, jeśli poczekam.

- W sąsiedztwie naprawdę pałęta się sporo wariatów - dodał Gil.
- Dopiero co wróciłem od pani Heullarty. Wiesz, że ją obrabowano...

- Trzy razy tego roku - dokończyła Marian. - Tak, ojcze, wiem. -
Sięgnęła pod biurko, złapała torebkę i wyciągnęła małą, czarną puszkę z aerozolem. - „Miejski gaz bojowy”. Powala niedźwiedzia z dwudziestu metrów.

- Czarnego czy grizzly? - spytał Gil.

- Czarnego czy... A skąd mam wiedzieć?

- Dowiedziałybyś się, że to czarny niedźwiedź, jeśli byś go opryskała, a potem uciekła.

- A skąd wiadomo, że byłby to grizzly?

- Nie dowiedziałybyś się, bo już byś nie żyła. Zżarłby tę puszkę na deser.

- To miłe - stwierdziła. - Swojego czasu upolowałeś wiele niedźwiedzi, prawda, ojcze?

Gil potrząsnął głową i uśmiechnął się.

- Nie widziałem żadnego z nich w ciągu całego mojego życia.

- No właśnie. - Marian wyszła zza biurka. - Wyjdźcie obaj. -
Wzięła pod ramiona Silvereza i Franka i poprowadziła ich do drzwi. Sox poczłapał za nimi na smyczy.

- Marian - zaczął Frank - Naprawdę ktoś powinien poczekać i...

- Naprawdę to powinniście obaj iść do domu, bym mogła skończyć pracę i sama też stąd pójść. Tak się składa, że dziś mam randkę. Chciałabym się jeszcze przebrać.

- To dobrze, Marian - stwierdził Gil. - Ale po co masz się przebierać? Wyglądasz jak zwykle wspaniale.

- Cóż, ojcze Silverez, z pewnością nie powinien ojciec tego zauważać. Ale dziękuję. - Porzuciła całą trójkę na chodniku.

- Od razu zamknij drzwi na zamek - zawołał Frank, gdy odchodzili Montrose Avenue. - Od razu, Marian!

Pomachała im z progu drzwi biblioteki.

- Powiedz temu księdzu, że jeśli nie przyniesie jutro przeterminowanych książek, to odbiorę sobie karę z niedzielnej tacy.

- Od razu, Marian - powtórzył Frank - zamykaj te drzwi. - Nie odwrócił się, dopóki nie zobaczył, że dziewczyna zamyka drzwi na klucz.

Gdy szli, Frank wpatrywał się w zachodni nieboskłon. Słońce prędko zachodziło. Wieczory teraz zapadały tak szybko.

*

Dochodziła ósma, gdy Marian skończyła porządkowanie papierów, zamknęła komputer i poukładała na półkach wszystkie książki, pozostawione na sześciu okrągłych stolikach, które tworzyły czytelną w malutkiej bibliotece. W końcu zarzuciła torebkę na ramię i skierowała się na zaplecze.

Nakłamała trochę Frankowi i księdzu.

Nie o randce. Randka miała odbyć się naprawdę. Jej siostra umówiła ją z kolegą z pracy, „Bobem, trochę maniakiem komputerowym, ale fajnym”, jak to ujęła. Może nie był to najlepszy wybór, ale Marian od prawie roku nie była na żadnej randce. W ciągu tego czasu przeczytała więcej książek i wypożyczyła więcej filmów, niż była w stanie policzyć. Ostatnio zaczęła liczyć, ile razy jej ręce wślizgiwały się nocą pod piżamę. Wcale jej się nie podobała ta liczba.

Nałgała Frankowi i ojcu Silverezowi o domu.

Jej miły maniak komputerowy, Bob randkowicz, nie miał przyjść po nią do domu. Mieli się spotkać tu, w bibliotece, o 20.30, a potem pójść na kolację do włoskiej restauracji w Lincoln Park. Marian uwielbiała włoską kuchnię. Tak więc zamierzała się przebrać tu, w bibliotece.

Szczerze mówiąc, to nawet nie wiedziała, czemu skłamała.

Chyba że zdawała sobie sprawę ze śmiesznego uczucia, które powstawało na myśl o stroju, który wisiał na haczyku za drzwiami łazienki. Chyba że miała nadzieje, iż nowe ubranie wzbudzi w miłym maniacu komputerowym Bobie znacznie większe zainteresowanie, niż mogła przypisać sobie bibliotekarka Marian, nosząca zawsze wyprasowane bawełniane bluzki z okrągłymi kołnierzykami i schludnie wypolerowane pantofle oraz porządne spódnice, kończące się tuż nad kolanem. Chyba że tego wieczoru nie myślała o sobie jako o Marian bibliotekarce, lecz o kobiecie Marian, i to bardzo atrakcyjnej. A przynajmniej taka chciała być i pragnęła, by Bob za taką ją uważał.

Marian postawiła torebkę na podłodze zaplecza, a potem zdjęła wieszak z drzwi łazienki i rozpięła plastikowy pokrowiec na ubranie, ukazując połyskującą czarno aksamitną marynarkę i dopasowaną do niej bardzo krótką spódnice. Kupiła ten strój dwa dni temu w modnym

butiku w Water Tower Place, ostentacyjnie dopełniając zakupów butami i malutką buteleczką perfum znanego projektanta. Krótkie dwie i pół godziny w centrum handlowym ze stali i szkła pozbawiło ją półmiesięcznej wypłaty, ale jeśli chodziło o Marian bibliotekarkę, to zamierzała rozpocząć nowy rozdział życia... począwszy od dzisiejszego wieczoru z miłym maniakiem komputerowym Bobem. Miała nadzieję, że dzisiejszej nocy to jego ręce wślizną się pod jej piżamę.

Albo gdziekolwiek indziej.

Sięgnęła po reklamówkę, którą wetknęła za drzwi łazienki. W tym momencie usłyszała, że otwierają się drzwi biblioteki.

- Bob? To ty? - zawołała. Włożyła rękę do torby i wyjęła nowe, wyszczotkowane zamszowe buty, wciąż pachnące nową skórą i pastą, a potem nowiutką paczkę cieniutkich, czarnych rajstop. - Bob, jestem w łazience. Usiądź sobie, a ja przyjdę za parę minut. - Zrzuciła z nóg grzeczne pantofle. - Wcześniej przyszedłeś. Mam nadzieję, że poczekaś chwilę. Muszę się przebrać. Poczytaj sobie książkę. - Zaśmiała się pod nosem. - Tak się składa, że mamy ich tu parę.

Sięgnęła za siebie, by rozpiąć spódnicę. Kiedy już zamierzała z niej wyjść, nagle zatrzymała się.

„Czekaj, co ty robisz? Nawet nie znasz tego faceta, a rozbierasz się, gdy tymczasem on...”

Przeczłapała niezgrabnie ku drzwiom łazienki ze spódnicą, krępującą jej kostki i cichutko zamknęła zamek przy klamce. No, teraz lepiej. Trzymając wciąż rękę na klamce, odrzuciła kopnięciem spódnicę, drugą ręką zmagając się z górnym guzikiem przy grzecznym kołnierzyku.

Wtem zamarła.

Wstrzymała oddech.

Nagle dłonie stały się śliskie od zimnego potu. Palce przesunęły się po zamku przy klamce...

- B...Bob?

Nie usłyszała odpowiedzi. Zameczek przy klamce...

Zamek i rygiel w drzwiach wejściowych biblioteki... Godzinę temu dokładnie zamknęła drzwi. Frank Hoelevich patrzył na nią, stojąc na chodniku.

- Bob?

Żadnej odpowiedzi.

Wiele razy czytała ten rozdział w wielu książkach podczas wielu samotnych wieczorów. Widziała tę scenę w beznadziejnych wypożyczanych horrorach.

A mimo to dokładnie robiła to samo, choć jej umysł krzyczał: „Nie, idiotko, zamknij się w łazience, schowaj za półkami, nie rób tego!”.

Ale zamiast tego spocone palce Marian otworzyły drzwi do łazienki, najciszej jak zdołały.

Jeszcze ciszej, a przynajmniej tak jej się zdawało, nacisnęła klamkę. Powoli i cichutko otworzyła drzwi.

- Bob?

Marian wsunęła okulary w drucianych oprawkach wysoko na nos. Spadły na miejsce, a ona wyjrzała jednym okiem przez w pół otwarte drzwi.

W bibliotece panowały egipskie ciemności.

Ktoś zgasił światła.

Usłyszała wysoki, krystaliczny dźwięk przy wejściu. Pomknęła tam oczami.

Choć było ciemno, dostrzegła, że ktoś rozbił szkło w szeroko otwartych drzwiach wejściowych. Natychmiast pomyślała o pani Heullarcie i trzech okropnych napadach.

Ponownie usłyszała dźwięczny krystaliczny odgłos i pomyślała, że znowu gdzieś rozbiło się szkło. Chciała, żeby tak było. Ale w głębi serca wiedziała, że to coś więcej. Zdała sobie sprawę, że do jej uszu dobiegał zgrzytliwy dźwięk cichych, upiornych chichotów.

I wtedy Marian bibliotekarka ujrzała w ciemnościach zarysy sześciu postaci, siedzących przy sześciu okrągłych stolikach bibliotecznych.

*

Frank i Gil rozmawiali o nieważnych sprawach przez całą drogę do domu, a potem podczas obiadu, składającego się z kiełbasy i kiszzonej kapusty.

Omawiali niewielkie szanse na zdobycie decydujących punktów przez Cubs i White Sox w ciągu ostatnich paru tygodni sezonu. Wyrażali nadzieje, związane z Bears, choć drużyna przegrała już dwa mecze wyjazdowe. Uzgodnili, że należy poczekać, aż Bulls uratują honor miasta, bez względu na to, czy z Jordanem, czy bez niego. Nawet nie zajęli się omawianiem Blackhawks.

Po kolacji Frank pozmywał, a Gil powycierał talerze. Wcześniej Sox dokonał wstępnego oczyszczenia zastawy, zanim ta trafiła do zlewu. Po sprzątnięciu w kuchni, choć niezupełnie odbyło się to zgodnie ze standardami Libbie, Sox dostał kość z udźca do gryzienia - nieczęsty smakołyk, skoro obecnie kosztował dolara i dziewięćdziesiąt dziewięć centów za sztukę. Frank nalał Crown Royal na dwa palce do dwóch szklanek, a Gil przyniósł z lodówki dodatkowo dwa zimne piwa. Rozgościli się w salonie. Gil zajął kanapę, Frank fotel, Sox, obgryzając kość, rozparł się obok swojego pana.

- Frank, kiedy Libbie wraca?

- Chyba jej się tam podoba, choć ja nie wiem czemu. Ale pewnie wróci za jakiś tydzień.

- Nie chcę być wścibski, ale szedłeś po kryjomu do antykwariatu na Hermitage?

- Czemu?

- Cóż, bilety kolejowe, trzy tygodnie na Florydzie - odparł Gil. - Wiem, że nie mieliście pieniędzy.

- Libbie mieszka u siostry. Nie płaci za hotel, nie chodzi codziennie do restauracji. Wcale jej to tak dużo nie kosztuje.

- Mimo wszystko.

- Powiedzmy, że za Libbie zapłacił Sepp Deitrich - rzekł Frank.

- Jaki Sepp? - Frank wstał z fotela i poszedł do sypialni. Kiedy wrócił, rzucił mu na kolana dwa odznaczenia wojskowe. - Purpurowe Serce i Krzyż Zasługi. Nie rozumiem.

Frank usiadł z powrotem w fotelu.

- Zaniósłem te medale do sklepu z militariami na Ashland. Pomyślałem że muszą być coś warte. - Łyknął sporo Crown Royal, a potem popił piwem. - Facet powiedział, że da dwadzieścia pięć dolców za każdy. Mówię mu: „Hej, facet, toż to cholerne Purpurowe Serce z czasów wojny”. A on po prostu wzruszył ramionami i powiedział: „No dobra, trzydzieści”.

- Frank, nie rozumiem cię. Przecież ich nie sprzedałeś. I dobrze. Więc kim jest Sepp Deitrich?

- No, dalejże, ojczu. Czy w komandosach kapelani nie czytują niczego więcej, tylko Pismo Święte? - Frank sącył piwo. Jego oczy zaszyły mgłą. - Sepp Deitrich był nazistowskim sukinsynem, który dowodził kolumną Panzerów w Ardenach w Boże Narodzenie 1944

roku. Jeden z jego przeklętych czołgów wybił połowę mojego oddziału, gdy dwóch ubranych na zielono dzieciaków wygrzebywało się ze śniegu, podnosząc ręce, by się poddać. Jeden z jego cholernych czołgów dostał pociskiem z bazooki prosto w dupę. To go załatwiło. Inny dostał granatem prosto we właz. Jeden z nich miał wielką, starą, czarno - czerwono - białą flagę ze swastyką na antenie radiowej, wielką jak prześcieradło. Wetknąłem tę flagę do plecaka po tym, jak wrzuciłem dwa granaty we właz, a jeden z tych sukinsynów w czerni gapił się na mnie takim wyrazem twarzy, jakby mówił: „A spieprzaj stąd, Jankesie”. Może właśnie dzięki tej fladze przetrwałem wojnę i udało mi się wrócić do domu, choć nie wolno nam było zatrzymywać sobie pamiątek. - Hoelevich przełknął haustem resztę napoju ze szklanki. W rękę ścisnął tak mocno zroszoną butelkę piwa, że szkło o mało nie pękło. - W końcu doszedłem do tego, że facet w sklepie z militariami dawał mi po pięćdziesiąt dolców za każdy medal, gdy powiedziałem mu, gdzie ma sobie wetknąć te pieniądze. Ale zaproponował, że jeśli znalazłbym jakiś niemiecki szajs, miałem wrócić i pogadać. - Frank w końcu rozluźnił chwyt. - Trzysta dolarów za tę cholerną flagę. Trzysta, Gil, uwierzysz?

Gil trzymał swoją szklankę. Poczuł, jak wzdłuż kręgosłupa przebiega mu dreszcz, gdy ujrzał, jak w oczach Franka pojawia się nagły, daleki chłód. Widział już takie spojrzenie w oczach przerażonych dzieciaków, które wracały ze stref działań wojennych w czasach, gdy pełnił służbę kapelana. Wiedział, że taki wzrok oznaczał, iż zobaczyli coś, czego Bóg z pewnością nie przeznaczył dla ich dziecięcych oczu.

- Kolekcjonerzy takich rzeczy to spory rynek. Frank przytaknął.

- Tak, kolekcjonerzy. Ten facet powiedział, że sprzedaje je teraz modnisiom, takim jak te ubrane w czarne skóry gogusie. Wykupują wszystkie nazistowskie rzeczy, które uda mu się zdobyć. - Wyciągnął cygaro z kieszeni koszuli, zapalił je, wydmuchując wokół siebie wielki jak opona okrąg niebieskiego dymu, i dalej gadał: - Chore świrusy. Chciałbym zobaczyć, jak któryś z nich leży w zimnie na ziemi i patrzy, jak koledze rozbryzgują się flaki po śniegu, i słucha, jak konający wzywają swoje matki, krzyczą do Boga, błagają, by nie umierać, nie tu, nie w ten sposób, a potem widzi wyraz ich twarzy, gdy padają. Po tym wyrazie widać, że umierający zdają sobie sprawę, że nigdy nie zobaczą domu, wiedzą, że są martwi. Chciałbym... -

Przetoczył cygaro w ustach. - Nie, w zasadzie nie chciałbym, żeby któryś z tych ćpunów się dowiedział. Chyba lepiej, jeśli się nigdy nie dowiedzą. - Powoli wypuścił długą smugę dymu. - Libbie może cieszyć się sokiem pomarańczowym, palmami i piaskiem, ile tylko zapragnie. I ile będzie chciała tam być. Zarobiliśmy na to.

- Amen.

Frank przechylił się nad oparciem fotela i uniósł do połowy żaluzje. Uchylił nieco okno i do środka wpadł zimny wrześnieowy powiew. Frank i ksiądz skierowali spojrzenia ku oknu, wpatrując się w budynek, mający po drugiej stronie ulicy.

Wielka bryła Gothique straszyla ciemnym kamieniem i jeszcze ciemniejszymi oknami.

Pozwolił, by żaluzje opadły na miejsce, i obrócił się do Gila.

- A więc?

- A więc... co?

- A więc powiedz to wreszcie. Uważasz, że zwariowałem.

- Frank, o czym ty mówisz?

- Wiem, że widziałeś te książki, które wzięłem z biblioteki. - Frank wskazał na stolik z telewizorem, gdzie na wierzchu leżały tomy, tuż obok fotografii ślubnej z Libbie. Montage Summers, Devendra P. Varma, Olga Hoyt, Bram Stoker, J. Gordon Melton, Anne Rice. - Marian zamówiła je dla mnie z głównej siedziby w śródmieściu. Chodzę do biblioteki na spotkania z nią, odkąd wsadziłem Libbie do Amtraka. A jeśli chodzi o tę śliczną Marian, to ona naprawdę myśli, że zwariowałem. Założę się. Prawie to powiedziała, pomagając mi z komputerem i pokazując, jak przeszukiwać pliki z gazetami. Zobaczyłem internet, uwierzysz? - Frank zerknął za siebie, na zasunięte żaluzje. - Dziwne rzeczy dzieją się na świecie, ojczu.

- Frank, to tylko książki. Opowieści. Nie możesz traktować ich serio. Ten skinał głową.

- Te książki? Pewnie, to tylko opowiadki. Przynajmniej większość z nich. Ale ostatnio w mieście dzieje się wiele złych rzeczy. Nie jesteś w stanie tego zauważyć, gdy czytasz gazetę albo oglądasz wiadomości o dziesiątej. Nie połączysz jednej paskudnej historii z drugą. Do diabła, w tym przeklętym mieście jest tak wiele paskudnych historii. - Pochylił się w fotelu i zajrzał głęboko w oczy ojcu Silverezowi. - Tu morderstwo, tam zaginięcie. Kolejny pobiły uciekinier z domu czy zarżnięta w zaułku dziwka albo ćpun

wyrzucony na brzeg jeziora. W kostnicy dzieją się niewytłumaczalne rzeczy. Ktoś się włamuje do domu pogrzebowego. Codziennie coś się dzieje, prawda? Ale gdy zaczynasz się przyglądać i dodawać dwa do dwóch... Cóż, Gil, wtedy okazuje się, że nie są to zwykłe „historie”.

- Frank, wiem, do czego pijesz, i masz rację, to brzmi wariacko. Policja by się tym zajęła. Oni umieją dodawać dwa do dwóch.

- Może już się tym zajmują, a przynajmniej paru z nich. Zadzwońeś Po policję tego wieczoru, gdy ten świrus zaatakował dziewczynę tuż przy moim domu, prawda? A może próbujesz zapomnieć, Gil?

- Nie, pamiętam.

- Pamiętasz, co ci powiedziała policja?

Ten niechętnie skinął głową.

- Para pokreconych nastolatków, która brutalnie obcałowywała się w przejściu. Nikomu nic się nie stało, to proszę nie wtykać nosa w nie swoje sprawy.

- Dokładnie. Brutalne obcałowywanie. Ten świrus gryzł ją w piersi tak, że krwawiła. A jej się to podobało.

- Ale to nie znaczy...

- No pewnie, że nie. Wiesz... Nie sądziłem, że będziesz sceptykiem, skoro jesteś księdzem. Jeśli chodzi o mnie, nigdy nie przejmowałem się religią. Może z wyjątkiem okopów w Europie. Wydawało mi się, że spotkania z diabłem to twoje zajęcie.

- A diabeł mieszka na Damen Avenue, prawda, Frank? - Gil odstawił piwo na stolik przed sobą. Pochylił się ku staruszkowi, splatając ręce w niezwykłym dla siebie księżowskim geście. - Lubię uważać, że umiem wyczuć diabła, a potem skopać mu tyłek. Ale on występuje pod postacią dilerka narkotyków, który próbował rozkręcić interes tuż przed szkołą na Irving. To alfons, który otworzył salon masażu na Montrose. To członek gangu, który w zeszłym tygodniu wymalował sprayem cały front tawerny Mike'a. To na pewno nie jest demon z kopytami, rogami i widłami.

- Może nie - odparł Frank. - A co z kłami?

- Z pewnością nie z kłami.

- Czy to oficjalne stanowisko, ojczy? Kościół też się do niego przychyła?

- Frank, my się do niczego nie przychyłamy. Nigdy. Co najwyżej nadstawiamy drugi policzek. - Przez chwilę obaj patrzyli na siebie z

gniewem. W końcu Gil przerwał ciszę: - Na świecie jest mnóstwo chorych ludzi, którzy zajmują się chorymi rzeczami. Nie chcesz wiedzieć, czego ja się nasłucham w konfesjonale w niedzielne popołudnia. Ale te dzieciaki... cóż, to były tylko dzieciaki. Nastolatki zajmują się dziwnymi rzeczami. Wiesz, ja też czytam. Dowiedziałem się, co się wokół dzieje. Sam też możesz o tym poczytać. Otwórz egzemplarz „Charade Magazine”. Nazywają ich „gotami”, „nowymi romantykami” albo „dziećmi mroku”. To gracze, inspirowani historiami o Draculi. Słuchają dziwnej muzyki i noszą jeszcze dziwniejsze ubrania. Ale to po prostu jeszcze jedna moda dla nastolatków.

- I co jeszcze, ojcze? - Frank łyknął piwa, a potem wyciągnął rękę i ponownie szarpnął za sznurek żaluzji, które z hukiem pomknęły wzwyż. Nawet Sox uniósł głowę znad swojej kości. - W Gothique otworzono okna. W każdym z nich paliło się światło. W środku przesuwwały się ciemne postacie. Wyglądało to jeszcze groźniej niż poprzednio. - To ma coś wspólnego z tym miejscem - stwierdził, wskazując okno. - Nie wiem, dlaczego się tam znaleźli, ale wszystko się dzieje przez nich. Są źli, Gil, naprawdę podli, i to nie tak jak gangsterzy, alfonsi czy handlarze. Oni są niegodziwi. - Odwrócił się do księdza. - To wampiry. Naprawdę. Teraz w tym miejscu, które nazywa się Gothique, mieszkają wampiry.

- Frank, daj spokój, nie możesz...

Ale on tylko zasunął żaluzje równie głośno, jak je podniósł.

- Opowiem ci coś, co mnie spotkało parę tygodni temu.

*

„Źle ze staruszką”.

Tak stwierdził Gil, idąc Damen w kierunku Montrose Avenue.

Ale coś mu nie pasowało. Frank Hoelevich był jednym z najrozsądniejszych ludzi, których znał. Szanował go i co więcej, lubił na tyle, by założyć, że to Alzheimer rozmiękcza staruszkowi mózg. Nie założył, że samotność w bezdziejnym małżeństwie czy też zbyt długi wyjazd żony albo zbyt wiele głupawych książek w domu sprawiły, iż mężczyzna trochę sfiksował. Nie zaakceptował też myśli, że niewyobrażalna groza złej wojny sprzed pięćdziesięciu lat sprawiła, iż zaczął roić nowe i coraz bardziej przerażające demony na własnym podwórku.

Nie, nie mógł tak pomyśleć o Franku Hoelevichu. I raczej nie pomyślałby.

Czerwone oczy, jarzące się we mgle nad Damen Avenue? Czarne postacie z białymi jak u duchów twarzami, które zmaterializowały się z mroku?

Kłty?

Wampiry, przyczajone w starym gmaszysku kina, które obecnie szykowało się do otwarcia jako „Gothique”?

Mimo wszystko przyspieszył kroku, zerkając co chwilę przez ramię, gdy wysoki, brzydki budynek stapał się z ciemnością za jego plecami. Tej nocy Damen Avenue była pusta i cicha jak kościół nocą.

Cicha jak cementarz nocą.

Frank nie chciał, by Gil wyszedł, zwłaszcza że miał przed sobą samotną drogę do domu. Błagał księdza, by pozwolił mu zamówić taksówkę albo został u niego na noc. Ale u świętego Alstantiusa nie płacili księżom za to, by się rozbijali po mieście taksówkami. Poza tym nie mógł opuścić mszy o siódmej rano, celebrowanej dla ludzi spieszących się do pracy. Gil pomachał mu na do widzenia przy tylnych drzwiach, podczas gdy Sox pospiesznie załatwiał się na podwórku. Opuścił Franka, który przeklinał sam siebie za zaproszenie kapłana na kolację i przetrzymanie do tak późna, a potem wypuszczenie z domu po zmierzchu.

Gdy Gil przebrnął przez ciemność przejścia obok domu Franka i wyszedł na chodnik na Damen, widok paskudnego budynku klubu sprawił, że przebiegł go dreszcz. Może też przypomniał mu się wyszczerzony dzieciak o dziwnie białych zębach i jeszcze dziwniejszej białej skórze, który spojrzał mu w oczy tamtego wieczoru swoimi czarnymi, nie czerwonymi tęczówkami, a potem odtrącił go i zniknął w mroku. Pamiętał go. Nie mógł zapomnieć, choć co wieczór padał na kolana i modlił się o niepamięć.

W oddali po Montrose przemknął wóz patrolowy, błyskając niebieskim światłem i wyjąc syreną. Za nim przejechał kolejny.

Gil odetchnął z ulgą, gdy skręcił z Damen i zaczekał na przejściu na Montrose. W obydwie strony mknęły samochody, warkocząc niewyregulowanymi silnikami. Ktoś trąbił, z radiodbiorników huczała muzyka. Przez hałas przebił się grzmot odrzutowca. Podniósł wzrok. Samolot leciał równoległe do autostrady Kennedy Expressway, a potem zaczął obniżać lot, zdążając ku lotnisku O'Hare. Dostrzegł

jeszcze dwie maszyny na tle nocnego nieba, ustawiające się za nim w szeregu.

Światła na przejściu, samochody, samoloty - wszystko to sprawiało, że poczuł się bezpieczniej. Były solidne. Normalne. Tworzyły rzeczywistość. Ksiądz poszedł wzdłuż Montrose ku kościołowi świętego Alstantiusa i plebanii, czując ulgę, że zostawił za sobą ciemność Damen Avenue, Gothique i demony Franka.

Ale rzeczywistość szybko pokazała paskudną twarz. Zresztą, często tak bywało. A potem zwała się całym ciężarem na ojca Silvereza.

Ujrzał przed sobą dwa wozy policyjne na sygnale. Obok nich parkowały już następne. Między nimi stała karetka.

Blokowały ruch uliczny o przecznicę dalej na Montrose Avenue.

Stały tuż przed wejściem do malutkiego oddziału biblioteki miejskiej.

Zaczął biec.

Dyszał ciężko, kiedy przebiegł przez drzwi frontowe biblioteki.

Podłogę zaścielało tłuczone szkło.

Rygiel wyrwano ze ściany.

Zatrzymał go umundurowany policjant. Za nim pojawił się drugi.

- Może wejść - powiedział drugi policjant. - To ksiądz od świętego Alstantiusa. - Odwrócił się do Gila, gdy pierwszy policjant przepuścił kapłana. - Ojcie, raczej nie ma tu za wiele do roboty. Ale może ksiądz zajrzeć na zaplecze, jeśli ksiądz sobie tego życzy.

Gil poszedł na zaplecze biblioteki. Policjanci i policjantki wypełniali formularze i robili zdjęcia. W kącie siedział na dziecięcym krześle chudy, schludnie ostrzyżony, młody mężczyzna z pobladłą twarzą, w dzinsach i swetrze. Odpowiadał na pytania robiącej notatki policjantki, kiwając głową jak robot. W pomieszczeniu panował bałagan. Powywracano stoły, połamano krzesła, wyrzucono z regałów książki, które walały się po podłodze. Poszedł na zaplecze. Teraz już nie biegł. Nie był nawet tego pewien, co mógł tam zobaczyć.

Kogo...

- Kim pan jest? - Nieumundurowany policjant zastąpił mu drogę. - Tu już nie ma ojciec nic do roboty. Prawie skończyliśmy. Za chwilę zabierają ją do patologa. - Ojciec Silverez stał w drzwiach, starając się nie udławić rosnącą w gardle kulą. Prawie ugięły się pod nim nogi. Funkcjonariusz mówił nieustannie, ale on już go nie słuchał. -

Przypuszczamy, że zdarzyło się to około ósmej, ale patolog ustali to dokładniej. Pewnie jakiś gang. Może Latynosi. Ostatnio sporo się ich tu kręciło, prawda, ojcze? Ksiądz ją znał? A czy może ksiądz wiedział, że...

Nie... Już nie słuchał. Gapił się szeroko otwartymi oczami, rozchyliwszy usta. Ręce trzęsły mu się z gniewu, strachu i obrzydzenia.

Na podłodze leżały okulary bibliotekarki Marian z potrzaskanymi szklami i pociętą oprawką.

Na kafelkach łazienki leżała bluzka w stylu Piotrusia Pana, skromne pantofle i przyzwoita spódnica nad kolano oraz bielizna. Ubranie było całe w strzępach.

Na nim widniały plamy krwi.

Zobaczył ją.

Wisiała głową w dół.

Niecałe półtora metra od niego wisiała Marian. Szeroko otwarte oczy miały barwę niezdrowego, bladego błękitu. Gapiły się pustym, martwym spojrzeniem. Dziewczynę rozebrano do naga. Jej skóra miała blady, zimny odcień bieli.

Nie licząc ran.

Nie licząc zgrabnych par dziurek na nadgarstkach i udach. Na piersiach widniały sine rany o nierównych brzegach. Na szyi miała paskudne rozdarcia. Rany w odcieniu czerwieni. Kapała z nich ciemna, krzepnąca krew, która rozsmarowała się wokół ran, jakby siorbały ją oślinione wargi i żarłoczne języki.

Delikatne ręce Marian zwisały trzydzieści centymetrów nad podłogą, związane zwiniętymi w kłęb beżowymi majtkami.

Obnażone, z maltretowane ciało dziewczyny wisiało do góry nogami. Nagie stopy związane tak samo jak i ręce parą czarnych pończoch wokół zwieszającej się pod sufitem rury.

- Ojciec znał tę dziewczynę, co? A może też i jej chłopaka, dzieciaka, który tam siedzi? To on ją znalazł. Mówi, że jej nie znał. To miała być randka w ciemno. Sądzymy, że jest niewinny, ale nigdy nic nie wiadomo. - Policjant w cywilnym ubraniu wziął Gila pod ramię i wyprowadził go z pomieszczenia. - Nie, ten dzieciak to za duża cipa, żeby coś takiego zrobić. I tak zresztą nie dałby rady zawiesić ją na tej rurze. Nie, to musi być sprawka gangu. Prawda, ojcze? Ci Latynosi...

- To nie Latynosi! - Gil wyszarpnął rękę z dłoni detektywa. - Żaden przeklęty przez Boga gang nie mógłby czegoś takiego zrobić!

- Uuu, ojczu, co za język.

- Czy pan zwariował? - wykrzyknął ksiądz. - Czy jest pan ślepy? Czy też po prostu głupi? Przecież widzi pan te rany na... na jej ciele. - Zaczął szlochać. - Na... Marian.

- Widzę, i co z tego? - spytał policjant. - Wiele gangów robi coś takiego podczas rytuałów. Ostatnio widzę mnóstwo takich przypadków.

- To ugryzienia - syknął Gil. - Oni ją pogryźli. Zębami. Kłami! Detektyw zeszywniał i niemal przyparł księdza do ściany.

- Nie widziałem nic, co wygląda jak ugryzienia. To Chicago, ojczu. Nie ma tu żadnych zwierząt z kłami. I, do cholery, żadne ze zwierząt nie zdoła związać dziewczyny jej własnymi pończochami i zawiesić ją do góry nogami. - Przysunął twarz blisko twarzy Silvereza. Brwi marszczyły się nad groźnie spoglądającymi oczami. - Zdaje się, że mam przed sobą parafialnego księdza, który najwyraźniej łyknął za dużo tego wieczoru. Może powinni się o czymś takim dowiedzieć w archidiecezji, hm? Nie widział tu ksiądz żadnych ugryzień, rozumiano? Niczego, co by było do nich podobne. I z pewnością nie powie ksiądz nikomu, że je widział, prawda?

Policjant odsunął się. Jego twarz złagodniała.

- Hej, Shepherd. Chyba już tam skończyłaś, prawda? Co ty na to, żeby podwieźć księdza do brodzia do świętego Alstantiusa? Chyba trochę mu szumi w głowie.

- Pewnie. - Detektyw Wydziału Dochodzeń Wewnętrznych, Terri Shepherd, wstała z bibliotecznego krzesła i wsunęła notatnik do kieszeni. Skinęła Gilowi, by za nią poszedł. - Proszę za mną. Nic tu już ksiądz nie da rady zrobić.

- Proszę pamiętać - odezwał się ponownie policjant w cywilu ze swego miejsca w drzwiach łazienki. Gil zatrzymał się przy wyjściu. - Proszę pamiętać, by nie przeszkadzać w śledztwie. - Za jego plecami wisiały nagie zwłoki Marian, obscenicznie świecąc białą skórą i czerwonymi ranami. - O niektórych rzeczach powinniśmy wiedzieć tylko my i przestępcy, prawda? - Detektyw mrugnął do niego.

Gil nic mu nie odpowiedział. Nagle w głowie zawirowały mu wszystkie zawołane ostrzeżenia Franka. Pozwolił, by młoda policjantka wyprowadziła go z biblioteki.

Rozdział dwudziesty drugi

Inaczej niż w wypadku zwykłych wind budynku Whitestar Media, które zawsze szybko i sprawnie dowoziły pszczołki robotnice do gabinetów i biur, prywatna winda do apartamentu na poddaszu na dwudziestym siódmym piętrze została zaprojektowana tak, by jechać denerwująco powoli. Sama Roberta Whitehead zażyczyła sobie, by tak wyregulowano mechanizmy. Była to kolejna pozycja na jej długiej liście kaprysów. Powolna przejazdka wydłużała czas oczekiwania i wywoływała niepokój u tych, którzy za chwilę mieli zebrać cięgi, zostać zwolnieni albo też miało spotkać ich coś gorszego.

W tej chwili powolny ruch windy wywierał właściwy wpływ na Blair Armstrong.

Bawiła się zbyt starannie ułożonymi włosami, poprawiała ubranie i satynowe rękawiczki, a nawet prychnęła w stronę odbicia w podłodze windy i w kierunku luster na suficie. Blair miała na sobie szósty z kolejno przymierzanych, nowiutkich, czarnych i nieprzyzwoicie kosztownych strojów. Oczywiście, już wcześniej znalazła się w luksusowym biurze Roberty Whitehead. Nawet parę razy jadła kolację z królową Whitestar, wliczając ostatni raz, gdy Roberta awansowała ją i poinformowała o podwyżce, dzięki której Blair znalazła się w środku najlepiej zarabiającej setki ludzi Whitestar.

Ale jeszcze nigdy nie znalazła się w prywatnym mieszkaniu Roberty, osławionym labiryncie wspaniałych salonów, pluszowych saloników i połączonych ze sobą sypialni, które dzieliły dwudzieste siódme piętro z równie ekskluzywnym biurem. Blair nigdy tam nie była, ale już o nim słyszała. Modna scena klubowa Chicago była pełna atrakcyjnych modeli, nieźle zapowiadających się fotografów, kierowników z agencji reklamowych, DJ - ów i kandydatów na reporterów telewizyjnych, którzy zwiedzali owe mieszkanie najczęściej nago, czasem prowadzeni w obroży i na smyczy, z łyżkami kokainy w nosie, która sprawiała, że bankieciki stawały się lżejsze do zniesienia.

Cała elita medialna Chicago wiedziała o słabościach Roberty Whitehead.

Winda wdrapała się z dwudziestego trzeciego na dwudzieste czwarte piętro. Blair obciągnęła brzeg krótkiej, czarnej, dżersejowej sukienki odzianymi w śliskie rękawiczki dłońmi. Próbowwała zapobiec podjechaniu rąbka skąpej sukienki nad brzeg ciemnych pończoch.

Mini były w modzie, ale ta oznaczała również niewygodę. Nagle Blair stwierdziła, że nienawidzi tej sukienki. Nie mogła uwierzyć, że zostawiła na podłodze w sypialni szyfonową, wielowarstwową suknię, że wyszła w tych fikuśnych satynowych pantoflach, że wybrała platynowy naszyjnik w kształcie łańcucha rowerowego zamiast nabijanej aksamitki w kolorze kości słoniowej, że miała na sobie taki makijaż i taką fryzurę, że...

Drzwi windy otworzyły się powoli.

Przywitał ją odziany w smoking dzieciak nieokreślonej płci, o białej jak mąka twarzy.

- Pani Armstrong? Proszę za mną.

Blair szła za chudą, androginiczną postacią przez wijący się labirynt marmurowych korytarzy oświetlonych mdłym światłem, nie licząc rozmieszczonych tu i ówdzie punktowych reflektorów, skierowanych na neoekspresjoni - styczny obraz lub rzeźbę na postumencie.

W mieszkaniu panował znacznie większy chłód niż na zewnątrz. Mimo to Blair poczuła strużkę nerwowego potu, która zza ucha pociekła jej po szyi. Nowe buty masakrowały jej stopy. Elastyczny materiał, wbudowany w koronkowe pasy samonośnych pończoch odcinał krążenie w nogach. Torebka nie pasowała do stroju. Blair wylała na siebie za dużo perfum. Czowała, jak cholerna bielizna podjeżdża jej w górę tyłka.

Po ramieniu pociekła kolejna kropla potu. Blair wytarła ją palcem w rękawiczce, żałując ponownie, że nie udało jej się do przyjścia tu namówić Jeffa.

Czowała się naga.

Nie dlatego, że piersi mogły jej zaraz wyskoczyć z dekoltu, a chłód klimatyzacji sprawił, iż jej sutki stwardniały na kamień i przebijały się przez materiał niczym zbyt wypukła płaskorzeźba, czy też z powodu komicznie krótkiej sukienki, która podjechała do połowy tyłka. Czowała się naga, ponieważ weszła do apartamentów Roberty bez eskorty, czyli kogoś, kogo można porzucić przy barze, gdy złośliwe rozmowy nabierały koloru, a plotki stawały się coraz soczystsze. Jeff mógł się czasem przydać. Ale pewnie miałby na sobie kompletnie niewłaściwe ubranie.

Przynajmniej służyłby ramieniem, na którym można się powiesić, by mieć właściwe wejście.

Nie, tak też jest dobrze, zdecydowała Blair. Jeff zażądałby piwa i prześladował kogoś na temat statystyk NASCAR, skąpił napiwków czy coś w tym rodzaju... To takie w jego stylu. Jeff po prostu nie pasował do dwudziestego siódmego piętra. Teraz, gdy Blair wreszcie uwolniła się spod władania Megan Russell i wskoczyła na trasę szybkiego ruchu, odbiwszy się od czasów popychadła w dziale reklam w „Timesie”, albo gdy musiała podlizywać się w dziale redakcji „Elle” czy przygotowywać kanapki w „Interview Magazine”... teraz Jeff Stancheck po prostu... nie pasował.

I kropka.

- Proszę tutaj, pani Armstrong. - Kamerdyner, lokaj czy kim tam ten człowiek był otworzył imponujące podwójne drzwi i odstąpił na bok.

Blair weszła do środka.

„Nieformalne przyjęcie koktajlowe” Roberta Whitehead było dokładnie takie, jak się spodziewała Blair.

A nawet przekroczyło jej oczekiwania.

Pomieszczenie było wielkie. Zbudowano je z wypolerowanego marmuru, szkła i tapicerowanej skóry. Miało wysokość dwóch pięter. Okna sięgały od podłogi do sufitu, ukazując widok na południowo - wschodnią panoramę miasta. Po całej sali kursowały osobniki niewiadomej płci, odziane w smokingi, o zafarbowanych na czarno włosach i ze staromodnym makijażem w stylu kapeli z lat osiemdziesiątych Siouxsie and the Banshees. Roznosiły srebrne tace z przekąskami, kieliszkami z szampanem i zmrożoną wódką. Goście zaangażowali się w ożywione konwersacje, udając, że podziwiają kolekcję Roberta, złożoną z dzieł Schnabela i Fischla, albo skupiając się w grupki wokół marmurowych stolików i wciągając proszek.

Blair rozpoznała fotografa, który był autorem zesłomiesięcznej okładki „Charade”. Leżał rozciągnięty na skórzanej kanapie, a dwie niezwykle piękne modelki podgryzały mu uszy. Lokalny samorządowiec, znany z prawicowych radykalnych wypowiedzi, obcałowywał się z przystojnym, brodatym właścicielem sieci nowomodnych knajp. Dwaj stanowi parlamentarzyści o rozległych kontaktach rywalizowali o uwagę anorektycznej, czekoladowej śpiewaczki jazzowej. Najwyraźniej ich żony wyprawiły się tego wieczoru na znacznie bardziej nobliwe spotkania towarzyskie. Piękne dziewczęta i piękni chłopcy, wystrojeni w ciuchy z butików przy Oak

Street, i w przeróbkach strojów gotyckich ze sklepów Boul Mich, mieszała się z odzianymi w smokingi modniami, korpulentnymi członkami władz i nieuprzejmymi biurokratami z urzędu miasta, stukając się kieliszkami i razem wciągając kreski, a nawet całując się w przerwach między ciętymi ripostami. W tle pobrzmiwała mroczna gotycka muzyka.

Blair zaczerpnęła tchu, wciąż stojąc w drzwiach.

- No to jestem w domu - powiedziała na głos.

*

Mróz i Gem od dwudziestu minut stali na przystanku autobusowym na Armitage. Mróz ścisnął swoją gitarę bez futerału. Gem przyciskała do siebie torbę wypełnioną nutami, których nie umiała czytać, kartkami z nagryzłymi słowami piosenek, których nie umiała zapamiętać, i stosami dyskiek, dzięki którym grały elektroniczne organy.

- Nie jestem pewien, czy po dziesiątej jeździ tu jakiś autobus - powiedział Mróz, wyciągając szyję, by zerknąć na ulicę. - Chodź, weźmiemy taksówkę.

- Pewnie, panie bogaty. A potem możemy pożegnać się z obiadami aż do poniedziałku.

- Słuchaj, z przesiadkami do metra autobus wyniesie nas pewnie trzy dolary osiemdziesiąt centów, a taksówka nie może nas kosztować więcej niż pięć.

- Cóż, może gdybyś nie pił tyle, mielibyśmy teraz o pięć dolarów więcej.

- Gem, skąd mogłem wiedzieć, że kapela nie dostaje darmowych drinków?

Dziewczyna zmrużyła oczy, aż zaczął odpadać zbyt grubo nałożony cień i tusz do rzęs.

- Kapela? Mróz, to był wieczór otwarty. Nie byliśmy kapelą.

Gem postawiła plecak, a potem usiadła obok niego na krawężniku. Owinęła sobie paski plecaka wokół dłoni. W tak odległej części Armitage nie pozostał ślad po modnych szyldach „WestTown” i „Wicker Park” oraz „Ukrainian Village”. Zamiast tego po obu stronach ulicy ciągnęły się zrujnowane budy. Zwykli bandyci i członkowie latynoskich gangów mogli zabić za równowartość autobusowego biletu albo za samo spojrzenie. Takie przynajmniej krążyły plotki. Gem jeszcze nigdy nie zapuściła się tak daleko w

zachodnie dzielnice miasta ani w ogóle gdzieś dalej niż parę przecznic od jeziora. Z miejsca, gdzie siedzieli, widziała tylko porozbijane stacje benzynowe, opuszczone szeregowce i zabite deskami fabryki. W jednej z nich, o przecznicę stąd dopiero co skończyła grać z Mrozem. W połowie przedstawienia, które ćwiczyli razem od dwóch tygodni, publiczność wygoniła ich okrzykami ze sceny.

- To była totalna porażka - jęknęła Gem. - To nie żaden pieprzony klub gotycki. Do dupy, nie było tam żadnych metalowców, tylko sami pieprzeni faszyści. - Czubkiem czarnego, babcinego buta kopnęła w dal zgnieciony kubek po Slurpee. Obok nich przejechał samochód. Siedząca w środku meksykańska rodzinka zmierzyła ich oboje wzrokiem. Dwa brudne dzieciaki z liceum, siedzące na tylnym siedzeniu, zawołały do nich: „Los vampiros!”. Ale Gem trzymała głowę wysoko. Wieczorny wietrzyk rozwiewał jej nastroszone włosy. Pożegnała ich wysuniętym, bladym palcem, wystającym z długiego koronkowego rękawa sukienki.

- Wszyscy mówili, że Mroczne Echa są dużym klubem - powiedział Mróz. - Miałem wiedzieć, że to nie Gothique?

- Ach, to nie było Gothique? - Gem zaszperała w plecaku i wyciągnęła pomiętą paczkę mentolowych dunhillów. W środku został jeden papieros.

Zapaliła go plastikową, jednorazową zapalniczką, pomalowaną w runy lakierem do paznokci. Potem rzuciła paczkę na ulicę, do towarzystwa kubkowi po Slurpee. - Mówisz, jakbyśmy kiedykolwiek mieli zagrać w takim miejscu jak Gothique. - Gem zaciągnęła się dunhillem. Biały filtr wysunął się jej z ust, obramowanych czerwoną szminką. - Pieprzyć Gothique. Pewnie nigdy go nie otworzą.

- Słyszałem, że mają wpuszczać w następnym tygodniu.

- Tak jak słyszałeś, że Mroczne Echa to klub gotycki?

Mróz usiadł na krawężniku obok niej i wyciągnął przed siebie długie nogi w czarnych, skórzanych spodniach. O kolana oparł zniszczonego strata.

- Słuchaj, nie przygnębaj się dzisiaj wieczorem. Po prostu musimy jeszcze trochę poćwiczyć i napisać parę nowych piosenek. Mogę pożyczyć od kumpla jeszcze raz czterościeżkowca i nagrać jeszcze jedno demo. Gem, trzeba być cierpliwym.

Spojrzała na niego gniewnie brązowymi oczami, okolonymi czarnymi obwódkami makijażu.

- Mróz, włożyłam podczas drugiej piosenki niewłaściwy dysk. Na Boga, nic dziwnego, że nas wygwizdali. Graliśmy dwie różne piosenki.

- Cóż... chyba nawet trzy. - Pochylił się ku niej i zaciągnął się papierosem, zwisającym z palców Gem. - Nie uskarżam się. Wiesz, zabrzmiało prawie fajnie, ale chyba zaplanowaliśmy „Skargę Renfielda”, a ty zagrałaś „Śmierć w owej szacie”.

- A ty co grałeś?

- „Zabawy z trumną”. Nie poznałaś? - Mróz wstał i znów wpatrywał się w dal ulicy.

- Przepraszam - odparła Gem. - Hm, a czego się spodziewałeś? Kto by się domyślił, co się gra, gdy używamy domowych wzmacniaczy i pożyczonych organów. - Zaciągnęła się papierosem i wydmuchiwała powoli dym, wypuszczając go nosem. - Naprawdę potrzebujemy jakiegoś pieprzonego menedżera.

- No pewnie, to jak już wygrasz w totolotka, przypomnij mi o tym. - Poklepał ją po ramieniu. - Przynajmniej nadjeżdża autobus.

- Kurczę. Dopiero co zapaliłam papierosa. - Dziewczyna podniosła się i ujrzała oddalony o kilka przecznic niepowtarzalny kształt autobusu CTA. - W życiu go nie zgaszę.

Kierowca autobusu nie miał zamiaru klócić się z dwoma straszidłami, które paliły wspólnie papierosa na tylnym siedzeniu. Jechali do stacji metra Armitage. Mróz próbował namówić Gem, by przeszli parę przecznic i wpadli do Jaskini Rimbauda, żeby sprawdzić, czy nie ma tam kogoś. Dziewczyna przypomniła mu, że nikt się tam już od wieków nie pojawiał. Gabrielle, Fitch, Brandon, Cass, Chelsea - wszyscy zniknęli. Przypomniła mu też, że po opłaceniu biletu autobusowego i metra mieli tylko cztery dolary w drobniakach, co starczało tylko na paczkę aromatyzowanych papierosów. Może uda im się też zaszaleć i kupić na spółkę ciastko owocowe.

Jechali w ciszy metrem w kierunku północnej dzielnicy. Wysiedli na przystanku Lawrence, gdzie tłumy dzieciaków czekały na zdążającą na południe kolejkę, która miała zabrać ich w głąb miasta, do klubów i na koncerty. Mróz i Gem człapali po Lawrence ponurzy i pełni zazdrości.

- Jezu, co za ohyda - powiedział Mróz, w końcu przerywając ciszę.

- Co takiego? Wszystko czy coś w szczególności?

- Co za ohyda, nie mieć pieniędzy.

- No cóż, możemy znormalnieć. Założę się, że to właśnie zrobili nasi nieobecni towarzysze broni - stwierdziła Gem. - Zmyjemy z włosów starą farbę i zaczniemy sprzedawać karty kredytowe w centrum handlowym. Co ty na to? Ja będę wyglądała słodko jak Cameron Diaz, a ty ubierzesz się w sportową marynarkę i krawat. Co o tym sądzisz, nadam się na sekretarkę w kancelarii prawnej? W szkole średniej zapisałam się na kurs protokołowania. Może mogłabym zostać urzędniczką w jakimś rządowym biurze czy kimś w tym rodzaju? Lubię się przebierać. Mogłabym nosić grzeczne ubrania lepiej od większości ludzi.

- Bądź poważna. Wiesz, co mam na myśli. To takie niesprawiedliwe. Pracujemy ciężko nad muzyką i słowami...

- Poezją.

- Tak, poezją - poprawił się. - Dlaczego biznes zgarnia całą kasę, a prawdziwi artyści muszą cierpieć?

- Mróz, nie udawaj przede mną van Gogha. Zbliża się nasz dzień, czuję to.

Pociągnęła go do sklepiku monopolowego na rogu o przecznice od ich taniego lokum. Wydali cztery dolary na paczkę papierosów mentolowych, ale do ciastka owocowego zabrakło im trzydziestu centów.

Mróz wciąż narzekał, gdy wspinał się po rozchwianych schodach do mieszkania.

- Gówniana praca, gówniana płaca, tyle zawsze dostajemy. I nikt nie ma na tyle wrażliwości, by zrozumieć, czego próbujemy dokonać. Mam na myśli muzykę, to, jacy jesteśmy twórczy. Całą śmietankę zbierają takie suki jak ta wiedźma, przyjaciółka Cassa, które są gotowe sprzedać nasze dusze za okruchy ze stołu wielkiej i wspaniałej, kapitalistycznej Ameryki. Mogę się założyć, że się pławi w luksusie. Tak samo założę się, że dochrapała się wszystkiego dzięki temu, że obciągała i lizała dupę po drodze wszystkim, których spotykała.

- Kto? - spytała Gem, gdy dotarli do drzwi. - Och, no tak. Colleen czy jak jej tam. Zamknij się i wyciągaj klucze.

- Żadnych pieniędzy - mamrotał, zmagając się z zamkiem. - Na nic nie ma żadnych pieprzonych pieniędzy.

- Może. - Złapała go za rękę i odwróciła, gdy tylko otworzyły się drzwi. Przycisnęła purpurowe usta do jego warg i wepchnęła go w ciemności mieszkania. - Ale pieprzenie wciąż jest za darmo, hm?

*

Przyjęcie Roberty Whitehead zaczęło gasnąć ledwo godzinę po przybyciu Blair Armstrong.

Połowa gości pożegnała się demonstracyjnie, przesadnie obcałowując policzki i składając przyrzeczenia spotkania przy okazji drinka lub lunchu. Paru wymknęło się cichaczem, chowając pod marynarkami butelki z szampanem i wódką i wtykając, już nie tak dyskretnie, działki kokainy do torebek od sławnych projektantów.

Blair nie zwracała na nich zbyt uwagi. Och, od czasu do czasu przemykały się grupki medialnych pijawek, by pogratulować jej awansu na stanowisko redaktora naczelnego. Modelki, fotografowie i pisarze - wolni strzelcy specjalnie kręcili się przy niej przez chwilę, gotowi, by zaprosić ją na lunch albo ochoczo skoczyć na dół do samochodu, by przynieść na górę nowe portfolio.

Ale wszyscy kręcili się w pobliżu tylko przez chwilę, ponieważ w najlepszym wypadku odpowiadała obojętnym uśmiechem. Większość z nich po prostu ignorowała.

Zbyt pograżyła się w rozmowie z Markiem. Stało się tak już od chwili, gdy się przedstawił, podał jej kieliszek szampana i poprowadził do czarnej, skórzanej kanapy w ustronnym kąciaku rozległego i zbyt przeładowanego ozdobami salonu. Nie wiedziała, czemu to robi, ale poszła za wysoką, imponującą postacią w nieskazitelnym, czarnym garniturze i jeszcze ciemniejszej, jedwabnej koszuli. Zupełnie, jakby ją prowadził na smyczy.

Roberta Whitehead pomachała na pożegnanie kolejnej grupce gości i posłała kelnera o twarzy mima po podwójną wódkę. Potem podeszła tanecznym krokiem do kanapy i usiadła obok Blair i Marka.

- Już się zapoznaliście? - spytała, sięgając w dół, by ściągnąć ze stóp błyszczące, czarne sandały na paseczkach. - I już mi lepiej. Piccilomino może ma styl, ale powinien przestać produkować buty w krajach Trzeciego Świata. Zbijają je tam jak drewniaki. - Pojawiła się podwójna wódka z lodem. Roberta odprawiła kelnera skinieniem ręki. - Blair, Marek pewnie już cię oczarował? Robi tak z każdym, kogo spotyka. - Roberta przysunęła się bliżej niego i zawiesiła mu na ramieniu rękę, zaznaczając swoje terytorium.

On powoli odwrócił się od Blair i spojrzał gniewnym wzrokiem na królową Whitestar.

Roberta zadrżała. Zdjęła rękę i trzymała ją blisko siebie, nerwowo łyknąwszy ze szklanki.

Blair udała, że nie dostrzegła tej sceny, ale zapamiętała ją na przyszłość, jednocześnie sama przysuwając się nieco bliżej mężczyzny.

- Gadaliśmy sobie o niektórych członkach zarządu Whitestar. Marek zakreślił mi w głowie pomysłami, dotyczącymi Gothique i „Charade”. - Blair podniosła w górę opróżnioną kieliszek z szampanem, uśmiechając się do przystojnej, lecz bladej męskiej twarzy. - Ach, ten szampan, który mi nieustannie serwuje. Wiesz, Marku, nie sądzę, by mężczyzna o twoich oczach musiał upijać kobietę.

- Och, my wszyscy czasami musimy się nieco upić - stwierdziła Roberta, łykając resztkę napoju ze szklanki.

- Roberto, czy nie powinnaś zająć się gośćmi? - spytał Marek.

- „Moi” goście już się prawie porozchodzili. Pozostali są zbyt zajęci włożeniem sobie nawzajem do majtek.

Ponownie spojrzał na nią gniewnie. Blair patrzyła, jak palce Roberty Whitehead drżą, zaciśnięte wokół pustej szklanki. Kobieta skuliła się, a potem nieśmiało podniosła sandały i ześliznęła się z sofy. Szybko oddaliła się i dołączyła do grupki, która właśnie rozpoczęła własną, śmielszą wersję gry w butelkę.

- Jak ci się to udaje? - spytała Blair, śmiejąc się. Przysunęła się jeszcze bliżej do niego. - Obiecujesz, że mnie tego nauczysz?

- Och, mogę cię nauczyć czegoś więcej - odparł.

- Założę się, że tak. Ale zacznijmy od manipulowania szefem.

- Roberta? Jest bardzo... użyteczna. - Marek rozejrzał się po pomieszczeniu, odnalazł Drake'a, który zaszył się w ciemnym kącie z piękną kobietą z lokalnego wydania wiadomości telewizyjnych. Zupełnie jakby ktoś go postukał po ramieniu, Drake podniósł wzrok i spojrzał w oczy Markowi. Odebrał niewypowiedzianą słowami wiadomość, porzucił dziennikarkę i zniknął w drzwiach dla służby.

Marek obrócił się ku Blair.

- Nie przejmowałbym się panią Whitehead. To ty mi wyglądasz na ambitną kobietę. Wyczuwam twój... entuzjazm. Może już pragniesz czegoś więcej, niż może ci zaoferować małe imperium Roberty. Czy mam rację?

Blair rozparła się na kanapie. Jej głowa niemal spoczęła na ramieniu Marka. Wyciągnęła przed siebie nogi. Najwyraźniej już się nie przejmowała, że jej komicznie krótka sukienka podjeżdża nad brzegi pończoch.

- Może trochę wolniej? Dopiero co zostałam redaktorem naczelnym „Charade”. Daj mi się przez chwilę tym nacieszyć. - Sączyła szampana, unosząc oczy znad kieliszka, by figlarnie poszukać jego spojrzenia. Ale gdy napotkała jego wzrok, poczuła przebiegające wzdłuż kręgosłupa dreszcze. Tęczówki mężczyzny były czarne jak jego źrenice. Może zresztą już się upiła i tylko tak jej się zdawało. - Poza tym nie drażnij się ze mną. Któż może sprawić, że znajdę jeszcze wyżej, gdzieś poza małym królestwem Whitestar? Popraw mnie, jeśli się mylę, ale zgodnie z moim stanem wiedzy to Roberta finansuje Gothique.

Uśmiechnął się do niej zimnym, wszystkowiedzącym uśmiechem, który sprawił, że całe ciało Blair przebiegł dreszcz.

- Gothique? Tak, Roberta ogromnie nam pomogła. Zapewniam cię jednak, że ten klub to jedynie niewielka część moich planów. - Marek położył rękę na nodze Blair. Głaskał zimnymi palcami jedwabisty nylon, koronkowy pasek i fragment nagiego uda.

- Jak mówiłam, nie musisz mnie upijać - wypowiedziała te słowa zmysłowym, spiętym głosem. Zimne palce sprawiały, że teraz dreszcze nadchodziły falami. Poczuła, że jej biodra zaczynają wbijać się w miękką, skórzaną kanapę, a uda zaciskają się mocno. - I nie musisz próbować zahipnotyzować mnie aluzjami na temat kolejnego szczebla na drabinie. Mówiłam ci, Marku, że wystarczą już same twoje oczy.

- Tak, już to słyszałem. - Zimne palce wśliznęły się pod rąbek dżersejowej sukienki.

Wypiła do końca szampana i wypuściła kieliszek z palców. Szkło rozbiło się na podłodze tuż obok jej butów. Zimne palce wciąż pełzły po jej udzie z morderczą powolnością, aż sięgnęły skraju majtek. Wtuliła twarz w jego garnitur, wdychając zapach dziwnej wody kolońskiej, kwiatowy, dojrzały, nieco zbyt mocny, przypominający goździki, przejrzałe owoce i...

- Mmm... wiesz... - Wtuliła twarz w jego jedwabną koszulę. Ocierała się ustami o twardą, zimną skórę jego piersi pod rozpiętym kołnierzykiem. - Marku... czemu... czemu nie powiemy dobranoc

Robercie i... - Zimny palec wśliznął się pod jej bieliznę i przesunął po miękkiej kepcie włosów. - Daj spokój, nie jestem pewna, czy chciałabym to zrobić... mmm... na oczach mojej szefowej.

- Sądzę, że nawet tego nie zauważy - odparł, a jego palec zanurzył się w niespodziewanej, ciepłej wilgoci między jej nogami.

- Może... Ale inni...

Palec Marka przerwał taniec.

- Inni? Sądzę, że są teraz nieco zajęci. - Uniosła głowę znad jego piersi. Mrugała, jakby dopiero co się obudziła. Spojrzała na siebie. Leżała na kanapie z rozchyłonymi nogami, deptając jednym butem roztrzaskane na podłodze szkło. Drugi spadł jej już z nogi. Błada dłoń Marka zanurzyła się głęboko pod jej sukienkę. Mężczyzna złapał drugą ręką jej brodę i uniosł wyżej głowę. - Sama zobacz. - Trzymał ją mocno. Zabolało. - Patrz.

*

Gem, wciąż miażdżąc usta Mroza w pocałunku, wepchnęła go do małego mieszkania i kopniakiem zamknęła drzwi. W końcu oderwała się od niego. Ich usta rozdzieliły się z głośnym cmoknięciem.

- Najlepsze rzeczy są chyba nadal za darmo, prawda? - Mróz upuścił Stratocastera na podłogę i ponownie po nią sięgnął, ale Gem skoczyła w prawo, zanurzając się w mroku frontowego pokoju.

- Powiedziałam, że pieprzenie jest za darmo. Za pocałunki pobieram opłaty - odpowiedziała, chichocząc, gdy wyjmowała z plecaka paczkę papierosów mentolowych. Potem upuściła wielką torbę na kanapę, kupioną w sklepie Armii Zbawienia. Wyblakła kasztanowa kombinacja tapicerki i połamanych sprężyn pasowała do ich pozostałych mebli, składających się z wyrzuconych przez właścicieli sprzętów, zebranych po ulicach skarbów i przemalowanych gratów. Odpowiadały im, tak jak i karaluchy, z którymi dzielili bałaganiaste mieszkanie w śródmieściu. Szła przez ciemne pomieszczenia, zatrzymując się przy drzwiach łazienki. - Najpierw zmyję z siebie ten makijaż. Ale kiedy wyjdę, oczekuję, że będziesz należycie przygotowany i zaprezentujesz mi bohaterską erekcję.

- Obiecuję - odparł, podążając w ciemnościach do kuchni. - A może nałożysz ten fikuśny gorsecik, który kupiłaś w zeszłym tygodniu we Flash & Trash? Pomogę ci go zasznurować.

- Pomarż sobie. Mam dość kostiumów, jak na jeden wieczór. - Słyszała go, jak grzebał w lodówce.

- Hej, Gem, mamy tu całą butelkę wina.

- Świetnie. Chyba nam się szykuje impreza. Uczcimy nasz oszałamiający debiut, co ty na to? - Usłyszała, jak się potyka, a potem coś upadło na kuchenne linoleum. - Mróz, nic ci się nie stało?

- Nie, potknąłem się o kosz na śmieci. Wyniosę rano.

- Myszy dobiorą się pierwsze. - Zamknęła drzwi łazienki i zapaliła światło. Kiedy odwracała się do brudnego lustra, rozległ się kolejny huk. Coś spadło. Otworzyła szeroko drzwi. - Mróz, nic ci się...

- Nie, nie - zawołał, tym razem z sypialni. - Cholera, ale mamy śmietnik. Trzeba tu będzie kiedyś posprzątać, wiesz?

- Pewnie. Powiem pokojówce. - Ponownie zamknęła drzwi i odkręciła kurki. Przez minutę leciała rdzawobrazowa woda, dopóki rury się nie oczyściły, a potem poobijany zlew wypełnił się parującym, szarym strumieniem.

Wpatrywała się przez chwilę w swoją twarz w bezlitosnym, ostrym świetle nagiej żarówki, a potem namydliła się płatkami mydła i zaczęła zeskrobywać grube warstwy tuszu, cienia do powiek, różu i podkładu. Zajęło to dłuższą chwilę. Gdy osuszyła twarz ręcznikiem, poplamionym resztkami makijażu, tak wżartymi w materiał, że nie usunąłby ich żaden wybielacz, wciąż na skórze widać było kolorowe plamki. Kiedy sięgała do kranu, usłyszała kolejny trzask i huk, dobiegający zza drzwi łazienki. - Mróz, czy nie mógłbyś zapalić tego pieprzonego światła? - mruknęła do siebie i zaczęła rozpinać tuziny guzików, zatrząsków, rzepów i haczyków, dzięki którym jej czarny strój trzymał się kupy. Sama go sobie zrobiła, zszywając razem tanie sukienki z supermarketów za dwadzieścia dolarów, resztki materiałów z wyprzedaży i namaczając niedopasowany kłab odzieży przez dwa dni w kąpieli z czarnej farby.

Opuściła klapę klozetu i usiadła, by rozsznurować babcine buty. W końcu je ściągnęła. Zerknęła na wannę, której dno na wieki poplamiały na szaro farby do jej ciuchów, ale przecież wcale nie było ciemniejsze od rdzawych pierścieni, które pstrzyły porcelanę, gdy się tu wprowadzali. Przecież i tak by nie dostali z powrotem kaucji, jeśli mieliby się kiedyś wyprowadzić z tej nory. Uśmiechnęła się kątem ust, sięgnęła po paczkę papierosów i zapaliła jednego.

Artystyczny styl życia był w końcu tres chic.

Nogi bolały ją od stania w Mrocznych Echach, przechadzki na przystanek i z przystanku na stację metra. Wyciągnęła je, opierając o skraj brudnej wanny. Leniwie wydmuchiwała dym, rozkoszując się chwilowym spokojem i aromatem zapachowego papierosa.

Spokój zakłóciła kolejna seria huków i stuków. W ich trakcie rozległo się głośne stęknienie i ostatnie, głośne walnięcie.

Boże, ależ z tego Mroza ciamajda.

Ale byli ze sobą już od dwóch lat. Mieszkali razem od ośmiu miesięcy. Gem sądziła, że jest zakochana, cokolwiek to miało oznaczać. Przynajmniej zamierzała trzymać się z nim, dopóki goci byli na topie.

Podniosła się z klozetu. Z ust wciąż jej wisiał papieros, obramowany śladami purpurowej szminki. Zdjęła pończochy i majtki, nagle czując przyływ sentymentalnego uczucia do tego ślicznego świrusa z farbowaną, białą grzywą i cienkim penisem, który działał cuda, gdy się w niej znalazł. Facet miał też talent do niezupełnie melodyjnych akordów na Stratocasterze. „Mróz i jego ambitne marzenia o gotyckiej muzyce” - pomyślała, uśmiechając się i potrząsając głową. Zgasiła światło w łazience. Drogę w ciemnościach między łazienką a sypialnią oświetlał żar papierosa.

Światła latarni, reflektory samochodów i mrugające neony podświetlały Ponurą wielobarwnością mroczny pokój.

- I jak tam, przygotowałeś bohaterską erekcję, jak o to prosiłam?

- Przybrała seksowną pozę w drzwiach sypialni, jedna ręka na biodrze, druga zanurzona w trójkątnej kępcie farbowanych henną włosów między nogami. Z ust zwisał jej rozżarzony papieros. - Mróz?

Pod kołdrą wił się blady kształt.

Mróz jęknął.

- Mam nadzieję, że się nie brandzłujesz, bo tak czy owak cię dopadnę. - Porzuciła seksowną pozę. - Mróz?

Wyciągnęła rękę ku ścianie i dotknęła włącznika na ścianie.

Papieros wypadł jej z ust.

W gardle zaczął rodzić się krzyk, ale nie było jej dane go dokończyć, bo ktoś ponownie zgasił światła, z powrotem zanurzając w ciemnościach sypialnię i jej stłumiony wrzask.

*

Goście, którzy pozostali na przyjęciu, wili się na podłodze, leżeli na kanapach albo rozciągali się na stolikach. Niektórzy byli nago, a

inni dopiero się rozbierali. Modelki, grubi finansiści i nadęci młodzi członkowie kadry kierowniczej ściskali się nawzajem, zrywając ubranie, wpełzali na siebie i pieprzyli się. W samym środku jednej z grupiek znalazła się Roberta Whitehead. Zadowalał ją od tyłu śliczny chłopiec z działu zarządzania informatycznego, podczas gdy ona sama ściskała piersi i zanurzała język w blond włosach łonowych starszej analityczki z księgowości Whitestar.

W kręgu wokół nich stali bladolicy kelnerzy i hostessy. Mrugali do siebie nawzajem mrocznymi oczami. Paru z nich oblizywało ciemnoczerwone usta. Wśród nich stał Drake i patrzył się na Marka. Najwyraźniej czekał na rozkaz.

Marek, nie mówiąc ani słowa, dał go.

Drake i kelnerzy zaszeptali do siebie, a potem, śmiejąc się jak nastolatki na haju, powoli dali krok w przód.

- Marek? - Blair usiadła na sofie. - Co się dzieje?

Jedna z hostess zdarła z siebie smoking, spódnicę i bluzkę i pobiegła wpół nago. Rzuciła się na parę lesbijek na kanapie, głośno uprawiających seks w pozycji 69.

Dwaj kelnerzy z czarnymi włosami w stylu Duran Duran, o cerze białej jak bita śmietana, rzucili się na trzech nagich modeli, którzy wili się na podłodze. Pozostali wskoczyli w środek orgietki Roberty Whitehead. Jeden z nich wskoczył wprost na plecy Roberty, dosiadłszy jej niczym konia na biegunach, oblizując jej odessane z tłuszczu policzki. Pozostali porzucali tace, rzucali na podłogę kieliszki z szampanem i zmrożoną wódką i wysupływali się ze smokingów i minispódniczek, a później dołączali ramię w ramię do par i grupiek. Śmiali się pożądliwie i ślinili, a ich oczy tryskały czerwonymi fajerwerkami.

Drake czekał i obserwował, aż każdy ze „służących”, których osobiście wybrał na przyjęcie u Roberty Whitehead, dołączył do gości. Dopiero wtedy przeszedł przez salon i wrócił do reporterki telewizyjnych wiadomości, którą wcześniej tam zostawił. Wciąż stała przy dwupiętrowym oknie od podłogi do sufitu, mając za plecami rozmigotaną panoramę miasta. Dyszała, przerażona, ale niespokojna i chętna poznać dalsze nowości. Wiele słyszała na temat dzikich zakończeń przyjęć w Whitehead i o mrocznych sekretach. Wśród medialnych klik Chicago i w klubach krążyły o nich legendy. Gdy Drake powoli się do niej zbliżał, rozpięła prześwitującą bluzkę,

zrzuciła ją i uniosła w dłoniach piersi, niczym wystawione na sprzedaż melony na stoisku z owocami. Kiedy Drake do niej dotarł, zanurzył między nimi głowę.

Blair ujrzała, jak jeden z kelnerów unosi bladą twarz spomiędzy nóg jednego z chłopców. Jego usta były takie...

- Marek, co tu się u diabła...

Usta chłopca były takie... czerwone. Błyszczały się. Świeciły. Ociekały.

Spojrzała na inną grupkę. Hostessa, która rozebrała się do pończoch i butów, uniosła głowę znad gardła ławniczki, którą wszyscy znali i wszyscy kiedyś mieli.

Hostessa uśmiechnęła się ustami pełnymi krwi.

- Marek... co tu...

Drake odsunął się od prezenterki wiadomości i spojrzał na nią gniewnie. Kobieta skinęła głową i jak oszalała zdarła z siebie resztę ubrań, wciąż stojąc przy oknach na dwudziestym siódmym piętrze, gdzie mogło widzieć ją całe Chicago. Z pełnych, wypełnionych silikonem piersi sączyła się krew. Kiedy stanęła zupełnie nago, Drake rzucił ją o szkło, zerkając przez ramię na Marka i Blair. Jego blada twarz wykrzywiła się w grymasie głodu. Usta miał usmarowane ohydny smugami ciemnej czerwieni. A potem rzucił się do gardła kobiety.

- Ja... nie rozumiem - jąkała się Blair. - Marek, o co tu...

Ale zimny palec znów zatańczył między jej nogami. Marek złapał drugą dłoń przód jej sukienki i pociągnął. Zwiewny dżersej rozdarł się jak bibuła. Zniżył głowę i pocałował jeden sutek, a potem drugi, przytrzymując w zębach twardy guziczek.

- Marek, powiedz mi, co tu... mmm... - Wiła się na kanapie. W głowie kręciło jej się od nadmiaru szampana i lodowatego ognia, który nieubłaganie zanurzał się głęboko między jej udami. Oszłomiło ją także przyjemne i wcale nie bolesne, a może jednak nieprzyjemne uczucie rozpalające czubki jej piersi oraz atakująca zmysły orgia nagich ciał, wijących się i piszczących w całym salonie. Ledwo mogła mówić. - Ma...Marek, co oni, na Boga, robią?

Powoli uniół głowę znad jej piersi.

- Nie można powiedzieć, by Bóg miał z tym cokolwiek wspólnego. - Popatrzył na nią i uśmiechnął się.

Wciągnęła ze świstem powietrze.

Szeroki uśmiech ukazał błyszczące, białe zęby. Błyszczały jak perły, zwłaszcza dwa wystające nad dolną wargę kły. Po białej brodzie ciekła mu wąska, czerwona strużka.

Spojrzała w dół na rozdartą sukienkę i nagie piersi. Z czubka jej różowego sutka sączyły się małe kropki krwi.

- Ma... Marek? Co się dzieje?

Ponownie opuścił głowę ku jej piersiom, kładąc Blair na kanapie.

- Patrz - powiedział tylko tyle.

*

Usta Gem zamknęła odziana w satynową rękawiczkę dłoń, tłumiąc żalosne piski, wzbierające bezcelowo w jej gardle. Inna ręka wykręciła jej brutalnie za plecami rękę, ciągnąc tak mocno, że była pewna, że za chwilę ją złamie.

Ale tak naprawdę nie czuła bólu. Zbyt zaabsorbowała ją istota, która znalazła się na grzbiecie Mroza, dosiadła go i przyssała się do jego nadgarstków.

Istota ssła donośnie, rozpryskując krew Mroza po całym łóżku.

- Ma na imię Fonda. - Gem usłyszała za plecami jakiś głos. Natychmiast rozpoznała, że to Gabrielle.

- Ujeżdżaj go, kowboju! - krzyknęła Gabrielle, rzucając Gem na kolana.

Fonda to właśnie robił, brutalnie gwałcąc Mroza, aż trzęsła się rama łóżka. Twarz Mroza zakopała się w zmięte prześcieradła i poduszki. Fonda cały czas ssal też jego nadgarstki, wydając z siebie obrzydliwe, gulgoczące odgłosy i chichocząc, choć miał kompletnie wypełnione usta.

Gabrielle uklękła na Gem, zmuszając ją do położenia się na podłodze twarzą w dół. Następnie usiadła na niej.

- Kotku, słyszałaś kiedyś o zamykaniu drzwi? - spytała. - To nie Gold Coast, to śródmieście, wiesz? - Złapała kosmyk budyniowych włosów Gem i pociągnęła mocno. - Czekaliśmy na was w korytarzu, gdy przyszliście do domu, idiotko. Może dozorca waszych slamsów mógłby zaszaleć i kupić wam parę żarówek? Ale pewnie byliście zbyt zajęci, by się tym zająć, co? „Pieprzenie jest wciąż za darmo”, och, to było słodkie.

Fonda puścił nadgarstki Mroza. Ręce mężczyzny padły bezwładnie na łóżko.

- Hej, Fonda - powiedziała Gabrielle - skończyłeś już? - Wampir wyszedł z Mroza, aż cmoknęło, i przepętlzył po nieruchomym, nagim ciele. Uniósł jeszcze jego ramię i wylizał resztkę rozmazanej na skórze krwi jak ciastko. - Fonda, geju jeden, chyba już dotarłeś do najsmakowitszego środka, prawda? Fon... - Wampir poderwał głowę znad nadgarstka i warknął na nią z obnażonymi kłami. Oczy mu się żarzyły. - No, już dobrze, dobrze - powiedziała. - Ale jak dla mnie on wygląda na kawał padliny. - Gem wiała się pod nią, uwalniając na chwilę głowę, dzięki czemu zdołała wydać z siebie pisk. Spróbowała się wyśliznąć. Ale udało jej się tylko przewrócić na plecy. Wtedy Gabrielle trzasnęła ją w twarz. - Jeszcze jeden taki ruch, kotku, a sama dopilnuję, żeby ci już nie było tak wesoło - syknęła. - Bardzo niewesoło. - Wciąż siedziała okrakiem na leżącej. Podkreśliła słowa złośliwym uszczypnięciem nagiego sutka Gem. - Skarbie, zdejmuję teraz rękę z twoich ust. Krzyknij raz jeszcze, a ten rozchichotany chłopczyk z łóżka zajmie się tobą. A on lubi stukać tylko w drugą dziurkę, comprende? - Powoli zdjęła dłoń w rękawiczce z ust Gem. Dotknęła palcami ciemnojadogodowych ust i teatralnie oblizała czubki. - Och, mniem. Prawie tak dobre, Gem, jak wiesz co. Prawie. - Pochyliła się ku jej twarzy. - Zawsze ci chciałam dogodzić, wiesz? Ale ty trzymałaś z tym białym kutasem. - Pocałowała ją w usta, próbując przebić się językiem przez zaciśnięte zęby. W końcu poddała się. - Chyba on już nie będzie problemem, prawda?

- Ga...Gabrielle, czego ty chcesz? - Gem zakrztusiła się, czując płynące łzy i woskowy smak szminki Gabrielle. - Co zrobiliście Mrozowi? Czy on... czy?

- Och, kochanie, on już nie żyje. Kompletnie wyssany. Nie, nie, nie płacz. Tak mi smutno wtedy, Gem. - Gładziła satynowymi palcami nagą pierś przyjaciółki Mroza. - Próbowaliśmy zobaczyć wasz, hm... numer w Mrocznych Echach, ale się spóźniliśmy. Ale słyszeliśmy, że byliście powalający. - Zaczęła wkręcać się miednicą w jej biodra. - Od paru wieczorów śledziliśmy was. Pomyślałam sobie, że miło by było dołączyć do moich starych... przyjaciół. Och, tak, Chelsea, Fitch, Brandon - wszyscy nie żyją. Wyssani kompletnie. Cass też. Ale jego przemienili, nie pytaj mnie czemu... Teraz pewnie ukrywa się gdzieś w mieście. Spędza dni w śmietniku. Głupi Pojeb.

- O czym ty mówisz? - Gem próbowała się podnieść i spojrzeć na łóżko, ale Gabrielle pchnęła ją w dół.

- O chowaniu się przed słońcem. Och tak, to wszystko prawda. Całkowita. - Gabrielle zamknęła małe piersi Gem w dłoniach i ścisnęła mocno.

To wszystko dzieje się naprawdę, uwierzysz? Po tym, jak graliśmy w kretyńskie gry RPG, oglądaliśmy filmy, czytaliśmy książki i zajmowaliśmy się całym tym gównem, nagle okazało się, że to wszystko prawda.

- Nie, ty... ty mnie nie rozumiesz, Gabrielle. Ja tak naprawdę wcale się tym nie interesuję. To Mróz był fanem, rozumiesz? To on był panem gotem, a ja po prostu do niego dołączyłam, ja... - Gabrielle potrząsnęła głową i uśmiechnęła się. - Gabrielle, ty... oszalałaś.

- Tak, a ty się ujebałaś. Albo dopiero zaraz tak będzie. Powinnaś dołączyć do nas tamtej nocy, Gem. Pamiętasz? Tam, w Jaskini Rimbauda? Mogłaś spotkać moich przyjaciół już parę tygodni temu. - Skinęła głową w kierunku Fondy, siedzącego na łóżku. - Nie dlatego, żeby on się tobą interesował. Nie, stary Fonda robił maślane oczy do Cassa. Cassowi w życiu nikt nie zrobił takiej laski... cóż, można tak to ująć, jak tam, na cmentarzu Graceland. - Spojrzała w dół na przerażone oczy Gem, obwiedzione łzami, zmieszanyimi z pozostałościami tuszu. Rozciągnęła się wzdłuż jej ciała, wtulając twarz we włosy i szepcząc dziewczynie do ucha: - To znaczy, oczywiście, że wykończylibyśmy twojego małego, bladego kutasika. Ale ciebie? Sądzę, że ciebie zechcieliby zatrzymać. Mogłaś się wtedy dołączyć. - Wsunęła jej język w ucho. - Ale teraz? Teraz chyba będziesz musiała po prostu umrzeć.

- Wystarczy.

Głos dobiegł znikąd. Może z ciemnego kąta sypialni.

Gem oderwała głowę od twarzy Gabrielle. Ujrzała, jak w ciemnościach materializuje się postać. Unosiła się tam wiotka, wąła dziewczyna z grzywą czarnych włosów, o skórze jeszcze bielszej od zwiewnej, białej sukienki, która trzepotała wokół niej na nieobecny wietrze. Prześliznęła się boso w ciszy ku nim, aż w końcu znalazła się przy nich.

- Dlaczego tak bardzo upierasz się, by ich torturować? - spytała Arianne.

- Ja... przepraszam - wyjąkała Gabrielle. - Ja tylko... Arianne położyła długi, biały palec na jej ramieniu.

- Natychmiast wstań z tej dziewczyny. - Sarkazm i bufonada Gabrielle zniknęły w mgnieniu oka. Ześliznęła się z Gem i schowała za Arianne. - Fonda... Chyba już skończyłeś? - Ten spelzł z łóżka i dopiął spodnie. Arianne odwróciła się w stronę Gabrielle. - Teraz pomóż mi zrobić coś z ciałem tego chłopca. A potem na mnie poczekaj.

- Ale ja myślałam... - Arianne spojrzała na nią gniewnie. Gem, wciąż leżąc na podłodze u ich stóp, przyglądała się w zdumieniu i grozie, potem już tylko dziwiąc się, jak oczy Arianne zaczęły błyskać wyraźnymi, czerwonymi iskrami. - Ale, Arianne, kiedy? - jęknęła. - Myślałam, że ona będzie...

Ta jednak przycisnęła zimny palec do ust Gabrielle, uciszając ją.

- Idź. Na ciebie też przyjdzie czas.

Gem skuliła się na podłodze obok łóżka, próbując okryć nagie ciało, a może po prostu zniknąć. Zaburczało jej w brzuchu, a potem zakręciło się w głowie, gdy Fonda i Gabrielle ściągnęli ciało Mroza z łóżka. Zwłoki uderzyły o podłogę z obrzydliwym łomotem. Obserwowała, jak oboje wyciągają go z sypialni do ciemnego korytarza. Chwilę później dziewczyna usłyszała, jak drzwi do mieszkania otwierają się i zamykają.

Podniosła wzrok na szczupłą, bladą dziewczynę, która przy niej stała. Arianne zdjęła cienkie paski bezkształtnej sukienki, a potem zsunęła je po ramionach. Tiulowa sukienka ześliznęła się aż do stóp.

Arianne wyciągnęła ramiona do Gem. Oczy kobiety przypominały czarne jaskinie z czerwonymi środkami. Ich spojrzenie wwiercało się w Gem. Usta miała czerwone, pełne, grzeszne. Ukazywały się w nich ostre, białe zęby.

- Chodź do mnie, dziecko - powiedziała.

I Gem poszła.

Rozdział dwudziesty trzeci

Jeff Stancheck cały piątkowy poranek próbował nie zasnąć podczas nużącego, długiego posiedzenia „Charade” w sprawie budżetu.

Sam litościwie skrócił swój raport, kiwając grzecznie głową, kiedy jego trzecia comiesięczna prośba o dodatkowy personel została odrzucona przez dział finansowy. Nie miał nic do roboty, gdy działy produkcji, sprzedaży, administracji i pozostałe przedzierały się przez swoje prezentacje.

Raport działu redakcji był tego miesiąca zaskakująco krótki. A raczej, został zupełnie pominięty.

Blair Armstrong po prostu nie pojawiła się na spotkaniu.

W zwykłych okolicznościach byłoby to poważniejsze faux pas, ale tego dnia sama Roberta Whitehead również się nie pojawiła... a to już było co najmniej niespotykane. Jej słabość do cięcia wydatków na projekty i ograniczania budżetów działów dyrektorom stojącym przed salą konferencyjną pełną siły roboczej obrosła legendą... nawet większą niż niezbyt dyskretne orgietki w apartamencie na ostatnim piętrze. Wszyscy wiedzieli, że nie było dla niej nic przyjemniejszego niż comiesięczne spotkania budżetowe. A przynajmniej wszyscy ci, którzy myśleli, że wiedzą, co jest przyjemne dla Roberty Whitehead.

Kiedy spotkanie w końcu się skończyło, na zegarze była 12.30. Jeff wrócił do działu artystycznego, pustego w porze lunchu. Każdy dwudziestocalowy monitor Mac wyświetlał najnowszy wygaszasz z Gothique. Wyniki prac, wydruki i projekty zaśmiecały biurka i zwieszały się na przegrodach, tworząc znajomy bałagan. Miejsce Colleen Russell wyglądało najgorzej, ale ona wykonywała pracę za dwie osoby, odkąd Kelly Feeny zdecydowała się kompletnie zniknąć. Jeff sprawdził wiadomości na sekretarce i sam też wyszedł na lunch.

Gdy wracał, poczuł powiew środkowozachodniej jesieni, niesionej zimnym, wilgotnym wiatrem, który hulał w wąwozach między drapaczami chmur. Jeff jedną ręką otulił się ciasniej sztruksową kurtką, a w drugiej ścisnął podwójną kawę. Palce grzały się od przesączającego się przez styropian ciepła. W brzuchu burczało mu od wątpliwej jakości enchilades z baru szybkiej obsługi. Jeff zaś burczał w myślach na samego siebie, strofując się za stracony poranek tak pracowitego dnia w przeładowanym zajęciami tygodniu.

Skierował się z powrotem do obrotowych drzwi wejściowych ze stali i szkła, wiodących do wnętrza budynku Whitestar Media.

W tym momencie za nim do środka wśliznęła się Blair Armstrong.

- O Boże, daj mi trochę kawy. - Kiedy obrotowe drzwi wpuściły ich do środka, Blair wyjęła kubek z dłoni Jeffa, zerwała plastikowe wieczko i łyknęła.

- Au, gorąca.

- Chciałabyś się napić kawy, Blair?

- Pewnie, ale co to za szczyzny?

Nie wyglądała dobrze. Nie wyglądała nawet znośnie. Nawet nie wyglądała jak Blair.

Nie miała na sobie świetnie skrojonego kostiumu od znanego projektanta ani modnych, spiczastych pantofelków. Wyglądało na to, że na sobie nie ma ani jednej drogiej rzeczy. Blair zakasała luźne rękawy bluzy z napisem NYU i ponownie oburącz uniosła do ust kubek z kawą. Brzeg kubka oparł się o skraj wielkich, lustrzanych okularów przeciwsłonecznych, które zakrywały połowę jej twarzy.

- Dżinsy? - roześmiał się Jeff. - Porwane dżinsy? Bluza? I, Jezu, buty do biegania? Gdzie jest mój aparat, gdy go potrzebuję?

- Odwał się.

- Miło mi.

- Jeff, miałam straszny poranek. Chodź, przejdziemy się. Mam spotkanie. - Zaczęła iść przez główny hol w kierunku wind.

- Jeśli myślałaś o comiesięcznym spotkaniu budżetowym, to spóźniłaś się parę godzin.

- Comiesięczne... dzisiaj? A niech to. A co Roberta... Jeff potrząsnął głową.

- Obie się nie pojawiłyście. Niezłe musiało być to wczorajsze przyjęcie. Drzwi windy otworzyły się. Jeff wszedł do środka, ale Blair wciąż zwlekała. Trzymała podwójną kawę w trzęsących się dłoniach.

- Wczorajsze? Och, tak, przyjęcie. Tak, to było... to było... naprawdę coś.

- Idziesz?

- He? Ach, tak. - Weszła z wysiłkiem do windy. Drzwi zamknęły się za nią.

- Blair, nie za dobrze wyglądasz.

- Och, dziękuję ci.

- Wiesz, co mam na myśli. Naprawdę musiałaś się nieźle wczoraj sponiewierać.

- Co? Och, no tak. - Oddała mu kubek. Był pusty. - Zeszłej nocy... tak, rzeczywiście... wyciekła ze mnie cała energia.

- Tak się kończy picie. - Zmierzył ją wzrokiem. - Spotkałaś wszystkie upiory z Gothique?

- Co? Co na temat Goth... Och, tak. Pewnie, niektórzy z tych... tych ludzi z Gothique pojawili się na przyjęciu. Wszyscy... To jest po przyjęciu poszłam do Gothique i... Jeff, nie uwierzysz... - Przerwała. - To znaczy, powinieneś żałować.

Drzwi windy otworzyły się na szesnastym piętrze.

Jeff wyszedł.

Blair stała z opuszczoną głową, oparta o ścianę. . '

- Blair, czy nic ci nie jest?

Wytoczyła się z windy i skierowała do działu redakcji, pozostawiając go w dziale artystycznym.

- Czuję się naprawdę dobrze. - Szła, szurając stopami w sportowych butach po wykładzinie. Obijała się o ścianki boksów. - Och, jeszcze coś, Jeff. Zapomniałam ci powiedzieć - rzuciła przez ramię, nawet nie zadając sobie trudu, żeby się obrócić. - Ten... ten twój doroczny przegląd graficzny. Odwołałam go.

*

Colleen od dłuższego czasu kulila się nad klawiaturą, ale nie było żadnego sposobu, by nie zauważyć krzyków i odgłosów uderzania pięścią w stół, które dobiegały z gabinetu Jeffa. Pozostała część działu przechyliła się ponad ściankami albo stawała nawet na krzesłach, ciekawa, czy za chwilę otworzą się z hukiem drzwi gabinetu i ze środka wyfruną meble.

- Stałaś tu zaledwie wczoraj i zachowywałaś się, jakby wszystko było w porządku, Blair! A wiedziałaś cały czas, że nie wydrukujesz tekstu, prawda? O co chodzi? Już nie jesteśmy kumplami? Bo nie chciałem iść z tobą na przyjęcie?

- Och, Jeff, daj spokój. Musiałam wyciąć przegląd, żeby zrobić miejsce dla czegoś innego. Tak czy owak, nikt nie chce czytać tego szajsu. Nie wiem, dlaczego wraz z Megan uważaliście go za taki wyjątkowy.

Colleen uniosła głowę ponad ściankę swojego boksu.

- Hej, koledzy, okażcie trochę klasy, dobra?

Reszta działu spojrzała na nią tak, jakby dziewczyna oszalała. Ludzie z powrotem odwrócili się ku zamkniętym drzwiom gabinetu Jeffa.

- I tyle? Wycięłaś i koniec dyskusji? Co jest, trzeba było zrobić miejsce dla kolejnego obrazka z przywiązaną do drążka krwawiącą ofiarą? Zamierzasz dołączyć teraz parę kart do gier RPG? Boże, nie mogę uwierzyć, że okłamałaś mnie tak...

- Nie okłamałam cię. Po prostu zapomniałam ci o tym wspomnieć. Słuchaj, nie rób z tego wielkiej sprawy. Mam kaca. Nie mogę się tym teraz zająć.

- Cóż, lepiej, żebyś się zajęła. Jeśli nie ma dorocznego przeglądu, to może i mnie tu nie będzie.

Teraz nawet Colleen nie wytrzymała. Oparła się o ściankę i gapiła w drzwi tak jak i reszta działu.

- Jeff, bądź poważny. Poza tą pracą jesteś kolejnym z dziesiątek podrzędnych grafików w średnim wieku, skończmy więc tę scenę.

- Blair, ja mówię poważnie. Nie podoba mi się to, co się tutaj dzieje. Nigdy nie przyjmowałem się do pracy w nadętym, fetyszystowskim czasopiśmie, a w takie coś zamienia się „Charade”.

- Albo się z tym pogodzisz, albo... odejdiesz. Co tam sobie zażyczysz. Mam spotkanie, nie będę więcej tracić czasu. Masz aspirynę? - Przez długą minutę za zamkniętymi drzwiami Jeffa panowała cisza. - To pewnie oznacza, że się pogodzisz. I dobrze.

Drzwi otworzyły się. Wyszła zza nich Blair, zakładając ponownie czarne okulary na przekrwione oczy. Pracownicy opadli na krzesła, zupełnie jakby byli trzecioklasistami, skaczącymi do ławek w momencie, gdy do klasy wkracza nauczyciel. Wszyscy prócz Colleen. Spojrzała Blair w oczy, zanim kobieta zdążyła nasunąć okulary. Colleen potrząsnęła głową i obserwowała, jak ta zerka przez ramię na gabinet Jeffa.

- Zajmę się pisarzami - rzekła Blair, już wyjmując segregatory z torby na ramieniu. - Spróbuj wyrobić się z programem, Jeff.

Kiedy zniknęła w labiryncie boksów i szeregów szafek z kartotekami, Jeff wypadł z biura, zapinając teczkę.

Colleen wyskoczyła ze swojego boksu, by go odprowadzić.

- Jeff, poczekaj. Czy... czy wszystko w porządku?

- Nie, nic nie jest... - Przerwał. Zamknął oczy i zaczerpnął tchu. - Przepraszam, Colleen. Przepraszam, że musiałaś tego wszystkiego wysłuchać.

Zagroziła mu drogę do windy.

- Dokąd idziesz? Chyba nie... odchodzisz?

- Nie? - Wcisnął guzik. - Ja... słuchaj, po prostu.... - Drzwi windy otworzyły się. W środku Tim i Ivy przestali się całować i z uśmiechem spojrzeli na Jeffa i Colleen. Nieprzytomne uśmiechy znikły natychmiast z ich twarzy, gdy zdali sobie sprawę, że cisza chwilowo była najrozsądniejszym wyjściem. Oboje wysłiznęli się z windy i skierowali do działu artystycznego.

- Po prostu muszę stąd wyjść, Colleen. - Wszedł ciężkim krokiem do windy. - Może ty też powinnaś.

Drzwi zamknęły się jej tuż przed nosem.

*

Wielkoformatowa, kolorowa drukarka atramentowa wypluwała wydruki. Robiła to w iście żółwym tempie. A ta dwustronicowa rozkładówka wychodziła z szybkością niezwykle zaspanego żółwia. Colleen wysłała strony do wydruku tuż po wpół do siódmej. Stała obok potężnej maszyny od 18.30, a ze środka wystawało wciąż tylko półtora centymetra pustego, białego marginesu, choć drukarka brzęczała i klekotała jak oszalała, coś tam jednak drukując.

Piątek wieczorem.

Znów pracowała do późna.

Ledwo drzwi windy zamknęły się za Jeffem, większość personelu działu artystycznego wyłączyła komputery i nałożyła płaszcze. Gdyby jak zwykle nierozłączni Tim i Ivy nie przedłużyli zwykle dwugodzinnego lunchu do dwóch i pół godziny, Colleen nie zdołałaby w nikim wzbudzić poczucia winy i przetrzymać do wieczora.

Szef zniknął na cały dzień.

Szef zniknął na dobre?

Któż to mógł wiedzieć, ale mecz między Jeffem a Blair za niezbyt szczelnie zamkniętymi drzwiami dał znak większości pracowników, że mają wolne popołudnie.

- Tim - zawołała Colleen w kierunku rzędów boksów za plecami.
- Miałaś dziś jakiś problem z wielkim formatem?

Nie odpowiedział. Zamiast niego nad ściankę wychynęła głowa Ivy, ozdobiona farbowanymi w czarno - brązowo - blond pasemka.

- Jest w kibelku, Col. Ale mam nadzieję, że szybko wydrukujesz swoje strony, bo ja też puściłam parę do druku. - Ivy odsunęła rękawiczkę z rozszerzanym mankietem, oczywiście w czarnym kolorze, zerkając na zegarek. - Tim i ja idziemy na... to jest, chcieliśmy zobaczyć festiwal filmowy o 20. W kinie Music Box puszczają całą trylogię Hammera Karnsteina.

Colleen uniosła wzrok znad drukarki.

- Ivy, mam dla ciebie ulotkę. Wiem, że macie randkę. Wszyscy wiedzą, że chodzicie na randki. Cały świat wie, że chodzicie na randki.

Ivy uśmiechnęła się nieśmiało. Rubinowe usta błyszcząły we fluorescencyjnym świetle.

- No, wiesz, polityka personalna Whitestar i tak dalej.

- Nie sędzę, żeby tak naprawdę coś ich obchodziło, że pracownicy chadzają ze sobą na randki, Ivy. Mogliby mieć coś przeciwko obmacywaniu się w windzie.

Ivy roześmiała się i z powrotem usiadła w swoim boksie.

- To jak, Colleen - zawołała zza ściany - chcesz iść z nami? Ingrid Pitt. Yutte Stensgaard. Peter Cusing i bliźniaki Collinson. Klasyka filmu.

- Pas. - Colleen nasłuchiwała, jak coś obraca się w drukarce. Papier wypełził o kolejne półtora centymetra.

Ivy ponownie ukazała się nad ścianą boksu.

- Skoro twoje strony tak wolno się drukują, to może pójde sprawdzic, czy nie zostało trochę kawy. Chcesz też?

- Nie, idź - odparła Colleen. - Kiedy wreszcie pokaże się ta rozkładówka, znikam stąd.

- Dobra. - Ivy zarzuciła torebkę na ramię i skierowała się ku redakcji i automatom z kawą. Ponieważ w niemal całym sąsiednim dziale już wygaszono światła, jej w całości odziana w czerń sylwetka zniknęła w mroku.

Colleen patrzyła za odchodzącą dziewczyną. Potem przez chwilę przyglądała się powoli wychodzącemu wydrukowi, ale znów skierowała wzrok przez ramię. Wczesny jesienny zmrok zapadał za sięgającym od podłogi do sufitu oknem z widokiem na Fairmont. Oczy dziewczyny ogarnęły spojrzeniem zwyczajowy bałagan, który panował w dziale artystycznym w piątkowe popołudnia. Strasznie tego dnia naśmiecili. W końcu zerknęła na gabinet Jeffa Stanchecka.

Drzwi były otwarte. W środku wciąż paliło się światło. Zostawiła pracującą drukarkę i podeszła bliżej, a potem zajrzała w głąb.

Biurko Jeffa zaścielały wydruki, raporty i próbne odbitki. Komputer wciąż był włączony. Colleen weszła do środka, zamknęła pliki i wyłączyła komputer.

Wypuściła z ręki myszkę, zawadzając dłonią o trzy dyskietki, które leżały tuż przy podkładce, na wpół schowane pod stosem wydruków.

Dyskietki.

Colleen złapała je i przebiegła palcem po pogiętych metalowych osłonkach i popękany plastik. Natychmiast pomyślała o kopercie zaadresowanej do Jeffa, którą przyniósł goniec parę tygodni temu.

Była pewna, że adres napisała jej siostra, Megan. Może nawet tego wieczoru, gdy zginęła.

„A może została zamordowana?”

Zadrzała i upuściła dyskietki. Potrzaskany plastik i pogięte metalowe osłonki zadzwoniły o blat biurka Jeffa. Zgasła światła, trzasnęła drzwiami gabinetu i pobiegła z powrotem do drukarki.

Wysunęło się około ośmiu centymetrów papieru.

- No rusz się, ty...

Drukarka odwarknęła jej. W pustym dziale artystycznym rozlegał się tylko jej grzechot.

*

- Tim? Tim, gdzie się podziałeś? - Ivy drobiła małymi kroczkami, przedzierając się przez panujący w redakcji mrok. - Tim? Przestań sobie robić żarty. - Pojedyncze światła nad głową rozświetlały tylko kąty pomieszczeń działu. Drzwi do gabinetów pozamykano. - Tim? - Lampy na biurkach sekretarek wyłączono. - Tim, zaczynam się wkurzać.

Z ciemności wyłoniła się dłoń i błyskawicznie zacisnęła na jej nadgarstku. Ivy nawet nie zdążyła krzyknąć.

Otworzyły się drzwi do jednego z gabinetów. Dziewczyna została wciągnięta do środka.

- Och, przepraszam, to tylko ja, Ivy. Jezu. - Tim uśmiechnął się. Wyglądał jak chodząca niewinność.

Ale Ivy dyszała z przerażenia i nie była w stanie nic mu odpowiedzieć. Zdołała tylko trzasnąć go po głowie. I to mocno. Kiedy już odzyskała oddech, walnęła go pięścią w klatkę piersiową.

- Ty idioto. Co ty sobie wyobrażasz, tak mnie straszyć? Przytulił ją.

- Przepraszam, kochanie. Myślałem, że cię zaskoczę.

- Bo mnie zaskoczyłeś. Mało się nie posikałam. - Próbowała wydostać się z uścisku, ale nie robiła tego na poważnie. W końcu uspokoiła się i też go objęła. - Czyj to gabinet? - Rozejrzała się wokół. - Chryste, oszalałeś, Tim? To...

Przytaknął.

- Samej szefowej.

- Tim, to teren wierchuszki. Wynośmy się stąd.

- Czemu? - spytał. - Widziałaś dziś Blair. Wyglądała jak śmierć na chorągwi.

- Miała kaca.

- Pewnie.

- Tim, dziwnie mi. Wynośmy się stąd. Colleen wciąż jest w pracy. Jak nas tu znajdzie, to nas wypieprzy.

- Niezły pomysł z tym pieprzeniem - odparł, drocząc się z nią. Puścił ją i usiadł na wielkim skórzanym obrotowym fotelu szefowej. - Może to nas wprawi w dobry nastrój przed dzisiejszym seansem. - Obrócił się w fotelu tak, by patrzeć przez okno na panoramę miasta, ukazującą morze światełek na ciemniejącym, granatowym niebie.

- W nastrój? - Powoli obeszła biurko. - Och, rozumiem. Proszę mi wybaczyć, proszę pana. Colleen Russel jest jak dla mnie zbyt konserwatywna. A ja jestem zbyt konserwatywna... na to. - Stała między oknem a fotelem i usiadła mu na kolanach. - Już się mną znudziłeś?

Potrząsnął przecząco głową. Poglądził pajęcze wzory jej czarnych pończoch, aż w końcu wsunął rękę pod spódnice.

- Hej, Tim, później. - Odsunęła mu dłoń z takim samym przekonaniem, jak chwilę wcześniej wywijała się z jego objęć. Ale ręka Tima pomknęła z powrotem pod jej sukienkę i pociągnęła w dół rajstopy. Dziewczyna oparła się o niego i westchnęła. - Cóż, moje ostatnie strony i tak się jeszcze nie wydrukują.

Oboje wpatrywali się w ścianę wieżowców za wielkim oknem i własne odbicia w szybie na tle rozmigotanych sylwetek budynków i fioletowego nieba. Zsunął rajstopy i majtki Ivy za kolana, a ona sięgnęła ręką w tył i zaczęła zmagać się z suwakiem jego spodni.

- Wiesz... - powiedziała, dysząc i przerywając co chwilę, kiedy zanurzył w niej palce - Ktoś... nas... złapie... i...

- Wiem... - odpowiedział. Jej palce w końcu wygrały walkę z zamkiem džinsów. - Ktoś nas... złapie... tu... i... - Oboje usłyszeli, jak skrzypnęły otwierane drzwi. Oboje ujrzeni to w odbiciu w szybie. Ale ujrzeni tylko otwierające się drzwi. - Przyłapie i... nas...

- Zabije?

W tym momencie zobaczyli ich. Ivy zeskoczyła Timowi z kolan i padła tyłkiem na podłogę. Wpełzła pod biurko, ściskając w rękę rajstopy. Zaczęła wciągać majtki, ale zamarła. Oboje ich zobaczyli, ale tak naprawdę nie uwierzyli własnym oczom.

Dopóki wampiry się na nich nie rzuciły.

*

Wydruki Colleen wciąż tkwiły na dwa i pół centymetra w drukarce, ale dziewczyna wyrwała je. Maszyna zabrzęczała po raz ostatni, niechętnie wypuszczając papier.

- Moje już wyszły, Ivy - zawołała w kierunku boksów. Przypięła do wydruku kartkę z oznakowaniem i położyła ją na stosie odbitek. - Wychodzę. Mam nadzieję, że uda wam się zdążyć na wasz festiwal fil...

Zatrzymała się obok boksu Ivy.

Pusto.

Colleen zajrzała do boksu Tima.

Pusty.

- Kawa. No jasne. - Chciała się zdenerwować, ale zamiast tego uśmiechnęła się. Może nie dostaną podwyżek ani nie awansują, ale przynajmniej byli razem. Zadowoleni. Zazdrościła im.

Wyłączyła komputer, złapała džinsową kurtkę i torebkę. Usłyszała, jak drukarka ponownie zaczyna drukować, tym razem strony Ivy.

- Trylogia Farnstein - Marnstein - Karnstein czy co tam - powiedziała na głos, wciąż się uśmiechając. - Chyba się spóźnicie na seans.

Ale nazwa festiwalu filmowego przypomniała jej coś. Automatycznie pomyślała o Cassie i jego zwariowanych filmach, książkach i grach. Natychmiast uśmiech zniknął jej z twarzy. Włożyła kurtkę i wyszła ze swojego boksu.

W tym samym momencie zgasły światła.

- Hej - zawołała - tu się jeszcze pracuje!

Nie usłyszała żadnej odpowiedzi.

Szła w kierunku wind, macając ściany boksów.

- Tim?

Wciąż nikt jej nie odpowiadał.

Udało jej się dotrzeć do korytarza z windami. Położyła rękę na ścianie i szła dalej. W końcu uderzyła w roślinę w doniczce i przewróciła ją.

- Jest tam ktoś? Ochrona? Sprzątacze?

Owiał ją zimny i cuchnący wiatr.

- K...Kto...

Jakaś ręka potarła jej twarz i zniknęła w ciemnościach.

Krzyknęła i odskoczyła. Brnęła w ciemnościach, macając rękami w poszukiwaniu przycisków, wzywających windę. W końcu dostrzegła tuż przed sobą podświetlane guziki „Góra” i „Dół”.

Ujrzała, jak zasłania je na chwilę cień.

- Kto tu jest? - spytała, tłumiąc strach w głosie. - Do cholery, kto tu jest?

Wtem usłyszała chichot i głosy. Jeśli się nie przesłyszała. Dobiegały z za jej pleców.

- To ona? Rozlegały się przed nią.

- Na to wygląda.

Rozmowa toczyła się wokół niej, w ciemnościach. Głosy dochodziły z bliska i daleka.

- Co w niej takiego nadzwyczajnego? Zbliżały się do niej.

Coś pyknęło w mroku.

Zapaliła się iskierka.

Potem rozbłysła jeszcze jedna. Nagle zaświeciła się zapalniczka, rzucając niewielki krąg żółtego światła, które ledwo rozpraszało ciemności w korytarzu przy windach, ale dobrze uwidaczniało roześmianą twarz, okoloną postrzępioną grzywą czarnych włosów.

- Cześć, ruda.

Colleen przełknęła ślinę i mrugnęła, próbując skupić wzrok.

- Gab...Gabrielle?

Płomień zapalniczki uniósł się w kierunku twarzy Gabrielle. Dziewczyna zapaliła długiego, czarnego papierosa, zaciągnęła się mocno i wydmuchnęła dym wprost w twarz Colleen.

- We własnej osobie. Zapalniczka zgasła, pogrążając korytarz ponownie w ciemnościach.

- Gabrielle? Jak się tutaj dostałaś?

Ponownie rozległ się chichot i głosy, a raczej tylko szepty, przypominające trzepot skrzydeł, albo odgłos, jaki wydają drapiące aksamit paznokcie. Przywodziły na myśl obsceniczne dyszenie w słuchawkę.

Colleen ujrzała, jak pomarańczowy czubek papierosa Gabrielle unosi się i opada. Usłyszała, jak dziewczyna zaciąga się. Pomarańczowy ognek rozżarzył się, oświetlając uśmiechniętą twarz. Gabrielle ponownie wydmuchnęła dym.

- Och, my zwykle wchodzimy tam, gdzie chcemy, Ruda.

- My? Gabrielle, jak ty, do diabła... Czego chcesz? - Powoli przesuwiała się do guzików wzywających windę, aż stanęła przy nich, tyłem do ściany. Sięgnęła za plecy i najciszej jak zdołała przycisnęła jeden z nich. Wcale jej nie obchodziło, który to jest.

- I jak się wiecie w starej pracy, Russell? A raczej powinnam powiedzieć, w mojej starej pracy? Wygląda na to, że wciąż mamy parę niezalutwionych spraw. Sama wieczorem?

- Hm, niezupełnie. - Pomyślała, że za drzwiami windy usłyszała odległy odgłos pracujących maszyn. Tak jej się wydawało. Miała nadzieję, że tak właśnie było. - Pracujemy dziś do późna całą grupą. Słuchaj, Gabrielle, nie wiem, jak się tu dostałaś na górę, ale oni niedługo wrócą, dlatego lepiej się stąd wynieś, zanim zawołają ochronę. A z Tima jest kawał chłopa. On...

Śmiech Gabrielle przerwał jej w pół słowa, tak jak i dobiegające z głębokiego mroku szaleńcze chichotanie.

- Tim, tak? Masz na myśli tego dupka, którego przyłapaliśmy na tak zwanym spijaniu śmietanki? - Pomarańczowy żar papierosa Gabrielle unosił się w ciemnościach, ale wydawał się zbliżać. - Zapomniałaś, że ja tu byłam pierwsza. Pamiętam, kiedy zaczęło iskrzyć między Timem i Ivy. „Kawał chłopa”, och, daj spokój. Tak czy owak, wydaje mi się, że Tim jest teraz nieco zajęty, razem ze swoją dziwką. Próbowала uciekać, ale trochę jej ciężko było z gaciami wokół kostek, wiesz? - Colleen myślała o lodowatych chichotach, dzwoniących wokół niej w ciemnościach. Nasłuchiwała też odgłosów za drzwiami windy. - Ruda, ja sobie myślę, że oni nie żyją. Ale nie

smuć się, odeszli w szczęśliwości. A teraz są razem przez cały czas, już na zawsze.

Żar papierosa zbliżył się jeszcze bardziej. Teraz był oddalony może o metr. Colleen przycisnęła plecy do drzwi windy. Metal wibrował, a maszyny pracowały.

- Słuchaj - powiedziała Gabrielle - choć bardzo bym chciała popatrzeć, jak wybałuszasz dziś oczy i się jąkasz, nie mam czasu do stracenia. Mamy parę spraw do załatwienia, musimy pójść tu i ówdzie, spotkać się z tym i tamtym, sama wiesz, jak jest. To co robimy, Colleen? Będiesz utrudniać? Czy wszystko pójdzie jak z płatka? Jeśli chodzi o mnie, to mam nadzieję, że nie.

Colleen poczuła tąpnięcie za drzwiami windy. Usłyszała, jak jeden z głosów, które tak naprawdę nie były głosami, syczy. Kolejny prychnął:

- Co to ma być?

Dziewczyna usłyszała szum i wizg metalu i mechanizmu.

W ciemnościach rozległ się cichy dzwonek.

Drzwi windy otworzyły się za jej plecami.

A reszta? Reszta zamazała się.

Drzwi otworzyły się, a Colleen upadła na plecy do środka.

Światło windy rozświetliło korytarz. Colleen ujrzała stojącą tam Gabrielle, oddaloną o niecałe trzy metry, która już się na nią rzucała. Na skraju światła unosiły się trzy postacie, odziane w znajomą czerń. Tylko że ich twarze, usta i oczy nie były już takie znajome.

Wtem lodowate ręce złapały Colleen za ramiona i wciągnęły do windy. Drzwi zawahały się i zaczęły zamykać z obezwładniającą powolnością.

- Bierzcie ją! - skrzeknęła Gabrielle. Postacie wyskoczyły z cienia, z otwartymi ustami. Ich oczy świeciły czerwienią. Drzwi windy zablokowały się na nogach Colleen. Gabrielle rzuciła się, sięgając jedną ręką w czarnej rękawiczce po jej nogę, drugą do drzwi. Mroczne postacie z białymi twarzami, czerwonymi oczami i jeszcze czerwieniszczymi paszczami też frunęły w ciemnościach, próbując ją dopaść. Dziewczyna krzyknęła, kopiąc wściekle, aż trafiła rękę Gabrielle, zaciśniętą na drzwiach windy. Ta zawyła. Colleen czuła, jak zimne ręce ciągną ją w tył, aż jej stopy minęły próg windy. Drzwi w końcu się zamknęły, a winda zaczęła zjeżdżać. Dziewczyna wciąż

słyszała wrzaski, dobiegające zza grubego metalu. - Dostanę cię, dopadnę, ty mała suko...

Zimne ręce w końcu puściły jej ramiona.

Zacząła wstawać. Gapiła się na wypolerowaną stal i lustrzane drzwi windy, ale ujrzała tylko ścianę, poręcz i podłogę.

Oraz siebie samą.

Stała, czując, jak uginają się pod nią kolana.

Colleen Russell nie pamiętała, by w życiu dokonała czegoś trudniejszego niż ten powolny obrót w tył.

A gdy już to zrobiła, nogi faktycznie się pod nią ugięły. Padła na drzwi windy i zaczęła ześlizgiwać się po nich na podłogę.

Te same zimne ręce podniosły ją.

A potem przygarnęły.

- To naprawdę ty? - Ciało Colleen zwiotczało. - Och, Cass. Cass...

Rozdział dwudziesty czwarty

Gabrielle kopnęła drzwi windy.

- Włączcie to cholerne światło.

- Dlaczego? - zapytał jeden z wampirów, autentycznie zdziwiony. Kopnęła nieustannie, dziurawiąc metal i wybijając drzwi z prowadnic.

- Bo, kurwa, ja nic nie widzę!

- Och.

Nawet nie znała jego imienia. Był to jeszcze jeden z nowych, którzy wyłazili co parę nocy z niższych poziomów Gothique.

- I co? Nie chcesz ich gonić? - odezwał się kolejny bezimienny. - Odstawiamy potajemny włam, ty odwalasz gadkę, grając zły charakter, a potem tak po prostu ich puszczamy?

W korytarzu przy windach i w dziale artystycznym zapaliły się światła. Dwa wampiry instynktownie przykleiły się, skulone, do ścian.

- O rany, z tej dziewczyny aż tryskała moc, prawda? - wydyszał jeden z nich.

- Kto to był, ten w windzie? - zapytał drugi. - Wyglądał mi na jednego z nas.

- Słuchajcie, po prostu idźcie do pozostałych - powiedziała, zaciągając się nerwowo czarnym papierosem. - Powiedzcie, żeby się pospieszyli z tymi dwoma dupkami w redakcji.

- No pewnie. - Jeden z wampirów ruszył z miejsca. Wtem zatrzymał się. - Gdzie?

- W... Nieważne. Ja się nimi zajmę.

- To dobrze, pić mi się chce. Powiedziałaś, że dostaniemy...

- Och, zamknij się wreszcie i chodź. - Zdusiła papierosa na wykładzinie w korytarzu, a potem poszła zdecydowanym krokiem przez dział artystyczny do redakcji i gabinetu Megan Russell - a raczej Blair Armstrong. Towarzyszyli jej nowo narodzeni.

Tuż przed drzwiami do pomieszczenia stał Drake. Oparł się o regał z segregatorami i oblizywał palce z krwi.

- Kogoś tu zgubiliście? - spytał.

Gabrielle wzruszyła ramionami, ale jej nonszalancja była udawana.

- Wykończyliście ją?

Drake wskazał ruchem głowy otwarte drzwi. Gabrielle prześliznęła się obok niego i zajrzała do środka.

Fonda i jeszcze jeden równie wychudzony i równie rozchichotany androginiczny osobnik - choć ten wyglądał tak, jakby mógł wyhodować coś, co może kiedyś zostałoby nazwane piersiami, gdyby żył wystarczająco długo - rozciągnęli Tima na podłodze. Białe ciało było zupełnie nagie. Chłopak wiał się na pluszowym dywanie. Usta Fondy przywarły do czerwonej, pulsującej miazgi, która kilka minut temu była gardłem Tima. W końcu Fonda oderwał się i wytarł czerwoną smugę z ust.

- Oj, znów tak mi jakoś wyszło - zachichotał kokieteryjnie, zakrywając bladymi rękami usta. - Chyba go wykończyłem.

Nagie ciało Tima już się nie ruszało.

Gabrielle ujrzała, jak po drugiej stronie gabinetu dwa wampiry zajmują się Ivy. Wyglądało na to, że wciąż żyje, choć niewiele jej tego życia zostało. Rajstopy w pajęczym wzorze wisiały porozdzierane na nogach. Majtki zsunęły się do kolan. Spódnice zadarto jej na brzuch. Ivy wzdychała i wiała się, gdy dwa wampiry gładziły ją i przesuwały zimnymi językami po ciele, chlepcząc krew, która wyciekała z ran na ramionach, udach i piersiach.

Gabrielle przyglądała się im, zahipnotyzowana i wojerystycznie radosna. Czuła, jak jej własna krew krąży w żyłach. Kręciło jej się w głowie, a nogi uginały się pod nią. Chciała... Chciała być jak...

- Zostaw ich, dziewczyno - powiedział Drake. - Słyszałem, że jeszcze wciąż masz pozostać taka jak teraz, choć pragniesz być taka jak my. - Złapał Gabrielle za włosy i wyciągnął ją za drzwi biura. - I co z twoją szarżą komandosów? Nie jestem taki pewien, czy powinniśmy się tu kręcić. Chociaż ty chciałaś, żebyśmy pomogli ci dopaść pewną dupę, którą ścigasz.

- Miau - zachichotał jeden z nowo narodzonych. - Dupencja uciekła.

- Uciekła? - warknął Drake. - Zobaczyła cię, a ty ją puściłaś? - Spojrzał na nią z wściekłością. Oczy zarzyły mu się czerwono. - Co ty sobie, kurwa, myślisz? Marek cię za to zabije. Cholera, może ja cię od razu zabiję. - Wargi zsunęły mu się z kłów, gdy zaczął iść w jej stronę.

- Czekaaj - powiedziała Gabrielle, cofając się, aż wpadła na ścianę. - Drake, ktoś jej pomógł.

- O czym ty mówisz? - Nadal się zbliżał.

- To był Cass.

Drake zatrzymał się. Kiedy usłyszał to imię, jego oczy uspokoiły się, przybierając ponownie martwe czarno - białe kolory.

Nagle w drzwiach biura pojawił się Fonda. Nagie zwłoki Tima, już zapomniane, znalazły się w ramionach drugiego wampira, który wylizywał ostatnie ślady krwi ze skóry martwego chłopca, krzesła, biurka i dywanu.

- Cass? - Fonda splótł dłonie i zatańczył na progu. - Czy usłyszałem imię mojego słodkiego zdrajcy?

- Tak - odparła Gabrielle.

- Och, tak bardzo chcę, żeby wrócił mój uciekinier - rzekł Fonda.

- Uspokój się, księżniczko - Drake poklepał go po głowie, aż ten przestał podskakiwać. - Mów prędko, Gabi, albo rzucę cię tym trzem.

- Wskazał ruchem głowy nowo narodzonych. - I wątpię, czy wiedzą lepiej od Fondy, kiedy przestać, rozumiano? - Wyciągnęła kolejnego czarnego papierosa i zmagala się z zapalniczką. Siegnął, uspokoił jej rękę i zapalił ogień. - Czekam, ciepłokrwista kobietko.

- Mieliśmy ją, Drake - powiedziała. Cała jej odwaga gdzieś wyparowała. Zaciągnęła się papierosem, kaszlnęła i ponownie się zaciągnęła. - Ale jak spod ziemi wyrósł Cass, ten mały pedałek współlokator. Były współlokator, uściślijmy. I... uciekli nam oboje.

Drake zmierzył ją długim, twardym spojrzeniem, aż na jej twarzy wystąpił pot, a tusz i cień do rzęs popłynęły po policzkach kolorowymi strumieniami.

- Ten koleś, do którego Fonda robił maślane oczy na cmentarzu? Ten sam?

Skinęła głową.

- Nie lubię samotników. Zwłaszcza gdy wchodzą nam w paradę. Musimy odnaleźć naszego kotka i coś z nim zrobić.

- Och, możemy, Drake? - Fonda znów zaczął podskakiwać i klaskać w dłonie. - Chcę z powrotem Cassa, on miał być wyłącznie dla mnie!

- Później, cudaku. - Drake wsunął głowę do gabinetu. - Hej, wy dwoje. Skończcie z suką albo ją ze sobą zabierzcie. Czas zniknąć. - Odwrócił się do Gabrielle. - Możesz pomóc im posprzątać, ciepłokrwista kobieto. Wypoleruj tu wszystko tak, by nikt się nie domyślił, że tu byliśmy, albo wyczyszczę to biuro twoją twarzą. Muszę to sobie wszystko przemyśleć.

Później wszyscy zeszli po schodach przeciwpożarowych. Dwaj nowo narodzeni nieśli zwłoki Tima, położywszy na nim jego poplamione krwią ubranie, którego zapach doprowadzał ich do szaleństwa. Dwaj inni szli, prowadząc Ivy i od czasu do czasu liżąc jej zakrwawioną skórę.

Pozostali płynęli po betonowych schodach. Gabrielle szła tuż za Drake'em.

- Całe to pieprzenie tylko po to, by sprowadzić nam jedną świeżą dziewczynę, na dodatek prawie pustą. - Drake mamrotał trochę do siebie, trochę do Gabrielle, która szła dwa kroki za nim. - Wydaje się, że zadaliśmy sobie tyle kłopotu tylko po to, by się zemścić na jakiejś dziwce, która wzięła twoją pracę, bo ty już jej nie chciałaś.

- Nie spodobała mi się, Drake.

- A może to ty jej się nie spodobałaś i w tym problem?

- Słuchaj, Colleen Russell już nie żyje - syknęła Gabrielle. - Jeśli nie dziś wieczorem, to... Drake zamarł.

Wpadła na niego i natychmiast odskoczyła w tył o dwa schodki. Odwrócił się powoli. Jego oczy znów pałały czerwienią.

- Jak ona się nazywa?

*

Kiedy drzwi windy w budynku Whitestar Media otworzyły się, Cass i Colleen po prostu popędzili przed siebie.

Przemknęli obok śpiącego strażnika przy recepcji. A może tylko udawał. Przemknęli przez obrotowe drzwi i wypadli na Fairmont Court, pewni, że po piętach depczą im wampiry.

Ale tak nie było.

Fairmont i Michigan, tak samo jak pozostałe, tętniły zwykłym życiem piątkowej nocy. Wszędzie szły sekretarki, ubrane jak wiceprezesi i menedżerowie niższego szczebla w strojach bitników. Krawaciarze z północnej, prawie najlepszej dzielnicy kręcili się po chodnikach i zmierzali do barów, zatrzymywali taksówki i wyskakiwali z limuzyn. Oceniali się nawzajem wzrokiem, oszacowywali opcje i wprowadzali dane na weekend. Żaden z nich nawet nie zerknął na Colleen i wysokiego, przystojnego, szczupłego mężczyznę w czarnych, aksamitnych spodniach i czarnym płaszczu, którzy biegli jak szaleni w tłumie.

Przebiegli tak trzy przecznice, aż znaleźli się na opuszczonym parkingu. Cass niemal ciągnął Colleen, bo już brakło jej tchu.

Uspokoila się dopiero, gdy jej malutki, importowany sedan wmieszał się w sznur pojazdów na Lake Shore Drive. Nieco. Ale wciąż zerkała częściej w tylne lusterko, niż wpatrywała się w pasy przed sobą. Nadal wierciła się w fotelu, by spojrzeć przez ramię.

- Co to, do cholery... - Colleen zacisnęła zęby i zmieniła dwa pasy, nie zwalniając poniżej dziewięćdziesiątki. - Cass, do cholery... - Wtem puściła kierownicę i uderzyła go. Trzasnęła go w twarz. - Ty sukinsynu!

Biła go najmocniej, jak umiała, po twarzy, ramionach i klatce piersiowej, nawet jeśli chybiła w połowie i uderzała siedzenie.

Nie bronił się.

W końcu przestała.

Złapała mocno kierownicę i skrzyła nieco, by wjechać z powrotem na swój pas. Wcale jednak nie widziała drogi. Łzy zamazywały jej wzrok niczym deszcz przednią szybę.

- Przepraszam, Colleen.

- Przepraszam? Ty przepraszasz! - Znów zwinęła dłoń w pięść, ale tym razem trzasnęła tylko w deskę rozdzielczą. - Cass, gdzie ty się, u diabła, podziewałeś? Co tu się dzieje? Kto... Co się tam stało?

- Naprawdę muszę ci to wyjaśnić?

- Tak, musisz mi to, do cholery, wyjaśnić. Myślałam, że nie żyjesz, że twoje zwłoki skradziono albo zaginałeś, albo... Co się dzieje? - Skrzyła kierownicę i poprowadziła samochód ku Belmont Exit.

- Dokąd jedziesz?

- Zjeżdżam. Musimy zadzwonić po policję, Cass.

- Nie. Nie po policję.

- Cass, szukają ciebie. I Gabrielle. - Dziewczyna zjechała na prawy pas i skierowała się ku wyjazdowi. - Tim i Ivy tam zostali. I ci... Oni... Po prostu ich tam zostawiłam.

Cass pochylił się i złapał kierownicę.

- Colleen, jedź po prostu przed siebie. - Skierował samochód na lewy pas. Colleen próbowała utrzymać kierownicę prosto, ale nie mogła go pokonać.

- Cass, musimy...

- Nie! - Nie rozległ się znajomy głos Cassa. Wcale nie przypominał głosu Cassa. Rozbrzmiał dziwny, upiorny głos nie wiadomo skąd, z jakiejś przerażającej, ciemnej głębi. Mały sedan

zjechał na sąsiedni pas, ledwo unikając zderzenia z samochodem, i wrócił na właściwy. - Nie. - Cass powiedział to już ciszej i spokojniej. - Nie rozumiesz, Colleen? Nie możemy zadzwonić na policję.

Samochód przejechał obok zjazdu.

- Cass, powiedzieli mi, to jest policja mi powiedziała, że cię zamordowano, a twoje ciało zaginęło. - Spojrzała na niego. Światła zegarów na desce rozdzielczej zabarwiły jego twarz upiorną zielenią. Ale Cass patrzył tylko wprost przed siebie na rzędy bliźniaczych świateł latarni wzdłuż Lake Shore Drive. - Powiedzieli mi, że nie żyjesz.

- Colleen, bo tak właśnie jest.

*

Colleen odryglowała drzwi i otworzyła je. Sięgnęła ręką, by zapalić światła w mieszkaniu. Zaczęła obracać się, próbując zmusić się do uśmiechu.

- No cóż, wszystko jest w zasadzie tak samo, jak... Słowa zamarały jej w ustach.

Światła salonu rozświetliły klatkę schodową i Cassa. Ujrzała go takim, jakim był naprawdę. Zobaczyła go tym razem oczami niewypełnionymi strachem, jak w windzie. Nie w przyćmionym, zielonym blasku deski rozdzielczej samochodu ani w mglistej poświacie na podwórzu.

Zobaczyła Cassa i wiedziała, że każda z najbardziej szaleńczych opowieści, którymi zasypał ją, gdy jechali Lake Shore Drive i Sheridan, a potem po drodze z samochodu, była prawdziwa.

Wyglądał tak samo jak wieczorami, gdy obserwowała go, jak stroił się przed wyjście z domu. Zupełnie tak samo... ale jednocześnie inaczej. Jego skóra była zupełnie pozbawiona koloru. Błede, przezroczyste ciało pokrywało zbyt cienką warstwą martwe, zszarzałe mięśnie. Widok był obrzydliwy, ale jednocześnie niewytłumaczalnie pociągający. Twarz miał jednocześnie piękną i przerażającą. Oczy okalały ciemne obwódki, ale tym razem nie był to cień skradziony Colleen z jej kosmetyczki ani farba ze sklepu z kostiumami. Miał tęczówki czarne niczym opale, takie same jak źrenice, które wyglądały jak wielkie, czarne plamy pośrodku białek. Tak wyglądały oczy na kreskówkach. Białka zdawały się zmieniać kolor z białego w przejrzysty diament. Usta Cassa przecinały twarz czerwono - niebieską szramą, jak wargi klauna albo naćpanego mima.

Nie dało się zignorować malutkich czubków dwóch kłów, wystających mu z ust, ani tego, w jaki sposób wbijały się w dolną wargę. Tym razem nie były to plastikowe kły ani zamawiany pocztą akryl, ani też pokątna fucha splukanego dentysty. Nie, błyszczały w świetle niczym perły. Zwłaszcza ich śmiercionośne czubki.

Nic nie mogła poradzić na swoją reakcję. Skuliła się natychmiast, odsunęła od niego, marszcząc nos, gdy poczuła obrzydliwy zapach martwych kwiatów, przejrzałych owoców i startej miedzi.

- Hm, zgasimy światło, dobrze? - Cass pstryknął wyłącznik w korytarzu. W salonie znów zapadły ciemności. - Tak lepiej. Dla nas obojga.

Skinęła głową i poszła za nim w głąb mieszkania. Zasuła wszystkie rygle i założyła łańcuchy na drzwiach.

Upuściła torebkę na podłogę. Za nią poleciała kurtka.

- Muszę się napić. I to sporo. - Skierowała się do kuchni. - Zrobić ci... - Przerwała. Odwróciła się i spojrzała na Cassa, który wciąż stał przy drzwiach. Weszła do kuchni, potrząsając głową. Wróciła ze szklanką soku w jednej ręce i nigdy nie otwieraną ćwiartką burbona, która od dłuższego czasu stała w szafce nad piecykiem. Ale w salonie panowała pustka. Cass zniknął. - Cass? - Przeszła niepewnym krokiem przez korytarz. Przez chwilę miała nadzieję, że to wszystko jej się przyśniło, nic się takiego nie zdarzyło, że wszystko to było szalonym snem, jakimś koszmarem. Dopóki nie stanęła w drzwiach sypialni Cassa. Ujrzała, jak stoi przy oknie, a nagle światła miasta pełzną po podwórzu, by go obmyć, malując mu twarz pudrowym błękitem.

- Tamtej nocy to ty tu przyszedłeś, prawda?

Nic nie odpowiedział.

Wskazała okno butelką burbona. Zreperowano je dopiero parę tygodni temu. Wciąż pachniało świeżością i farbą.

- Przyszedłeś tutaj, prawda? Jakoś się zakradłeś. A kiedy zawołałam cię po imieniu, po prostu... wypadłeś przez okno.

Skinął głową.

- Pofrunąłeś cztery piętra w dół. Nie mów, wyrosły ci małe nietoperze skrzydełka?

Uśmiechnął się.

- Czemu? Czemu uciekłeś?

Ledwo widocznie wzruszył ramionami.

- Cass, co się stało?

Odszedł od okna, przeszedł obok regału z książkami. Powiódł bladymi palcami po grzbietach książek w papierowych okładkach i pudełek z kasetami wideo. Zatrzymał się przy komodzie. Podniósł czasopismo, spojrzął na okładkę i krzykliwe zdjęcie obejmującej się pary nastolatków w sznurowanych rzemieniami czarnych gorsetach i kabaretkach, z ufarbowanymi na czarno włosami. Uśmiechnął się. Jego kły rozbłysły w bladym świetle. Nagle jego uśmiech zniknął. Mężczyzna cisnął czasopismo na komodę i złapał głowę dłońmi, zanurzając palce w czarne włosy z pasemkami.

Nie była pewna, ale zdaje się, że szlochał. Usiadła na skraju łóżka, postawiła szklankę z sokiem na podłodze, a potem zerwała plombę na burbonie. Zrzuciła buty z nóg i rozciągnęła się na materacu, opierając o zagłówek. Colleen przytknęła butelkę do ust i napiła się.

- Cass, to wszystko dzieje się naprawdę? Skinał głową.

- Twoje książki. - Wbiła palce w uda, ściskając niebieski dzins, aż niemal zaczął się rwać. - Filmy i gry RPG. To wszystko staje się teraz... prawdą. Tak?

Ponownie skinał głową.

- W jaki sposób? Wzruszył ramionami.

- A te... te istoty w „Charade”. Oni... To znaczy... Czy ty ich lubisz? Nic jej nie odpowiedział. Tym razem nawet nie pokiwał głową.

- Jesteś... jesteś... wampirem? - Ponownie łyknęła burbona. - Naprawdę? Jesteś wampirem? Oni wszyscy byli... wampirami?

Cass odwrócił się i spojrzął na nią. Wydało się jej, że ujrzała, jak w jego oczach rozbłyskują czerwone iskierki.

- A Gabrielle? Cass, czy ona też jest wampirem? - Zadrżała, a potem

- Nie.

- To co ona robiła z tymi...

- Nie wiem, Colleen. Chyba chce... Naprawdę nie wiem.

- Chce? Cass, jak ktokolwiek, do cholery, mógłby chcieć... Musimy porozmawiać. Musisz mi to wyjaśnić. Musisz mi powiedzieć, że nie tracę zmysłów i wampiry tak naprawdę nie istnieją. Po prostu grałeś w jakąś popieprzoną grę, ubrany w te swoje ciuchy, umalowany, przy jakiejś swojej muzyce. Po prostu napaliłeś się na

kogoś, jakiegoś seksownego cudaka, z którym się trochę zabawiał. Powiedz mi, że tu chodzi tylko o to, a ty nie jesteś naprawdę...

- Colleen, jestem wampirem. Tamci w twoim biurze też byli wampirami. Ci, którzy byli za tobą...

- A Tim i Ivy?

- Cóż, pewnie już nie żyją. A jeśli się mylę, to przed upływem jutrzejszego dnia będą żałować, że nie jest inaczej. - Usiadł na łóżku. - A może wcale tak nie będzie. Może im się to spodoba. Mnie się wydawało, że to fajne. Słuchaj, dziś wieczorem zamierzam ci wszystko powiedzieć. Natychmiast. Ale potem będziesz musiała odejść.

- Odejść? Zwariowałaś? Nie, mogę ci pomóc. Jesteśmy przyjaciółmi. Napiła się burbona i odstawiła butelkę na stolik nocny. - Nie możesz na mnie wszystkiego zrzucić, a potem tak po prostu kazać mi odejść.

- Colleen, jestem twoim przyjacielem. - Potrząsnął głową. - Nie, byłem twoim przyjacielem. Cass się z tobą przyjaźnił, ale Cass nie żyje. Ja już nie jestem Cassem. Nie do końca. Jestem kimś, a raczej czymś innym.

- Ale Cass...

- Cass nie żyje! - Zeskoczył z łóżka. Nagle oczy rozbłysły mu czerwienią, tryskając iskrami. Niebiesko - czerwone wargi rozsunęły się, ukazując kły. Język oblizał ostre czubki. Jego ręce zwinęły się, zamieniając w długie, blade szpony. Stłumiła krzyk i próbowała wysunąć z zasięgu jego uścisku, ale przycisnęła się tylko do zagłówek. Nagle wszystko zniknęło, czerwone oczy, szpony. Nagle przed nią znów stał Cass. Tylko że z jego ust nadal wystawały białe kły. - Cass nie żyje - powtórzył.

- Ale...

- Nie, posłuchaj mnie. Wszystko zdarzyło się tego wieczoru, gdy byliśmy w Jaskini Rimbauda. A raczej gdy już stamtąd wyszliśmy. Chyba na jakimś cmentarzu. Widzisz, nie jestem nawet tego pewien, wszystko mi się teraz zamazuje. Każdego wieczoru pamiętam coraz mniej. Próbuję pamiętać ale wszystko niknie we mgle. Niekiedy nie pamiętam nawet twojej twarzy. Spędzam tutaj każdą noc, na podwórzu, gapiąc się w okno i próbując się jakoś trzymać, ale wspomnienia mi się wyślizgują. - Siegnęła ku niemu, ale odsunął się. - Śledziłem cię. Nie każdej nocy, ale w niektóre wieczory czekałem

naprzeciwko twojego biura. Czekam, aż wyjdiesz. Czasami, kiedy zostajesz do późna, wślizguję się do budynku.

- Jak dziś wieczorem - stwierdziła, wciąż nerwowo wbijając palce w dżinsy. - Dlaczego?

- Dlaczego? Widziałaś, prawie coś ci się stało.

- Ale, Cass, skąd ty mogłeś o tym wiedzieć?

- Nie wiedziałem, po prostu zgadłem. Chciałem cię bronić przed tym, co teraz czyha na ulicach. - Odwrócił ku niej twarz. - Oni tu są, Colleen. W tej chwili. Całe dziesiątki. Każdej nocy ich przybywa. Oni są bardzo źli. - Złapał butelkę burbona z jej stolika. - Powiem ci to, co sam wiem, a raczej co jeszcze pamiętam. - Podał jej burbona. - Napij się, będziesz tego potrzebować.

*

Wielu ludzi musiało się napić.

Tego wieczoru wino i lepkie, słodkie likiery były częściej zamawiane w Jaskini Rimbauda niż aromatyzowana kawa. Wszyscy od paru dni chodzili zdenerwowani. Skupiali się przy stoliczkach i na używanych sofach, angażując w rozmowy. Sprawdzali, kogo nie widziano od paru dni, a kto nie pokazywał się od tygodnia w pracy. Za każdym razem, gdy otwierały się drzwi i do środka wpadał zimny podmuch jesiennego powietrza, niosąc ze sobą wyziewy z rur wydechowych, wszyscy podnosili podejrzliwy wzrok znad swoich napojów. Wyglądało na to, że tłum, odziany w czarną satynę i koronki nagle zwierzał szeregi, zaczynając zastanawiać się, czy aby przypadkiem coś zbyt realnego nie zamierzało zakraść się nocą do środka.

Napoje za półtora dolara i specjalna piątkowa oferta piwa za siedemdziesiąt pięć centów cieszyły się taką popularnością, że barmani w Mrocznych Echach ledwo zdążyli je nalewać, zwłaszcza oszołomionym, młodym chłopakom, którzy pędzili do swoich stolików, by postawić szklanki niczym ofiary świątynne przed nieprawdopodobnie pięknymi, bladymi dziewczynami, które bawiły się drinkami, ale nie zamierzały żadnego wypić. Zamiast tego wysyłały szczupłych, odzianych w skóry i napalonych mężczyzn z powrotem do baru, by kupili jeszcze jednego, albowiem wcześniej dziewczyny o oczach zbyt ciemnych, by były prawdziwe, obiecały, że na tylnym siedzeniu bonneville, gdzieś w zacisznej alejce, zapewnią

im taką rozkosz, że nie mogli się im oprzeć nawet najbardziej seksualnie niezdecydowani goci z Mrocznych Ech.

Knajpy po obu stronach Division Street z wystrojem z metalu, szkła i witraży oraz puby w odremontowanych magazynach, a także punkty w galeriach na River North zbijały ciężkie pieniądze na margeritach, wódkach z sokiem i obrzydliwych porterach, których zwykle nikt nie chciał pić, ale za to jakże trendy było je zamówić. Te same sekretarki, ubrane jak wiceprezesi, i ci sami menedżerowie niższego szczebla, którzy wcześniej ustępowali rozpędzonym Colleen i Cassowi miejsca na chodniku, teraz przepychali się w kolejkach do toalety i bezskutecznie próbowali zabłysnąć na parkiecie. Niektórzy, a raczej zbyt wielu spośród nich, pociło się niewytłumaczalnie i wilgotniało pod kolorowymi bokserkami Jockey i satynowymi majtkami Victoria Secret, robiąc maślane oczy, które mówiły: „Voulez vous coucher avec moi, ce soir” nieznajomym, którzy wpadali i wypadali z tłumu, świecąc chłodną, bladą skórą i stworzonymi do pocałunków czerwonymi ustami. Ich perwersyjne i obiecujące uśmiechy zapowiadały znacznie lepsze rozrywki niż te oferowane przez modne bary i nadmiar margerity.

W południowej dzielnicy przy kuchennym stole siedział Jeff Stancheck i pił nabierające temperatury piwo. Nie zwracał uwagi na stłumioną muzykę, która rozbrzmiewała zza zamkniętych drzwi pokoju Jacks. Siedziała dziś wieczorem z dwójką swoich przyjaciół, Rachel i jej bratem Rorem, który według Jeffa zawsze wyglądał nieco dziwnie, zwłaszcza ostatnio, gdy zafarbował sobie te cholerne włosy i nałożył czarną kurtkę na ubranie, którego nie powstydziliby się drag queen. Ale w końcu wszystkie dzieciaki teraz tak się ubierały. Jeff uśmiechnął się do siebie, gdy opornie wypłynęły wspomnienia o tym, jak sam wyglądał w wieku siedemnastu lat, z przylizaną grzywką, w bluzie z podwiniętymi rękawami i cyrkowo podartych džinsach oraz obcisłej koszulce z Molly Hatchet. Jeff otworzył szóste piwo i osuszył je. Wtedy usłyszał, jak muzyka w pokoju Jacks cichnie, drzwi jej pokoju otwierają się i zamykają. W kierunku kuchni zbliżały się kroki. Poczuł się jak hipokryta, siedząc z piwem w ręku i w towarzystwie pięciu pustych butelek na stole, podczas gdy sam jej przypominał o braku pozwolenia na imprezy w ciągu weekendu i nakazie poinformowania telefonicznego w wypadku, gdyby wychodziła gdziekolwiek indziej niż do Rachel, a także o zakazie

jazdy pod wpływem alkoholu. Kiedy wyszła, odkapslował siódmego budweisera, strasznie zdenerwowany, że jeszcze nie poczuł szumu w głowie. Dziś go bardzo potrzebował, by stłumić swój gniew na Blair, „Charade”, Whitestar i całą tę cholerną pracę. Siedział w samotności w kuchni, kiwając się nad butelkami z piwem i zastanawiając, czy w ogóle jeszcze miał pracę.

Blair Armstrong stała przed szafą i przymierzała czarny przejrzysty stanik. Podciągała go z jednej strony i opuszczała z drugiej, marszcząc brwi na widok odbicia w lustrze. Wtem zdarła z siebie skąpy łaśzek. Złapała butelkę schłodzonego francuskiego chablis z komody i chciała nalać sobie kieliszek, ale zamiast tego pociągnęła łyk wprost z zielonej butelki. W końcu odstawiła na wpół opróżnioną. Wino rozgrzało ją od środka, ale już wcześniej miała rumieńce. Zerknęła na zegarek na stoliku nocnym, który wskazywał pomarańczowymi cyframi 21.15. Spóźni się. Miała się pojawić o 22.00. Powiedział jej zeszłego wieczoru, by zjawiała się punktualnie o 22.00, choć nie widziała, by poruszył ustami, ani nie usłyszała jego głosu. Tylko w głowie odbijało się niewyraźne echo. Mimo to rozkaz brzmiał srogo i władczo. Ponownie otworzyła szufladę komody i zaczęła grzebać w stosach poskręcanej bielizny. W końcu wyciągnęła czarny jak opal biustonosz push - up i nałożyła go na siebie. Sięgnęła za plecy, by go zapiąć. Ponownie zerknęła w lustro i znów zmarszczyła brwi. Sztywne, satynowe miseczki stanika ledwo zakrywały niebieskie ślady na jej piersiach. Przesunęła świeżo pomalowanym paznokciem po czerwonej rance, błyszczącej w środku sińca. Natychmiast ze świstem zaczerpnęła tchu. Aż ścisnęła nogi, obezwładniona dziwnie grzesznym pożądaniem. Puls przyspieszył jej od myśli o wyczekiwanej przyjemności. Jednocześnie czysta groza sprawiła, że trzęsły jej się palce, gdy sięgała po sukienkę.

Roberta Whitehead oparła się o zimną szybę swojego apartamentu na dwudziestym siódmym piętrze. Przyjrzała się panoramie miasta, gdy na zachodnim horyzoncie, pociętym czarnymi sylwetkami wieżowców, kominów i anten, znikwały ostatnie ślady purpury. Szkło chłodziło. Mocniej owinęła się zarzuconym na nagie ciało jedwabnym kimonem. Marmurowa podłoga także ziębiła. Stopy wsunęła w wyściełane futerkiem satynowe kapcie. Zadrzała, a w głowie kręciło jej się z zazdrości i z powodu znacznie bardziej przerażających myśli o paktach z diabłem. Wtem usłużna dłoń

poklepała ją po ramieniu, a kobieta odwróciła się od okna i podeszła tanecznym, lecz pijanym krokiem do wyściełanego dywanem kącika konwersacyjnego, gdzie kolejna zabawka na jedną noc podała jej podwójną whisky z lodem i ułożyła na plecach na skórzanej, czarnej kanapie, by następnie zanurzyć twarz między nogi królowej Whitestar. Długi dzień, spędzony w dziale kontroli produkcji, przedłużył się przez tę pracę po godzinach.

Frank Hoelevich odwiesił słuchawkę po rozmowie z Libbie - przypomniała mu, że opłata po 21.00 była znacznie niższa - i wrócił na fotel przy głównym oknie. Sox obserwował, jak jego pan siada w ciemnościach. Potem położył pysk na łapach. Nie spał, po prostu dziwił się i denerwował. Od paru wieczorów Frank zasiadał do Crown Royal i obserwował zza żaluzji budynek kina naprzeciwko. Wielki znak na markizie świecił się już czerwono, na wysokości okna piętra Hoelevichów, rzucając na ścianę salonu upiornie szkarłatny, odwrócony napis „Gothique”.

Ojciec Gil Silverez zmył talerz i kamionkowy kubek po obiedzie, zarzucił płaszcz na ramiona i wyszedł z plebanii, starannie sprawdzając dwa razy, czy zamknął wszystkie okna i drzwi. Przebiegł przez przykościelny parking, ogrodzony płotem z siatki, i wpadł do kościoła, w którym panował półmrok. Wnętrze oświetlały tylko światła przy ołtarzu i świece wotywny, nadając sklepieniu pomieszczeniu niesamowity nastrój. Ksiądz westchnął z ulgą, zamknąwszy za sobą drzwi. Po raz pierwszy tej jesiennej nocy poczuł się bezpiecznie. Usiadł w pierwszej ławce od ołtarza, przy którym odprawiał niedzielne msze. Wpatrywał się w wielki krucyfiks, wiszący za ołtarzem i nawy po obu stronach kościoła, mieszczące naturalnej wielkości figury Matki Boskiej i samego świętego Alstantiusa. Zimne, kamienne postacie ożywiły się za sprawą pełgających płomyków zielonych i czerwonych świeczek wotywnych. Ojciec Silverez sięgnął do tylnej kieszeni spodni i wyciągnął małąkę żytniej wódki, którą przyniósł ze sobą z wędrówek po parafii. Zakupił ją w dyskoncie z alkoholami na Ashland Avenue. Kupując, zacisnął kołnierz płaszcza wokół szyi, ukrywając koloratkę, ale dziewczyna za ladą i tak rozpoznała go, tak samo jak i on ją. Złamał plombę i odkręcił plastikową zakrętkę. Skrzywił się, gdy najtańsza wódka spaliła mu gardło. Szkoda, że nie mogła spalić obrazu w jego umyśle, ponurej wizji bibliotekarki Marian, wiszącej głową do dołu w łazience

fili biblioteki, rozebranej do naga i przywiązanej do rury. Jej blada skóra nosiła ślady ran, rozdarć i nadal ociekających krwią nakłuc. Książ ponownie uniósł do ust butelkę, ale w rezultacie zastąpił obraz zwłok Marian widokiem twarzy młodej detektyw Shepherd, która odwiozła go do domu. Wydawała mu się miła, tak samo jak i Marian, ale gdy wysiadał z nieoznakowanego sedana, mocno ścisnęła go za rękę, spojrzała mu głęboko w oczy i powiedziała, by zapomniał wszystko, co zobaczył tej nocy, bo tak będzie lepiej. Ale Gil Silverz nie mógł o tym zapomnieć. Łyknął ponownie wódki i osunął się na klęczki. Gil zaczął się modlić, pociągając z butelki po każdym paciorku różańca.

Gdzieś wśród pędzących i trąbiących samochodów, które tej piątkowej nocy przejeżdżały ulicą obok kościoła Świętego Alstantiusa, Joey Fortuna postukiwał palcami o deskę rozdzielczą mercedesa do wtóru grzmiącego miksu dance, dobywającego się z odtwarzacza CD. Przerwał w pół utworu, by wyjąć kolejną puszkę zimnego lite'a z sześciopaku, leżącego obok niego na przednim siedzeniu, a potem wrzucił kierunkowskaz i skręcił w lewo w Damen Avenue. Nawet z oddali dwóch przecznic od Gothique widział czerwony neon na markizie. Przebiegł go zimny dreszcz. Jedną ręką otworzył piwo, czując, jak ponownie na karku jeżą mu się włosy. Wewnętrzny głos wrzeszczał mu w uszach: „Uciekaj!”. Ostatnio ten głos odzywał się coraz częściej. „Bierz te pieprzone pieniądze i samochód i uciekaj!”.

Ale głos umilkł, gdy Joey zaparkował przy krawężniku parę kroków od kina i ujrzał, jak trzech z nich kręci się przy drzwiach z czarnego szkła. Białe twarze cofnęły się szybko w cień, gdy światła reflektorów mercedesa omiotły ich postacie. Wystarczył sam wygląd tych monstrów, by oprócz jednego, wewnętrznego głosu pojawił się inny, szepcząc opowieści o torturach, śmierci i jeszcze straszniejszych rzeczach, które czekały niewdzięczników.

Pozostało mu się tylko trząść.

Joey odnalazł Marka i Drake'a. Stali pośrodku pustego parkietu, oglądając kompletnie odremontowane wnętrza.

- Joseph, moje wyrazy uznania - powiedział Marek, wskazując klub. Jego głos odbijał się echem w wielkim pustym pomieszczeniu. - Naprawdę nieźle... ich pogoniłeś. Tak to się mówi?

Drake prychnął.

- Raczej spuścił im manto. Słyszałem, że miałeś jeszcze jakieś kłopoty z elektrykami związkowcami.

Joey położył na barze aktówkę i otworzył ją, zwalniając zatrzaskowe zamki.

- Już się tym zająłem. - Wszedł za bar i nalał sobie whisky. Bar był już prawie skończony. Wzdłuż ściany stały szeregiem kolorowe butelki, czujne, niczym gotowi do ataku żołnierze. Brakowało jedynie beczek z piwem i butelek wina, które czekały, by je podwiesić do zwisających rur od nalewaków.

- Mam dla ciebie papiery do podpisania, Marek. Odebrałem je dzisiaj z działu prawnego Whitestar.

- Tak, Josephie. Ale najpierw chciałeś się napić?

Joey zamarł za barem, trzymając szklanek dwa centymetry od ust. Znowu uprawiali jakieś czytanie w myślach, jakieś zniewalanie, trzymali się jakiejś popieprzonej etykiety umarłaków. Joey drgnął i łyknął whisky.

- Bardzo dobrze, Josephie - rzekł Marek, uśmiechając się do niego. - Cóż, napiłeś się, a teraz przynieś mi papiery.

Marek podpisał dokumenty, nawet nie patrząc na nie, gdy Joey wykladał znaczenie każdego kontraktu, starannie zapamiętywane podczas długich spotkań, odbytych w ciągu całego dnia. Ale ten go zignorował i obrócił się w stronę Drake'a.

- Mówiłeś, że byłeś dziś osobiście u Roberty? Jakiś problem? Sądziłem, że masz na tyle rozumu, by się tam nie kręcić, Drake.

- Cóż, było tak, jak ci powiedziałem - rzekł Drake, a jego głos zdradził coś więcej niż tylko zwykłe zaangażowanie. - Ta mała ciepłokrwista dziwka od Arianne... cóż... to ona wywołała problemy. Prawdziwe kłopoty. Ale już się tym zająłem. - Rzucił okiem na Joeya. - Widzisz, chodziło o to, żeby dopaść jakąś laskę, której nie lubiła. A teraz, Marku, mam dla ciebie najlepsze. Ta laska to Colleen Russell. Russell. Czyli sama pieprzona siostrzyczka Megan Russell. - Tym razem uśmiechnął się pogardliwie w stronę szofera. - Dla niezorientowanej publiczności, to ta pani, której nasz stary kolega, Nicky Kolitzky, pomógł sfrunąć z dachu wieżowca Hancock. Pamiętasz naszego starego Nicky'ego? - Pogardliwy uśmiech Drake'a stał się szeroki i drwiący, ukazując białe kły. - Och, oczywiście, że pamiętasz, skoro sam zatopiłeś go wraz z jego paskudnym samochodem w ściekach.

Joey zabrał podpisane umowy i poszedł spiesznie do baru. Obydwa wampiry obserwowały go uważnie, gdy nalewał sobie kolejną whisky.

- To co z tym zrobimy, Marku? - Głos Drake'a znów stał się nerwowy. - Megan Russell miała siostrę, która teraz pracuje w „Charade”. Może wiedzieć wszystko o...

Marek uciszył go jednym spojrzeniem, a potem się uśmiechnął.

- Sądzisz, że naprawdę nie wiem wszystkiego o młodszej siostrze panny Russell? - Poklepał Drake'a po ramieniu. - Nie jesteś moim jedynym źródłem informacji wraz z naszym młodym gangsterem zza baru. Nie, nie obrażaj się. Drake, jesteś dla mnie niezwykle ważny, ale ja potrzebuję wielu... asystentów. Tak, cały czas wiedziałem, że nasza przedsiębiorcza redaktor naczelna miała młodszą siostrę. Byłem w pełni gotów do jej użycia, by przekonać pannę Russell o - ujmijmy to w ten sposób - konsekwencjach próby ujawnienia szerszej publiczności informacji na nasz temat. A raczej, domniemanych informacji, skoro pan Kolitzky całkowicie skomplikował tę jakże prostą operację. Ale, jak to słusznie zauważyłeś, nasz poprzedni „dzienny zmiennik”, a były wspólnik pana Fortuny, okazał się zbyt gorliwy i... oto znaleźliśmy się w takiej sytuacji. - Objął Drake'a, prowadząc go do baru. Stanęli obaj naprzeciw Joeya, który zajmował się trzecią whisky. - Nie - ciągnął. - W każdej chwili możemy się zająć siostrzyczką Megan Russell. Najbardziej jednakże obchodzi mnie ten inny, który interweniował. Nie podoba mi się wzmianka o renegatach. Ale Fonda jest zawsze bardzo niedoświadczony, jeśli chodzi o kochanków. Chyba nie powinienem być zdumiony. Muszę z nim porozmawiać. - Nawet Drake zadrżał, gdy Marek to powiedział. - Dlatego zakładam, że dokładnie przesłuchałeś tego denerwującego damskiego pasożyta?

Drake przytaknął.

- Nieźle się wkurzyłem. Powinienem wiedzieć, że masz na tyle rozumu, by wiedzieć o siostrze tej suki. Ale pomyślałem, że lepiej się zabezpieczyć, niż później żałować.

- Tak. - Marek uśmiechnął się. - Tak, całkiem mi to odpowiada. Należy podenerwować trochę Arianne. - Zauważył, że Drake nagle patrzy na niego z z troskaniem. - Nie martw się, będę interweniował. - Drzwi wejściowe otworzyły się. Wszyscy spojrzeli, słysząc stukot obcasów w korytarzu wejściowym. - Cóż - stwierdził, splatając ręce -

zdaje się, że skończyliście już obaj obowiązki na ten wieczór? Sama praca, żadnej rozrywki, jaka szkoda. Ale poproszę was jeszcze o jedną przysługę. Czy moglibyście wraz z Josephem przeprowadzić jeszcze jedną rozmowę z pupilką Arianne. Jak mówiłeś, Drake, lepiej się zabezpieczyć, niż później żałować. - Powiedziawszy to, odwrócił się, dając mi znać, że mogą odejść.

Joey wypił do dna swój napój i poszedł za Drakem ku tylnym drzwiom dla personelu. Zadrżał, zdając sobie sprawę, że kierują się ku niższemu poziomom Gothique. Przystanął w drzwiach i odwrócił się, by zaczerpnąć ostatni łyk czystego powietrza.

W tym momencie Joey ujrzał, jak z korytarza wychodzi Blair Armstrong, ubrana jak spod igły. Kobieta stanęła, zdenerwowana, na skraju pustego parkietu. W ciemnościach zabrzmiał niewypowiedziany rozkaz i Blair wpadła wprost w wyciągnięte ramiona Marka.

*

- O co chodzi, Fortuna? - Drake czekał, aż Joey poradzi sobie z wielkim kółkiem z kluczami przed drzwiami do piwnicy. - Myślałem, że ci się spodoba. Jedna ciepłokrwista suka mniej. Nikt ci nie będzie włączyć w paradę. To cię czyni pewnego rodzaju szefem tutejszych ludzi, wiesz? - Zamek zaskoczył i Joey otworzył drzwi. - Jakby to się w ogóle liczyło, co?

Drake prześliznął się obok niego. Fortuna podążył za nim i zapalił światła. Anemiczny blask żarówki nad głowami rozświetlił pomieszczenie i natychmiast każda z postaci na żelaznych pryczach zaczęła jęczeć zza knebli z brudnych szmat, umocowanych na ustach samoprzylepną taśmą, szarpiąc kajdankami, przypiętymi do prętów. Oczywiście, każda, która jeszcze miała na to siłę. Pozostali tylko jęczeli i leżeli bezsilnie.

Tej nocy połowa prycz była zajęta przez „gości”.

Dwa łóżka, które parę tygodni temu gościły Brandona i Fitcha, były puste.

Fitch nie dotrwał nawet do drugiej nocy.

Brandon z kolei był szczęśliwy wśród swoich nowych przyjaciół.

- Dalejże, sprytny chłopczyku, pogadajmy z panią lesbą. - Drake usiadł na pryczy i dźgnął Gabrielle w żebra.

- Jezu Chryste, Dra...

- Uważaj! - warknął Drake, a jego czarne oczy natychmiast zapłonęły gorącą czerwienią. - Gadaj to swojej mamie w niedzielę rano, zrozumiano?

Joey zamknął się. Widok Gabrielle, przykutej do pryczy z żelaza był wystarczającym powodem, by zamilknąć. Dziewczyna szarpała się bez skutku w policyjnych kajdankach. Brudna prycza skrzypiała i kołysała się w rytm jej ruchów. Wyglądała strasznie. Miała podartą sukienkę, odsłaniającą granatowe sińce, biegnące wzdłuż ramion. Zupełnie inaczej czuł się, gdy przykuwał nieznajomych do tych prycz. Do cholery, większość z nich to i tak narkomani i dziwki. Ale Gabrielle... Ktoś, kogo znał... Nawet mimo tego, że nienawidził tej lesby...

- Co robisz, Drake? - Joey w końcu ruszył z progu i wśliznął się między prycze. - To... Ona... Arianne.

- Co Arianne? Słyszałeś Marka? - Drake znów dźgnął Gabrielle między żebra i roześmiał się, gdy próbowała odpełznąć z dala od niego na materacu. Powiodł długim palcem, zakończonym brudnym paznokciem, po rozdarciach w jej sukience, łaskocząc sińce, które barwiły jej skórę. Gabrielle piszczała mimo knebla i próbowała jak najdalej się od niego odsunąć, ale bez skutku.

- Och, Gabi, skarbie, daj spokój. Jeśli naprawdę pozwolimy sobie na intymność, to na pewno nie będziesz już się wtedy czuła urażona.

Joey nie był w stanie się ruszyć. Stał o trzy prycze dalej i po prostu się gapił. Jeszcze nigdy kabura z pistoletem w środku, którą przypiął pod kurtką, nie wydawała się tak bezużyteczna.

Drake pochylił się nad pryczą i wyciągnął brudne szmaty, zatykające usta Gabrielle. Dziewczyna łapała powietrze i kaszłała. Na jej brudnej twarzy tusz rozmazywał się na siniakach i startej szmince. Górna warga spuchła jej i wyglądała jak parówka.

- Joey, człowieku - dyszała - Joey! Mu... Musisz mnie stąd wydostać. Ja nic nie zrobiłam! Ja tylko... Joey, błagam. Proszę!

Ale on stał w ciszy i patrzył. Nie musiał się wysilać, by sobie wyobrazić siebie przykutego do jednej z tych prycz. Nie wiedział, czy to Drake używał jakiejś swojej czarnoksiężskiej hipnotyzerskiej sztuczki wudu, by człowiek to sobie wizualizował, czy też sprawił to jego własny, lodowaty strach.

- Drake... Joey... Musisz sprowadzić Arianne. Ona... Ona mi pomoże. - Szeroko otwarte podbite oczy dziewczyny mknęły

szaleńczo od jednego do drugiego. Nie dostała żadnej odpowiedzi. Joey promieniował cichą, rozdygotaną grozą... Drake emanował czymś znacznie gorszym.

- Drake, o co tu, do kurwy nędzy, chodzi? - mówiła, płacząc. - Co ja zrobiłam? Czemu...

- Ciepłokrwista kobietko, spieprzyłaś wszystko. I to strasznie. - Drake pochylił się i polizał zimnym językiem siniak na jej piersiach.

- Skąd mogłam wiedzieć, że szukacie Colleen Russell? I co wy zresztą od niej chcecie?

- Musimy się od niej czegoś dowiedzieć, ciepłokrwista.

- To skąd ja miałam o tym wiedzieć?

- Nie mogłaś wiedzieć. - Drake zachichotał, a jego kły błysnęły w bladym świetle nagiej żarówki. - Życie jest popieprzone, prawda?

Wtem zasłonił ustami kły. Podniósł zakończoną szponami rękę. W ciemnym pomieszczeniu rozległy się ciosy.

Joey stał i czekał, aż Drake skończy. A trwało to dobrą chwilę. Drake był dobry w tym, co robił, a ponadto lubił to robić. Fortuna stał tylko w miejscu i kulił się, aż w końcu usłyszał ostatni błagalny krzyk Gabrielle: „Joey, błaaagaaam!”, zanim Drake ponownie nie wetknął brudnego knebla w jej usta i nie zawiązał go mocno wokół jej głowy.

Wampir zeskoczył z pryczy, rozejrzał się po pomieszczeniu i oblizwał usta, rozciągnięte w szerokim uśmiechu.

- Nie spieszysz się nigdzie, Fortuna, prawda? - Joey tylko potrząsnął głową. - To dobrze. - Podeszedł do kolejnej pryczy, gdzie leżała wciąż do połowy rozebrana Ivy, jęcząc i szarpiąc się w koszmarze. Drake wtulił się w nią i położył głowę przy jej gardle. Joey odwrócił wzrok od Drake'a, Ivy, Gabrielle i reszty bladych, szlochających i wijących się postaci na pryczach, ale nawet gdy zatkał uszy rękami, wciąż słyszał mokre, mlaszczące odgłosy ssania.

W końcu Drake usiadł i wytarł usta do czysta w rękaw. Wyprowadził Joeya z piwnicy i wyłączył światło, zostawiając Gabrielle i pozostałych w ciemnościach, by szarpali się w kajdankach, wili na pryczach i piszczeli przez zalepione taśmą i zakneblowane usta.

Drzwi piwnicy zamknęły się z hukiem. Rygle wskoczyły z trzaskiem na miejsce.

- Chyba czas zakończyć noc, co, Fortuna? - Drake walnął Joeya po plecach i pchnął go po schodach do góry. - Jejku, chyba ci się przyda jakiś drink.

*

Cass stał przy oknie... swoim oknie... a raczej przy swoim byłym oknie. Od kilku godzin mówił non stop, a Colleen nie przerwała mu ani razu. Dziewczyna siedziała na łóżku i popijała burbona, aż w końcu opróżniła butelkę.

Cass stał przy oknie, aż w końcu zauważył znaczący, fioletowy blask, który barwił wschodni nieboskłon nad jeziorem Michigan i podświetlał mgłę, wirującą na podwórzu i na Chase Avenue.

- I to by było na tyle, Colleen. Wiem, że coś się szykuje. Gdy to miejsce zostanie otwarte, rozpęta się piekło. Ilu jeszcze umrze? Oni ścigają cię z jakiegoś powodu. Dlatego musisz...

Odwrócił się, gdy usłyszał, jak po drewnianej podłodze turla się butelka.

Colleen leżała, rozciągnięta na jego łóżku, a raczej na łóżku kogoś, kto kiedyś był Cassem.

Spała, a raczej spiła się i zasnęła. Wystarczyła połowa butelki burbona. wyrzwał jeszcze raz przez okno. Uniósł ją z łóżka i poniósł w ramionach, zupełnie jakby była niemowlakiem, do jej pokoju.

Skrzywił się, gdy kładł Colleen do łóżka. Zagryzł usta.

Jej zapach.

Ta woń...

Jedwabista skóra i miękkie ciało, bicie serca i pulsujące czerwone ciepło w tysiącu żył i milionach naczyń krwionośnych, które krzyczały wprost do jego uszu, uderzały zapachem i głaskały czubki palców. Czuł, jak palą go oczy. Wiedział, że palają teraz czerwienią. Czuł, jak pragnienie skręca mu wnętrzości, kłuje w język i wargi, rozdziera bólem dziąsła i dźga od środka zęby...

Padł na kolana.

Pochylił się nad łóżkiem i nad Colleen.

Ujrzał, jak zimna para dobywa mu się z ust i osiada niczym cmentarna mgła na jej twarzy. Sięgnął...

Przekręciła się na bok i wtuliła w poduszkę. Wymamrotała coś i pograżyła się w pijackim śnie, pochrapując od czasu do czasu.

Szarpnął głowę i odsunął się od niej.

Padł na podłogę i odpełznął, aż uderzył w ścianę, a potem wybiegł z pokoju Colleen.

Uciekł do swojej sypialni. Zatrzymał się przy oknie i zaczął okładać po twarzy i klatce piersiowej, aż pragnienie opuściło jego zimne ciało, a głód przestał mrozić bólem każdą zimną, martwą komórkę. Tylko że cierpienie się nie skończyło. Nie opuszczało go i wiedział, że już nigdy, przenigdy się nie skończy, dokładnie tak, jak sobie wcześniej wyobrażał. Tak jak tego chciał.

Dopóki nie odkrył, jak to naprawdę jest.

Co za męka.

Wyjrzał przez okno i ujrzał, jak fioletowa mgła rozjaśnia się coraz bardziej. Opary znad jeziora rozwiewały się na podwórzu.

Oni byli wszędzie. Wciąż przebiegali przez ciemne aleje, przemykali przez puste parkingi i chowali się w przejściach między domami. Wracali ku staremu kinu na Damen, niczym wilki wracające do leża po polowaniu albo szczury nurkujące w norach.

Wędrowali przez całą noc.

I tak jak on, byli spragnieni. Bardzo spragnieni.

Wszyscy musieli się napić.

Zasunął ciasno zasłony.

Rozdział dwudziesty piąty

- Ręce do góry, tato.

Jeff Stancheck podniósł wzrok znad koła czerwonego trans ama, kiedy Jacks podawała mu plastikową butlę Armor - All. Chwycił ją zgrabnie i ponownie zajął się przednią oponą.

- Skończyłaś z tamtej strony?

- Perfekcyjnie, tato. - Zarzuciła szmatę na ramię i zdmuchnęła kosmyk mokrych włosów z czoła. - Chyba nie zamierzasz mnie tym razem sprawdzać?

Uśmiechnął się i opryskał bok przedniej opony, uważając, by strumień nie dotknął felg i skraju świeżo wymytej i nawoskowanej karoserii.

- Tato, czy ktokolwiek ci powiedział, że utrzymujesz ten samochód...

- W czystości?

- W zasadzie miałam na myśli obsesyjnie neurotyczny stan nieskazitelności. Ale chyba można użyć tu słowa „czystość”.

Jeff pryskał winylową pianką na przednią oponę, aż guma zaczęła błyszczeć, jakby dopiero co opuściła fabrykę.

- Aha. Prawo jazdy stanu Illinois sprawia, że zwracasz na to nieco większą uwagę, prawda? Wydaje mi się, że zaczynasz współpracować w myciu jej, odkąd zdałaś egzamin.

Jacks przeszła na jego stronę samochodu i zaczęła podnosić porzucone gąbki, szczotki i ręczniki.

- Jej? Tato, mówisz o naszym samochodzie „ona”? - Wylała kubeł do studzienki w alejce. - Uważasz, że to całkowicie normalne?

Przesunął się ku tylnej oponie, wciąż uśmiechając się pod nosem.

- A kiedy dokładnie to stał się „nasz” samochód?

Jacks zignorowała to pytanie i wniosła wiadro i szmaty do garażu. Magnetofon na ławce huczał znajomymi rockowymi nutami, a dziewczynka odkładała każdy przedmiot dokładnie tam, gdzie trzymał je Jeff. Wiedziała, że położenie szmatki albo szczotki do kół w niewłaściwym miejscu było nie do pomyślenia, tak jak niezamknięcie na noc frontowych drzwi.

- Cóż, dziś wieczorem to „nasz” samochód - zawołała z garażu. Jacks zwiększyła głośność radia, gdy przebrzmiewały ostatnie takty piosenki Van Halen. - Dziś wieczorem, pamiętasz? Zabieram „ją” ze sobą. I nie muszę wracać o jedenastej?

- Nie musisz.
- To fajnie. - Jej słowa pobrzmiwały czymś więcej niż tylko westchnieniem ulgi. - I kończąc na tym, idę pod prysznic, trenerze.
- Hej, myślałem, że wypastujesz jeszcze skórzane siedzenia!
- Tato, to obsesja, czemu sam nie wyczyścisz? - Jacks stanęła pośrodku garażu, kładąc dłonie na chudych biodrach. - Słuchaj, dochodzi czwarta. Sądź, że spotkam się z tą detektyw Terri Shepherd w takim stroju? - By podkreślić swoje słowa, pociągnęła za sprany podkoszulek i ogrodniczki. - A panu radzę, by podążył pan w moje ślady. Wiem, że już jest weekend, ale uważam, że nie zaszkodzi ci się ogolić.
- Zaplanowałem golenie, Jacks. W zasadzie to całkiem nieźle radzę sobie czasem ze sprzątaniem. Mogę się chyba nawet pochwalić.
- Pewnie nie założysz tej nowej koszuli, którą kupiłam ci w zeszły weekend w centrum handlowym?
- Pewnie nie masz już paragonu, by móc ją zwrócić? Chyba jeszcze nie dorosłem do jedwabnych koszul bez kołnierzyków.
- Fajosko w niej wyglądałaś. Słyszałam, że gliny bardzo lubią jedwabne koszule.
- Słyszałem, że detektywi policyjni nie lubią, jak się o nich mówi „gliny”. Poza tym, Jacks, ta koszula bardziej wyglądała mi na bluzkę.
- Spojrzał na nią zza zderzaka. - Sam się dziś ubiorę, dobrze?
- Aha. A co to będzie? Biała, zapinana od góry do dołu, czy też ta bladobłękitna? Och, czekaj, sobotnia randka. Koszulka polo, prawda?
- Coś mówiłaś o prysznicu? Idź lepiej, Jacks. Siedzeniami zajmiemy się jutro.
- Och, wspaniale. Przynajmniej mam na co czekać. - Skierowała się ku tylnym drzwiom na podwórku. - Rozpalę grilla po drodze. Sprawdź go za piętnaście minut, tato, ani minuty później.
- Pewnie, skarbie.
- Obiecujesz?
- Idź już!

Uśmiechnął się ponownie, gdy zniknęła na malutkim podwórku za małym domkiem. Skończył konserwować tylną oponę i zaczął czyścić szyby. Późnopołudniowe słońce już zanurzało się za klony, które rosły nad drucianym płotem ogradzającym tylne podwórko. Podczas gdy wraz z Jacks mył samochód, słońce rozgrzało w ciągu dnia alejkę, co chroniło ich przed podmuchami chłodnego powietrza.

Na parę godzin zatopił się w bezmyślnym szorowaniu, polerowaniu i czyszczeniu detali samochodu, radośnie pochłaniając coca - colę i słuchając radia oraz Jacks, nadającej na temat swojej klasy, nauczycieli, grupki dziewczyn, jakiejś pary i chłopaków. Nigdy nie udało mu się zapamiętać imion, ale tak naprawdę nie miało to znaczenia, bo wszystkie jej opowieści brzmiały dla niego jak muzyka. Takimi sobotnimi popołudniami cieszył się już całe lata temu, gdy Jacks paplała o innych klasach i dzieciach. O takim sobotnim popołudniu marzył w ciągu pustych lat, kiedy Elaine zabrała Jacks do Encino.

Gdyby nie pozostałości kaca po budweiserach z zeszłej nocy, wypitych przy kuchennym stole, zupełnie zapomniałby o biurze, ultimatum, Blair i „Charade”.

Kiedy skończył myć szyby, odpalił trans arna i uśmiechnął się jak zwykle, gdy chromowane podwójne rury wydechowe ryknęły, aż zawibrowało jego siedzenie. Cofnął samochód do garażu w budynku, takiego samego jak te w pozostałych domach wzdłuż gładko wybrukowanej alejki. Siedział w środku i wdychał zmieszane zapachy wosku, środka do konserwacji opon, płynu do mycia szyb i spalin. W końcu z niechęcią wyłączył silnik.

- Jak w komiksie. - W otwartych drzwiach garażu pojawiła się Terri Shepherd. Trzymała ręce za plecami. Wyglądała jak z obrazka. Miała na sobie grzeczne pantofle i wygodne lewisy. Prawie tonęła w wielkim, robionym na drutach, białym swetrze. Zachodzące słońce rzucało refleksy na jej elfie włosy i twarz, rozświetlając uśmiech. - Przynoszę dary. - Wyciągnęła ręce zza pleców i podała mu dwa sześciopaki importowanego piwa. - Wiem, że jak się jest zaproszonym na obiad, to należy przynieść jakieś drogie wino, ale jakoś sobie pomyślałam, że wolisz piwo.

Jeff wyskoczył z samochodu, wycierając brudne ręce w jeszcze brudniejsze robocze spodnie.

- Bo wolę.
- To dobrze, bo ja też.
- Wcześniej przysłaś.
- Wiem, przepraszam.
- Nie, cieszę się, że jesteś.

Terri obeszała trans ama, rzucając samochodowi zachwycone spojrzenia.

- Chyba muszę się przyjrzeć bliżej temu stuningowanemu cacku. '79?

- Prawie trafiłaś, '78. Ostatni z prawdziwych pontiaków, pojemność sześć i pół litra, cztery cylindry, silnik V - 8. Ma dwa motory. Potem General Motors przerzuciło się na silniki nowej generacji, doszły kwestie emisji i wszystko szlag trafił.

- Dobrze, dobrze, pogubiłam się już przy czterech cylindrach. Wystarczy.

Spojrzał na swoją brudną koszulkę i spodnie.

- Ojej, przepraszam... Cały dzień pracowaliśmy z Jacks przy samochodzie i...

Uniosła dłoń, by go uciszyć.

- To ja się pojawiłam za wcześnie. A ty świetnie wyglądasz. Oczywiście, jak na brudasa.

Uśmiechnął się z zakłopotaniem.

- Zniknę na chwilę i się umyję. - Wziął jeden sześciopak od Terri i poprowadził ją na podwórko z tyłu domu. Grill już zaczął kopcić.

Terri pociągnęła nosem, gdy go mijali.

- A gdzie jest Colleen? Myślałam, że miałaś się zająć jej samochodem? Wzruszył ramionami, otwierając przed nią drzwi.

- Dobrze pytanie. Chyba się wystraszyła mojej kuchni. Zadzwoiła parę godzin temu, żeby odwołać wizytę. Tak naprawdę to zaczynałem się już martwić.

Terri szła po schodach w ślad za Jeffem. Otworzył drzwi werandy, które wiodły do kuchni, i odsunął się, by ją przepuścić.

- Witaj w domu Stanchecków. Tak właśnie sobie mieszkamy. Weszła do środka.

W tym samym momencie Jacks wyszła z łazienki w korytarzyku, owinięta niedbale ręcznikiem kąpielowym. Z długich włosów kapłała woda.

- Ojej! Hm... - Jacks wyjąkała, owijając się mocniej. - To jest... Dzień dobry. Zapewne mam przyjemność poznać Terri.

- Przepraszam! - powiedzieli jednocześnie Jeff i Terri, śmiejąc się.

- Terri, to moja córka, Jacqueline.

- Czyli Jacks. A możemy zapoznać się nieco później? - Jacks wpadła do swojego pokoju i zatrzasnęła drzwi.

- No cóż, tak jak powiedziałem wcześniej, witaj w domu Stanchecków. Terri wyjęła sześciopak z rąk Jeffa.

- Wiesz, ja wstawię piwo do lodówki, a ty weźmiesz prysznic. Co ty na to? Czy ciebie też zobaczę w ręczniku? - Zbliżyła się do niego i pocałowała go w policzek. - Hm... Niezły pomysł...

- By się ogolić. Wiem. - Uśmiechnął się i skierował do swojego pokoju. Terri wyjęła piwo dla siebie, a pozostałe włożyła do lodówki.

*

Colleen Russell stała na progu pokoju Cassa.

Stała tak już od dłuższej chwili.

Obudziła się dopiero w południe, siadając na łóżku i wołając jego imię, - ale połowa butelki taniego burbona z powrotem powaliła ją na poduszki. Przyćmiony alkoholem umysł przez chwilę podpowiadał jej, że wydarzenia zeszłego wieczoru były tylko sennym koszmarem, jednym z tych, które ostatnio coraz częściej jej się śniły.

W końcu spełzła z łóżka, ściskając w rękach pulsującą bólem głowę. Poczłapała do łazienki i pochłonęła garść supermocnych środków przeciwbólowych, jakby to były cukierki, a potem przez minutę siedziała na skraju wanny, jakby pigułki miały magicznie wymazać ból, już w momencie, gdy przeszły przez jej gardło.

Tak się nie stało.

Ból głowy nie zniknął, tak samo jak zbyt żywe wspomnienia zeszłej nocy. „Charade”, Gabrielle i te... istoty nie istniały wyłącznie w jej koszmarze.

Tak jak i Cass.

Zwlokła się z wanny z pulsującym bólem i poszła korytarzem do pokoju Cassa.

Panowały tam ciemności.

Zasłony zasunięto szczelnie, ale nawet w ciemnościach widziała go, jak leżał nieruchomo niczym trup na łóżku.

Którym zresztą był.

A przynajmniej tak jej powiedział. A po wydarzeniach zeszłej nocy nie miała powodów, by myśleć, że to nieprawda.

Przez piętnaście minut stała w progu w bezruchu. A może pół godziny? Nieważne. W końcu powoli ruszyła w głąb pokoju. Środki przeciwbólowe zaczynały działać. Stała przy łóżku, zaledwie parę centymetrów od Cassa. Wciąż leżał w pełnym ubraniu - czarnych aksamitnych spodniach, jedwabnej koszuli i czarnym płaszczu. Jego

twarz i dłonie wyglądały jak plamy bieli na tle czarnego ubrania i pościeli. Nie po raz pierwszy spał za dnia na łóżku przy zaciągniętych kotarach, z makijażem na twarzy, pomalowanymi cieniem oczami i purpurowymi od szminki ustami. Odsypiał zwykle potwornego kaca, zwinięty w ubraniu, uśmiechając się do swoich snów o ładnych chłopcach i knajpianych ploteczkach, poprzedzonych nocnymi figlami.

Ale teraz wyglądał zupełnie inaczej. Nie była to sprawka panujących ciemności. Leżał prosto i nieruchomo na plecach. Na piersiach splótł blade dłonie. Jego klatka nie unosiła się w oddechu. Wyglądał jak zwłoki w otwartej trumnie. Twarz rodem z koszmaru nie nosiła tym razem śladów makijażu.

Wyciągnęła rękę i pogłaskała go po włosach. Nawet teraz, mimo bladej twarzy, niebiesko - czerwonych ust i oczu, zapadłych w ciemnych oczodołach, nadal był piękny. W dziwny i niepokojący sposób był jeszcze piękniejszy niż wcześniej. Palce Colleen zsunęły się z jego włosów i delikatnie przesunęły po policzku.

Nagle szarpnęła ku sobie rękę.

Cass był śmiertelnie zimny.

Cofnęła się. Przez dłuższą chwilę stała pośrodku pokoju, wpatrując się w niego, drżała i oddychała nerwowo.

Potem odwróciła się i podeszła do okna. Spojrzała w tył, na Cassa, który leżał na łóżku. Popatrzyła na okno i złapała skraj zasłony, odsunawszy ją lekko. Do pokoju wpadł promień popołudniowego słońca i padł na łóżko.

I Cassa.

Dziewczyna krzyknęła i z powrotem zasłoniła okno.

Z jego ciała uniosła się śmierdząca para, przywodząca na myśl niegodziwości, śmierć i coś jeszcze gorszego, czego nie umiała nazwać. Ciało Cassa wilo się na łóżku. Mężczyzna otworzył usta, z których wyłoniły się paskudne kły. Palce zamieniły się w szpony, rozdzierając narzutę.

W końcu para rozwiała się, a Cass z powrotem legł nieruchomo.

Colleen wypadła z pokoju.

*

Jeff przyniósł kolejny talerz kotletów z grilla, stojącego na podwórku za domem. Zatrzymał się na schodach, nasłuchując

dobiegającej z kuchni rozmowy Terri z Jacks. Kobieta wybuchnęła śmiechem. Uśmiechnął się do siebie i wszedł do środka.

- To już ostatnie. Dokładka?

Terri Shepherd wytarła usta papierową serwetką.

- Nie, dziękuję, Jeff. Ale były pyszne. Naprawdę umiesz gotować.

- Kotlety z grilla, pewnie. Mogę się nawet gdzieś zatrudnić jako kuchcik. Pewnie to mnie czeka w poniedziałek.

- Wątpię - odparła Terri. - Z tego, co opowiadałeś, wygląda to na kolejną kłótnię z wielu. Nie zdziwiłabym się, gdyby to Blair Armstrong przeprosiła cię w poniedziałek.

- Mam nadzieję, że tak będzie. Mimo wszystko lepiej zacznę ćwiczyć, by mieć więcej szans na rynku pracy. Życzy sobie pani na tekturce czy w plastiku?

- Hej, „Charade” się rozwali bez króla działu artystycznego - powiedziała Jacks, wpychając sobie do ust ostatni kawałek drugiego kotleta. - Mam rację?

- Może. - Jeff podał jej talerz. - A co ty na to? Dziewczynka wypięła szklanekę napoju, odstawiła naczynie i beknęła.

- Och, przepraszam. - Wstając, zgarnęła ostatni plasterek smażonego ziemniaka z talerza, rzuciła go w powietrze jak monetę i zgrabnie złapała ustami. - Nie, dzięki, mi już wystarczy.

- Na pewno?

Jacks ogarnęła wzrokiem stół. Ziemniaki i sos były już niemal tylko wspomnieniem. Obok jej talerza znalazły się dwie puste puszki coli light. Pojemnik po sałatce z kapusty stał opróżniony do połowy. Potrząsnęła głową.

- Z całą pewnością. Jeff uśmiechnął się.

- Dwa i dla ciebie to wartość graniczna? Jacks wzruszyła ramionami.

- Pewnie tak. - Obróciła się na pięcie i wychodząc z kuchni, zapytała:

- Czy ja dziś jestem na zmywaku?

- Nie, możesz sobie iść - odpowiedział.

- Super. - Zniknęła w korytarzu. Usiadł i pociągnął łyk piwa.

- Dwa kotlety, obłożone wszystkim, co się pojawiło w zasięgu wzroku. Pół torby z frytkami rozmiar rodzinny. Większość sałatki.

Dwa napoje. A ona wciąż chuda jak tyczka. Nastolatki to prawdziwe maszyny do przerobu jedzenia.

Terri pochyliła się nad stołem i ścisnęła go za rękę.

- Jeff, jest cudowna.

- Jacks? - Skinął głową. - Wyjątkowa.

- Chyba teraz lepiej rozumiem.

- Co takiego?

- Wszystko. Wszystko, co mi opowiadałeś... o swojej byłej żonie i rozwodzie. I o tym, jak pozwoliłeś sobie zabrać córkę.

Skinął w milczeniu.

Terri odsunęła krzesło od stołu.

- Cóż, dziś wieczorem nie będziemy o tym rozmawiać. - Zabrała swój talerz i sałatkę. - Chodźmy. Zdaje się, że to nam dziś przypadł dyżur w kuchni.

Jeff poderwał się z krzesła.

- Och, nie. - Wyjął jej z rąk talerz i pojemnik i odstawił je na blat.

- Już i tak miałaś jedno złe doświadczenie z domem Stanchecków na samym początku. Nie zamierzam wystraszyć cię obowiązkami na randce.

Zbliżyła się do niego.

- Randka, tak? Rzeczywiście, to randka, prawda? - Objęła go w pasie i spojrzała mu w twarz.

- Tak. - Pochylił ku niej głowę. - Tak właśnie jest. - Ich usta zbliżyły się do siebie, prawie stykając ze sobą.

- Dobra, natychmiast przestańcie! - Do kuchni wpadła Jacks. - Żadnych pieszczot, gdy dzieci są wciąż w domu!

Jeff i Terri odskoczyli od siebie. On złapał stojącą na stole miskę po ziemniakach i kolejny talerz i odniósł je do zlewu. Ona poszła po szklankę z piwem.

- Jezu, ludzie, żartowałam. - Jacks podbiegła do zlewu i poklepała ojca po ramieniu.

Zmarszczył się, widząc jej ubranie, ale wiedział już, że lepiej się nie odzywać, nawet jeśli nie podobał mu się jej makijaż, spódnica była za krótka, a bluzka zbyt obcisła. Poza tym od stóp do głów była ubrana w czerń. Jacks znów klepnęła go po ramieniu, tym razem mocniej.

- Tak?

- Kluczyki, tato.

- Masz przecież swoje... Och, rzeczywiście. - Wyszedł z kuchni i za chwilę wrócił, dzwoniąc. Z kółka zwieszały się dwa srebrzyste kluczyki do pontiaka. - Żadnego picia, zgadza się?

Jacks uniosła dłoń, drugą kładąc na piersiach.

- Przysięgam uroczyście.

- Dotyczy to też innych. Żadnego picia w samochodzie. Koniec, kropka. Nikt nie może.

- Przysięgam na honor.

- Albo...

Jacks opuściła ręce i zaczęła naśladować sposób mówienia ojca.

- Albo szlaban na zawsze, dzieciaku - przedrzeźniała go falsetem.

- Nie tylko dopóki nie opuścisz domu i nie wyjedziesz na studia. Mam na myśli już na zawsze. Na całe życie. Nawet jak już wyjdiesz za mąż. Nawet jak już będziesz miała swoje własne dzieci. A wtedy i one dostaną szlaban.

- Dobra, dobra - powiedział i odwrócił się do Terri. - Chyba tak naprawdę się nie zachowuję? - Kobieta tylko wzruszyła ramionami, unosząc do ust szklanę. - No dobrze. Samochód i ty macie wrócić przed północą.

Rzucił jej kluczyki, a ona złapała je jedną ręką.

- Dzięki, tato. - Podskoczyła do niego i pocałowała go w policzek. - Wrócę o pierwszej. - Ruszyła za drzwi.

- O północy!

- O pierwszej, tato! - Zniknęła za drzwiami na podwórko. Buty zastukały po schodach. Drzwi otworzyły się i zamknęły z hukiem.

Stał nieruchomo przy kuchennym zlewie, dopóki nie usłyszał, jak trans am budzi się z hukiem do życia i wyjeżdża z garażu. Zaczepnął głęboko tchu.

- Szkoda, że nie może na zawsze mieć trzynastu lat. Albo dwunastu. Nie, ośmiu.

Terri odstawiła szklanę z piwem i podeszła do niego.

- Nie może.

- Nie może. - Uśmiechnął się. - Nie oddałbym nikomu ani jednej chwili.

Przysunęła się do niego i objęła ramionami.

- Jesteś szczęściarzem. Skinął głową.

Przyciągnęła jego głowę bliżej ku sobie, aż ich usta znalazły się ponownie blisko jak parę minut wcześniej.

- Na czym skończyliśmy? Pocałował ją delikatnie.
- Masz rację. - Pocałował jeszcze raz. - Jestem szczęściarzem. -
Objęli się i tym razem pocałowali naprawdę.
- To... - spytała Terri, gdy w końcu przestali się całować - kiedy dokładnie Jacks wraca do domu?

*

Colleen wcale nie myślała o filmie Psychopata, wystawiając twarz w kierunku sitka prysznic, by gorąca woda zmyła choć częściowo ból głowy.

Wcale nie wysuwała głowy spod strumienia, by nasłuchiwać, co się dzieje z drzwiami do łazienki, czy się nie otwierają. Nie spodziewała się, że w parze, unoszącej się nad gorącą wodą, zmaterializuje się blada twarz Cassa z czarnymi oczami i czerwonymi ustami. Absolutnie nie czekała, że cokolwiek się wydarzy.

Nie, choć w sąsiednim pokoju leżał nieruchomo na łóżku zimny wampir.

Wampir.

Splukała z włosów resztki szamponu i mydło ze skóry, a potem zakręciła wodę. Stała w wannie i nasłuchiwała. Dobiegało ją jedynie jednostajne jak metronom kapanie ostatnich kropel wody, wyciekających z sitka prysznic i pluszczących wokół jej stóp.

Wampir.

W sąsiednim pokoju spał wampir. Cholerny wampir.

Cass zamienił się w wampira. Po mieście grasowały wampiry.

Woda w końcu przestała kapać, ale ona wciąż stała pod prysznicem i nasłuchiwała.

W zasadzie nic nie słyszała.

Wampir.

W końcu poczuła zimno na mokrej skórze. Potrząsnęła głową i złapała zasłonkę prysznic. Zaczepnęła tchu i... Odsunęła zasłonkę.

Pusto.

Łazienkę wypełniała tylko para.

Ale to była tylko para, prawda?

Żadna cmentarna mgła ani opar rodem z horroru, który wirowałby wokół jej nóg. Zwykła para wodna, która zaparowała lustro i skraplała się na popękanych, porcelanowych kafelkach.

Wyszła spod prysznic i wytarła się ręcznikiem. Otworzyła okienko nad muszlą klozetową, by usunąć parę. Potem owinęła

ręcznikiem długie, ociekające włosy. Wyciskając pastę i usuwając myciem zębów resztki niesmaku w ustach po burbonowym kacu, myślała dwa razy szybciej.

Och, Cass wiele jej mówił zeszłej nocy. Przegadał prawie całą noc, przynajmniej do czasu, gdy usnęła, znużona zbyt wieloma nieprawdopodobnymi historiami, zmorzona zbyt wieloma łykami alkoholu. Opowiedział jej, ile tylko zapamiętał, a także o swoich domysłach.

Mówił jej o tamtym wieczorze w Jaskini Rimbauda, o tym, jak pojechali wraz z przyjaciółmi Gabrielle na cmentarz. Powiedział jej o koszmarze, który przydarzył mu się na cmentarzu, i o tej dziewczynie - Chelsea - którą obnażyli, zgwałcili, poranili i wypili z niej całą krew. Opowiadał o tym, jak przytrzymały go zimne, martwe dłonie, a potem poczuł palący ból w gardle. Czuł, jak wypływa z niego życie. Chciał, by tak właśnie się stało. Pragnął tego najmocniej na świecie. Mówił, jak wszystko skryło się we mgle i utonęło w mroku, aż poczuł w ustach smak zimnej krwi piekielnej, która kapała mu na wargi i wsączała się do środka... Wtedy wszystko skryła ciemność.

Opowiedział jej, jak następnego nocy obudził się w środku zamkniętego na suwak plastikowego worka w zimnej, metalowej skrzyni. Potem wysliznął się z kostnicy, wychodząc wprost na ulicę w zachodniej dzielnicy.

Mówił o tym, jak przemierzał noc po nocy ulice, wpełzał w potrzaskane studzienki kanalizacyjne i chował się w kanałach pod Wacker Drive. Przesypiał całe dni w śmietnikach i wypełnionych szczurami, spalonych piwnicach. Opowiadał, jak czaił się w cieniach podrzędnych barów dla gejów, aż napotykał szwendających się w podejrzanej dzielnicy żonatych i zamożnych typów, którzy przysiadali się i zagajali szeptem, aż w końcu obaj wymykali się w jeszcze ciemniejsze zakątki, albo do kibla, albo do należącego do typa mini - vana lub też firmowego samochodu. Zasadą było nie patrzeć sobie w oczy. Zresztą i dobrze, bo Cass szybko dowiedział się, że gdy był spragniony, oczy zarzyły mu się czerwono. Wtedy słychać było zgrzyt rozpinanych rozporków. Spodnie zjeżdżały niżej kolan. Jeśli ssał dość mocno i nie dało się zauważyć ugryzień, krew płynęła wraz z wytryskiem. A jeśli czasem nie udało się ich nie zauważyć i rozlegały się krzyki, to wówczas wyskakiwał z tylnych siedzeń lub przedzierał się przez tłum przy barze, by zniknąć w ciemnościach.

Opowiedział jej o czyhaniu w alejkach i ciemnych bramach wzdłuż Halstead i Broadwayu, aż po New Town, gdzie męskie dziwki wysuwały języki w kierunku przejeżdżających samochodów, a potem radośnie wpadały mu w ramiona, by je odprowadził w ciemności, gdzie mógł skubać ustami ich bezwłose klatki piersiowe i lizać sutki, a potem podgryzać gardła, aż w końcu pokazywała się krew, płynąc szerokim strumieniem wprost w jego usta, chwilowo przeganiając chłód. Opowiedział jej, że nigdy nie narzekali, bo w większości byli zbyt ogłupieni narkotykami, choć przez to kwaśniała im krew. Mówił jej też o tych nielicznych facetach, którzy byli dokładnie tacy jak kiedyś on, i o tym, jak im się to podobało, jak błagali, by nie przestawał, a potem wili się i miotali, mieli orgazm i piszczeli, a krew płynęła w jego zimne, martwe usta.

Opowiedział jej o Gothique.

Wszyscy zmierzali do Gothique, zupełnie jakby byli dziećmi z Hamelin, podążającymi za dźwiękami fletu. Cass patrzył, jak tam zdążają, by zamieszkać, zupełnie jakby to były kolonie, jakiś rodzaj letniska rodziny Addamsów, gdzie uczono ich wszystkiego, co powinni wiedzieć.

Opowiedział jej, jak rośli w siłę, a z każdym dniem było ich coraz więcej.

Colleen splukała szczoteczkę do zębów, a potem wetknęła do kontaktu wtyczkę suszarki do włosów. Urządzenie obudziło się z rykiem i wysuszyło resztkę pary z lustra w łazience. Dziewczyna wpatrywała się w swoje włosy. Suszyła je, przeczesując niedbale palcami rude strąki. Jednocześnie namyślała się, co robić.

Tak, Cass jej wiele opowiedział.

Ale to nie wystarczało.

Nie mogła przejść nad tym do normalności. Nie była w stanie wysuszyć się, ubrać, wbić w tenisówki i wyskoczyć na pizzę i piwo gdzieś na Sheridan. Nie mogła gawędzić, szukając nowego mieszkania dla ich dwojga, może jakiegoś z ogródkiem i miłą ciemną suteroną.

Ludzie znikali. Może nawet... umierali? Czy Tim i Ivy... Czy oni nie żyli? Czy też...

Musiała do kogoś zadzwonić. Ale do kogo?

Do Jeffa?

Nie, już do niego zatelefonowała i odwołała sympatycznego grilla na podwórku w południowo - zachodniej dzielnicy, połączonego ze sprawdzeniem samochodu. Pojawiłaby się tam detektyw Shepherd. Dowiedziałaby się o wszystkim i musiałoby zaraportować. W końcu była policjantką.

Colleen skończyła suszyć włosy i sięgnęła po ubranie. Opowiedzieć wszystko Terri Shepherd? Policja musiałaby wszystko sprawdzić. Mogliby wybrać się do Gothique. Mogliby poszukać Tima i Ivy. Może nawet odnaleźliby Gabrielle. Mogli...

No właśnie, co mogli?

Colleen wbiła się w dzinsy.

Mogli dopaść Cassa.

Mogli go zamknąć, odizolować. Mogli podłączyć go do zwojów rurek i maszyn i spróbować go zbadać, a potem opublikować artykuły na jego temat oraz pokazywać go w czasie najwyższej oglądalności. Najwyższe autorytety napisałyby książkę o nim i próbowały ją wciskać w Telezakupach i w trakcie programu Oprah Winfrey.

Mogli... go zabić.

Nie.

Nie pozwoli na to.

Wrzuciła na grzbiet podkoszulek. Kiedy otworzyła drzwi łazienki, wraz z nią wypadły resztki gorącej pary. Skierowała się wprost ku pokojowi Cassa.

Ale łóżko świeciło pustkami.

- Cass?

Ktoś rozchylił zasłony. Okno stało otworem. Do środka wpadał wilgotny wiatr i przywierał do jej skóry. Na podwórku panował mrok. Niebo ściemniało do fioletowego błękitu, czerniejąc nad jeziorem Michigan.

- Cass?

Pomknęła przez mieszkanie.

- Cass!

Ale w mieszkaniu panowały pustka i mrok. Zapadła noc. Cass znikł.

Rozdział dwudziesty szósty

Jacks powiedziała: „Tylko bez obściskiwania się”.

Ale Jacks już z nimi nie było. Jeff i Terri zajęli się dokładnie tym - czyli obściskiwaniem.

Po kolacji leżeli na kanapie w pokoju dziennym, zsunięci niemal na podłogę. Wszystko zaczęło się od niewinnych pocałunków w kuchni w usta i policzki. Całowali się dalej, idąc ramię w ramię do pokoju dziennego, gdzie Jeff włączył odtwarzacz CD, a wcześniej zapełniona zmieniarzka puściła z głośników niewinny łagodny rock. Pocałunki stawały się coraz żarliwsze. Przycupnęli na kanapie. Płyta Shanii Twain skończyła się. Następny w kolejce był zespół Moody Blues. Zanim zaczął grać, schludne brązowe pantofle Terri wylądowały na podłodze. Zwinęła się w ramionach Jeffa niczym kociak. Jej dłonie gładziły jego klatkę piersiową pod koszulką polo. Za każdym razem, gdy ich usta rozłączały się, uśmiechali się do siebie, ale nic nie mówili, zupełnie jakby obydwójce wiedzieli, że już od dawna myśleli o tym samym podczas spacerów po lunchu wzdłuż brzegu jeziora, telefonicznych rozmów w ciągu dnia i szybkich spotkań na kawie po pracy. Może myśleli już o tym od dnia, gdy się spotkali, mimo niesprzyjających okoliczności.

Kiedy skończył się kolejny długi pocałunek, Terri odsunęła się i zaczerpnęła tchu.

- Ile dokładnie zostało nam czasu, zanim wróci Jacks?

- Chyba już o to pytałaś.

- Wiem. - Uśmiechnęła się łagodnie i przesunęła palcami pod jego koszulkę, drocząc się z nim i drażniąc. Zaczęła sunąć dłonią coraz niżej. - Tylko... Wiesz, trochę to dziwne. Czekam, aż wpadnie przez drzwi i...

Dotknął palcem jej warg.

- Ja też się dziwnie czuję. Może nawet dziwniej od ciebie. Ale Jacks nie wróci do domu przez kilka najbliższych godzin. - Uniósł zegarek i obrócił go tak, by światło latarni oświetliło tarczę. - Precyzyjnie przez pięć i pół godziny. Jeśli będzie punktualna. I lepiej, żeby była.

Terri wysunęła rękę spod jego koszuli.

- Bardzo się o nią martwisz.

Jeff wzruszył ramionami.

- To tylko nastolatka w samochodzie, której towarzyszy gromada innych nastolatków. Oczywiście, że się martwię. Ale nie mogę zamknąć jej w pokoju. Nie mogę udawać, że pewnego dnia nie da się przelecieć w ciemnościach na jakiejś imprezie w piwnicy albo nie spróbuje marihuany po paru piwach. Ja tak robiłem. Zrobiłem parę innych znacznie gorszych rzeczy.

- Jak my wszyscy. - Terri pochyliła się ku niemu i musnęła jego usta w pospiesznym pocałunku. - Nadal to robimy. A jeśli już o tym mowa, czy zostało jeszcze coś z tego piwa, które przyniosłam?

Zeskoczył z kanapy.

- Zaraz wracam.

W ciemnej kuchni panował kompletny bałagan. Zmywanie mogło poczekać do rana. Jeff otworzył lodówkę i zmrużył oczy pod wpływem jasnego światła. Złapał dwa z importowanych piw, przyniesionych przez Terri, odkręcił kapsle i skierował się z powrotem do pokoju dziennego.

Początkowo nie dostrzegł jej.

Wtedy jego oczy skupiły się na jej porzuconych dzinsach, które leżały tuż przy pantoflach.

Terri stała przy oknie. Przez chwilę między żaluzje wpadły światła reflektorów przejeżdżającego samochodu, zdobiąc paskami jej robiony na drutach sweter, rozwichrzone włosy i śliczną twarz dziewczyny z sąsiedztwa, a także białe skarpetki i już nie takie sąsiedzkie, gołe nogi.

Zatrzymał się i napił. Tak, o tym oboje myśleli w ciągu lunchów i spotkań na kawie. Przyniósł jej piwo i stanął obok.

Oboje sączyli napój przez kilka minut. Nikt nic nie mówił. W końcu odstawiła swoją butelkę na stolik.

- Zdaje się, że chyba sobie zbyt wiele wyobraziłam? Jeff potrząsnął głową.

- O nie. Wcale.

Objął ją. Owinęła nogę wokół jego nóg, przyciągając go bliżej, aż ich ciała przywarły do siebie.

- Co za ulga. Jeśli miałabym wbijać się w dzinsy, słuchając, jak wyduszasz z siebie: „Jeszcze nie jestem gotów”, to czułabym się...

- Niekomfortowo?

- Sądzę, że słowo „paskudnie” oddałoby lepiej ten nastrój. - Zaczęli się żarliwie całować. To był prawdziwy seksualny pocałunek,

pełen głodu i namiętności. Tym razem, gdy ich usta rozdzieliły się, poprowadził ją ku swojej sypialni. Zatrzymała się w drzwiach. - To w końcu za ile Jacks wraca do domu?

- Jeszcze długo nie, Terri. Bardzo długo.

Czerwony transam Stanchecków błyszczał w światłach latarni. Stał tuż za rogiem 61 Street i Harding. Jacks zaparkowała go starannie na otwartej przestrzeni, gdzie nad ulicą nie zwieszało się żadne drzewo. Rachel wierciła się niecierpliwie na przednim siedzeniu obok niej, robiąc ostatnie poprawki w makijażu. W końcu z trzaskiem zamknęła puder w kompakcie. Rory próbował wysiąść, jeszcze zanim Jacks zdążyła zgasić silnik. Ale niech to szlag, jeśli miała pozwolić, by po całym dniu dopieszczania na lakier miał kapać sok z drzew albo ptasie odchody.

Na schodach, prowadzących do drzwi brązowego domku, przycupnęły dzieciaki z klubu szachowego, członkowie rady uczniowskiej, imprezowicze i żartownisie. W pozaszkolnych ubraniach niczym się od siebie nie różniły. Kujony ubrały się w macho skóry i aksamitne koszulki. Gospodynie klas snuły się w podartych, siatkowych rajstopach i przejrzystych bluzkach. Sportowcy przechadzali się w aksamitnych ciuchach i w makijażu. Tyle że wszyscy trzęśli się z powodu jesiennego wiatru. Z półotwartych okien piwnicy sączyła się muzyka oraz dym palonych kadzidełek i papierosów. Jakiś nieszczęśnik schwycił się muru za krzakami rosnącymi wzdłuż ścieżki wykładanej cegłami i płytami chodnikowymi, wyrzucając z siebie piwo i pizzę, które dopiero przed chwilą pochłonał.

- Impreza! - wrzasnął Rory, wyskakując z samochodu. Jacks rzuciła ostatnie spojrzenie na trans ama i ruszyła w ślad za nim. Rachel starała się przejść obok chłopców na schodkach krokiem modelki. Stłumiła uśmiech, gdy usłyszała, jak cichną ich rozmowy, i poczuła na sobie ich spojrzenia. W powietrzu niemal dało się wyczuć powiew nastoletniego testosteronu.

- Hej, siostra! - zawołał Rory. - Oszczędź sobie udawania Kate Moss na godziny przed lustrem w sypialni, dobra?

- Odpieprz się, braciszku. - Rachel przemknęła obok werandy, a jej długie nogi rozchyłały poły płaszcza, które łopotwały jak skrzydła. - Nie powinieneś dzisiaj nigdzie wychodzić, dzieciaku. Tata coś wspominał o szlabanie.

- Tylko, że tata dziś wyszedł na kręgle, na szczęście twoje i Jacks. Chłopiec popędził przejściem ku tylnym drzwiom domu. Jacks i Rachel

podążyły za nim, precyzyjnie się obok trójki, dzielącej się fajką, oraz pary, która uprawiała seks na pokrytej rosą trawie.

Kiedy podchodzili do tylnych drzwi, muzyka stawała się coraz głośniejsza. Jacks musiała poklepać Rachel po ramieniu, by dziewczyna zwróciła na nią uwagę.

- Czyja to impreza? - Gdy weszły do piwnicy, otoczyła je zwarta ściana dymu z kadzidełek i papierosów.

- Tego faceta, o którym ci mówiłam. No wiesz, Trenta.

- Trenta? Jakiego Trenta? Och, rzeczywiście. Tego, który zabrał cię na przyjęcie z okazji matury w zeszłym roku, prawda?

Rachel uśmiechnęła się pod nosem.

- Cóż, w zasadzie to nigdy nie dotarłam na to przyjęcie. Znalazłam się za to w samochodzie Trenta na parking.

Ogłuszyła je muzyka. W końcu zanurzyły się w tłum. Rory od razu pomknął do beczki z piwem w zlewie w pralni. Ktoś wcisnął Rachel skręta, a ktoś inny zaoferował Jacks puszkę piwa. Dziewczyna spojrzała na nią tęsknie, a potem podała ją Rachel.

- Wyznaczono mnie na kierowcę - próbowała przekrzyczeć grzmiący bas. Rachel wetknęła dymiącego skręta w zaciśnięte zęby, złapała piwo i jednym palcem zdjęła kapsel.

Obok nich przeszły dwie dziewczyny, całe w czarnym tuszu, dżersejach i szyfonie.

- Kto ci pozwolił pożyczyć tę bluzkę, zdziro? Skończyła się płyta.

- A kto ci pozwolił zerznąć mojego chłopaka, suko? - Obydwie spoglądały na siebie przez chwilę z gniewem, a potem roześmiały się histerycznie i ramię w ramię wtopiły się w tłum.

Zaczęła się nowa płyta, to Bauhaus Bela Lugosi's Dead. Niektóre nastolatki, wędrujące po wykładanej płytkami piwnicy, ustawiły się w kręgu, postukując palcami do rytmu szybkich cymbałów. Kiwali głowami, gdy z głośników wielkości lodówki zaczęły sączyć się dźwięki elektrycznego basu. W środku kręgu dziewczyna - zjawiskowy klon Steviego Nicksas - Rhiannona - wpadła w udawany trans, popisując się najlepszymi ruchami ze szkolnego kursu baletowego. W kącie grupa dzieciaków w koszulkach z nadrukami

nazw metalowych zespołów i w podartych pończochach rozparła się na sofie, leżąc na poduszkach i sobie nawzajem. Szkliste oczy wpatrywały się w wielki ekran telewizyjny, na którym migotał jakiś puszczyany w kablówce erotyczny film z wampirami. Bezdźwięczny obraz ukazywał łyskające zęby i nagie piersi. W głębi piwnicy stał bezużytecznie stół do tenisa. Raketki i piłki leżały szeregiem, a kolejna grupka nastolatków położyła na nim kieszonkowe lusterko z sześcioma schludnymi, białymi kreskami. W ciemnym kącie za piecem jakaś para nie zważała na tłum, tańcząc powoli z przyciśniętymi do siebie biodrami. Czarne paznokcie ścisnęły poły rozpiętych koszul. Inna para osuwała się pod ścianą, by wylądować na podłodze. Czarne spodnie ze streczu już zwinęły się wokół kolan dziewczyny. Rory, znalazłszy się obok beczki, wziął plastikowy kubek ze zwietrzałym piwem i podszedł leniwie do niewielkiego miejsca wyłożonego panelami, gdzie sześciu ludzi skupiło się przy wielkim komputerze z wyprzedzący. Dwóch bardziej zorientowanych internautów wskazywało z zachwytem stronę Chicago Coven Scene. Przesuwali myszkę po podkładce z bohaterami z filmów Disneya z czcią należną krążkowi na planszy ouija.

Jacks założyła ręce na piersiach, wyczuwając, że jej bluzka, spódnica, rajstopy i buty, które wydawały jej się zbyt wyzywające, gdy je mierzyła w domu, tutaj wywierały tak samo piorunujące wrażenie jak grzeczna spódnica za kolano i pantofle.

- Rachel, mówiłaś mi, że ten Trent chodzi do klasy sportowej? - Jacks znalazła porzucony sześciopak coca - coli na stole przykrytym lepkiem kartonem i otworzyła jedną z puszek.

- Chodził. - Rachel pochyliła się ku Jacks i wrzasnęła jej do ucha.
- Chyba w końcu wybrał religię.

Ta wyśledziła porzuconą jak puszki, zupełnie zapomnianą, plastikową miskę z preclami. Sięgnęła i wyciągnęła garść.

- Nigdy nie wspomniałaś o tym, byście byli razem.

- Bo nie byliśmy. To znaczy nigdy się już nie spotkaliśmy. Następnej nocy po balu spotkał się z tą dziwką, Julie Scott. Tuż po balu.

- Rozumiem. I?

- I... nic. Słuchaj, nie bawię się w zazdrość. Tylko, że... to takie świńskie, wyobrażać sobie, jak twój facet zabawia się z jakąś inną dziewczyną.

Jacks przewróciła oczami i skubała precla. Rachel zamrugła, parząc sobie usta o niedopałek skręta. W końcu upuściła go na kafelki i zgasiła, depcząc butem.

- Słuchaj, w tym tygodniu Trent parę razy robił do mnie słodkie oczy. Już nie jest taki nadeły. Zaprosił mnie na imprezę. Poza tym minęły już dwa tygodnie, odkąd byłam na dobrej randce, to znaczy takiej, która nie skończyła się tym, że facet porzygał mi się na kolana albo spuścił w majtki, zanim ja zdążyłam rozpiąć spodnie... - Łyknęła piwa. - Czekaj. Po co ja się tłumaczę?

Jacks wzruszyła ramionami.

- I pozwól, że w ramach komentarza powiem „Auu”.

- Słuchaj, dziecko - rzekła Rachel, nagle przybierając ton starszej siostry. - Kiedy tak naprawdę ustanowiłaś embargo na zabawę? Musisz podnieść głowę znad książek i zadrzeć nogi w górę. Wyluzuj, dziewczyno, dobra? Chociaż trochę. Choć dzisiejszego wieczoru. Zrobisz to dla mnie? - Rachel wskazała palcem puszkowy napój Jacks. - Chcesz, żebym dodała tu czegoś, żeby poprawił ci się smak?

Ale ta potrząsnęła przecząco głową.

- Już mówiłam, że wyznaczono mnie... Rachel zamknęła jej usta dłonią.

- Na kierowcę, wiem. - Dziewczyna wypila resztę swojego piwa, zgmiotła puszkę i rzuciła ją za ramię. - Cóż, zamierzam się tu nieco pokręcić. Idziesz?

Jacks przewierciła wzrokiem chmurę dymu, ultrafioletowego światła, czarnych ciuchów i podrygujących głów z farbowanymi fryzurami.

- Zaraz do ciebie dołączę, dobrze? Rachel zmarszczyła brwi i zrobiła poirytowaną minę.

- Wyluzowałam się - stwierdziła Jacks, wyginając się w pozę femme fatale, która zwyczajnie do niej nie pasowała. - Poczekam tu na właściwego faceta.

- Aha. Plan alternatywny: w tym czasie zabaw się z niewłaściwymi. - Rachel wzruszyła ramionami. - Jak sobie życzysz. - Okręciła się na pięcie, zamiatając płaszczem, i ruszyła ku grupce przy stole do tenisa. - Miej na oku braciszka, Jacks. Jak zaliczy zbyt wiele wypraw do beczki, to porzyga się w samochodzie twojego tatusia.

Piosenka Bauhaus skończyła się. Zamiast niej rozległ się jakiś głośny do bólu, zniekształcony industrial. Tłum w piwnicy podążył ku

jej środkowi i rozpoczął pogo, odbijając się od mebli i wykładanych sztucznym drewnem ścian.

*

„Coś pika, a potem grzechocze”.

Tak Colleen opisała to Jeffowi. Wydawało jej się, że rozmawiała z nim tak dawno temu.

„Koreański samochód ekonomiczny... Puszka po rybach z silnikiem od kosiarki... Na dodatek egzemplarz demonstracyjny sprzedawcy”.

Tak Jeff opisywał jej samochód, gdy ją zapraszał na sobotniego grilla. Małe co nieco pod parasolem w alejce. Hamburgery i piwo. Córka i detektyw Shepherd. Wszystko brzmiało tak spokojnie, miło, niewinnie. Dawno. Gdzieś daleko stąd.

Ale samochód Colleen nie tylko „pikał, a potem grzechotał”, gdy jechała teraz po Sheridan. Samochodzik pluł, kaszłał, samodzielnie wyrzucał biegi, a ona zmieniała pasy. Kobieta mijala sznur sobotnich pojazdów, wiozących pary na sobotnie randki. Sobotnie dziewczyny śpiewały piosenki do wtóru list przebojów i sprawdzały w lusterkach sobotni makijaż. Sobotnie samochody, wypełnione sobotnimi facetami pędziły tam, gdzie Sheridan skręcała w Lake Shore Drive. Pasażerowie pili drinki i kiwali głowami do wtóru metalowej muzyki, udając, że grają w „Nascar” i właśnie pokonują okrążenie na ostrym zakręcie południowego „S” na trasie w Hollywood.

Colleen sama żałowała, że nie siedzi w jednym z tych samochodów na tylnym siedzeniu, zaśmiewając się do łez z jakiejś opowieści o okropnej randce i wyczekując niecierpliwie wieczoru wypełnionego szaleńczymi klubowymi flirtami. Ale jej pojazd zakaszlał i zazgrzytał biegami, gdy przyspieszyła prawie do stu kilometrów na godzinę i minęła taksówkę. Miała nadzieję, że jej popierdółka to wytrzyma.

Ale dokąd miała dojechać?

Skręciła na południe, na Lake Shore Drive. Północny skraj Lincoln Parku przemknął obok niej po prawej ze świstem, zamieniony w ciemnozieloną, aksamitną smugę. Jezioro stanowiło nieprzeniknioną ścianę ciemności, stapiając się z nocnym niebem. Kobieta przemknęła obok wyjazdu na Foster Avenue.

Dokąd jechała?

By odnaleźć Cassa.

Minęła zjazd na Lawrence Avenue.

Ale gdzie go miała znaleźć?

Włączyła prawy kierunkowskaz, skrzyła kierownicę i zjechała z Drive w Montrose.

Wiedziała doskonale, dokąd jedzie.

Samochodzik zawył ponownie, ale trzymał się nieźle, gdy przedzierała się przez zatłoczoną Montrose. Przystanęła niecierpliwie na światłach na Kenmore, tuż naprzeciwko stacji metra. Po prawej samochód, wypakowany po brzegi krzepkimi latynoskimi nastolatkami zawył stuningowanym silnikiem, ale popierdółka jakoś zebrała się w sobie i wystrzeliła z godną szacunku prędkością, gdy tylko zapaliło się zielone. Colleen przefrunęła wiaduktem, zjeżdżając z niego sto pięć kilometrów na godzinę. Ale gdy tylko zjechała, zdjęła nogę z gazu, w końcu wcisnęła też hamulec, a stuningowany samochód przemknął obok niej, dymiąc z rury. Pojazdy z tyłu zaczęły trąbić.

Chodnik po lewej oddzielał ją od cmentarza Graceland. Za długim odcinkiem płotu z kutego żelaza w ciemnościach kłębiła się mgła. Nagrobki z przełomu stuleci sterczały, przypominając wysunięte z ziemi palce.

Obok przejechał samochód. Kierowca sklął Colleen. Słyszała go nawet przez zamknięte okno. Potrząsnęła głową, odwróciła spojrzenie od cmentarza i podążyła Montrose w kierunku zachodnim. Ledwo zdążyła przejechać na żółtym na skrzyżowaniu z Clark. Ostatecznie zostawiła cmentarz we wstecznym lusterku.

Parę przecznic dalej przemknęła pod wiaduktem stacji metra Ravenswood, przystanęła na kolejnych światłach, wpatrując się w wysokie iglice starego kościoła katolickiego po drugiej stronie ulicy. Podświetlona figura świętego Alstantiusa przycupnęła przed szerokimi schodami od frontu. Święty wyglądał bardziej jak upiór w świetle przejeżdżających reflektorów. Światła zmieniły się, a Colleen wystrzeliła przed siebie, mknąc dwie przecznice dalej, ku Damen Avenue. Zaciśnięte na kierownicy ręce zwilgotniały, a czoło perliły krople zimnego potu, to samo na ramionach, twarzy i całym ciele skrytym pod ubraniem. Zdążyła przejechać na zielonym. Skrzyła w lewo, by wjechać na Damen.

Gdy tylko trafiła w aleję, natychmiast dostrzegła przed sobą czerwony blask, oddalony o dwie przecznice. Pretensjonalne gotyckie

litery pulsowały na markizie starego kina. Wyglądały jak ognie piekieł, czerwone oczy, a może rozbryźnięta krew. Czerwień przyzywała spragnionych, marzycieli i głupców.

I przeklętych.

Gothique.

Colleen zaparkowała samochód na wolnym miejscu po stronie teatru. Siedziała w środku, nie gasząc silnika, który znów kaszłał i prychał tak głośno, że zbudziłby umarłego. Ta myśl sprawiła, że kobieta roześmiała się na głos, a potem zgasła silnik. Wyszła z samochodu, czując, jak zimne, mokre powietrze przywiera do jej jeszcze wilgotniejszej skóry i nagich ramion, a potem wpełza pod koszulkę.

Znak oblewał czerwienią ulicę i dwa domy naprzeciwko. Wielki budynek górował ponuro nad jej głową. Wydawał się nie na miejscu i nie na czasie, stojąc tak na ulicy w Chicago. Pasowałby do scenografii jakiegoś hollywoodzkiego horroru, gdzie wystąpiłby w roli średniowiecznej fortecy. Jesienny wietrzyk świstał w podrabianych gargulcach i między fałszywymi wieżyczkami, którymi upstrzono fasadę. Z na wpół otwartych okien na piętrach nad znakiem sączyło się światło. W ciemności pod markizą i przy drzwiach snuły się niewyraźne cienie, mroczniejsze od najgłębszej czerni. Miały twarze duchów, zupełnie takie, jak oblicze Cassa. Nagle spojrzały na nią.

A potem podążyły w jej stronę.

Cienie wyłoniły się spod markizy i skierowały na chodnik, rozlewając po betonie jak zużyty olej. Zaczęły się ku niej powoli skradać.

*

- Nie miałam wyboru - stwierdziła roześmiana Jacks. Oparła się na ramieniu chłopca, które spoczywało na oparciu zajmowanej przez nich kanapy. Zapadła się głębiej w wyblakły plusz. Czowała ciepłe i szczupłe ciało chłopca; jak on się nazywał? Billy? Bobby? Coś na „B”. Podobał jej się sposób, w jaki jego podarte czarne dżinsy dotykały jej nóg i szorowały o przylegający materiał jej rajstop. Chłopiec zsunął rękę z kanapy na jej ramiona, a jego palce wisały tuż przy jej piersi. To „tuż” było w jej zaniepokojonych oczach niemal jak „hen”. Jacks poczuła, jak w staniku sztywnieje jej sutek, zupełnie jakby próbował wyjść na spotkanie długim palcom. - Po prostu musiałam. Bratu Rachel wydaje się, że się we mnie zakochał, ale

zwyczajnie ma ochotę na każdą dziewczynę. Wiesz, hormony. - Roześmiała się ponownie i zdała sobie sprawę, jak to piskliwie zabrzmiało. Stłumiła więc śmiech kolejnym łykiem wina z zakręcanej butelki, którą trzymała na kolanach. - No to go uziemiłam. Kopnęłam go w tyłek, aż wpadł do beczki.

Billy - albo - Bobby - albo jakoś inaczej na „B” przytulił ją do siebie. Wreszcie po godzinach skradania się, zabawiania jej głupawymi pogaduszkami na kanapie, a potem wieloznaczną rozmową, jego palce przełamały tę barierę „tuż” nad biustem Jacks i zamknęły jej małą, falującą pierś w ciepłym, mocnym uścisku.

- Przypomnij mi, Jacks, żebym z tobą nie zadzierał.

- Nie sędzę, żebyś to kiedyś zrobił - uśmiechnęła się nieśmiało. Nieczęsto tak się uśmiechała, ale czuła, że tak należy. Połowa butelki taniego wina grzała jej brzuch, a od środka rozgrzewało ją coś zupełnie innego. Tylko co z jej butami na podłodze, palcami u stóp, wsuwającymi się w nogawki jego spodni, i co z tymi zdumiewająco słodkimi miękkimi dłońmi na jej piersiach? Chłopiec pochylił się nad nią i musnął ustami jej wargi. Miały smak alkoholu, miętowej gumy i papierosów. Smakowały wspaniale. Oddała mu śmieiej pocałunek. Rozchylili usta, stykając się czubkami języków. Jacks zawirowało w głowie, gdy zsunął dłonie na jej łono. Dziewczyna odstawiła na bok butelkę wina, wcale nie onieśmielona, że wokół niej w ciemnościach przechodzą inni, i rozchyliła nogi, a on wsunął dłoń pod jej spódniczkę i zaczął ją masować.

Zawahała się przez chwilę. Nagle w jej głowie rozbrzmiał alarm. Już miała oderwać od niego usta, by wymamrotać przerabianą frazę: „Nie, dopiero się poznaliśmy, nie jestem gotowa”, ale mama nigdy jej w Encino nie ćwiczyła, a tata pewnie myślał, że od poznania tych słów dzieli ją jeszcze z dziesięć lat. Jacks zawahała się tylko przez tę krótką chwilę, wystarczającą, by odsunąć wilgotne wargi od jego ust, złapać oddech i zerknąć ponad oparciem kanapy.

Nigdzie w zasięgu wzroku nie było Rory'ego. Pewnie zajął się osuszaniem ostatnich puszek z piwem, porzuconych gdzieś przez zde gustowanych uczestników imprezy, obgadujących zarozumiałe laski i zdradzających je chłopców. Ucichł już wwiercający się w uszy gitarowy grunge i prawie nadający się do tańczenia gotycki rock. Ktokolwiek zajmował się dziś didżejowaniem, włączył program samplujący i nastawił go na powtórki. Powolne, mroczne pieśni

pasowały lepiej do zgaszonych świateł i wielkiego ekranu oraz monitora, które oświetlały splątane ciała na kanapach i chodnikach. Rachel nie pojawiła się, odkąd wypaliła pierwszego skręta, znikając parę godzin temu w tłumie. Jacks domyśliła się, że zapewne Trent oprowadza ją po swoim pokoju na górze i pokazuje modele samolotów, plakaty Nine Inch Nails, wielokolorową kolekcję postaci z gumy i inne rzeczy, cokolwiek tam starsi chłopcy trzymali w swoich pokojach.

Jacks zaczerpnęła tchu, przeszukała wzrokiem mroczną piwnicę i obojętne, półnagie pary na sofach, zabawiające się seksem oralnym, ściągające bluzki znad supermarketowych staników i biedzące się z cholernie upartymi suwakami skórzanych spodni. Na ekranie rozbłysnął kolejny kadr z horroru, przedstawiający w zbliżeniu krew i cycki, a ludzie przy telewizorze zajęli się podgryzaniem sobie karków. Pewnie przez tydzień będą musieli nosić wysokie kołnierze, żeby ukryć malinki. Grupka przy komputerze wciąż szaleńczo klikała i gapiała się w monitor. Czarne tło zamieniło się w czerwień, gdy na ekranie uformowało się napisane gotykiem logo GOTHIQUE, zalewając czerwienią ich wymalowane twarze.

Lecz wtedy delikatne palce sprawiły, że Jacks zamknęła oczy i westchnęła. Pary na kanapach, na podłodze i przed telewizorem po prostu zniknęły w ciemnościach. Palce zawahały się przy gumce jej rajstop, by w końcu odnaleźć drogę pod bieliznę. Nagle poczuła parę rzeczy, które czuła tylko w kilku wyjątkowych, zawdzięczanych samej sobie okazjach. Zapomniała kompletnie o Rorym i Rachel. Rzuciła się na tego - jak - mu - tam „B”, wpiła się w niego ustami i zaczęła gorączkowo gmerać przy jego džinsach w poszukiwaniu fragmentu materiału. Odciagnęła suwak, wsunęła rękę i...

- A, tu cię mam.

Jacks poderwała się i niemal zeskoczyła z kanapy, ale uniemożliwiła jej to dłoń chłopaka, która wciąż tkwiła w jej majtkach, i jej własna ręka, która wciąż znajdowała się w rozporku chłopaka.

Rachel stanęła obok kanapy, opierając ręce na biodrach. Na jej twarzy rozlał się przebiegły uśmiezek.

- Hm... Zniesiono embargo na zabawę?

Nawet w przyćmionym świetle widać było, jak policzki Jacks zalewają odcienie czerwieni.

- Och, hm... Chyba tak. Rach, to jest.... to jest...

- Brad.

- Właśnie, Brad, a my, hm, my...

Brad wyjął rękę spod spódnicy Jacks i wyciągnął ją ku Rachel. Dziewczyna cofnęła się.

- Może innym razem. - Odwróciła się do Jacks. - Nie chcę ci psuć zabawy, kobieto, ale widziałas gdzieś tu moje dziecko? Najwyższy czas, by je odholować do domu.

- Do domu? - Jacks opadła z powrotem w objęcia Brada. - Rory'ego? Nie, nie widziałam go od... Och, czekaj, czy to nie on, tam, przy komputerze?

- Chyba tak. Cóż, odciągnę go od stron o nagich lesbijskich blond wampirach, jeśli ty sama się odciągniesz od... Jak się nazywasz? Och, tak, Brada. Pocałujcie się z Bradem na dobranoc i spadajmy stąd.

- Czekaj no. - Jacks usiadła. - Czemu idziemy? Jeszcze nie chcę...

Długi czarny prochowiec Rachel rozchylił się i Jacks - oraz Brad - ujrzeli, że miała nagie nogi i rozchyłoną szeroko bluzkę. Z jej torebki zwisał jakiś podarty kawałek nylonu.

- Po pierwsze, kochany Trent odsypia w swoim pokoju niedawny wysiłek, po drugie, tylko takie dupki jak mój braciszek szukają tu teraz miłości. Stąd wiem, że już czas. Ponadto chyba o godzinę przekroczyłaś swój czas powrotu, a poza tym... - Jacks zerwała się z kanapy i zaczęła gorączkowo poszukiwać butów w ciemnościach. - ... skoro nie planujemy powrotu autobusem, to co ty na to, żeby pronto odstawić superwózek tatusia do garażu? - Rachel obróciła się na pięcie i skierowała się ku wciąż stłoczonej przy komputerze grupce. - Aha, Jacks, nie to, żebym wątpiła w twoją znajomość rzeczy, ale na wszelki wypadek daj mu swój numer telefonu.

*

Terri Shepherd przestała się martwić, kiedy Jacks wróci do domu, gdy Jeff wmanewrował ją w panującą w sypialni ciemność.

Oboje o tym zapomnieli, gdy tygodnie wyobrażeń i marzeń stały się rzeczywistością. Zaczęli się kochać, powoli i najpierw ostrożnie, a potem zapalczywie, ale tak czule, jak Jeff od lat nie pamiętał. Może nawet nigdy się tak jeszcze nie kochał. Na pewno nie było to podobne do gorących, szaleńczych zapasów z Blair Armstrong ani rutynowych łózkowych obowiązków małżeńskich wobec Elaine, gdy czułość zawsze studziła niewypowiedziana pretensja.

I choć wcale nie zamierzali, zasnęli tak: czule objęci, nieskrepowani swoją nagością. Wcale nie martwili się, kiedy Jacks może wrócić do domu.

Okazało się, że gdy ta w końcu wysadziła Rachel i Rory'ego przy ich domu parę przecznic dalej, była już prawie druga. Rachel musiała ciągnąć młodszego brata przez całą drogę do schodów, bo robił wszystko, co w jego chorym mniemaniu najlepsze, by zaimponować Jacks, a potem komu się tylko dało, pochłaniając piwo i inne trunki, tyle że na nikim to nie zrobiło wrażenia. Zresztą, wcale nie wyglądał dobrze, gdy przewiesił się przez poręcz i wyrzucił z siebie wszystko, co wypił, podczas gdy Rachel odwróciła się od niego, szukając w torebce kluczy.

Dlatego Jacks nie zauważyła czarnego mercedesa, który zgasił reflektory, parkując parę domów od Rachel. Skręciła w 49 Street, a potem w Karlov Avenue. Wcisnęła pedał gazu, nagle zdając sobie sprawę z upływu czasu. Upewniała siebie samą, że północ tajemniczo zamieniła się w pierwszą, a potem w drugą niejako przez przypadek. Już wyobrażała sobie, jak ojciec łąja ją, stojąc w tylnych drzwiach, a potem wyszarpuje z rąk kluczyki. Rozmyślała o tym i przeklinała się za utratę kontroli tej nocy. Nie zauważyła czarnego samochodu stojącego pół przecznicy za Karlov.

Nie zauważyła go też, gdy skręciła w alejkę i otworzyła drzwi garażu. Nie dostrzegła, jak czarny samochód gasi światła, dojeżdżając do wlotu alejki. Czekał tam i obserwował, jak dziewczyna wjeżdża do garażu. Drzwi zamknęły się za nią powoli. Nie zauważyła go, gdy przemykała po podwórku do drzwi, a on stał już w alejce, zaledwie piętnaście metrów od niej. Odjechał z rykiem, gdy tylko zamknęły się za nią drzwi.

Dziewczyna rozsznurowała buty w drzwiach, zdjęła je, najciszej jak się dało, a potem na palcach wspięła się po schodach do kuchni.

Zmarszczyła brwi, widząc talerze i szklanki wciąż zaśmiecające blat i stół. Jutrzejszego ranka czekał ją ochrzan i nie mogła się z niego wyślizgać, zwłaszcza że tak późno wróciła. Chyba że uda jej się jak najciszej dostać do pokoju. Wetknęła buty pod ramię i skradała się na palcach, wstrzymując oddech, gdy zdradziecko skrzypnęła któraś ze starych, podłogowych desek. Wymknęła się z kuchni, minęła łazienkę i skradała, najszybciej i najciszej jak umiała, ku swojej sypialni.

Zatrzymała się przy salonie i dostrzegła dwie puste butelki importowanego piwa na stoliku przy kanapie.

Zobaczyła zamknięte drzwi sypialni ojca i buty Terri na podłodze.

Uśmiechnęła się, gdy dostrzegła tuż obok jej zmięte dzinsy. „Niezły strzał, tato” - pomyślała, ledwo powstrzymując się od wypowiedzenia tego na głos.

Obróciła się na palcach i skierowała wprost do swojego pokoju.

Ale nagle wpadła na Jeffa

- Z jakiego powodu północ - powiedział cicho, lecz mimo to po ojcowsku groźnie - została przez ciebie zignorowana?

- Tato, ja...

Jeff pochylił się ku niej i zaczął węszyć.

- Tato, to tylko łyk i... - Wyciągnął przed siebie rękę. Wyjęła kluczyki z torebki i ponuro mu je oddała. - Tato, ja naprawdę...

- Porozmawiamy o tym rano.

- W trójkę? - Nawet w ciemnościach zobaczyła, jak w jego oczach budzi się gniew. - Przepraszam, tato. To było niegrzeczne.

- Dobrze to ujęłaś.

Poszła do swojego pokoju i zamknęła drzwi.

Jeff wrócił do sypialni i zobaczył, jak Terri nakłada stanik.

- Co to ma być?

- Jeff, przepraszam.

- Co takiego? - Usiadł obok niej na łóżku, a ona przetrząsała pościel w poszukiwaniu bielizny. - Terri, dlaczego?

Wciągnęła majtki i dalej szukała skarpetek na podłodze.

- Jeff, nie chciałam zasnąć. Przepraszam. Wiesz, twoja córka...

- Nic nie szkodzi.

- Owszem, szkodzi. To ja pytałam, kiedy wraca, a potem... potem po prostu usnęłam, a ona wróciła do domu i... Boże, moje dzinsy wciąż tam leżą, prawda?

Odnalazł jej skarpetki na łóżku. Sięgnęła po nie, ale odsunął rękę z uśmiechem.

- Tak, twoje dzinsy wciąż leżą na zewnątrz.

- I Jacks... widziała je...

Skinął głową, wciąż się uśmiechając. Rzuciła się na łóżko.

- O kurczę.

- Terri, nic się nie stało. Naprawdę. - Objął ją. - Posłuchaj, mam dziecko, córkę. Albo sobie z tym poradzisz, albo... mamy problem. A ja nie chcę żadnych problemów. Nie w twoim przypadku.

- Ja też nie chcę żadnych problemów, ale... - Przerwała. Oboje nasłuchiwali przez chwilę stłumionych odgłosów, dobiegających zza drzwi sypialni: skrzyp drzwi Jacks, tupot stóp na drewnianej podłodze, skrzyp drzwi łazienki, odkręcanie kurków i otwieranie szafki z lekarstwami, a potem szum spłuczki. Po podłodze znów zatupotały stopy, a potem drzwi Jacks zamknęły się.

Terri jęknęła i znów padła na łóżko. Złapała Jeffa.

- Musisz je zgarnąć.

- Co takiego?

- Moje dżinsy. No, już. - Ale on się nie poruszył. Dała mu kuksańca w ramię. - No, już.

- Dobra, dobra.

Po chwili wrócił z dżinsami, ale trzymał je za plecami.

- Terri, jest późno. Jesteś zmęczona. Nie chcę, żebyś teraz wracała.

- Wiesz, umiem się o siebie zatroszczyć. Jestem policjantką. - Ale on zniknął, gdy zakryła ponownie twarz kołdrą. Było jej tam strasznie wygodnie. Położył dżinsy na szafce.

- Terri...

- Może masz przynajmniej jakąś piżamę? - Uśmiechała się, sięgając ręką w tył, by rozpiąć stanik.

Potrząsnął przecząco głową.

- Bokserki. Koszulki. I to by było na tyle.

Rzuciła w niego stanikiem i znów zanurkowała pod kołdrę.

- To przynieś mi przynajmniej koszulkę, dobrze? I połóż dżinsy tak przy łóżku.

*

Colleen Russell zamarła.

Wyprawę po Sheridan i Lake Shore Drive wywołała determinacja. Gdy jechała po Montrose, czuła zdecydowanie. Tak samo, gdy mijała cmentarz Graceland, zaciskając jak nawiedzona dłonie na kierownicy.

Ale teraz?

Stała na ulicy, tuż obok małego samochodziku i czuła się taka mała, samotna, obnażona. Mrugała w krwistoczerwonym blasku markizy. Wcale nie czuła już odwagi.

Tak naprawdę nawet nie wiedziała, co wcześniej chciała zrobić.

Walić w drzwi?

Wpaść do środka?

Zapytać, gdzie trzymają wampiry?

Znaleźć tego, który zamienił Cassa w potwora?

Wygarnąć im wszystkim?

Kazać im się wynosić z miasta przed zachodem słońca?

A może wschodem?

Stała tam teraz obok samochodu. Nogi wrosły jej w asfalt. Całe ciało oblał zimny pot.

I co teraz?

Teraz poruszyły się cienie, czające się pod markizą i w mroku przy wielkich, czarnych i starych wrotach starego teatru. Wydało jej się, że wylewają się na chodnik i powoli skradają ku niej.

Teraz... Coś chyba usłyszała. Jakieś głosy. A może koszarne szepty, cichy chichot i podłe posykiwania były - powinny być - tylko podmuchami wiatru między starymi ceglami. A może...

Cienie natarły na nią. Nagle zamieniły się w zamazaną plamę.

Nabierające kształtu atramentowe plamy wypadły z otulającej kino ciemności. Długie, blade palce, zakończone jeszcze bielszymi pazurami, wyciągnęły się ku niej. W mroku ukazały się upiorne twarze, podświetlone złośliwymi, czerwonymi oczami i jeszcze bardziej jaskrawymi, głodnymi ustami.

Rozlali się po chodniku, opływając jej mały samochodzik. Wyciągali po nią ręce. A ona stała tam jak wryta. Pragnęła biec, ale nie mogła się ruszyć, zupełnie jak w koszmarze.

Poczuła, jak oblewa ją zimno. Tym razem nie wywołał go wiatr. Nagle poczuła lodowaty chłód, cuchnący seksem, cmentarzem i zgniłymi kwiatami.

Poczuła na twarzy cuchnący oddech.

Zimne palce dotknęły jej ramienia, a potem musnęły włosy.

Zimna dłoń potarła jej rękę.

Colleen ujrzała, jak jeden z cieni przybiera postać dziewczyny, a inny chłopca. Mieli białe twarze, czerwone oczy i ukazujące się w

szerokim uśmiechu białe kły. Zaczęli iść ku niej ostrożnie. Znaleźli się ledwie metr od niej. Tyle ich dzieliło od...

Krzyknęła.

Nagle zaszczeakał pies.

- Chodź tutaj! - Jej rękę schwyciła czyjaś dłoń. Tym razem była silna i ciepła. Jednym szarpnięciem wyrwała ją z letargu. Kobieta krzyczała, ale Frank Hoelevich zaczął ciągnąć ją na drugą stronę Damen. Sox cały czas czekał i warczał. Pies wyglądał jak skrzyżowanie owczarka szetlandzkiego i furii. - Chodź, ale już! - Staruszek pojawił się znikąd. Ciągnął ją i psa. Ale cienie ruszyły za nimi. - Biegnij, do cholery!'

W końcu odzyskała panowanie nad sobą i pobiegła obok staruszka i psa.

Pędzili przez ciemne przejście między budynkami. Czuli, jak chłód podąża tuż za ich plecami. Słyszeli szydercze szepty, odbijające się echem między budynkami. Frank otworzył kopniakiem tylne drzwi i wciągnął Colleen do środka. Sox ledwo zdążył, nim jego pan zatrzaskał drzwi.

Ale wciąż czuli, jak upiorne zimno przesącza się przez drewniane ściany.

- Dopadniemy cię następnym razem, staruchu.

- I twojego psa też.

Pięści uderzyły we drzwi. A niech to, Frank Hoelevich i Colleen Russell widzieli na własne oczy, jak do środka wpełza mróz.

- Następnym razem kolej na ciebie, staruchu. I na ciebie, ruda. Nagle wszystko zniknęło: zimno i głosy. Tak po prostu.

Rygle i łańcuchy zaszczeakały, wsuwając się na miejsce.

- Kim... - Colleen próbowała złapać oddech. - Kim pan jest? Frank pochylił się, by odpiąć Soksowi smycz.

- Wejdźmy na górę. Te wstrętne istoty chyba nie będą próbowały wejść do środka. Przynajmniej tak dotąd było. A ja się pilnuję, żeby ich nie zaprosić. - Colleen poszła po schodach za staruszką i psem. Wprowadził ją do czystutkiej i malutkiej kuchni na piętrze domu. Światła się paliły i wszędzie było jasno i tak normalnie. Opadły ją kuchenne wonie domowych obiadów i parzonej kawy. Rzeczywistość. - Siadaj. - Frank odsunął krzesło od kuchennego stołu. Sox podreptał do miski z wodą i chleptał głośno. - Zrobię ci kawy. - Zdjął z kuchenki staromodny, blaszany dzbanek na kawę i wyjął z szafki

kubek. - A może masz ochotę na coś mocniejszego? - Zaprzeczyła ruchem głowy i opadła na krzesło. Pies skończył pić i usiadł u jej stóp. Ciepła karmelowa sierść ułożyła się na wierzchu jej tenisówek. - Co ty tu, u diabła, robisz? - Frank postawił parujący dzbanek na stole tuż przed nią. - Oszalałaś? - Nie odpowiedziała. Sięgnęła po dzbanek, ale zbyt jej się trzęsły ręce. Wylała kawę na stół. - Nie jesteś jedną z tych wariatek, które próbują się tam dostać, prawda? - Usiadł przy stole ze swoim kubkiem i upił łyk. Wyjął cygaro z kieszeni koszuli. - Nie masz nic przeciwko? - Znow zaprzeczyła. Frank zapalił. - Żona wyjechała na jakiś czas. Zabiłaby mnie, gdyby się dowiedziała, że palę. Pewnie wyczuje je, gdy tylko wróci do domu. - Odwrócił się i zaczął wpatrywać się w ciemność za drzwiami kuchni. - Jeśli jej pozwolę wrócić do domu. - Spojrzał przez korytarz na salon, gdzie zza żaluzji sączyła się bladoczerwona poświata. - Nie wyglądasz mi na jedną z tych wariatek. To znaczy tych, które chcą się tam dostać. Och, teraz przez większość nocy tkwią tam, pukając w te cholerne drzwi. Jęczą i błagają, żeby je wpuścić. - Odwrócił się ponownie ku Colleen i wypuścił niebieski obłok dymu. - A oni je wpuszczają. No, pewnie, że tak.

Wtedy nie wytrzymała. Załamała się i zaczęła płakać.

- To znaczy, że pan o nich wie? Wie pan, o co tam chodzi?

- Oczywiście, że wiem - odparł. - Przecież mieszkają po drugiej stronie tej choleralnej ulicy. - Wypuścił wielką chmurę dymu i śledził ją wzrokiem. - Widziałem ich.

Colleen podniosła wzrok i wytarła łzy wierzchem dłoni.

- Ja też.

Wyciągnął ku niej wielką niedźwiedzią łapę, która niegdyś dźwigała galonowe puszkę z farbą i wrzucała żelazne rury do sklepu na parterze. Ta ręka trzymała garandę M - 1 w błocie i śniegu w Europie i zaledwie parę minut temu zatrzasnęła drzwi przed nosami tamtych istot. Sięgnął ponad kuchennym stolikiem i wziął o wiele mniejszą dłoń Colleen. Kobieta poczuła się najpewniej i najbezpieczniej w życiu.

Staruszek wsunął drugą ręką cygaro w usta, przysunął kubek bliżej niej i powiedział:

- A teraz mi wszystko, dziecko, opowiedz.

Rozdział dwudziesty siódmy

Nawet najgorszy korek nie mógł Jeffowi zepsuć humoru tego poniedziałkowego poranka.

Choć panował chłód, mężczyzna otworzył okno i wywiesił na zewnątrz rękę. Postukiwał palcami o karoserię w rytm starych przebojów rockowych. Co z tego, że minivan mrugał kierunkowskazem bez przerwy od trzech kilometrów? Zignorował go. Chevrolet malibu, w którym kierująca kobieta żonglowała szminką i papierowym kubkiem z kawą, cały czas wgapiona we wsteczne lusterko, nieustannie zbaczał z drogi i zjeżdżał na sąsiednie pasy. Ale Jeff ledwo go zauważał. Krawaciarz w jaguarze z komórką i laptopem wymusił na nim pierwszeństwo na Kedzie Avenue.

Też nawet nie mrugnął.

Uśmiechnął się i wskazał mu, by jechał dalej.

Nie myślał nawet o pracy. Na pewno nie dumał nad słownymi utarczkami z Blair Armstrong ani o wykreślonych artykułach, ani niezbyt subtelnej przemianie „Charade” w półpornograficzne pisemko z obleśną modą. Do diabła, nie myślał nawet o tym, czy rzeczywiście jeszcze tam pracował.

Jeff Stancheck był jedynie w stanie rozpamiętywać sobotnią noc.

A raczej niedzielny poranek.

Obudził się, mając u boku gorącą Terri Shepherd, która tuliła się do niego pod kołdrą. Wsunęła nogę między jego kolana, położyła na piersi małą rączkę i pochrapywała cicho, a zagładające przez żaluzje słońce kładło się złotymi promieniami na jej ślicznej, elfiej twarzyczce.

Terri obudziła się w niedzielę i bez słów zaczęła się z nim delikatnie kochać. Jesienne słońce oblewało ich, gdy tłumili westchnienia i pojękiwania, w ciszy przeżywając rozkosz. Potem skierowała się ku łazience, przekradając obok drzwi sypialni Jacks, ściskając w garści dzinsy i resztę ubrań.

Niedzielnego poranka, zgnębiona poczuciem winy, Jacks weszła zaspana, szurając nogami, do kuchni. Natychmiast dobudził ją zapach smażonych przez Terri jajek i bekonu.

Siedzieli w trójkę przy stole aż do południa, gawędząc i przekazując sobie „Sunday Tribune” ponad drugą filiżanką kawy. Jeff nawet nie potrafił się gniewać na Jacks za to, że wróciła zbyt późno w nocy, ani za to, że piła, choć nie pozostawały co do tego żadne

wątpliwości. Po prostu za bardzo cieszył się z tego, co słyszał, z ich rozmów, śmiechów i radości z wzajemnego towarzystwa. Wyglądali tak, jakby spędzili ze sobą tysiąc takich niedzielnych poranków.

Jakby stanowili rodzinę.

Brazowy parterowy domek z cegieł na Karlov Avenue w końcu ożył i stał się prawdziwym domem, takim, jakim miał zawsze być. Od wielu lat Jeffowi tego brakowało.

Może zawsze czuł ten brak.

Teraz jednak wyjechał powoli trans amem ze Stevenson Expressway na Lake Shore Drive. Jezioro Michigan majaczyło po drugiej stronie McCornick Place i Meigs Field. Błękitna latem woda jesienią zmieniała kolor na szary. Wietrzyk wiał tu chłodniej, dlatego niechętnie podniósł szybę. Powoli zmierzał ku śródmieściu i wieżowcom, dominującym nad szerokim pasem zieleni Grant Parku. Już sam ten widok sprawił, że zniknęły wspomnienia idyllicznej niedzieli nad kuchennym stołem. Bezskutecznie trąbiące klaksony, obłąkane chmury spalin, wlokące się za sunącymi ślamazarnie samochodami, starły mu z twarzy głupi uśmiech, który zastąpił zmarszczeniem brwi.

Budynek Whitestar Media wznosił się na wprost, górując nad szeregami smukłych wież ze stali i szkła.

Gdy parkował samochód i pospiesznie szedł znajomą trasą do Michigan and Fairmont Court, piątkowe popołudnie wróciło do niego z całą mocą. Przypomniawszy sobie „Charade Magazine”, Blair Armstrong, utarczki za zamkniętymi drzwiami i ultimatum. Niedzielny uśmiech zniknął bez śladu. Wszedł przez obrotowe szklane drzwi i skierował się ku windom.

Ale zatrzymano go przy stanowisku ochrony budynku, znajdującym się w głównym holu.

- Pan Stancheck?

Jeff przystanął, gdy zza kontuaru wyszło dwóch strażników w mundurach. Na twarzach mieli wyraz napięcia, graniczącego z podnieceniem, jakby wreszcie mieli okazję zrobić coś związanego z ochroną budynku.

- Jest pan proszony o stawienie się natychmiast na czternastym piętrze. Uśmiech powrócił na twarz Jeffa, ale tym razem wyrażał jedynie ironię.

- Czternastym? Kadry, jak mniemam?

- Tak, proszę pana. Czy mógłby pan też oddać identyfikator Whitestar?

*

Frank Hoelevich strzepnął wióry ze swoich krzepkich ramion, trzymając w zgięciu nad ramieniem słuchawkę telefonu na kuchennej ścianie.

- Tak, kochanie. Wiem, że nie są tak drogie, jak myśleliśmy. Mówiłaś to już w zeszłym tygodniu.

Ale Libbie nie dawała tak łatwo za wygraną. Wierciła Frankowi dziurę w brzuchu za każdym razem, gdy dzwoniła z Florydy. Opowiadała, że siostra oprowadzała ją po mieście, a domy z ogródkami nie były wcale takie drogie, mieszkania sprzedawano właściwie za bezcen i podatki od nieruchomości stanowiły tam niski koszt. Mówiła, że południowe słońce grzeje bez względu na to, czy panuje jesień czy nie, zawsze na poziomie dwudziestu czterech stopni.

- Lib, czy możemy omówić to kiedy indziej? Co? Nie, w niczym mi nie przeszkadzasz. Nie, w kuchni nie mamy żadnej imprezy z pokerem. - Linoleum na podłodze przykryła warstwa beżowych wiórów, formując zgrabne koło wokół jego roboczych butów. - Libbie, po prostu stawki są teraz takie wysokie. Powinnaś dzwonić po dziewiątej, tak jak poprzednio. Dobrze, skarbie. Tak, tęsknię za tobą. Baw się tam dobrze. Tak, Lib, zbieraj broszury agencji nieruchomości. Pa, kochanie.

Frank odwiesił telefon na ścianę, obiecał zetrzeć wióry i skierował się ku tylnym schodom. Odkrył, że Sox siedzi dokładnie w tym samym miejscu, w którym go zostawił, gdy zadzwoniła Libbie.

- Sox, czy przestaniesz to obgryzać? Przez tydzień będziesz rozsiewał trociny.

Karmelowo - biały półszetland podniósł wzrok na Franka i wydawał się uśmiechać półgębkiem, po psiemu. Potem zanurzył się z powrotem w kupie wiórów, zaścielających podłogę. Wycieczki do zamkniętego sklepu na parterze domu stanowiły dla psa przygodę. Libbie nigdy już tam nie schodziła. Sam Frank rzadko tu zaglądał, zwykle tylko po to, by wypalić pół taniego cygara, gdy padał gęsty śnieg, a mróz na zewnątrz sprawiał, że jego wymówka z wyprowadzaniem psa na spacer stawała się niewiarygodna.

Jaskrawe, białe światło jarzeniówek padało na stare zakurzone półki sklepowe. Prawie wszystkie świeciły pustkami. Frank sprzedał

większość wyposażenia po zamknięciu Sklepu Żelaznego Hoelevicha jakiemuś Cyganowi na pchlim targu. Cygan kupił rzeczy, za którymi przepadała klientela jego kramiku z mydłem i powidłem: puszki z farbami Glidden i Pittsburgh, narzędzia Snap Lock i Stanley, urządzenia Black & Decker oraz drogi osprzęt elektryczny. Stary sklep ogołocono, pozostawiając przerdzewiałe półki. Zaśmiecały je pozostałości po niegdyś kwitnącym rodzinnym interesie: stosik miedzianych rur w kącie, stary odlew, resztki tapet i części zamienne do tosterów i szybkowarów, których już nikt nie produkował. Pan Mydło i Powidło i jego zszargana ciężarówka wzgardzili wielką gwintownicą do rur, nożem do cięcia szkła, mieszalnikiem do farb i zbyt ciężką do przeniesienia tokarką.

Sox leżał w stosie opiłków u stóp tej zbyt ciężkiej do przeniesienia tokarki, wesoło skubiąc zakręcone wióry z kupki, która sięgała jego kudłatej głowy. Psu ani trochę nie podobał się pisk silnika tokarki i warczał cały czas, gdy Frank przyciskał pedał, przycinając stos czterocentymetrowej szerokości sosnowych kołków i starych drążków od szaf, aż nabierały poręcznej długości, a potem rzucał je na starą tarczę tokarki.

Maszyna szybko sobie z nimi radziła, zaostrzając czubki kołków. Tak przygotowane, stanowiły śmiertelne zagrożenie.

*

- Tato, co robisz? - Jeff odkapslował kolejne piwo. Gapił się gdzieś w przestrzeń. Jacks usiadła naprzeciwko przy kuchennym stole i upuściła plecak na podłogę. - Tato?

- Hm? - Wziął łyk piwa. Przed nim na stole stały dwie puste butelki.

- Będziesz tak siedział cały dzień i pił piwo? Nie chcesz porozmawiać? - Nie odpowiedział. Sięgnęła do kartonu pośrodku stołu ze znajomym logo Whitestar Media Group na wierzchu. Zajrzała do środka. - Co to ma być?

- Hm? Och, to. Moje rzeczy. Osobiste. Ochrona pozwoliła mi je zatrzymać. Jakiś niedojda z kadr musiał je rano spakować. Są niezwykle sprawni w tych kwestiach. Już się to nie nazywa wywaleniem z roboty. Dzisiejszego ranka przeprowadzono ze mną „rozmowę terminującą”. Dokonują „alternatywnie ukierunkowanych przesunięć kadry graficznej”, jak to określili. „Obecnie skupiają się na nowych kulturalnych trendach globalnych i starają się trafić w nisze

rynkowe, pozwalające maksymalizować nowe, wielopoziomowe i synergistyczne inicjatywy marketingowe". Czy inne gównu. Jezu.

Skinęła głową, patrząc, jak ojciec jednym tchem pochłania pół piwa.

- Rozmawiałeś z kimś? Może z tą dziewczyną w dziale? Russell?

- Próbowałem, ale nie pojawiła się dziś w biurze. Może moja mała kłótnia z Blair wystraszyła cały dział. Ale to dobrze dla niej. Mam nadzieję, że odejdzie. Może uda mi się coś dla niej znaleźć, jakąś normalną pracę. - Zajął się piwem. - Gdy tylko sam sobie coś znajdę.

- A co z twoją dziewczyną? Wiesz, wygląda mi na to, że mógłbyś jej się wypłakać w rękaw. To znaczy myślę, że na pewno Terri chciałaby dzisiaj wpaść, pogadać... no, wiesz.

Dopił piwo i potrząsnął głową.

- Może zadzwonię do niej później. Ale nie teraz. Nie jestem...

- W nastroju?

- Dobrze powiedziane.

- A co powiesz na jakiś superobiad? Coś...

- Nie kłopotz się, skarbie. Nie jestem głodny.

- Tylko spragniony, nie? Zmarszczył brwi.

- Mała, uważaj.

- Nieustannie to robię. - Przysunęła do siebie pudełko Whitestar.

- To przynajmniej rozpakuję ci rzeczy. - Wetknęła karton pod ramię, drugą ręką łapiąc plecak. - W takim razie zajrzę do książek, dobra? Mam jutro test z historii, a do tego Boynton zawałił nas programowaniem. - Ale widziała, że ojciec jej już nie słuchał, mimo że kiwnął głową. Okręciła się na pięcie i wyszła z kuchni.

*

Colleen Russell nie mogła odebrać żadnych telefonów od Jeffa.

A przynajmniej nie w biurze. Tego poniedziałku nie poszła do pracy. Nie mogła sobie zresztą wyobrazić, że kiedykolwiek tam jeszcze pójdzie. Jak by to było, patrzeć na puste boksy Tima i Ivy i udawać, że się nic nie stało, jakby wymknęli się na kolejną schadzkę.

Nie miała na tyle odwagi, by wrócić do mieszkania. Wcale nie była pewna tego, co może tam odkryć.

Cassa?

Cassa, który leżałby na łóżku, zimny i martwy, ale niezupełnie bez życia?

A może Gabrielle i kilka potworów, oczekujących na nią w salonie?

Od świtu krążyła bez celu po ulicach miasta w kaszłym samochodzie. Nie spała całą noc, siedząc w kuchni Franka Hoelevicha. Słyszała same straszne rzeczy i rewanzowała się równie przerażającymi.

Koło południa zaczęły jej ciężać powieki.

Zanim słońce zawisło nad wyższymi budynkami, nie mogła już opanować senności. Skręciła ku obleśnemu motelikowi na północnym skraju Lincoln Avenue. Zbyt chciało jej się spać, by zauważyła handel kokainą na parkingu i dziwki odrabiające popołudniową dniówkę w sąsiednich pokojach. Zamówiła jedynekę, zamknęła się w środku, padła na łóżko i natychmiast zasnęła.

*

Frank zostawił zaostrzone kołki i drażki obok maszyny. Sox zaś ponownie ułożył się w stosie wiórów, gdy tylko Frank wyłączył hałaśliwą tokarkę. Frank siedział na krześle za kontuarem. Podniósł oczy i już miał znów powiedzieć psu, żeby zostawił wióry, ale powstrzymał się.

- Och, a baraszkuje sobie, kolego. Pewnie też możesz pofolgować swojej naturze, co?

Sox zanurkował w świeży stos, a jego pan wrócił do sześciokilogramowego ciężaru na kolanach, zbudowanego z błękitnej stali i wytartego drewna.

Wsunął ostatni z magazynków kalibru 30 mm do ładowanego od góry, automatycznie otwierającego się podajnika. Załadował ich dziesięć, a każdy z nich mieścił osiem naboje. Tylko tyle mógł zdobyć w sklepiku z militariami na Ashland Avenue. Sporo go to kosztowało. Do diabła, nie wiedział nawet, czy te stare naboje wypalają, czy wybuchną mu prosto w twarz.

Załadowawszy ostatni magazynek do podajnika, Frank podniósł garandę M - 1, wojskowy model z 1943 roku i dmuchnął w pustą komorę. Zważył broń w rękach i wycelował w podziurawioną puszkę po białej farbie Glidden Eggshell po drugiej stronie sklepu. Pociągnął za świeżo naoliwiony spust, usłyszał metaliczny trzask...

I zadrżał.

Przed oczami zatańczył mu tysiąc paskudnych wspomnień. Obrazy i dźwięki sprzed pięćdziesięciu lat zatrzęsły starymi kośćmi

Franka Hoelevicha. Nagle poczuł się jeszcze starszy. Zwlóknął się z krzesła i podszedł do pustego okna wystawowego sklepu. Z bronią w rękę przypominał sobie długie marsze w mrozie, przeraźliwie zimne i wilgotne noce, rzeź i śmierć kolegów w miejscach, skąd nigdy nie mieli już wrócić do domu. Ale gdy podchodził do okna i sięgał do żaluzji, przypominał sobie też zeszłą noc.

Pamiętał tę dziewczynę.

Colleen.

Colleen Russell, tak się przedstawiła. Siedziała z nim i rozmawiała całą noc, aż nad jeziorem wzeszło słońce. Potem poszła. Nie wiedziała nawet, dokąd ma iść, i nie słuchała go, gdy ją błagał, by została. Opowiedział jej o dobrym, starym Gilu Silverzie z kościoła Świętego Alstantiusa, który z pewnością pomoże coś wymyślić. Nie, po prostu wyszła i przecięła Damen Avenue. Wschodzące słońce zabarwiło ją na różowo. Chwilowo była bezpieczna. Wsiadła w swój maleńki, zagraniczny samochód i odjechała nie wiadomo dokąd. Frank przypominał sobie, jak wyglądała jej twarz, gdy odwróciła się, by mu pomachać przed odjazdem. Przerażona, samotna i ponura, jak twarze jego kolegów w St. Vith i Hurtgen.

Frank odsłonił żaluzje i pomyślał o dziewczynie, takiej zagubionej, samotnej i przerażonej do obłędu, jak tysiące żołnierzy na zimnych wilgotnych plażach Omaha i w mokrym zimnym śniegu Ardenów. Frank spojrzał gniewnie na potworny budynek po drugiej stronie ulicy - czarny, brzydki i złośliwy rzucał cień i uosabiał piekło na ziemi. Staruszek pociągnął za sznurek i żaluzje zasunęły się z trzaskiem.

Podszedł do kontuaru odrobinę pewniejszym krokiem. Nawet Sox podniósł wzrok i aż pochylił karmelową, kudłatą głowę pod wpływem lodowatego, zrezygnowanego, lecz gniewnego spojrzenia oczu swego pana.

Frank załadował ośmiostrzałowy magazynek do garanda M - 1 i ponownie przesunął po lufie nasączoną olejem szmatką.

*

Jacks pochłonięła drugiego tosta z tuńczykiem i odsunęła od siebie papierowy talerzyk. Pod lampką leżał otwarty podręcznik do historii świata. Notatki z programowania komputerowego Boyntona walały się równie bezużytecznie po drugiej stronie biurka. Na nich też nie mogła się skupić. Tata kończył w kuchni drugi sześcioopak, a w jej

myślach wciąż pojawiała się sobotnia noc, gdy Brad po raz pierwszy wsuwał rękę w...

Z trzaskiem zamknęła podręcznik i zsunęła się z krzesła. Idąc korytarzem, zajrzała do kuchni. Ojciec nie włączył światła. Wczesny, jesienny wieczór już pograżył pomieszczenie w ciemnościach, ale dziewczyna słyszała dźwięk zdejmowanego kapsla i stuk butelki o blat. Wiedziała, że ojciec wciąż pije.

Zakradła się na palcach do jego gabinetu, zaaranżowanego w trzeciej malutkiej sypialence, którą szczelnie wypełniło biurko, segregatory, komputer, stół kreślarski i taboret. Podeszła wprost do pudła Whitestar i otworzyła je. Lepsza część całej kariery ojca została podsumowana w serii niewinnych szpargałów: kilka gadżetów na biurko, oprawione w ramki certyfikaty potwierdzające osiągnięcia w dziedzinie grafiki, trzy plakietki pracownika roku „Charade”, kilka listów i książek, grawerowane pióra i nagrody, malinowy skoroszyt pełen oficjalnych formularzy kadrowych Whitestar z podpisami potwierdzającymi zwolnienie z pracy. Starannie odłożyła je na bok.

Prawie przeoczyła trzy dyskietki, zabłąkane wśród kopert i papierów. Ktoś spiął je gumką. Dyskietki miały za sobą lepsze czasy, o czym świadczył popękany plastik i powyginane blaszki. Brakowało im etykietek. Na wierzchu przyklepiono karteczkę z wypisaną charakterem ojca notatką: „Wadliwe - wyrzucić albo wysłać Terri”.

Jacks odłożyła resztę rzeczy taty, zgasła światło i wróciła do pokoju.

Czekała, aż włączy się jej komputer. Bawiła się wygiętymi blaszkami dyskietek.

*

Colleen wybudziła się z koszmaru. Otworzywszy oczy, musiała stłumić krzyk.

Podskoczyła na łóżku. Szybko rozglądała się wokół, próbując przypomnieć sobie, gdzie jest.

Niechlujny, ciemny hotelowy pokój rozbłyskiwał rozproszonymi światłami, sączącymi się zza postrzępionych zasłon. Blask był emitowany przez reflektory samochodów na Lincoln Avenue, neon motelu i napis na markizie naprzeciwko: „Klub dla panów”, z którego zniknęła większość liter.

Dziewczyna przetarła pięściami oczy i wymierzyła sobie kilka policzków, aż się zupełnie obudziła. Nerwowo przyjrzała się

kolorowym ceniom, czy nie kryją się w nich kształty ciemniejsze od czerni albo białe twarze mimów, czerwone oczy i szyderczo wykrzywione, potworne usta. Ale cienie w pokoju były tylko cieniami. Spelzła więc z nierównego łóżka i podeszła do okna, szurając stopami.

Uchyliła rąbek zasłony. Z bliska materiał przeraźliwie cuchnął pleśnią i dymem z papierosów. Cały pokój śmierdzał tytoniem, rozlanym alkoholem, rzygami i suchymi pozostałościami po obrzydliwym seksie.

Dziewczyna wyjrzała zza ledwie rozchylonych zasłon na Lincoln Avenue. Samochody pędziły, oblane światłem latarni. Zerknęła na dwie dziwki, które pracowały na rogu, ubrane w skórzane kostiumy i motocyklowe czapki, łapiąc się za krocze i wysuwając języki w stronę przejeżdżających obok bogatych samochodów. Dwie inne biły się na przystanku autobusowym, pewnie o pozycję na ulicy. Patrzyła, jak mięczakowaty nastolatek w dużym volvo o wyglądzie chłopca z północnych przedmieść podaje garść pieniędzy nerwowemu, wychudłemu studentowi. Volvo odjechało, gdy tylko porcje kokainy zniknęły w oknie kierowcy. Przyglądała się, jak na parking wjechały dwa samochody i wyłączyły światła. Tłusty, siwy pan w garniturze i piersiasta blondyna w krótkiej spódniczce pomknęli do sąsiedniego pokoju. Colleen opuściła zasłony, gdy rozległy się postukiwania, jęki i piski, tłumione jedynie popękana gipsową ścianą.

Przeszła przez pokój i włączyła telewizor. Obraz strasznie śnieżył, ale wczesne wydanie wiadomości o dziewiątej nie zawierało niczego oprócz wstrząsających informacji o ostatnim wyniku Bearsów. Szła dalej, zmierzając do łazienki. Nagle poczuła, że musi się wysikać. Włączyła światło i zdjęła džinsy. Naga żarówka oświetliła brudną ścianę i kafelki na podłodze. Zrzuciła džinsy i zostawiła je na podłodze pod stopami. Sama usiadła i przysłuchiwała się wiadomościom. Zastanawiała się, jak ktokolwiek może gadać o futbolu i Bearsach, żartować z prezenterką, zupełnie jakby wszystko świetnie szło, jakby wokół było normalnie, jakby wciąż trwał kolejny jesienny wieczór. Zupełnie, jakby nic się nie działo, a w całym mieście nie zdarzyło się nic niegodziwego.

Nie, nic takiego się nie działo... prócz tego, że miastem zawładnęły wampiry.

Umyła ręce w brudnym zlewie i spojrzała na brudne ręczniki, ale zdecydowała się z nich nie korzystać. Wytarła ręce do sucha w dzinsy i wyszła z łazienki. Najpierw podeszła do drzwi pokoju i ponownie sprawdziła zamek i okno, które i tak się nie otwierało. Potem wróciła do łóżka. Rzuciła się na materac, zdjęła tenisówki i ściągnęła białe skarpetki, które miała na sobie od półtora dnia. Bolały ją stopy, głowa i serce. Całe ciało dawało o sobie znać. Drżała z przerażenia, co będzie z Cassem, z nią samą, Timem i Ivy, starszym o imieniu Frank i całym cholernym miastem.

Owinęła się brudną narzutą i gapiła tępo w telewizor.

Kolejne morderstwo. Jeszcze jeden gwałt. Ponowna kradzież. Tego wieczoru wszystko w Chicago było w najlepszym porządku. Wszystko było normalne.

Tylko że wystarczyło zestawić ze sobą te wydarzenia. Bo ona widziała nici, wiążące ze sobą poszczególne przestępstwa, tak jak jej opowiedział starszek zeszłej nocy. Tu morderstwo, tam zaginięcie. Obserwowała, jak reporterzy popisują się przed kamerą, relacjonując zdarzenia z miejsca zbrodni. Słuchała informacji: nadal prowadzone jest śledztwo w sprawie brutalnego morderstwa popełnionego na młodej bibliotekarce w filii na północnych przedmieściach. Tu morderstwa, tam samobójstwo, ówdzie nieistotna śmierć, taka jak w wypadku córki lokalnego komisarza do spraw licencji na alkohol, najprawdopodobniej spowodowana przedawkowaniem. Uciekinierzy z domu, zaginieni, od trzech dni nieobecna nastoletnia królowa przedmieść, która zniknęła wraz z najnowszym narzeczonym. Gdzieniegdzie gwałt albo włamanie, najnowsza seria napaści w modnej dzielnicy Lakeview. Kamera pokazała jedną z ofiar, studentkę o szklanych oczach, która wyglądała bardziej na podekscytowaną niż pokrzywdzoną. Zeszłej nocy bandy grasowały w metrze, a gromady rozbestwionych nastolatków demolowały nobliwe sale kampusu Uniwersytetu Chicago w Hyde Parku. Ktoś dokonał aktu wandalizmu w magazynie zakładu pogrzebowego w zachodniej części miasta. Nastąpił nagły wzrost kradzieży samochodów podczas transakcji narkotykowych na North Avenue przy rampach Kennedy Expressway.

Wystarczyło tylko połączyć ze sobą te zdarzenia.

Jej własna siostra Megan, redaktor naczelna „Charade Magazine” - „Charade”, nowego pasożyta miasta - wykonała łabędzi taniec ze

szczytu Hancock Building. Przykro nam, panno Russell, nie możemy tym razem znaleźć żadnych poszlak.

No pewnie.

Wystarczy to wszystko połączyć ze sobą.

Tak jak jej powiedział staruszek.

On do wszystkiego doszedł sam, a przecież nie miał współlokatora wampira. Ani byłego współlokatora. Ani...

Nie, on tylko mieszkał naprzeciwko całego gniazda wampirów.

*

Jacks zajęła się giętkim, cienkim niczym opłatek krążkiem magnetycznym. Umieściła go w otworzonej plastikowej oprawie dyskietki, a potem ją zamknęła. Zbadła palcem szew, a potem podniosła drugą dyskietkę, na której dopiero co wykonała taką samą operację. Obie wyglądały dobrze. Wsunęła jedną w komputer i czekała całą wieczność, podczas gdy na ekranie maca obracały się wskazówki na malutkiej tarczy zegara. W końcu zupełnie nieoczekiwanie zatrzymały się. Dziewczyna dwa razy kliknęła myszką. Dysk otworzył się i na ekranie pojawiła się długa lista plików. Gdy przeszła kursorem na pierwszy z nich i kliknęła dwa razy, by go otworzyć, usłyszała, jak w kuchni dzwoni telefon. Usłyszała, jak od stołu odsuwa się krzesło, a potem ojciec bełkocze do słuchawki: „Halo”.

Z powrotem spojrzała na monitor: „Nie można otworzyć pliku. Zachowaj w innym formacie i spróbuj ponownie”.

Jeff z powrotem usiadł na krześle ze słuchawką w ręku. Sięgnął po kolejną butelkę piwa.

- Nie, jestem tu, Terri. Nie, nic mi nie jest.

- Słyszę, że coś ci jest.

- No dobra, coś mi jednak jest. - I zaczął jej wszystko opowiadać.

Kiedy skończył, w telefonie przez długą minutę panowała cisza. W końcu Terri stwierdziła:

- Jeff, nawet nie wiem, co ci powiedzieć. Nie mogę uwierzyć, że ci dali odejść. Tak po prostu. Z powodu jakiegoś głupiego artykułu.

- No cóż, lepiej uwierz. I to nie był jakiś tam głupi artykuł. Och, do diabła, to wcale nie był artykuł, tylko coś więcej. Nie pasowałem do nowego „Charade”. Nie pasowałem do nowej Blair. Po prostu wkurzyłem się, że nie miała na tyle jaj, by mnie sama wywalić, tylko kazała gnomom z kadr wszystko za nią zrobić.

- Jesteś pewien, Jeff, że wszystko stało się z powodu pracy?
- Czy jestem pewien... Co masz na myśli?
- Czy nie z powodu czegoś innego?
- To znaczy czego?
- A może: kogo?
- O czym ty mówisz, Terri?
- Jesteś pewien, że nie poszło o ciebie i Blair?
- Tak, jestem cholernie pewien.
- To dobrze. No cóż, do diabła z nimi, Jeff. Nie wiedzą, co stracili, takie jest moje zdanie. I szybko do tego dojdą, gdy już się znajdziesz gdzie indziej. I to na pewno w lepszym miejscu.
- Pani detektyw, jest pani niezła w pocieszających gadkach.
- Jeff, jeśli chcesz, mogę przyjechać. Dojazd nie zajmie mi dużo czasu. Możemy pogadać, możemy...
- Lepiej nie. Naprawdę, bardzo dziękuję ci za propozycję, ale szczerze mówiąc, jestem już prawie pijany. Nie sądzę, żebym był dziś dobrym towarzyszem. Rano wszystko będzie lepiej wyglądało. Ja będę lepiej rano wyglądać.
- Jesteś pewien?
- Całkowicie.
- Dobrze, ale jutro wieczorem gdzieś wychodzimy. Możesz być pewien. Albo ja do ciebie przyjadę. Albo coś wymyślimy.
- Pewnie, Terri. Możemy o tym jutro porozmawiać, gdy już będę w stanie myśleć.

Jacks zamknęła plik i otworzyła następny. Ten się otworzył, ale nie było z niego żadnego pożytku. Otworzyła kolejny - był tak samo pozbawiony sensu. Kiedy otworzyła pięć kolejnych plików, początkowo zwyczajnie czuła zadowolenie z siebie z powodu uratowania dysków. W trakcie operacji myślała, czy będzie w stanie wykorzystać coś z tego cudu w trakcie projektu Boyntona. Ale nagle odkryła, że intrygują ją pozornie niepowiązane ze sobą fragmenty informacji na dyskach.

Do kogo należą?

I czego dotyczą?

Pliki zawierały zapisy biegłego rewidenta hrabstwa na temat jakiejś nieruchomości w północnej części miasta. Cokolwiek to było, zmieniało właścicieli sześciokrotnie w ciągu sześciu lat.

Potem transkrypcje rozmów telefonicznych. Hermetyczne rozmowy z kimś, kto sprawiał wrażenie taniej dziwki. Inicjały: N.K. Dopiero później odkryła w końcu, co oznaczały.

Nicky Kolitzky.

Sformatowane e - maile od rządowych agencji z Europy. Może z Niemiec. Nie, z Austrii. Jeszcze kilka ze... Słowacji? I Republiki Czeskiej.

Pojawiło się kilka fragmentów, najprawdopodobniej pochodzących z raportów finansowych Whitestar. Kolumny pozbawionych znaczenia cyfr i symboli dolarów. Przelewy z tego budżetu na tamto konto.

Następnych kilka plików otwierało się, ale pokazywały strony pełne bezsensownych znaków. Jacks zmieniała format, zachowywała i otwierała ponownie, próbując każdego hackerskiego triku, którego nauczyła się, by dostać piątkę z informatyki u Boyntona. W końcu udało jej się otworzyć jeszcze kilka z nich.

Teraz dopiero się zainteresowała.

Jeden z nich przedstawiał historię Palace Theater. Jacks, i pewnie każdy dzieciak w szkole, a być może w Chicago, wiedziała, co mieściło się w Palace Theater.

Pewien klub zwany GOTHIQUE.

*

- Colleen. - Wierciła się na łóżku, wtulając twarz w spleśniałą poduszkę. - Colleen, hej, otwórz, dobrze?

Usiadła nagle, wyprostowana. W ciągu sekundy zebrała myśli. Przypomniała sobie: wstrętny motel przy Lincoln Avenue. Zmrużyła oczy i wpatrzyła się w radiobudzik, wskazujący godzinę: 4.36. „Już rano” - pomyślała.

- Colleen, proszę - Głos dobiegał zza drzwi.

Za zasłoniętym oknem widziała... Coś widziała. „Cień? Sylwetka? Sen? Kolejny koszmar? Cass?” To musiał... to musiał być Cass. Ześliznęła się z łóżka. Idąc ku drzwiom, czuła w pokoju wilgotny chłód. Mokry podmuch lizał jej nagie nogi i stopy. Spojrzała za siebie, w ciemność, ku łazience, gdzie zostawiła dzinsy.

- Colleen, pospiesz się.

- Czekał. - Zdjęła z łóżka żółte prześcieradło i owinęła się. - Już idę. Trzęsła się, choć osłaniało ją prześcieradło. Zmagala się z zamkiem, aż

w końcu przekreśliła gałkę w drzwiach, ale zatrzymała się na chwilę. Odsunęła odrobinę zasłony, ale nie mogła zobaczyć, co się kryje za drzwiami.

- Colleen, pospiesz się!

Przekreśliła gałkę i powoli otworzyła drzwi.

- Cass? - Nic tam nie było. Nikogo tam nie było. Wysunęła głowę, zaciskając wokół siebie prześcieradło. - Ca...Cass? - Powiał lodowaty jesienny wiatr, smagając długimi, rudymi włosami jej twarz. Wyszła na krok z pokoju. Zimny beton mroził jej nagie stopy. Rozejrzała się wokół. - Jest tam kto? Cass, to ty? - Ani słowa. Najwyraźniej nawet dziwki i narkomani już się schowali. Nie licząc jej samochodu, na parkingu panowały pustki. „Mój samochód” - pomyślała. W świetle latarni błyskały odłamki szkła. Boczne okienko od strony kierowcy świeciło pustką. Ktoś siedział w środku. - Cass, czy to...

Reflektory samochodu rozbłysły, oślepiając ją na chwilę.

Wampiry wyłoniły się znikąd.

Puściła prześcieradło i runęła ku drzwiom, ale złapały ją w pół kroku.

Próbowała krzyczeć, ale zimna, cuchnąca dłoń zatkała jej usta. Próbowała walczyć, ale złapało ją więcej zimnych rąk.

Słyszała, jak syczą do siebie nawzajem. Nie była w stanie policzyć ich głosów, tak wiele rozległo się wokół niej:

- Skarbie, wejdiesz do środka i zabierzesz jej rzeczy.

- Człowieku, nie widzisz nieba? Spadajmy...

- Po prostu je weź. Wszystkie. Albo wpadniemy w...

- Koleś, znajdź jej kluczyki.

- Szybko, bez pieprzenia, chcąc, żeby była czysta. Trzymajcie ją mocno i spadamy.

I tak zrobili.

Wieczorne wiadomości WBBK - TV

18.23

- A teraz przeniesiemy się do naszego zespołu na North Damen Avenue, który znajduje się przed nowym klubem nocnym. Całe miasto już o nim mówi. Mary Anne, jesteś tam?

- Dziękuję, Steve. Znajdujemy się przed Gothique, czekając na wielką galę otwarcia, na którą zresztą zaproszono jedynie nielicznych. Już od południa tłumy ustawiły się w kolejce po wejściówki. Policja próbuje sterować ruchem na Damen, ponieważ całą ulicę zajmują ludzie. Jak widać po odnowionym budynku kina i tłumach za moimi plecami, jest to wyjątkowe miejsce, przeznaczone dla niezwykłych gości. Przepraszam panią, jak pani. się nazywa?

- Jak się nazywam? Na tym poziomie świadomości?

- Hm... Widzę, że ubrała się pani w specjalny strój na wielką galę otwarcia. Czy obowiązują tu kostiumy?

- To nie kostium. Nosłam te ubrania, gdy moja poprzednia dusza ułożyła się do spoczynku w roku 1817.

- Hm... Rozumiem. Najwyraźniej wspaniale pani o nie dbała w ciągu tych minionych lat. A teraz pani... hm... pani obecna dusza... Czym się zajmuje na tym poziomie świadomości?

- Jestem stylistką.

- Czy pani wizerunek jest dziełem profesjonalisty?

- Jaki wizerunek?

- Pani... Widzę, że nosi pani parę kłów. W jaki sposób...

- Są prawdziwe.

- Są to pani prawdziwe...

- Tak. Co pani na to, żeby użyła ich na pani jeba... Bip

- Bardzo nam przykro, proszę państwa, najwyraźniej mamy problemy z transmisją z naszego wozu. Zajrzymy teraz do Gaila Gordona, żeby dowiedzieć się czegoś na temat pogody. Po wieczornych wiadomościach czeka na was Koło Fortuny...

GOTHIQUE - UMRZECIE Z ZACHWYTU...

Rozdział dwudziesty ósmy

Ciemność pojawia się na wschodzie.

Każdego wieczoru jesienny wiatr znad Chicago niesie zapach stęchłych liści, zbrązowiełej trawy i letnich odpadków, gnijących w studzienkach. Nocne powietrze wilgotnieje i mrozi. Nogi biegną szybciej ku taksówkom, autobusom i zaparkowanym samochodom. Coraz mocniej pragnie się wsiąść do środka, zanim zapadnie mrok. Choć kilku z przechodniów zdaje się spoglądać w niebo z ciepłym uczuciem, czymś w rodzaju niewyjaśnionego, radosnego oczekiwania. Ale niezależnie od reakcji ludzi, każdej nocy coraz wcześniej rozbłyskują we mgle światła nocy.

*

W jaskrawym, imitującym światło dnia blasku chicagowskiego centrum handlowego Ridge Mall panowała nieustająca wiosna. Detektyw Terri Shepherd, już po służbie, próbowała stłumić śmiech. Starła się, ale nie wychodziło jej. Patrzyła, jak Jeff Stancheck irytuje się, a sprzedawca, niewiele starszy od Jacks, prowadzi go do trój skrzydłowego lustra, by mężczyzna lepiej widział granatowy garnitur w prążki, specjalnie kupowany na rozmowy o pracę. Agencja pośrednictwa pracy umówiła trzy rozmowy w następnym tygodniu. Nowy początek wymagał nowego garnituru. Ale Jeff zerknął tylko na metkę z ceną. Przełknął, widząc pięćset siedemdziesiąt pięć dolarów, i natychmiast zdecydował, że w zupełności wystarczy nowa koszula i krawat, nadający sznyt nowości jego słynnej sztruksowej marynarce.

- Co ty na to... Ty wybierasz koszulę i krawat, a ja restaurację?

- Dobrze. - Zanim zdążył wyjść z przymierzalni, miała przed sobą trzy kombinacje, oświetlone jaskrawym światłem sklepu z męską odzieżą.

*

W domu Stanchecków na południowym krańcu Karlov Avenue zapadły ciemności. Zupełny mrok zapanował w małej sypialni Jacks. Rozświetlała go jedynie poświata monitora. Sama Jacks, wyciągnąwszy długie nogi na biurku, trzymała klawiaturę na kolanach. Towarzyszyły jej torba nachos i słuchawka, przyciśnięta ramieniem do ucha.

- Czeka, Rach. - Palce Jacks śmignęły po klawiaturze, wciskając enter i zamykając plik. - I już. Zapisałam.

- Jak możesz odrabiać pracę domową i jednocześnie rozmawiać przez telefon? - spytała kompletnie zaskoczona Rachel. - A do tego, jak możesz robić pracę zaliczeniową?

- Mam podzielną uwagę, Rach. A zachowanie tego pliku sprawiło, że mam za sobą połowę pracy zaliczeniowej na półrocze u Boyntona.

- O kurczę.

- Hej, wszystko działa, a ja jestem najlepsza na jego zajęciach.

- Och, no pewnie, prezentujesz tajemnicze czary - mary z plikami?

- W zasadzie nazwałam to „Zaawansowaną techniką odzyskiwania danych”, ale zobaczymy, czy czary - mary brzmi równie dobrze.

- Dobra, ziewnę sobie.

- Hej, mówiłam ci, że pliki dotyczyły czegoś dziwnego w Palace Theater, prawda?

- Setki razy, ale ponieważ wszystko to działo się w czasach sprzed Gothique, pozostanę niezainteresowana. Chyba że twój projekt zawiera jakiś magiczny trik gwarantujący zdobycie wejściówek na wielkie otwarcie. Czas ucieka, sama o tym wiesz.

Jacks zwinnie przesunęła myszkę, zamykając plik. Jednocześnie podrzuciła nachos i zgrabnie złapała je w szeroko otwarte usta.

- Raczej nie ma już wcale czasu. Obawiam się, że otwarcie odbędzie się niezwykle szybko, to jest dzisiaj wieczoru i ani ja, ani ty nie będziemy w nim brać udziału. Rachel, daj spokój... Nikt, kogo znamy, tam się też nie dostanie. Wciąż pozostaje mały problem nieletniości.

- Zatrudniłam dziecko do rozpracowania tej kwestii. Rory przysięga, że jest w stanie perfekcyjnie skopiować prawo jazdy stanu Illinois. No, może na tyle doskonale, żeby przepuściła je selekcja. Nawiasem mówiąc, twoja szkolna fotografia wyglądała tres chic w rękach małego.

- Och, no nie... jak Rory dostał w swoje łapy moje...

- Hej, dziecko należy do kółka zainteresowań. Czy do komitetu do spraw kroniki. Albo czegoś w tym rodzaju.

Jacks odstawiła klawiaturę na biurko i zanurzyła rękę w torbę z nachos.

- Mniejsza o to, Rach, wciąż jeszcze mam karę po imprezie.

- Tata nadal ma ci za złe?
 - Rachel, strasznie się spóźniłam. Nie oddałam samochodu. I piłam. Tak, wciąż ma mi za złe.
 - To kiedy ci pozwoli wziąć samochód?
 - Tata mówi, że gdy będę w stanie kupić swój własny. Czyli pewnie nigdy.
 - No cóż, zawsze nam zostaje kolejka. Pomarańczowa linia do czerwonej linii, a potem przesiadka w autobus na Montrose, czy gdzie tam należy pojechać. A może to zielona linia?
 - Rachel, ty się zajmiesz koordynacją kolorystyczną, a później możemy pogadać, dobra?
 - Hm, czyżby ktoś się poddawał? Grzeczna dziewczynka Jacks zastanowi się nad Wieczorem Złych Dziewczynek? Może, gdy dziecku uda się podrobić prawo jazdy, spławimy gówniarza i wymkniemy się w noc? W przyszłą sobotę? A może ten piątek? Powieszmy nieco ukradkiem? Powiemy twojemu tacie, że zostajesz na noc, tak byś nie musiała późno wracać? Przeżyjemy małą przygodę w metrze, a potem stawimy czoło gorącym chłopakom i w końcu zobaczymy jedyną pieprzoną rzecz wartą zobaczenia w tym mieście? Czy to właśnie masz na myśli?
- Jacks zaczęła się śmiać w połowie długiego monologu Rachel.
- Śmiej się ile wlezie, ale założę się, dziewczyno, że już wkrótce ruszymy w mrok Gothique... Śliczni chłopcy strzeżcie się... A propos, odezwał się?
- Jacks nagle przestała się śmiać. Nawet uśmiech zniknął z jej twarzy.
- Nie.
 - Ojej. Zdarza się. Strata Chada.
 - Brada. Miał na imię Brad.
 - Na jedno wychodzi. Widzisz, faceci biorą numery telefonów, a potem zapominają ich użyć. To się im przydarza cały czas. Jak walenie konia pod prysznicem.
 - No dobra, Rachel, to była obrzydliwość dnia. - Jacks przeżuła ostatnie nachos, zwinęła torbę w kulę i wyrzuciła do kosza pod biurkiem. - Ale...
 - Ale?
 - Ale myślałam, że on... no, wiesz, że...

- Boże, dziewczyno - Rachel wrzasnęła w słuchawkę - czy twoja matka wychowywała cię w tym Encino na baptystkę? Myślisz, że skoro trafił ci ręką pod spódnicę, to jesteście zaręczeni? Myśl, Jacks.

- To nie tak. Tylko... naprawdę mi się spodobał.

- Podobał, srodobał. Hej, mam pomysł. Następnym razem, gdy spotkamy Brada, zabawimy się we dwie jak dziewczyny z rozkładówki „Penthouse'a”. Wtedy będzie lazył za tobą z wywieszonym ozorem.

Jacks w końcu ponownie się uśmiechnęła. Zawsze mogła liczyć na nową przyjaciółkę.

- No dobra, udało ci się wymyślić dwie obrzydliwości jednego wieczoru.

- Bomba. Wracajmy do interesów. Widziałam, że robisz notatki na zajęciach z historii świata. Mam jakąś szansę pożyczyć...

Wieczorna rozmowa przyjaciółek trwała mniej więcej do dziewiątej. Tata wyszedł z Terri na miasto i tkwił wraz z nią w odpowiedniku piekła na ziemi: robił zakupy odzieżowe w centrum handlowym. Powiedział, że mogą później wpaść gdzieś na kolację, dlatego zapaliła im lampę nad tylnymi drzwiami. Rozejrzała się i zdecydowała, że mały domek wciąż wyglądał trochę jak z horroru, ogarnięty jesienną ciemnością, zapaliła więc też światło w kuchni i w salonie. Zostawiła ubranie, w którym chodziła w ciągu dnia przy drzwiach garderoby, sama wdziała porozciągany podkoszulek i wskoczyła do łóżka. „Myśl”, doradziła jej Rach. I chciała. Ale gdy przewracała się w łóżku, próbując skupić się na czystym nieprawdopodobieństwie realizacji szaleńczego pomysłu Rachel, który przewidywał przebranie się w gotyckie ciuchy i wejście tej nocy do Gothique - i to podstępem - jej myśli same wracały do imprezy w piwnicy, miękkiej, wygodnej starej kanapy i cudownego, ciepłego uczucia, gdy ręce Brada wodziły po jej spódnicy, a potem... Jacks zatopiła twarz w poduszce i zmusiła się, by zasnąć.

*

Osiemnaście kilometrów lotem ptaka - tyle dzieliło 49 Street i Karlov Avenue od śródmiejskich, błyszczących kanionów wieżowców. Wysoko na dwudziestym siódmym piętrze nad Michigan i Fairmont Court, Roberta Whitehead rzucała się także na swoim łożu, choć zostało wykonane specjalnie na jej zamówienie i miało rozmiary

mniej więcej całej sypialni Jacks. Ponadto tonęło w białej, jedwabnej pościeli z importu.

Pościel była wciąż ciepła i pachnąca od seksu, potu i dwudziestoletniego ciała z... skąd? Z działu prawnego? Księgowości? Operacyjnego? Roberta nie pamiętała nawet jego imienia. Nie rozpoznałaby go, choćby jutro minęła go w holu przy wejściu. Do diabła, zapomniała już nawet o tym przypadkowym seksie, mimo że zapach wciąż przesycił jej pościel.

Każdej nocy Roberta zwabiała do swego apartamentu różnych ładnych praktykantów, począwszy od tamtego przyjęcia, gdy Marek, Drake i ich pobratymcy rzucili się na gości. Teraz to, co niegdyś było pokątnie powtarzaną plotką wśród sław Złotego Wybrzeża, stanowiło pierwszy lepszy temat do obgadania podczas śniadank i do wymiany ciętych ripost w trakcie koktajli dla medialnych tuzów.

Ale choć tak bardzo pożąдали plotek, nie wiedzieli, że to był ostatni raz, kiedy Marek ją posiadał. Od tamtego czasu nawet jej nie odwiedzał. Przesyłał tylko swoich gońców, żeby podpisała papiery. Ostatnią przesyłkę przysłał nawet zwykłym kurierem. Nie odwiedzał jej, nie wzywał do siebie, nie brał jej w ramiona i nie przesuwiał lodowatymi palcami po jej ciele, nie lizał jej szyi i piersi tak, jak to robił tyle piekielnie rozkosznych nocy wcześniej, nie rozchyłał cienkich, zimnych warg, nie wgryzał się, nie pił, nie...

Roberta przewróciła się i odsunęła jedwabną pościel. Sięgnęła ręką ku marmurowemu stolikowi nocnemu, odsunęła na bok butelkę wódki i spojrzała na antyczny zegar. Była dopiero dziewiąta. Wiedziała, że powinna wstać i ubrać się w najlepszą sukienkę, w coś wspaniałego, tak by wszyscy mężczyźni się za nią oglądali, żeby Marek obrócił głowę i przestał wpatrywać się w tę knującą, małą korporacyjną sukę, w którą się teraz wpatrywał. Roberta powinna się ubrać, bo w końcu dziś był wielki dzień. Rzadko bywało tak, że królowa Whitestar Media nie pokazała się na wielkiej gali. Chyba nawet nigdy się to nie zdarzyło...

Roberta podniosła bezcenny antyczny zegar i rzuciła nim w głąb pokoju. Złapała wódkę i piła długo, a potem z powrotem padła na łóżko, tuląc butelkę do piersi.

*

Knująca, mała korporacyjna suka siedziała przy swoim biurku kilka pięter pod apartamentem Roberta Whitestar, niepewna, dlaczego właściwie udało jej się zrobić taką karierę.

Ale z pewnością nie było teraz czasu na wycofanie się.

Blair Armstrong wpatrywała się w lustro w kasetce pudru, zaskoczona spoglądając na nią obcą twarzą. W ciągu kilku tygodni straciła prawie dwa i pół kilograma. Miała bladą skórę, a oczy otaczały ciemne obwódki. Ale nie było to nic takiego, czego nie zamaskowałyby odrobina makijażu, prawda? Nieco podkładu, trochę więcej różu. Ponownie umalowała usta błyszczącą czerwienią i dotknęła rzęs odrobiną tuszu. W końcu zamknęła lustro i wrzuciła je do modnej torebki. Wydostała się zza biurka i wyszła spieszenie z biura. W ślad za długim trenem błyszczących, czarnych cekinów i lśniąca satyną biegł stukot spiczastych pantofli na wysokim obcasie. Szła przez ciemny i pusty dział redaktorski, zmagając się z nieprzyjemną kombinacją niesmaku, żądy i przerażenia.

Miała pojawić się punktualnie o dziewiątej. Nie opłacało się spóźniać, zwłaszcza dzisiejszego wieczoru. Jemu by się to nie spodobało, wcale a wcale. I miał swoje sposoby, by okazać niezadowolenie.

Zatrzymała się w dziale artystycznym. Mrugnęła na widok zamkniętych drzwi gabinetu Jeffa Stanchecka. Chciała do niego zadzwonić, żeby sprawdzić, jak się miewa, ale zawsze trzeba było zająć się czymś innym. Ciągle coś przeszkadzało...

Nic mu nie będzie.

Zawsze spadał na cztery łapy. Poza tym jego zniknięcie można było wytłumaczyć zarówno zwolnieniem, jak i tym, że sam chciał stąd odejść. I tak nie miała wyboru, rozkaz to rozkaz. Musiała znaleźć jakieś usprawiedliwienie, by zniknąć. Musiała.

Odwróciła się od jego gabinetu. Zerknęła na dział artystyczny.

I zadrżała.

Nocna zmiana „Charade” pracowała ile sił w rękach.

Drukarki brzęczały, skanery szumiały. W boksach zimne palce klikały myszkami i stukwały w klawiatury. Powoli przeszła przez dział, patrząc, jak farbowane głowy wpatrują się w monitory. Mijając pewien boks, zauważyła tam dziewczynę. Rozpoznała ją. Wiedziała, że pracowała tu od paru miesięcy, potem zniknęła na parę dni, ale

teraz wróciła, by pracować nocą, tak jak zaproponował Marek. Inni też mieli się tu pokazywać i przejmować obowiązki.

Blade ręce dziewczyny zatrzymały się nad klawiaturą. Zerknęła nad ramieniem na Blair, aż ta poczuła dreszcze. Martwe, czarne oczy na chwilę rozbliły czerwienią, a potem znów zmartwiały. Czerwone usta dziewczyny skrzywiły się mechanicznie w coś przypominającego uśmiech. Między wargami wystawały dwa krótkie, ostre kły.

- Dobry wieczór, pani Armstrong.

- Bry wieczór.

- Już pani wychodzi? Blair skinęła głową, czując mdłości.

- To niech pani już lepiej idzie. W końcu to wielkie wydarzenie.

Ja bym tam chciała być.

Blair ponownie skinęła głową i wypadła pospiesznie z działu. Skierowała się ku windom.

Uśmiech Ivy zgasł, gdy usłyszała, że drzwi windy zamykają się. Wróciła do monitora i stron następnego wydania „Charade”. Wciąż była tylko praktykantką, nawet po śmierci.

*

Ciemność nadchodzi ze wschodu.

A oni budzą się wraz z nią.

Dwoje z nich rozpierało się na bagażniku srebrnego Lincolna.

Siedzieli tam już od zachodu słońca. Mieli oko na to, jak się formuje kolejka. Przeważnie śmiali się i szydzili, wzajemnie dając sobie kuksańce w zębra, gdy w kolejkę pod markizą wpychał się ktoś w szczególnie beznadziejnym ubraniu, kto mimo ścisłanego w rękach zaproszenia i tak miał być odprawiony od drzwi z niczym.

Obserwowali tłum, przestępujący z nogi na nogę przed drzwiami klubu Gothique. Kilku bardziej niecierpliwych bezsensownie przyciskało czoła do czarnych, szklanych wrót, rozpaczliwie próbując zajrzeć do środka. Przed 19.30 tłum na chodniku sięgał połowy Damen Avenue i miał szerokość czworga ludzi. Tuż po 21.00 kolejkowicze zaczęli stawać na ulicy, nie mieszcząc się na trotuarze. Taksówki i limuzyny przedzierały się przez tłuszcę, wypuszczając z trzewi pasażerów, którzy niedbale wychodzili na Damen, udając nonszalancję i z wyćwiczoną arogancją rzucając banknoty szoferom. Ale bez względu na to, jak bardzo próbowali wydawać się niezaangażowani, w ich oczach było widać gorączkę i żarliwe wyczekiwanie, wszystkie ich żądze i pragnienia.

Pół kwartału zajmowały rzędy dwudziestolatków i trzydziestolatków, odstrojonych w ekskluzywnych butikach w pseudogotyckie ciuszki. Między nimi kryły się grupki dzieci ulicy w autentyczniej szych ciuchach z drugiej ręki, niedopasowanych i prześwitujących, czarnych bluzkach, skórzanych ubraniach, farbowanych szatach i zamawianych pocztą gumowych pasach. Łączyli się uważnie w grupki, a ich twarze ociekały zbyt dużą ilością makijażu. Przerywali pozornie pochłaniające ich rozmowy, gdy przed kinem zatrzymywała się limuzyna. Konwersacja milkła, by można było sprawdzić, kto wysiadzie z samochodu.

Kilku maruderów skupiło się w zwartych grupkach. Studenci w dzinsach z supermarketu, kierownicy w garniturach i krawatach, zastanawiający się, czy ich wielokrotnie ćwiczone teksty zadziałają na te gotyckie dziewczyny, niepewni dyrektorzy, marszczący nosy pod wpływem zapachu goździkowych papierosów i na widok wyzywających, wymalowanych chłopców.

- Fuj, kochanie, patrz na tę. - Fonda z niesmakiem potrząsnął głową, zdrapując ślady spaghetti z czarnej, koronkowej kamizelki, za małej na niego o dwa numery i zbyt ściśle opinającej chuderławą klatkę piersiową. Walnął piętami w bagażnik lincolna i zachichotał. - Jeśli się nie ma gustu, to trudno, ale nie chodzi się wtedy na imprezy do klubów w kiece od J.C. Penny. Do żadnego klubu. Nigdzie na świecie.

- Mam nadzieję, że ktoś zedrze z niej ciuchy nitka po nitce i wypierdoli ją w dupę.

Fonda klepnął się po kolanie. Jego dłoń zahuczała na czarnej skórze.

- Och, skarbie, to było wspaniałe! Gdybym wcześniej wiedział, jaka z ciebie gorąca sztuka, tobą pierwszą bym się zajął. Ciekawe, jak sobie radził z tym twój stary kochanek.

Gem rzuciła się na Fondę z obnażonymi kłami. Jej oczy jarzyły się czerwono. Ale trwało to tylko chwilę. Ze źrenic zniknęła czerwień, a czerwone usta rozciągnęły się, ukazując w uśmiechu zęby.

- Tak lepiej, kochanie - stwierdził. - Dziewczyno, tylko tu patrolujemy. Jeszcze nie czas, byś ukazała światu swoje wdzięki.

Oparła się o bagażnik i prychnęła w stronę dzieciaka, który się w nią wpatrywał.

- Dobra, tylko nie wspominaj więcej Mroza.

- Dobrze, słoneczko. To było niegrzeczne z mojej strony, tak źle się wyrażać o zmarłym.

Poklepała go po kościstych plecach.

- Nieważne. Nadal jesteśmy kumplami, tatuńciu?

- Abso - kurwa - lutnie, córuniu.

Ich dwoje stanowiło ostatnio nierozłączną parę.

Gem i Fonda: dbający tatuś i kochająca córeczka.

Och, Gabrielle mogła błagać i jęczeć ze wszystkich sił, by jej się pozwolili napić, ale Arianne miała pełne prawo do jej pierwszego łyku.

Fonda wszedł tamtej nocy do jamy głęboko pod Gothique. Opity Mrozem tak, że niemal pękł, wciąż miał ochotę na jeszcze jeden łyk przed snem. Wypił Gem, a potem wgrzył się w swoje własne kościste nadgarstki i nakapał krwią w jej otwarte usta.

Obudziła się następnego nocy, przytulona do jego kościstej klatki piersiowej, i odkryła, że jej flirt z falą ciemności nagle stał się rzeczywistością.

Obok nich przeszło dwóch ślicznych mężczyzn w przebraniu z filmu Straceni chłopcy. Fonda zatrzęsł się dramatycznie. Gem oblizwała usta i uśmiechnęła się do nich.

- Zapamiętajmy tych dwóch na później - powiedziała. - Co ty na to? Po jednym na każdego z nas? Ale ja zamawiam klona Kiefera Sutherlanda, dobrze?

*

Gabrielle piszczała jak nerwowe szczenię, zwinięta w kłębek niczym płód na nieskazitelnej podłodze gabinetu Marka.

Nie jęczała z powodu bólu, choć siniaki i rany znaczyły całą jej skórę. Zaledwie godzinę temu w końcu przyszli po nią, rozkuli ją z kajdanek, które już zaczynały jej się wrzynać w ciało, i wyciągnęli z piwnicy pod starym kinem. Nie, ona płakała cichutko, pod nosem, na podłodze u Marka, ponieważ wiedziała, że dyskutują o jej nędznym życiu.

I wcale nie było takie pewne, kto tę kłótnię wygra.

- Twoja maskotka chyba nie będzie krwawić na moim dywanie? - warknął Marek, bardziej do siebie niż do Arianne. Pytanie nie było jednak całkowicie retoryczne. Ale Arianne wcale go nie słuchała, a może zdecydowała mu nie odpowiadać. Podkasała długą, czarną spódnicę i uklękła na podłodze obok Gabrielle. Długie, chłodne palce

prześliznęły się po skórze dziewczyny, pieszcząc siniaki i delikatnie muskając rany i zadrapania. Marek chrząknął z niesmakiem i ponownie zaczął obracać się na masywnym krześle. - Mogłaś kazać ją przynajmniej wyczyścić, zanim ją tu sprowadzili. - Zmarszczył nos. - To szczenię cuchnie.

Długie palce Arianne zamarły. Powoli uniosły się nad posiniaczonych ramion Gabrielle. Dłonie zadrżały, a potem zacisnęły się w pięści.

- Nie miałeś prawa - stwierdziła z mocą, hamując się.

- Przepraszam, Arianne? Nie miałem... Czy możesz powtórzyć?

Podniosła wzrok. Jej długie włosy zasłoniły bladą twarz niczym welon.

W czarnych oczach rozbłysła gniewna czerwień, przeświecając przez czarną zasłonę.

- Powiedziałam, że nie miałeś prawa. Dziewczyna należy do mnie.

- Niech tak będzie, Arianne. Ale ta mała, głupia suka mogła nam sprawić wiele kłopotów.

- Nie nam. Tobie. Tobie i twoim głupim planom.

- Och, nie, Arianne, nie dam się wciągnąć znów w tę kłótnię. Mea culpa, pozwoliłem Drake'owi dać twojej drogocennej akolitce lekcję dyscypliny. Ale nie pozwolę, by ona albo ty, albo ktokolwiek inny...

- Cicho! - syknęła Arianne. Nagły syk zmroził słowa w ustach Marka. Zanim zdążył zamknąć usta, skoczyła przez cały pokój i wylądowała na jego biurku. Długie palce zakrzywiły się w szpony, a paznokcie znalazły się ledwie o centymetry od jego gardła. - Nie posuwaj się za daleko, Marku. Baw się w swoje gierki ze śmiertelnikami, dopóki wszystko się wokół ciebie nie zawali. Nie dbam o to. Ale nie wchodź mi w drogę. Nigdy tego nie rób. - Jej twarz zamieniła się w karykaturę pięknego wcześniej oblicza. Wargi odsłoniły błyszczące kły. - Bierzesz za władzę fakt, że masz ciepłokrwistych lokajów i swoich poddanych, zawierasz sojusze i knujesz wspaniałe intrygi. Ale wcale sobie nie zdajesz sprawy, gdzie kryje się prawdziwa moc.

Przez dłuższy czas wpatrywali się w siebie, nie odrywając czerwonych oczu. Gabrielle odpełzła i schowała się w kącie, bojąc się

nawet na nich spojrzeć. Nigdy nie dowiedziała się, kto mrugnął pierwszy.

Ale najwyraźniej ktoś to musiał zrobić.

Arianne ześliznęła się z biurka Marka tak szybko, jak się na nim pojawiła. A może rozplynęła się w powietrzu. W jednej chwili zamieniła się z gotowego zadać śmierć demona w stojącą w drzwiach niewinną i piękną dziewczynę. Stała tak, krucha i wątła, a jej suknią i włosami powiewał nieistniejący wiatr. Błądą dłonią przyzywała do siebie Gabrielle. Ale w jej oczach wciąż gorzał wściekły żar, nawet gdy przeniosła wzrok z niego na dziewczynę.

Ta, wciąż łkając, podniosła z nadzieją oczy.

A potem uśmiechnęła się, niepewnie, lecz z ulgą.

I oczekiwaniem.

Podczołgała się ku Arianne i ukryła najlepiej jak mogła w fałdach długiej, czarnej spódnicy.

Marek prychnął i z powrotem usiadł w krześle.

- Wychodzisz, Arianne?

- Chyba goście czekają na ciebie, Marku.

- Och tak, zdaje się, że nawet paruset.

- Naprawdę zamierzasz to przeprowadzić? Roześmiał się.

- Cóż, jakoś w tym momencie niezręcznie by mi było odwołać wielką galę otwarcia. - Wstał z krzesła, które kręciło się za biurkiem. Gabrielle gorączkowo próbowała skryć się głębiej w fałdach spódnicy Arianne. Marek podszedł do okna i otworzył je dotknięciem palca. Zerknął w dół, na Damen Avenue, gdzie tłumy przepychały się łokciami, walcząc o lepsze miejsca widokowe pod starą markizą, a pozostałe kilkaset ludzi tłoczyło się na chodnikach i na ulicy, zwyczajnie wlepiając wzrok w drzwi. - Och, Arianne, wierni czekają. Wszystkie te żalosne, niecierpliwie owieczki błagają, by je wpuścić. Chcą udawać dziś wieczorem, że są nami. - Wysunął rękę przez okno i pomachał tuszycy. - Dołączysz do nas, prawda?

- Nie sądzę.

- Taka niegościnnosc jest do ciebie niepodobna. - Ponownie syknęła na niego. - Zamierzasz zmarnować wieczór ze swoją zabaweczką, prawda?

- Marek, uważasz wszystko za grę, prawda? Ten twój „klub”, wszystkie plany i knowania. - Zmrużyła oczy. - Nawet to, co się między nami dzieje, uważasz za grę, co?

- Och, przecież dziś mamy zaledwie otwarcie. Gra się dopiero zaczyna.

- Tak uważasz, Marku? Ja sędzę, że to początek końca. Twojego. Nas wszystkich.

Zamknął z trzaskiem okno.

- Wystarczy tego. Idź się pobawić swoim zwierzakiem. Mam na dole sprawę do załatwienia. - Rozprostował nienaganny garnitur i skierował się ku wyjściu, ale zatrzymał się przy Arianne. Znów wpatrywali się w siebie z gniewem. Pozwoliła mu przejść. - Nie martw się, Arianne - powiedział. - Zmuszę cię, żebyś stwierdziła, że już złapałem kolejny luźny koniec. Wkrótce zajmiemy się i pozostałymi. Idź się pobawić swoją dziewczynką, jeśli chcesz. - Jego zimna blada twarz złagodniała na moment. - Na pewno się do mnie nie przyłączysz? Nie popatrzysz, czego dokonałem? Naprawdę jest wspaniale. Chodź, zobaczysz, jak te głupie, smutne dzieciaki w komicznych kostiumach błagają nas, byśmy wzięli ich pieniądze. I krew. I ich dusze.

- Nie napawam się tym, Marku, tak jak ty. Nigdy tego nie robiłam.

- Ale później przyjdiesz? Nie odpowiedziała.

Przeszedł obok niej i zaczął schodzić po schodach. Gdy już zniknął, Arianne wyplątała Gabrielle ze swojej sukienki. Zajrzała dziewczynie głęboko w oczy.

- Dziecko, ty też sama grałaś w niebezpieczne gry.

- Och, Arianne, ja... ja myślałam, że oni... Myślałam...

Arianne otuliła policzek dziewczyny chłodną dłonią.

- Tak, cóż, to już za tobą. Ale radzę ci, żebyś więcej nie wchodziła Markowi w drogę. Ani nikomu z jego rodu.

- Arianne, ale kiedy? Kiedy ja? Tak bardzo tego pragnę.

Ta położyła palec na jej ustach i uciszyła ją. Spojrzała głębiej w oczy Gabrielle.

- Taka jesteś pewna?

- Tak... To wszystko... wszystko, o czym marzyłam. Zawsze tego pragnęłam.

Arianne westchnęła i zgarbiła się.

- Nie zdajesz sobie sprawy... Dziecko, nigdy nie myślisz o grzechu? Nie myślisz o swojej duszy?

Gabrielle patrzyła na nią pustym wzrokiem. Arianne potrząsnęła głową.

- Chodź. - Otoczyła dziewczynę ramieniem, a potem wyprowadziła ją z gabinetu i powiodła ciemnym korytarzem. - Marek miał rację co do jednej rzeczy. Śmierdzisz.

*

Ciemność pojawia się na wschodzie. Później powoli wypełza na całe miasto.

A oni budzą się wraz z nią.

Dzieci ciemności wypełzają z legowisk i wpadają wprost w objęcia wieczoru.

Za dnia był kasjerem w banku.

Lubił wieczorami chodzić do Caravaggio, najczęściej w weekendy, gdy miał czas starannie wybrać strój i wykonać makijaż. Tego wieczoru zaczynał się weekend, a on skłamał, że musi być przy czuwaniu, żeby wyjść wcześniej z pracy. Musiał być nazajutrz wcześniej rano w okienku kasowym. Za to udało mu się zdobyć na dziś wspaniały strój. Zakupy wzdłuż Clark i na całej Belmont były tego warte, mimo że za parę tygodni przyjdzie wyciąg z karty kredytowej i będzie musiał zapłacić kupę pieniędzy. Muślinowa, chłopska koszula miała rękawy jak dzwony. Oryginalnie była to inspirowana latami siedemdziesiątymi damska bluzka z wyprzedaży. To sprawiało, że jeszcze milej dotykała jego skóry. Tylko że jesienny wiatr przedostawał się przez cienki materiał, aż zeszywniałe sutki ocierały się o ubranie. Tak więc owinął się peleryną, którą wypatrzył, wyblagał, wyprosił i w końcu kupił w Dark Mystique. Wspaniały czarny welur obramowano czerwoną taftą i ozdobiono doskonałym kołnierzem i pięknym zapięciem. Peleryna rozpościerała się jak skrzydła nietoperza, gdy kroczył szybko Damen, zaparkowawszy dodge'a neon daleko na Montrose. Buty stukały o płyty chodnika przypominając nerwowy rytm rodem z jego ulubionych włoskich horrorów z lat sześćdziesiątych, tych, w których grała Barbara Steele i nigdy nie było dobrego dubbingu.

Ujrzał przed sobą tłum, który zajmował całą przecznicę. Przed klubem tłoczyło się tylu ludzi, aż nie mieścili się na chodniku. Nie sposób było go przeoczyć. Przyspieszył kroku, zarumieniony od podniecenia i niepokoju, ledwo wierząc, że te wszystkie noce, spędzone aż do godzin porannych przy słabym sygnale gotyckich

stacji radiowych północnej dzielnicy w końcu przyniosły mu wejściówkę do Gothique.

Tylko jedną, ale nie miał nic przeciwko temu. I tak nie miał z kim się tu wybrać.

Zawsze był zbyt nieśmiały, by przyłączyć się do grup grających w gry fabularne i gry LARP, które ogłaszały się na ścianach Dark Mystique. Zwykle był też tylko cichym obserwatorem w chatroomach Klanu Chicago. Nigdy nie czuł się swobodnie w barach. Krył się w kącie i próbował wyglądać seksownie. Mierzył wzrokiem chude dziewczęta w czarnych pończochach i podartych szyfonach, a także androginicznych chłopców w skórach i podkoszulkach z siatki. W myślach snuł wybujałe fantazje z ich udziałem, a sam pił letnie napoje, niezdolny do zdecydowania, kto mu się bardziej podobał - dziewczęta o miękkiej skórze czy smukli chłopcy. W zasadzie nie miało to znaczenia, bo nigdy nikogo nie zdobył. Zazwyczaj po kilku godzinach wracał do domu, nie zatańczywszy nawet razu. Nigdy z nikim nie rozmawiał. Wracał sam do jednopokojowego mieszkania, położonego na zachód od Lakeview, tam włączał tę samą muzykę, która grała w klubie, i tańczył przed lustrem, aż się zmęczył. W końcu rozbierał się powoli, padał na kolana i gwałtownie masturbował, wyobrażając sobie, jak kąsa chude dziewczęta z klubów i sam jest gryziony przez androginicznych, tańczących chłopców. Robił tak dwa lub trzy razy, aż w końcu zasypiał.

Ale nie tej nocy.

Dzisiaj ścisnął w rękawicze wejściówkę, bo to w końcu, na miłość boską, było Gothique. To było dziś najważniejsze miejsce. Wieczorem z dumą zaloguje się na czacie i będzie mógł się przechwalać.

Zatrzymał się pod wielkim klonem, który zrzucił liście. Dwa z nich właśnie spadły na jego pelerynę. Wsunął rękę w przednią kieszeń spodni, pogrzebał i w końcu wyciągnął pudełko papierosów z logiem Draculi Coppoli. Gmerał palcami w rękawicze, aż w końcu wyjął papierosa. Trochę więcej czasu zajęło mu zapalenie zapalniczki, wreszcie zaciągnął się głęboko, próbując uspokoić bicie serca, gorączkowe oczekiwanie, podniecenie. Kurczę, normalnie mu stanął. Próbował uspokoić się, bo zaczął się pocić od zbyt szybkiego marszu, a to by zrujnowało jego makijaż.

- Kopsniesz szluga?

- C...Co? - Niemal upuścił papierosa. Obrócił się i omotał peleryną. - Och, wybacz. Hm. Cześć. Pewnie... Proszę. - Wyciągnął przed siebie pudełko.

- Dzięki.

Cass wyszedł z cienia obok zamkniętego sklepiku i wyciągnął bladą dłoń.

*

Ojciec Gil Silverez stał przed oknem w salonie Franka Hoelevicha i potrząsał głową. Wyrżał zza weneckich żaluzji na samochody i tłumy ludzi o piętro niżej na Damen.

- Frank, nie chcę cię tu tak zostawiać. Nie z tym... tym czymś. - Hoelevich wiercił się na fotelu przy oknie. Wielki karabin M - 1 niemal zsunął mu się z kolan. Sox nie leżał na swoim miejscu przy fotelu. Skulił się w kącie. Przed nim tkwiła nietknięta, nowiutka kość. Leżał tak cały wieczór, zaniepokojony czerwonym blaskiem, zmieszany dobiegającymi zza drzwi dźwiękami, niespokojny przez śmieszne uczucie, które go dręczyło od tygodni. Coś się czaiło w powietrzu. Mógł to wyczuć, ale nie mógł rozpoznać. Zaniepokoiło go też to, że dwaj mężczyźni kłócili się cały wieczór, odkąd ksiądz wszedł do domu. Tuż przed zachodem słońca. - Czy sądzisz, że zostawię cię z rękami na tym karabinie? Założę się, że nawet nie ma bezpiecznika.

- Do diabła, pewnie, że nie.

- A co z tym? - Gil wskazał na dwa drewniane drążki przy kanapie.

Kołki - w końcu tym były - miały śmiertelnie zastrzone czubki. - Pięćdziesięcioletni naładowany karabin i wiązka sztchet z horroru. Obawiam się, że jeśli cię tu zostawię, odkryję rano twoje zwłoki albo policję, która właśnie cię zamyka u czubków.

- To nigdzie nie idź, Gil. Zostań na noc. A przynajmniej do świtu.

- Nie mogę. Rano mam mszę. Dwaj moi parafianie są już u kresu swojej drogi, czekam na telefon, by...

- No to idź do domu. Natychmiast. Nie prosiłem cię, byś tu przychodził. Kapłan mrugnął.

- Frank, ja tylko... chciałem pogadać. Nie chcę, żebyś zdmuchnął sobie z ramion swoją głupią głowę tym karabinem. Nie chcę, żeby Libbie wróciła do domu i odkryła, że jest wdową.

Hoelevich przesunął starą dłońią po drewnianej kolbie.

- Nie sądzę, żebym miał sobie tym zdmuchnąć głowę. A jeśli nawet, to jest to o wiele lepsze niż... - Znów zaczął gładzić broń.

- Zamierzasz, po prostu, zabrać ze sobą wielu z nich? Ty i twoja pięćdziesięcioletnia broń? Oraz drążki od szafy? Taki masz plan i po swojej stronie Rin Tin Tina?

- Co proponujesz, padre? - Gil nic nie odpowiedział. Nie był w stanie. - Rozmawiałeś z policjantami, prawda? Zlekceważyli cię, prawda? Powiedziałeś, Gil, że dzwoniłeś do diecezji? Zaczęłeś mówić im, co o tym myślisz? I jak się to skończyło? - Ksiądz nie odpowiedział. - Powiedzieli ci, żebyś się zamknął, prawda? Powiedzieli ci, że Kościół nie chce, żeby jakiś ksiądz umniejszał tace do jeszcze bardziej mikrych niż obecnie rozmiarów przez opowiadanie bzdetnych historii o potworach? Czy coś źle wcześniej usłyszałem?

- Cóż... zgodzili się mnie przyjąć. Może w przyszłym tygodniu. Mam umówione spotkanie.

- Tak. Z doradcą. Będą mogli przesunąć cię gdzieś w odosobnienie. Do diabła, pewnie sami już od nich wzięli łapówkę.

- Frank, nie. Nie Kościół... Oni by nie mogli.

- Czemu nie? Jeśli mogę coś ci zdradzić, to połowa miasta już od nich bierze. A przynajmniej jego najważniejsza część. Zresztą, niewielu trzeba. Kilku polityków. Paru policjantów. Dlaczego myślisz, że kościół jest taki czysty?

Ksiądz wstał z kanapy.

- Wychodzę. - Skierował się do kuchni, ku tylnym drzwiom.

- Gil, obaj doskonale wiemy, co tu się dzieje, co zamieszkało naprzeciwko. To wampiry. Cholernie rzeczywiste wampiry, takie jak Bela Lugosi albo hrabia Dracula. Tyle że o wiele gorsze od tych, które widzieliśmy w sobotnich filmach.

Ojciec Silverez zatrzymał się.

- Wiem, Frank, czym oni są.

- I co zamierzasz zrobić z nimi, Gil? Ten odwrócił się.

- Co chcesz, żebym ci powiedział? Chcesz, żebym złapał jeden z tych kołków i pomaszerował z tobą ramię w ramię naprzeciwko? Wbił go w jakiegoś wampira i patrzył, jak się obraca w proch?

- Nie, lepiej, żebyśmy się tym zajęli za dnia. - Kapłan potrząsnął głową. - Gil, sam nie wiem, co robić. Ale nie pozwolę im, by pewnej

nocy zakradli się również do mnie i zaczęli mi wysysać krew. Przynajmniej się przygotuję na spotkanie z nimi.

- Oszalałeś, Frank.

- Tak samo jak ty. Widzisz, Gil, nie możesz wracać na plebanie po ciemku, bo...

- Frank, na zewnątrz jest teraz kilkaset ludzi. Nie widziałeś znaków?

- Tak, widziałem.

- Gala wielkiego otwarcia, noc Gothique, obowiązują wejściówki. Do diabła, może pojawi się nawet burmistrz i przetnie wstęgę. Nie sądzę, bym musiał się przejmować, jak dziś wrócić do domu.

- Mimo wszystko...

- Spokojnie, staruszkule. Otwórz drzwi, żebym mógł sobie już pójść. I zostaw ten cholerny karabin przy fotelu, dobrze?

*

- Już dobrze - Cass wyszeptał mu w ucho. - Już dobrze, dobrze się czujesz, po prostu połóż się i rozluźnij. - Cass położył chłopca w przejściu między sklepem a czteropiętrowym domem, gdzie cienie były ciemniejsze, a światła uliczne ledwie sięgały koron klonów nad ich głowami. Dzieciak dyszał, doprowadzając się do hiperwentylacji, ale Cass pogładził zimnymi dłońmi po jego policzku i uspokoił go, aż zamknął oczy. - Już dobrze. Śpij. - Długie palce Cassa przesunęły się po policzku chłopca, jego szczękę i gardło, gdzie blade światło latarni migotało na mokrej, otwartej ranie i krwi, ciekącej po szyi chłopca i kapiącej na koszulę. - Śpij. Pomyśl sobie, że to był tylko sen. I już. To tylko sen.

Cass wstał. Jego palce oderwały się od chłopca. Były mokre.

Kapała z nich krew.

Krew chłopca ogrzała go i stłumiła lodowaty ból, ale wiedział, że ten stan nie potrwa długo. Nigdy tak nie było. Przez chwilę ssał palce, niemal wymiotując pod wpływem lepkiego, słonego smaku. Ale tęsknił za dreszczem, o który przyprawiała go krew. Ukląkł przy chłopcu i wyciągnął z jego rąk czarno - czerwony tłoczony bilet.

- Śpij już. A kiedy się obudzisz, znajdź sobie jakieś inne hobby, dobra? Zaprosz gdzieś jakąś dziewczynę. Zrób jej dzieciaka. Ożeń się. Kup mieszkanie i splódź hordy potomstwa, koś trawnik i zajmij się

golfem, zrozumiałeś? Ale zapomnij o tym. Proszę, po prostu zapomnij...

Wstał i rozejrzał się po ulicy. Ujrzał tłumy sunące ku Gothique. Widział, jak przedostają się przez drzwi. Dostrzegł Fondę i... Gem. Do cholery, dorwali Gem. Ujrzał, jak jeszcze dwoje z nich ześlizguje się z bagażnika lincolna, przedziera się przez szeregi i znika za szklanymi drzwiami.

- Przepraszam cię za to. - Cass ścisnął wejściówkę do Gothique. - Ale potrzebuję tego. Mam tam coś do zrobienia.

Podniósł kołnierz czarnego płaszcza i zasłonił nim bladą twarz. I poszedł ku Gothique.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Marek stał na balkonie półpiętra i patrzył na ciemne morze ciał.

Przed nim widniało jego arcydzieło. Było pierwsze z wielu, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem. Stroboskopy i światła punktowe omywały przypominające jaskinię wnętrze starego Palace Theater, zamienionego w kompleks rozrywkowy o nazwie „GOTHIQUE. Dance Club Extraordinaire”, centrum mrocznej kultury, mekkę bladych, wampirycznych dzieci nocy. Klasyczne scenerie hollywoodzkich horrorów, przygotowane przez CD. Halla nie mogły się równać niesamowitej architekturze klubu. Budynek został całkowicie przebudowany, by przypominał ogromne, nawiedzone zamczysko. Odtwarzane na wideo błyskawice podświetlały kruszejące, kamienne ściany, rozbłyskując w popękanych witrażach. Sufit przypominał plaster miodu, poprzedzielany gotyckimi łukami. Rozwidlał się, tworząc nawy. Kolczaste pnącza i martwe konary owijały się wokół kolumn i balustrad. Jeśli pomieszczenie miało odzwierciedlać ponury, nordycki mistycyzm Caspara Davida Friedericha i jego nawiedzone opactwa albo przypominać nastrój zrujnowanych zamków, opiewanych przez angielską szkołę cmentarnych poetów, to udało mu się to w unikatowym stylu Horacego Walpole'a i jego Strawberry Hill (Horace Walpole - jeden z twórców gotycyzmu. Wzniósł pierwszą rezydencję w stylu nawiązującym do gotyku - Strawberry Hill. Był autorem pierwszej na świecie powieści gotyckiej Zamczysko w Otranto)..

Nawet jeśli wszystko zbudowano z piłśni i gipsu, pleksiglasu i plastiku.

Przy długim barze głównym szczęściarze, którym udało się pierwszym pokonać drzwi, zajęli stołki barowe i za nic by ich nie oddali, ani za miłość, ani za pieniądze, ani za zaproszenie do tańca czy wyprawę do toalety. Chłopcy przy barze mieli na sobie najlepsze kostiumy wzorowane na Tomie Cruisie, Bradzie Pitcie czy Antonio Banderasie. Nosili sute, aksamitne peleryny, pantalone wetknięte w zamawiane pocztą oficerki, chłopskie koszule i welurowe kamizelki. Sączyli kolorowe napitki (12,50 za kolejkę), a ich niezliczone pierścionki z krzyżami ankh, czaszkami i głowami diabłów brzdąkały o malutkie szklaneczki, podczas gdy oni obserwowali tłumy z wyrazem nieobecnej wyższości. Chyba że strzelali okiem do dziewcząt przy barze, które lśniły błyszczącymi, czarnymi sukniami i

poskrzypywały skórzanymi, sznurowanymi gorsetami. Wszystkie wyglądały jak klony Morticii albo wampirze dominy. Elegancko potrząsały długimi, farbowanymi włosami, by kogoś zwabić bliżej siebie. Zakładały nogę na nogę, by satynowe i taftowe spódnice rozchyłały się, a przechodzące tłumy mogły podziwiać kabaretki i przejrzyście czarne lycrowe pończochy na chudych nogach.

Maszyneria wypuszczała na parkiet śmierdzącą parę. Dwieście męskich i damskich ciał wiło się i kołysało w różnych kombinacjach: mężczyźni z kobietami, chłopcy z dziewczętami, dziewczęta z dziewczętami, chłopcy z chłopcami i zagadkowymi osobnikami nieokreślonej płci. Nie brakowało też odludków, tańczących samotnie, każdy w danej chwili w swoim własnym mrocznym świecie, zahipnotyzowany miejscem, muzyką, tłumem, strojami, widokami, dźwiękami i zapachami, z zamkniętymi oczami i rozchyłonymi ustami, w siódmym niebie, jakby za chwilę miał przeżyć orgazm. Morze podrygującej czerni składało się z tancerzy, którzy wyraźnie przez godziny dopieszczali kostiumy, dopasowując czarne spodnie do czarnej koszuli i czarną bluzkę do czarnej spódnicy, potem układali fryzurę, zaczesując włosy raz w jedną, raz w drugą stronę, a później mieli problem: buty na platformach czy martensy, szpilki czy baletki, rajstopy czy podwiązki, łańcuchy czy obroże, koronkowe rękawiczki czy krwistoczerwone paznokcie. Co za przerażająca liczba wyborów. Później przychodził czas na kilogramy makijażu, eye - liner, czerwoną szminkę, tusz, róż i przydymiony cień do powiek. Wszystko nałożono perfekcyjnie, by stworzyć powalającą na kolana twarz, oryginalną i niepowtarzalną u każdego tancerza. Tyle że w tym tłumie wszyscy wyglądali szokująco i przygnębiająco podobnie.

W tuzinach alków pary, czwórki i małe grupki znużonych imprezowiczów i stałych klubowych bywalców - modelki, elita medialna i młodzi dyletanci ze Złotego Wybrzeża z nadmiarem czasu, pieniędzy w rękach i kokainy w nosach - sączyli wódkę z kieliszków i brandy ze szklanek, próbując odgrywać zupełnie niezaangażowanych, jakby wpadli tu tylko sprawdzić nowe miejsce, na którym im tak naprawdę nie zależało. Ale mimo ich udawanego braku zainteresowania ubrali się w czarne ciuchy z metkami Neimana Marcusa i Saks and Fields. Pijane i otumanione narkotykami oczy taksowały przechodzące obok gibkie, młode ciała. Obserwatorzy nie zdołali ukryć wysublimowanych, hedonistycznych fantazji na temat

trójkątów, jedwabnych szali krepujących nadgarstki i kostki oraz brzytwę na jeszcze ubrudzonych kokainą lustrach, a także o nacięciach na skórze, które dodawały smaku imprezie. W końcu, do diabła, pojawiło się coś nowego w tej nudnej dziurze dla kmiotów, którą ktoś bardzo odważny nazwał miastem.

Na wielkich ekranach migotały wideoklipy z gotyckim rockiem, horrory Hammera (Hammer Film Production - studio filmowe, specjalizujące się w gotyckich horrorach, produkowanych od późnych lat pięćdziesiątych do lat siedemdziesiątych.), erotyki z kablówki i undergroundowe filmy pornograficzne z udawanymi morderstwami, zrealizowane na taśmie 8 mm, które wyświetlano na niezliczonych monitorach. Z labiryntu głośników, zawieszonych na ścianach, suficie i w każdym kącie grzmiała nieustannie nieokreślona muzyka. Na scenie półnagie, gotyckie striptizerki i striptizerzy wykonywali układy taneczne. Niewielkie grupki stały zafascynowane przed zabezpieczonymi nietłukącym szkłem boksami, w których aktorzy odgrywali scenki z inkwizycją Torquemady, krwawą łaźnią w Zamku Batory (Zgodnie z legendą, w XVI wieku Elżbieta Batory zwabiła na zamek dziewice, by kąpać się w ich krwi i ją pić. Podobno w zamku w Czachtieach odkryto pięćdziesiąt ludzkich zwłok)., breweriami de Raisa i de Sade'a oraz starym zwykłym wampiryzm seksem połączonym z puszczaniem krwi, który w porównaniu z poprzednimi scenkami wyglądał skromnie. W ciemniejszych kątach pary obściskowały się, schowane za sztucznymi pajęczynami, pod podrabianymi gargulcami i za gipsowymi wspornikami. Rozpinały sobie spodnie, zrzucały spódnice. Majtki zwijały się wokół kolan, języki penetrowały usta, ręce wślizgiwały pod bluzki i w rozporki. Rozpaleni emocjami ludzie całowali się i podgryzali, by w końcu zapomnieć się zupełnie i straciwszy wszelkie zahamowania, paść na podłogę i wić w zapamiętaniu. Wokół nich formowały się grupki, zakładając, że to jeszcze jeden element wielkiego przedstawienia Gothique.

Wampiry obserwowały wszystko, mieszając się z tłumem, stojąc w milczeniu za barem albo przy wejściach dla personelu.

Patrzyli i zmagali się ze sobą, by trzymać pragnienie na wodzy, stłumić czerwony żar w oczach i mocno zaciskać usta na kłach, które przyprawiały ich o ogromne cierpienie. Byli jak dzieciaki w sklepie ze słodyczami, narkomani w aptece, puszczeni wolno złodzieje w

skarbcu. Czarne wargi śliniły się na sam zapach i widok, pod wpływem wyobrazonego smaku tych wszystkich zwawych, zdeterminowanych i omamionych śmiertelników wokół nich.

A beznadziejnie głupi, szczęśliwi ludzie gapili się na kelnerów, kelnerki, barmanów, kierowców busów, aktorów i tancerki i zastanawiali się, jak się im udało tak doskonale nałożyć makijaż, że ledwo można było stwierdzić jego obecność.

Marek stał na balkonie na półpiętrze i patrzył na morze ciał.

Uśmiechał się.

*

Od trzech godzin Cass kręcił się przy różnych drzwiach, przy scenie, na końcach długiego baru, przy boksach aktorów. Ale każde z nich znajdowało się pod obserwacją. Och, tancerze, pijacy czy niezorientowani nawet by nie zauważyli. Ale nie on. Czuł strażników, nawet jeśli ich nie widział.

Dwaj ochroniarze przy wejściu mierzyli go wzrokiem przez nieznośnie długą chwilę, gdy próbował wtopić się w podniecony tłum, wdzierający się do środka. Jeden z nich był nowo narodzony. Miał najwyżej kilka dni. Może był zbyt młody, by wyczuć Cassa. Drugi był człowiekiem. Miał na sobie wypchaną czarną kurtkę i džinsy. Spod kurtki wystawał pistolet. Ale w końcu wzięli od niego skradzioną wejściówkę i wpuścili go. Cass zaopatrzył się w porzuconą przez kogoś szklankę z merlotem. Czuł pokusę, by spróbować wina, ale wiedział, że po chwili już by je wypluwał. Trzymał ją przez dłuższy czas i próbował trzymać się cienia, ale klubowa atmosfera składała się z samych cieni. Tak więc sondował kolejne drzwi i marnował czas.

A ten uciekał.

Ona tu jest. Jest tu gdzieś.

Pewnie, uciekł z mieszkania. Musiał. To było zbyt niebezpieczne. Colleen była zbyt blisko, piła przed snem na jego łóżku. Tylko tyle mógł zrobić, by ustrzec się przed...

Nie.

Nie wróciła do pracy. Nie wróciła do domu. Wciąż tam leżały jej ubrania i inne rzeczy, książeczka czekowa, zapasy gotówki w szufladzie z bielizną, które nigdy nie były dla niego tajemnicą. Nie uciekła. Nie zniknęła, choć powinna. Cholerna brawurowa Colleen przyszlaby tu sama, zapukała w pieprzone drzwi. To jej styl.

Musieli ją dopaść. Gdzieś tu jest.

Nie wiedział, skąd się wzięła ta myśl. Ale był tego pewien.

Czwórka, która siedziała przy kabaretowym stoliku przez cały wieczór, okazała się zbyt pijana, by usiedzieć na krzesłach. Nagle pojawiła się obsługa i pomogła dyskretnie włożyć płaszcze oraz zarzucić torebki na ramię. Wszystko odbyło się z uśmiechem na zaciśniętych ustach. Potem wampiry wyciągnęły grupkę przez jedne ze służbowych drzwi.

Nikt nie zwrócił na to uwagi. Paru ludzi natychmiast rzuciło się na stół i zawiesiło płaszcze, czapki i torebki na oparciach krzesel.

Cass upuścił szklanę z winem i szybko pomógł nowym usadowić się na krzesłach. Pokręcił się przy stole, zebrał pozostawione szklanki i udał, że jest zainteresowany przyjęciem zamówień. Potem obrócił się i z udawaną egzaltacją ruszył przed siebie, niosąc tacę z pustymi naczyniami.

Spróbuj. Zaryzykuj. Teraz albo nigdy.

Skierował się wprost ku drzwiom, przez które wampiry wciągnęły pijanych ludzi. Balansując tacą ze szklankami, złapał za gałkę. Przez głowę przegalopowały mu myśli, co zrobi, jeśli się okaże, że drzwi są zamknięte.

Mają ją. Musisz ją odnaleźć i pomóc...

Drzwi otworzyły się.

Wszedł, udając niezwykle przejętego swoim zadaniem.

Nikt nie rzucił na niego okiem.

Nikt, oprócz Gabrielle.

*

Przez dłuższy czas Gabrielle stała sama na balkonie na półpiętrze. Trzymała się z dala od Marka, ale on był zbyt zajęty popisywaniem się przed swoimi poddanymi i nawet na nią nie zerknął.

Przełknęła resztkę drinka i pochwyciła jeszcze jedną szklanę z tacy niesionej przez przechodzącą wampirzycę. Martwa dziewczyna nawet tego nie zauważyła. Gabrielle łyknęła zdrowo i spojrzała na parkiet Gothique. Patrzyła gniewnym wzrokiem.

Rozmyślała.

Jakiś przechodzień pomyślałby, że ta niezbyt ładna dziewczyna w zwykłym czarnym ubraniu, szalu i butach zbyt przesadnie udawała wampirzycę.

Ale miała swój powód, by wpatrywać się z gniewem w tłum i rozmyślać.

Gdy wraz z Arianne opuściła gabinet Marka, wampirzyca zaprowadziła ją do swojej części budynku, osobistej jaskini, gdzie nawet Gabrielle nigdy wcześniej nie była. Dziewczyna pozwoliła, by Arianne przygotowała jej kąpiel, pełną pachnących olejków i miękkich obłoków bąbelków, a potem namydliła ją i starła gąbką brud i zaschniętą krew. Potem owinęła ją w luksusowy ręcznik, przytuliła mocno i poklepała. Gabrielle patrzyła, jak Arianne gmera w kufrach i szufladach z ubraniami, aż w końcu wybrała prostą, zwykłą sukienkę i dołożyła parę zwyczajnych butów na płaskiej podeszwie. Dodała też niezdobiony niczym satynowy szal. Gabrielle pozwoliła, by rozczesała jej splątane włosy, a potem stanęła przed nią z wyciągniętą sukienką i aprobującym uśmiechem na ustach.

- Proszę, przymierz ją, dziecko. Jest na mnie trochę za duża, ale na pewno na ciebie będzie pasować.

Ale Gabrielle upuściła ręcznik i stanęła naga. Umyte włosy opadały wokół pozbawionej makijażu twarzy, łaskocząc w nagie ramiona, osłaniające pełne piersi.

- Arianne, nie chcę sukienki. Ja chcę...

- Tak, dziecko?

- Arianne, dłużej nie wytrzymam. - Padła na kolana. - Błagam cię. Proszę, widzisz? Ile jeszcze będziesz mnie torturować? Ile jeszcze każesz mi czekać? Dlaczego nie przestaniesz się bawić ze mną w te psychologiczne gierki? Zrób to wreszcie!

Ale ona odłożyła tylko ubrania na kanapę. Złapała ją za ramiona i podniosła z podłogi.

- Zrób to wreszcie?

- Tak, Arianne, zrób to wreszcie. Ja wszystko dla ciebie zrobię. Dla ciebie krwawię. - Gabrielle wyciągnęła przed siebie ręce, by pokazać małe ranki na nadgarstkach i w zgięciach łokci. Odrzuciła w tył włosy i przesunęła palcami po szyi, poznaczonej świeżymi nakłuciami. Potem przesunęła rękami po piersiach, których sutki okalały półksiężycy zadrapań. - Dla ciebie krwawię. Umrę dla ciebie. Chcę umrzeć, czując na skórze twoje wargi, twoje zęby w swoim ciele, chcę krwawić w twoje usta. Chcę umrzeć z twoją krwią w sobie. Chcę... Och, do diabła, zrób to. - Arianne przez dłuższą chwilę wpatrywała się w nią w bezruchu. Potem wzięła Gabrielle za rękę i poprowadziła ją do kanapy. Odsunęła na bok sukienkę, szal i buty i położyła tam dziewczynę. - Och, tak. Arianne, proszę, proszę, zrób to.

- Ta wśliznęła się na nią. Skórę miała miękką i lodowatą. Przypominała chłodny, śliski aksamit. Gładziła długimi bladymi palcami boki dziewczyny, jej brzuch, by ześliznąć się niżej. Ustami musnęła wargi Gabrielle, potem obwiodła mokre - koła na jej szyi, ramionach i piersiach. Zimny język kreślił okręgi wokół sutków. W końcu wybrała jeden i zamknęła na nim delikatne usta i zaczęła mocno ssać, aż półokrągłe rany otworzyły się ponownie i zaczęła płynąć ciepła krew. Dziewczyna zaczerpnęła tchu, wygięła plecy w łuk i zaczęła wić się, podczas gdy zimne palce Arianne tańczyły wśród ciemnych włosów między nogami dziewczyny, aż te stały się wilgotne i zalśniły. W końcu zanurzyła w nią palce, wysunęła i znów zanurzyła. Cały czas ssała pierś, połykając czerwone ciepło. Gabrielle w końcu miała orgazm. Krzyknęła, a jej stopy zabębniły o kanapę. Rękami drapała miękki materiał. Arianne usiadła, zlizwała czerwone smugi z piersi Gabrielle, a potem do czysta wytarła ręką usta i brodę. - Nie, Arianne, nie przestawaj. Weź sobie wszystko. Wypij mnie do sucha, a potem... - Ale ona ześliznęła się z kanapy. - Nie, Arianne! Weź mnie. Zabij! Błagam, do cholery, zabij mnie! Musisz to zrobić, musisz mnie wypić! - Ta jednak odwróciła się od niej. - Nie, nie możesz tak ze mną postąpić. Arianne, wypij mnie natychmiast. Pozwól mi się siebie napić... Och, błagam, musisz, kurwa, musisz to zrobić, o Boże... Arianne wrzasnęła i zasłoniła dłońmi uszy.

- Dość! - Wzięła czarną suknię, szal i buty. - Nigdy, przenigdy nie użyjesz Jego imienia w mojej obecności, rozumiesz? To bluźnierstwo. Od samego dźwięku pałą mnie uszy. - Rzuciła ubrania Gabrielle. - Ubierz się, dziecko. Idź i zobacz cyrk Marka.

- Ale ja nie chcę...

- Zrób to. To twój świat, tak samo jak jego. Z pewnością nie należy do mnie.

- Arianne, ja... Myślałam, że zamierzasz... myślałam... Arianne, proszę, nie zmuszaj mnie, bym cię błagała. Potrzebuję tego...

- Nigdy. - W kącikach oczu dziewczyny wezbrały łzy. - Nigdy tego nie zrobię, dziecko. Nigdy.

- Ale... Dlaczego? Och, do cholery, nie! Dlaczego?

- Dziecko, wyobrażasz sobie, że to takie proste. Wybierz nową suknię, przeprowadź się do nowego mieszkania, wybierz nowego kochanka. „Zabij mnie, Arianne”. „Wypij mnie”. Widzisz, jak lokaje Marka pełzają w brudnej piwnicy, pijani tą swoją śmiercią, cieszą się,

że stali się tym, czym się stali. Każdej nocy bezwstydnie witają nowych w swoim stadzie. Każdego wieczoru bezmyślnie mordują coraz więcej ludzi.

Gabrielle łkała.

- Tak, widzę to. I uwielbiam. Chcę być częścią tego. Chcę być jedną z nich. Chcę być jak oni. Jak ty.

- Dziecko, ty nigdy nie będziesz taka jak ja.

- Ale...

- Głupia, ja nigdy o to nie prosiłam! - Arianne chodziła teraz po pokoju, bijąc pięściami po biodrach. - Jakże ktokolwiek mógłby o to prosić? Nie zdajesz sobie sprawy, że będziemy przez wieczność smażyć się za to w piekle? Nie wiesz, że wszyscy stracili przez to swoje dusze? Po co? Bo taka była moda? Bo obejrżeli jakieś filmy i posłuchali strasznej muzyki? Z powodu zachcianki, dla żalosnej seksualnej przyjemności, dla wyimaginowanego poczucia władzy? Wszyscy się za to spalą w piekle. Wszyscy się spalimy.

- Ja... w to nie wierzę. I nawet jeśli to prawda, nic mnie to nie obchodzi. - Policzki Gabrielle ociekały łzami. - Nie interesuje mnie to. Chcę taka być, bez względu na konsekwencje. Zawsze tego chciałam. Wiem, że jesteś stara. Wyglądasz jak dziecko, młodziej ode mnie, ale wiem, że masz... pewnie kilkaset lat. Sama musiałaś zabić setki osób. A może tysiące. Nie mów mi więc, że mam myśleć o grzechach, duszach i diabłach.

- Diabłach? Dziecko, to my jesteśmy diabłami.

- Zabijałaś.

- Tak, zabijałam.

- To zabij i mnie. Do cholery, zabij. Zrób to. Przemień mnie, Arianne. Wiem, że możesz to zrobić. Wiem, że już to kiedyś zrobiłaś.

Arianne skinęła głową. Jej czarne oczy stały się ciemniejsze niż kiedykolwiek.

- Tak, już to wcześniej robiłam. Stworzyłam Marka, aby ocalić samą siebie. Taki mały handelek: dla niego wieczne życie, dla mnie ocalenie. Uszczęśliwiony, sprzedał za to swoją duszę. Choć myślę sobie, że dusza Marka została sprzedana znacznie wcześniej, i to za całkiem niewielką sumę, na długo zanim jego szturmowcy i brązowe koszule najechały mój mały... Nieważne, to było dawno temu. Niczego byś się nie dowiedziała. Nie musisz o tym nic wiedzieć. - Podeszła do drzwi ze zwieszoną głową i zgarbionymi plecami.

- Tak, zabijałam. Wielu zginęło przeze mnie w ciągu stuleci. Dziecko, stuleci. Pomyśl przez chwilę. Każda istota, której odebrałam życie, nawiedza mnie, mimo upływu lat. Wyobrażasz to sobie, dziewczynko? - Zatrzymała się w drzwiach i odwróciła ku dziewczynce. - „Zrobiłam” tylko jednego wampira, dziecko. Jest nim Marek. Poprzez niego dałam początek tak wielkiemu złu, cierpieniu i strachowi, że sama nie byłabym zdolna zrobić tego w ciągu stuleci. Uczyniłam to tylko raz i nigdy, przenigdy tego więcej nie zrobię. - Wyszła za próg. - I na pewno nie przemienię tak pozbawionego uczuć, złośliwego mordercy jak ty, dziecko.

*

O tak, Gabrielle miała powód, by wpatrywać się z gniewem w tłum i rozmyślać.

Tak, ujrzała, jak Cass czai się przy służbowym przejściu. Sam stary, zmanierowany Cass, oporny wampir. Jego zamienili. Jego!

A więc...

A więc co z tego, że Cass udawał kelnera? I co z tego, że prześlizgiwał się przez służbowe drzwi? I co, kurwa, z tego?

Rozejrzała się po balkonie. Marek wciąż tu stał i uśmiechał się na widok mrocznego karnawału.

Wtem obok niego zadrgał cień i nagle u jego boku pojawiła się Arianne.

Marek, promieniejąc, wyciągnął ręce. Rozmawiali ze sobą za pomocą oczu. Arianne zerknęła ponad barierką balkonu. Jej oczy rozszerzyły się. Potrząsnęła głową i wycofała się w cień, z którego się wyłoniła. I nagle zniknęła.

Marek trzasnął pięściami w barierkę. Zmarszczył brwi i skupił wzrok na tłumie. Po chwili z dołu nadbiegł Drake. Marek wyszeptał mu coś do ucha. Drake skinął głową i pobiegł na dół.

Chwilę później był z powrotem. Ciągnął Blair Armstrong. Kobieta utykała. Straciła jeden z drogich pantofli, upuściła szklanę, by w końcu paść na kolana przed Markiem. Marek skinął ręką, odprowadzając Drake'a, a potem wbił wzrok w Blair. Kobieta zawahała się przez chwilę, a potem schowała twarz w jego spodniach.

Uśmiech Marka wrócił powoli, gdy omiatał wzrokiem klub.

Gabrielle oderwała się od barierki, zanim jego oczy spoczęły na niej.

Pocciwy Cass po coś tu węszył. I co z tego?

*

Idąc w dół, Cass wciąż słyszał muzykę i ścieżki dźwiękowe teledysków oraz gwar setek pijanych głosów.

Choć Gothique szczelnie wypełniali fani gotyku, death metalu i muzyki darkwave, bywalcy klubów i inni ludzie, w sekretnych korytarzach panowała zupełna pustka.

Stracił dobre dwie godziny, błądząc na zapleczu, w korytarzach na piętrze, w biurach i schowkach. Ale nigdzie nikogo nie widział ani nie wyczuwał. Ani jednej duszy.

Zaczął schodzić na niższe poziomy. Minął cuchnące jaskinie, gdzie spali nowo narodzeni, jamy przesycone odorem spleśniałych ubrań, skrzepłej krwi, śmierci i czegoś jeszcze gorszego. Nie potrzebował zegarka, ale nawet tak głęboko w piwnicach pod starym budynkiem kina czuł, że noc miała się ku końcowi, a niebo nad jeziorem Michigan już zbladło, zmieniając kolor z ciemnej czerni do jaśniejszego indygo. Ile mu jeszcze zostało czasu? Godzina? Może i tak, zanim horyzont rozświetlą pierwsze smugi fioletu, zanim plamy jasnego różu rozleją się na falach jeziora.

Dotarł do zamkniętych na głucho, metalowych drzwi. Rygle i łańcuchy tkwiły na miejscu. Cass przycisnął ucho do metalu i usłyszał bicie serc, ciężkie oddechy, wydobywające się z posiniaczonych ust, zza brudnych knebli ze szmat i taśmy do pakowania. Dobiegał go płacz i rozpaczliwe błagania bezkrwistych ust, bezcelowe zawrodożenie: „Och, Boże, och, Jezu, mamó, tato, pomocy, niech mi ktoś pomoże!”. Błede palce zazgrzytały o metal, ryjąc w nim płytkie bruzdy. Rozdął nozdrza i wciągnął wilgotne powietrze. Ale wiedział, że w środku jej nie było.

Po prostu to wiedział.

Oprócz tej pierwszej były jeszcze trzy inne cele. Z każdej z nich dobywała się piekielna symfonia rozpaczliwych błagań, odbijających się od zamkniętych drzwi.

Ale ona tam nie krzyczała. Po prostu to wiedział.

Ciemny, wilgotny labirynt wił się, prowadząc w jeszcze głębszy mrok. Cass zmrużył oczy. W źrenicach rozbłysły mu czerwone iskry.

Przed sobą miał ostatnie drzwi.

- Colleen? - Szept odbijał się od betonu i piaskowca. - Col? - Ledwo słyszalny szept brzmiał w zupełnej ciszy niczym ryk. - Colleen? - Usłyszał... Co takiego? - Colleen? - Pomknął do ostatnich

drzwi. - Colleen! - Drzwi były zamknięte i zabezpieczone łańcuchem. Złapał go. Ciągnął i stękał, wbijając kły w dolną wargę. Ponadcentymetrowe ogniwa jęknęły. A potem wygięły się i puściły. Łańcuch rozsypał się z klekotem po betonie. Złapał za klamkę. Pociągnął, znów stękał. Chude ramiona napięły się. Puste żyły trzeszczały. Jęknął z wysiłku. W oczach paliły mu się rozżarzone węgle. Wyrwał klamkę z drzwi. Otworzył celę zakrzywionymi w szpony rękami. Pomieszczenie było małe. Panowały tam kompletne ciemności. Nawet jemu trudno było coś tam zobaczyć. Gdzieś kapąła woda. Zmrużył oczy i przeczesał wzrokiem mrok. - Colleen? Coś się poruszyło.

- Cass? - Skoczył w ciemność i padł na kolana. Siedziała tam. Skuliła się w kącie, półnaga. Trzęsa się spazmatycznie jak narkoman na dwudniowym odwyku. Cała była w sińcach i ranach. Miała na sobie podartą koszulkę, przesiąkniętą brudem, zimnym potem i krwią. Tak samo wyglądała jej bielizna i skarpetki. - Cass? Czy... Czy to naprawdę ty? - Objął ją. Trzęsa się niekontrolowanie. Jej nogi uderzały o podłogę. Ręce trzepotały po bokach. Trzymał ją w ramionach, taką wiotką, słabą i zimną. - Cass...

- Już dobrze, Col. - Zdjął płaszcz i otulił ją. - Już wszystko dobrze.

- Obejmował ją mocno, próbował ogrzać i powstrzymać spazmy. - Chodź, musimy się stąd wydostać.

- N...nie, j...ja...

- Chodź, Col. Trzeba iść. I to już. - Próbował ją podnieść, ale upadła mu na kolana.

- Colleen? - Złapał ją za brodę i odwrócił ku sobie jej twarz. - Colleen? - Nie odpowiedziała mu. - Colleen, no chodź, musimy się natychmiast stąd wydostać. Nie mamy zbyt wiele czasu. Ja nie mam czasu. Colleen? - Otworzyła oczy. Zobaczył to nawet w tym mroku. Nie chciał tego widzieć, ale zobaczył... - Och, nie, Colleen... - Oczy Colleen Russell były czarne jak martwe opale. Takie same jak jego. To były oczy wampira.

- Nie, Colleen, nie, nie...

Otworzyła usta i ujrzał dwa krótkie, ostre kły.

- Cass? - Czarne oczy Colleen rozbłysły bladymi, czerwonymi iskrami. Odrzucił głowę w tył i zawył.

- Colleen, nie! Nieee...

Rozdział trzydziesty

Jeff już miał złapać walizkę, gdy zadzwonił dzwonek. Rzucił Terri zrozpaczone spojrzenie i upuścił torbę.

- I tyle, jeśli chodzi o zdążenie przed korkami. - Uśmiechnęła się w odpowiedzi i postawiła na podłodze salonu swoje dwie walizki.

Ponownie rozległ się dzwonek.

- Jacks, chyba przyjechała pizza. Dziewczyna zawołała ze swojego pokoju:

- Tato, jestem w trakcie... O cholera, chyba poszło na marne. Potrząsnął głową i otworzył drzwi. Wziął pizzę i sześcioopak coli. Podał dowożącemu chłopakowi dwudziestkę.

- Proszę zatrzymać resztę.

Jacks wpadła do salonu w tym samym momencie, gdy zamykał drzwi.

- Och, super, czy to oznacza, że stawiasz?

Jeff wrzucił pudełko z pizzą i napoje w jej ramiona.

- Nie, odliczę z twojego kieszonkowego w przyszłym tygodniu.

- Wielkie dzięki - odparła. - Nie szcędzisz napiwków moim kosztem, co? - Skierowała się do kuchni, otwierając karton i wyciągając kawałek.

- Nie masz nic przeciwko, prawda? - Szedł za nią, a Terri deptała mu po piętach, dołączając się.

- Jacks, jeśli czujesz się niezręcznie, możemy...

Ale ona wypchała już sobie policzki. Wyglądała jak chomik. Przełknęła cały pierwszy kawałek i już sięgała po następny, wyjmując z szafki talerz.

- Co możecie? Opuśćcie sobie. - Usiadła na blacie. - Terri, ostatnio pracowałam dwadzieścia cztery godziny na dobę siedem dni w tygodniu. Ojciec się snuje ostatnio, jakby stracił rozum. A w głowie kłębią mu się myśli związane z trzema kasiastymi ofertami. - Odwróciła się do taty. - To kasiaste oferty, prawda? Czyli jeszcze nie czas na garażową wyprzedaż? Bo nie chcę, żeby mi sąsiedzi grzebali w rzeczach po pięćdziesiąt centów za sztukę.

- Wszystkie trzy to dobre oferty.

- No to super. - Zeskoczyła z blatu i wytarła sos pomidorowy z dżinsów. - Należy wam się mały odpoczynek. Trochę wina, trochę śpiewu, trochę. .. cóż, w te inne „trochę” nie chcę się zagłębiać.

Terri roześmiała się. Jeff w końcu poddał się i zaśmiał wraz z nią.

- No dobrze - rzekł - ale jesteś pewna, że dasz sobie tu radę przez weekend? Masz numer, pod który możesz do nas zadzwonić?

- Proszę bardzo, tato. Pensjonat The Galena Arms. Brzmi taniutko. Numer na lodówce.

- Rachel zostaje dziś na noc?

- Sprawdź. Może jutro też. Jej tata pojechał na jakieś podtrzymujące męskie więzi polowanko na jelenie pod tytułem „Rozwalmy Bambiego”. Nie wiem, co jej mama ma w planach. Rory ma sprowadzić swoich kolegów do ich domu w sobotnią noc, a moim zdaniem to wystarczy, by Rachel się spakowała.

- A wy obie zostajecie tu tak bez towarzystwa? Same? Bez gości?

- Jacks, on chyba ma na myśli chłopców - stwierdziła Terri, uśmiechając się.

- Tak, jakie to subtelne, prawda? - Jacks obróciła się do ojca. - Spokojnie, tato. Myślisz, że Rachel zostawałaby na noc, jeśli miałyby randkę? - Dziewczyna egzaltowanym gestem uniosła rękę do czoła. - Och, jakież to smutne, ale zamierzamy skończyć projekt dla Boyntona z informatyki. Pracowałam nad tym, nie udało mi się czegoś zachować i dlatego pojawiła się „cholera”, którą tak miło zignorowałeś. - Wzięła ich pod ramię i z powrotem wprowadziła do salonu. - Starczy tego dobrego. Spadajcie. Wynocha. Palcie gumę. Mieliście być już w połowie drogi do Galeny.

Jeff i Terri złapali torby i wyszli na ganek. Jacks stała w drzwiach i machała.

- I nie robicie niczego, czego ja... eee, chyba o tym też zapomnijcie, dobra?

Terri odmachala jej i podeszła do krawężnika, gdzie Jeff zaparkował trans arna. Jeff doszedł do połowy chodnika, zatrzymał się i podbiegł z powrotem do ganku. Otworzył drzwi, pocałował Jacks w policzek i wsunął w jej rękę dwie dwudziestki.

- Super, tato, jutro urządzam oglądanie filmów.

- Trzymaj to na wszelki wypadek. - Obrócił się, a potem jeszcze raz zwrócił do niej. - To taty oszczędności.

Jacks machała im na do widzenia, aż samochód odjechał. Wyszła na ganek i spojrzała na ulicę, zastanawiając się, czy Rachel już do niej idzie. Ale jesienny wiatr stał się dwa razy chłodniejszy, odkąd słońce zniżyło się i schowało za dachy. Weszła z powrotem do środka.

*

Cass zerknął przez ramię i upewnił się, że nikt nie patrzy. Nagle skręcił w alejkę, odbiegającą od Montrose.

Większość alej Chicago była jaśniejsza niż ulice. Ale ta była bruzdą w samym środku ziemi niczyjej między terytorium gangu Latynoskich Królów a jakichś dresiarzy, działających na własnym klepisku. Światła alejki już parę miesięcy temu ktoś stłukł kamieniem. Cass odliczył trzy warsztaty, a potem zatrzymał się przy czwartym. Ktoś spalił budynek i teraz płyta pilśniowa, przybita w miejscu okien i drzwi, wisiała niebezpiecznie. Jeszcze raz zerknął przez ramię. Nikogo nie widział, nikogo nie wyczuwał, wśliznął się więc do środka.

Colleen leżała wciąż w tym samym miejscu, gdzie zostawił ją godzinę temu.

W tym samym miejscu, w którym ułożył ją parę nocy temu. Niebo płonęło palącym, pomarańczowym kolorem. Zostawili Gothique za sobą. Biegli długo i z rozpaczą. A może tylko im się wydawało, że to długo trwało. Biegli, dopóki niosły ich stopy. Słońce zaczynało wschodzić i z ich ciał zaczęła unosić się para, cuchnąca kwasem. Wtedy wepchnął w szczeliny zabitych płytami pilśniowymi okien jakiś szmaty i gazety, zebrał na kupę śmieci i oboje upadli na podłogę, gdy ogarnął ich sen.

I oto przebywali tu już od kilku nocy. Od ilu? Dwóch? Czterech? Nie był tego pewien. Pamiętał tylko, że pierwszej nocy wystarczyły mu dwa szczury. Nie chciał jej zostawiać. Ostatniej nocy nie był w stanie walczyć już z pragnieniem. Wypadł na ulicę i zgarnął jakąś przechodzoną dziwkę.

Każdej nocy, ilekolwiek by ich było, z Colleen działo się to samo.

Dziewczyna trzęsła się na podłodze, obejmując się kurczowo ramionami. Zatapiała paznokcie w ciele. Non stop szczękała zębami. Kły rozorały jej wargi. Skóra Colleen zmieniła kolor z bieli na niezdrową, popielatą szarość. Straszliwie śmierdziała, jak trup, prawdziwy trup i domyślił się, że oni wszyscy tak samo śmierdzą... Jeśli nie dostarczają sobie krwi, która dokonałaby małego cudu.

Tylko że ona nie chciała pić.

Ani szczurów, ani wścibskiego kocura, który wkradł się do garażu i prawie uciekł, zanim on go dopadł. Nie chciała się do niego przyłączyć i wyjść na ulicę. Może nie mogła, skoro była taka słaba.

Nie napiłaby się z tej małej dziwki, nawet gdyby od tego zależało jej życie. A tak w rzeczywistości było. Jeśli w ogóle można to było nazwać życiem.

Nie wiedział, co zrobić. Nie wiedział, co się stanie. Po przeczytaniu tylu książek i komiksów, nauczeniu się piosenek, obejrzeniu filmów, nie miał zielonego pojęcia, co może się stać z wampirem, który nie chce pić krwi.

Tej nocy zniknął na nieco dłużej. Z początku wydawało się, że poniesie porażkę. Na ulicach panowały pustki. Nigdzie nie było dziwek ani zabłąkanych narkomanów. Dopiero audi, które okrążyło dwakroć przecznicę, w końcu zwalniając i stając przy krawężniku. Czterdziestoparoletni mężczyzna w garniturze uśmiechnął się i zaczął gadać bez sensu przez otwarte okno, zupełnie jakby nie było nic dziwnego w tym, że rozmawia z jakimś ubranym w czerń bladym i brudnym typkiem, wystającym na ciemnym rogu w nieciekawej dzielnicy.

Ale tak czy owak, dostał to, co chciał. W audi było ciepło. Sprzęt grał przyjemnie, a skóra na siedzeniach była taka miękka. Co z tego, że pan w krawacie - który pewnie miał żonę i dzieci - był też nieco miękki. Ale chłodne wargi Cassa w końcu działały cuda, a właściciel był wdzięczny jak diabli i nawet spytał, czy Cass jeszcze się pojawi na tym rogu którejs nocy. Jednocześnie wyjmował z portfela banknot dwudziestodolarowy i dziesiątkę.

Cass wcale nie czuł wyrzutów sumienia, gdy ogłuszył faceta i opróżnił mu portfel. No, prawie opróżnił. Zostawił w nim piątaka. Ale zgarnął dwieście. Kto, do diabła, nosił dwieście dolarów przy sobie nocą w tak paskudnej dzielnicy? A potem przestraszył klienta tym, że pochylił się i niedbale zlizął krew, płynącą mu z rozbitego nosa. Rzucił się wtedy na wystraszonego faceta i wygodnie usadowił w klimatyzowanym wnętrzu na cielejącej skórze, wśród płynących dźwięków muzyki, chciwie chleptał z czterdziestoparoletniego gardła. Zostawił nieprzytomnego mężczyznę z głową na kierownicy. Silnik wciąż pracował w zaparkowanym przy krawężniku samochodzie. Aż się prosił, by sprawdziła go policja i zobaczyła ściągnięte do kostek spodnie kierowcy.

- Colleen, zdobyłem pieniądze. Dwieście dolców. A może i więcej. Colleen?

Jego oczy szybko przystosowały się do ciemności w warsztacie. Ujrzał dziewczynę na podłodze. Nakryła się mokrymi gazetami i plastikową torbą na śmieci. Wciąż miała na sobie tylko zakrwawioną koszulkę, brudne skarpetki i bieliznę. Widział, że sińce zaczynają blaknąć. Ale ona również zniknęła.

Zdarł z siebie płaszcz i przykrył ją. Sam położył się przy niej i przytulił.

- Możemy je wydać, Col. Kupimy ci ubranie. Może wynajmiemy gdzieś na parę dni jakiś pokój. Kupimy sobie czas i wymyślimy, co robić dalej, dokąd pójść. W Sheridan wynajmują pokoje. To niedaleko. Uda nam się. Colleen, jeśli trzeba, ja cię poniosę.

Nie odpowiedziała, tylko potrząsnęła głową.

- Colleen, ty przecież... Dlaczego nie chcesz... Colleen...

- Nie. - Dopadł ją kolejny atak. Całe ciało trzęsło się w niekontrolowanych spazmach. Wywrócone gałki oczne pulsowały czernią i czerwienią. W końcu atak skończył się i Colleen wykaszłała nieco ohydnej, czarnej wydzieliny, ostatni kawałek zgniłej śmiertelności. Padła z powrotem na kupę śmieci. - Nie.

*

- Chcesz trochę pizzy? Jeszcze gorąca. - Jacks przytrzymała Rachel drzwi.

- Tylko mnie wpuść, bo zaraz zamarznię. - Rachel wpadła do środka. W jednej ręce miała walizkę, w drugiej kosmetyczkę.

- Wprowadzasz się?

Rachel upuściła torby na kanapę.

- Nie, ale potrzebuję czegoś na dzisiejszy wieczór i czegoś normalnego na jutro, czegoś pożyczonego i czegoś niebieskiego, i...

- Czekaj. Myślałam, że się nigdy nie zjawisz. Naprawdę twoja mama zamierza przeżyć jakoś Rory'ego i jego przyjaciół bez twojego udziału?

- Chyba sobie żartujesz. - Rachel zrzuciła buty i usiadła na torbach. - Ledwo tata odjechał ze swoimi kumplami od strzelania i browara, a już mama skrapiała nadgarstki Chanel nr 5 i szykowała się na „kolację z przyjaciółką”. Rory nie ma pojęcia, choć to żadna doprawdy rewelacja, ale ja myślę, że „przyjaciółka” to ten agent ubezpieczeniowy, który się tu wciąż kręci. Tak więc spodziewam się, że mama zjawi się dziesięć minut przed przyjazdem taty.

- Och. Przykro mi.

- Niech ci nie będzie. Słuchaj, przez tyle lat nie miałaś okazji patrzeć na to, jak się zachowują rodzice. Moi wciąż są ze sobą w jakiś chory sposób, ale im bardziej czują się winni, tym mniej wtrącają się w moje życie i sprawy dziecka.

- Pewnie tak. Wchodź, a ja pozamykam.

Rachel poszła za Jacks do pokoju z biurkiem zaśmieconym wydrukami. Monitor komputerowy oświetlał scenerię. Odtwarzacz CD grał cicho najnowszą płytę Razor Kutz. Rachel podeszła wprost do niego i zwiększyła głośność, aż zatrzęsły się głośniki.

- Tam zmierzamy. - Rachel wskazała monitor. Jacks wzruszyła ramionami.

- Do komputera?

- Nie, głupia babo. Do Gothique. - Ponownie wskazała monitor. - O tyle, o ile mogę odgadnąć drogę.

Jacks siadła w fotelu przy biurku.

- A wiesz, te pliki, które usiłowałam odratować, zawierają jakieś nieoficjalne informacje na temat Palace Theater i tego, w jaki sposób to miejsce zmieniało właścicieli, nie wiem, może ze dwanaście razy. W końcu zostało kupione za równowartość niezapłaconych podatków przez spółkę Whitestar Media Group, tę od „Charade Magazine”. Tyle że w tym przypadku od razu zmieniło właściciela na jakiś dęty trust. Pojawia się jakaś osoba zwana „Markiem”, ale bez nazwiska, a może to jest właśnie nazwisko. To on się wszystkim zajmuje, a potem nagle znika i...

Rachel zakryła usta Jacks.

- Zamknij się i napawaj. - Wyciągnęła dwie laminowane karty i rzuciła je na biurko.

Jacks odsunęła rękę Rachel.

- O kurczę. - Podniosła jedno z fałszywych praw jazdy stanu Illinois.

- Wyglądam ohydnie na tym zdjęciu, ale reszta jest imponująca. Moje wyrazy uznania dla Rory'ego. Wyglądają zupełnie jak prawdziwe. Ile mam lat? Dwadzieścia cztery? Jak to zrobić, do cholery, żebym wyglądała na dwadzieścia cztery lata? Pokaż mi swoje. - Przejrzała prawo jazdy przyjaciółki. - Dwadzieścia sześć? Kogo chcesz oszukać? A poza tym, skąd masz taką bajerancką fotkę? Robiłaś gdzieś pokątnie w jakimś studio?

- Żywię się pochlebstwami, koleżanko. Pochlebstwami. - Rachel pochyliła się nad Jacks, przesunęła myszkę po podkładce i zamknęła plik na ekranie.

- Zamknij kompa, a ja zbiorę rzeczy. Nie marnujmy czasu. Mamy przed sobą długą noc. - Obróciła się na pięcie i wypadła z pokoju. - I zastrzegam sobie prawo do ocenzurowania wszystkiego, co chcesz na siebie włożyć.

Piętnaście minut później komputer zdążył już się wystudzić. Płyta Razor Kutz została wymieniona na ustawiony na powtarzanie zestaw maksisingli Two Witches, a pokój, łazienkę i korytarz zaśłały przymierzane, lecz odrzucone zestawy z szafy Jacks i torby Rachel. Ta druga w szlafroku zgarbiła się nad zlewem w łazience. Kołysała biodrami w rytm muzyki i obramowywała delikatnie kontur ust ciemniejszym odcieniem głębokiej czerwieni. Jacks ukazała się w drzwiach, unosząc kolejny wieszak z krótką, bawełnianą sukienką.

- A to? - wrzasnęła, przekrzykując muzykę.

Rachel potrząsnęła głową. Nabrała ostatnią porcję błyszcząka i roztała na ustach.

- Nie, zbyt dziecinna. - Na kolejną propozycję usłyszała: - Nie, to w stylu Elviry. Myśl o superciuchu, nie o efekciarskim łażu.

Jacks siedziała na podłodze garderoby. Rachel w końcu wpadła tanecznym krokiem. Jej twarz wyglądała jak oblicze najdoskonalszego modnego wampira. Nadawała się na okładkę „Charade”.

- Tres chic, Rach. Nieco mniej w stylu lat osiemdziesiątych i Siouxi Sioux, niż się po tobie spodziewałam. - Jacks wzięła czarne, aksamitne legginsy, obejrzała je, prychnęła i rzuciła w głąb szafy.

- Hej, Jacks, dziś wyruszamy na polowanie. Nie wybieram się po to, żeby odstraszać chłopców. Zamierzam ich zwabiać. - Rachel usiadła na łóżku i otworzyła torbę. Wydobyła pokrowiec na ubrania i opróżniła wszystko na sofę. - Mamy dom dla siebie na cały weekend. Uważaj mój wygląd za gwarancję dobrej zabawy, która potrwa aż do niedzieli. - Wyśliznęła się ze szlafroka i stanęła nago, grzebiąc w ubraniach i sortując je na kupki.

Jacks odwróciła wzrok i sama gmerała w swoich rzeczach.

- Rachel zwolnij trochę. Wciąż jestem spietrana. Ty się wybierasz na polowanie, ja mogę ci potowarzyszyć. Ale pozostanemy na etapie flirtowania, wolnych tańców i wymiany numerów telefonów.

A potem wychodzimy. Nie chcę zapraszać tu obcych ludzi na jakąś pełną wrażeń gotycką imprezę.

- Nooo. - Rachel wciągnęła bieliznę na pupę, wygładziła, wsunęła kciuk za gumkę i strzeliła głośno.

- Mówię serio. - Jacks rzuciła wyszywany cekinami sweter na wciąż rosnący stos w głębi szafy. Spojrzała przez ramię i ujrzała, jak Rach zapina haftki na czarnym gorsecie Wesoła Wdówka, uszytym z czarnej koronki i sztywnych fiszbin. U dołu zwieszały się paski do pończoch. - A tak serio, robiłaś zakupy kartą w katalogu Frederick Of Hollywood czy jak?

Ta padła na łóżko.

- Niby te ciuchy? Wyobraź sobie, że należą do mojej mamy, choć sama nie wiem, co ona z nimi robi. A może... Może to jakiś ekwipunek na „kolacje z przyjaciółką”. Wiesz, że dzisiaj pożyczyła jedną z moich bluzek? Wyobraź sobie, pan Agent Ubezpieczeniowy i moja mama w mojej bluzce. Pan Agent Ubezpieczeniowy i moja mama bez mojej bluzki. Fuj. To zbyt obrzydliwe, by sobie nawet wyobrazić. - Złapała płaską paczuszkę i rozerwała ją. Ze środka wypadła jej na kolana para delikatnych, czarnych pończoch.

Jacks przewróciła się na podłodze.

- Och, kurczę, chyba przesadzasz.

- Co? - Rachel ostrożnie zrolowała pończochę, włożyła w nią nogę i powoli wciągnęła do góry. Jacks wstała z podłogi i usiadła na łóżku obok.

- Zamierzam trzepotać rzęsami, żeby ktoś mi postawił drinka, ale co ty w zamian zrobisz?

- Nie bądź taką cnotką. - Rach wygładziła czarne pończochy na udzie i zmagala się z nieznanym jej zapięciem paska. Po kilku próbach zapięła go, po kilku następnych poradziła sobie z tym z tyłu. - Chłopcy lubią takie stroje. Uważasz, że dziewczyny w filmach i w czasopismach same sobie dobierają garderobę? Poza tym, jeśli głęboko pomyślisz i wyobrazisz sobie, jak to działa, to dostrzeżesz kilka praktycznych... aspektów. Na przykład... w bezpośrednim kontakcie.

- Wyobrażam sobie i jedyne, co widzę, to strój dziwki.

- Ja uważam, że ma rodowód z dekadentckiego kabaretu. Poza tym, jeśli naprawdę w „Tribune” pokazywali otwarcie, to w takich gorsetach będzie tam tyle samo chłopców i dziewcząt. - Przeczesała

kupkę ubrań i wyjęła jeszcze jedną paczkę. - Masz. „Nighttime Noir”. To twój odcień. Zakładaj. - Rzuciła paczuszkę Jacks.

Ta złapała ją jedną ręką i popatrzyła na modelkę na zdjęciu.

- Chyba nie. - I odrzuciła paczuszkę z powrotem.

Rachel włożyła drugą pończochę równie starannie jak pierwszą. Tak samo też zmagala się z paskiem.

- Twój wybór. - Wstała i obejrzała długie, smukłe nogi. Aby osiągnąć lepszy efekt, stanęła na palcach. - Ale super. Ale nie wyobrażam sobie czasów, gdy trzeba było coś takiego nosić cały czas. - Odnalazła buty wśród rozrzuconych na łóżku ubraniach. Były to błyszczące, czarne pantofle na obcasie ze spiczastym czubkiem. Włożyła je i chwiała się przez chwilę, przyzwyczajając do sześciu centymetrów dodatkowego wzrostu. - Auć. Mam nadzieję, że przystanek El nie jest zbyt daleko od Gothique, albo będę je musiała zdjąć, żeby zatańczyć.

Jacks podniosła bluzkę i kolejną spódnicę ze stosu i ponownie rzuciła na podłogę z jękiem.

- Och, dziewczyno, starczy tego. - Rachel złapała Jacks za rękę i wciągnęła ją do łazienki. - Chodź ze mną. Przynajmniej umalujmy cię.

Maksisingle grały po raz trzeci, gdy Rachel w końcu skończyła makijaż Jacks.

- I po robocie. - Złapała ją za ramiona i odwróciła, by dziewczyna zobaczyła swoje odbicie w lustrze.

- Rachel... to wspaniałe. - Jacks wpatrywała się w obraz i nie mogła powstrzymać uśmiechu. Makijaż był nawet lepszy niż ten na twarzy Rachel. Smoliste cienie były o trzy odcienie ciemniejsze, niż sama by zaryzykowała. Grubo położony tusz i eyeliner nadał jej wielkim oczom śmiercionośny wyraz. Delikatne muśnięcia różu na policzkach uczyniły twarz smuklejszą, bardziej wampiryczną. Wspaniałe współgrały z głęboką czerwienią błyszczących ust. - Wyglądam...

- Według mnie pięknie, dzieciaku. - Rachel pochyliła się nad jej ramieniem i przysunęła twarz. - Dwie superwampirzyce na łowach, co?

- Wrrr!

- Wreszcie pojęłaś. A skoro reguły panujące w tym domu nie pozwalają na przyprowadzenie sobie męskich zabaweczek... - Rachel pochyliła się bliżej i pocałowała Jacks w kącik ust. - To cóż...

Jacks odsunęła się od niej gwałtownie.

- Przestań, Rachel. Nie podoba mi się to.

- Och, daj spokój, żartuję sobie. - Dziewczyna złapała Jacks za rękę i odciągnęła od lustra. - Wracajmy do sypialni.

Jacks zamarła.

- Żeby ci coś wybrała, na Boga. - Rachel pociągnęła ją, a ona poszła za nią. - Jezu, wyluzuj. I tak wszyscy tam są transseksualni. „Tacy jesteśmy dekadency”, wiesz, lesby i geje.

- Rach, ty...

- No żartuję przecież.

*

Kolejka El i metro jeździły jedynie w północnych dzielnicach miasta.

Dla zwykłego mieszkańca południowych i zachodnich dzielnic Chicago wyprawy którymkolwiek z tych środków komunikacji w większości przypadków były prawdziwą przygodą. Linie pomarańczową do lotniska Midway wybudowano zaledwie kilka lat temu. Rachel urodziła się i wychowała w Chicago, Jacks spędziła tu większość swego życia, nie licząc kilku ostatnich lat w Encino. Obydwie podróżowały już miejskimi autobusami CTA. Ale jeszcze żadna z nich nie postawiła nogi w El lub w metrze.

Co za przygoda.

Rachel rozparła się na nieco lepkim siedzeniu ostatniego wagonu El. Czarny, niezapięty płaszcz ukazywał jej długie, wyciągnięte nogi. Jeden z lśniących pantofli zsunął się i dyndał na stopie. Dziewczyna starała się, by tak to wyglądało. Wcześniej musiała zagiąć czubek, by but utrzymał się na nodze. Najwyraźniej bawiły ją pożądlive spojrzenia dwóch latynoskich chłopców, siedzących z przodu. Zmieniła pozycję na siedzeniu. Pociąg przyspieszał na biegnących na północ torach, pozostawiwszy z tyłu pas domków jednorodzinnych i Bridgeport. Przejeżdżali teraz przez Chinatown. Gdy się poruszyła, długa suknia rozchyliła się jeszcze bardziej. Czują, jak powietrze całuje nagą skórę na udzie. Od razu wiedziała, że suknia zsunęła się z podwiązek, a może nawet ukazała zapięcia pasa do pończoch... i rzeczywiście tak było. Widziała to w oczach latynoskich chłopców.

- Hej, Rachel. - Jacks musiała zamachać, żeby dziewczyna podniosła na nią wzrok. - Alarm przyzwoitki!

- Co?

- Zasłoń się, dobrze? Nie chcę, żeby nas aresztowano za prostytutkę, zanim dotrzemy do śródmieścia.

Rachel zmarszczyła brwi i zasłoniła nogi, ale wcale to nie zniechęciło chłopców. Pociąg skręcił ostro i podązał teraz wprost na północ. Dziewczyny przycisnęły twarze do ciemnych okien. Patrzyły, jak budynki śródmieścia rosną w oczach. Zbliżały się do nich z prędkością sześćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Przesiadły się w Loop. Jacks wpatrywała się jak urzeczona w State Street i błyszczące drapacze chmur. W końcu Rachel pociągnęła ją ku schodom do metra. Pociąg mknął pod ziemią przez resztę śródmieścia. Wyłonił się w Near North, przejechał przez Old Town i Lincoln Park. Zdażyły zobaczyć w przelocie turystyczne widoczki przy Armitage, Diversey, Fullerton i Belmont i wielu innych. Wszystkie te nazwy mówiły parze zaciekawionych nastolatków z południowych przedmieść: „Tu się właśnie toczy prawdziwe życie”. Na North Avenue wskoczyło kilku członków gangu, ale wysiedli na Fullerton. W Belmont do wagonu weszło dwóch fanów darkwave. Ich plecaki były wypakowane po brzegi książkami, magazynami i płytami, które wysypały się wokół nich, gdy tylko usiedli. Skinęły głowami Rachel i Jacks, a one uśmiechnęły się szeroko w odpowiedzi. Zupełnie, jakby należały do jakiegoś stowarzyszenia, jakby miały coś wspólnego z tymi ludźmi, jakby to był jakiś rzeczywiście ultra elitarny klub, a im właśnie przekazano znak, dzięki któremu mogły tam wejść.

Pociąg wysadził je na Montrose i Ravenswood. Rachel zbiegła ze schodów peronu najszybciej, jak pozwoliły jej wysokie obcasy pantofli. Jacks podążyła za nią wolniej. Nagle usłyszała hałas metra i samochodów, stojących w ulicznych korkach, zauważyła zatłoczone uliczki północnej dzielnicy, trąbiące klaksony, rzędy jaskrawych knajp z witrynami od ulicy i neonów klubów z tańcem erotycznym, tłum żebraków i dziwek przy krawężnikach i pod stacjami El. Dziewczęta minęły stary kościół z samotną figurą świętego Alstantiusa, sterczącą w ciemnościach. Najwyraźniej przepaliła się iluminacja. Przeszły przez Wolcott, Winchester i zatrzymały się na światłach na Damen. Minął je samochód, pełen imprezowiczów. Gdy przejeżdżał obok nich, zwolnił. Przez okna wywiesili się chłopcy, wysuwając w stronę Jacks i Rachel wibrujące języki.

- Hej, patrzcie, panie Dracula!

- Dziewczyny, chcecie wziąć coś w swoje zębki? Jacks pokazała im środkowy palec.

- Jebać je, to lesby.

Szukała w myślach riposty, ale nic jej nie przyszło do głowy, zarzuciła więc nogę wokół Rachel, złapała ją za brodę i pocałowała w usta. Spojrzała na chłopców i uśmiechnęła się błyszczącymi ustami. Z ich twarzy zniknęły głupawe uśmieszki. Rozdziawili usta.

- O Boże - powiedziała Rachel - Jacks, ja naprawdę wcześniej żartowałam.

- Och, zamknij się. - Jacks ruszyła przed siebie i znów pokazała chłopcom środkowy palec. Rachel upozowała się na dziwkę i zamierzała rozchylić suknię z rozcięciem, gdy przyjaciółka szturchnęła ją łokciem. - Zbierajmy się, zanim oni nabiorą chęci na coś poważniejszego.

Rachel pomachała chłopcom na do widzenia, a oni odjechali pospiesznie. Zimny wiatr, pędzący po Montrose, rozwiał jej płaszcz i długą suknię, ukazując nogi.

- Testuję tylko arsenał.

Światło zmieniło się na zielone. Przeszły przez ulicę i skierowały się na południe. Szły po Damen Avenue.

- Wciąż twierdzę, że powinnaś nałożyć te pończochy „Nighttime Noir”. I ten gorset, który pożyczyłam od Amy Wilson. Po co go kupowała, jeśli nie ma gdzie się w nim wybrać.

Jacks wcisnęła ręce w kieszenie i zasunęła szczelnie czarną kurtkę motocyklową.

- Nie będziesz miała nic przeciwko, jeśli dziś wieczorem pozostawię moją bieliznę pod ubraniami, Rach?

Ta tylko wzruszyła ramionami.

- Tak sobie gadam. Nie bój się, wyglądasz zabójczo. Konserwatywnie zabójczo, jak zabójca oderwany znad herbaty i herbatnika, ale mimo wszystko zabójczo. - Jacks nie bała się. Kurtka sięgała niemal skraju jej skąpej sukienki, która wyglądała jak zwiewny strzępek czarnego jedwabiu. Rachel zrobiła ją, ucinając dół sukienki z egzaminów w gimnazjum, przez co ubranie zaczęło wyglądać jak halka, na dodatek bardzo krótka i bardzo sugestywna. Kiedy szły Damen, zdenerwowanie Jacks ustępowało gorączkowemu wyczekiwaniu. Poczula się lepiej. Jakby zjednoczyła się z nastrojem wieczoru. Coś wspaniałego. Szła, wyprostowana, ubrana w jednolity

skrawek czerni. Skórzaną kurtkę i skąpą sukienkę otaczały ciemności. Zamszowe pantofle Rachel wystukiwały rytm. Na szyi czuła wybijaną ćwiekami obrożę, zdobytą dzięki uprzejmości psa Rachel, Sparky'ego, pozbawionego jej na ten weekend. Makijaż i dodatkowa pomoc w postaci kropli perfum Caron Nocturnes na nadgarstkach, szyi i piersiach miały zamaskować zdradliwą woń pudła. W połowie wędrówki przez pierwszą przecznicę ujrzały przed sobą czerwony blask, pulsujący przez korony kasztanów, które już zrzucały liście. Ogromne czerwone gotyckie litery zdawały unosić się w ciemnościach. Ich blask omywał sylwetki tłumu, tłoczącego się pod markizą. GOTHIQUE. Rachel przyspieszyła. - Kurwa, te buty mnie zabijają.

- No to zwolnij.

- Za nic. Ochroniarz przez dłuższy czas wpatrywał się w ich prawa jazdy. Ale w końcu uśmiechnął się - a raczej wyszczerzył - i wpuścił dziewczęta. Rozstały się z wejściówkami w kwocie dwudziestu pięciu dolarów. Banknoty tkwiły w pięści Rachel, dopóki jeden z bramkarzy jej ich nie wyrwał.

- Nie bój się, Rach. Tata dał mi ekstra czterdzieści dolarów, zanim wyjechał z Terri. Na nieprzewidziane wypadki.

- Och, ogłośmy wszem wobec tę radosną nowinę.

Przesuwały się w foyer, czekając wraz z resztą tłumu. Już czuły grzmiącą muzykę. Basy wstrząsały podłogą i przeszywały ich nogi. Już czuły smród maszyny do robienia mgły, zmieszany z niezliczonymi rodzajami wód kolońskich i perfum, zapachem skóry, potu, trawy i...

I czymś jeszcze. Jacks zmarszczyła nos. Wyczuła coś, co kryło się pod tymi wszystkimi zapachami, coś nie tak zachęcającego, coś zleżałego, coś nieco... zepsutego.

Ale zapomniała o tym w chwili, gdy weszły razem do głównej sali.

Usta Jacks otworzyły się szeroko.

- O... mój... Boże.

Mężczyzna przed nimi zarzucił pelerynę na ramię i zerknął przez ramię.

- Bóg, moja droga, nie ma z tym nic wspólnego.

Oczy Rachel myszkowały wśród morza ciał. Wszyscy tańczyli, pili, palili, całowali się, prychali, pozowali, obściskiwali się...

- Chcesz się założyć? - Zauważyła dwóch mężczyzn, którzy tańczyli wolny taniec, mimo że rytm był zdecydowanie szybki. Ich dłonie zanurzały się głęboko w spodnie partnera. Skupiła wzrok na długowłosym gocie, przebranym dokładnie za martwego Brada Pitta. Wierność wizerunkowi zaczynała się od kolorowych szkieł kontaktowych, a kończyła na fosforyzujących, wampirzych żyłach. Rachel przeniosła wzrok na wierną kopię Edwarda Nożycorękiego, na szczęście bez nożyc. - Jacks, umarłam i trafiłam do nieba.

*

Oddały do szatni płaszcze i torebki. Rachel wetknęła banknoty za górę gorsetu Wesołej Wdówki, Jacks wsunęła monety do butów.

Jacks chciała się przyjrzeć boksom z przedstawieniami, ale Rachel pociągnęła ją do baru i kupiła dwie kolejki, a potem tak długo namawiała, aż przełknęły je, odliczając na trzy. Jacks zaczęła kaszleć, gdy tylko alkohol dotarł jej do gardła. Potem Rachel zamówiła jałowcówkę dla nich obu i, ciągnąc przyjaciółkę za rękę i wędrując po parkiecie, szybko opróżniła swoją szklankę i zaczęła podkradać łyki ze szklanki Jacks... aż i ona opustoszała.

Przez następną godzinę tańczyły bez przerwy, najpierw ze sobą nawzajem, bo taki tu panował zwyczaj, a nawet reguła, a potem z nieustannie zmieniającymi się chłopcami i dziewczętami. Czasem tańczyły samotnie, oddalone od siebie o pół długości parkietu, na chwilę zatopione w swoim własnym świetle. Muzyka grała bez przerwy, choć Rachel musiała na chwilę przestać i pójść do szatni. Zostawiła Jacks tańczącą z dwoma chudymi, ale ładnymi chłopcami w ubraniach ze skóry, a sama pokuśtykała, by zrzucić pantofle. Wróciła jednak w mgnieniu oka, przeslizgując się po parkiecie na stopach odzianych w same pończochy. Zaczęła tańczyć, nie tracąc ani na chwilę rytmu. Przyciągała jednego z ubranych w skórę chłopców coraz bliżej siebie, aż niemal zetknęli się twarzami, a ich oddechy zmieszały ze sobą. Stykali się klatkami piersiowymi i prawie splatali nogi.

Skończyła się jedna piosenka i natychmiast zaczęła następna, ale Rachel zniecierpliwiona wyrwała się z objęć chłopca.

- Chodźmy, muszę złapać oddech. - Jacks podążyła za nią. Za ich plecami chłopcy tańczyli już ze sobą. - Był miły, ale pomyślałam, że jeśli jeszcze raz nadeptnie mi na nogę, to go wykastruję. Dziewczyno, martensy nadają się wyłącznie do deptania gówna.

Czekały w kolejce do baru, która miała grubość trzech ludzi i sięgała od jednego jego końca do drugiego. Udawały zainteresowanie, gdy dostały się w sam środek szczerze żarliwej dyskusji o wyższości serialu Dark Shadows z Jonathanem Fridem nad remakiem serialu z Benem Crossem. W końcu poddały się i po prostu ukradły dwa drinki, gdy właściciele odwrócili się do nich plecami. Uciekły, chichocząc.

Jacks powąchała swoją szklanę.

- Fuj. Pachnie jak benzyna.

- Wygląda jak whisky. Moim zdaniem szkocka.

- Och, daj spokój z pozą światowej kobiety. Pamiętaj, że znałam cię, gdy w drugiej klasie obsikałaś sobie majtki w ubikacji.

Rachel spróbowała swojego napoju.

- A to merlot. Tyle to i ja wiem. Masz, zamienię się z tobą. - Wymieniły się szklankami i Rachel wypija zawartość swojej. - Nie, to nie szkocka. Bourbon. Obsikałam majtki z Myszka Miki, proszę panienki, ponieważ mnie, kurwa, rozśmieszyłaś, gdy Jimmy Jankowski opluł cię herbatnikami. A jeśli mowa o obsikaniu majtek, to idę przypudrować nos.

Jacks popatrzyła na nią.

- Jezu, Jacks, taka przenośnia. Idziesz?

- Nie, nie muszę. Chcę popatrzeć na tamte jednoaktówki za szybami.

- No to się widzimy za dziesięć minut. - Rachel zerknęła na kolejkę, wijącą się w korytarzu. - No, za dwadzieścia.

Pobiegła, wypijając do końca swój napój. Odstawiła szklanę na tacę przechodzącego obok, ubranego w smoking kelnera o białej twarzy.

Tłum przy boksach z przedstawieniami był jeszcze większy niż ten przy barze. Jacks stawała na palcach, aż w końcu zobaczyła fragment sceny z gotami w czarnych szatach mnichów. Znajdowali się w trakcie przedstawienia rodem z Grand Guignol (Grand Guignol - nazwa teatru przy ulicy Chaptal na Montmartre w Paryżu, gdzie niemal nieprzerwanie od 1897 roku wystawia się krótkie sztuki o treści makabrycznej.) o jakimś ceremonialnym składaniu ofiary. Widać było nagie piersi, czarne świece i tryskającą wszędzie sztuczną krew. Dziewczyna poszła wzdłuż szeregu ludzi do następnego boksu i podskakiwała, aż udało jej się dostrzec ponad głowami dwóch zdumiewająco ślicznych chłopców, tańczących nieskoordynowany

balet w scenerii zasnutego mgłą cmentarza. Ich koszule i spodnie plamiła sztuczna krew.

Sączyła merlota, dochodząc do wniosku, że nie był wcale taki zły, znacznie lepszy niż to tanie wino, które pili wraz z Bradem na kanapie. Ta jedna myśl przywołała wspomnienia o Bradzie, imprezie w piwnicy (i Bradzie), scenie na kanapie (i Bradzie) i niewyraźnie zapamiętanych, ale na pewno nie nieprzyjemnych wrażeniach, wywołanych jego rękami, ustami oraz...

Tłum przeszedł do następnego boksu, ale Jacks została, sącząc merlota.

Patrzyła, jak dwóch chłopców tańczy za szkłem, wirując wokół wielkiego styropianowego nagrobka. Nastrojowe niebieskie reflektory (Brad) rzucały światło na blade twarze, piękne włosy, powiewające koszule i długie, smukłe i muskularne nogi. Wcale nie wyglądali kwitnąco w tych spodniach, wcale nie, choć pewnie seksownie (Brad). W zasadzie wyglądali bardzo seksownie (Brad). Jacks, przyciskając twarz do szkła, zdecydowała, że gdyby wypić nieco więcej tego pysznego merlota, zapytałaby Brada, czy nie zechciałby zagrać z nią w jakąś grę, przebierając się tak jak ci dwaj. Gdyby tylko tutaj był, zapytałaby go, czy nie chciałby nałożyć takich spodni, gdyby tylko tutaj był, gdyby...

- Hej, dziewczyno, bo wpadniesz przez to szkło. Zamarła. „Nie, daj spokój, chciałaś, żeby tu był czy nie?”. Obróciła się, wylewając wino ze szklanki.

- Brad?

*

Rachel dostała się do toalety dopiero po pół godzinie. Żadna z kabin nie była wolna.

Po pół godzinie słuchania gotyckich dziewcząt, udowadniających sobie nawzajem, która z nich była bardziej gotycka, licytując się na szczegóły tej powieści lub wiedzę, co się dzieje w rzeczywistości z tamtą kapelą i kto ma prawdziwe tatuaże, a kto stchórzył i przykleił sobie kalkomanie, albo kto kazał swojemu dentyście wykonać koronki w kształcie kłów, a kto zrobił je sobie na stałe. Między dwiema zaciętrzewionymi dziewczynami rozpętała się komiczna kłótnia na temat wartości porównawczych powieści Dona Palmeta i Montague Summersa i dokładności autorów. Tymczasem kilka wielbicielek Anne Rice pytało wciąż: „Kto to był ten Montague, bo brzmi seksy”.

Po pół godzinie przysłuchiwania się im Rachel była gotowa wyrwać sobie włosy. Pożyczyła papierosa od jednej dziewczyny, potem drugiego od innej, choć ten z kolei był mentolowy. Ale wypaliła go do końca, byle zabić czas. W końcu weszła do toalety, choć wciąż czekała na wolną kabinę. Ostatecznie straciła cierpliwość, widząc, jak trzy klony Nadji (Nadja (1994) - tytułowa bohaterka filmu o wampirzycy, na motywach powieści Brama Stokera Dracula). już się przygotowują do bitki, wywołanej sporem, który z odcinków *Subspecies* był najlepszy.

- Do cholery - wrzasnęła - czy żadna z was nie interesuje się niczym innym niż pierdolonymi wampirami? - Jej słowa wciąż jeszcze odbijały się echem wśród udających kamienie ścian, a już Rachel chciała zamienić się w strzęp ręcznika do rąk i odturlać w kącie. W pomieszczeniu zapadła martwa cisza. Dwadzieścia cztery pary oczu, obramowanych eyelinerem i tuszem do rzęs wbiły w nią gniewny wzrok. Rachel wypięła pierś, mało nie puściły szwy *Wesołej Wdówki*, i próbowała ratować twarz. - Chodzi mi o to, że to wszystko jest dla zabawy, wiecie? Przebieramy się, udajemy dziwki, po to, żeby się nam milej tańczyło. Niech chłopcy noszą coś innego, nie te rozciągnięte dzinsy i czapki z daszkiem odwróconym do tyłu, prawda? To jest coś, co sprawia, że wyjścia na miasto mają posmak perwersji, nie?

Wszystkie kobiety w toalecie wpatrywały się w nią, jakby była z Marsa. Albo jakby przysłali ją zielonoświątkowcy. W końcu parę z obecnych tam dziewcząt wierzyło w UFO i oglądało *Z archiwum X* na równi z gotyckimi horrorami, a Mars stanowił rzecz godną zainteresowania. Rachel nie.

W tym momencie otworzyły się drzwi jednej z kabin i ze środka wyszła dziewczyna z brzegiem spódnicy wciąż tkwiącym w majtkach. Wraz z nią wyszedł chłopak, podciągnął spodnie wokół kościstych bioder i dopiął rozporek opalizujących spodni. Na twarzy miał wyraz „pewnie wszystkie byście chciały”.

Rachel wyrwała się z szeregu, zanim ktokolwiek zareagował, i zanurkowała w otwarte drzwi. Zignorowała wrzaski i uderzenia obcasów w drzwi. Cieszyła się chwilą, zdobytą tak naprawdę bez większego zastanowienia. Majtki zaplątały jej się w paski gorsetu. Próbowała utrzymać nagie stopy nad zbyt moką podłogą. Rachel nie spieszyła się, gdy już skończyła, i z powrotem dopinała bieliznę.

Myślała sobie, że przez ten czas zmieni się tłum za drzwiami i nie będzie musiała stawiać czoła gotyckim dziewczętom, które były świadkiem jej wybuchu, i zachowa twarz przed nową grupą.

Kiedy wyszła z kabiny, ucieszyła się, że wszystkie dziewczyny wyglądają nieznajomo, choć zdumiewająco podobnie. Miały bardziej przygnębiający wygląd niż jej własna, piękniejsza twarz. Umyła ręce w jednym z długiego szeregu zlewów, obejrzała makijaż w śmiesznie małym owalnym lusterku nad zlewem, stając na palcach, bo podłoga była zupełnie mokra. Pewnie zmoczyła ją tylko woda ze zlewu, ale mimo wszystko Rachel czuła obrzydzenie.

- Zgadzą się.

- Co? - Rachel odwróciła się od małego lusterka, zadowolona, że jej makijaż pozostał bez skazy, ponieważ torebkę zostawiła w szatni. - Przepraszam, mówiłaś coś do mnie?

- Tak. - Dziewczyna z budyniowymi, obcięzonymi na chłopaka włosami opierała się o ścianę. Miała na sobie strój służbowy Gothique, marynarkę od smokingu i pasujące do niej spodnie. Wokół nagiej szyi zawiązała czarny, jedwabny krawat. Nie miała koszuli pod marynarką. Wyglądała tak samo jak każda inna kobieta w klubie: blada cera, ciemne oczy, czerwone usta, choć jej było z tym jakoś... bardziej do twarzy.

Rachel zajrzała ponownie w lusterko przed nią. Pomyślała, że coś zobaczyła, a może że nic nie zobaczyła, ale w końcu przestała się nad tym zastanawiać.

- Przepraszam, ale nie do końca...

- Powiedziałaś, że się z tobą zgadzam. - Dziewczyna uśmiechnęła się, przesuwając bladą ręką po strzesze farbowanych henną włosów. - Z tym, co mówiłaś wcześniej. Niech wszyscy się zastanowią, co tu robią. Ja się angażuję i wiem, kto gdzie gra, ale jest też czas na prawdziwe życie, nie?

Rachel uśmiechnęła się.

- No pewnie. Hej, nie po to ubierałam się jak dziwka, żeby stać w kiblu i debatować o jakichś nieżywych, starożytnych niemal autorach.

Dziewczyna przytaknęła, uśmiechając się. To był miły, zachęcający uśmiech.

- A więc, hm, wybrałaś sobie bardziej oficjalny strój? - spytała Rachel.

- Śliczny.

- To? - Dziewczyna wzięła w palce klapę smokingu. - To strój służbowy. Pracuję tutaj.

- Och, super.

- Praca jak praca. Ma swoje zalety. Spotykam tu fajnych ludzi. Czasami.

- To lepsze niż sklep z pączkami - odparła Rachel i zaczęła iść ku drzwiom.

Ale dziewczyna zatrzymała ją.

- Hej, słuchaj, mam chwilę przerwy. Jeśli chcesz uciec od kółek dyskusyjnych, to czemu nie pójdziesz ze mną? Na niższym piętrze mamy małe przyjtko.

- Niższym piętrze?

- Tak, mogę cię wprowadzić, jeśli chcesz. Mówiłam, są pewne zalety tej pracy. Nigdy nie wiesz, czy nie przyszedł tu ktoś sławny.

Oczy Rachel zapaliły się.

- Cudownie, to by... - Zmarszczyła brwi. - No, nie wiem, przyszedł tu z kimś.

- Możesz do niego dołączyć później. Albo idź i też weź go ze sobą i...

- Ją. Jestem tu z nią. To znaczy z moją przyjaciółką. To znaczy my jesteśmy przyjaciółkami, nie jesteśmy ze sobą, to znaczy...

Dziewczyna roześmiała się. Już sam dźwięk był zachęcający. Hipnotyzował jak dzwonki wietrzne, rozbrzmiewając w głowie Rachel.

- Chyba wiem, co chcesz powiedzieć. To bez znaczenia. Jeśli ci się spodoba, możesz sprowadzić przyjaciółkę na dół. Im nas więcej, tym weselej. - Wzięła Rachel pod ramię i wyprowadziła ją z toalety, przechodząc obok długiej kolejki niecierpliwych kobiet, wpatrzonych z nadzieją w drzwi.

- Jak tam, wszystko w porządku?

- Pewnie. - Rachel wyciągnęła drugą rękę. - Mam na imię Rachel.

- Rachel. Ładnie. - Dziewczyna złapała jej rękę.

Dłoń była tak zimna, że Rachel drgnęła i wyrwała się z uścisku. Ale dziewczyna tylko ścisnęła mocniej jej ramię i ciągnęła przez tłum.

- A ja jestem Gem.

*

Tańczyli przynajmniej przez godzinę.

Potem Jacks i Brad szwendali się po klubie. Obeszli dwa razy wszystkie sale i zawędrowali na balkon, skąd mogli objąć wzrokiem główny bar, parkiet i scenę. Brad przyniósł im napoje. Przechylili się przez balkonową barierkę. Wpatrywali się w wielką salę klubu.

- Wiesz, nie powinnam tego pić - stwierdziła Jacks, ale dalej sączyła merlota. - To mój czwarty drink. Poza tym wypiałam kolejkę wódki i jałowcówkę, kiedy rozpoczynałam zabawę z... Chyba... chyba się trochę upiłam. Nie, cofam to, co powiedziałam, jestem pijana. - Odepchnęła się od barierki, ale on przytrzymał ją w pasie. Obrócił, by stanęła z nim twarzą w twarz. Niemal stykali się ustami. - Hm... Mówiłam, Brad, jestem całkiem... pi... - Pocałowali się miękko i ciepło. Nie poprzestali na tym. Rozchylili usta, stykając się roztańczonymi językami. Trwało to całą wieczność. W głowie Jacks wirowała muzyka, tańczyły zapachy, przewalały się tłumy, rozbrzmiewały dźwięki. Ale ważniejsza od wszystkiego była ciepła, cudowna obecność Brada, jego ust i dłoni.

W końcu oderwali się od siebie.

- Ojej, muszę złapać tchu. - Dziewczyna przełknęła jeszcze trochę wina. - A jak ty się tutaj dostałeś? Kto podrobił twoje prawo jazdy?

- Nie potrzebuję ani prawdziwego, ani fałszywego. - Brad wzruszył ramionami. - Po prostu mnie wpuścili. Byłem tu też wczorajszego wieczoru. I wcześniej tak samo.

Jacks skinęła głową. Była pod wrażeniem, ale niespecjalnie ją to zdziwiło. Według niej zdecydowanie wyglądał na wiek, w którym człowiek nie musi legitymować się przy wejściu. Miał na sobie zwykły, czarny garnitur i czarną koszulkę, które wyglądały świeżo i elegancko w porównaniu z komiksowymi podrabianymi wampirami w pedalskim przebraniu, które zawładnęły klubem. Tego wieczoru Brad wyglądał na mężczyznę, nie na chłopca. Nie przypominał siebie z tamtej imprezy, nie wyglądał jak inni chłopcy ze szkoły. Tamci byli dziećmi, tak jak Rory. Brad był... inny. Miał styl, miał klasę, tylko zmierzwił włosy i gładka jak jedwab skóra świadczyła o młodym wieku. Wyciągnęła rękę i pogłaskała go po policzku, ciesząc się gładkością cery.

- Do której szkoły chodzisz? Nie pytałam cię... ostatnim razem. Wiem, że nie chodzisz do Curie. - Zaczerwieniła się. - Sprawdziłam to. Kennedy? Bogan?

Spojrzał nad jej ramieniem na parkiet.

- To... gdzie chodzisz, Brad? Czekaaj, chyba nie jesteś już w college'u?

- Jacks, gdzie jest twoja przyjaciółka? Ta, z którą przyszłaś. Ta z imprezy?

- Rachel. - Dziewczyna obróciła się i przyjrzała uważnie ludziom na parkiecie. - Rachel. Gdzie ona, do diabła, się podziewa?

Ale Brad odwrócił ku sobie jej twarz i znów pocałował, a potem poprowadził gdzieś z dala od balustrady.

- Och, pewnie gdzieś się spotkamy - rzekła Jacks. - Jak znam Rachel, w drodze z toalety zapałała do kogoś żądzą. - Dokończyła wino, zostawiając szklankę na mijanym stole. - Dokąd teraz idziemy?

- Chodź, Jacks. Sprawdźmy sale po drugiej stronie klubu.

- Chyba to są prywatne pokoje. Czy nie tam wiszą oznaczenia „Tylko dla VIP - ów”? Pewnie tam siedzą superlaski.

- A kto powiedział, że ty nie jesteś superlaską? Jacks, dla mnie jesteś boska.

Dziewczynie to wystarczyło. Przytuliła się mocniej do niego i szła dalej.

- Może po drodze spotkamy Rachel. - Przytuliła się jeszcze mocniej, gdy Brad otoczył ją w pasie ramieniem. - To w jej stylu, przygruchać sobie jakąś sławę. Wcale mnie to nie zdziwi, jeśli znajdziemy ją w jednym z tych pokojów dla VIP - ów. Choć nie wiadomo, czy nas wpuszczą. - Ale u boku Brada wszystko wydawało się możliwe. Okrążyli cały klub, zmierzając na drugą stronę głównej sali. Średniowieczne, strzeliste bramy wiodły do małych saloników, ledwo widocznych z tamtego balkonu. Po obu stronach drzwi stało dwóch bladolicych portierów w smokingach. Zatrzymała się. - Brad, może powinniśmy zejść na dół. Nigdy tam nie wejdziemy.

- Chodź ze mną. - Przycisnęła ją i weszli wprost do saloniku. Żaden z portierów nawet nie mrugnął.

- Hm, niewiele się tu dzieje. - W pomieszczeniu panowała ciemność, rozświetlana jedyne nielicznymi, czerwonymi sznurami świateł i paroma przyćmionymi lampami, zawieszonymi nad dziwacznymi obrazami, które wyglądały na okropnie stare, okropnie drogie i według Jacks po prostu okropne. Lecz poza mdłym blaskiem z malutkich włoskich lampek i bladym żarem nad obrazami w pokoju nic nie było widać. Tylko że ona wcale o to nie dbała, bo Brad

zaprowadził ją na jakąś modną, wyściełaną kanapę - może nawet i antyczną, bo cuchnęła jeszcze gorzej od reszty klubu. Usiadł i pociągnął ją ku sobie. - Brad, nie widzę tu żadnych sław. W zasadzie nic nie...

Ale on ją objął i zaczął całować. Palce powoli zaczęły rozsuwać zamek jej sukienki. Jacks, zanim się zorientowała, już leżała na kanapie, w pół przykryta ciałem Brada. Sukienka zsunęła się z ramion. Palce chłopca rozpinęły jej stanik, druga ręka wsuwała się pod sukienkę, ślizgając po udzie.

Przez jedną, zapierającą dech chwilę uwielbiała to.

„Coś wspaniałego. Żadnych chłopców w domu przez ten weekend, żadnego gotyckiego przyjęcia po imprezie? No pewnie”.

Przez ten krótki, wspaniały moment Jacks postanowiła, że może tego wieczoru jej stare łóżko, w którym tuliła Kubusia Puchatka w wieku pięciu lat, przechodziła świnkę w wieku lat ośmiu i dostała pierwszy okres w wieku dwunastu, zostanie ochrzczone.

Mówiąc w przenośni.

Tak myślała, zanim jej oczy zaczęły przystosowywać się do ciemności.

Zanim...

Zanim pomieszczenie - i to, co się w nim działo - nie objawiło jej się, niczym powoli wywoływana fotografia, na której z niczego powstają duchy.

Duchy z przerażającymi twarzami mimów.

Duchy o surowych twarzach zanurzały białe oblicza w szyje, między piersi i nogi sześciorga półnagich i całkiem nagich ciał. Na pozostałych kanapach leżeli chłopcy z koszulami w strzępach i ściągniętymi poniżej kolan spodniami. Po podłodze przewalały się dziewczęta we wspaniałych sukniach, zaplątanych wokół jednej nogi. Na sobie miały podartą bieliznę. Pod sztucznymi, kamiennymi ścianami siedzieli zupełnie nadzy mężczyźni i kobiety.

Każdy z nich jęczał i zawodził z rozkoszy, gdy ludzie o twarzach mimów szarpali ich rękami, lizali, wpełzali na nich, bili i pieprzyli.

Jacks otworzyła szeroko oczy, aż zaczęły przypominać spodki. Przestała całować Brada. Po brodzie pociekła jej ślina.

- B...Brad... co...

- Och, chodź tu, Jacks. - Mrugnął, wciąż próbując wsunąć rękę pod jej sukienkę. - No, chodź...

Wszyscy ci ludzie krwawili.

Wszyscy. Albo zadawano im rany, z których ciekła krew. Pełzające po nich kościste monstra gryzły ich i zlizywały krew, płynącą z gardeł, piersi, nadgarstków i...

- Brad? - To wcale nie było przedstawienie. To... - Jacks nagle zdała sobie sprawę, że ciemne pomieszczenie nie było rozświetlane przez sznury małych, czerwonych lampek włoskich. Czerwone punkciki były oczami, rozżarzonymi źrenicami tych... O nie. To wszystko sprawa wina. Po prostu się upiła. Tak musiało być. Ale mimo wszystko... - Brad - wyszeptała. - Wynośmy się stąd. Natychmiast.

Brad usiadł.

- O co ci chodzi? - Spojrzała na niego, jakby oszalał. Chłopiec niedbale wygładził marynarkę. Rozejrzał się po pomieszczeniu, wyjmując jednocześnie z kieszeni na piersiach płaską, srebrną cygarniczkę. - No, co?

Jacks siedziała, oszołomiona i patrzyła, jak Brad niedbale otwiera cygarniczkę, wyjmując niewielką próbkę i wysypuje na wieczko dwie zgrabne kreski kokainy. Wciągnął jedną nosem, a potem podsunął jej drugą.

- No już, nie zakłócaj przedstawienia. - Nagle poczuła się tak, jakby znalazła się obok zupełnie obcej jej osoby. Chyba nie podobał jej się ten nieznajomy. Nagle nie była w stanie mu zaufać. Poczuła, jak w oczach wzbierają jej łzy. Poczuła, jak dni i noce naiwnych i przyjemnych marzeń giną, rozpadają się w pył. Nagle potrzebowała Rachel. Chciała ją mieć u swojego boku, gdy będą się stąd we dwie wynosić. Chciała jak najszybciej znaleźć się w domu. - Nie chcesz? - Brad posunął jej kokainę pod nos. - Cóż, trzeba dmuchnąć.

I tak też zrobił.

Dmuchnął w metalowe wieczko, rozpylając kokainę na jej twarzy. Jacks wrzasnęła, machając dziko rękoma, by rozproszyć migoczącą, pudrową chmurę.

Kiedy pył opadł, Brad zniknął.

Siedziała sama na kanapie. Sięgnęła w tył, by zapiąć suknię.

Zerknęła ponownie, patrząc na ciemny pokój.

Wszyscy się na nią patrzyli.

*

- Nie, proszę! Nie, o Boże, nie! Boję się ciemności, ja... Nie!

- Niech ktoś uciszy tę sukę albo jej wyrwę język.

Rachel wrzeszczała, gdy wampiry wynosiły ją przez kolejne drzwi i znosiły kolejną ciemną i brudną klatkę schodową.

- Błagam, o Boże, proszę! Nikomu nie powiem, tylko mnie wypuście! Nie chcę tam iść, nie... - Z ciemności wystrzeliła blada dłoń i trzasnęła ją mocno w twarz. Walczyła, ale opadła ją czwórka z nich. Gem zaśmiała się histerycznie i wbiła paznokcie w jej ramię. Fonda chichotał jak szalowiec i oblizywał usta. Objął jej ramię kościstymi palcami. Dwaj pozostali, jeden z przodu i jeden z tyłu, cały czas lizali miejsca, w które ją ugryźli. Zresztą, wszyscy tak robili, odkąd Gem wprowadziła Rachel przez służbowe drzwi. Wtedy rzucili się na nią, zmięli suknię, poszarпали skórę, lizali drżącą dziewczynę po gardle i porwali ubrania. Zaczęła płakać, a oni szydzili z niej, bo wyglądała śmiesznie w podartych dziwkarskich ciuchach. W końcu wgrzyźli się w nadgarstki, nogi, piersi i szyję...aż zaczęła wrzeszczeć. - Błagam, nie, puście mnie, puście mnieeee!

- Wybacz, kotku - zagruchała Gem, błyskając zakrwawionymi kłami przed twarzą dziewczyny. - Ale my nie interesujemy się niczym poza pierdolonymi wampirami. - Roześmiała się i pociągnęła Rachel za sobą.

Skęcili w kolejny ciemny i cuchnący korytarz. Jeden z wampirów pobiegł i otworzył szeroko drzwi, a potem odstąpił na bok. Pozostali wciągnęli dziewczynę do środka. Zimne ręce wpijały się w śliską, zakrwawioną skórę. Zatrzymali się w drzwiach. Złapali ją za włosy i zmusili, by patrzyła. Ujrzała cełę, prycze, szeregi półnagich postaci, poznaczonych strasznymi ranami, oblanych krwią i skapanych w brudzie.

Gem pochyliła się nad nią, zanurzając twarz w jej włosach.

- Chodźmy, skarbie - szepnęła, a potem zanurzyła lodowaty, gadzi język jej w uchu. - Im nas więcej, tym weselej.

Rachel wrzasnęła ponownie. Krzyczała, aż jej gardło odmówiło posłuszeństwa.

*

- Panienko? No już, budzimy się. Jacks niechętnie otworzyła oczy. ;

- Co?

- No już, jesteśmy na miejscu.

- Na miejscu? - Powoli uniosła głowę. Natychmiast jej serce zaczęło walić jak oszalałe. - Gdzie?

- Jezu Chryste, panienko. 49 Street i Karlov Avenue, tak jak powiedziałaś.

Jacks usiadła. Próbowwała skupić wzrok. Wyrzała przez brudne tylne okno taksówki. Jej dom stał o kilka kroków od rogu ulicy.

- Dobrze się czujesz? Nie pochorujesz mi się tu, w taksówce, prawda? Zadarła głowę i ujrzała otwartą rękę taksówkarza.

- Należy się 49,90. Chyba masz pieniądze?

Jacks grzebała w torebce. Czuła, jak zaczyna się przeraźliwy kac. Rzuciła w dłoń taksówkarza kilka zgniecionych banknotów. Ujrzała, że kierowca marszczy brwi, przypomniała sobie o pieniądzach w butach. Gmerała, aż wyciągnęła je, wydobyła kolejną dwudziestkę i podała ją taksówkarzowi, nawet na nią nie patrząc. Banknot upadł na przednie siedzenie, a ona wysiadła z taksówki.

Stała na rogu i próbowała oczyścić myśli. Taksówka odjechała z rykiem, a potem zapadła zupełna cisza.

Jacks zerknęła przez ramię. Ujrzała, że niebo jaśnieje za jej plecami. „Cholera, która godzina?”. Wetknęła but pod ramię i powlokła się do domu.

Udało jej się dotrzeć do frontowych drzwi, rzucić na ziemię torebkę i but, gdy wróciła jej pamięć. Gothique, tłumy, filmy, muzyka, alkohol...

I Brad.

Salon - i ci ludzie. Byli szaleni, pieprzyli się i pili krew. Byli...

Zrzuciła drugi but. Powlokła się do łazienki. Brad... Czuła, jak coś się wwierca w jej skronie. Zatrzymała się w drzwiach łazienki. „Brad, jak mogłeś”. Zastanowiła się, czy jest jej niedobrze, ale wszystko minęło. Myślała o...

- Rachel! - krzyknęła na głos. Nagle wszystko wróciło do niej z pełną mocą. Przypomniała sobie.

Uciekała z tego obrzydliwego pokoju i od ohydnych ludzi.

Szukała Rachel, pędząc przez cały klub. Okrążyła go drugi raz, a potem trzeci. Wtem dostrzegła kilka tych samych twarzy, które widziała w pomieszczeniu dla VIP - ów. Uśmiechali się do niej, wykrzywiali, wysuwali języki i oblizywali wargi.

„Dokąd idziesz, dziewczynko?”

„Chodź do nas na górę”.

Odebrała swoje rzeczy z szatni i czekała przy wyjściu, aż gotowie, klubowicze i skinheadzi w końcu stamtąd wyjdą. Czekwała w mrugającym świetle, patrzyła, jak kelnerzy w smokingach niosą napoje. Wytoczyła się za drzwi na Damen. Czekala na Rachel na ulicy. Wykrzykiwała jej imię. Nie pamiętała nawet, jakim pociągiem ma wrócić do domu. W końcu zatrzymała taksówkę, wczółgała się do środka i...

Rachel.

Jacks wtoczyła się do kuchni. Sprawdziła automatyczną sekretarkę i zobaczyła wiadomość.

- Dzięki Bogu. - Rachel wyszła. Znow jej się udało. Pewnie dorwała jakiegoś chłopca o wystarczająco miłym wyglądem albo z wystarczająco dobrym samochodem i sama zajęła się zagospodarowaniem sobie nocy. „Do cholery, ja im pokażę, gdy się tu zjawia” - pomyślała Jacks. Wcisnęła odtwarzanie wiadomości i padła na kuchenne krzesło.

„Cześć Jacks, właśnie się zameldowaliśmy”. - To nie Rachel. Jej ojciec. „Wraz z Terri jesteśmy tutaj, chcemy ci podać nasz numer pokoju na wypadek, gdybyś musiała się z nami skontaktować. Numer 208. A tak w ogóle, gdzie jesteś? Jest już po dziesiątej. Mam nadzieję, że to tylko seans filmowy. Zadzwoń, jeśli będziesz czegoś potrzebować”.

„Jezu, Jezu...” Gdy sekretarka umilkła, Jacks zaczęła powtarzać te słowa. Wróciła do łazienki, przedzierając się przez góry porzuconych ubrań. Zrzuciła czarne ciuchy na leżący po drodze stos. Kiedy włączyła światło nad zlewem, o mało nie wrzasnęła. Splątane włosy, smugi czerni ze zmytego łzami tuszu. Wokół ust miała czerwoną aureolę, rozmazaną gwałtownymi pocałunkami Brada. „Brad, ty palancie, jak mogłeś”.

Jacks starła makijaż, szorując palcami, ręcznikiem i mydłem, aż zaczęła ją palić skóra.

Poszła do pokoju, zdarła z siebie ostatni czarny ciuch i padła na łóżko. Zwinęła się w kłębek. Przez okno wpadał jaśniejący, fioletowy blask. Czowała wciąż łupanie w głowie. Zaczęły się ataki niekontrolowanych skurczów. Jacks owinęła się w kołdrę. W jej oczach wezbrały łzy.

- Rachel, gdzie, do diabła, jesteś?

Rozdział trzydziesty pierwszy

„17 lipca. Znów spotkałam się z N.K. Jak zwykle, zachowywał się jak gangster i macho. Zasugerował, żebym trzymała się z dala. Nie jest już wiarygodnym źródłem.

PS: Po raz pierwszy naprawdę mnie przestraszył.

19 lipca. Lunch w Spagol z Robertą Whitehead. Paplała (pijana?) na temat Gothique i zaangażowania Whitestar. Rzuciła parę nazwisk. Najwyraźniej personel Gothique ma na nią haka. Wszyscy w »Charade« plotkują o erotycznych ekscesach R.W., zwłaszcza z udziałem biednych praktykantów i nowo przyjętych magistrantów. Ale wygląda na to, że w chwili obecnej zakochała się w jakimś facecie z Gothique. Marek - imię czy nazwisko? Pseudo? Czy to te same dane, które pojawiły się na aktach notarialnych Palace Theater i w przekazaniach nieruchomości? Sprawdzić pochodzenie tego Marka".

Jacks odwróciła się od komputera. Sięgnęła po odgrzany kawałek piątkowej pizzy, ale jej ręka zawisała nad papierowym talerzykiem, ponieważ dziewczyna znów poczuła wzbierające łzy.

Kac w końcu zniknął.

Och, wrócił z pełną siłą, gdy obudziła się około południa. Pomknęła wtedy do telefonu i ponownie sprawdziła automatyczną sekretarkę.

Cisza.

W głowie Jacks grzmiały armaty, ale wykręciła nerwowo numer domowego telefonu Rachel. Z ulgą westchnęła, słysząc głos Rory'ego. Tak, ich ojciec wciąż nie wrócił z polowania. Nie, mama nie pojawiła się w domu po „kolacji z przyjaciółką". Wcale zresztą się jej nie spodziewał.

- I jak było, Jacks? Tak fajnie, jak zapowiadali? Założę się, że moja siostra pomyślała, że umarła i trafiła do nieba. Daj mi z nią pogadać. Hej, mogę do was wpaść? Jesteście mi wiele winne za te prawa jazdy...

Rory też nie słyszał się z Rachel.

Zegar na ekranie zmienił godzinę z 22.02 na 22.03.

Wieczorem.

Gdziekolwiek podzielała się Rachel, zniknęła na całą piątkową noc, sobotę i kolejną noc. Była flirtiarą, w domyśle: imprezową panienką. Miała zwyczaj porzucać przyjaciółką na parę godzin albo na całą noc, jeśli dobrze się bawiła lub poznała niezłego chłopaka. Ale nie aż tak.

Zadzwończyłyby. Dałyby jej znać. Nie zniknęłyby, nie dla chłopca, nie dla imprezy, z żadnego innego powodu. Były najlepszymi przyjaciółkami. Nie zrobiłyby jej tego...

Jacks cisnęła myszkę i przesunęła w dół tekst ostatniego tajemniczego pliku z dyskietek, który jej się udało otworzyć. Próbowwała się skupić na ekranie, ale niezbyt jej się to udawało.

„13 maja. Wczoraj wieczorem podali w wiadomościach, że ktoś zamordował Steve'a Forntona, głównego kierownika projektu Gothique w agencji reklamowej. Fronton zaginął na tydzień. Jego zwłoki odnaleziono w odnowionym wieżowcu CHA. Artykuł »Sun - Times« sugeruje, że go torturowano. Gliny dopatrują się motywów zorganizowanych grup przestępczych, seksu i narkotyków. Uwaga: już dwaj pracownicy tej agencji zostali zabici w ciągu ostatnich sześciu tygodni. Obydwaj uczestniczyli w projekcie G.

21 maja. Kolacja w La Tour z R. Whitehead i Markiem. R.W. i Marek prawie się zerznęli w kaczcze w pomarańczach. Marek to bardzo dziwny typ. Obcokrajowiec? Można wyczuć zagraniczny akcent. Przystojny, ale na śliski sposób, niczym pompatyczny czarny charakter ze starych filmów. Najwyraźniej owinął sobie R.W. wokół małego palca. Uwaga: Marek cierpi na jakieś problemy zdrowotne? Blady, zimne ręce, niczego nie zjadł. Udawał, że pije... ale kieliszek nigdy nie został opróżniony. Zawartość nie zmniejszyła się nawet o centymetr. Czy ten człowiek myśli, że jest Dracula? Przez cały wieczór rozmawiali o wielkich planach, powiązaniach Whitestar i »Charade«, sponsorowaniu Gothique itd. Zamówiłam taksówkę, niech R.W. jedzie limuzyną z Markiem. Hu, hu!

24 maja. Jutro zaczynają się praktyki redaktorskie. Zaangażowałam się w sprawdzanie doświadczeń itd.

26 maja. Wstępne rap. Rady Handlowej Chicago, kierownictwa do spraw obsługi klientów i Wall Street nie noszą ani śladu. Żadnego zarejestrowanego rządowego statusu własności, amerykańskiego zarządu ani dyrektorów. Sprawdzam powiązania międzynarodowe..."

*

Przynajmniej teraz była czystsza.

Zaraz po tym, gdy Cass zameldował ich w nędznym, piętrowym moteliku na Sheridan, wpakował ją do wanny i własnoręcznie umył. Wyszorował Colleen od stóp do głów, a ona ani chwilę się nie wstydziała. Przez wszystkie miesiące, gdy mieszkali razem, nie widział

jej nagiej, ale z drugiej strony Cass wcale nie czuł pociągu do podglądania dziewcząt. Po wycieraniu czarnego śluzu z jej ust, nosa i innych otworów przez tak wiele nocy („Ile ich było?”) bez sensu było przejmować się skromnością.

Dziewczyna wcale nie była zakłopotana.

W końcu nie żyła.

Przepadł na chwilę. Zabrał jej brudną koszulkę, bieliznę i skarpetki, a ją samą zostawił pod stertą prześcieradeł i koców na nierównym łóżku. Włączył telewizję, ale ściszył dźwięk. Wrócił wkrótce, niosąc brązową torbę papierową, pełną ubrań ze szmateksu na Broadwayu. Leżała, gdy rozkładał ubrania na toalecie, zupełnie, jakby miała się nimi zainteresować, zupełnie, jakby wróciła dawna Colleen, zupełnie, jakby ożyła. Zmarszczyłaby brwi, widząc czarne ciuchy: džinsy, skarpetki, buty, koszulkę i marynarkę. Ale to nie była dawna Colleen i wcale się tym nie interesowała. W końcu przecież nie żyła. Tak więc leżała sobie, a Cass rozkładał ubrania, gadając, by zabić ciszę. Opowiadał jej, że lepiej będzie im w czerni, bo mogą uciekać i chować się. Jeśli będzie trzeba, rozplyną się w ciemnościach.

Potem znów zniknął.

Colleen leżała na łóżku i zastanawiała się, czy będzie miała na tyle sił, by wstać i podpełznąć rano do drzwi. Czy zmusi się, by wyjść na zewnątrz, gdy zacznie świecić słońce, które spali ją na kupkę popiołu na parkingu czy na coś innego, w co zamieniały się wampiry w świetle dziennym. Pamiętała z tych kilku razy, gdy Cass zmusił ją do obejrzenia swoich filmów, że będzie to cholernie bolało. Może to jedyny sposób, by uniknąć wampirzego losu.

Ale zastanawianie się nad tym było bezcelowe.

Colleen Russell była ledwo w stanie sturlać się z łóżka, by wyłączyć głupią telewizję. Na pewno nie była zdolna do wypełnienia z pokoju, zwłaszcza że Cass próbowałby ją zatrzymać.

Tak więc przynajmniej była czystsza.

Przynajmniej nie cuchnęła jak jedzenie sprzed paru tygodni albo gnój w trawie.

Ale odświeżające mydło i szampon nic nie poradziły na to, co działo się w jej wnętrznościach. Zimne, martwe organy cały czas sprawiały jej ból. Czuła, jakby płonęły, ale jednocześnie zlodowaciały.

Cass wrócił po godzinie, a może dwóch.

I to nie sam.

Mężczyzna, którego przyprowadził, należał do nich.

Nie do „nich”, ale do tłumu oszukanych dzieci nocy. Miał na sobie czarne dżinsy i koszulę, ciemne rękawiczki bez palców, niezliczone kolczyki połączone ze sobą łańcuszkami, makijaż Dave'a Vaniana i farbowane włosy, ułożone w doskonałą postpunkową fryzurę w stylu lat osiemdziesiątych. Wyglądał tak samo, jak niegdyś Cass w weekendy.

Colleen leżała, owinięta w prześcieradła. Patrzyła w ciszy na sylwetki Cassa i mężczyzny, oblane światłem parkingowych lamp. Całowali się w wejściu, wpychając niecierpliwe ręce w spodnie i za koszule. Cass w końcu kopnął drzwi, otwierając je na oścież, i wprowadził nieznanego do pokoju, w ciemności, gdzie jedynie błękitny blask ekranu telewizora podświetlał ich potworne twarze... Tylko jedna z nich była dziełem makijażu, starannie nakładanego przed lustrem przed wyjściem z domu. Druga wyglądała zbyt autentycznie, by być prawdziwa. Mężczyzna odepchnął Cassa, a potem uśmiechnął się nieśmiało i zsunął spodnie z kościstych bioder, zdjął buty i skarpetki. Penis w erekcji, różowy i pulsujący, wystawał z za zbyt skąpych majtek.

Słyszała go.

Słyszała niespokojny oddech, dobiegający zza jego warg, wymykający się z nosa. Jego nozdrza aż paliły od głębokich oddechów.

Dobiegało ją jeszcze więcej dźwięków: bicie serca, pulsowanie krwi w arteriach i żyłach i niezliczonych naczyniach włosowatych. Słyszała, jak krew przelewa się w nabrzmiętym penisie, jak pulsuje, bąbelkuje i krzyczy do niej.

Zasłoniła uszy rękami, ale mimo to dopadły ją inne dźwięki, gdy człowiek rozbierał się, rozpiął guziki i zdierał z siebie koszulę, zsuwał majtki, a ich materiał szeleścił na włosach na męskich nogach. Przycisnęła zimne ręce do głowy, ale to wcale nie pomagało, bo wciąż słyszała ich obu, gdy najpierw Cass padł na kolana, a potem zrobił to ten drugi. Potem obaj położyli się na podłodze. Ich ciała tarły podarty dywan. Usłyszała, jak mężczyzna mruga, potem wydaje z siebie jęk i westchnienie. Następnie dobiegł ją odgłos ssania... zupełnie innego rodzaju niż to, po które się tu zjawiał obcy. Ale z pewnością

mężczyźnie o wiele bardziej podobała się każda ta grzeszna chwila niż to, po co tu początkowo przyszedł.

Zakopała się głębiej w materac. Wciąż zatykała dłońmi uszy. Mruczała do siebie, śpiewała sobie, robiła wszystko, by stłumić odgłosy słodkiego, pasożytniczego ssania.

Nagle ktoś zdarł z niej prześcieradło.

Poczuła Cassa, który położył się obok niej. Głaskał ją po włosach, po policzku i plecach. Wyczuwała jego zapach, wyczuwała...

Krew.

- Chodź, Colleen, przecież musisz.

- Nie.

- Musisz. Nie wiem, co się z tobą stanie, jeśli tego nie zrobisz.

Przysięgam, nie zrobisz mu żadnej krzywdy. On tego chce. On...

Nagle zapach znalazł się tuż przed jej twarzą.

Cass potarł palcami po jej ustach i po nosie. Były mokre od krwi, która rozmazała się jej po twarzy, łaskocząc nozdrza i skwiercząc na ustach.

Na języku.

Na kłach.

Nagle coś zrodziło się głęboko w jej wnętrzu. Nawet nie wiedziała, że to gdzieś tam jest.

Warknęła.

To był niski, zwierzęcy pomruk, instynktowny zew głodnego drapieżcy.

Zdjęła rękę z uszu.

Jej palce zakrzywiły się w szpony. Popęzła w świetle telewizora, wśród drżących cieni. Czołgała się z otwartymi ustami. Kły wrzynały się w jej bezkrwiste, niebieskie usta. Podpełzła do nagiego, drżącego i dyszącego ciała. Błada skóra skapana była we krwi, rozmazanej na gardle, piersiach, brzuchu i nogach.

Przez chwilę patrzyła z góry na mężczyznę. Jego zapach oszołomił ją, rozbudzając coś w jej środku. Trwała tak przez jedną chwilę ostatniego niezdecydowania, aż w końcu owładnął ją wilczy głód. Rzuciła się na mężczyznę. Jej nagie, białe - szare ciało otarło się o niego. Wargi zamknęły się wokół ziejącej dziury na gardle. Zanurzyła kły w pulsującym ciele. W jej usta trysnęło ogniście wilgotne ciepło.

Colleen Russell piła krew.

Piła bez końca, a kiedy z jego gardła nie płynęła już ani jedna kropla więcej, popęzła w dół i zatopiła kły w udzie. Piła, a bicie serca chłopca grzmiało w jej uszach. Ten huk zaćmił jej cały świat. Myślała tylko o krwi, widziała tylko krew.

„Wystarczy!”.

- Colleen, przestań! Już wystarczy.

Oderwała głowę od rany. Strzęp ciała przywarł do czubka kła, a potem zsunął się i zniknął w mroku. Syknęła na Cassa i rzuciła się z powrotem do picia.

Oderwał ją. Poleciała na drugi kraniec pokoju i uderzyła o łóżko. Natychmiast poderwała się na nogi, obnażyła kły i warknęła.

- Wystarczy! - krzyknął. Łamał mu się głos i ciemne oczy zaćmiło coś przypominającego łzy. - Wystarczy!

Mężczyzna usiadł, oszołomiony. Próbował wstać, ale upadł. W końcu udało mu się utrzymać na nogach. Patrzył otwartymi szeroko oczami na dwa potwory, stojące pod przeciwległymi ścianami. Ich ręce zginały się, tworząc groźne szpony. W oczach palił się czerwony żar. Miały obnażone kły, a w gardłach nabrzmiwał zwierzęcy warkot.

Człowiek złapał spodnie i buty i pobiegł do drzwi. Szarpał za klamkę, aż w końcu udało mu się je otworzyć. Uciekł w noc.

- Colleen, musiałaś przestać. Zabiłabyś... Mogłaś go zabić. - Odwrócił się od niej. - Ja... Tak mi przykro.

Zamknęła usta, zasłaniając kły. Wyprostowała palce. Padła na kolana i uniosła ociekające krwią ręce. Wpatrywała się w nie, potem przeniosła wzrok na nagie piersi, brzuch i uda. Cała była umazana krwią, która na tle bladej skóry przybrała przerażająco ciemny odcień. Zaczęła się trząść.

A potem krzyknęła.

Z jej ust wydobyło się przepelnione cierpieniem okropne zawodzenie. Ten krzyk nigdy nie powinien rozlec się na ziemi ani w niebie. Wrzeszczała nieprzerwanie, a w jej głosie rozbrzmiewał ból i agonia. To był krzyk istoty przeklętej.

*

„30 maja. Pracowałam w domu w ciągu weekendu. Praktykanci wygrzebali jeszcze więcej informacji. Skopiowałam pliki, patrz Marek/Interpol 1 i 2, Marek/Archiwum czeskich służb Securitat, Marek/zachowane e - maile z Muzeum Holocaustu w Pradze 1, 2 i 3. Tam są najnowsze teksty i tłumaczenia. Najważniejszy temat:

niemiecki uchodźca, niesprecyzowane powody emigracji. Obywatelstwa wielu krajów: Austrii, Czechosłowacji, Węgier. Powiązania z grupami partii nazistowskich w Czechach i na Węgrzech jeszcze przed drugą wojną światową. Powiązania z nazistami niemieckimi (brunatne koszule, »Noc długich noży« itd.). To nie ma sensu. Nic tu nie ma sensu. Pewnie to nie ta sama osoba. Co więcej: w archiwach związanych z Markiem pojawia się kobiece imię »Arianne«. Ma wiele nazwisk/przydomków: Arianne Stephanovich, Ariadne Stedtmeister, Annw Stephan, Arianne Stevens itd."

Jeff odłożył słuchawkę i wkroczył z powrotem do salonu, mijając walizki i małe torebki z pamiątkami, leżące w zapomnieniu na podłodze.

- Wciąż nie wróciła do domu - powiedział, potrząsając głową. - Zadzwoń do sąsiada. Rory zostanie u niego przez kilka dni, zanim nie wrócą jego rodzice. - Odwrócił się do Jacks. Na jego twarzy wypisany był strach, rozczarowanie i gniew. - Jacks, dlaczego? Dlaczego, na Boga, skłamałaś? Dlaczego oboydwie zrobiliście coś tak głupiego?

Ale ona wciąż płakała. Zwinęła się na sofie, w objęciach Terri i płakała.

Robiła to, odkąd Terri i Jeff wrócili z weekendowego wyjazdu. Rozbeczała się już w drzwiach wejściowych, przerywając uśmiechy i wesołe okrzyki: „Jacks, jesteśmy w domu!”.

Płakała histerycznie, tak samo, odkąd złamała się i opowiedziała im wszystko o piątkowej wyprawie do Gothique, o czekaniu na Rachel, o Bradzie i dziwnym pomieszczeniu, o tym, jak czekała na telefon przez całą sobotę i niedzielny poranek.

Potem niedzielne popołudnie.

I wieczór.

Terri odsunęła Jacks i wstała z kanapy.

- Jeszcze nie minęło czterdzieści osiem godzin, ale ona jest nieletnia. Jacks, czy twoja przyjaciółka skończyła osiemnaście lat? Jacks? Nieważne, zadzwonię w kilka miejsc. Ale nie wiem, na ile to nam pomoże. To wielkie miasto. Jeśli ktoś chce się zgubić albo przyłączyć do złego towarzystwa, to nie wiadomo, gdzie szukać. - Terri ruszyła ku kuchni, ale zatrzymała się przy Jeffie i położyła mu rękę na ramieniu. - Nie bądź dla niej zbyt surowy. Jest przerażona. Potrzebuje ciebie.

Skinał jej głowę, a ona poszła do kuchni.

Jeff usiadł obok Jacks. Dziewczyna spojrzała na niego, a potem odwróciła wzrok. Na jej zaczerwienionych policzkach pojawił się jeszcze ciemniejszy rumieniec wstydu.

- O Boże, tato, tak bardzo przepraszam. Nigdy byśmy nie pomyślały... Ja nigdy... A teraz nie wiem, czy nie zniknęła gdzieś po to, by się zabawić, czy rzeczywiście wpadła w kłopoty. Poza tym te chore rzeczy, które dzieją się w Gothique, i te wszystkie informacje w plikach...

- Już dobrze, kochanie. Wszystko będzie dobrze, obiecuję.

Jacks spojrzała na niego ponownie. Na jej twarzy zagościł wyraz nadziei.

W oczach ojca wciąż mogła mieć sześć lat i płakać nad zepsutą zabawką, zdartym kolaniem czy upadkiem w małym gaju. Przytulił ją mocniej i ujrzał w oczach córki pewność, że rzeczywiście wszystko będzie dobrze, a on wszystko naprawi, bo tak właśnie robią ojcowie.

Tylko że on nie miał pojęcia, co robić, ani najmniejszego pomysłu, gdzie zacząć.

- Rory powiedział, że ich tata wyruszył na polowanie na jelenie. Do Wisconsin. W chatce myśliwych nie ma telefonu. Czy Rachel nie powiedziała ci czegoś więcej? W jaki sposób możemy go znaleźć?

- Nie. - Jacks wytarła oczy i policzki. - Nie rozmawialiśmy o tym.

- Dobrze. A mama wyszła na kolację w piątek wieczorem i wciąż nie wróciła, mimo że mamy niedzielę? Jacks, jest już po dziewiątej wieczorem, to znaczy...

- Tato, mama Rachel nie poszła na kolację z przyjaciółką. Rachel domyślała się, że ma jakiś romans. Tato, ona może być teraz gdziekolwiek. Oni nie są... nie są tacy jak my.

Jeff skinął głową.

- No dobrze, pomówmy o innych rzeczach. O plikach. Jacks, kochanie, dlaczego, do diabła, nie powiedziałaś mi, że je masz? Nie wiesz, że Terri chciała je dostać? Mogły zawierać coś istotnego. To pliki Megan Russell. Wiesz, co się z nią stało. Mogła zostać zamordowana. Te dyskietki pewnie zawierają ważne poszlaki, coś, co przyda się policji. Kochanie, czy nie pomyślałaś o tym?

Potrząsnęła głową, a do oczu znów napłynęły jej łzy.

- No dobrze... Wciąż nie rozumiem. Co tak bardzo zmartwiło cię w tych plikach? Zerknąłem na kilka z nich, ale to tylko...

- Na co popatrzyłeś, tato? Wzruszył ramionami.

- Nie wiem, na jakieś wyciągi z podatkami od nieruchomości, odpisy aktów notarialnych, raporty, nad którymi pracowała Megan. To dość dziwny materiał. Jestem coraz głębiej przekonany, że „Charade” i Whitestar zaangażowały się w jakieś ciemne interesy.

- Chyba zdążyłeś stamtąd odejść na czas? Jeff skinął głową.

- Chyba tak. Ale...

- Powinieneś zobaczyć resztę. Terri tak samo.

Otarła oczy, wzięła Jeffa za rękę i zaprowadziła do pokoju.

Dziewczyna usiadła przy biurku, kliknęła myszką i przewinęła teksty plików, które udało jej się otworzyć w sobotę. Jeff czytał ponad jej ramieniem, najpierw niezbyt zainteresowany, wciąż zajęty Rachel i kwestią znalezienia jej rodziców, a także tym, jak niewiele dzieliło Jacks od wpakowania się w poważne kłopoty. Nie wiedział, co ma myśleć, gdy razem czytali notatki Megan Russell.

„4 czerwca. Zwiedzanie odnawianego Palace Theater, przygotowane specjalnie dla VIP - ów. Roberta Whitehead (cały wieczór przyklejona do ramienia Marka), wiceprezesowie z działu radia i telewizji, prezesowie z działu nowych przedsięwzięć rozrywkowych, dział operacyjny »Charade«, dział prawny Whitestar, finanse i zarządzanie projektami. Kino przerabiane jest na jakiś tematyczny park rozrywki z elementami horroru. Przypomina mi stary klub Limelight na rogu Ontario i Dearborn. Przeznaczony dla fanów gotyckiego rocka? Czy z tego można wyciągnąć jakieś pieniądze? Uwaga: Marek ma całą świtę. Każdy z jej członków jest jeszcze bardziej niesamowity niż on sam. Wszyscy najwyraźniej siedzą głęboko w scenie gotyckiej, a przynajmniej na takich wyglądają. W połowie zwiedzania pojawiła się młoda dziewczyna. Najwyraźniej zaskoczyła Marka (który normalnie bardzo panuje nad sobą). Bardzo wytrąciła M. z równowagi. Pokłócili się, dziewczyna zignorowała nas wszystkich. Marek był bardzo zakłopotany. Zwiedzanie natychmiast się zakończyło, bardzo szybko nas stamtąd wyprowadzono. Wszystkich, prócz Roberty.

Dziewczyna ma na imię Arianne. (!!!)

15 czerwca. Zostałam w biurze do 10.30. Przeglądałam ostatnie wydruki do bieżącego wydania. Pizza i spotkanie z Jeffem, akceptacja

wydruków. Po wyjściu Jeffa miałam nocnego gościa. Arianne! Tę samą, co w Gothique. Teraz już wiem. To ta sama Arianne, o której informacje wygrzebali praktykanci z międzynarodowych archiwów. Wszystko potwierdzone - Marek, świta, wszyscy są... Nie. To nie do wiary. Nie mogę teraz napisać. Uwaga! Czy powiedzieć Jeffowi?"

- Mój Boże - rzekł Jeff. - Miała kłopoty i nic mi nie powiedziała. Albo nie miała szansy. Mój Boże.

Terri stanęła w drzwiach. Jacks z tatą spojrzeli na nią z nadzieją.

- Zadzwoiłam do paru znajomych. Wydział Przepływów Nieletnich, Wydział Zaginięć. Sprawdziłam w Centralnym i Za... - Przerwała. Weszła do pokoju i usiadła na łóżku. - No cóż, sprawdziłam też Wydział Zabójstw. Nic. A przynajmniej nie mają nikogo ją przypominającego. To przynajmniej jest jakaś dobra wiadomość. - Odwróciła się do Jacks. - Skarbie, czy Rachel nie mówiła ci niczego, co może nam podpowiedzieć, dokąd poszła?

Ale Jacks tylko gapiała się w ekran komputera.

- Nie, już obdzwoniłam wszystkich ludzi, którzy mi wpadli na myśl, wszystkich przyjaciół, wszystkich chłopców, z którymi się ostatnio umawiała. Rachel... cóż, Rachel lubi się zabawić. To znaczy mogła kogoś poderwać i pójść z tym kimś na imprezę, gdzieś pojechać z chłopakami. Pewnie. Ale nie zniknąć na dwa dni. Co to, to nie.

- Wierzę ci - odparła Terri. - Policja zacznie pytać szpitale. Sprawdzimy też komisariaty na przedmieściach.

- Wyślijcie kogoś do Gothique. - Jeff sięgnął ręką ponad ramieniem Jacks i przesunął myszką tekst na następną stronę. - Czemu nie możesz teraz posłać tam paru policjantów?

- Dlaczego tam?

- Jak to, dlaczego tam? Bo tam obie poszły. Tam Jacks widziała po raz ostatni Rachel.

Terri potrząsnęła głową.

- I co mielibyśmy tam zrobić? Jeff, w piątek wieczorem przez klub pewnie przewinęło się z tysiąc osób. Założę się, że nawet i więcej. Co więcej, kolejny tysiąc pojawił się tam zeszłej nocy. Czy któryś z barmanów rozpozna na fotografii nastolatkę? Która, na dodatek, wcale nie wyglądała tej piątkowej nocy tak, jak zwykle... - Przerwała. Sprawiała wrażenie, jakby próbowała zebrać myśli i działać profesjonalnie. - One dwie pewnie wyglądały tak jak reszta

fanów gotyku. Nikt nie zapamięta dzieciaka, który wygląda tak samo jak pozostałe dwa tysiące. Lekceważysz znacznie prawdopodobniejsze scenariusze. Przyjaciółce Jacks spodobał się jakiś chłopak, wykorzystuje więc resztę weekendu, dopóki nie wrócą jej rodzice. Albo spotkała paru przyjaciół i poszła z nimi na imprezę, a teraz odsypia straszliwego kaca. Słuchaj, ja i każdy inny policjant chętnie dorwalibyśmy takie dzieciaki jak ona i złoilibyśmy im dupy tak, żeby nie mogli usiąść aż do studiów, a potem wlepilibyśmy szlaban na wychodzenie z domu, dopóki się nie pożenią. Jeff, musisz zrozumieć, takie rzeczy się stale zdarzają.

Niechętnie przetrwał jej słowa. Potem wskazał komputer Jacks.

- Pewnie masz rację. Mam nadzieję, że tak jest. Ale widziałaś kiedyś coś takiego?

- Czasami mi się zdarza. - Terri usiadła na skraju łóżka i zerknęła na ekran. - Szkoda, że nie miałam dostępu do tych materiałów parę tygodni wcześniej, by je wykorzystać w śledztwie w sprawie Megan Russell. Powinnam zabrać te dyski już na samym początku.

- Terri, przecież nie mogliśmy otworzyć ich w biurze. Najlepsze firmy komputerowe nie poradziły sobie z nimi. Twoim ludziom wcale by się lepiej nie powiodło. Trzeba było hakera ze szkoły średniej, żeby sobie z nimi poradzić. Terri, tylko na to popatrz.

„17 czerwca. Nicky Kowitzki wydzwaniał cały dzień. Nagrywa mi pogróżki na pocztę głosowej. Mówi, że Marek chce się ze mną widzieć. Wiedzą, że prowadziłam śledztwo. Dwaj wakacyjni praktykanci, którzy zajmowali się tą sprawą, nie pokazują się w pracy od czterech dni. W ich mieszkaniach nikt nie odpowiada. Dwie noce temu Arianne ostrzegła mnie, żebym przerwała śledztwo. Mam odejść, opuścić miasto, natychmiast przejść do podziemia. Nie może wziąć za nic odpowiedzialności, jeśli nie przestanę. To nie ma sensu, jest zaledwie nastolatką, a przynajmniej tak wygląda. Ile ma lat? Osiemnaście? Dwadzieścia? Na pewno nie więcej niż praktykanci. Ale... Jeśli to wszystko prawda, jeśli...”

Detektyw Terri Shepherd wraz z każdym przeczytanym słowem przysuwała się coraz bliżej ekranu. W końcu wyjęła myszkę z dłoni Jeffa i sama przewinęła wyświetlany tekst.

- Do diabła, wiedziałam o tym.

- Megan została zamordowana, prawda, Terri? - Ta skinęła głową. - Cały czas o tym wiedziałaś?

- Jeff, mówiłam ci już z milion razy, nie siedzę w Wydziale Zabójstw, tylko w Wewnętrznym. Słyszałam to i owo. Do cholery, powinnam od razu zabrać te dyskietki.

Jacks rozplakała się głośniej. Jeff potrząsnął głową.

- Jezu. Projekt z informatyki.

- Ale spójrzcie na to jeszcze raz - wyjąkała Jacks. - Nie widzieliście jeszcze najdziwniejszej rzeczy. Albo najgorszej. Przeczytajcie.

„18 czerwca. Wykasowałam pliki z komputera w pracy. Wykasuję wszystkie z laptopa po skopiowaniu ich na dyskietki. Nie ma czasu. Skopiuję tylko najważniejsze rzeczy. Dziś w nocy wyjeżdżam z miasta. Wyślę je - ale do kogo? Na policję? Do gazety? Kurczę, do Boga? Jadę do Los Angeles i zniknę tam na parę tygodni. Popatrzę w gazetach i w internecie, co się będzie działo. Może wszystko spali na panewce. Ktoś jeszcze na pewno widzi, co się dzieje. Nie mogę być zupełnie samotna, prawda? Wyślę dyskietki... Jeffowi. On je zatrzyma. Skontaktuję się z nim z Los Angeles. Jemu mogę zaufać.

To wszystko prawda. Wszystko, co dotychczas tylko podejrzewałam, wszystko, co mi powiedziała Arianne. Na Boga, to wampiry. Pieprzone stwory z kłami, pelerynami i trumnami. Gothique będzie dla nich przyczółkiem. Ukryją się za gotycką, komercyjną otoczką. Dopadli Robertę Whitehead, od miesiący powiększają szeregi, odkąd przybyli do Chicago. To wampiry!

Jeff, jeśli czytasz ten plik, nie myśl, że zwariowałam. Zabierz te informacje do kogoś z władz, do kogoś w wymiarze sprawiedliwości, komu ufasz. Możesz się ze mną skontaktować w A&M Arms Motel, 233 Yomeda Bled, Los Angeles do przyszłego czwartku. Potem ja się z tobą skontaktuję.

To wampiry! Naprawdę. Kopiuję pliki i muszę iść.

Wampiry".

Przez dłuższy czas cała trójka siedziała w milczeniu, gapiąc się w ekran, na siedem niewinnych liter, zapisanych cyfrową czcionką Times Roman. Zebrane razem, wyglądały brzydko i złośliwie. Wraz z „Charade”, Colleen, Rachel i Gothique, te słowa wyglądały jak wcielone zło.

Wampiry...

- Wiedziałem - stwierdził Jeff. - Przysięgam, wiedziałem. Myślałem tylko, że to zbyt szalone, ale gdzieś głęboko w środku wiedziałem.

- Tato, to nieprawda. To zbyt zwariowane, to...

- Twój tata ma rację, Jacks.

Jeff i Jacks obrócili się i wbili wzrok w Terri.

- On ma rację. - Kobieta usiadła na skraju łóżka. - Cóż, przynajmniej częściowo.

- Terri, o czym ty, do cholery, mówisz?

- O Gothique. I o tym, co można przeczytać w plikach Megan Russell. Whitestar, szemrane transakcje, lewe spółki i Palace Theater. O wszystkim. Tu jest tyle dowodów, że wystarczy, by posadzić na lata połowę wyższego kierownictwa Whitestar. Policja, prasa, gubernator, federalni - nigdy im się nie udało zebrać wystarczającego materiału. Albo może ktoś na wysokim stanowisku dostał tyle w łapę, że umiał skierować sprawę w innym kierunku. Może te parę plików podgrzeje na tyle sytuację, że ktoś w końcu coś zrobi.

- Dobrze - rzekł Jeff. - Ale... wampiry? Terri wzruszyła ramionami.

- Och, Jezu, nie takie prawdziwe wampiry. Żadne duchy. Ale ten osobnik, Marek i jego świata, są rzeczywiście wampirami. Lubią sado - maso, są fetyszystami krwi i praktykują jakiś kult. Z pewnością popełniali morderstwa i paru z nich jest pewnie odpowiedzialnych za któryś z niewyjaśnionych przypadków. I to nie tylko w Chicago. Są zgłoszenia z paru lat wstecz, z innych stanów. Do diabła, nawet z Europy. Ale nigdy nie udało się powiązać danej osoby bezpośrednio z jakimś przestępstwem.

- Nie, Terri, tu chodzi o coś więcej. - Jeff zaczął chodzić po niewielkim pokoju. - Ta sprawa z przyjacielem Colleen Russell, Cassem. Jego zdjęcie z kostnicy. I ta fotka, którą zrobiłem człowiekowi, wchodzącemu do Gothique. Jezu, to mógł być nawet ten „osobnik”, Marek. - Jeff wzdrygnął się. - Ludzie po prostu... znikają. Gabrielle. Kelly Feeny. Współlokator Colleen. Sama Colleen. Od paru dni nie pokazuje się w pracy. Nie odezwała się z domu. A teraz w końcu Rachel.

- Terri, ciebie tam nie było - powiedziała Jacks. - Nie widziałaś tych ludzi w tym obrzydliwym pokoju. Kult? No, nie wiem. - Zaczerpnęła tchu.

- Mój Boże, mogłam... A ten Brad mnie tam wprowadził i zostawił z nimi.

- Jacks zeskoczyła z krzesła. - Rachel! Co, jeśli dopadli Rachel? Co, jeśli... Och, Boże, oni...

Jeff zaczął coś mówić, ale zadzwonił dzwonek u drzwi. Cała trójka wypadła z pokoju.

- Tato, może to Rachel, może już...

Jeff pierwszy dopadł do drzwi. Wyjrzał przez okienko, ale nie zobaczył nikogo na werandzie. Terri dobiegła do niego.

- Jeff, kto to?

- Nie wiem.

Powoli otworzył drzwi i wpatrywał się w ciemność. Sięgnął do tyłu i zapalił światło na werandzie. Potem szerzej otworzył drzwi.

- Proszę, zgaś światło.

- Kto tam jest? - Jeff otworzył szeroko drzwi. Terri odsunęła na bok Jacks i próbowała złapać Jeffa, ale on już wyszedł na werandę.

- Bardzo pana proszę, panie Stancheck, niech pan zgasi to światło. Ten głos... Już go gdzieś kiedyś słyszał. Słyszał i...

- Jeff? - Odezwał się kolejny. Od razu go rozpoznał, choć brzmiał zupełnie inaczej. Kompletnie obco. - Jeff, błagam, zgaś światło.

- Terri, zgaś światło na werandzie.

- Jeff, to chyba nie jest dobry....

- Zgaś je!

Kobieta przekreśliła włącznik.

Na werandzie znów zapadły ciemności. Zimny powiew nocnego wiatru przywiał ze sobą zapach pleśni, kwiatów, starości i dojrzałych owoców.

Z ciemności wyłonił się cień. Nagle pojawiła się blada twarz z ciemnymi oczami, osłonięta postawionym kołnierzem czarnego płaszcza.

Jeff drgnął. Myśli galopowały. Wiedział, że rozpoznał tę twarz. No, prawie, bo teraz wyglądała zupełnie inaczej. Znał ją, bo parę miesięcy temu patrzył na nią tego długiego wieczoru w domu pogrzebowym Gold Coast, gdy stał obok zamkniętej trumny Megan Russell.

- Cass?

Postać skinęła głową.

Terri wciągnęła Jacks w głąb mieszkania i pobiegła, by stanąć u boku Jeffa.

Wtem odezwał się drugi głos, dobrze znany Jeffowi. Natychmiast go rozpoznał, bez względu na to, jak odmiennie teraz brzmiał.

U stóp schodów chwiał się inny cień. Mrok zawirował niczym czarna mgła. O betonowe schody zaszeleściły ledwo słyszalne kroki. Długie, faliste włosy rozwiały się na wietrze, odsłaniając szokująco bladą twarz, parę niebezpiecznie ciemnych oczu i błyszczące czerwone usta. Spod górnej wargi wystawały czubki ostrych kłów.

Jeff złapał Terri za rękę. Przez chwilę nie był pewien, czy nie ugną się pod nim nogi i nie spadnie z werandy wprost w cień, mroczniejszy od czerni.

- Jeff... Przepraszam, że się tu pojawiliśmy, ale... musimy porozmawiać. Nie wiedziałam, do kogo jeszcze możemy pójść.

- Colleen? - Jeffowi kręciło się w głowie, ale Terri złapała go pod ramię i podtrzymała, dopóki nie odzyskał równowagi. - Colleen, to ty? O Jezu, nie, Colleen...

*

Ogarnęło go poczucie winy.

Zwykle, staromodne, katolickie poczucie winy najgorszego rodzaju, cuchnące grzechem powszednim, grzechem śmiertelnym i pokutą. Trzeba było całych ciężarówek łaski odkupienia, by je zmyć.

Ojciec Gil Silverez siedział na tyłach autobusu, jadącego po Clark Street. Miał szczelnie zapięty pod szyją płaszcz, który ukrywał wiele mówiącą koloratkę. Źle się stało, że kierowca autobusu i parę pracujących na nocną zmianę sprzątaczek wpatrywało się w niego z gniewem, a on przetykał ogromne porcje z małej bezmarkowej whisky. Wcale nie musieli wiedzieć, że jest księdzem.

Autobus włókł się po Clark w korku. Przed modnymi knajpami samochody zaparkowały zderzak w zderzak. Pojazdy zatrzymywały się pośrodku ulicy, a kierowcy targowali się przez okno z prostytutkami. Samochody zatrzymywały się z piskiem opon, by nie potrącić nastoletnich cichodajek albo narkomanów. Niektórzy z kierowców zatrzymywali się na chwilę, by zawrzeć szybką transakcję.

Tylko w niedzielę ojciec Silverez pozwalał sobie na małe co nieco. Nikt o to chyba nie dbał.

Oczywiście zamierzał wrócić na plebanie przed kolacją. A dokładniej, przed zachodem słońca.

Tylko jego należało winić za to, że wybiła prawie jedenasta, a on tkwił w autobusie, mając przed sobą perspektywę długiego spaceru po Montrose. To była jego wina - nikt nie zmuszał go do wstąpienia do małych barów przy Chicago Avenue po tym, jak odbył spotkanie z wysłannikami archidiecezji na tyłach katedry Świętego Imienia. To trwało krótko, choć otrzymał aż nadto czytelne przesłanie. Mały szczurek z diecezji - pewnie ledwie dwa lata po seminarium, pewnie nigdy nie musiał grzebać w swojej kieszeni, by wspomóc parafianina, pewnie nigdy nie ochrzcił wcześniaka, który nie miał szansy dożyć następnego dnia, pewnie nigdy nie trzymał za rękę staruszki podczas ostatniego sakramentu i nie próbował nakłonić jej do modlitwy przez dwie godziny, dzielące ją od następnego zastrzyku morfiny, podczas gdy rak powoli wyżerał dziurę w jej wnętrznościach, na pewno nie - ten szczurek siedział za biurkiem i mówił Gilowi w jasnych słowach, że otrzymano kilka niepocholebnych raportów na jego temat. Słyszano o jego mszach i ostrzeżeniach, by parafianie nie pozostawali na zewnątrz po zmroku, zamykali okna i nigdy nikomu nie otwierali drzwi po zachodzie słońca. Przeczytano jego raport na temat zamordowanej bibliotekarki i o zdarzeniu w przejściu (gdy, ni mniej, ni więcej, wracał z gry karcianej w karczmie - och, o tych szczegółach również wiedzieli), a także na temat nowego klubu, który został otwarty w parafii. Raport został przekazany do Diecezijnego Ośrodka Rehabilitacyjnego, która to nazwa, jak wiedział Gil i szczurek, oznaczała ulokowany za miastem dom wariatów.

Gil pozwolił, by ten śmieć wypunktował wszystkie wpisy w jego aktach, a potem uśmiechnął się i zapewnił go, że będzie modlił się o siłę, która połączy działania parafian i duszpasterza. Potem uciekł z biur archidiecezji i podążył Chicago Avenue, kierując się do małego kuflołotu, gdzie stał przy barze bez stołków wraz z przygnębiającą gromadą pozbawionych złudzeń i zapomnianych pijaków, tak jak i on pogrążonych całkowicie w swoich małych światach. Niedzielny mecz Bearsów już się zaczął, ale nie zwracał na niego uwagi, tak samo jak pozostali klienci. W końcu, gdy zaczęła się dogrywka, kupił sobie na drogę małąkę whisky nieznanego pochodzenia.

Ale kolejki w kuflolocie i łyki z butelki nic nie poradziły na problem jego własnego kryzysiku wiary. Tak samo jak nocne nowenny, powtarzane różańce i klęczenia przed snem. Litanie i

alkohol - i jedno, i drugie nic nie mogło poradzić na przerażający obraz, w którym kapłan w średnim wieku włókł się po Damen Avenue, pukał do drzwi tego przerażającego miejsca, a potem stał samotnie i bez nadziei pod markizą Gothique w swojej najlepszej, niedzielnej komży i albie, z kropidłem ociekającym święconą wodą i monstrancją pełną świętej hostii. Samotny, niezbyt zwinny ksiądz z jego wyobrażeń tkwił, trzęsąc się w czystej trwodze, aż w końcu budziły się bladolice potwory i wciągały go do środka, w czarny dół, gdzie czekał go tylko ból i potępienie.

Ale wiedział, że musi to zrobić.

Jeśli nie dziś, to jutro. Albo następnego dnia. Nie mógł tego odkładać bez końca. Nie mógł czekać, aż odkryje wysuszone ciało Franka Hoelevicha, zimne i martwe, w kuchni piętrowego domku. Nie mógł czekać, aż jakaś inna słodka i pełna nadziei bibliotekarka - a może sprzedawczyni albo policjantka z drogówki, a może nauczycielka - zostanie powieszona jak kawał mięsa, torturowana i pozbawiona krwi. Nie wiadomo, ile jeszcze umrze dzieci, ile dusz zostanie skazanych na potępieńczą, paskudną egzystencję, postrzeganą jako wspaniałą tylko w głupich książkach i komicznych filmach. Oni tkwili jedną nogą na ziemi, podczas gdy za drugą ciągnął diabeł.

Musiał coś z tym zrobić.

Ale jeszcze nie tej nocy.

Nie, nie tej nocy. Był pijany. A przynajmniej bardzo blisko tego stanu. Już zapadł zmrok. Oni wszyscy już się obudzili.

„Nie, nie tej nocy, dobry Boże, jeszcze nie”.

Ojciec Gil Silverez wciąż powtarzał swoją specjalną wersję litanii „Boże, daj mi siłę” - „Boże, jeszcze nie tej nocy” - gdy wysiadł na przystanku na ulicy Clark. Mówił ją, idąc po Montrose, aż opróżnił butelkę i wyrzucił ją do śmietnika.

Noc była zimna. Wiał chłodny wiatr, wypłaszając niemal wszystkie dziwki i dilerów. Zostali tylko ci najbardziej zdesperowani. Reszta schowała się w całodobowych barach, sklepach z paczkami i knajpach. Żaden osobnik nie kręcił się niedaleko kościoła Gila, jakby łaskawa, lecz sroga twarz świętego Alstantiusa wyrzeźbiona w marmurze utrzymywała kilkaset metrów Montrose Avenue w czystości od mętów. Tak więc ulica opustoszała. Gil wetknął ręce w kieszenie kurtki. Mroźny wiatr już oczyszczał mu umysł z

alkoholowych wyziewów. Podniósł wzrok znad chodnika i podszedł do szerokich schodów frontowych i wielkich bliźniaczych kolumn kościoła Świętego Alstantiusa.

Już na niego czekali.

Zatrzymał się w pół kroku.

Stali tam i czekali na niego.

Tuż przed kościołem. Jego kościołem.

Samotny kapłan nie będzie zatem trząść się ze strachu pod markizą Gothique. Nie uratuje go naładowane niczym haubica kropidło ani monstrancja pełna świętej amunicji. Nie będzie już potrzebował taniej, bezimiennej whisky ani nowenn, błagając Boga, by odwłókł tę chwilę o jeszcze jedną noc.

Nadszedł czas.

Zbliżała się bitwa, czy był gotów, czy nie.

Wampiry stały na granicy światła, rzucanego przez uliczną lampę. Skuliły się w mroku, unikając blasku, rzucanego przez reflektory przejeżdżających od czasu do czasu samochodów. Oni go dostrzegli, on ich zauważył. Szli ku niemu po chodniku i uśmiechali się.

- Boże, daj mi siłę. - Ojciec Gil Silverez zaczął iść. Pierwszych parę kroków szedł na drżących do bólu nogach. Potem jego krok stał się pewniejszy. Kolejne metry pokonywał z rozmysłem. - Boże, daj mi siłę. - Wyjął rękę z kieszeni. Instynktownie zwinął je w pięści. Szedł wprost do kościoła, zastanawiając się przez chwilę, a myśli przekłętego człowieka snuły się przez te ostatnie metry, co teraz zrobi szczurek z archidiecezji. Idąc, dostrzegł kątem oka jakiś ruch u jego boku. Jeszcze dwóch z nich wyszło z cienia za posągami świętego Alstantiusa. Wstąpili w szereg za plecami księdza. W końcu zatrzymał się przed szerokimi schodami kościoła. - Boże, daj mi siłę.

- Oj, padre, chyba będziesz potrzebował czegoś więcej.

Pojawiło się jeszcze dwóch. Natychmiast ich rozpoznał. Pamiętał ich z tej paskudnej nocy - wydawało się, że to było tak dawno temu - z przejścia obok domu Franka. Był tam ten sam chłopiec. Ta sama dziewczyna. Teraz należała już do nich. Pewnie już tamtej nocy ich o to błagała. Oboje przycupnęli na najwyższym schodku. Dziewczyna trzymała głowę na kolanach chłopca. Oboje uśmiechali się szyderczo. Niebiesko - czerwone wargi ukazywały długie, paskudne kły.

- Nie ważcie się bezcześcić mojego kościoła. Wynocha stąd. Dziewczyna podniosła się i ruszyła ku niemu po schodach.

- Twojego kościoła, co? - Chłopiec wstał. Pozostali zacieśnili krąg wokół Gila.

- A może, padre, nie chcemy stąd nigdzie iść? Chyba nam się tu podoba. Taki wielki, stary budynek marnuje się przy jednym księżulku. Czyż Kościół nie powinien nadażać za obecnymi czasami? Staruszkę, jest coraz ciężej. Masz swoich biednych, swoich nałogowców, bezdomnych i parafian bez pracy. Moim zdaniem powinno się tu zmieścić jeszcze paru innych. - Zszedł o jeden schodek w kierunku Gila. - Moim zdaniem to my powinniśmy tu jeszcze paru zmieścić.

- Wynoście się z mojego kościoła.

- Och, padre, nie bądź taki i przyłącz się do nas. Wszyscy już tu są. No, prawie wszyscy. Osobiście gwarantuję, że mamy tu wszystkich ministrantów i uczennice, których zapragniesz. Są tu skąpe spódniczki z plisami, spodenki do kolan i inne atrybuty twojego wyznania. Tego chcesz, nieprawdaż? Czyż wszyscy księża... - Wampir zamilkł i zaczął węszyć. - Och, rozumiem. Ty masz inny nałóg, co? Cóż, my wiemy o wszystkich twoich nałogach i zwyczajach. O kurczę, ty masz dopiero pragnienie, a my je możemy zaspokoić. Może nie alkoholem, ale mamy coś o wiele lepszego. Co ty na to, padre?

- Nigdy! Wynoście się stąd. Wolę smażyć się w piekle przez wieczność.

- Może to też da się załatwić, padre.

Gil jednym pociągnięciem rozpiął kurtkę i kołnierzyk koszuli. W ciemnościach błysnęła koloratka. Sięgnął pod ubranie i ścisnął w rękę mały krucyfiks. Zerwał go z łańcuszka i machnął nim w ich kierunku.

- Wynocha stąd! - Zamachnął się małym krucyfiksem. Grupa na chodniku prawie się przewróciła, nurkując w cieniach. - Wynoście się stąd i czekajcie Sądu Bożego za swoje grzechy. Wszyscy! - Dwa wampiry za jego plecami zakryły uszy rękami i zasyczały, ale stały wciąż na swoich miejscach. Gil cofnął się, potem wszedł na schody. Najpierw skierował krucyfiks ku dwóm wampirom, które szły za nim, a potem ku chłopcu i dziewczynie na szczycie schodów. Kiedy doszedł do połowy stopni, dziewczyna krzyknęła i zeskoczyła ze schodów, przewracając się na chodnik. Skierował krzyż ku chłopcu. A ten się tylko uśmiechnął.

- Och, padre, naoglądałeś się zbyt wiele filmów. Gil mocniej ścisnął krzyżyk.

- Nie próbuj mnie oszukać, diable. Wiem, kim jesteś. - Wkroczył na ostatni stopień, utrzymując znaczny dystans między sobą a wampirem. Zaczął wycofywać się ku drzwiom kościoła. - Widziałem filmy o was. Wszystko wiem. Ten krzyż - to tylko symbol i nic nie znaczy, jeśli ktoś nie ma wiary. Ale ja ją mam.

- Tak, padre. To też widziałem. - Wampir oparł się niedbale o balustradę. - Bombowa sztuczka, nie? Tylko że pewnie wzięli tę kwestię „trzeba mieć wiarę” z jakiejś powieści. Może Stephena Kinga. Nieważne.

Gil nadal cofał się ku drzwiom kościoła. W końcu na nie wpadł i upuścił krucyfiks.

Wampir rzucił się naprzód, ale ksiądz zrobił tak samo. Złapał krzyż, zanim ten wylądował na ziemi. Wyciągnął go ku wampirowi, a potem zaczął gmerać w kieszeniach rozpiętej kurtki w poszukiwaniu kółka z kluczami do kościoła. Sięgnął ręką w tył i namacał klamkę.

- Hej, nieźle staruszkowi poszło. Na dodatek, staruszek chlapnął sobie parę głębszych, sądząc po zapachu. Prawie cię dopadliśmy, padre. - Wampir obchodził go półkolami, niczym drapieżnik ofiarę. Trzymał się o dwa metry od niego. Dwaj pozostali stali kilka stopni niżej. - Słuchaj, księżulku, niektórzy z nas mają szacunek do tych rzeczy. - Wskazał głową grupkę w cieniu, a potem dziewczynę, kucającą u stóp schodów. - Masz tu ogląd. Stwierdzam, że biorą wszystko cholernie poważnie, chleb, wino, kadzidło, świętych i tak dalej. Oraz krzyże i wodę święconą. Kurczę, padre, co tylko zechcesz.

Gil gmerał za plecami, aż w końcu trafił kluczem we właściwy zamek. Stracił jeszcze kilka chwil, aż w końcu otworzył frontowe drzwi.

- Macie się wszyscy cofnąć! Wracajcie do swoich ciemnych dziur i czekajcie na Sąd Boży!

Dwa wampiry na chodniku obróciły się posłusznie i zaczęły iść w dół Montrose. Uśmiechy zniknęły z twarzy, w oczach zagościł mrok. Dziewczyna przepadła w ciemnościach.

Gil uchylił drzwi za plecami, wciąż trzymając przed sobą krucyfiks.

- Tak, padre. Jak powiedziałem... Co tylko zechcesz. Do diabła, jeśli kazałbyś im wsadzić sobie jebany kołek w dupę, pewnie by to

zrobili. W końcu masz krzyż, nie? - Wampir przestał go okrażać. Stał w bezruchu i nawet przestał się uśmiechać. - Ale, wiesz, niektórzy z nas to nieświadomione dzieciaki. Nasi rodzice nie zabierali nas do kościoła, tak jak powinni. Nie posyłali nas do katolickich szkół, do bractw doktryny chrześcijańskiej ani na niedzielne katechezy. Pewnie byli zbyt zajęci pieprzeniem się z sąsiadami i odsypianiem niedzielnych kaców.

Gil otworzył drzwi na całą szerokość i wśliznął się do środka. Znajomy zapach kadzidła natychmiast okrył go niczym ochronna peleryna. Białe, kolorowe światełka z nadwytynnych świeczek i świec w nawach oblały schody przed kościołem.

- Odejdźcie, diabły. Wampiry! Odejdźcie, nim w końcu dopadnie was gniew Boga. - Wszedł do przedsionka i zamknął z trzaskiem wrota tuż przed obliczem wampira.

- Padre, ja jeszcze nie skończyłem. - Głos wampira wciąż dobiegał zza drzwi. - A co z tym stwierdzeniem, że „trzeba mieć wiarę”? Chyba to działa w obie strony. Ty możesz wierzyć, ale co się stanie, jeśli my nie? - Gil poczuł chłód na karku. Wyczuł, jak z zapachem kadzidła miesza się jakaś paskudna woń. - Wybacz, padre.

Obrócił się. ,

Zza ławek wstawały wampiry, niczym czarne zło.

Rozdział trzydziesty drugi

- Jakie to idiotyczne.

Terri skręciła w dojazd do Montrose i jechała dalej nieoznaczonym, białym chevroletem caprice. Znad jeziora Michigan nadciągnęła mgła. Opar zasnuł park i leżące po prawej plaże. Wił się wokół samochodów, które zatrzymały się przed nimi na czerwonym świetle.

- Jeff, to idiotyzm. Zostawmy to zawodowcom.

Siedział obok niej na fotelu pasażera. Nigdy nie czuł się swobodnie w obcym samochodzie, prowadzonym na dodatek przez kogoś innego niż on. Nawet jeśli to była Terri, pani detektyw, w swoim własnym wozie.

- Ty jesteś zawodowcem.

- Wiem, ale nie jestem zwyczajnym policjantem, Jeff, ja tylko...

- Tak, wiem, Terri, pracujesz w Wydziale Wewnętrznym. Ale jesteś najbliższej definicji „zawodowca”, jak sobie można tylko w tej chwili zamaryć. Nikt inny w całym tym cholernym mieście nic z tego nie rozumie. Ani też nikogo to nic nie obchodzi.

Światła zmieniły się na zielone. Samochody ruszyły powoli, skręcając w Montrose pod estakadą. Potem znikaly we mgle. Wlekli się, docierając do kolejnych świateł, które właśnie zmieniały się na żółte.

- Cholera. - Terri trzasnęła ręką w kierownicę. - To takie idiotyczne.

- Jeff, ona ma rację. - Colleen odezwała się z tylnego siedzenia. Samo brzmienie jej głosu sprawiło, że przebiegły go dreszcze. Oto dobiegło go echo z ciemnej, mroźnej jaskini. W trakcie jazdy po Stevenson Expressway i Lakeshore Drive ani ona, ani Cass nie powiedzieli zbyt wiele. Jeff niemalże zapomniał, że siedzą tam, z tyłu. Już się domyślił, że tylne lusterko mu nic nie pokaże. Nie widział ich odbić. Wystarczyło mu to, by obalić teorię Terri, że „Marek i Arianne” oraz Gothique były miejscami jakiegoś kultu, krwawego fetyszyzmu, mekką dla sadomasochistycznych zбочeńców. Jakby jej nie wystarczyło to, co Cass i Colleen powiedzieli im w domu Jeffa. Colleen pochyliła się ku niemu, zaciskając blade ręce na przednim siedzeniu. Nienawidził siebie za to, ale mimowolnie odsunął się od niej. Dziewczyna oderwała ręce i z powrotem oparła się o tylne siedzenie. - Jeff, Terri ma rację. Co zamierzamy zrobić?

- Rozejrzeć się? Zadać parę pytań? Nie wiem.

- Jeff, nawet nie zdajesz sobie sprawy z tego, jak wielkie jest to kino. Są tam dziesiątki pokoiów, piwnic nad innymi piwnicami. Mówiliśmy ci o celach, w których trzymają... ofiary. Kto wie, ile ich tam już jest? Sądysz, że pozwolą nam tam wpaść tanecznym krokiem i odszukać przyjaciółkę twojej córki?

Światło zmieniło się na zielone. Jeff odwrócił się ku tyłowi samochodu.

- Sądzicie, że zostawię tam to dziecko? Jestem pewien, że ona jest właśnie tam.

- Jeff, nie wiemy tego - stwierdziła Terri, skręcając w Montrose.

- Jak tego nie wiemy, to się tego dowiemy. Jak mogłabyś ty, policjantka, nic z tym nie zrobić? Każdy cholerny gliniarz w mieście powinien szturmować ten klub z bronią w ręku i w otoczeniu sił specjalnych.

- Jeff, słyszałeś kiedykolwiek o takim małym dokumencie zwanym konstytucją? Prawa człowieka, należny proces? Rozsądny powód? Sprawa Mirandy? Gwarancja śledztwa?

- Nic z tych rzeczy nie ma tu zastosowania.

- Jeff, nie mam takiej władzy, by wysłać tu siły specjalne. Do diabła, nawet nie wiem, do kogo zadzwonić, żeby wezwał siły specjalne. Nie mam nawet na tyle władzy, by węszyć wokół Gothique. Występuję tu jako cywil.

Powoli jechali w korku na Montrose. Zatrzymali się przy Halsted.

- Słuchaj - rzekła Terri i wyciągnęła do Jeffa rękę, by go poklepać po ramieniu. Przynajmniej mamy kontakt z rodzicami dziewczyny. Mundurowi już są u nich, znajdą parę fotografii, wprowadzą je do systemu i skierują sprawę do odpowiedniego wydziału. Może będziemy mieć szczęście. Może znajdziemy gdzieś Rachel, pijaną albo naćpaną, na jakiejś imprezie i najgorsze, co jej się przydarzy, to bura od rodziców.

- A może dziewczyna już nie żyje. - To były słowa Cassa. Pochylił się ku nim i wlepił wzrok w Jeffa. Potem popatrzył z gniewem na Terri Shepherd. Usiadł z powrotem na swoim miejscu, wciąż mierząc wzrokiem panią detektyw. Wcale nie był pewien, czy wraz z Colleen znajdują się na właściwym miejscu. Czekał, aż w końcu samochód zatrzyma się przed komisariatem. - A może już jest jedną z nich.

- Cass, nie mów tak - odezwała się Colleen.

Jeff ponownie zaczął się wiercić na swoim siedzeniu.

- Nawet o tym nie pomyślałem. - Nie podobało mu się wpatrywanie w nich, gdy tak siedzieli na tylnej kanapie. Nie podobało mu się, że Colleen wyglądała... tak jak teraz. Ale obecnie i tak wszystko przedstawiało się lepiej, niż gdy zobaczył ich w swoim domu, w swoim salonie. Blade twarze w pełnym świetle i ich czarne oczy, czubki kłów, wystające spod górnych warg. Teraz wpatrywał się w mrok na tylnym siedzeniu. - Mój Boże, co jeśli... jeśli ona... Co, do diabła, wtedy zrobimy?

- Cóż, to zależy od tego, co pan lubi - odparł Cass. - Może pan wbić milutki kołeczek w jej zgrabne cycuszki, a ona będzie wrzeszczeć i błagać, by jej pozwolić żyć. Można też obciąć jej głowę. Co pan woli, panie Stancheck? A może spalić ją, napompować gazem i usmażyć. A może wystarczy poczekać na poranek, wyciągnąć w światło słoneczne i patrzeć, jak przyjaciółka córki eksploduje. Albo...

- Cass, przestań! - krzyknęła Colleen. Sam dźwięk wystarczył, by zatrzęść oknami samochodu. - Skończ z tym.

- Nie próbuję być kretyńcem - odparł Cass. Z jego głosu zniknął sarkazm. - Staram się, byś... byśmy wszyscy zatrzymali się na chwilę i pomyśleli, co tu robimy. To kompletne wariactwo. - Wyciągnął rękę i zatopił palce w ramieniu Jeffa. Jego dłoń przypominała szpony. - Panie Stancheck, jesteśmy wampirami. Wampirami. Rozumie pan? Naprawdę? Wraz z Colleen nie żyjemy. Zostaliśmy zamordowani. Oni wypili naszą krew i tuż przed naszą śmiercią zmusili nas, byśmy wypili ich. Wstaliśmy z martwych jako jebane wampiry. Tak jak to się opisuje w książkach, tak się to pokazuje w filmach. - Złapał go za rękę i przycisnął ją do swojej piersi. - Czuje pan? Nic. Nada. Serce nie bije. Nie ma ani śladu oddechu. Nic. My... nie... żyjemy. Colleen jest martwa. I ja też. A w tym miejscu aż się roi od innych martwych istot. Tyle że oni nie są tacy „przyjacielscy” jak my. Oni nie są „dobrymi” wampirami. - Puścił jego dłoń. - Panie Stancheck, w tej chwili czuję pana woń. Pani też, pani detektyw. Czuję zapach krwi płynącej w waszych żyłach. Wcale tego nie chcę, ale tak jest. Tak samo jest z Colleen. Nie przyzna się do tego, ale też to czuje. Jeśli tylko byśmy zechcieli, jedną ręką wciągnęlibyśmy was na tylne siedzenie i rozerwali wam gardła, zanim byście zdołali krzyknąć. Wypilibyśmy wam krew, ciesząc się każdą jebaną minutą. Ale ponieważ jesteśmy

„dobrymi” wampirami, strasznie byśmy się poczuli. O tak, mielibyśmy okropne wyrzuty sumienia. Czuliibyśmy się naprawdę paskudnie.

- Przestań, Cass, przestań! - Colleen płakała. Tak to przynajmniej wyglądało.

- Colleen, oni muszą zrozumieć. Muszą dostrzec, że to, co robimy, to szaleństwo. Za moją głowę pewnie wyznaczona jest nagroda. I za twoją też. Każdy pieprzony wampir stamtąd pewnie poszukuje dwójki renegatów. Nie możemy tak po prostu wejść do Gothique i poprosić o zaprowadzenie do piwnicy na poziomie B, żeby zabrać stamtąd do domu małą puszczałką dziewczynkę, zanim ukarzą ją rodzice. Zarzną nas, zanim przekroczymy próg, a wszyscy przed drzwiami będą myśleć, że to część jebanego przedstawienia.

- Jezu - powiedział Jeff, ledwo zaczerpując tchu. - Ja... Terri, ci dwaj policjanci, których zostawiłaś u mnie w domu, oni...

- Jeff, to najlepsi ludzie, których znam. Słowo. Nie mają mundurów, są uzbrojeni po zęby i podejmują się wielu... hm, „zadań specjalnych”. Jacks jest z nimi bezpieczniejsza niż gdziekolwiek indziej. Ci dwaj pierwsi przyjmą kulę, zanim ktokolwiek położy na niej rękę.

- Może... może my... - Potrząsnął głową. - Może nie powinienem jej zostawiać samej.

*

Frank Hoelevich obudził się na fotelu.

Potań oczy i poczekał, aż dostosowały się do jaskrawego, czerwonego blasku, sączącego się zza żaluzji z markizy po przeciwnej stronie ulicy. Zerknął na małe zegarek na telewizorze, stojącym po przeciwnej stronie pokoju. 1.20 w nocy. Kolejna niewygodna noc na fotelu. Ale nie zamierzał zasypiać. Lepiej uciąć sobie parę drzemek w ciągu dnia. W nocy chciał być gotowy, przytomny i czujny.

Usiadł, a M - 1 spadł mu z kolan i walnął o podłogę.

- Cholera. - Tego mu tylko brakowało. Odstrzelił sobie stopę, jak to mu zapowiedział Gil.

Ostrożnie oparł karabin o krzesło i zastanowił się, czy nie zostawił nieco kawy na kuchence. Myślał, czy nie ocalało jakieś duńskie ciasto z piekarni z Ashland. Powlókł się do kuchni.

- Sox? - Pies kochał dobre duńskie ciastka tak samo jak Frank. Mogły być nawet sprzed dwóch dni. Ale z tego, co Frank pamiętał, już

zjedli podczas wieczornych wiadomości bułeczki z serem, jabłkiem i makiem. Zostały tylko z suszonymi śliwkami i brzoskwinią. Nie zamierzał pozwolić Soksowi zjeść duńskiego ciastka z suszoną śliwką, a potem przez następny tydzień pięć razy dziennie sprzątać gówna z podwórka.

- Sox? - Pies zwykle siedział obok niego przy fotelu. Może w końcu zmęczył go czerwony blask. Frank wcale nie miał mu za złe, jeśli zwierzę postanowiło ułożyć się do snu w sypialni albo w kuchni. Jezu, jeśli Libbie dowiedziałyby się, że pies spał na narzucie na łóżku, kiedy jej nie było w domu, słono by go to kosztowało.

- Sox?

Frank wszedł do kuchni i zapalił światło. Zapalił gaz pod czajnikiem i wyjął z szafki talerz ze słodkimi bułeczkami.

- No, chłopcze, czas na przekąskę o północy. Choć jest już 1.22. Sox?

Pies zmęczył się długimi popołudniowymi spacerami: piekarnia i delikatesy na Ashland, spożywczy na Damen, mały przystanek u Gila, który gdzieś zniknął, pewnie w sprawach parafian. Do diabła, obaj zmęczeni się, nim dotarli do domu. Zdażyli na czas, tuż przed zachodem słońca. Ledwo pies skończył załatwiać się na podwórku, a już wchodzili do środka i zdążali na górę po schodach. Słońce zniknęło za dachami garaży. Udało im się dotrzeć do domu przed zachodem słońca. Ci cholerni dziwacy zaczynali pojawiać się na Damen. Parkowali wszędzie swoje samochody, szczali na trawnikach, obściskiwali się w przejściach między domami. Wyłazili z uliczek, czekając, aż ich wpuszczą do Gothique. Do cholery, przecież była niedziela.

- Sox? - Pewnie, obaj się zmęczeni. Inaczej nie zasnęłyby w fotelu.

- Sox? - Ale pies nigdy nie spał tak twardo, by nie przybiec na dźwięk otwieranych drzwiczek szafki w kuchni. Do diabła, Frankowi czasem ledwo udawało się dotrzeć do szafek. Cholerny pies znał każde skrzypnięcie desek na podłodze po drodze. A może był prorokiem.

- Sox, gdzie się, u diabła...

Wzrok Franka pomknął do kuchennych drzwi.

Prawie zamknięte.

Prawie.

Nie. Do cholery, nie. Pewnie, że byli zmęczeni. Pewnie, spieszyli się, wchodząc, a on zonglował naręczami zakupów i smyczą, ale...

Drzwi uchylły się o centymetr pod wpływem niewidzialnego podmuchu.

Frank usłyszał coś.

Dźwięk dobiegał z podnóża schodów. Był to stłumiony pisk, skowyt, jaki wydawał z siebie Sox, gdy przez przypadek nadepnęło się mu na łapę.

- Cholera! - Frank pobiegł do salonu najszybciej, jak niosły go stare nogi. Wrócił równie szybko z karabinem M - 1, zarzucając na ramię płócienny pas. - O cholera!

Przebiegł przez kuchenne drzwi, biorąc po dwa schody. Kiedy dotarł do podnóża, ujrzał, że tylne drzwi były otwarte na oścież. Podwórko skrywał niewielki obłok mgły. Trochę oparu zakradło się do środka.

Usłyszał inny dźwięk, jakby szelest i szept. Uniósł broń. Zagłębił się parę kroków w mrok, idąc powoli i zwinnie ku sklepowi żelaznemu na parterze. Nagle jego oczy stały się czujne...

„...Przed nami patrol. Za wzniesieniem. W kępie drzew. Czterech. Grupa uderzeniowa, Frankie. Czarne mundury. Pieprzone Waffen - SS. Ostrożnie, Frankie...”

Znów usłyszał ten dźwięk.

Szelest, chichot, szept, stłumiony pisk.

Frank przycisnął lufę do drzwi starego sklepu. Otworzyły się ze skrzypieniem.

W sklepie panowały egipskie ciemności.

Mimo wszystko słyszał odgłosy.

Frank powoli wszedł do środka, trzymając w pogotowiu broń.

- Sox?

Ostrożnie ujął M - 1 jedną ręką i sięgnął do przełącznika na ścianie. Włączył światła na suficie.

Pomieszczenie zalało ostre jaskrawe światło. Frank zaczerpnął tchu. Cztery wampiry, oblane światłem, przez chwilę się kulily.

Ale szybko zebrały się i stanęły w dumnych, wyzywających pozach.

Jeden z nich trzymał mocno Soksa, choć pies wił się i szarpał pazurami ramiona potwora, próbując wyrwać się z zimnych, białych dłoni, które trzymały go za pysk niczym kaganiec. .

Frank ścisnął broń.

- Jak... jak się tu dostaliście?

- Oj, dziadku. - Dziewczyna w długiej, czarnej pelerynie, narzuconej na czarną mini, niedbale wytarła kurz z pustej półki. - Na wsi mieszkasz czy co? - Wskoczyła na półkę. - Nie wiesz, że w nocy należy zamykać drzwi?

Wycelował w nią, a potem przenosił lufę z jednego wampira na drugiego: blondyna w spranych dżinsach i kurtce motocyklisty nałożonej bezpośrednio na płaską, rybią bladą klatkę piersiową, dziewczynę w skąpej, czarnej sukience na czarnych pończochach i ciężkich butach, z chaotycznie poprzycinanymi, różnokolorowymi włosami i kolejnego chłopca, który trzymał Soksa. Ten był wysoki, wyglądał dziwacznie, miał długie, czarne włosy i strój kowboja. Frank kierował M - 1 kolejno na nich, ale nie pociągał za spust. Nie mógł.

- Czego chcecie? Puśćcie mojego psa. Żadnemu z was nie robi krzywdy.

- Nie, chyba się nam spodobał - powiedziała dziewczyna na półce, zajęta układaniem fałd peleryny na nogach. - A co zamierzasz z tym zrobić? - Wskazała broń długim chudym palcem, zakończonym jeszcze dłuższym, czarnym paznokciem. - Wiesz, że nie możesz nam nic nim zrobić. Czemu więc nie odłożysz swojej pukawki, dziadku, i nie zaczniesz być miły? Nie chcesz chyba, żeby twojemu pieskowi stała się krzywda, nie?

Frank na chwilę opuścił broń, a potem z powrotem ją uniósł. Lufa celowała wprost w nią.

- Nie. Myślę, że ją potrzymam. A teraz puśćcie mojego psa.

- A może ładnie o to poprosisz? Pięknym słowem, ślicznym jak krew dziewicy? Nie? - Gdy wypowiadała te słowa, kły dziewczyny zaśniły w padającym spod sufitu świetle. - Z tego, co słyszałam, już cię ostrzegano. Wysiadka i te sprawy, twoja stara zniknęła, ale ty i ta mikro - Lassie wciąż się tu kręcicie. Chyba już ci mówiliśmy. Nikt... cię... tu... nie... chce.

- To was nikt tu nie chce - odparł. - To nie wasze miejsce. Nigdzie nie ma waszego miejsca. Wasze miejsce jest w grobie. A teraz wynoście się stąd. I zostawcie mojego psa.

Dziewczyna potrząsnęła głową i ześliznęła się z półki. Oddaliła się tanecznym krokiem od chłopca z Soksem na rękach i przesunęła długim, czarnym paznokciem po grzbiecie zwierzęcia.

- Mmm, miłe mięsko. - Odwróciła się i wpatrzyła gniewnie w Franka. Jej oczy błyszczały. Obnażyła kły. - Może chcemy mieć

maskotkę, staruchu - obniżyła ton głosu, który dobiegał teraz nie tylko z jej ust, ale skądś jeszcze, z jakiegoś ciemnego i paskudnego miejsca. - Może sobie go przekąsimy. Nie wiem, jak pozostali, ale nie miałam w ustach dobrego hot doga, odkąd... Cóż. Odkąd. - Dziewczyna w skąpej sukience wysunęła się przed szereg, ale trzymała poza zasięgiem broni Franka. - Ojej, proszę pana, wcale nie jesteśmy tacy źli. - Zaśmiała się do siebie. - Pewnie, niektórzy z nas są strasznie podli. Ale pozostali są słodcy. - Przesunęła pacami w rękawiczkach po piersiach i uchylała rąbek sukienki, ukazując paskudne rany i ugryzienia, zaledwie sprzed tygodnia. - Przynajmniej ja taka jestem. - Pozostawiła na piersiach rozpostartą rękę. - Nie chcę żadnych kłopotów. Nie chcę zabijać nikogo, kto nie chce być zabity. Proszę mnie źle nie zrozumieć, ale gdy inni chcą, żeby ich zabić, kiedy naprawdę chcą umrzeć, to mi się to zajebicie podoba. Poza tym jestem milutka.

Druga dziewczyna dźgnęła Soksa w żebra i odwróciła się do Franka.

- Ta Pollyanna mówi, że możemy wypić cię, zanim zdążysz pociągnąć za spust. Ale kto by chciał? Nie ja. Kto chce odwodnionej, stęchłej i starej krwi, gdy ma się przed sobą całe pieprzone miasto, pełne słodkich, młodych i rozpustnych dziewcząt i chłopców, którzy tylko czekają, by spuścić spodnie i zadrzeć kiecki, a potem obnażyć przed nami delikatne gardziołka. Spójrz za okno, dziadku. Stoją po to w kolejkach. Za to płacą pieprzone wejściówki po dwadzieścia pięć dolarów.

Frank mocniej ścisnął broń.

- To... idźcie sobie. Zostawcie w spokoju mnie i moich bliskich. Znikajcie i puście mojego psa.

Dziewczyna w pelerynie potrząsnęła głową.

- Nie tak łatwo, staruchu. Słyszemy to i owo, nawet gdy śpimy. Może wtedy nic nie możemy zrobić, ale wszystko słyszemy. Warkot wielkich, hałaśliwych maszyn, takich jak ta, w kącie. - Wskazała tokarkę. - Nie ma czegoś takiego jak limit decybeli? Zarejestrowałeś sobie tu warsztat, staruchu? I co mają znaczyć te rzeczy? - Wskazała stos zaostrzonych, drewnianych kołków. - Sadsisz pomidory? Tak późną jesienią? Chyba jednak nie.

Chłopiec z Soksem w rękach zrobił krok w jego kierunku.

- Umawiamy się tak: to ostatnie ostrzeżenie i ostatnia runda. Masz czas na wyprowadzkę. Znikaj. Spadaj. Rozmyj się w powietrzu. Kiedy obudzimy się jutro wieczorem, ktoś z naszych cię odwiedzi. Jeśli wciąż tu będziesz, zabijemy cię w paskudny sposób. Ale najpierw będziesz patrzył, jak zjadamy twojego jebanego psa. Po jednym gryzie. Zaczniemy od łap, żebyś mógł posłuchać, jak zdycha.

- Chłopiec oblizał niebieskie usta. - Mniem. Dziewczyna z wielokolorowymi włosami pojawiła się u jego boku.

- Ale jeśli znikniesz, wypuścimy twojego Burka, Misia czy też Azorka, jakkolwiek się ten futrzak nazywa. Nie żartujemy. Oczywiście, będzie musiał wykonać tę sztuczkę rodem z filmów rodzinnych i przemierzyć cały kraj, żeby cię odnaleźć, ale, do diabła, będzie żył. I ty tak samo.

- Oddacie mi psa natychmiast. - Frank zacisnął ręce na M - 1, ale wiedział, że opuściły go siły. Jego oczy zasnuły łzy. - Macie go natychmiast puścić albo obiecuję, wszystkich powystrzelam jak...

- Jak kogo, staruchu? Jak psy?

Wtem wszystko zamazało się w jego oczach. I to wcale nie przez łzy. Jeden z wampirów skoczył do wyłącznika i pogrążył pusty sklep w ciemnościach. Rozległ się świst i łopot ubrań, zatupotały stopy. Wokół rozbrzmiały chichoty, gdy coś zbiło Franka z nóg, aż wylądował na tyłku, a jego broń zabrzęczała o podłogę. Dobiegł go ostatni śmiech, usłyszał ostatni stłumiony pisk Sokska i drzwi zamknęły się z hukiem.

Frank podniósł się z podłogi i z powrotem zapalił światło. Ale w sklepie zapanowały ciemności. Zniknęli.

A Sox wraz z nimi.

Wrócił i podniósł broń. Stał pośrodku pustego sklepu i ścisnął karabin. A potem padł na kolana i rozplakał się jak dziecko.

*

Jacks usiadła nagle. Zimny pot przemoczył jej koszulkę.

Po raz czwarty tej nocy budziła się w taki sposób z koszmaru. Do czoła i policzków przylgnęły mokre włosy. Poduszka i pościel przemokły, jakby trawiła ją gorączka. Tyle że ona nie miała gorączki.

- Tato?

Nie było go tutaj. Pojechał do Gothique. Może już tam był wraz z Terri, tym facetem i dziewczyną. Tylko, że oni nie byli zwykłymi ludźmi... Zaledwie parę godzin temu siedzieli w salonie, kłócąc się i

knując. Słuchali Colleen Russell i jej przyjaciela. Przysłuchiwali się opowieściom dwóch wampirów o tym, jak zmarli i wstali z grobu, o tym, czym się stali.

I w końcu gdzieś sobie pojechali.

Zniknęli w mroku nocy. Wyruszyli na poszukiwanie Rachel. Pojechali do Gothique.

Jacks odrzuciła mokrą pościel i wstała z łóżka. Podłoga chłodziła jej stopy. Oplukała twarz w zlewie w łazience, wytarła ręcznikiem spocone ramiona, szyję i nogi. Potem wkradła się do salonu. Podeszła do okien, wyglądających na ulicę. Wyjrzała przez żaluzje.

Na Karlov Avenue panowały ciemności. Wiatr szarpał klonami i zrzucał liście na trawnik oraz ulicę. Jej wzrok podążył za jednym z liści, który przeleciał w świetle latarni na trawę, a potem pofrunął na schody przed wejściem i wylądował u stóp wysokiej, ciemnej postaci.

Dziewczyną wstrząsnął dreszcz, ale uspokoiła się. Postać miała wokół pasa zapięty pas na broń. Zza niego wystawał wielki pistolet, krótkofalówka i latarka. Widać było zarys kuloodpornej kamizelki. Sylwetkę wieńczył kształt policyjnej czapki. To był jeden z dwóch policjantów po służbie, których pozostawiła Terri. Stał na warcie i strzegł dziewczyny.

Na końcu przecznicy pojawiły się światła.

Po ulicy jechał - zbyt powoli - jakiś samochód. Jacks ujrzała, że ciemna postać tężeje natychmiast, jedną ręką wyciągając radio, a drugą sięgając po broń.

Samochód minął powoli jej dom, skręcił w 50 Street i zniknął w ciemnościach, podświetlając czerwonymi tylnymi światłami zwały opadłych liści.

Patrzyła, jak postać rozluźnia się, a potem znów opiera o werandę.

Odsunęła się od okna. Poczowała się nieco lepiej, wiedząc, że jest tu ten człowiek. Poza tym z tyłu stał drugi taki sam i strzegł tylnych drzwi. Próbowwała ignorować symfonię dźwięków, które wydawał z siebie domek: szept w kominie, skrzypienie podłóg. Powlokła się do swojego pokoju, obciągnęła koszulkę wokół nagich nóg i usiadła na łóżku.

- Och, tato, wróć tu wreszcie.

Wsunęła się z powrotem pod kołdrę i czekała na sen oraz nieuniknione koszmary.

Na zewnątrz uaktywniło się radio policjanta. Wcisnął odbiór.

- Co tam?

- Nic tu się nie dzieje. Idę ku frontowi.

Policjant, pilnujący podwórka, pojawił się w przejściu i przeszedł przez trawnik.

- I co?

- Minutę temu przejechał jakiś samochód.

- I?

- I tyle.

Przez dłuższy czas stali w ciszy.

Obaj obrócili się, gdy ponownie u wlotu Karlov Avenue pojawiły się reflektory.

Ręce obydwu powędrowały ku pasom z bronią. Wisiały tak, niczym dłonie gotowych na wszystko rewolwerowców z Dzikiego Zachodu.

Reflektory pełzły powoli po ulicy. Światło niemal oślepiało.

Samochód zwolnił, podjeżdżając do nich.

Ręce policjantów opadły.

Spojrzeli po sobie. Kiwnęli głowami. A potem odeszli.

Poszli za róg, wsiedli do swojego samochodu i odjechali w dal. Reflektory zgasły. Czarny mercedes zatrzymał się przy krawężniku przed domkiem Stanchecków.

*

- No dobrze, to co teraz?

Nieoznakowany caprice Terri czekał z zapalonym silnikiem za taksówką i dwoma limuzynami, wysadzającymi pasażerów przed Gothique.

- Jezu - powiedział Jeff, wyglądając przez okno na tłum w kolejce na chodniku, która sięgała aż ulicy.

Widział przed sobą parę wcielonych, ostatnich wydań „Charade”.

Kolejka, szeroka na trzy osoby, wiła się pod wielką markizą. Blade od makijażu twarze oblewała czerwień liter Gothique, gorzejących nad głowami. Grupki obszarpańców skupiły się na chodniku i przy wejściu od strony alejki, przekazując sobie butelki zawinięte w brązowe, papierowe torebki i zapalając sobie nawzajem długie, kolorowe papierosy. O słupy latarni opierały się obmacujące się wzajemnie pary. Paczka ubranych w średniowieczne kostiumy dzieciaków pograżyła się w straszliwie poważnej rozgrywce gry

fabularnej. Paru zwykłych ludzi w dżinsach i ocieplanych kurtkach dzieliło się puszkami z piwem i obserwowało wymalowany, odziany w lycrę cyrk.

- Mówiłam ci, Jeff. - Terri bez skutku trąbiła na samochody przed maską. - To zoo. Niczego się tu nie dowiemy. Nie teraz. Nie tej nocy.

Limuzyny w końcu odjechały. Terri przeciskała się powoli, unikając potrącenia wampirzyc i znarkotyzowanych Dracul, aż w końcu wepchnęła się w niewielką przerwę między samochodami tuż za wejściem do Gothique.

Jeden z mężczyzn w czerni przy drzwiach natychmiast wypadł spod markizy i skierował się ku nim. Zmrużył oczy, długo i uważnie przypatrując się samochodowi, a Colleen i Cass zapadli się na tylnym siedzeniu. Jeff czuł, jak pocałować mu się dłonie. W końcu bramkarz rozpoznał to, czym rzeczywiście samochód był: nieoznakowanym wozem policyjnym. To dość łatwe do przejrzenia, jeśli wiedziało się, czego szukać. Ochroniarz obrócił się i stanął na swoim miejscu przy drzwiach.

- Wyośmy się stąd - odezwał się Cass z tylnego siedzenia. - Chcecie wejść do środka? Świetnie. Idźcie, ale jutro. W ciągu dnia. I przyprowadźcie ze sobą tylu policjantów, ilu wam się uda. Zburzcie całe to miejsce, jeśli tylko chcecie. Ale nie teraz. Nie nocą. Nie rozumiecie? To czas mroku. Wszyscy tam są. Czuwają. Przygotowują się. Są spragnieni.

Jeff potrząsnął głową.

- Sam nie wiem. Nie mogę tak po prostu odjechać. Ja... - Odwrócił się i wskazał tylne okno. - Hej, co tam się dzieje? Wszyscy się tam patrzą.

Wszędzie na Damen Avenue ludzie wyskakiwali z samochodów.

Grupka zajęta grą fabularną rozbiegła się, znikając poza zasięgiem światła latarni.

Gotycka para, zajęta dobieraniem się do siebie przy skrzynce pocztowej, zaprzestała nagle pieszczot i pobiegła w dół ulicy.

- Co tak ich poruszyło? - spytała Terri. - Nie wyglądają na takich, których łatwo przestraszyć. Oni...

Colleen podskoczyła na tylnym siedzeniu. Przycisnęła twarz do szyby.

- To... Och, nie! Patrzcie, to Frank. Złapała za klamkę i wyskoczyła z samochodu.

- Colleen, zaczekaj! - Jeff i Cass krzyknęli niemalże równocześnie i tak samo wyskoczyli z wozu.

Terri pobiegła za nimi. Wszyscy biegli środkiem Damen Avenue. Tłum rozstępował się przed nimi, ale nie z ich powodu.

Wszyscy robili miejsce staruszkowi, który szedł po Damen.

Stary człowiek miał zawieszony na ramieniu wielki, brązowy karabin, a w rękach ścisnął długie drewniane kołki.

Staruszek powłóczył nogami, a po pomarszczonych policzkach ciekły mu łzy.

- Och, super! - zachwycił się któryś z gotów, usuwając się z drogi. - Patrz, dadzą przedstawienie na samej ulicy. Człowieku, to miejsce jest super, zajebiste!

- Frank! Frank! Co ty wyprawiasz? - Colleen pierwsza do niego dopadła. - Co ty sobie myślisz, dokąd ty idziesz? - Złapała go za ramię, ale wyszarpnął się i upuścił kołek na asfalt.

- Odsuń się. Chcę dostać mojego... Odsuń się, chyba że chcesz...
- Zatrzymał się. Obrócił się i wlepił w nią wzrok. - Och, słodki Jezu. Och, dziewczynko. Dopadli cię? W końcu cię, kurde, dopadli?

Wtedy dobiegli do nich Cass i Jeff. Terri podążała nieco wolniej, ostrożniej, skupiając wzrok na bronni Franka.

- Wszyscy jesteście wampirami? - Frank wypluł te słowa wraz ze łzami, a potem upuścił kołek i uniósł M - 1, trzymając palec na spuście. - Nie, już widzę. Tylko dwoje z was. Cóż, wszyscy usuniecie mi się z drogi. - Wpatrywał się w Colleen smutnym wzrokiem, a potem odwrócił się, bo nie mógł znieść widoku jej oczu i niebezpiecznych źrenic. - Nie chcę cię zranić... Colleen? Pamiętam cię, dziewczynko. Nie chcę cię zranić. Chcę odzyskać swojego psa. A teraz mnie przepuście.

Nagle Jeff poczuł się tak, jakby dostał obuchem w łeb. Przypomniał sobie, jak stał po przeciwnej stronie Damen i robił polaroidem zdjęcie Gothique. Z samochodu wysiadł jakiś mężczyzna, który później nie pojawił się na fotografii. Potem podszedł staruszek z psem, nie takim znowu małym szetlandem. To był ten staruszek. To chodziło o tego psa.

- Proszę pana, nie może pan tam wejść. Oni... oni...

- Co, oni? Zabiją mnie? I tak chcą mnie zabić. Ale mają Soksę. Dopadli mojego psa, a ja zamierzam go odzyskać. Każdy, kto stanie mi na drodze, zarobi kulkę w łeb albo kołek w serce.

Terri przepchnęła się pomiędzy nimi.

- Proszę pana, jestem oficerem policji. - Wyciągnęła odznakę z kieszeni płaszcza. - Nie mogę panu na to pozwolić. Proszę mi natychmiast oddać broń albo będę musiała zadzwonić po wsparcie.

Frank poderwał M - 1 i wycelował broń w głowę Terri.

- Proszę pani, nie znam pani. Znam tę dziewczynę, ale ona jest już jedną z nich. A ten facet... słuchaj, wyglądasz znajomo, ale to nic nie znaczy. Wiem tyle, że zjawiasz się tu z dwoma wampirami. A ja zamierzam odzyskać mojego psa. Jesteś z policji? Świetnie. Zatrzymaj mnie, jeśli dasz radę.

Terri i Jeff wymienili spojrzenia. Ale zanim któreś z nich zdążyło cokolwiek powiedzieć, Cass i Colleen skoczyli. Nagle Colleen trzymała broń Franka, zupełnie jakby to była bomba. Cass pozbierał drewniane kołki.

- Co wy... Na Boga, oddajcie... och... Jezu Chryste... - Kolana Franka załamały się, a po policzkach znów pociekły mu łzy.

Jeff złapał go i przerzucił sobie przez plecy jego ramię. Colleen rzuciła < broń Terri i wzięła Hoeffelicha pod drugie ramię.

- Frank? Frank, wiem, co widzisz przed sobą. Wiem, czym... się stałam. Ale przysięgam ci... przysięgam na Boga, nie zranimy cię. - Colleen stanęła przed nim i spojrzała mu prosto w oczy. - Frank, popatrz na mnie. Mówię prawdę. Chcemy położyć temu kres, tak samo jak ty. Chcemy ci pomóc. Wierzysz mi? - Tłum zdecydował w końcu, że to nie było żadne przedstawienie, i wrócił do rozmów, gier, kolejki i Gothique. - Wierzysz mi?

- Oni... oni zabrali mi psa, mojego... - Przeniósł wzrok z Terri na Cassa, potem na Jeffa i z powrotem na Colleen. - Tak, dziewczynko, chyba ci wierzę.

- Dobrze. Chodź więc z nami. - Machnęła na Jeffa, by pomógł Frankowi wsiąść do samochodu. - Powiedz nam, co ci się przydarzyło. A my powiemy ci, co wiemy. Może razem coś wymyślimy. Razem, my wszyscy. Dobrze?

*

Jacks nie usiadła, budząc się z kolejnego koszmaru. Powoli odzyskiwała przytomność, widząc wciąż Rachel, bar, tłumy, pięknych

i bladych chłopców tańczących na cmentarnej scenie, Brada, ludzi w pomieszczeniu, którzy obmacywali się nawzajem, całowali, podgryzali, krwawili i... Wszystko rozmywało się wśród wydmuchanego w jej twarz białego proszku...

- Brad, czemu ty... Och, Brad, dlaczego?

Przewracała się w zmiętej, przepoconej pościeli, aż nagle obok niej pojawił się Brad. Leżał tuż obok niej. Położył piękną głowę na poduszce tuż obok niej...

Jacks mrugnęła.

Piękna głowa na poduszce obok niej...

Starła sen z oczu i próbowała skupić wzrok w ciemnościach.

Piękna głowa na poduszce obok niej...

- B...B...Brad? Tylko ta piękna głowa.

Odsunęła się, kopniakiem odtrącając koldrę.

- B...B...Br...Brad? Jacks wrzasnęła.

W tej chwili oni wyłonili się z ciemności. Drake rzucił się na nią. Wokół jej ust zacisnęła się zimna dłoń. Druga złapała Jacks za włosy i ściągnęła dziewczynę z łóżka.

- „B.. .B.. .Br.. .Brad”? Co jest, dziewczyno, jąkasz się czy jak?

*

- Musimy zabrać ze sobą Gila.

Wszyscy ścisnęli się w samochodzie Terri. Frank siedział na przednim siedzeniu między Jeffem a detektyw Shepherd. Między nogami trzymał broń i kołki. Colleen i Cass zajęli tylne siedzenie.

Terri odjechała spod Gothique i jechała po Damen.

- Kogo?

- Gila Silvereza. Ojca Gila Silvereza. Jest księdzem u Świętego Alstantiusa.

- Och, wspaniale. - Cass zamrugął. - Najpierw policja. Pewnie, weźmy jeszcze księdza. Czemu więc mam nie wziąć jednego z kołków i już w tej chwili nie wbić go sobie w pierś?

- Cass, przestań. - Colleen pochyliła się ku nim. - Frank, czemu chcesz go ze sobą zabrać?

- Gil wie o wszystkim. Widział ich tak jak i ja, jeszcze latem. A potem... widział Marian. W bibliotece.

- Bibliotekarkę? - Terri skręciła za róg. - Dziewczynę, która została zamordowana w oddziale biblioteki na Montrose?

Skinał głowę.

- Spotkałam go - powiedziała Terri. - Tego księdza. Podwiozłam go na plebanię. Ale tę dziewczynę ktoś zamordował, pewnie jakiś gang.

Frank wpatrywał się w nią gniewnym wzrokiem.

- Proszę pani, jeśli naprawdę jest pani policjantką, to albo jest pani głupia, albo pani coś ukrywa, tak jak reszta tego przeklętego miasta. Pewnie, Marian została zamordowana, ale zabiły ją wampiry. Powiesiły ją jak kawał mięsa, torturowały i pozbawiły krwi. Bóg wie, co jeszcze z nią zrobiły. Gil mi o tym opowiedział. - Hoelevich wiercił się na siedzeniu. - Dokąd jedziemy?

- Wracajmy do mojego domu - rzekł Jeff. - Nie mogę zostawiać Jacks samej. Tam możemy zastanowić się, co dalej robić. Możemy...

- Nie - odparł Frank. - Najpierw zatrzymamy się przy świętym Alstantiusie i zabierzemy Gila. Jeśli coś planujemy, z pewnością będziemy potrzebować księdza. Zabieramy Gila albo możecie mnie tu wypuścić.

- Czemu nie? - Terri wzruszyła ramionami. - Zobaczmy, do jakiego momentu wszystko zwariuje tu jeszcze bardziej.

Kilka minut później caprice wjechał w opuszczoną Montrose Avenue i zatrzymał się przed kościołem Świętego Alstantiusa. Przez wielokolorowe witraże wylewał się blask światła.

- Pójdę naokoło, na plebanię, i przyprowadzę go - powiedział Frank.

- Poczekacie tutaj?

Terri spojrzała na jego strzelbę. Wciąż ją miał ze sobą, tak samo jak dwa kołki.

- Czy istnieje szansa, bym cię przekonała do pozostawienia tego tutaj?

- Spojrzała na jego twarz i dostrzegła w niej odpowiedź. - Dobrze. Będziemy tu czekać.

- Tylko się pospiesz - rzekł Jeff. - Dobrze? Chcę jak najszybciej wrócić do domu.

Frank zniknął w bocznym przejściu obok figury świętego Alstantiusa, a oni stali na chodniku. Nic nie mówili, nawet nie patrzyli na siebie nawzajem. Zupełnie, jakby żadne z nich nie chciało stawić czoła temu, co się naprawdę działo.

Wrócił parę minut później.

- Nikt nie odpowiada. Ale w kościele pali się światło. Może jest w środku.

- To chyba dobre miejsce, żeby się schować - stwierdził Jeff i ruszył po schodach.

Pozostali ruszyli za nim. Tylko Cass stał w miejscu.

- Ja... nie mogę tam wejść. Colleen złapała go za ramię.

- Cass, co się... och. - Spojrzała na kościół i górujące nad nimi bliźniacze wieże oraz na zawieszony na górze krzyż, który zdawał się wpatrywać w nią gniewnie. Czekwała, aż się coś stanie.

Ale nic się nie wydarzyło. Zaczęła iść, a pozostali wpatrywali się w nią. Postawiła nogę na pierwszym stopniu.

I nic.

- Cass, chodź, nic ci nie grozi. Nic ci...

- Nie. Nie mogę.

Wzruszyła ramionami i poszła za pozostałymi po schodach. Ale wszyscy nagle zatrzymali się o kilka schodków wyżej. Ujrzeni, jak jedno skrzydło wrót uchyla się minimalnie. Smuga barwnego światła przecięła mrok.

- Gil? - Frank dyszał, przeskakując po dwa stopnie na raz. W rękach wciąż ścisnął broń i kołki. - Gil? - Z rozmachem otworzył drzwi. Światło rozlało się po schodach. Cass wskoczył w mrok obok schodów. - Gil, brachu, jesteś tam? - Wbiegł do kościoła. - Gil, nic...

- Frank, co się dzieje? - Colleen pobiegła po schodach. Jeff i Terri ruszyli za nią. - Co się stało?

Przekroczyli drzwi i zatrzymali się w przedsionku. Ujrzeni migoczące światła świec i lampek wotywnych, obramowujących sylwetkę Franka Hoelevicha. Staruszek stał w nawie głównej. Upuścił kołki, najpierw jeden, potem drugi. Na końcu na ziemi wylądowała broń. Zaczął iść, zataczając się.

Pozostali weszli do kościoła i gapili się szeroko otwartymi oczami, z niewiarą, niezdolni do wypowiedzenia ani jednego słowa. Patrzyli, jak Frank łapie się ławki, a potem pada na kolana. Usłyszeli, jak zaczyna zawodzić, a potem wydaje z siebie ochrypy, przerażający krzyk rozpacz.

Wtedy ujrzeli to, co on zobaczył. Poczuli tę samą rozpacz, to samo poczucie bezsensu i zbezczeszczenia świętości. Dopadł ich ten sam wszechogarniający strach przed czystym złem, nieskrywaną

złośliwością, która się nimi zabawiała, zmiatając w objęcia trwogi, by poczuli, że nie ma już żadnej nadziei.

Gdy rozglądali się po świątyni, ujrzeli naturalnej wielkości figurę ukrzyżowanego Chrystusa, którą zdarto z krzyża i rozbito na kawałki na podłodze.

Ciało ojca Gilberta Silvereza wisiało do góry nogami na krzyżu na ścianie za ołtarzem.

Zwłoki przybito do krzyża. Skórę pokrywał labirynt strasznych, krwawych ran, z których krew lała się na czyste, białe płótno na ołtarzu.

*

Drake trzymał Jacks za włosy. Dziewczyna kopiała nogami powietrze.

- Ojej, myślałem, że tego właśnie chciałaś? Myślałem, że marzysz o tym, by się nieustannie gzić z tym ślicznym chłopaczkiem. On nam tak przynajmniej mówił. - Drake zakrył jej usta drugą ręką. - Przykro mi, że tylko częściowo udało mu się cię odwiedzić.

Oczy Jacks strzelały na wszystkie strony. Wciąż wrzeszczała, choć jego zimna dłoń tłumiała dźwięki. W końcu zaczęła się krztusić. W nozdrza uderzył ją obrzydliwy odór śmierci. Nie mogła znieść widoku głowy Brada i jego bezkrwistego, poszarpanego kawałka szyi, wciąż leżącego na jej poduszce.

- Tak, ten pojeb myślał, że go przemienimy. Pewnie byśmy tak zrobili. W końcu, kogo to, kurwa, obchodzi. Ale spieprzył ważną rzecz. Miał nie stracić cię z oczu następnym razem, gdy się spotkacie. Och, chyba się wydało, co, kochanie? Myślałaś, że to prawdziwa miłość? Do diabła, dziewczyno, wcale nie. Ten śmieć śledził cię od tygodni. Długo mu to zabrało, a potem pozwolił ci się wymknąć z rąk. Cóż, najlepiej, jeśli od razu przełkniesz gorzką pigułkę. Wszyscy mężczyźni to kłamczuchy. - Oczy Jacks pomknęły ku wejściu. Stały tam dwa wampiry. Jeden z nich trzymał jej komputer, drugi drukarkę i porozwalany plik papierów. - Macie wszystko? - spytał.

Kolejny wampir pokazał się w drzwiach.

- Owszem.

- Dyski, pliki, całą resztę?

- Mówię, że tak.

- No to wyświadcz sobie przysługę i sprawdź raz jeszcze, a dzięki temu nie wyrwę ci jebanych palców, dobrze? - Drake obrócił

się do Jacks. - Skarbie, nie zrzygaj mi się na rękę, bo cię zmuszę, żebyś mi ją wylizła do czysta. - Puścił ją i Jacks upadła z hukiem na podłogę. - Tylko piśnij, a skończysz jak twój chłopiec. - Usiadł obok niej. - No, no. Małe dziewczynki nie powinny wciskać nosa w sprawy, o których nie mają pojęcia. Przez te jebane pliki zginęła niejedna osoba. Co w nich takiego ważnego? Powiedz tylko słowo. Choć kto nam może teraz coś zrobić? Ale rozkaz to rozkaz. Wygląda na to, że chcą zobaczyć, co, do diabła, ta suka Russell wypichciła. - Dwa wampiry przewróciły biurko Jacks, wyrzuciły wszystko z szuflad i z szafy. Kolejny włamał się do jej garderoby. - No to... dzięki. Chyba tak powinienem powiedzieć, skoro odwaliłaś za nas całą tę robotę z cyber voodoo, w którym wy, obecne dzieciaki, teraz tak celujecie. Jak dla mnie to dość skomplikowane, ale ja mam umysł człowieka z lat osiemdziesiątych i co ja tam wiem?

Obładowane wampiry skierowały się ku drzwiom.

- Czysto. Zabierajmy się stąd. Robi się coraz później. Skończyliśmy.

- Niezupełnie - prychnął Drake. Zrzucił głowę Brada z łóżka. Upadła na ziemię z obrzydliwym łomotem i potoczyła się. - Bierzcie ze sobą ten kawałek gówna i poduszkę. - Odwrócił się do Jacks. - Chyba nie chcemy zostawić po sobie bałaganu, co? Sam wiem, jak kłopotczą się dziewczęta, gdy na prześcieradle pojawia się plamka krwi. - Jeden z wampirów złapał głowę Brada i wyszedł, machając nią, niczym zabawką. - Zadaliśmy sobie wiele trudu, urywając mu głowę, wkradając się do twojego domu i rzucając ją na łóżko, podczas gdy ty przewracałaś się w pościeli, dręczona przez koszmary. Och, to dopiero był koszmar, nie? Co za ohyda, poszłaś spać z nieczystymi myślami. A, zapomniałbym, strasznie chrapiasz. - Zaśmiał się zimnym, trzeszczącym głosem. - Ale, dziewczyno, warto było sobie zadać ten trud tylko dla wyrazu twojej twarzy po przebudzaniu. - Złapał ją, a ona znów krzyknęła. - Och, przestań się mazać. Jeszcze to polubisz. Pomyśl, gorące dziewczęce marzenia o uprawianiu miłości z bezgłowym chłopcem. Tylko czekaj, zobaczysz, co mam na myśli. Posmakujesz jeszcze zimnej miłości, dzieciaku. Zakrztusiła się.

- W...Wolę najpierw umrzeć. Drake kopnął ją butem w zębra.

- Nie, skarbie. Nie najpierw. W trakcie. Zaczął ją ciągnąć po podłodze.

- A teraz, co powiesz na małą przejażdżkę? Tym razem możesz zostawić w domu swoje fałszywe prawo jazdy. Dzisiejszego wieczoru wejdiesz tam tylnym wejściem. Hej, możesz pogonić się trochę ze swoją przyjaciółką. Wyje twoje imię, odkąd przekonaliśmy ją, by z nami została.

Jacks kopała nogami i rzucała się dziko. Już przygotowała się, by znów wrzasnąć, ale Drake zatkał ponownie jej usta zimną dłonią i wyciągnął z pokoju. Zatrzymał się w drzwiach i spojrzał w tył.

- Hm, komputer zniknął, magiczne dyski zniknęły, w pokoju totalny zamęt. I mała dziewczynka też po prostu... zniknęła. - Wyciągnął Jacks z pokoju i zatańczył do czarnego mercedesa, czekającego przy krawężniku. Pozostałe wampiry wrzuciły łup do bagażnika i wskoczyły do środka. - Wrzucił dziewczynę na tylne siedzenie i wskoczył za nią. - Tak, to chyba sprawi, że wkrótce się u nas zjawi tatuńcio i jego gang twardych chłopaków. Prawda?

Mercedes ruszył z miejsca i odjechał szybko w mrok.

*

Policja w końcu kończyła przesłuchania Jeffa.

Dwaj mundurowi notowali, a detektyw stał dwie ławki z tyłu i przyglądał się mu podejrzliwie. Powtarzał po raz trzeci całą historię, tę samą, którą opowiedział Frank, a potem Terri. Tę samą historię, którą zmyślili, zanim Terri pomknęła ku swojemu samochodowi i wezwała policjantów z lokalnego komisariatu.

Colleen i Cass uciekli przed przesłuchaniem. Ukryli się na parkingu przy kościele Świętego Alstantiusa, zanim przyjechała policja. Zabrali broń Franka i kołki.

Dwaj policjanci zamknęli notesy. Detektyw rzucił Jeffowi kolejne podejrzliwe spojrzenie i wszyscy opuścili kościół. Za ich plecami ludzie z Wydziału Zabójstw wtaczali między ławki piszczący wózek. Jeff skrzywił się, przechodząc obok. Wbił wzrok w czarną, plastikową torbę. Przypomniawszy sobie, jakie to było straszne, gdy wyciągali szpikulce z rozciągniętych rąk kapłana, jak klęli, przekręcając i wyciągając ostatni gwóźdź z jego stóp, a cały krzyż spadł na podłogę świątyni wraz ze zmaltretowanym, bezkrwistym ciałem.

Jeff zadrzał i pomodlił się cicho, gdy wózek wytaczał się przez frontowe drzwi kościoła. Nie pamiętał prawdziwych modlitw, choć żałował, że ich nie zna. Poszedł za zwłokami księdza do samych drzwi i ujrzał staruszka, siedzącego na ostatnim stopniu. Frank zgarbił plecy

i zwiesił głowę. Terri stała obok i rozmawiała z dwoma policjantami w cywilu.

- Proszę pana, hm...

- Frank.

- Frank, czy już skończyli cię przesłuchiwać? Staruszek skinął głową.

- A ten ksiądz był twoim bardzo dobrym przyjacielem?

- Najlepszym.

Jeff zobaczył, że Frank bawi się jakimś małym przedmiotem.

- Co to?

Ten uniósł mały krucyfiks.

- Podniosłem go z podłogi.

- Czy należał do twojego przyjaciela? Frank wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Jeśli tak, to nosił go pod koszulą. Gil nie obnosił się z religią, nie prawił kazań i nie nawracał. Wiesz, co mam na myśli? Był... cóż, był tylko zwykłym człowiekiem. Dobrym człowiekiem. - Obracał w palcach mały krucyfiks. - Myślisz... że to mógł być jego krzyżyk?

Jeff nie odpowiedział. Patrzył, jak Frank wkłada krucyfiks do kieszeni kurtki.

Samochód koronera już odjechał. Dwaj policjanci podążyli za nim. Terri skończyła rozmawiać z oficerami w cywilu, wszyscy wsiedli do samochodu i też pojechali.

- Chcą, byście obaj zjawili się w komisariacie o pierwszej po południu - powiedziała kobieta, odpinając odznakę i wsuwając ją do kieszeni. - Wiecie, że dali wam na razie spokój tylko dlatego, że ja tu jestem. Nie wiem, co będzie jutro. Opowiedzieliśmy im słabiotką historię.

- Co za różnica? - Frank zadał to pytanie sobie samemu i pozostałym.

- Pewnie i tak wszystko już wiedzą.

- Panie Hoelevich, nie sądzę, by...

- Proszę pani, niech pani spojrzy, co tu się dzieje. Niech pani pomyśli, co się działo w sąsiedztwie, odkąd otworzyli to miejsce. Uważa pani, że może tak być, a policja nic o tym nie wie? - Wstał. - Pani i ja dobrze wiemy, że połowa z nich siedzi w tym po uszy. Albo zbyt się boi, by przyznać, co się tu dzieje.

Terri już zaczynała odpowiadać, ale w tej chwili z ciemności wyłonili się Cass i Colleen. Cass wyjął spod ciemnego płaszcza kołki i M - 1 i podał je Frankowi.

Colleen ujęła go za rękę. Z początku mężczyzna szarpnął się, ale później z kącika jego oczu wypłynęła łza, choć staruszek myślał, że wypłakał już wszystkie, rozpaczając za Soksem i Gilem. Dziewczyna z wahaniem uniosła rękę, a potem objęła go. Frank padł w jej ramiona i zaszlochał.

- Słuchajcie, nie chcę brzmieć jak wariat - rzekł Cass nerwowo. Oczami śledził niebo. - Ale... hm... Colleen i ja musimy już iść. - Wskazał kciukiem wschodnią stronę Montrose. Niebo już zaczęło przejaśniać się nad dachami. - Według mnie mamy może z półtorej godziny.

Frank oswobodził się z objęć Colleen i poklepał ją po ramieniu.

- Twój przyjaciel ma rację, dziewczynko. Musicie się zbierać. - Wytarł oczy i wyprostował się. Stał i ścisnął mocno broń. - Coś wymyślimy. Musi być coś, co możemy z tobą zrobić. I z tym wszystkim.

- Musicie z nami jechać - stwierdził Jeff. - Obydwoje. Terri podeszła do niego.

- Jeff, sama nie wiem. Nie uważasz...

- Jeff, Terri ma rację - rzekła Colleen. - Możemy umówić się w jakimś miejscu jutro wieczorem. Może wtedy uda nam się coś wymyślić.

- Nie, musimy trzymać się razem. Bo będzie jak w horrorach. Rozstajemy się i wtedy mogą nas pojedynczo wykańczać. Trzymamy się razem, dopóki wszystko nie dobiegnie końca. - Odwrócił się do Franka. - Ty też jedziesz z nami.

- Panie Stancheck, pan chyba nie rozumie - powiedział Cass. - Nie może nam pan po prostu dać poduszki i koca i położyć nas w dużym pokoju na kanapie.

Ale ten spojrział na niego z gniewem.

- Uważasz, że o tym nie wiem? - Zwinął ręce w pięści. - Nie obchodzi mnie, kim jesteś ani co możesz mi zrobić. Nie próbuj ze mną żadnych sztuczek. Wiem, z czym mamy do czynienia. - Z każdym słowem jego głos stawał się coraz głośniejszy. - Właśnie zobaczyłem, do czego tamci są zdolni, dlatego wszyscy teraz pakujemy się do policyjnego samochodu, a Terri będzie jechać jak najszybciej do

południowej dzielnicy. Bo ja chcę tam się dostać. Natychmiast. Chcę zobaczyć moją córkę. - Nic już nie odpowiedzieli. Nie śmieli. Wszyscy wsiedli do samochodu Terri Shepherd i nie odezwali się ani słowem, dopóki samochód nie zjechał ze Stevenson Expressway, a wschodni horyzont zapalał jasnym fioletem. Terri mknęła po Pulaski Street równą pięćdziesiątką i przejechała na żółtym na 49 Street. - Słuchajcie obydwójce - powiedział Jeff, obracając się ku tylnej kanapie. - Może ukryjecie się w garażu. Nie, w piwnicy.

Cass podniósł kołnierz i zasłonił nim głowę.

- Jest tam schowek na narzędzia - mówił Jeff, gdy caprice podjeżdżała do krawężnika na Karlov. - Bielizna, piec, bojler, sami wiecie. Ciepło tam. Zamknijcie drzwi. Nie ma okien. - Cass skinął głową. Spojrzał jeszcze na Colleen. - Rozumiesz? Idź za mną do środka i natychmiast kieruj się w dół po schodach. Wszystko...

- Jeff? - Colleen go nie słuchała. Podskoczyła na siedzeniu i przytknęła twarz od okna. - Jeff, czy tam nie powinien stać strażnik?

Twarz Jeffa Stanchecka zbladła. Odwrócił się na siedzeniu i zaczął dyszeć, szaleńczo zmagając się z klamką. W końcu otworzył drzwi, wypadł z samochodu i stanął na trawniku. Wpatrywał się w dom.

- O Boże. - Patrzył na werandę. Frontowe drzwi zwisały na zawiasach. Szarpał je wiatr. - O Boże. Nie!

Pomknął po schodach, wołając Jacks.

Rozdział trzydziesty trzeci

Słońce wstało tego niedzielnego poranka, ale tylko przez krótką chwilę błyszczało na tafli jeziora.

Grube, szare, zbite chmury zasnuły miasto. Słońce schowało się za nimi, zanim jeszcze zaczęły się poranne godziny szczytu. Wiatr przez to stał się jeszcze zimniejszy. Wiał w kanionach między drapaczami chmur w Loop i Mag Mile, szarpiąc poranne gazety i płaszcze na przystankach autobusowych na Western Avenue, rzucając śmieci o bramy garaży w alejkach Uptown i miotając hałdami opadłych liści w bocznych uliczkach między szeregami parterowych domków w południowo - zachodniej dzielnicy.

Miasto budziło się jakby z wahaniem, wyglądając przez ledwo uchylone żaluzje i wpół uniesione rolety, by sprawdzić, jakie niegodziwości miał przynieść ten dzień.

Pakistański sprzedawca ze sklepu z pączkami układał tace z podwójnie nadziewanymi czekoladą ciastkami i bawarskimi kremówkami, zastanawiając się, czy jego minimalna płaca wystarczy na zapłacenie czesnego za studia dyplomowe. Z łóżka w motelu przy Cicero Avenue wypełzła dziwka, obrzucając wzrokiem obrzydliwie grubego dresiarza, jego spodnie i portfel w tylnej kieszeni. Dziewczyna, której ewidentnie nie udało się zrobić kariery modelki, zarzuciła biały fartuch na swoje najlepsze ciuchy z butik i odkurzała buteleczki, tubki i darmowe prezenciki z Haiti, dodawane do zakupów powyżej siedemdziesięciu pięciu dolarów, wystawione na stoisku w supermarkecie. Kelnerka w knajpie na rogu 95 Street i Cortage Grave znów poczuła ukłucie niepewności, wracając do kuchni. Przeliczała starannie napiwki, sprawdzając, czy uda jej się spłacić zaległe raty za samochód, nim znów zapuka komornik. Łysiejący facet w trzyczęściowym garniturze wyjrzał zza drzwi biura na śliczną dwudziestoparoletnią asystentkę kierownika i uznał, że nie przyzna jej podwyżki po sześciu miesiącach pracy, jeśli kobieta nie ulegnie mu na konferencji poza miastem, która miała odbyć się w następnym tygodniu.

Miasto obudziło się i niechętnie rozpoczęło kolejny dzień. Może wciąż było nieco zmęczone. Może wciąż bało się długiej i pełnej wydarzeń minionej nocy.

Jakiś krawaciarz z Lincoln Park przemykał między gęsto zaparkowanymi samochodami na szóstym poziomie parkingu. Już

miał wciskać przycisk zamka centralnego na kluczyku swojej acury, gdy upuścił skórzaną aktówkę i niskotłuszczową chałkę oraz kawę Macadarnia Mocna Supreme Dark Brew, które kupił na śniadanie. Zobaczył nagie ciało. Niesamowicie blade ramię wystawało spod tylnego zderzaka. Nadgarstek wyglądał jak poszarpany kawał mięsa.

Policjant z komisariatu Belmont rzucił na przednie siedzenie ledwo umytego wozu świeży bloczek mandatów i dopiero co skserowany plik raportów zgłoszeń. Przez chwilę pomyślał o pracy strażnika w domu handlowym, którą zaproponował mu szwagier. Może to było lepsze niż popieprzone, obrzydliwe rzeczy, które oglądał przez parę ostatnich miesięcy. Potem jeszcze raz przemyślał wszystko i wyjechał z parkingu przy komisariacie, rozpoczynając dzienną zmianę.

Bogata kobieta z Gold Coast obudziła się w zwariowanym apartamencie w stylu „Laura Ashley spotyka się z Marthą Stewart” i odetchnęła z ulgą, że jej sprzedający opcje mąż już wyszedł do pracy. Pewnie zdążył wyjść, zanim ona wtoczyła się rano do mieszkania. Po raz pięćsetny zastanowiła się nad brzydkimi aspektami rozwodu, ale tym razem nie odsunęła od siebie tego pomysłu. O nie, nie po tej nocy, gdy jej portfel od Prady, wypełniony pięćdziesiątkami, kupił jej troskę ślicznych chłopców, a potem długą noc wypełnioną tańcem. Ten sam portfel sprawił, że zaproszono ją do prywatnego salonu, gdzie obserwowała szeroko otwartymi oczami, mocząc z podniecenia majtki, nowy typ zabawy, którego nie widziała jeszcze podczas żadnego z nocnych niegrzecznych i nihilistycznych wypadów do New Town, Uptown i śródmieścia, gdzie jej mąż pracował do późna, a dzieci... chyba bawiły się albo odrabiały prace domowe, czy coś w tym rodzaju. Zaproszono ją, by się przyłączyła i nago położyła wśród nich. Och, było cudownie. Ocierali się o nią i ślizgali po niej. Kiedy zimne pocałunki zamieniły się w ugryzienia, a ona zaczęła krzyczeć tak głośno, że musieli zakryć jej usta zimnymi dłońmi, zdecydowała: rozwód albo śmierć. A może, jeśli wszystko, co usłyszała, było prawdą, zdecyduje się na obydwa warianty. Wówczas formalności staną się zbędne, a ona nie będzie potrzebować alimentów ani środków na utrzymanie dzieci. Ostatecznie miała się gdzie wprowadzić. Mając nieco farby i skrawek tapety, zamieni nawet najciemniejszą piwnicę w przytulny dom.

Chłopak, męska prostytutka z Halsted, potarł palcem zęby w toalecie w dwudziestoczerogodzinnym barze. Gapił się w lustro, zastanawiając, ile jeszcze nocy dzieliło go od wyjazdu z tego pieprzonego miasta do Shebogyan. Od zmierzchu do świtu uwijał się, by uciec z życiem przed wyszczerzonymi, czerwonoustymi potworami, które przez cały weekend przechadzały się po Nowym Mieście w poszukiwaniu czegoś więcej niż jego ust, kutasa czy dupy.

Dziewczyna od wprowadzania danych, już spóźniona do pracy, zgubiła obcas od jednego pantofla, biegnąc po schodach metra, gdy wpadła na spoconego, roztrzęsionego i majaczącego nastolatka. Miał kurtkę zawieszoną na ramieniu i rozerwaną koszulę z aksamitu, która odsłaniała chudą klatkę piersiową. Ręką zasłaniał gardło, na którym widniała poszarpana rana, z której wciąż ciekła krew.

Narkoman z parku Wicker wcisnął w usta ostatni kawałek batona Twinkie. Wspinał się po schodach przeciwpożarowych, przeskakując po dwa stopnie. Kierował się na trzecie piętro opuszczonego magazynu przy Milwaukee Avenue. Nagle zamarł na półpiętrze, patrząc przez wybite okno. Zaczął bełkotać nieskładnie i wybijać resztki szkła, tkwiącego we framudze. Gapił się, widząc ohydny widok. Kumpel od ćpania leżał na żeliwnym wentylatorze. Szyja, klatka piersiowa i ramiona człowieka zamieniły się w przezrętą papkę.

Chłopak odgrywający w jednej z gier fabularnych postać imieniem Lothario trząsł się na ławce w parku obok fontanny Buckingham. Mocniej owinał się wykonanym własnoręcznie taftowym płaszczem i odstawił na bok podwójny napój, by pogłaskać twarz wstrząsająco pięknego chłopca, z którym przetańczył całą noc, a potem całował się i kochał tu, w Grant Parku. Skończyli, nacinając sobie wzajemnie ramiona i piersi żyłkami, aż wstrząsały nimi dreszcze. Mieli orgazm, gdy strużki krwi wpływały w ich usta. Pobrudzili sobie wzajemnie nią ubrania. Jęczeli jak koty, nim słońce wstało nad Lake Shore Drive. Wówczas wciągnęli spodnie, zapięli koszule i przespali się, ponieważ chłopak i tak został już pewnie wyrzucony z pracy w centrum kopii za opuszczenie pracy po raz piąty w miesiącu, a ten piękny powiedział, że jego rodzice obędrą go żywcem - i to nie na żarty - za ponowne złamanie obietnicy, że wróci wcześniej, za wagary i, do diabła, za to, że nie pojawił się w domu od zeszłego wieczoru.

Gotycka księżniczka, która swój debiut przeżyła dawno temu, związała mocniej pasek kimona ze sklepu z używaną odzieżą. Jej mieszkanie na górnym piętrze w kamienicy bez windy przy Logan Square okazało się równie lodowate, jak każdego innego poranka. Mieszała rozpuszczalną kawę i żałowała, że nie ma w lodówce śmietanki. W końcu zdecydowała, że nic nie szkodzi. Aż do zeszłego dnia tkwiła w przekonaniu, że widziała już wszystko w swoim życiu. Hen, w czasach Damned i Siouxi i Bauhaus, w czasach wczesnego Londynu i Nowego Jorku punk, glam i techno zlały się w jeden nurt, który nabrał mrocznego wydźwięku. Wtedy nie było jeszcze wideo, internetu i gier fabularnych. Jezu Chryste, w tamtych czasach nie było niczego. Aż nagle wczoraj umarła i została żywcem wzięta do nieba. Zeszłej nocy trafiła do miejsca, gdzie już nie była dziwadłem, bo znalazła się wśród tysięcy takich jak ona. Nikt nie dbał o to, że przekroczyła czterdziestkę. Najmniej przejmowała się tym ciemnowłosa dziewczyna o urodzie wróżki, wyglądająca jak wcielona śmierć w zabójczej, czarnej sukience z nietoperzowymi skrzydłami z gazy. Machała nimi niczym diabelnie niebezpieczny Kupidyn i tańczyła z nią od północy. Jej oczy błyszczały, gdy flirt z parkietu przeszedł w rozmowę na czarnych prześcieradłach z zastosowaniem aksamitnych sznurów, jedwabnych szali i słupków na rogach łóżka oraz gumowych zabawek. Ta dziewczyna uważała, że niechlujne, tanie kły, zrobione pokątnie w piwnicy u dentysty wyglądają świetnie. Wręcz marzyła, by skubnęły jej skórę, aż zacznie krwawić. Do diabła, kły świetnie się spisały, a kobiety zabawiały się aż do świtu. W końcu wróżka zasnęła niczym czarny anioł. Kobiecie było wstyd, że musi ją budzić, ale trzeba było się rozwiązać, wstać, wziąć prysznic i jeszcze raz pokochać, ale tym razem zupełnie zwyczajnie. Potem porozmawiały, co włożyć tego wieczoru, bo udawanie Barbie z piekła rodem było takie zabawne. Po prostu musiały tam wrócić. Chciały tuż po zmierzchu znów stanąć w kolejce pod czarno - czerwoną markizą. Do cholery, rzeczywiście umarły i poszły do nieba. Może, jeśli dopisze szczęście, umrą obydwie i tej nocy pójdą do nieba, ręka w rękę, razem, na tym wspaniałym parkiecie. Tej nocy. Może...

Magistrant wydziału muzycznego z DePaula przewracał się w swoim łóżku w akademiku i wpatrywał w zegar. Wiedział, że opuścił właśnie wykład z perkusji 205, ale wcale o to nie dbał. Wił się w pościeli, w końcu zdzierając z siebie czarne dzinsy i skórzaną

kamizelkę, którą miał na sobie w klubie zeszłej nocy. Jeszcze szybciej zdarł z siebie bieliznę. W końcu leżał nagi i przebiegał palcami po ranach na piersi i między nogami. Ostatniej nocy tak smakowicie całowały go tam zimne usta. Chłopiec dotykał siebie i aż chichotał z rozkoszy, gdy malutkie krople krwi wyciekały z ran. Zastanawiał się, ile czasu zajmie, nim się znów przebierze, drzwi klubu otworzą się, a on odnajdzie tę przepięknie bladą dziewczynę w czarnych koronkach i zostanie z nią na zawsze w Gothique...

Wszędzie w mieście ludzie zajmowali się tego ranka swoimi sprawami, szli do pracy, przeżywali swoje anonimowe miejskie życia. Nawet jeśli więcej niż zwykle paranoików w samochodach CTA i na rogach ulic oglądało się przez ramię i podejrzliwie mierzyło wzrokiem nieznajomych i dwa razy sprawdzało zamki w samochodach oraz rygle w drzwiach i klamki w oknach, odwoływało randki w ciemno i przekładało terminy wieczornych spotkań... Cóż, przynajmniej tyle samo ludzi z niecierpliwością patrzyło na zegarek i czekało, aż przeminie poranek, niebo zasnuje mrok, wróci wieczór i noc...

Oni czekali na powrót do Gothique.

*

Frank Hoelevich nalał dwa kubki kawy w kuchni Stanchecków. Podał jeden z nich Terri Shepherd.

Kobieta wetknęła słuchawkę pod brodę i wzięła parujące naczynie.

- Nie, to nie wystarczy, Marty - wrzasnęła Terri do telefonu. - Powiedziałeś mi, że to są najlepsi ludzie. A teraz daj mi jakieś inne numery albo sam po kogoś zadzwoń! Masz znaleźć tych dwóch sukinsynów i ich zatrzymać. - Wzięła łyk kawy, oparzyła sobie usta i wyciągnęła rękę, by odstawić kubek na stół w kuchni. - Dobra, przełącz mnie do Taktyki. Nie, Marty, nie przychodzę dzisiaj. Mam... tu coś, czym się powinnam zająć. Tak, Marty, zgłoszę się. A teraz mnie przełącz.

Frank nalał jeszcze jeden kubek i wyniósł dwie kawy z kuchni. Minął pokój Jacks i odwrócił wzrok. Nie chciał oglądać przewróconych mebli, materaca i pościeli, zwisających z łóżka, wyrzuconych na ziemię ubrań. Skierował się ku salonowi, gdzie na kanapie siedział Jeff z głową schowaną w rękach.

Siedział tak od trzech godzin. Prawie się nie ruszał, jakby zapadł w katatonię. Trwało to od czasu, gdy uspokoili go po tym, jak biegał

niczym szalencie po całym domu. Cały czas krzyczał, wołając Jacks. W końcu Cass i Colleen musieli iść i schować się w schowku w piwnicy. Terri i Frank zostali. Mieli go uspokoić i usadzić na miejscu.

- Twoja przyjaciółka chyba nie odnosi żadnych sukcesów. - Frank postawił kubek z kawą na stoliku obok kanapy i wyrztał przez frontowe drzwi. Niebo zasnuło się groźną szarością. Wiatr zmiatał liście po Karlov Avenue. - Napij się. - Jeff nie odpowiedział. Nawet się nie poruszył. - Próbowała zadzwonić pod numer, który zostawiłeś przy telefonie. Houston. Do twojej byłej żony. Przynajmniej ostatni adres i telefon do niej, który ci zostawiła. Bezskutecznie. Chyba już od tygodni tam jej nie ma. Nie zostawiła żadnego innego numeru kontaktowego. - Jeff powoli uniósł głowę. Miał nabiegłe krwią oczy. Patrzył gdzieś w dal z czystą niewiarą. W ciągu kilku godzin postarzał się o dziesięć lat. - Synu, napij się kawy. - Frank przesunął kubek po stoliku. - Wcale nie spałeś.

- Myślisz, że dałbym radę zasnąć?

- Będziemy potrzebować każdego zapasu siły. Chcesz coś do jedzenia? Potrząsnął przecząco głową.

- Co tam się dzieje?

- U pani detektyw? - Frank zaczerpnął łyk z kubka. - Chyba słuch zaginał po dwóch policjantach. Pewnie nie byli tacy dobrzy, jak jej się zdawało. Jeśli mnie o to pytasz, byli podstawieni. Albo już nie żyją. - Odstawił kubek. - To nie znaczy, że twoja córka... och, Boże. Słuchaj, synu, odnajdziemy ją. Nic jej nie będzie. Mam takie przecucie.

- Ja też mam przecucie - odparł Jeff głosem przesyconym tłumionym gniewem i frustracją oraz strachem. - Mam przecucie, że zanim skończy się dzień, nikt z nas nie będzie żył. Ale mam też takie przecucie, że zanim odejdę z tego świata, osobiście zrównam ten budynek z ziemią i znajdę moją córkę. Zamierzam też posłać do piekła każdego potwora, który mi stanie na drodze.

- Pasuje mi to. Im szybciej, tym lepiej. Teraz jest dzień. Marnujemy tu czas.

Ale zmarnowali jeszcze trochę czasu, gdy Terri dzwoniła. Frank pił powoli kawę, potem zrobił sobie następną, a Jeff pozwolił swojemu napojowi stygnąć na stoliku. Cały czas obwinał się za pozostawienie Jacks samej w domu. Nieustannie forsował umysł, próbując domyślić się, dlaczego to przydarzyło się właśnie im i jak mają się wykaraskać z tarapatów. Jak mają odnaleźć Jacks.

To było teraz najważniejsze.

Tylko to go teraz obchodziło: jak odnajdą Jacks.

Terri w końcu trzasnęła słuchawką i weszła do salonu. Siadła obok Jeffa i potarła pocieszająco dłonią jego ramię.

- I? - zapytał Frank. Jeff spojrzał na nią z nadzieją.

- I? I nic. - Wzruszyła ramionami. - Ani śladu po tamtych dwóch. Biuro domaga się, bym natychmiast stawiała się w pracy. Chcą wiedzieć, co u diabła robię na miejscu morderstwa i po co mieszam się w sprawy zaginięć młodocianych. Nikt nie chce słuchać tego, co mam do powiedzenia. Albo zbyt się boją, albo... Cóż, jestem w końcu z Wydziału Wewnętrzznego. Powinnam to wiedzieć. Albo się boją, albo zbyt wielu już w tym siedzi. - Przesunęła palcami po splątanych wiatrem włosach, a potem zdjęła kurtkę i rzuciła ją na bok. Przytwierdzona na zatrzaski kabura z wielkim pistoletem wypychała jej spodnie khaki na udzie. Zwinęła się na kanapie, wzdychając z wyczerpania. - Jeff, musisz to zgłosić. Po prostu musisz. Ja tak samo. Możemy zaprząć odpowiednich ludzi do rozpracowywania tej sprawy. Niech się nią zajmą. Pociągnę za wszystkie dostępne mi sznurki.

Odwrócił się i spojrzał na nią z gniewem.

- Terri, jeśli zagwarantujesz mi, że za pół godziny zamelduje się przy Gothique setka policjantów, to zgłosimy to. Jeśli przysięgniesz, że wyważą te cholerne drzwi i rozwalą w drobny mak ten przybytek, to tak, zgadzam się. Dzwon.

- Jeff, tak mi przykro. Przepraszam, nie wiem, co tu się dzieje. Ten wstał nagle.

- Wystarczy. Dość gadania, dość czekania na następny straszny akt tej sztuki. Idziemy.

Frank także wstał.

- Najwyższy czas. - Sięgnął po broń i dwa czekające na niego kołki.

- Idziemy? - Terri wstała i patrzyła to na jednego, to na drugiego. - Dokąd?

- Do Gothique. - Powiedzieli to niemal jednocześnie.

- O nie - odparła. - Co wy chcecie przez to osiągnąć? Sądzicie, że ot tak, otworzą wam drzwi i zaproszą do środka? Jeśli wszystko, co widzieliśmy, choć w połowie jest prawdą, już nie żyjemy.

- Może i tak - stwierdził Frank. - A jaki ty masz plan?

- Nie mam planu. Zaczekajmy.

- No pewnie. - Frank zarzucił karabin na ramię. - Gotowy? - Rzucił Jeffowi jeden z kołków.

- Nie, Jeff, zaczekaj. - Złapała go za ramię. - Nie rób tego. Nie pozwól, by on cię wpakował w coś głupiego.

- Terri, narobiłem już mnóstwo głupot w moim życiu. - Jeff przetaczał w rękach drewniany kołek. - Nie zauważyłem, że Megan Russell znalazła się w kłopotach. A teraz ona nie żyje. Zawiodłem jej siostrę. Dopadły ją te potwory. Ona też nie żyje. - Zacisnął ręce na kołku. - To nawet coś gorszego od śmierci. Megan pewnie zginęła przez te przekłete pliki. A ja pozwoliłem, by one przeleżały w moim biurze i tu, u mnie w domu. Nic z nimi nie zrobiłem. - Drewno zaczęło pękać w jego uścisku. - A teraz pozwoliłem, by dostali w swoje ręce Jacks. Zostawiłem ją tu samą... Dopadli moją córkę, Terri. Nie rozumiesz? - Odszukał spojrzeniem jej oczy i zapewne nie znalazł w nich właściwej odpowiedzi. - Teraz muszę sam tam iść. To proste. Muszę ją odnaleźć. Muszę ją odzyskać. Muszę ocalić Jacks albo umrzeć, próbując tego dokonać.

Obrócił się i stanął w drzwiach salonu. Frank szedł tuż za nim.

- Czekajcie. - Złapała kurtkę leżącą na kanapie. - Do cholery, czekajcie. Idziemy razem.

Frank zatrzymał się, a Jeff obrócił się z wyraźnym wyrazem ulgi na twarzy. Pani detektyw wskazała na podłogę.

- A co z tymi tam, w piwnicy?

- Nie martwmy się teraz o nich - odparł Jeff. - Colleen i Cass są bezpieczni. Jeśli nam się uda, coś później wymyślimy.

Terri wyjęła kluczyki z kurtki.

- Weźmy przynajmniej mój samochód. - Zarzuciła kurtkę i wyjęła pistolet z kabury. - W bagażniku mam parę niespodzianek, które mogą się nam przydać. - Wysunęła magazynek, sprawdziła, czy jest załadowany, i zdecydowanym ruchem wepchnęła broń na miejsce. - Idziemy.

*

Nie sprzysięgły się przeciw nim żadne nadnaturalne moce. To był zwykły poniedziałek w mieście. Po drodze minęli jeden samochód, który dachował na światłach przy 43 Street i Pulaski i zablokował ruch. Stevenson sparaliżowało zwięzienie, a potem roboty drogowe. Ledwo się im udało wbić w sznur jadących samochodów. Gdy

zjeżdżali do śródmieścia, wstrzymała ich zwykła stłuczka oraz dwa garby na ostrych zakrętach na Oak Street Beach.

Słońce schowało się za niskimi jesiennymi chmurami, gdy caprice Terri zaparkował przed piętrowym domkiem Franka przy Damen Avenue. Nastąpiło popołudnie.

- Dajcie mi minutę - powiedział Frank, wysiadając z samochodu.

- Dokąd idziesz?

- Potrzebuję czegoś ze środka. Zaczekajcie.

Staruszek potruchtał i zniknął w przejściu między domami.

Terri i Jeff wyszli z samochodu i stanęli na chodniku, patrząc na budynek po przeciwnej stronie ulicy.

Gothique przytłoczyło ich. Budynek był wielki i mroźny. Niskie, szare chmury przetaczały się nad fałszywymi blankami. W załamaniach murów i ciemnych oknach czaiły się cienie, mrugając niczym brzydkie i złośliwe, czarne oczy. Za dnia wyraźniej to było widać. W końcu sekret się wydał. Zimny wiatr zdmuchiwał kruche liście i śmieci z chodnika i zaganiał je pod markizę.

Jedno z wrót stało otworem.

- Jezu. - Jeff gapił się na tafłę czarnego szkła i ciemną dziurę za drzwiami.

- Chyba nie musimy pukać, prawda? - Terri obeszła samochód i otworzyła bagażnik. - Chodź tutaj.

Otworzyła torbę z płótna i wysypała zawartość w bagażniku. Wzięła jeszcze jeden magazynek do swojego pistoletu i schowała go do kieszeni kurtki. Uruchomiła latarkę, by upewnić się, że działa, i ją też wrzuciła do kieszeni. Odsunęła na bok parę kajdanek, pałkę i parę plastikowych rękawiczek. Uniosła błyszczący, srebrzysty pistolet z czarną kolbą.

- Będiesz umiał się nim posługiwać?

- Do diabła, tak, jeśli będę musiał.

Odsunęła bezpiecznik i podała mu broń. Mężczyzna złapał pistolet i zważył w dłoniach.

Wtem z przejścia między domami wyłonił się Frank. Dyszał i sapał, niosąc pod ramieniem wiązkę długich, drewnianych kołków. Przez ramiona przewiesił długi parciany pas.

- Macie, weźcie kilka. - Podał po jednym Jeffowi i Terri. - Wiecie, co to jest. Wiecie, co z nimi zrobić, prawda?

Jeff przytaknął i wetknął kołek za pas. Drugi ścisnął mocno w rękę.

- Jak na filmach, wprost w serce.

- Chyba tak. - Frank opasał się parcianym pasem. - Nadwyżka wojskowa. Taki, jak miałem podczas służby. - Otworzył kieszonkę i sprawdził, czy w środku są magazynki do M - 1 z ośmioma nabojami. - Nie wiem, czy mi ich wystarczy. Do diabła, nawet nie wiem, czy się na coś przydadzą. - Zaczęli iść powoli na drugą stronę ulicy. - Chcę tylko dorwać tych sukinsynów, którzy zabrali mojego psa - warknął. - Chcę im patrzeć w oczy, gdy kopnę ich w dupę i pošlę do piekła. Terri skrzywiła się.

- Proszę pana, obawiam się, że to fizycznie niemożliwe.

- Jeśli cokolwiek stało się Soksovi, to wszystko będzie możliwe, gdy ich dopadnę.

*

Na zewnątrz na Damen panował dzień, bez względu na zachmurzone niebo. Tam wciąż rozpościerało się rzeczywiste Chicago.

Ale gdy przekroczyli próg i przestąpili przez otwarte drzwi z grubego, czarnego szkła, poczuli się, jakby przekroczyli bramy piekieł.

Wykonali tylko jeden powolny ostrożny krok, gdy w środku zerwał się przeciąg - a może coś innego - i zatrzęsnał za nimi drzwi.

Jeff upuścił kołek, który odtoczył się w ciemność. Terri zapaliła latarkę. Omiatała światłem przedmioty wokoło, aż natrafili przed sobą na kolejne czarne, szklane drzwi.

Skradali się. Frank podszedł i spróbował otworzyć drzwi, które ustąpiły, ukazując ciemność. Przeszli przez nie.

Gdy oczy już przyzwyczyły się do mroku, zorientowali się, że stoją w wejściu do wielkiego pomieszczenia. Dostrzegali zarys kolumn i balustrad, wznoszących się łukami w mroku ponad ich głowami. Ale tego mogli się tylko domyślać. Ledwo udało im się zobaczyć szereg stołków przy barze. Latarka Terri przeczesywała ciemności. Światło anemicznie błyskało we wszechogarniającej pustce, wypełnionej ciszą i cieniami. Promienie tańczyły na wyszczerzonych głowach gargulców, wpół opróżnionych butelkach i niezliczonych nieumytych szklankach. W przelocie załśniły na kratkach głośników, sztucznych pajęczynach i obudowach

reflektorów. Z każdą chwilą oczy ludzi przystosowywały się coraz bardziej i skupiały na wyłaniających się z mroku przedmiotach.

Ale nikt nie mógł przyzwyczać się do panującego tu smrodu.

Może nocą, gdy klub tętnił setkami lub tysiącami żywych ciał, woń potu, perfum i wydzielin maskowała ten odór. Może. Ale nie teraz. Powietrze aż tężało od straszego fetoru pleśni, starości i śmierci.

Jeff próbował ubrać swoje wrażenia w słowa. Ale wymyślił jedynie, że właśnie wachał zapach czystego zła.

- No dobrze - powiedziała Terri. - I co teraz?

- Nie wiem - wyszeptał Jeff. Nawet mimo to jego głos rozbrzmiał echem w rozległej ciemnej pustce. Zadrżał.

- Synu, oni wiedzą, że tu jesteśmy. Ktoś o tym już wie. Zostawili te drzwi otwarte, żebyśmy przez nie weszli. Nie musisz szeptać. - Frank wyszedł poza zasięg światła latarki Terri. - Byłem już tu kiedyś, dawno temu, gdy jeszcze to miejsce nazywało się „Palace Theater”. Ale teraz wszystko tu wygląda inaczej. - Jego głos słabł, pochłonięty przez ciemności. - Zszedłem z wykładziny. Stoję na płytkach. Jezu, one są z marmuru.

- Pewnie to parkiet taneczny - stwierdził Jeff.

- Jeśli dobrze pamiętam, na ulicę wychodzą biura. Znajdują się nad nami i z tyłu budynku. - Przez echo ciężko było stwierdzić, skąd dobiega głos Franka. - Pewnie dociera się tam po schodach służbowych. Były ich całe tuziny. Po obu stronach ekranu. Wiodły do balkonów.

- Może zostaniesz tam, gdzie jesteś? - powiedziała Terri, machając latarką, która jednak nic nie ukazała. - Gdzie teraz idziesz?

- Zamierzam znaleźć któreś z drzwi.

- Frank, jeśli wciąż stoisz na marmurze, to nadal jest to parkiet - rzekł Jeff. - Widziałem zdjęcia tego klubu w magazynie. Idź wprost przed siebie, a wpadniesz na scenę. Tam, gdzie niegdyś był ekran.

Terri złapała Jeffa.

- Do czego go zachęcasz? Powinniśmy się trzymać razem.

- Terri, nie chcę stać w ciemnościach jak tarcza strzelnicza.

- Jeff, nic nie widzimy. Ten staruszek może nam odstrzelić głowy swoim działem.

- Słyszałem.

- Jeff, nie... Wyrwał ramię.

- Słuchaj, nie przyszliśmy tu po to, by stać i czekać, aż się coś wydarzy. Pamiętasz, co powiedzieli nam Cass i Colleen. Oni znajdują się na niższych poziomach, w piwnicach i jeszcze niżej pod nimi. Tam śpią. Tam Cass odnalazł Colleen. Tam też trzymają swoje ofiary.

- Wiem, Jeff, ale...

- Znalazłem drzwi! Chodźcie, najpierw na wprost, a potem skróćcie w prawo.

- Czekaj!

- Frank, zaczekaj na nas. - Jeff odwrócił się do Terri. - Staruszek idzie wprost w paszczę lwa, tylko po to, by odzyskać swojego psa. - Sam zaczął zmierzać w ciemności. - Uważasz, że będę tak stał, podczas gdy oni więżą moją córkę? - Usłyszeli, jak otwierają się drzwi. - Frank?

To było gdzieś blisko. Żadnej odpowiedzi.

- Wspaniale - syknęła Terri. - Cudownie. Poszedł gdzieś na własną rękę.

- Może miał dość czekania na nas. - Terri machała latarką, aż jej światło trafiło na Jeffa, który szedł w ciemnościach piętnaście metrów od niej. Zatrzymał się i odwrócił. - To idziesz? - Oświetlała go i szła ku niemu. W połowie drogi po parkiecie, w jego ocenie, zamarli. Zapaliły się światła. Sala, wielka niczym jaskinia, rozbłysła światłami na suficie, nad barem i kolorowymi reflektorami punktowymi. - Chodź! - Złapał ją za rękę. Pobiegli ku w pełni oświetlonej scenie. Po prawej znajdowały się trzy pary drzwi dla personelu. Tuż obok nich wisiała aksamitna kotara.

Zatrzymali się przy pierwszym wejściu. Nie mieli pojęcia, które z nich wybrał Frank. Jeff złapał najbliższą klamkę. Drzwi otworzyły się. Wbiegł i wciągnął za sobą Terri. W środku panował mrok. Po kilku krokach potknął się o schody. - Tędy nie dojdziemy do piwnic. - Schody wiodły do góry. Wciąż trzymając jej rękę, wpatrywał się w górę.

Latarka oświetlała każdy stopień. W końcu dotarła do kolejnych schodów. Doszli do następnych drzwi. Jeff nacisnął klamkę, najciszej jak umiał. Gdy drzwi otworzyły się, do środka wpadło światło. Mężczyzna wszedł w nie i znalazł się na balkonie półpiętra.

Przywarł do ściany. Za jego plecami szła Terri. Jeff puścił jej dłoń i wyjął pistolet z kieszeni kurtki. Wyciągnął go przed siebie, a drugą ręką wysunął kołek zza pasa. Stał w kącie, wyglądając ponad

balustradą balkonu i wpatrywał się w ogromne wnętrze. Przez chwilę zakręciło mu się w głowie, gdy zerknął na łuki, znikające w nicości, i przyjrzał się wielkiej pustce nad parkietem i barem. W końcu zniżył wzrok na balkon, przeczesując cały klub, aż do miejsca, gdzie stał, do...

Człowieka w czarnej skórzanej kurtce.

Człowieka, który siedział niedbale przy stole i popijał drinka.

Ten człowiek celował w niego z paskudnego automatu.

- Cześć, ludziska. - Joey Fortuna wzniosł toast szklanką ze szkocką. - Wpadliście się napić? Otwieramy nieco później.

Jeff mocniej ścisnął broń obiema rękami i wycelował ją w mężczyznę.

- Nie ruszaj się. Odłóż broń i...

- Chyba tego nie zrobię - odparł uśmiechnięty Joey. - Zresztą, przecież sobie piję. - Osuszył szklankę i odstawił ją z hukiem na stół. - No dobrze, skończyłem. A teraz... - Zaczął odsuwać krzesło od stołu.

- Powiedziałem, żeby się pan nie ruszał. - Jeff czuł zastrzyk adrenaliny. Ruszył ku niemu z wahaniem, zasłaniając Terri.

Ale Joey go nie słuchał. Odsunął krzesło, wstał i zaczął iść ku nim, celując do Jeffa.

- Ostrzegam pana. - Spocone ręce ścisnęły kolbę pistoletu. Palec spoczął na spuście. - Ostrzegam, jeśli zrobi pan choć jeden krok, zastrzelę pana. Przysięgam.

Joey wyszedł zza stołu. Z każdym odmierzoną krokiem u jego pasa dzwoniło głośno wielkie kółko z kluczami. Kopniakiem odsunął krzesło.

- Chyba jednak tak się nie stanie. Nadal szedł.

- Proszę pana, ja nie żartuję...

Jeff nacisnął spust.

Klik.

Ponownie go nacisnął. Klik. Nic.

Raz za razem naciskał spust.

Klik. Klik. Klik.

Joey Fortuna szedł ku niemu, aż zatrzymał się o dwa kroki od Jeffa, Przycisnął lufę swojej broni do czoła mężczyzny. Klik. Klik.

- Ach, daj już wreszcie spokój.

Ale Jeff naciskał spust, choć już się załamywały pod nim kolana i uginały nogi. Naciskał, choć czuł na czole zimną, metalową lufę, która

wrzynała mu się w skórę. Wpatrywał się w twarz Joeya. Widział jego oczy. Dostrzegł, na co patrzył mężczyzna.

Za jego plecy.

Na Terri.

Uśmiechał się. Do cholery, miał uśmiech na twarzy.

Nie.

Jeff opuścił broń.

- Przykro mi, Jeff.

„Nie. Nie!” - Detektyw Terri Shepherd powoli wyszła zza jego pleców. Złapała pistolet, który wymykał się z dłoni Jeffa. Wolna ręka wciąż naciskała spust. „Nie. Nie!”.

- Zaryzykowałam, Jeff. Założyłam, że nie zobaczysz różnicy między pustą a naładowaną bronią. - Mrugnęła do niego. - I nie zauważyłeś.

- Terri... Nie...

- Przykro mi. - Obróciła się do Joeya. - Masz papierosa? Strasznie chce mi się palić.

Joey sięgnął za pazuchę, przyciskając wciąż broń do czoła Jeffa. Wytrząsnął papierosa i podał Terri zapalniczkę.

Terri Shepherd zapaliła i wskoczyła na jeden ze stołków. Zaciągnęła się mocno i westchnęła, wydmuchując dym nad głową.

- O rany, jakie to dobre. Bardzo, bardzo dobre. - Sama wciąż celowała do Jeffa z pistoletu. - Musiałam je odstawić na jakiś czas. Myślałam, to i tak dla mojego dobra. W końcu tyle się słyszy, że palenie zabija. Ale i pomyślałam, że co za różnica, wiesz, palę czy nie. Zupełnie jakby na dłuższą metę to miało znaczenie. Ale Marek myśli o wszystkim. Wyobraził sobie, że palenie nie będzie pasować do wyglądu małej nauczycielki, który miałam przybrać. Pomyślał, że się cały rozplynieś na widok wykształconej, dobrej dziewczyneczki. I niech go szlag, miał rację. Miał cholerną rację. - Jeff ledwo widział Terri. Jego oczy zaszklily się. Z czoła ciekł pot, przepływając strużkami wokół lufy pistoletu Joeya i skapując na brwi i rzęsy. - Jeff, wiem, że zachowałam się jak świnia. Ale na początku wszystko było prawie uczciwe. No dobrze, może nie do końca. Ale słuchaj, ja tu byłam niemal od samego początku. Bo w końcu kto wywęszy mały przekręt szybciej niż śledczy z Wydziału Dochodzeń Wewnętrznych, prawda? Dzielnicowi biorą łapówki, ludzie z patrolu odwracają wzrok, biura do spraw wydawania zezwoleń same dostają co tydzień

koperty, miejscy inspektorzy rozplývają się jak we mgle i nawet bonzowie z syndykatu nagle nie mają o niczym pojęcia. I nawet mnie nie denerwuj wspomnianiem ponuraków u koronera. - Odchyliła się, wciąż siedząc na stole, i wyjęła dwa kołki zza pasa. - Na początku myślałam, że aresztuję tu jakiegoś śmiecia, ale gdy tylko dowiedziałam się, co tu jest grane i co oferują... cóż, dziewczyna na moim stanowisku nie dostaje każdego dnia takich pieniędzy. Ale tutaj... - Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się. - Jakże mogłam powiedzieć „nie”?

- Terri... nie możesz...

- Słuchaj, początkowo miałam tylko oko na to, co się dzieje w „Charade”. Patrzyłam przez ramię temu lub owemu, by sprawdzić, czy na temat Megan Russell wyjdzie na jaw coś, co trzeba by było wyciszyć. Pewnie, że ją zamordowano. Jakby kiedykolwiek pojawiły się na ten temat wątpliwości. Z tego, co słyszałam, to musiała się rozebrać do naga pod lufą na szczycie jebanego John Hancock Building. Cały czas ryczała. A potem spadła dzięki partnerowi naszego Joeya. A raczej ekspartnerowi, prawda, Joey? I co dalej się stało? Ty musiałeś zatrudnić jej siostrzyczkę. Niech sobie siedzi pośrodku wszystkiego. Whitestar już przebierało nogami, żeby ją wyposażyć w okazały czek i odesłać gdzieś w dal wraz ze swoim świrniętym przyjacielem, ale nie, ty musiałeś dać jej pracę. - Terri zgasła papierosa w świeczniku. - Dzięki, Joey. Smakowało kurewsko wspaniale. - Zaczęła obracać kołkiem jak batutą na paradzie.

- Terri, dlaczego? Dlaczego... tak po prostu...

- Tak po prostu co? Nabrałam ciebie i tę rudą? Nie, no, Jeff, oni lubią, jak wszystko dzieje się w ukryciu. Zawsze sugerują, żeby tak działać. Ale tak między nami, uważam, że lubią sobie nami zagrać. Nie sądzisz, Joey? - Przewrócił oczami. - Pewnie lubią rozgrywać swoje gierki - stwierdziła. - Mają w perspektywie długie noce i żadnych zajęć. - Poklepała kołkiem dłoni. - No to co mogłam zrobić? Powiedzieć ci, co tu się dzieje? A ty sobie wtedy byś odpuścił? Nie, Jeff, ty jesteś dusza człowiek. Próbowalbyś coś zaradzić. Aż tu nagle pojawiły się dyskietki. Tak sądziłam, że to dyski Megan z plikami, które wszyscy chcieli mieć, dlatego musiałam się trzymać w pobliżu. Miałaś fotkę Marka, a raczej zdjęcie bez Marka. Wiesz, jestem gliną. Mogłam zabrać dyskietki i zdjęcie w każdej chwili, a ty byś mi je oddał bez mrugnięcia okiem. Prawda? A teraz czas na spowiedź, Jeff.

- Pożyła dłoń na sercu i spojrzała na niego zza rzes, przybierając nagle poważny i przeprasający wyraz twarzy. - Wyznaję, wciągnęłam się w tę grę. Zabawiałam się tobą, Colleen i twoją córką. Co za radocha, być policjantem i nie móc sobie od czasu do czasu pograć z ludźmi, nie? - Uśmiechnęła się nieśmiało. - Mówiąc prawdę, wcale mi z tym nie było źle. Jesteś miły i już zaczynałam sobie myśleć to samo, o czym myśli każda dziewczyna w takiej sytuacji. Wiesz, nie mogłam się powstrzymać od wyobrażania siebie w roli pani Terri Stancheck, co zresztą nie było prawdopodobne, układania w myślach ślubu i tak dalej. Wiele można zobaczyć w twoich oczach. Na dodatek jesteś niezły w łóżku. Pomyślałam sobie, że w końcu uda mi się ciebie przekonać do mojej wizji przyszłości. Tylko pomyśl, Jeff. Nieskończona ilość spędzanych razem nocy. Pieprzylibyśmy się jak małe króliki. Ale Marek potrafi sprowadzić dziewczynę na ziemię. „Skup się” - powiedział. „Zajmij się swoją robotą, a wszystko będzie, jak obiecałem”.

- Ale Terri, Jacks... Czemu Jacks...

- Hej, kolego, to twoja wina, nie moja. Jak przynosisz naładowaną broń do domu, to nie możesz płakać, gdy ktoś sobie odstrzeli głowę. Nie dałam tych cholernych dyskierek twojemu dziecku. Ale wszystko dobre, co się dobrze kończy. Sam przyznasz, że sobie wspaniale z nimi poradziła. Szczerze mówiąc, wątpię, czy mój wydział by je otworzył. A teraz są w bezpiecznym miejscu. - Po raz ostatni uderzyła kołkiem o wnętrze dłoni. - Tak jak i ona.

Jeff wlepił w nią spojrzenie.

- Powiedz mi. Musisz. Czy Jacks jest naprawdę gdzieś tutaj? Czy ona... wciąż żyje?

- Och, jest tutaj. - Terri usiadła wyprostowana. - Czy żyje? Hm. Jest ładna, Jeff. Śliczna, młoda, czysta i niewinna. No dobrze, jeśli chodzi o ostatnie, to tylko zgaduję. Ale założę się, że nie zabiją jej tak po prostu. Nie, sądzę, że nie będą chcieli tak po prostu zabić Jacks.

Joey zaczął bawić się kluczami.

- Ile jeszcze będę musiał tak stać i trzymać lufę przy jego głowie?

- Poderwał pistolet. - Możesz pospieszyć się z tą swoją przydługą gadką czarnego charakteru? Wiesz, to nie jest żaden jebany film.

- Spokojnie, Joey. - Terri zeskoczyła ze stołu.

- Słuchaj, mam dziś do zrobienia jeszcze parę rzeczy. Odprowadzę go na dół, zanim się obudzą, i spadam stąd.

Roześmiała się. Jeff aż zadrżał.

- Och, nie. On zasługuje na coś lepszego. - Podeszła do niego, przebiegła palcami po jego spoconym policzku, a potem odepchnęła broń Joeya. Złapała głowę Jeffa w dłonie i pocałowała go mocno. Oderwała się od jego ust z głośnym cmoknięciem. - Jesteś niezły. Tylko się okazało, że nie jesteś tym typem faceta, z którym chciałabym spędzić wieczność. Ale zapamiętajmy tylko te miłe chwile. Zawsze będziemy mieli wspomnienia... o tym hotelu, Galena. Wiesz, Joey nie zabierze cię na dół. Wiesz, co oznaczają słowa „na dół”, prawda? Nieprzyjemny sposób na pożegnanie się z tym światem. Sama widziałam. - Poglaskała go po oblanym potem policzku. - Nie, ja to zrobię szybko i czysto. Jedna kula, prosto w mózg. - Wskazała palcem miejsce z boku jego czaszki. - Nawet się nie dowiesz, od czego umarłeś.

- Dobrze - powiedział Joey. Odsunął się i uniósł pistolet. - Ja to zrobię.

- Nie, czekaj. - Jej palec wciąż tkwiły przy głowie Jeffa. - Cały czas się z nim pieprzyłam, to sama go też zastrzelę. Ale najpierw mam do załatwienia jeden niedokończony interes.

- Co znowu?

- Uspokój się, Joey. - Obróciła się do Jeffa. - Sprawę dwóch renegatów, drzemiących w jego domku w południowej dzielnicy. Przy okazji, co wy macie do niego taki sentyment? - Zerknęła na zegarek. - Jezu, już po trzeciej. Ale to żaden problem. Dopadnę ich, zanim się zdołają obudzić. To jest już się nigdy nie obudzą. Wrócę na czas, żebyś zobaczył, jak załatwiają twoją córkę, zanim ja załatwię ciebie. Zgoda? - Wróciła do stołu i wzięła dwa kołki. - Chyba ich będę potrzebować. Joey, wsadź go gdzieś, gdzie będzie miło i bezpiecznie. A potem zajmiesz się innym problemikiem.

- Co?

- Obawiam się, że przyprowadziliśmy towarzystwo, tego staruszka z naprzeciwka.

- Tego z psem?

- Cóż, założmy, że z psa zostały pewnie już tylko kosteczki - odparła.

- Ale tak, chodziło mi właśnie o niego. Aż mi się nie chce o tym mówić, ale staruch szwenda się gdzieś tutaj ze starym karabinem. Nie sądzę, żeby ten pryk sprawił ci wiele kłopotów, ale lepiej go załatw,

zanim Marek się obudzi. - Wetknęła dwa kołki za pas i wsunęła pistolet w kaburę na zatrzask. Przeszła obok Jeffa, zatrzymała się i w końcu wróciła. Pocałowała go w policzek. - Jak mówiłam, bardzo mi przykro. - Zanurzyła rękę w jego kieszeni.

A potem wyszła.

*

„Frank, gdzie jesteś?”

„Frank, zwolnij. Szwaby pewnie się czają za zakrętem”.

„O Boże! Frank, strzelili mi w bebechy! Nie chcę tutaj umierać! Mój Boże, nie chcę umrzeć. Frank, pomóż mi. Frank!”

Uderzył się mocno M - 1 w czoło, a potem przesunął kolbą po twarzy. Cała pokryła się potem.

Frank Hoelevich przedzierał się przez ciemności. Teraz szedł wolniej. Już raz zgramolił się po schodach, ale prowadziły do zamkniętych drzwi. Wrócił po swoich śladach. Cały czas zastanawiał się, dokąd poszedł Jeff z panią detektyw i dlaczego nie szli za nim. Potem przypomniał sobie długie, zimne noce w Hurtgen i Ardenach. Pamiętał wciąż, jak ciemność potrafi być absolutnie nieprzenikniona, mimo że ziemię pokrywa śnieg, a nawet w najzimniejsze noce nad głową czasem rozstępują się chmury, ukazując kilka gwiazd. Pamiętał, jak przewracał się w leje po bombach i wpadał w mroku na drzewa. Przypomniał sobie, ile razy odłączał się od szwadronu, aż wpadał na pole minowe. Połowa z maruderów patrzyła, jak wraz z eksplozją w ciemność odlatują ich własne nogi.

Frank wrócił prawie tą samą drogą do drzwi dla personelu, przez które najpierw przeszedł. A przynajmniej wydawało mu się, że to te drzwi. Ciężko było jednak to stwierdzić. Korytarze tworzyły labirynt. Trzymał w ręku ciężką broń, wtykając pod ramię drewniany kołek. Cały czas trzymał palec na spuście. Drugą ręką macał ścianę, jakoś posuwając się w ciemnościach.

Dotarł do kolejnych drzwi. Metal. Pomacał je i znalazł klamkę, a potem dwa rygle, jakieś druty i małe, plastikowe skrzyneczki. System alarmowy. Te drzwi miały alarm.

- Do diabła z tym - powiedział na głos. W końcu spodziewali się gości. Dla tych istot to była gra. Rygle odsunęły się z głośnym trzaskiem. Nacisnął klamkę.

Drzwi otworzyły się.

Nie rozległ się żaden alarm.

Nagle oblało go światło. Zmrużył oczy. Światło i zimne, świeże powietrze. Aleja. Frank wysunął głowę. Kołki, wetknięte w pas, zaklekotały o futrynę. Rozejrzał się w lewo i w prawo, zerknął na dwa przepełnione śmietniki, podniósł wzrok na niebo i ujrzał skłębione, ciemnoszare chmury. Potem przeniósł spojrzenie na Damen i zamarł.

Stali tam. Mniej więcej pół tuzina.

Nie.

To nie oni. Jeszcze minie trochę czasu, zanim wyjdą. To znów jakieś głupie dzieciaki. Dwaj opierali się o ścianę przy wylocie alejki, inny odlewał się pod budką telefoniczną. Inni dwaj pili coś z flaszki. Wszyscy już się przebrali, choć było zaledwie popołudnie. Wszyscy wystroili się w swoje gotyckie kostiumy, czy jak je tam nazywali. Powoli zamknął drzwi. Stał przez kilka chwil, aż oczy przyzwyczyły się mu do ciemności.

Znów ruszył przed siebie. Nasłuchiwał uważnie i miał nadzieję, że dobiegnie go skomlenie lub znajome szczeknięcie.

Ale nie usłyszał niczego poza swoim oddechem, który stawał się coraz cięższy wraz z każdym krokiem i biciem serca w piersiach.

Zaczął iść do góry po schodach. Dotarł do półpiętra i znów ruszył przed siebie. Macał ścianę długiego korytarza, aż znalazł drzwi. Spróbował nacisnąć klamkę. Otworzyły się. Do środka wpadła smuga światła.

Przeszedł przez drzwi i znalazł się w dużym pomieszczeniu, przypominającym salon. Wokół stały stare z wyglądu sofy i szezlongi. Naprzeciwko zobaczył otwarte drzwi, zza których sączyło się światło. Dostrzegł wielką przestrzeń nad parkietem i stojące w głębi podświetlone bary.

Tak, spodziewano się ich. Cały czas.

Przemknął przez salon i zatrzymał się w drzwiach. Padł na kolana, dzięki czemu udało mu się utrzymać prosto karabin. Wyrzwał zza krawędzi, potem zerknął w drugą stronę. Znalazł się na balkonie na półpiętrze. Tyle widział. Omiótł wzrokiem wielki, pusty parkiet i stołki przy barze. Dalej nic. Powiódł wzrokiem po balkonie i zamarł.

Ujrzał, jak po balkonie idzie Jeff Stancheck, powłócząc nogami. Tuż za nim szedł wysoki mężczyzna w czarnej, skórzanej kurtce, celując do niego z pistoletu.

Nie wahał się i nie zastanawiał, gdzie jest pani detektyw i co się tu dzieje. Uniósł karabin, pochylił się i zmrużył oko. Mniej więcej

pięćdziesiąt metrów. Zdarzało mu się strzelać z większej odległości. M - 1 miało zasięg 750 metrów, a nawet więcej. Ale to były dla niego dawne czasy.

Śledził czarną kurtkę w celowniku. Palec naciskał spust.

Wycelował.

- Obudzisz umarłego. - Odwrócił się, słysząc szept. Zza jednej z sof wstała Gabrielle. - Kogo zamierzasz zastrzelić, dziadku? - Najwyraźniej wcale jej nie obchodziło, że Frank śledzi każdy jej ruch, gdy wychodziła zza sof i truchtała do niego ukradkiem. - Jak się tu dostałeś? - spytała szeptem. - Co... Och, już wiem. Joey? Dla mnie bomba.

Frank rozluźnił się, gdy cichutko usadowiła się u jego boku. Obrzucił ją spojrzeniem, zauważając zbyt znajome, czarne włosy i ubrania. Ale czuł też ciepło jej ciała i słyszał podniecony oddech. Wiedział, że nie jest jedną z nich, ale zdawał sobie sprawę, że nie należy spodziewać się po niej niczego dobrego.

Przesunął ją za plecy.

- A kto idzie z Joeyem? - wyszeptała. - Którego zamierzasz zastrzelić, dziadku?

- Zamknij się.

Odwrócił się w kierunku balkonu. Jeff znalazł się zaledwie piętnaście metrów od niego. Frank cicho uniósł M - 1. Ale Gabrielle nagle wstała i krzyknęła:

- Kurde, czy to nie mój stary szef? - Wyskoczyła zza pleców Franka. Wszystko się wtedy szybko potoczyło.

Frank wyskoczył zza drzwi i odepchnął dziewczynę na bok.

- Jeff, uciekaj!

Obrócił się jednym zwinnym ruchem, niemożliwym do wykonania przez jego stare ciało, i wymierzył pięciokilową broń.

Jeff padł na podłogę i wturlał się pod stół.

Joey Fortuna zachwiał się przez chwilę, celując w niego, a potem przeniósł pistolet, wpierw na Gabrielle, potem na staruszka.

Frank nacisnął spust.

Garand M - 1 z czasów drugiej wojny światowej wystrzelił, wstrzymując na chwilę bicie ich serc. Żołnierze zawsze mówili, że ta broń potrafi pohłasować. Odgłos przypominał wybuch działa. Jeśli nie sięgnęła kula, wystarczył sam dźwięk, by zwalić człowieka z nóg.

Ale tym razem kula nie chybiła.

Joey krzyknął jak mała dziewczynka. Automat przeleciał ponad jego głową.

Gabrielle otworzyła szeroko oczy.

- Cudnie.

Pod Joeyem ugięły się kolana.

- O kurwa. - Padł na podłogę, potem próbował wstać. - Kurwa! - Na jego koszuli rozlewała się coraz szersza plama czerwieni. Sięgnął za plecy. Spojrzał na swoją rękę, całą we krwi. Wielka kula kaliber 7,6 mm wbiła mu się w brzuch i wyszła plecami, wyciągając ze sobą przez wielką dziurę w czarnej kurtce połowę zawartości brzucha. Chwiał się przez chwilę, bulgocząc wzbierającą w ustach krwią. Potem padł na twarz z hukiem. Z dziury w plecach wciąż unosił się dym.

Frank w końcu wypuścił oddech, wstrzymywany od chwili, gdy po raz pierwszy wycelował M - 1.

*

„Dopadnę ich, zanim się zdołają obudzić. To jest już się nigdy nie obudzą. Wrócę na czas, żebyś zobaczył, jak załatwiają twoją córkę, zanim ja załatwię ciebie”.

- Jeśli tak dalej pójdzie, to obawiam się, że może mi się nie udać. - Terri uderzała pięścią kierownicę, a potem nacisnęła klakson. - Niech to szlag! - Ale korek na Lake Shore Drive nie miał końca. Już zmarnowała ponad godzinę, a miała przed sobą jeszcze długą drogę.

Sięgnęła do schowka i wyciągnęła policyjnego koguta. Wetknęła przewód w zapalniczkę, otworzyła okno i przytwierdziła lampkę do dachu. Po naciśnięciu przełącznika światło zaczęło mrugać i zawyła syrena. Zjechała na prawo, jadąc w połowie po poboczu, a w połowie po krawężniku, i ominęła korek.

Dalej jechała po Drive i podjazdem na Stevenson. Objechała jeszcze parę korków na estakadzie Dan Ryan, ale potem wpadła w roboty drogowe. Tu jej policyjny kogut już nic nie mógł poradzić. Nie było pobocza, był korek, nie miała jak go objechać. Klęła i waliła pięścią w kierownicę, a samochody starały się zjechać jej z drogi.

Kiedy w końcu skręciła na skrzyżowaniu 49 Street i Karlov Avenue, wyłączyła syrenę, zdjęła lampę z dachu i rzuciła ją na siedzenie. Porządnie i powoli zaparkowała przed domem Stanchecków. Wysiadła i zasłoniła kurtką wetknięte za pas dwa drewniane kołki.

W domu panowały ciemności. Może nie były tak nieprzeniknione jak w Gothique, ale mimo wszystko przypominały mrok z horrorów. Dziewczyna przekradła się przez parter ku drzwiom do piwnicy. Przekreśliła włącznik światła i na palcach zeszła na dół. Zatrzymała się w połowie drogi.

- Co ja wyprawiam? - powiedziała głośno. - I tak przecież nie żyją. - Terri zeszła głośno, topiąc po pozostałych schodach.

Weszła do schowka na narzędzia. Tu ich znalazła.

Piwniczne światła nad jej głową podświetliły ją i rzuciły jej cień na Cassa, który leżał, zwinięty w kłębek za suszarką i zlewem pralni. Colleen skuliła się w ciepłym, miłym miejscu za bojlerem. Leżała na plecach, splótszy na piersiach dłonie. Wyglądała jak zwłoki w domu pogrzebowym.

Terri wyciągnęła z za pasa broń.

- Przykro mi, koledzy. Nic nie poszło po waszej myśli. - Odbezpieczyła broń. - Russell, gdybyś siedziała cicho, mogłaś dostać pokaźny czek od Whitestar, pojechać gdzieś i żyć prawdziwym życiem. Do diabła, jeśli byś chciała, mogłaś zabrać ze sobą tego świra. I co narobiłaś? - Rozpięła kurtkę i wysunęła z za pasa drewniany kołek. - On nie żyje, ty jesteś martwa i nawet jeśli żadne z was nie jest prawdziwym trupem, to za chwilę nimi będziecie. Jeff także umrze, a jego wrzeszcząca córeczka dostanie za swoje. - Terri usiadła na Colleen. - Cóż, miejmy nadzieję, że ona szybciej załapie, o co chodzi, jak z nią już skończą. - Odsunęła poły kurtki Colleen i przycisnęła ostry czubek kołka do czarnego materiału, naciągniętego na klatkę piersiową. - Do diabła, może sama wezmę ją pod skrzydła, gdy już się mną też zajmą. - Terri uniosła pistolet nad głowę niczym młotek. - Wprowadzę dziecko w świat. Będę jej matką, co o tym sądzisz?

I opuściła pistolet na kołek.

*

Frank zawiesił broń na ramieniu.

- Jeff, nic ci nie jest? - Szedł niezgrabnie ku mężczyźnie, który gramolił się spod stołu.

- Nie, w porządku. Gdzieś ty się... - Dostrzegł Gabrielle.

Stała obok Joeya. Wpatrywała się w zwłoki, marszcząc nos pod wpływem kwaśnego zapachu kordytu i siarki. Oraz krwi.

- Suuuper. - Odsunęła się, dochodząc aż do balustrady balkonu. - Hej, dziadku, pożyczysz mi to? - Odwróciła się do Jeffa i nagle jej

oczy zamieniły się w wąskie szparki. - Mam do załatwienia jedną sprawę z szefem.

- Frank, uważaj na nią - rzekł Jeff, biegnąc do niego. - To wariatka. Siedzi w tym, co się tu dzieje. Ona... - Ale ona już ruszyła, oddalając się od balustrady. Rzuciła się na ziemię i pojechała po podłodze, sięgając po automatyczny pistolet Joeya. - Uważaj!

Frank zrzucił karabin z ramienia, ale zbyt wolno się ruszał. Gabrielle przeturlała się, a potem podniosła, trzymając w ręku broń Joeya.

- Mam cię, Jeff. - Nacisnęła spust i wystrzeliła. Kule uderzyły w gipsowe kolumny. Na ich głowy posypały się odłamki i pył. - Hej, to dopiero jest niezłe! - Ponownie strzeliła. Tym razem poczuli przelatujące obok kule. Usłyszeli, jak daleko za ich plecami tłucze się szkło.

- Dziewczyno, odłóż to! - krzyknął Frank i wycelował. - Nie chcę cię zastrzelić, ale tak zrobię, jeśli nie posłuchasz.

Strzeliła ponownie.

Palec Franka zawahał się na spuście.

- Dziecko, odłóż to. Mówię ci, natychmiast połóż na podłodze.

- Gabrielle, odłóż broń. Może będziemy ci mogli pomóc, może... Strzeliła raz jeszcze. Kula zrykoszetowała o stolik za ich plecami.

- Och, zamknij się, Jeff. - Ponownie nacisnęła spust, ale tym razem rozległ się tylko głuchy trzask. Uderzyła w pistolet, zakłęła i ponownie go uniosła. Ale Jeff nie czekał i runął ku niej, przewracając się na podłogę i wpadając wprost na nią.

Gabrielle uderzyła w balustradę. Mocno. Usłyszała, jak cienka blacha skrzypi i wyskakuje z gipsowej, udającej kamienną, podstawy.

W jednej sekundzie walczyła z Jeffem, starając się ponownie pociągnąć za spust, w drugiej wisiała w połowie poza złamaną barierką, machając rękami. Pistolet wypadł jej z dłoni. Próbował ją dosięgnąć.

- Spadam, Jeff, o Boże, pomóż mi! - krzyczała i machała dziko ramionami, próbując się schwycić czegokolwiek. Ale między jej rękami a złamaną balustradą było tylko powietrze. - Jeff, błagam, nie pozwól mi spaść, nie...

Złapał jej sukienkę. Materiał rozdarł się mu w palcach. Sięgnął jej nóg, ale wysliznęły mu się.

Po raz ostatni ruszył i zacisnął dłoń wokół jej kostki. Ale w rękę został mu tylko jej but.

- Jeeefff!

Gabrielle runęła w tył, machając rękami i kopiąc nogami puste powietrze. Spadła na parkiet. Uderzyła wprost w stół zastawiony brudnymi tacami ze szklankami i butelkami. Szkło rozbryznięło się, rozsiewając wokół odłamki i resztki napojów z zeszłej nocy.

Ocalała tylko jedna butelka. Wbiła się w plecy Gabrielle, przebiła serce i pękła w środku.

Jeff i Frank wyrzeli zza złamanej balustrady. Dostrzegli, jak jej ciałem przez sekundę wstrząsają konwulsje. Potem westchnęła i zwiotczała.

Jeff upadł na kolana.

- Mój Boże, ja... - Uniósł nogę nad przepaścią. Ale staruszek odciągnął go.

- Synu, ty tego nie zrobiłeś. To jej wina. - Postawił go na nogi. - Synu, ona nie żyje. Idziemy. - Pospieszył do zwłok Joeya i wziął wielkie koło z kluczami.

Na podłodze leżał automatyczny pistolet Joeya. Jeff podniósł go, odbezpieczył. Tym razem wszystko zdawało się w porządku.

- Daj mi kołek.

Frank wyjął jeden zza pasa i podał Jeffowi.

- Gdzie się podziała twoja przyjaciółka? Spojrzenie Jeffa wszystko wyjaśniło.

- Opowiesz mi po drodze. Późno już. Ten zaczerpnął tchu.

- Właśnie. Odnajdźmy piwnice.

*

Broń Terri zatoczyła szeroki łuk, opadając na głownie drewnianego kołka, przyciśniętego do piersi Colleen.

W tej chwili Colleen otworzyła oczy.

Jej ręce poruszały się zbyt szybko, by je można było zauważyć. Wytrąciły pistolet, posyłając go na drugi kraniec pomieszczenia, i schwyciły kołek.

Colleen warknęła jak wilk.

Terri Shepherd trzymała kołek i próbowała go wbić, ale ręka Colleen pociągnęła za niego, a potem skrzyła się pod nieprawdopodobnym kątem, robiąc to samo z kołkiem i ręką Terri. Nadgarstek policjantki pękł z trzaskiem.

Terri wrzasnęła i padła do tyłu. Zaczęła czołgać się po podłodze, pilnując jednym okiem pistoletu i sięgając po niego. Dzielił ją ledwie centymetr...

Ale z ciemności wystrzeliła dłoń Cassa i złapała broń.

Colleen wstała i spojrzała na kolek.

- Co jest, Terri? - Trzasnęła kolkiem o udo i rozbiła go na drzazgi. - Nagle stałaś się religijna?

- Colleen, nie, nie rozumiesz...

- Słyszemy co nieco - odparł Cass syczącym głosem. - Powinnaś o tym wiedzieć. Nawet gdy śpimy, wciąż dobiegają nas słowa. Nic nie możemy na nie poradzić. Nie wtedy, gdy śpimy. Ale je słyszemy.

- Nie, słuchajcie, mylicie się...

Ich oczy rozbłysły gniewną czerwienią.

- Terri, przytulnie tutaj. Na dodatek leżeliśmy tuż pod kuchnią. I pod kuchennym telefonem. - Colleen ruszyła ku niej. Jej oczy żarzyły się, a usta skrzywiły się w złowróżbnym uśmiechu. - Słyszeliśmy każdą rozmowę. Och, pewnie, kilka z nich odbyłaś z biurem. Na pokaz. A co z resztą?

- Pani detektyw, czyżby pani miała prywatny numer do Gothique? - spytał Cass, także zbliżając się ku niej. Trzymał się tuż za plecami Colleen. - Wystawiłaś nas. Prawda?

- Nie, ja... - Terri jęczała, ściskając złamany nadgarstek. Jej ręka zwisała bezwładnie. Już zdążyła spuchnąć. - Nie wiem, co słyszeliście, ale ja nie chciałam, oni mnie zmusili. Wiecie, jacy są. Zmusili mnie, mówili, że...

- Wystawiłaś ich! - ryknęła Colleen. - Wszystkich nas wystawiłaś!

- Nie, ja przysięgam...

Colleen rzuciła się na nią. Wylądowała na plecach pani detektyw, ściskając nogami jej biodra. Gdy ta próbowała ją zrzucić, złapała jej zdrową rękę i wykręciła, aż trzasnęła kość, a Terri ponownie wrzasnęła.

- Okłamałaś mnie, a oni mnie zabili - syknęła Colleen, obnażając kły i oblizując je ciemnym językiem. - A teraz próbujesz zabić też i pozostałych. - Złapała koszulę Terri i rozdarła ją. Sięgnęła paznokciami i rozdrapała skórę kobiety, aż popłynęła krew. Pochyliła głowę i oblizwała krew. Potem wyprostowała się. W jej oczach płonął ogień. Z ust i po brodzie ciekła krew. - Umrzesz teraz - powiedziała

głosem, który wcale nie brzmiał jak głos Colleen. Ten niski głos pochodził z zaświatów. - Rozerwę ci gardło. Będę pić twoją krew, aż twoje serce przestanie bić, a ty umrzesz. Twoja paskudna duszyczka wróci do piekieł, skąd pochodzi. - Odsunęła głowę pani detektyw i złapała jej szyję paznokciami. - I, przysięgam na Boga, będę się cieszyć każdą chwilą.

- Nie, musisz mi uwierzyć, ja nie chciałam...

Colleen zatopiła kły w gardle Terri.

Rozdział trzydziesty czwarty

Jeff i Frank stracili poczucie czasu. Przynajmniej raz zgubili drogę. W trakcie wędrówki zgubili także parę kołków.

Ale nadal schodzili coraz niżej. Zapalali światło w drodze przez labirynt korytarzy. Mijali niezliczone drzwi. Wciskali włączniki lub pociągali za sznurki. Schodzili na najniższe poziomy Gothique.

Wszechogarniający smród lgnął do nich jak lepkie dłonie. Powietrze aż gęstniało od odoru śmierci.

- Sox? - Frank wymacał sobie drogę przez następny korytarz. Buty pluskały w kałużach, a ręce cofały się przed dotykiem śliskiej pleśni na ścianach. - Sox!

Nagle zatrzymali się.

Nasłuchiwali.

Nie dobiegał ich szcęk. Ale coś usłyszeli.

- Tutaj, Jeff. - Frank przedzierał się w ciemnościach, klepiąc dłonią ściany. - Tu są drzwi. - Szukał ręką klamki lub rygla. Zmagał się z niezliczonymi kluczami. Teraz słyszał wyraźniej. Płacz. Jęk. Stłumione, niewyraźne odgłosy zza metalowych drzwi. Brzmiały jak ludzkie, dźwięki rozpacz i przerażenia. - Myślę... Czeka... Tak. - Zamek zaskoczył. Drzwi ustąpiły. Wrzucił klucze do kieszeni i toczył wokoło lufą broni. Uderzył nią drzwi, które uchyliły się na skrzypiących zawiasach.

Ze środka dobiegł ich zaduch krwi, ciał i czegoś jeszcze gorszego.

- Uważaj, Frank. To może być kolejna pułapka.

Frank szedł powoli przed siebie. Po drodze uderzał dłonią w ścianę, by wyczuć włącznik światła.

Odnalazł go w końcu. Pod sufitem zapaliła się słaba, zasnuta pajęczynami żarówka.

Jeff wcisnął się za Frankiem.

Stali w drzwiach i tylko się gapili.

- Słodki Jezu.

*

Cass trzymał jedną ręką nogę Terri Shepherd i ciągnął jej ciało po schodach do góry. Głowa kobiety uderzała z hukiem o stopnie. W końcu Cass dotarł do korytarza między kuchnią a salonem. Tam ją upuścił.

W salonie stała Colleen i wyglądała przez okno.

- Col, dobrze się czujesz?

Odwróciła się i wytarła krew z ust rękawem.

- Wspaniale, Cass. Wspaniale.

- Ja tylko... pytałem. Wiesz, ty... jakby...

- Zwariowałam? - Spojrzała znowu na okno. Na Karlov Avenue zapaliły się latarnie. - Zamieniłam się tam na dole w potwora z horroru? Cass, czy ja czerpałam z tego zbyt wiele radości?

- Hm. Tak, o to chodzi.

Przez chwilę Colleen wpatrywała się, jak wiatr zdziera ostatnie liście z drzewa za oknem.

- Tak, cóż... Tak było. Zbyt wiele radości. Ale gdy leżałam w piwnicy przez cały dzień i nie mogłam się ruszyć, gdy słyszałam ją cały czas przez podłogę, jak wykonuje jeden telefon po drugim do kolegów biorących łapówki, a potem do samego Gothique, cały czas udając, że próbuje pomóc, gdy tylko ktoś wchodził do kuchni... Wszystkich wystawiała. Nas też wystawiała. - Odwróciła twarz ku Cassowi. - Tak, użyłam sobie. I to nieźle.

- I co teraz? Wskazała za okno.

- Chyba tam stoi jej policyjny wóz. Zamierzam wjechać nim w alejkę. Ty wyciągniesz zwłoki. Razem wrzucimy je do bagażnika. Później porzucimy gdzieś samochód. Niech go znajdą jej koledzy.

- Później? To znaczy kiedy?

- A jak sądzisz, Cass?

- Wiem, wiem.

- Musimy spróbować. Prawda? Niechętnie skinął głową.

- Ale nie sądzę, że istnieje jakieś „później”. Wzruszyła ramionami.

- Przyprowadzę wóz.

*

Żadne słowa nie były odpowiednie.

Żadne nie przychodziły na myśl Frankowi ani Jeffowi.

Ciemna, cuchnąca cela. Rzędy żelaznych pryczy. Straszne odgłosy kajdanek, uderzających o ramy. Jęki i krzyki, stłumione taśmą izolacyjną i brudnymi szmatami.

Ciała.

Nagie. Lub prawie nagie.

Blade, pozbawione krwi postacie, niemrawo miotające się w więzach i kajdankach.

Ofiary nosiły na sobie siniaki i ślady pobicia. Ich skóra, rozdarta i pogryziona, krwawiła z niezliczonych ran.

Niektórzy leżeli na podłodze, zimni i martwi, porzuceni jak niepotrzebne śmieci. Zrzucano ich z pryczy, by zrobić miejsce nowo przybyłym, którzy żyli, walczyli i byli świeżutcy.

- Jacks? Jacks!

- Synu, widziałeś gdzieś tu psa? A może coś słyszałeś? - Frank rozpiął kolejną parę kajdanek i pomógł następnemu nagusieńkiemu chłopcu zerwać z ust taśmę izolacyjną. Następnie wsparł go, gdy ten schodził z pryczy, i podtrzymał, gdy stawał na własnych nogach, by w końcu przekazać go komuś z już uwolnionych ludzi, którzy szurając nogami, zmierzali do drzwi. - Pies, brązowo - biały szetland - zawołał za nimi. - Dość duży, jak na swoją... Nie? Trudno, chłopcze. Idź za pozostałymi. Szybko. - Jeff biegał od jednej pryczy do drugiej. Sprawdził jeszcze jedną dziewczynę, ale nie żyła już od wielu dni. Potem złapał inną, która już szła niezgrabnie ku drzwiom, ale to też nie była Jacks. Nie znalazł córki. - Łap. - Frank rzucił mu wielkie koło z kluczami. - Mówią, że jest tu jeszcze kilka takich pomieszczeń. Może dwa. Tuż obok tych drzwi. Idź. Szybko. - Jeff wypadł z celi. Frank oswobodził ostatnią osobę w celi z kajdanek i taśmy, a potem popędził w stronę drzwi. - Idź korytarzami. Po ciemku wymacuj sobie drogę. - Ludzie wytoczyli się z pomieszczenia, potykając się. Niektórzy szli na czworaka. Płakali, jękali się i trzęśli. Niektórzy wciąż byli nadzy, inni mieli na sobie swoje niegdyś najlepsze czarne szaty i peleryny, najseksowniejszą bieliznę, ubrania - fetysze, jedwabne koszule, skórzane spodnie, winylowe spódnice i szyfonowe bluzki. Teraz wszystko wisiało w strzępach, zdarte z ich posiniaczonych, pogryzionych, bladych ciał. Resztki ubrań zeszywniały od krwawych plam. - Uda wam się. Trzymajcie się prawej strony. Powinniście wyjść tuż obok sceny albo gdzieś w głównej sali. Jedne drzwi są otwarte. Wyjdziecie stąd. Jesteście wolni. - Frank wiedział, że to bezcelowe, ale nie mógł się powstrzymać: - A jeśli zobaczycie gdzieś małego psa... Nieważne, idźcie. Już!

Spojrzał na dwóch dzieciaków, którzy wciąż stali w korytarzu. Oświetlał ich przyćmiony blask żarówki w celi. Chłopiec był chudy i bosy. Miał na sobie tylko brudne, czarne dżinsy. Ramiona i gardło znaczyły poszarpane ślady ugryzień. Dziewczyna, jeszcze chudsza od chłopaka, ubrana była w czarną sukienkę, która ledwo zakrywała tu i

ówdzie jej białą skórę. Podarte pończochy zwisały w strzępach z nóg jak oddarte skrawki skóry. Stała, przekrzywiona, bo tylko jedną stopę okrywał jej but na wysokim obcasie.

- No już, wynoście się stąd. Już prawie zapadła noc. Już może być za późno. Uciekajcie. Dołączcie do pozostałych. - Nie ruszyli się. - Powiedziałem, żebyście sobie poszli.

- Nie. Chcemy... Chcemy pomóc.

- Chcecie... - Skinął głową. - No to chodźcie. Do następnych drzwi.

- Złapał ich za ręce. Poczuł, że ledwo go przytrzymują i pociągnął ich do następnej celi.

Jeff już zdążył uwolnić parę osób. Zajął się właśnie nastolatką, która płakała histerycznie i próbowała go odepchnąć. Chłopiec w czarnych dżinsach podbiegł, ukląkł obok niej i uspokoił ją, a potem pomógł jej wstać i wyjść na korytarz.

- Jeff, podaj mi kółko z kluczami.

Frank zdjął klucze z kółka i rzucił kilka z nich dziewczynie w podartej czarnej sukience.

- Masz, spróbuj otworzyć celę obok, dobrze? Zobacz, czy uda ci się tam dostać. - Złapał dziewczynę, która szła powoli obok niego i wyglądała na wpeł przytomną. - Ty! Idź za nią. - Najpierw szła jak robot, ale gdy tylko przestąpiła próg, zdawało się, że wraca do życia. - A jeśli zobaczysz psa, takiego... Och, nieważne. - Zajął się kolejną parą kajdanek.

Jakaś kobieta z tego pokoju zaoferowała pomoc. Próbowała zasłaniać się strzępami sukienki, trzymając je jedną ręką, a drugą dopasowywała klucze z innego kompletu. Jednostajny strumień oszołomionych ofiar wyszedł z kolejnego pomieszczenia. Z ich szeregów wyłamało się dwóch chłopców i dziewczyna i pomagało ludziom zbyt słabym, by iść. Dołączyli do Franka, starając się jak najszybciej poruszać, i też zaczęli mu pomagać.

- Pa...Pan Stancheck? Jeff odwrócił się.

Ale to nie była Jacks.

Rachel.

- O Boże, panie Stancheck, oni... O mój Boże... - Zaczęła osuwać się na podłogę.

- Rachel! Dzięki Bogu. - Przybiegł do niej. Ściągnął kurtkę i otulił ją.

- Rachel, już jesteś bezpieczna. Wydostaniemy cię stąd.

- O Boże, panie Stancheck, oni... A potem... O Boże, tak mi przykro, ja...

- Rachel, widziałaś gdzieś tu Jacks? Widziałaś? Jest gdzieś tutaj?

Rachel owinęła się marynarką, zasłaniając porwane ubrania. Po białych policzkach płynęły łzy. Pokręciła głową. Nie.

- Rachel, musiałaś ją widzieć. Mają ją, jest gdzieś tutaj, ona...

Nagły krzyk na korytarzu zamknął mu usta.

Jeff i Frank obrócili się. Rachel, kobieta i pomagające im nastolatki także się obróciły. Ich oczy otworzyły się szeroko z przerażenia. Zbyt dobrze wiedzieli, co czai się w ciemnych labiryntach i celach. Natychmiast zaczęli cofać się od drzwi.

- Ktoś chyba otworzył chlewik.

- Och, nie! - Rachel zaczerpnęła tchu. - Och, Boże, nie, nie, nie...

W drzwiach ukazała się uśmiechnięta wampirzyca, zupełnie jakby wyłoniła się z ciemności. Omiotła celę czarnymi oczami, które natychmiast zaświeciły się piekielnym ogniem.

- Chyba nam uciekają świnki.

Palce zamieniły się w szpony. W ustach ukazały się kły. Dziewczyna zasyczała jak gotowy do ataku wąż.

Jeff potrząsnął głową. Próbował sięgnąć wzrokiem w głąb rozżarzonych oczu. Zobaczyć coś więcej niż kły i bladoszara skórę. Próbował zignorować lodowaty smród, który unosił się wokół niej jak stęchły podmuch.

- Ivy?

Dziewczyna rzuciła się na niego.

- Jeff, łap! - Frank wy dostał kołek zza pasa i rzucił go Jeffowi. Mężczyzna złapał go, gdy Ivy skoczyła na niego.

I wbiła się piersią na długi drewniany kołek.

Pęd Ivy sprawił, że przeleciała nad głową Jeffa. Padła z hukiem na dwie puste prycze. Wrzeszczała nieziemskim, szaleńczym głosem, miotając się na sprężynach.

- Nie! - Ivy złapała kołek, sterczący z piersi. - Nieee! - Ale jej oczy zaszyły śmiertelną czernią, gdy patrzyła na posokę, sączącą się wokół kołka. Światło w jej oczach zgasło, gdy cała klatka piersiowa zapadła się, a blada skóra zmarszczyła się i zzieleniała. Palce puściły kołek. Ręce opadły bezwładnie na boki. Z ciała uniosła się para, która

wisiała jak duch nad nią, a potem rozmyśla się na niewidocznym wietrze.

- Jezu. - Jeff stał, wpatrując się w nią. - Jezu, to była... ona... To dziewczyna, która...

Ale nie mieli czasu na opłakiwanie praktykantów z „Charade Magazine”.

Rachel ponownie wrzasnęła.

Jeff odwrócił się, a Frank zdjął z ramienia M - 1.

W drzwiach ukazały się dwa wampiry. Pozostałe już czały się w korytarzu. Jeszcze dwa pomknęły za nastolatkami, wciąż szurającymi nogami w mroku.

Zapadła noc.

Za późno na wszystko.

Obudzili się.

*

Oszalały tłum szedł wężym przez ciemne korytarze. Jakoś odnalazł drogę do góry, do głównego foyer. Niektórzy szli na czworakach, inni biegli. W końcu znaleźli się w lobby. Walili pięściami w czarne, szklane drzwi, aż odnaleźli te otwarte. Wypadli przed drzwi, pod markizę. Upadali na chodnik lub wychodzili, oszołomieni wprost na ulicę, mrużąc oczy w ostatnich promieniach zachodzącego słońca.

Niecierpliwi bywalcy klubowi, zapaleńcy, nastolatki, które nie mogły się już doczekać zabawy, uśmiechnięci szeroko gotowie i rozpalona żądami, spragniona grupa miłośników darkwave rozstała się na chodniku. Wszyscy byli pewni, że to kolejny element przedstawienia, jeszcze jedna jednoaktówka w stylu Grand Guignol. Do cholery, ale ten makijaż był realny! Ugryzienia i krew wyglądały po prostu super!

Dyletantka z Gold Coast oglądała z zachwytem tę scenę z przedniego siedzenia swojego mercedesa. Lothario z gry LARP wraz ze swoim zapoznanym ostatniej nocy kochankiem gapili się z wygodnego miejsca na przewróconej skrzynce pocztowej. Początkująca gotycka księżniczka i jej kupidynek najpierw wpatrywali się ze zdumieniem, a potem z coraz większym niepokojem, stojąc po przeciwnej stronie Damen Avenue. Magistrant ze szkoły muzycznej DePaul zemdlał, gdy jedna z ofiar wytoczyła się z drzwi Gothique i padła wprost u jego stóp.

Niewielu, bardzo niewielu, zdecydowało, że jak dla nich wszystko wygląda zbyt autentycznie. Wycofali się więc, a potem zniknęli, odchodząc gdzieś Damen. Ale z każdą minutą pojawiała się coraz więcej gości. Wsiadali z taksówek, wychodzili z sąsiednich przecznic. Dopinali czarne płaszcze, zapinali na suwaki czarne motocyklowe kurtki. Łopotały peleryny, migotały zwiewne suknie. Makijaż błyszczał na twarzach. Wszyscy spieszenie dołączali do zbiegowiska i podskakiwali, żeby zobaczyć, co tam się dzieje.

Zapadła noc.

Teraz ulice należały do nich.

Przedstawienie się zaczęło.

W środku budynku parę osób wyłamało się ze strumienia, nieustannie uciekającego przez służbowe przejścia.

- Czekajcie, trzeba im pomóc! Czekajcie!

Ale oszołomieni, posiniaczeni i zwyczajnie przerażeni ludzie wypadali z lobby, z płaczem wykrzykując imiona rodziców, mężów, dziewczyn, żon i chłopców, wzywając osoby, z którymi tu przyszli.

- Człowieku, już jest pieprzona noc. Musimy coś zrobić.

- Zabiją resztę, tam na dole. Ten dziadek, tamten facet, człowieku, z nich już nic nie zostało. Musimy...

- Co?

- Nie mogę im pomóc. Ledwo idę. Patrz, jestem goły, ja...

- Nie wiem, nie wiem...

- Ale przecież coś musimy zrobić!

- Ale co?

- Spalmy ich. - Powiedziała to chuda, niska dziewczyna. Stała pośrodku rozległego parkietu. W tym miejscu tańczyła samotnie tydzień temu. A może... Nie umiała dokładnie określić, kiedy to było. Wszystko okryła ciemność, gdy zaczęła taniec z pięknym, wysokim chłopcem o kocich ruchach, który przygryzał jej uszy i gardło. Całując, porwał ją do ustronnego pokoju i pokazał rzeczy, o których tylko czytała, marzyła i nigdy nie przypuszczała, że mogą stać się prawdą. Zawsze jednak o nich rozmyślała. Miała nadzieję, że będą rzeczywiste. Chciała, by tak się stało. I wszystko się spełniło, ale nagle te wspaniałe rzeczy stały się groźne. Przeraziły ją. Dziewczyna cierpiała, gdy twarz chłopca zmieniała się, a w jego oczach rozbłysnął żar. Nagle wokół niej zjawilo się więcej istot. Opadły ją, dotykając zimnymi rękami, chłodnymi wargami, lodowatymi językami. Nagle

ich zęby - o Boże - zanurzyły się w jej ciele. Gryźli ją. To tak bolało. Jeszcze nigdy tak nie cierpiała... Aż nagle obudziła się w ciemnościach, skuta kajdankami. W ustach miała śmierdzącą szmatę. Oni wracali co noc, chichocząc, gdy jej to znów robili. Zdarli z niej wspaniałą suknię, nad którą ciężko pracowała, szyjąc, fastrygując i farbując przy wtórze płyty Black Tape For A Blue Girl, nastawionej na powtarzanie. W trakcie pracy oglądała Brzytwiany uśmiech, Córki ciemności i Taniec przeklętych z wyłączonym głosem, jedynie zerkając na obrazy. A oni po prostu podarli jej ubranie i z szyderczym uśmiechem patrzyli na bieliznę pod spodem. Przykuli dziewczynę do łóżka, jakby to był jakiś obleśny film sado - maso. Dźgali ją, pokazywali palcami i wyczyniali z nią wstrętne rzeczy, jakby była lalką, zabawką, zwierzakiem. Śmiali się z niej tymi swoimi piekielnymi głosami, mówiąc, że niedługo umrze, i to na zawsze, bo wcale do nich nie dołączy. Wkrótce umrze, kto wie, może nawet jutro, o tak, to świetny pomysł, jutro... - Usmażmy skurwieli. - Dziewczyna zmrużyła oczy i podeszła do baru. - Chcę patrzeć, jak się pieką. - Kopnięciem odsunęła dwa stołki. Wgramoliła się na bar i podskoczyła. Złapała butelkę i rozbiła ją o krawędź stołu. Wokół rozbryznięła się brandy. Uniosła wyszczerbioną resztkę flaszki i wrzasnęła: - Chcę, żeby wszyscy spalili się w jebanym piekle!

Dwoje ludzi dostało się za bar i złapało jak najwięcej butelek.

- Zapalniczka zniknęła, wszystkie...
- Człowieku, zabrali mi torebkę, miałam zapałki, ale...
- Kurwa, wszystko zabrali, patrz...
- Poszukajcie czegoś. Zapałki, świece, cokolwiek.
- Nie bierzcie wina, tylko mocne alkohole. Szybciej!

Gapie z Damen już zaglądali przez frontowe drzwi i wchodzili do lobby.

Nieliczna grupa półnagich i nagich mężczyzn i kobiet, chłopców i dziewcząt brzdąkała butelkami z najlepszymi trunkami Gothique. Zawahali się przy przejściu dla personelu, a potem zanurzyli w ciemność.

*

Jeff trzymał prosto automatyczną broń Joego Fortuny. Wyjął kolek z za pasa Franka i trzymał przed sobą jak włócznię. Przesunął za siebie Rachel i pozostałe ofiary. Frank opuścił lufę M - 1.

Wampiry wysypywały się na korytarz. Niektórzy ziewali i przeciągali się, inni przemykali pod ścianami jak szczury albo śmiali się, chichotali i oblizywali usta. Ale gdy tylko wytoczyli się ze swoich leż, ich oczy rozbłyskiwały czujną czerwienią.

Frank i Jeff mieli przed sobą pamiętną dwójkę, chłopca i dziewczynę z przejścia obok domu Franka, z tamtej nocy sprzed wielu miesięcy. To była ta sama para, która zaatakowała Franka na Damen Avenue. Zanim Frank i Jeff zablokowali korytarz, wampiry złapały po jednym z oszołomionych więźniów i okładały ofiary, aż przestały krzyczeć.

- Puście ich! - Frank zaczął iść w ich kierunku. Wycelował broń w stronę uśmiechniętego szeroko diabła, który nawiedzał jego koszmary od chwili, gdy w towarzystwie Gila zobaczył go po raz pierwszy.

- Och, no pewnie. - Wampir wybuchnął śmiechem. Zimny dźwięk odbijał się echem od wilgotnych ścian i niknął w ciemnościach. - Powinniśmy się byli tobą zająć tamtej nocy, staruchu. Tobą i twoim szamańskim przyjacielem. - Wampir zatopił paznokcie w karku dziewczyny, która znów krzyknęła. - Ach, prawda, twojego kolesia już dopadliśmy. Nieźle się zabawiliśmy. Jak ci się to podobało, dziadku? - Wampir odepchnął dziewczynę na bok. Złapał ją inny. - Podobało ci się, gdy go znalazłeś do góry nogami na krzyżu, co? Ależ to świętokradcze, prawda? Szkoda, że go nie słyszałeś, staruchu, jak wywrzaskiwał modlitwy, gdy go podnieśliśmy i wbijaliśmy mu gwoździe w ręce i stopy, a potem wypiliśmy krew. Powinieneś tam być.

Frank zacisnął ręce na M - 1, aż go zabołały.

- Ty łajdaku, ty... Wystrzelił.

Kula uderzyła wampira w klatkę piersiową, obracając go i wtrącając do kałuży.

Pozostali zaczęli warczeć. Ale wampir podniósł się. Powoli.

- Do diabła! - Złapał się za pierś. - Człowieku, to bolało. - Przez koszulę sączyła się czarna krew. - Zapłacisz mi za to. - Rozdarł koszulę i wpatrywał się w wielką dziurę. Potem przeniósł wzrok na Franka. W czerwonych oczach rozbłysło zło. - Co to ma być? Nie rozumiesz, głupi staruchu? Nie możesz mnie zabić. Nie możesz nas zabić. Jesteśmy nieśmiertelni. Możesz sobie te swoje kule... - Frank ponownie wystrzelił. Tym razem naciskał spust tak szybko, że z

półautomatycznego M - 1 wyskakiwały od góry łuski. Opróżnił cały ośmiostrzałowy magazynek wprost w ciało potwora. Wampiry zawrzały gniewem. Szczrzyły kły, warczały i syczały jak stado głodnych wilków. Powoli ruszyli ku nim. - Och, umrzesz powoli, staruchu, a potem... - Wampir rozkaszał się, a jego usta wypełniły się czarną krwią. - Sam cię przemienię. Dzięki temu będę mógł cię mieć zawsze w pobliżu i torturować każdej jebanej nocy, przez całą wieczność. Przysięgam, że...

Ale Frank już otworzył kieszeń u pasa i załadował magazynek do M - 1. Podniósł broń do oczu, wycelował i opróżnił magazynek, wystrzeliwując wszystkie osiem nabojów.

Wprost w nogi wampira.

Strzelił w kolana. Wielkie kule 7,6 mm rozdarły martwe ciało. Wampir upadł na podłogę. Kikuty nóg skwierczały i dymiły spod podartych spodni.

Wtedy ruszył Jeff.

Skoczył na wampira i wbił mu kołek w pierś.

Rozległ się okropny wrzask. Buchnął dym, kwaśny smród siarki, starych popiołów i oparów z krematorium. Wijące się ciało wampira zwinęło się jak płonący liść, zaskwierczało i rozpadło w drżącą kupkę pyłu, kości i kawałków czegoś naprawdę paskudnego.

Frank przeładował i skoczył do boku Jeffa. Dziewczyna w czarnej sukience, chłopiec w czarnych dżinsach i kobieta, wciąż ściskająca z przodu strzępy sukienki wyszarpnęli kołki z pasa Franka i stanęli u jego boku. Nagle z ich oczu zniknął strach, zastąpiony ponurym, zdecydowanym spojrzeniem, w którym czaiła się chęć zemsty.

Niektóre wampiry wpatrzyły się w dymiącą kupkę prochu i kości i uciekły z powrotem do swoich cel. Ale coraz więcej wygrzebywało się z leż.

Gem i Fonda pojawili się ramię w ramię. Ocierali się o siebie i chichotali. Nagle zamarli na widok tłumów w mrocznym korytarzu.

- Co to... Co tu się dzieje?

- Gdzie jest moja córka? - Jeff wycelował w Fondę, potem w innego wampira, w Gem i w kolejnego. - Gdzie jest Jacks? Oddajcie mi córkę, a może...

- O czym ty, do diabła, mówisz? - Fonda przepchnął się przez tłum wampirów, w końcu przestając chichotać. Z twarzy zniknął mu arogancki uśmiech, zastąpiony lekką niepewnością. - Kim ty jesteś?

Co to za córka? Skąd mamy wiedzieć, kim jest twoja córka? Wszyscy tu są czyimiś córkami albo synami. Kurczę, ja sam jestem czyimś synem, ty ciepła kupo gówna.

Mam nadzieję, że twoja jebana córka już nie żyje. Albo do nas dołączyła. Lepiej rzuć zabawki, zanim obudzą się inni i usłyszą, co tu się na dole dzieje, bo wtedy rozpęta się takie piekło...

Ale zanim zdążył dokończyć, korytarze ożyły głosami i tupotem stóp. Nagie nogi rozbryzgiwały wodę w kałużach, biegnąc ile sił i niosąc niemal pozbawione krwi ciała.

Nastolatki z górnych pięter szły z trudem w ciemnościach. Do nagich piersi przyciskały butelki.

Fonda podniósł wzrok. Gem cofnęła się. Pozostałe wampiry zawahały się.

Pierwsza butelka przeleciała ponad głowami wszystkich i rozbiła się o ścianę.

- Co to...

Nagle pofrunęła druga. I jeszcze jedna. Nad nimi przeleciało jednocześnie wiele butelek, roztrzaskując się o mury. Parę butelek uderzyło dwa wampiry w głowę, a potem potoczyło się po podłodze i w końcu pękło.

- Proszę pana! - Dziewczyna, która wszystko zaczęła, pobiegła i rzuciła ostatnie dwie butelki, jak się okazało, najlepszego koniaku, a potem cofnęła się. - Proszę pana, proszę w nie strzelić! - Wokół zapanował chaos, gdy o ściany rozbiła się taka ilość butelek. Cały korytarz tonął w burbonie, brandy, szkockiej i likierach. Wampiry rozgniatały odłamki szkła pod stopami, idąc ku nim i cofając się. Niektóre wciąż warczały. Inne zaczęły wyc ze strachu. - Niech pan strzela! - Dziewczyna złapała Franka za ramię i potrząsnęła. - Niech pan strzeli w ten pieprzony alkohol, dobra? - Wampiry porzuciły dwoje wrzeszczących nastolatków i cofnęły się. - Niech pan je zapali. - Dziewczyna złapała za broń Franka i potrząsnęła nią. - Spalmy ich!

Frank w końcu zrozumiał. Nad głowami przeleciała kolejna butelka. Uniósł M - 1 i strzelił.

Butelka eksplodowała nad głowami wampirów, rozsiewając wokół fontannę szkła i ognia.

Walnął też karabinem Jeffa. Skinęli do siebie i zaczęli strzelać. Rozległ się huk jak na polu bitwy. Jeff opróżnił cały magazynek pistoletu. Frank wystrzelił siedem razy, włożył, jak najszybciej zdołał,

kolejny magazynek i wystrzelił kolejne osiem naboí. Każda z kul iskrzyła o beton albo trafiała butelkę w pół drogi, wywołując eksplozję niebieskich i żółtych płomieni.

Cały korytarz rozbrzmiał wtedy szaleńczo surrealistycznymi odgłosami piekieł, dźwiękami rodem z najgłębszych, najmroczniejszych otchłani Tartaru. Płomienie pełzły po ścianach i rozpościerały się wachlarzem po podłodze.

Z ognia wyskoczyły trzy wampiry. Paliły się na nich ubrania. Nastolatki dopadły ich, rzuciły na podłogę i zatopiły kołki w piersiach. Kobieta, dotąd ściskająca suknię, pozwoliła, by ubranie wisało luźno, bo sama siedziała okrakiem na wampirze i wbijała kółek raz za razem w wrzeszczącą istotę, mimo że w końcu potwór zmarszczył się, zadymił i zamienił w gnijącą kupkę prochu.

Jeff oderwał w końcu kobietę od skwierczącego stosiku.

- Biegnijcie. Wszyscy. Natychmiast się stąd wynoście!

W końcu korytarza szalały płomienie, wpadając wprost do celi. Z otwartych drzwi dobiegały pełne cierpienia wrzaski, gdy wampiry jeden po drugim zaczynały się palić. Uciekały, ale wpadały tylko w kolejną ścianę ognia.

- Cofnijcie się! - Frank zagonił nastolatków do korytarza. Teraz czarny tunel nie był mroczny. Ociekające wilgocią mury odbijały niebieskie i pomarańczowe światło.

Cofali się. W końcu odwrócili się i zaczęli biec. Za ich plecami wiły się pasma ognia.

Gem złapała Fondę i próbowała powlec go w kierunku leża, ale drzwi stanęły w płomieniach. Plecy Fondy już się paliły. Czarna, aksamitna koszula zamieniała się w stopione kuleczki nylonu, które parzyły białą skórę. Następnie zapłonęły jego włosy. Fonda krzyknął jak zwierzę i objął Gem chudymi ramionami. Wtedy ogarnęły ich płomienie. Upadli razem na podłogę, gdzie wokół nich rzeka ognia uformowała krąg i pochłonęła wijące się ciała.

Wampirzyca, która stała na stopniach kościoła Świętego Alstantiusa, zamarła oszołomiona. Była zbyt przerażona, by się ruszyć, nawet gdy u jej stóp rozbiła się kolejna butelka i chlupnęła burbonem na jej stopy. Dziewczyna natychmiast zapłonęła. Krzyczała, gdy ogień wpelzł po jej nogach, topiąc czarne rajstopy i martwą skórę, by w końcu objąć całą jej postać.

Wampiry, które ucztowały na Kelly Feeny, zawodziły, gdy ich ciała skwierczały, piekły się i w końcu zamieniały w pył. Grupa wieszająca Marian bibliotekarkę na rurze w magazynie do wtóru błagań dziewczyny teraz sama błagała o życie przerażonymi głosami dzieci. Zanosili modły do diabłów i mrocznych bogów, gdy płomień spychały ich do ciemnych kątów cel, gdzie łupy i śmierdzące kupy ubrań oraz cuchnące krwią materace stawały w ogniu, w końcu rzucając na nich iskrę. Wszyscy rozpadli się w kupki rozwrzeszczanej, dymiącej posoki. Drużyna, która dokonała najazdu na „Charade”, grupa, która porwała Colleen Russell z bezimiennego motelu, gang ukryty w ławkach w kościele Świętego Alstantiusa, który radośnie przybił Gila Silvereza do krzyża i wysączył jego krew - oni wszyscy kulili się, piszczeli i wrzeszczeli, gdy pożerały ich płomień. Ludzie obserwowali, jak wampiry jeden po drugim stają w ogniu, topią się i eksplodują albo litościwie po prostu umierają.

Z celi wypadła jeszcze jedna wampirzyca. Jej czarna peleryna już tliła się na krawędziach, łopocząc za nią jak ogniste skrzydła.

- Myślisz, że wygrałeś, staruchu - wrzasnęła. Płomień zaczęły już pożerać długą czarną suknię. - Ale ty już przegrałeś, przegrałeś, prze...

Frank zamarł, gdy jej słowa zamieniły się w piekielny wrzask bólu. Obróciła się i płomień zagłuszyły jej jęk. Upuścił strzelbę, gdy usłyszał dobywający się zza ściany ognia odgłos.

Skomlenie.

Szczekanie.

Szaleńczy szczek, pełen rozpacz.

- Nie.

- Przegrałeś, staruchu, przegrałeś, prze...

- Nie! - Frank rzucił się z powrotem, ale Jeff złapał go, zanim staruszek wpadł w morze płomieni.

- Puść mnie, do cholery, puść!

Jeffowi pomógł nagi do pasa nastolatek. Doskoczył do nich jeszcze jeden i podniósł karabin Franka. Odciągnęli staruszkę od ognia.

- Nie, puśćcie mnie! Mają go, mają tam Soksa, spali się, on... - Frank strząsnął ich i złapał ponownie karabin. Stał w korytarzu, a do stóp podpełzły mu płomień. - Sox, piesku, ja... - Wtedy wszyscy usłyszeli jeszcze jedno szczeknięcie i wycie wypełnione prawdziwym

cierpieniem. Kolejny wampir wypadł z ognia i rozpadł się we wrzeszczącą kupkę płomieni tuż przed ich stopami. - Sox, dobry był z ciebie piesek.... najlepszy! Jeff odciągnął Franka. - Dobrze... nic mi nie jest. - Stary człowiek zaczerpnął tchu, obrócił się do Jeffa i skinął głową. - Wszystko w porządku.

Obaj poszli za pozostałą grupką ku drzwiom do piwnicy. Za ich plecami spleśniały beton i popękany kamień rozbrzmiewał echem diabelskiej symfonii wrzasków wampirów, skulonych w kątach cel. Istoty patrzyły, jak osaczają ich płomienie. Wszystkich pochłaniał dym, w którym rozbłyskiwały ohydne eksplozje, rozsiewając wokół skórę, siarkę, krew i posokę. Ohydne dusze zataczały się od ogniska do ogniska, zmierzając wprost ku piekłu.

Rozdział trzydziesty piąty

- Nie zatrzymuj się, idź!

Jeff trzymał mocno rękę Rachel i ciągnął ją po ostatnich stopniach schodów, wiodących z piwnicy. Frank trzymał się o kilka kroków za nimi. Sapał i dyszał, a oczy łzawiły mu od dymu i z powodu ostatniego skowytu Soksa, który wciąż rozbrzmiewał w uszach staruszka.

Wypadli przez drzwi dla personelu i znaleźli się na parkiecie. Widzieli, jak przez drzwi wejściowe wydostaje się paru nastolatków, którzy przeprowadzili atak z butelkami. Stało tam paru gotów, którzy gapili się na przerażone oczy i rany, zauważyli łzy i usłyszeli okrzyki bólu. W końcu dostrzegli, że zza drzwi dla personelu zaczyna wypełzać dym, snując się po głównej sali. Dopiero wtedy coś zrozumieli, choć nie na tyle, by podtrzymać i pomóc ostatnim ludziom, wychodzącym przez drzwi: odważnemu bosemu, półnagiemu chłopcowi w czarnych dżinsach, dziewczynie w podartej, czarnej sukience z ponurą twarzą albo kobiecie o oszalałych oczach, której podarta suknia rozchyłała się szeroko. Nie pomogli też samotnej dziewczynie, która pierwsza zaczęła atak z butelkami. Patrzyli, jak ludzie potykają się i słaniają, przechodząc przez drzwi, ale w końcu zrozumieli, że coś tu nie gra, że w tym budynku zdarzyło się coś przerażającego.

Ta myśl wystarczyła, by sami spieszenie przepchnęli się, by wypaść pierwsi przez drzwi i oddalić się od Gothique.

- Chodź, Frank. Pospiesz się! - Jeff z trudem szedł po parkiecie. Właściwie niósł już Rachel, która płakała histerycznie i ledwo ciągnęła za sobą nogi.

- Jestem tuż za tobą, synu. - Frank zanurzył dłoń w pasie z magazynkami, sapiąc straszliwie. - Wyprowadź stąd dzieciaka! - Spojrzał za ramię i dostrzegł, że przez drzwi służbowe sączy się migoczący blask. Przez chwilę sądził, że ujrzał tam nawet jakieś poruszające się kształty. Wsunął kolejny magazynek do M - 1 i zdał sobie sprawę, że rzeczywiście z piwnic wypełzało coś więcej niż dym. Na progu ukazała się blada dłoń. Z mroku wypełził dymiący, czerwonoooki potwór. Frank opróżnił cały magazynek. Strzelał, biegnąc, ale trafiał tylko w drzwi i w pustkę. Zatrzymał się, by ponownie naładować broń. - Jeff, to jeszcze nie koniec, wciąż...

- Wiem, Frank. Na Boga, to jeszcze nie koniec. - Jeff zgarnął Rachel pod ramię, mrugnął i skierował się ku drzwiom, wchodząc na wielki parkiet.

- Rachel, wyprowadzę cię stąd, a potem będę musiał... - Potknął się i upadł na kolana, niemal upuszczając dziewczynę. Podniósł się i pobiegł Utkwił oczy w drzwiach wejściowych, które wciąż kołysały się, poruszone przez ostatnią z uciekających ofiar. Widział kawałek chodnika i Damen Avenue. - Potem będę musiał wrócić. Muszę... odnaleźć Jacks.

Jeszcze tylko trzy metry i...

Drzwi wejściowe nagle się zatrzasnęły.

Jeff pośliznął się i zatrzymał. Rachel wypadła z jego objęć i uderzyła o parkiet.

- Ma pan rację, panie Stancheck.

Drzwi wejściowe zamknęły się. Rygle wskoczyły na miejsce. Zamki same się zaryglowały.

- Z pewnością to jeszcze nie koniec. Z mroku wyłonił się Marek.

*

Biały caprice wjechał z rykiem na Damen Avenue. Zapiszczały hamulce. Samochód zatrzymał się z piskiem palonych opon o pięćdziesiąt metrów od markizy Gothique.

Cass oderwał palce od deski rozdzielczej.

- Chyba nie zamierzamy się tam zakradać po cichu?

Ujrzeli zdezorientowany tłum, krążący po chodnikach. Dostrzegli półnagich, poranionych uciekinierów, którzy wyłaniali się spod markizy i padali między zaparkowanymi samochodami.

- Pali się? - Colleen wskazała alejkę. Z wentylatorów wydobywały się zielonkawoszare smugi.

- Col, spóźnił się.

- Jak cholera. - Mówiąc to, wcisnęła pedał gazu do samego końca i przekręciła kierownicę. Obróciła samochód o sto osiemdziesiąt stopni, jadąc już pięćdziesiątką. Zawadziła o limuzynę, z której wysiadała modna para z Gold Coast.

Cass i Colleen usłyszeli, jak w bagażniku przewracają się z hukiem zwłoki Terri Shepherd. Samochód odbił się od tylnego zderzaka taksówki, podjechał z rykiem do krawężnika przy markizie i w końcu zatrzymał się na dobre. Oboje wyskoczyli ze środka, omietli spojrzeniami scenę na chodniku i na ulicy. Wymienili szybko

spojrzenia i pomknęli w stronę otwartych drzwi, z których wychodziła, słaniając się, para dzieciaków. Ofiary upadły na kolana, kaszląc i płacząc.

Wtem tuż przed ich nosami wrota się zamknęły.

*

Marek zmaterializował się z cienia.

Arogancką, uśmiechniętą i szyderczo białą twarz zabarwiły odcienie światła rodem z horroru, rzucone przez zawieszane nad głowami reflektory i przyćmione lampy. Ciemne oczy omiotły scenę z wyraźną pogardą. Czarny garnitur stapał się z mrokiem, dopóki Marek nie zaczął się z niego wysuwać. Celowo szedł powoli, odmierzonymi starannie krokami, które dźwięczały na marmurze, wzbudzając wiry w osłaniającej stopy cienkiej warstwie dymu.

- Nie, panie Stancheck, powinienem powiedzieć raczej, że ja z panem jeszcze nie skończyłem. Ani z tym starszym człowiekiem.

Jeff pomógł Rachel wstać. Piętnaście metrów za nimi Frank zmagął się na parkiecie z pasem z magazynkami. Nagle palce zdrętwiały mu i nie mógł trafić magazynkiem do karabinu. Ostatni drewniany kołek wypadł z pasa, uderzył o podłogę i odtoczył się gdzieś, znikając w gęstniejącym dymie.

- Kim pan jest? - Jeff zasłonił sobą Rachel. - Skąd pan zna moje nazwisko?

- Kim jestem? - Marek wszedł na parkiet i rozejrzał się wokół. Oto jego dzieło: gipsowe, udające średniowieczne łuki, balustrady z pianki, odlewane przypory i plastikowe gargulce, sztuczne pajęczyny z włókna szklanego i podświetlane od tyłu akrylowe witraże. Wpatrywał się w sklepienie wnętrza klubu i w końcu rozpostarł ramiona. - Kim jestem, młody człowieku? Jestem władcą tego miejsca. - Rozejrzał się po Gothique. Jego dzieło, w całej swej oślisłej krasie. - Zapewne obecne kłopoty to wasza sprawka. Może później zajmiemy się dokonaniem szczegółowych oględzin. Razem. Podczas obdzierania was powolutku i bardzo boleśnie, centymetr po centymetrze, ze skóry. Co wy na to?

- Wal się. - Jeff próbował osłonić sobą dziewczynę. - Powiedz mi, gdzie jest moja córka. Natychmiast. Jeszcze możesz. Gdzie jest Jacks?

Marek masował skronie.

- Tak, teraz rozumiem. - Na chwilę pogrążył się w myślach, powoli przechadzając się wzdłuż krawędzi parkietu, gdzie zbierała się szarozielona mgła, unosząc się wokół czarnych spodni niczym opar na cementarzu. - Zapewne pan Fortuna nie żyje, co? Chyba zastrzelono go z tego karabinu. I... Tak, ten mały ciepłokrwisty potwór, który nam tu przeszkadzał. Gabrielle? Tak, miała na imię Gabrielle. Zdaje się, że ją także zabiliście?

- Nie zabiłem jej. Spadła...

- Może i tak. Ale tak czy owak, zginęła z twojej ręki. Ile jeszcze moich dzieci zgładziliście dzisiaj, „bohaterowie”? A teraz chcesz wiedzieć, gdzie jest twoja córka?

- Zamknij się! - wrzasnął Jeff. - Gdzie jest Jacks?

- Jacks. - Marek najwyraźniej smakował to imię. - Co za głupie imię dla takiej ślicznotki. Prawda?

- Jacks!

Marek odwrócił się.

- Drake? - Gdy się odwracał, wokół niego uniosły się palce dymu zwieszając nad nim jak rozwarte szpony. - Drake, bez obaw - rzekł Marek. - Wyprowadź naszego „gościa”.

Coś wysunęło się, szurając, zza baru.

Ukazał się Drake. Mocno obejmował Jacks bladym ramieniem. Biała dłoń zatykała jej usta. Dziewczyna wiała się i kopała, gdy ciągnął ją, by stanąć przed barem.

- Jacks! - Jeff skoczył, ale Marek zniemacka znalazł się przed nim.

- Na pana miejscu zostałbym tam, gdzie pan stał, panie Stancheck. Chyba że chce pan ujrzeć, jak Drake na pana oczach rozrywa dziewczynce gardło. Zapewniam pana, że jest do tego zdolny. Nie zdąży pan przebiec nawet połowy dzielącej was odległości. Drake będzie się cieszył każdą chwilą, gdy jej tryskająca krew trafi w jego usta. A pan będzie na to patrzył. - Marek stanął obok Jacks. Jeff jęknął. Jacks skuliła się. Rachel upadła na podłogę i załkała. A wampir delikatnie powiódł palcem, zakończonym długim paznokciem, po policzku dziewczyny. Potem zsunął go na gardło i powiódł po koszulce. Zatrzymał białą dłoń na jej piersiach i potarł je. - Ach, słodycz młodości. Czy istnieje coś piękniejszego? - Jacks wiała się. - Panowie, najwyraźniej znaleźliśmy się w patowej sytuacji.

Wszyscy obrócili się, gdy w wielkiej sali rozległ się paskudny grzmot.

Oczy pomknęły ku otwartym drzwiom dla personelu, skąd wypływał gęsty dym. Migoczące płomienie jaśniały coraz mocniej, wypełzając po piwnicznych schodach.

Po stopniach czołgały się wampiry, wypełzając na próg. Jeden z nich wstał. Całe jego ciało dymiło. Martwa skóra odpadała płatami, a potem zamieniała się w popiół. Inna osłabiona istota przywarła do futryny, próbując podnieść się na nogi. Jej włosy i ubrania stanęły w płomieniach.

Frank zdjął M - 1 i wystrzelił cztery naboje w każdego z nich. Uderzenie posłało wampiry z powrotem na dół. Wpadli w dym, wyjąc przeraźliwie.

Z drzwi wypełzło jeszcze dwoje. Czołgali się po podłodze, ale za chwilę zamienili się w syjące iskry, śmierdzące kwaśno kupki popiołów.

Aksamitna kurtyna po obu bokach sceny zaczęła się dymić.

Plastikowe gargulce zaskwierczały i stopiły się.

Z rzędu czarnych wzmacniaczy i głośników zaczął wydobywać się opar.

Frank już miał w ręku kolejny magazynek. Załadował go i obrócił się.

- Nie ma tu żadnej sytuacji patowej. Te... potwory ukradły mi psa. Zwierzak nie żyje. Spalił się w tej twojej piekielnej dziurze. A teraz puścisz dziewczynkę i wyjdziemy stąd albo ciebie też to spotka.

Marek roześmiał się.

Odrzucił głową w tył i śmiał się. Drake też wybuchnął śmiechem. Straszliwy, mrozący krew w żyłach dźwięk sprawił, że Frank, Jeff, Rachel i Jacks zadrżeli, ogarnięci przerażeniem. Ogarnęło ich przecucie czystej niemożliwości tego, co chcieli zrobić. Śmiech dźwięczał, odbijając się echem od kolumn, przypór i witraży. W końcu Marek umilkł i uniół ręce.

I zaczął klaskać.

- Brawo! - W szczerym podziwieniu klaskał najpierw powoli, potem coraz gorliwiej. - Och, brawo, dziadku. Co za przedstawienie. Po prostu wspaniałe. Oto rzuciłeś bezmyślne potwory na pastwę płomieni. Brawo!

- Zamknij się. - Frank wycelował znów w Marka. - Zamknij się natychmiast albo...

- Czekaj. - Marek uniósł dłoń. Staruszek mrugnął, drgnął i potrząsnął głową.

- Czekaj, dziadku. Zanim strzelisz, przypomnij sobie o dziewczynce.

- Frank, zaczekaj! - Oczy Jeffa mknęły od niego do Marka i Jacks. Dziewczyna wciąż próbowała się uwolnić z objęć Drake'a. Jej pełne przerażenia krzyki tłumiła martwa, biała dłoń. - Poczekaj.

- O tak, Frank - powiedział Marek, uśmiechając się z szyderczą złośliwością. - Poczekaj lepiej. Twoje kule nie mogą nas zabić. Wiesz o tym. Mogą nam sprawić taki ból, jaki sprawiłyby tobie. Ale nie zabijesz nas. I z pewnością nie zamierzam ci pozwolić na kolejny atak z użyciem naszych najświetniejszych trunków. Lepiej poczekaj, starcze. - Wampir obrócił się ku Jeffowi. - Naprawdę pragnę puścić wolno twoją córkę, choć równie mocno chciałbym ją wziąć na oczach ojca.

Jeff nie mógł się powstrzymać. Rzucił się na niego.

- Czekaj! - Marek uniósł ponownie rękę. Jeff zamarł. - Dziewczyna może iść wolno, ale muszę mieć coś w zamian.

- W zamian? Co takiego?

- Oczywiście ciebie.

Jacks kopnęła Drake'a ze zdwojoną mocą i ugryzła go w rękę,

- Tato, nie!

Drake wykręcił w tył jej rękę. Jacks wrzasnęła z bólu.

Jeff ruszył, wtem zatrzymał się.

- Gadaj. Szybko.

- Sprawa jest prosta, panie Stancheck. Pan idzie z nami, ona może odejść. Może dołączyć do staruszka, jeśli tak się panu podoba. Może pan sobie wziąć jej przyjaciółkę, jeśli pan chce, tę na podłodze. Nie ma z niej pożytku. Mówili mi, że bez przerwy się maże.

- Tato, nie słuchaj go, nie...

- Cisza, szczeniaku! - Marek nawet nie spojrzał na Jacks. Wbił gniewny wzrok w Jeffa. Czerwone wargi skrzywiły się w podłym uśmiechu. - Zabiłeś moje dzieci. To sprawiedliwa wymiana. Pan pójdzie z nami, panie Stancheck. Pana życie za życie córki.

- Zgoda.

- Tato, nie!

- Och, niech pan mi pozwoli dokończyć - odparł Marek, przechadzając się znów po parkiecie. Uśmiechał się coraz szerzej i coraz złośliwiej. - Stanie się pan jednym z nas. Może nawet tego wieczoru. O tak, chyba im szybciej, tym lepiej. Zostanie pan z nami na zawsze, na całą wieczność, wypełnioną rozkosznie ciemnymi, piekielnymi nocami. Albowiem, panie Stancheck, czekają pana tortury. Będziemy dręczyć pana w niewypowiedzianie bolesny sposób, którego nie są w stanie opisać słowa śmiertelników. Na zawsze, panie Stancheck. Oto moja oferta. - Marek wbił martwe, czarne spojrzenie w Jeffa. Szyderczy uśmiech był jeszcze bardziej arogancki niż zwykle. - Wciąż pan wyraża tę jakże szybką zgodę? Czy rzeczywiście aż tak bardzo kocha pan swoją córkę? Czy skąże się pan na piekło? Czy...

- Weź się wreszcie, kurwa, zamknij. Powiedziałem: „zgoda”. Marek skinął głową.

- Świetnie. Czy zaskoczę pana, jeśli powiem, że spodziewałem się wahania? Choć przez chwilę. Krótkiego momentu niezdecydowania. Tak, tak, rozumiem, miłość, lojalność, odpowiedzialność i rodzina. Ale w końcu sam pan pozwolił się jej rozpaść, prawda? Uważałem, że zapewne będzie chciał to pan sobie chwilę przemyśleć. - Wyciągnął białą dłoń do Jeffa. - Ale mogę pana zapewnić, będzie miał pan całe lata na rozmyślanie nad tą chwilą, gdy będzie pan płacił za dzisiejszą noc. Przez eony będzie pan żałował swojego wyboru, jeszcze długo po tym, jak potomkowie pana córki wymrą do szczętu. - Wampir zaczął iść wśród wijącego się po podłodze dymu. Wciąż wyciągał białą dłoń do Jeffa. - A zatem, chodźmy.

- Najpierw ją puść.

- Koniec gadek. - Marek był niemal już przy nim.

- Powiesz tamtemu, żeby ją puścił. Jacks ma być wolna. Frank i Rachel też wychodzą. A potem możesz mnie sobie wziąć.

- Tato!

- Jeff, nie rób tego, wciąż możemy...

- Starczy tego! - Marek warknął, a jego twarz nagle zmieniła się w przerażające oblicze z czerwonymi ślepiami i długimi kłami. - Może wezmę sobie was wszystkich i wykąpię się w waszej krwi. - Białe dłonie zamieniły się w szpony. Marek rzucił się na Jeffa. - Wezmę sobie ciebie i twoją... - W tej chwili pomieszczenie

rozbrzmiało hukiem. Najpierw rozległ się odgłos uderzenia w drzwi. Drake warknął przy barze. Kolejne uderzenie sprawiło, że drzwi wejściowe roztrzaskały się, rozsiewając wszędzie odłamki czarnego szkła. Do środka wpadły dwie czarne postacie, przeleciały wśród dymu i zniknęły w fontannie czarnych iskier. Cass i Colleen wstali, podnosząc się znad szklanych okruchów. Jednocześnie w wielkim pomieszczeniu rozbrzmiał na chwilę dziwny dźwięk. Pobrzmiwał w nim gniew. Wtem znów go usłyszeli. - Drake! - Marek wskazał dwóch renegatów, którzy już pędzili po parkiecie. Obracał się to w jedną, to w drugą stronę, w końcu ruszył z wahaniem...

Wtem zamarł, otwierając szeroko oczy i wpatrując się w dym, wijący się na podłodze.

Ponownie rozległ się dziwny odgłos. Wszyscy na chwilę przystanęli...

W tej chwili z szarego kłębu dymu na podłodze wystrzeliła skwiercząca prawie dwudziestopięciokilowa kula skondensowanego strachu, wściekłości i dymiącego futra.

Z mgły wypadł warczący Sox. Rzucił się jak rakieta na Drake'a.

Zwierzę położyło uszy po sobie, nastroszyło osmaloną sierść i wyszczerzyło zęby w instynktownym, drapieżnym grymasie. Pies zatopił głęboko kły w twarzy wampira.

Drake zawył i próbował strząsnąć z siebie psa, ale krótkie nogi Soksa odepchnęły jego ręce, a zaostrome o chodnik pazury wbiły się w ramiona. Pies wgryzł się w niego z wściekłością, skupiony na swoim zadaniu: „zabić śmierdźla i chronić Franka”. Jego szczęki rozdzierały twarz Drake'a na strzępy.

Wampir próbował oderwać od siebie Soksa.

I puścił Jacks.

- Tato! - Jacks zanurkowała między barowe stołki, przewracając je jak kostki domina.

Drake w końcu strząsnął z siebie Soksa. Osmalony pies upadł na podłogę. Jego futro wciąż dymiło. W kolorowych reflektorach błyskały skrawki różowej skóry. W końcu podniósł się i z powrotem rzucił na wampira.

Tak jak i Jeff.

Mężczyzna pomknął po parkiecie i schwycił drewniany kołek Franka. Jednym skokiem znalazł się na barze, a potem prześliznął po nim. Nad głową trzymał oburącz kołek, niczym oszczep.

Drewno wbiło się głęboko w pierś Drake'a. Wokół trysnęła czarna krew i strzępy ciała. Chrupnęły łamane kości.

Drake wrzasnął i próbował złapać kołek, ale Jeff wbił go głębiej, aż czubek wyszedł wampirowi z pleców.

- Marek! - Drake upadł na podłogę, ponownie próbował wstać, ale nagle zaczął dymić. - Marku, pomóż mi! Marek! - W ustach wezbrała mu czarna żółć, dławiąc krzyki. Skóra zaczęła się marszczyć, a ciało odpadać. Po kilku minutach, wypełnionych wstrętnym syczeniem wybuchnął, zamieniając się w pył i posokę.

Sox przybiegł do Franka i zaskomlał. Prawie zupełnie nagi ogon zamachał triumfalnie. Z czubka, jak z papierosa, unosiły się smugi dymu.

- Wszystko skończone, dupku. - Frank zaczął iść w kierunku Marka. Wycelował w niego broń.

- Nie, to nie może... - Marek skulił się na chwilę. Czerwone oczy rozglądały się po sali. - Nie pozwolę, by...

Frank nie czekał, aż wampir skończy mówić. Strzelił mu w nogi, tak jak wampirom w piwnicy. Marek wrzasnął.

- Czekaj! Mogę obdarzyć cię władzą, mogę...

- Oszczędź sobie. - Frank strzelił mu czterokrotnie w kolano, rozdzierając spodnie i roztrzaskując blade, martwe ciało. Marek obrócił się wokół własnej osi.

- Nie! - Cztery pozostałe kule rozwalily drugie kolano. Wampir padł. Twarz skrzywiła się w pełnym oszołomienia niedowierzaniu. Wpatrywał się w ludzi szeroko otwartymi oczami, które zmieniały kolor ze śmiertelnej czerni we wściekłą czerwień. Marek upadł na plecy, bezradnie ruszając potrzaskanymi nogami. - Nie! Nie mogę tak... Nieee!

Światła zamrugały i zgasły, ale wielka sala nie pogrążyła się w ciemnościach. Rozświetlały ją niebieskie, żółte, pomarańczowe i zielone płomienie. Nad głowami rząd reflektorów wybuchnął z hukiem, posyłając na dół deszcz szkła z rozbitych soczewek. Po wielkiej scenie pełznął ogień, docierając do skraju kurtyny, stołów i krzesel, gdzie płonęły wypełnione do połowy alkoholem butelki i kieliszki, które w końcu wybuchły jak niekończący się pokaz sztucznych ogni.

Frank podniósł Soksę i przytulił tak mocno, aż pies jęknął. Staruszek wytarł rękawem oczy. Tym razem nie z powodu dymu.

Jeff pomknął do Jacks. Dziewczynka padła mu w ramiona, łkając histerycznie.

Rachel rozpostarła szeroko ręce i zmierzała w kierunku wyjścia, przedzierając się przez dym.

Cass szedł w ślad za Colleen. Szkło chrzęściło pod jej butami. Dym sięgał już kolan. Uklękła obok Marka i wpatrzyła się w jego oczy.

- Przypomniałam sobie - powiedziała. - Pamiętam ciemności w tamtej celi, kiedy do mnie przyszedłeś.

Marek skrzywił się.

- Tak, dziecko. Musisz mi pomóc. - Obracał głowę w lewo i w prawo, przeszukując wzrokiem dym, cienie i ogień. - Niech ktoś mi pomoże. Rozkazuję! - Złapał ramię Colleen. - Podnieś mnie, możemy...

- Przypomniałam sobie.

Cass zaczął do niej iść.

- Col, uważaj. On...

Odwróciła głowę. Jej twarz miała wstrętny, złośliwy wyraz. Wyglądała gorzej od każdego potwora, który czaił się wcześniej w ciemnych korytarzach Gothique. Słowa zamarły na ustach Cassa.

Obróciła się do Marka, strąciła jego dłoń z ramienia i pchnęła go z powrotem na zadymioną podłogę.

- Pamiętam już.

- Tak, dziecko. - Nikły uśmiech Marka znikł całkowicie. Nawet w jego złych oczach pojawił się strach. - Niech ktoś mi pomoże! Muszę...

- Przypomniałam sobie - warknęła Colleen - kto wyszedł z ciemności, gdy mnie pobili i zgwałcili. Przypomniałam sobie, kto dotknął mnie ohydnie zimnymi ustami, kto pocałował mnie w szyję i zatopił zęby. Pamiętam już, kto mnie zabił.

- Tak, dziecko, obdarzyłem cię... - Marek zaczął się podnosić, ale znów upadł na podłogę z hukiem. Trzasnęła kość.

- Zamordowałeś mnie. Zabrałeś mi wszystko i nie pozwoliłeś umrzeć. Zmusiłeś mnie do picia. Złapałeś mnie za głowę i otworzyłeś szczękę zimnym, śmierdzącym palcem, a potem zmusiłeś, bym piła z twoich żył. - Odsunęła się i krzyknęła w stronę sufitu. - Jak mogłeś mi to zrobić! - Colleen szarpała swoje ramiona i piersi, jakby jej ciało

należało do kogoś obcego, kogoś wstrętnego i podłego. - Jak mogłeś mnie zamienić w coś takiego!

- Ja... Arianne! - Marek wykrzykiwał to imię raz za razem. - Arianne, błagam! Ratuj!

Nie nadeszła żadna odpowiedź. W sklepionej sali rozbrzmiewał tylko jego krzyk. Przeniósł wzrok z powrotem na Colleen.

Dziewczyna rozchyliła wargi. Jej kły błyszcząły w świetle płomieni.

- Giń! - Rzuciła się mu do gardła. Zakrył ich wirujący dym. Słysząc było tylko, jak ręce Marka uderzają o marmurową podłogę, jak wampir próbuje zaczerpnąć tchu, by wrzasnąć, a Colleen warczy jak dzikie, głodne, rozjuszone zwierzę. W końcu wszystko ucichło. Pozostali słyszeli już tylko swoje oddechy i dyszenie Soksa. Colleen w końcu wstała. Z ust ściekała jej czarna krew. Dym rozstąpił się i ujrzeli, jak u jej stóp leży drżący strzęp garnituru i pomarszczona, zmięta karykatura Marka. Cass wyszarpnął dymiący, drewniany kołek z kupki brudu, która jeszcze niedawno była Drake'em, i rzucił go Colleen.

Dziewczyna złapała go i uniosła nad głowę. Ryknęła strasznym, piekielnym krzykiem rozpacz, czując, jak ginie ostatnia cząstka człowieczeństwa. - Idź do piekła, „tatusiu”.

Kołek opadł w dół.

Ciało Marka zagotowało się. Colleen odskoczyła. Cass złapał ją w ramiona. Błysnęło i z podłogi uniósł się zielony dym. Wszystkim się wydało, że słyszą bezcielesne zawodzenie. Wokół nich rosły płomienie. Po podłodze snuł się coraz gęstszy dym, pochłaniając wszystko.

Przez chwilę stali w ciszy.

Dym zaczął pełznąć coraz wyżej po ich nogach. Rachel płakała. Na zewnątrz zawyła syrena.

- Koniec - stwierdził Jeff, mocno ściskając Jacks. Rachel podeszła do nich. Frank ostrożnie niósł Soksa. Wszyscy zaczęli przedzierać się przez potłuczone szkło, zmierzając ku roztrzaskanym drzwiom.

W końcu wyszli z Gothique.

*

Po Damen mknął wóz strażacki i dwa samochody policyjne. Błyskały światła, wyły syreny. Tłumy na chodniku i na ulicy

rozstąpiły się, gdy wóz zatrzymał się i ze środka wysypali się strażacy. Damen bieгло coraz więcej policjantów, rozsypując się po całej szerokości ulicy. Z okien od frontu zaczął sączyć się dym. Gromada odziana w czarną skórę i koronki wypadła z krzykiem z alejki. W ślad za nimi wypłynęły gęste kłęby dymu.

Z Gothique wyłonili się Jeff z Jacks, Frank z Soksem, Rachel, Colleen z Cassem. Wyszli spod markizy.

Gapie nerwowo gnietli w rękach peleryny, przeczesywali palcami farbowane włosy, bawili się koronkowymi rękawiczkami i falbanami u koszul. Gotowie i gracze, bywalcy klubów, narkomani i dziwki, zwykli ciekawscy i cała reszta - wszyscy się rozstąpili. Policja odsunęła ich na boki. Pojawiły się karetki. Sanitariusze zaczęli opatrywać rannych i oszalałych, półnagich uciekinierów, którzy wciąż w oszołomieniu wędrowali po Damen.

Cała szóstka przeszła razem z psem przez ulicę i stanęła przed domkiem Franka. Fani darkwave i imprezowicze stali szeregiem, gapiąc się na stary budynek kina. Okna górnych pięter eksplodowały. Ze środka buchnęły płomienie. Znad dachu uniósł się wielki kłęb dymu. Chmura buchnęła z drzwi. Wokół biegali strażacy z węzami i gaśnicami. Wśród tłumu zaroilo się od policji, która otoczyła też policyjny wóz Terri Shepherd, zaparkowany w połowie chodnika pod markizą. Tłum zdeptał trawniczek przed domem Franka. Niektórzy uśmiechali się na widok tak wspaniałego widowiska, inni już nie byli tak do końca przekonani, że to tylko przedstawienie. Paru gapiło się w osłupieniu, kilku gwizdało, a byli i tacy, którzy płakali, bo nigdy nie udało im się tam wejść, a teraz wszystko się paliło. Mówili do siebie: „Kurczę, i co my będziemy robić dziś w nocy?”.

Jeff, Jacks, Frank i reszta gapili się na płonący budynek. Wpatrywali się w płomienie, buchające z okien, na ogień, który pełził po fasadzie, pożerając w końcu wielką, czarno - czerwoną markizę, aż ogromny, pisany gotykiem napis zmarszczył się, stopił i rozpadł, podczas gdy policja spychała gapiów z chodnika.

Stali na trawniku Franka i patrzyli w ciszy, czując może jedynie ponure zadowolenie.

Wszyscy prócz Cassa.

On patrzył na nastolatkę na chodniku.

Smukła młoda istotka zdawała się jedną z niezliczonych odzianych w czerń wojowników. Na pierwszy rzut oka była kolejną

dziwaczną gotycką laską. Tyle że niesamowicie piękną, jak porcelanowa laleczka z czarnymi oczami, czarnymi włosami, muskającymi jej twarz w zimnym wietrze. Mimo zimna miała na sobie tylko zwiewną, czarną sukienkę. Przez ramię przewiesiła czarną płócienną torbę.

Ona patrzyła na niego.

- Cass, co się stało? - Colleen pociągnęła go za ramię.

Jeff oderwał wzrok od Jacks i nagle stężał. Czujność na nowo rozpałała jego oczy. - Co się stało, Cass?

Arianne zaczęła iść ku niemu. Odsunął się, ciągnąc za sobą Colleen.

- Cass, co...

Arianne stanęła przed nimi. Upuściła płócienną torbę na chodnik i wbiła wzrok w Cassa.

- Znasz mnie? Skinął głową.

Spojrzała po kolei wszystkim w oczy. Zatrzymała wzrok na Jeffie i Franku. Z powrotem przeniosła wzrok na Cassa.

- On mnie zna. Wie, kim jestem. Czym jestem. - Ponownie im się przyjrzała. - Nie chcę wam zrobić krzywdy. Wyrządzono tu już wystarczająco wiele zła. Zniszczyliście Marka. On był mój. Ja go stworzyłam, a wy zniszczyliście. - Palce Franka już gmerały przy pasku M - 1, przewieszonym przez ramię. - Nie, starcze, zostaw broń na miejscu. Nie jestem jedną z tych istot, które tam zniszczyliście. Zapewniam cię, zginąłbyś wraz ze wszystkimi ludźmi wokół, zanim policja zdążyłaby zainterweniować... - westchnęła. - Ale dość już zabijania. Marek zginął. Zniknął jego dom wariatów. Tak pewnie lepiej. Może płomienie przyniosą oczyszczenie. Może zło sobie stąd pójdzie. Na razie. - Wpatrywali się w nią. Nikt nie zdołał wykrztusić żadnej odpowiedzi. Nikt nie był w stanie powiedzieć ani jednego słowa tej smukłej dziewczynie, która wyglądała jak jedna z nastolatek, kręcących się po ulicy i na trawniku. Jej ciemne, wypełnione wiedzą oczy uciszyły ich. Tylko ich spojrzenie nie pasowało do ślicznej, bladej twarzyczki. - Pragnę odejść. - Pochyliła się i podniosła torbę, a potem przewiesiła ją przez ramię. - Nie chcę wam zrobić krzywdy. Zapomnijcie, że mnie w ogóle widzieliście. Zapomnijcie o mnie. Nigdy wy ani wasze dzieci mnie już nie zobaczycie. Przysięgam.

Odwróciła się i odeszła.

Jeff potrząsnął głową i rozkaszłał się, gdy ulicę wypełnił dym. Frank wytarł oczy, w których pod wpływem smogu wzbierały łzy. Rachel usiadła ciężko na trawie i zaczęła płakać, że chce do mamy. Jacks podbiegła do niej.

Colleen i Cass wciąż patrzyli się na tłum. Widzieli, jak ludzie rozstępują się, by przepuścić smukłą dziewczynę w czarnej sukience. Gapie i gotowie wracali na swoje miejsca, walcząc o lepszy widok, krzycząc na policjantów i śmiejąc się ze strażaków.

Arianne zniknęła.

Zupełnie jakby nigdy tam jej nie było.

- Kto to był? - Jeff rozglądał się wokół, jakby dopiero się obudził.

- Nikt taki - odparł Cass, wciąż wpatrując się w Damen. - Zapomnij o niej, tak jak powiedziała.

- Chcę do mamy - zawodziła Rachel na trawniku. - Chcę do domu. Sox szczechnął. Wszyscy ocknęli się.

- Muszę wnieść psa i go opatrzyć - powiedział Frank. - Chcecie...
- Spojrzał na nich. - Nie. Pewnie wszyscy chcecie odejść stąd jak najdalej. Może tak będzie najlepiej. A ja? Chyba gdy opatrzę Soksę, zadzwonię do żony. Do diabła ze stawkami. - Ruszył ku przejściu między budynkami. Nagle zatrzymał się i obrócił. Spojrzał na Colleen. - Słuchaj, dziewczyno... Przykro mi.

Ta wyciągnęła dłoń i poklepała go po ramieniu.

- Nie szkodzi, Frank. Jest, jak jest.

Jeff stanął u jej boku i otoczył ją ramieniem.

- Słuchaj, coś wymyślimy.

- Na przykład?

- Nie wiem. Coś. Musi być jakiś sposób, by...

- Jutro wieczorem - rzekł Frank. - Spotkamy się, gdy wy... cóż, potem. Coś wymyślimy, jak wam pomóc. Tobie i twojemu przyjacielowi. - Popatrzył na Cassa. - Naprawdę.

Colleen potrząsnęła głową.

- Nie, Frank. - Odwróciła się do Jeffa i uściskała go. Nie wzdrygnął się pod jej dotykiem. Wytarła kąt oka. - Żegnaj, Jeff.

Colleen wzięła Cassa za rękę i wmieszali się w tłum.

- Nie szukajcie nas. Spróbujcie o nas zapomnieć.

I zniknęli w ciemnościach, tak jak Arianne, jakby ich tam nigdy nie było.

„Northtown News”

21 marca

Rewitalizacja północnej części Damen

Przedstawiciele lokalnych władz pozwali wraz z burmistrzem miasta do zdjęć z symbolicznymi złotymi

łopatami, a następnie odpowiedzieli na pytania reporterów na temat inwestycji Westlake Centre, wartej sześćdziesiąt pięć milionów dolarów. Na tysiącu dwustu metrach kwadratowych będzie się mieścić oddział biblioteki publicznej, centrum seniora, sześćdziesiąt sklepów i multipleks. Projekt zostanie wybudowany w północnej części Damen Avenue, na skrzyżowaniu z południowym krańcem Montrose. W ciągu ostatnich dziesięciu lat w tym rejonie widać było jedynie szeregowce i opuszczone sklepy oraz zrujnowany obecnie Palace Theater, o którym przez krótki czas wzmiankowano w prasie, gdy...

Policja w Chicago

Wydział Przepływów Nieletnich

Raport nr 00414

Temat: Raport na temat zachowań nieletnich, pierwszy kwartał roku

Potwierdzając założenia systemu informatycznego, zaobserwowano 11 - procentowy spadek ucieczek z domów oraz zaginięć nieletnich, zgłoszonych w tym roku w porównaniu z tym samym kwartałem zeszłego roku. Opieka społeczna Cook County potwierdza także zakładany 47 - procentowy spadek względem czwartego kwartału zeszłego roku. Do wiadomości: Wydział Zabójstw, Wydział Obyczajowy, Wydział do Walki z Przemocą Domową, wszyscy dzielnicowi...

Strony ekonomiczne „Chicago Tribune”

12 kwietnia

Ostatni gwóźdź do trumny Whitestar Spółka Anacom Inc. ogłosiła szczegóły zeszłomiesięcznej transakcji zawartej z Federalną Komisją do spraw Mediów, w wyniku której przejęła dwie lokalne stacje radiowe, stanowiące ostatnie zbywalne zasoby likwidowanej spółki Whitestar Media Group. Whitestar Media, zarządzane przez kontrowersyjną prezes i głównego udziałowca, panią Robertę Whitehead, zostało zlikwidowane przez Wydział Sprawiedliwości po werdykcie Komisji Papierów Wartościowych, która...

ROZKOSZNIE ZNIECHĘCENI, ODCZAROWANI I PONOWNIE
ZNIEWOLENI

Rozdział trzydziesty szósty

Ciemność pojawia się na wschodzie. Później powoli wypełza na całe miasto.

A oni budzą się wraz z nią.

Kolejna noc.

Czas na pobudkę.

Dzieci ciemności wypełzają z legowisk i wpadają wprost w objęcia wieczoru.

Miasto znalazło się w okowach zimy, która pogrzebała je w zamieci i śnieżnych burzach, przemaczając lodowatym deszczem i pluchą. Gdy w końcu śniegi stopniały, nikt się nie zdziwił, że wszystko wygląda mniej więcej tak samo jak jesienią.

Co noc pełnili wartę w chatroomach i na stronach internetowych. Nadal pożerali powieści w obrazkach, książki w miękkich oprawach i poplamione tuszem ziny. Wkuwali na pamięć wielotomowe kultowe książki i kolekcjonowali posążki. Nieustannie walili w klawisze programowanych organów elektronicznych, machali gitarami z komisu i już planowali, jak inteligentnie odpowiedzą na pytania w wywiadzie w MTV. Śnili podniecające sny o garażowych sesjach. Wciąż trudzili się nad programami, których nigdy nie mieli skończyć, i cierpieli, pisząc pełne bólu wiersze o miłości i fragmenty powieści. Ręce kreśliły scenariusze, pióra mazały freski i kopiowały skradzione, zeskanowane i zachowane w bitmapie cyfrowe dzieła sztuki New Age. Pokonywali wszelkie drogi do wymarzonych piekieł, wybrukowane bezcelowymi, niedokończonymi dziełami.

Rytuały też się nie zmieniły, choć teraz zawierały w sobie jakiś pocieszający element.

Wciąż przeglądali się w lustrach na szafach i popisywali się w brudnych kabinach prysznicowych. Nadal grzebali w szufladach z bielizną, szukając zamawianych pocztą cynowych czaszek i pierścionków ze skrzydłami nietoperza, pomalowanych na metalowo plastikowych krzyży ankh, aksamitek i wysadzanych ćwiekami winylowych obroży. Wciąż lakierowali poobgryzane do krwi paznokcie i przyklejali na nich kalkomanie. Malowali usta, by seksownie błyszcząły wilgocią, otaczali oczy cieniami i tuszem, by wyglądały jak podbite. Nadal kochali złudnie heroinowy szyk, kokainową haute couture, ten wymizerowany, boleśnie blady, ale jakże podniecający, śmiertelny wygląd.

Ale dla niektórych rozmarzone lato i jesień stanowiły otrzeźwiający doświadczenie, zupełnie jakby ktoś rozbił plastikową czaszkę, w której dotąd tkwili. Spojrzeli w lustra na umalowane przesadnie twarze, jak nigdy nie popatrzyliby na nie ich partnerzy. Ujrzeni coś dziwnego w tłumach ubranych w kostiumy szmacciarzy i imprezowiczów. Coś niepokojącego czaiło się w klubach i grach. Coś niekonstruktywnego kryło się we wszystkim, co robili. Słyszeli podświadomy krzyk: „Czas się kończy!”. Czuli, że nadszedł moment, by wszystko przewartościować, a może nawet wrócić do rzeczywistości. Tak więc niektórzy - naprawdę nieliczni - rzucili wszystko, odeszli, nie zostawiając nikomu usprawiedliwienia, zniknęli na wyższych poziomach albo wmieszali się w tłum, przełknęli dumę i zadzwonili do domu po pieniądze, by usunąć tatuaże lub zamówić wizytę u lekarza w sprawie paru założonych ostatnio kolczyków, otworzyli dział z ogłoszeniami o pracę albo błagali macochę o dofinansowanie ich prawie skończonych studiów na wydziale socjologii.

Tych paru wykazało się brakiem lojalności. Okazali brak zaangażowania. Sprzedali się na początku zimy, gdy pierwszy śnieg otulił czarne ruiny i spaloną czarno - czerwoną markizę, a reszta...

Właśnie, co z pozostałymi?

Reszta wciąż marzyła.

Pozostali pragnęli co noc, by spełniły się ich mroczne marzenia. Zakładali rękawiczki bez palców na miękkie, chude dłonie, czuli otarcia szorstkich szwów koronek z supermarketów i szarpali błyszczące, śliskie pończochy, by zamieniły się w delikatne pajęczyny. Bezpłciowe, czarne rajstopy opinały anorektyczne biodra, a na kościstych, białych ramionach ślizgały się tasiemki gorsetów. Czuli, jak skóra Harley Hog drży na ich niezgrabnych nogach. Wciąż kochali dźwięk, z którym artystycznie poszarpane džinsy, skórzane spodnie i plastikowe spódnice wpełzały na ich ciała. Uwielbiali szelest satynowych peleryn, gdy okręcali się przed lustrem, pocieszające pobrękiwanie suwaków skórzanych motocyklowych kurtek, stukot ciężkich butów i obcasów butów na osłoniętych czarną lycrą nogach.

Dzięki temu czuli się bezpieczni. Wreszcie znów wszystko wróciło do... normy. Tak jak powinno być. Ponownie mogli pogardliwie patrzeć na niezorientowanych, normalnych ludzi w beznadziejnych garniturach i symbolizujące proletariat sekretarki. W

końcu szczury z podmiejskich centrów handlowych i dyletanci z Gold Coast zrozumieli, że nie wystarczy samo przebranie się w czarną mini, by należeć do klubu. Żaden z maturzystów nie uważał już, że umalowanie oka cieniem jest przepustką. Teraz, żeby zyskać wiarygodność, trzeba było czegoś więcej, niż cytaty z kręconych specjalnie dla kablówki seriali z krwią i cymbalami.

Tak więc wciąż zbierali się w klubach, praktykowali kult, jeździli na zloty i zdobywali rekrutów w niekomercyjnych kawiarniach z autentycznymi, ceglanyimi ścianami i artystycznym rodowodem, o czym świadczyły kubki od kompletu. Starsi wciąż spierali się o Bauhaus, Maplethorpe, Shelleya i Baudelaire'a. Nadal wygłaszali kazania dla nowicjuszy, którzy nieustannie rumienili się i niemal dostawali orgazmu przy swoich Brite'ach, Meltonach i najnowszych królach RPG.

Dark Echoes splajtowały i odrodziły się jako bar dla taksówkarzy. Jaskinia Rimbauda przeszła remont i otworzyła podwoje jako wegetariańska restauracja dla sportowców. Ale nieustannie otwierano nowe lokale, równie obskurne jak bary w byłych sklepach. Tym razem chodziło się do zaadaptowanych magazynów i czekających na adaptację przejść. Tam mogli znów oblizywać czubki dentystycznych atrap, usta, siebie i ludzi naprzeciwko. Mogli lizać zadawane sobie samym rany, krwawiące od niespełnionych snów. Wciąż mogli wydymać dym z bi-disów, pławiąc się w śmierdzącym goździkami oparze z niezliczonych owocowych papierosów, który unosił się wokół nich niczym cmentarna mgła.

Och super! Jak cmentarna mgła.

Ponieważ na nowo wszystko zostało nakreślone, tak jak być powinno.

Trzydziestoparoletni przypadkowi bywalcy i krawaciarze - renegaci wrócili do centrów sportowych i porządnym barów. Modny tłum rodem z butików Bloomie i salonów przy Oak Street przekazał Czerwonemu Krzyżowi czarne suknie, czarne garnitury, koszule i rajstopy, wraz z ledwo użytymi martensami i szpilkami. Dziewczyny wróciły do plotek, chłopcy pod sklepowe arkady, a szachiści nieudacznicy do domów, skąd nigdy nie powinni wychodzić.

Wszystko wróciło do normalności.

My jesteśmy tutaj.

Cały świat jest tam.

Po tym wszystkim wcale nie było już tak fajnie tkwić na mrocznym marginesie społeczeństwa. W końcu matki piłkarzy ćwiczyły taneczne kroki przy płytach Morphine Angel i pokazywały się na wywiadówkach w sukniach Morticii. Moda, zespoły i ziny już nie uosabiały buntu i nieugiętej opozycji, bo przecież maklerzy zaczęli robić sobie wokół szyi tatuaże w formie korony cierniowej i ustawiali pomiędzy listopadowymi aukcjami sesje gier fabularnych.

Teraz każdy mógł sobie odpuścić, zrelaksować się, sączyć merlota, zaciągać się gitanem, naciągnąć schludnie rękawiczki z koronek, wygładzić rajstopy z siatki i usiąść wygodnie w spleśniałym, przytarganym ze śmietnika fotelu, przeglądając staromodną gazetkę z fetyszami w świetle eklektycznych świec, nie niepokoiony przez turystów, którzy wcześniej wpadali, siadali i zachowywali się, jakby byli w domu.

Tak właśnie wszystko miało wyglądać.

Czuli się rozkosznie zniechęceni, odczarowani i ponownie zniewoleni.

Ponownie.

Teraz - jeśli tylko byli w nastroju i jeszcze im się to nie znudziło - odkładali na bok Rimbauda i Crowleya, zamawiali likiery w cudnych kieliszeczkach, cierpliwie postukiwali pięciocentymetrowymi, pomalowanymi na czarno paznokciami i wpatrywali się poważnym, głębokim wzrokiem w oczy nowicjuszy, w końcu zgadzając się opowiedzieć zbyt dobrze znaną opowieść, zupełnie jakby mroczny, dekadenski sekret miał być po raz pierwszy objawiony światu. Była to zapierająca dech historia o rozpaczliwym czekaniu i nadziei, o żądzach i pragnieniach, by wszystko stało się prawdą.

Filmy, piosenki, gry i książki, płyty, komiksy i czasopisma, podręczniki do gier, strony internetowe i chatroomy, kluby, spory i kostiumy - wszystko, błagali, miało stać się prawdą. Miało wymazać nudę dnia, zmienić marzenia w rzeczywistość, być prawdą, błagali. Chcieli stać się otulonymi mgłą barbarzyńskimi świętokradcami, chcieli mieć kielichy, wyrżnięte z jednego kawałka kryształu, pełne gęstej, ciepłej czerwieni, pragnęli, by ktoś wziął ich w posiadanie, zniewolił, wszedł do domu, wśliznął się do pokoju, wpełznął do łóżka, zanurzając się w pościel, i dotknął - tak prawdziwie - a potem ugryzł, tym razem naprawdę, och, niech to wszystko stanie się prawdą.

Realne.

Prawdziwe.

O to właśnie błagali.

Wówczas doświadczeni gotowie i fani darkwave'u kiwali znacząco głowami, naciągali nowicjuszy na jeszcze jedną kolejkę i przysuwali się bliżej, tym chętniej, im tamci byli młodszy, śliczniejsi i bardziej uposażeni w parę dolarów wetkniętych za gorset, samochód i mieszkanie, albo po prostu w cierpliwość i szacunek, pozwalające im wciążyć tam siedzieć i słuchać.

Wtedy bowiem nowicjusze dowiadywali się wszystkiego o prawdzie i złudzie, o plotkach i faktach. Opowiadano im to ściszym głosem, zaklinając się na Boga, z dokładnością opowieści z trzeciej ręki, bo „współlokator mojego kuzyna sam tam był”.

Wtedy opowiadano im wszystko o Gothique...

*

Wiosna to błękitne niebo, pąki na drzewach i kwitnące kwiaty.

Chicago przez większość swojej historii miało jednak tylko dwie pory roku: przeraźliwie gorące i wilgotne lato oraz nieskończenie długą, mroźną zimę. Ten rok nie różnił się niczym od poprzednich. Nastąpiła kalendarzowa wiosna, ale rzadko za dnia wychodziło słońce, a zamiast śniegu padał marznący deszcz. Na ulicach panowała chłapa. Wiatr nadal wiał z północy, a po niebie pędziły chmury. Na szarym jeziorze były krótkie fale i najprawdopodobniej miało tak pozostać aż do połowy maja.

Ale tak czy owak, Colleen nie widziała słońca już od wielu miesięcy.

Tak samo Cass.

Zimny wiatr, który pędził między gołymi drzewami i ciskał zblakłe zimowe śmieci o pomniki, nie mógł wyziębnić jej ciała, bo już było zimne. Colleen czytała nazwiska na nagrobkach, otulając się skórzaną kurtką. Cass kupił jej modny łaśzek na pchlim targu na Milwaukee Avenue i dał w prezencie na Boże Narodzenie. Prawie się rozplakała, mimo, że prezent nie był w opakowaniu. Sama nic dla niego nie przygotowała. Spędzili Wigilię, siedząc całą noc na The Rocks w zatoce Belmont i patrząc, jak obok nich przepływają kry. Nigdy jej nie zdejmowała. No, prawie nigdy, jedynie przy niezwykle rzadkich okazjach, gdy udało im się wskrobać wystarczającą ilość pieniędzy z okazji obrobionej kieszeni lub od hojnego i niezwykle przerażonego idioty, który był na tyle głupi, by robić słodkie oczy do

niej lub do Cassa - zależnie od preferencji - zatrzymać samochód na Broadwayu i gwizdać na nich lub próbować upić ich drinkami w barach na Halsted Street. Zawsze zostawiali te drinki nietknięte. Udawało im się zebrać wtedy tyle pieniędzy, by spędzić przytulnie noc lub dwie w obleśnym motelu na North Lincoln lub w jedyńce w Uptown, gdzie brali prysznic i prali ubrania, a potem przytulali się pod prawdziwą kołdrą na prawdziwych prześcieradłach podczas długich, przypominających śpiączkę dziennych snów umarłych.

- To tutaj - zawołał Cass.

Colleen widziała, jak wskazuje grób o dwa rzędy od niej. Przemykała między pomnikami. Czarne oczy z łatwością znajdowały drogę w ciemnościach. Zatrzymała się u jego boku. Spojrzała w dół i ujrzała imię, wyryte w różowym marmurze, krzykliwym, ozdobnym kamieniu, opłaconym przez Whitestar z wypranych, splamionych krwią pieniędzy.

Megan Anne Russell Odziedziczyliśmy po tobie miłość

Colleen uklękła. Rozpięła kurtkę i wyjęła wygnieciony bukietik goździków, kupiony od człowieka, który sprzedawał je z kartonu na skrzyżowaniu Hollywood i Sheridan. Kupiła ostatni bukietik, który pozostał człowiekowi po godzinach szczytu. Pięć dolarów za bukietik. Tylko goździki. Niektóre już więdły.

Położyła delikatnie kwiaty u stóp grobu siostry.

- Śmieszne - powiedział Cass. - To znaczy nie w sensie komizmu, tylko dziwne. Wiesz, mamy tyle czasu. - Wiatr szarpał jego płaszczem, który przypominał czarne skrzydła. - Śmieszne, że nigdy tu wcześniej nie przyszliśmy. Odkąd... no wiesz odkąd.

Wstała i odsunęła długie rude włosy z twarzy.

- „Odziedziczyliśmy po tobie miłość”. No nie wiem, Cass. Zastanawiam się, co ona by czuła? Zastanawiam się, czy Megan martwiłaby się, że jej dziedzictwem były te wszystkie straszne rzeczy i śmierć tylu ludzi. Tyle dzieci nosi na sobie blizny i ma przed sobą zrujnowane życie, bo siedzi gdzieś w jakimś domu wariatów i wali głową w mur. Ciekawe, czy kiedykolwiek zdawała sobie sprawę, co odkryła i jakie to wywoła kłopoty.

Cass stanął u jej boku i położył głowę na jej ramieniu.

- Jak zwykle, dziewczyno, nie masz racji. Uśmiechnęła się.

- Och, doprawdy?

- Tak. To stary problem, czy szklanka jest w połowie pusta, czy w połowie pełna. Możesz patrzeć na jasną stronę lub... no, może nie zagłębiajmy się w ciemną stronę.

Szturchnęła go łokciem.

- Powiedz coś sensownego.

- Megan nie wywołała wszystkiego, co się stało. Colleen, twoja siostra nie jest za to odpowiedzialna. Możesz uznać, że uratowała wiele istnień. Dokopała się do prawdy i ruszyła z miejsca dochodzenie. Może gdyby nie ona... kto wie, co by się stało? Kto wie, ilu ludzi by umarło, zanim wszystko by się zawaliło? Być może w przedziwny sposób twoja siostra pozostawiła po sobie miłość.

- Tak. To miłość ją zabiła. Skinął głową.

- Dokładnie.

- Ze mną też się ta miłość niespecjalnie obeszła.

- Znów ta ciemna strona, Col. Odsunęła się od grobu.

- Nie sądzę, by ktokolwiek z nas kiedyś spoczął w podobnym.

- Co? Och, tak.

- Kto nas pochowa? Kto nam kupi nagrobek?

- Mam nadzieję, że ktoś, kto nie wybierze różowego marmuru z aniołkami po bokach.

Zajrzała mu głęboko w oczy.

- Kto położy kwiaty na naszych grobach?

- Kochanie, kiedyś będziesz tarzać się w niebie w różanych płatkach.

- Tak uważasz? A co z tobą? Roześmiał się.

- Ja? Och, popełniłem parę niegodziwości, zanim cię jeszcze spotkałem.

Pewnie w piekle będą mi wbijać ciernie w palce. - Objął ją i odprowadził od grobu. - To co, ponure czasy już za nami?

Szli między rzędami nagrobków. Dotarli do kutego płotu ogradzającego cmentarz i przeskoczyli go.

Zniknęli w ciemnościach.

Szli po alejkach i po jednokierunkowych ulicach, wpadając i wypadając z kręgów światła, rzucanych przez lampy. Byli tylko cieniami, czarnymi sylwetkami, których nikt nie zauważał, chyba że mijający samochód omiótł reflektorami blade twarze lub światło latarni zabłyszczało w oczach. Szli przez dobre dwie godziny, oddalając się od cmentarza. Poszli na północ, przez Rogers Park, w

końcu przecinając Sheridan. Poszli dalej North Shore Avenue, niewielką uliczką z drzewami przy ulicy, która wyglądała niemalże jak Chase, ich stara ulica. Znaleźli się ledwie o parę przecznic od starych śmieci.

Żadne z nich od dłuższego czasu nie wspominało starego mieszkania. Nie wrócili i zapewne właściciel poradził sobie z ich rzeczami - których i tak nie było za dużo - gdy skrzynka pocztowa wezbrała od listów, przestali płacić rachunki, a na konto właściciela już nie wpływał czynsz.

W ciszy szli przez dzielnicę czteropiętrowych bloków i kamienic z lat dwudziestych, które ponownie zasiedlano. Doszli do końca bloku, gdzie zaczynała się wąska srebrzysta plaża. Plaża skrzyła się bardziej od rozbitych butelek, spłowiałych kubków po kawie i wyrzuconych prezerwatyw niż od piasku. Jezioro Michigan było głośno o brzeg w zimnym wietrze, który wiał tuż przed świtem. Powiew szarpał płaszczem Cassa i bił długimi włosami twarz Colleen. Zatrzymała się, gdy wyszli na piasek, i zdjęła buty. Porzuciła je na piasku, poszła parę metrów dalej, a potem zaczęła niezgrabnie skakać na jednej nodze, ściągając skarpetki i rzucając je na wiatr. Potem pobiegła na bosaka, by dołączyć do Cassa.

Zdjęła skórzaną kurtkę.

- Potrzyj ją chwilę.

Trzymał kurtkę, a ona rozpiniała koszulę. Zdjęła ją i rzuciła na piasek.

- Niech zgadnę - powiedział - chcesz się wykąpać na waleta? - Białe ramiona zdawały się jeszcze bielsze przez kontrast z czarnym podkoszulkiem bez rękawów. Dziewczyna uśmiechnęła się, potrząsnęła głową, mówiąc „nie”. Zabrała kurtkę. Przerzuciła ją przez ramię i zaczęła brnąć w piasku. Podeszli do długiego, skorodowanego falochronu z metalu i betonu, który wrzynał się daleko w jezioro. - Dobrze, Colleen, będę dalej zgadywał. Poopalasz się? - Zatrzymała się i spojrzała mu w oczy. To było długie i poważne spojrzenie, w którym czaił się smutek. - Czy to prawda?

Skinęła głową.

- Cass, wiedziałeś, że któregoś dnia tak się stanie, prawda?

Odwrócił wzrok. Wyciągnęła rękę i złapała go za brodę. Skierowała jego twarz ku sobie.

- Cass, chyba nie uważałeś, że mogę tak żyć. Prawda? Nie odpowiadał jej przez dłuższy czas.

- Cass... Po prostu czas na mnie.

- Dobrze. - Wsunął dłoń w jej rękę. - No to chodźmy.

- Czekał. Nie miałam na myśli ciebie. Musisz odejść. Nie chcesz to być, kiedy... Cass, nie.

Ale on trzymał ją mocno, idąc ku falochronowi.

Poszli do samego końca. Utkwili czarne oczy w horyzoncie, gdzie już zarysowała się linia między jeziorem a niebem. Z każdym ich krokiem granatowa ciemność zamieniała się w fiolet i coraz jaśniejszy błękit.

Usiedli na samym skraju, zwieszając nogi nad wodą, która niemal lizła stopy Colleen.

- Cass, jesteś pewien? - Nie odpowiedział. - Masz jeszcze czas. Jesteśmy zaledwie o dwie przecznice od naszego mieszkania. Pamiętasz, jak sobie poradzić z zamkiem do piwnicy i dostać się do pralni, prawda? - Ale on tylko patrzył, jak niebo staje się jaskrawoniebieskie. Obłoki żarzyły się na krawędziach żółto - pomarańczowym ogniem. - Cass...

- Wiesz, że miałem więcej „miłości mojego życia”, niż umiem zliczyć. Ale miałem tylko jednego prawdziwego przyjaciela. Nie chcę przeżyć całej wieczności bez ciebie. Do diabła, nie przetrzymałbym nawet jednej nocy. - Spojrzał na nią i uśmiechnął się. Kły wystawały z ust. - Nie przeżyłbym.

Patrzyła na niego. Ponownie zobaczyła absolutne piękno Cassa. Dziś był jeszcze piękniejszy, właśnie w tej chwili, gdy pomarańczowy świt miał zaraz zabarwić tę twarz. Był najpiękniejszym mężczyzną, najpiękniejszym człowiekiem, którego kiedykolwiek widziała. Nie tylko cieleśnie. Miał piękną duszę.

Przesunęła ręką po betonie. Złapali się za dłonie. Za ich plecami zaczął formować się coraz ostrzejszy cień.

- Cass... Tak bardzo się boję. Skinał głową.

- Myślisz, że to będzie bolało?

- Nie wiem, Col. Może... A może wszystko stanie się naprawdę szybko. Zmrużyła oczy. Musiała osłonić oczy dłonią.

- Nie, to boli, Cass. Ja... Czujesz? Niebo zapłonęło ogniem nad taflą wody.

- Tak, Col, czuję.

Nad horyzontem ukazała się smuga ognistej czerwieni.

- Cass, jak to boli. - Przytulił ją, otoczył mocno ramionami i osłonił płaszczem nagie ramiona. - O Boże, Cass, to... - W uszach rozległ się ryk, gdy wrząca kula ognia wspinała się coraz wyżej. - Cass! - musiała krzyczeć. Rozszalałe piekło zagłuszało wszystko. - Ja... kocham cię!

- Colleen, ja ciebie też kocham!

Krzyczeli, ale ich wrzask zamienił się w ledwo słyszalny dźwięk, gdy zapłonął ogień i otoczył ich dym.

Wiatr powiał nad falami i rozproszył dym.

Rozrzucił ich prochy na wodzie.

*

Nikt nie czekał, aż wiosenne deszcze zmyją brud.

Osmalone ruiny Gothique nadal dymiły dzień po pożarze, gdy na miejscu pojawiły się zastępy policjantów, śledczych i wysłanników z biura koronera, sprowadzonych z hrabstw Cook i DuPage, którzy zaczęli badać gruzy.

Niewiele znaleźli. To, co odkryli, rodziło tylko jeszcze więcej pytań, których w rzeczywistości nikt nie chciał zadać i z pewnością na które nikt nie miał przygotowanych odpowiedzi. Ale nadal grzebali wokół, badali i wynosili całe pudła starannie oznaczonych torebek z dowodami. Przeprowadzono kilka konferencji prasowych. Samochody stacji telewizyjnych rozbiły obóz na Damen Avenue. Dziennikarze zaczęli nawet wchodzić na malutki trawnik przed domem Franka Hoelevicha, dopóki wraz z Soksem ich stamtąd nie przegonił.

Przez jakiś czas pokazywano w gazetach i telewizji sabaty nastolatków i zmontowane raporty o kultach wiedźm i wampirów. Spod kontroli wymknęły się zawoalowane sugestie na temat narkotyków, kręgów prostytutek, nienormalnych kultów i innych nieprawdopodobnych, podniecających rzeczy, które mogły zalegnąć się tylko w dziennikarskich umysłach, ale w końcu był to miesiąc zburzenia lokalu. Dość szybko sensacyjne historie znudziły się. Nadszedł czas na analizę szczegółów dotyczących miejskich urzędów i wydziałów policji, a to z kolei było zbyt nudne, jak na pierwszą stronę i wieczorne wiadomości. Do diabła, na Channel 9 o 22.00 nadawali co lepsze powtórki, a większość ludzi czytających gazety przechodziła wprost na stronę ze sportem, by sprawdzić wyniki Bearsów. Poza tym spece od wizerunku pracowali po godzinach, by

zaradzić sytuacji kryzysowej i jakoś zatuszować całą sprawę. W końcu na odpowiednich poziomach władzy podjęto odpowiednie decyzje. Przeprowadzono należną liczbę zawiesznień, dokonano aresztowań i pozwalniano tylu ludzi, ilu trzeba, w urzędach miasta i w zdumiewająco dużej liczbie komisariatów. Zwalniano po kilku ludzi tygodniowo, dlatego tak naprawdę nikt niczego nie zauważył. Nikogo nie obchodziły czyste i nudne procesy, okraszone starannymi doniesieniami na temat gangów, zorganizowanej przestępczości i dziwnych wpływów.

W końcu to było Chicago. Korupcja nie była tu nowością. Wszyscy się jej spodziewali.

Niewiele czasu zajęło dotarcie do „Charade”, a potem do całej Whitestar Media Group. W końcu trafiono na sam szczyt. Istnieją ciekawe nagrania wideo, ukazujące, jak policja wyprowadza potarganą, półnągą Robertę Whitehead z luksusowego apartamentu na dwudziestym siódmym piętrze. Ostatnie osiem tygodni picia non stop przez dwadzieścia cztery godziny na dobę sprawiły, że kobieta nie mogła sklecić porządnego zdania. Policjanci wrzucili ją na tylne siedzenie samochodu, a ona bełkotała do kamer, że oni po nią wrócą. Drzwi zatrzasnęły się, urywając szaleńczy bełkot.

Roberta spędziła święta w miłej, wyściełanej celi. Przecier ze świątecznego indyka serwowała jej łyżeczką krzepka pielęgniarka z wąsami o imieniu Wanda. Imperium Whitestar rozpadało się, a kierownictwo wyższego szczebla wyskakiwało z tonącego okrętu albo - jak to miało miejsce w przypadku wiceprezesa z działu prawnego - wyskakiwało z okna.

W tym czasie małe korporacyjne szcurki, które zapewniły sobie stanowiska dzięki nurkowaniu między uda Roberty, zaczęły ponosić odpowiedzialność. W sprawę włączył się prokurator generalny. Wydział policji Chicago też miał parę spraw do rozwiązania. Wreszcie wkroczyło FBI. Pojawił się Interpol, też pytając o jakieś kwestie. Śledztwo rozpoczęła Komisja do spraw Papierów Wartościowych, Federalne Biuro Handlowe, Urząd do spraw Mediów, Komisja Handlowa i cała gromada innych komisji i urzędów, wysyłając przedstawicieli, którzy mieli przyjrzeć się bliżej Fairmont Court. W końcu szybko rozwiązali Whitestar Media Group, likwidując organizację cegła po splamionej krwią cegle.

Nie trzeba chyba wspominać, że „Charade Magazine” ukazało się po raz ostatni przed końcem roku. Choć czasopismo zyskało popularność wśród chwilowo nielicznej społeczności gotyckiej, dystrybutorzy i dzierżawcy kiosków spędzili wiele czasu, dokonując zwrotów.

Blair Armstrong w ostatniej chwili zdążyła uciec.

A w zasadzie została wywalona przez zarząd Whitestar jedną z ostatnich oficjalnych decyzji. Tak więc ledwo przetrzymała szczególnie lodową zimą, ponieważ zawsze wydawała więcej, niż zarabiała. Okrągła sześciocyfrowa sumka wynagrodzenia redaktor naczelnej ledwo zdążyła wpłynąć na jej konto, a Blair już nie pracowała w „Charade”. Podczas głębokiego flirtu z ciemnością nabrała nawyku picia o dowolnej porze dnia i zyskała jeszcze parę innych kosztownych nałogów, które pomagały jej przetrwać tamte dni i noce. Pochlebne, troskliwe towarzystwo chicagowskich mediów, które ledwie parę tygodni temu starało się jej nadskakiwać, teraz odwróciło się do niej plecami. Stało się to mniej więcej w tym czasie, gdy wozy strażackie w końcu spakowały się i odjechały z nadymających ruin Gothique. Nagle grudzień okazał się miesiącem, w którym agencje pracy, rekrutujące personel dla branży medialnej, przestały odpowiadać na jej telefony. W styczniu ona unikała wierzycieli. W lutym Blair sama zaczęła rozsyłać swoje życiorysy. W marcu zaczęła osobiście wypełniać formularze, ale jeden z nich, dzięki Bogu, przyniósł jej pracę. Ledwo zdążyła, bo już zaczynała dzielić sobie zestawy Happy Meal na porcje, by wystarczyły na obiad i kolację. Blair zaczęła pracę na stanowisku o dumnej nazwie redaktor naczelna - co sugerowało, że przeskoczyła na równorzędną pozycję - ale w czymś, co się nazywało „Biuletyn marketingowy producentów urządzeń filtrujących”, z płacą zaledwie dwadzieścia pięć tysięcy dolarów, i na dodatek w Topece w stanie Kansas. Udała się tam autobusem rejsowym, ponieważ lexusa dawno już nie było, tak samo jak większości jej rzeczy.

Blair siedziała samotnie w wyziębionym, jednopokojowym mieszkanku w Topece, w ciągu wielu zimowych i wiosennych nocy wpatrując się w aparat telefoniczny. Próbowwała zebrać w sobie odwagę, by zadzwonić do Chicago do Jeffa Stanchecka, by sprawdzić, jak się miewa jej stary „kolega”. Ale pomimo wszystkich głupich i wstrętnych - a nawet podłych - rzeczy, które zrobiło to cudowne

dziecko z Nowego Jorku, miała na tyle przyzwoitości, by pozwolić mu dalej żyć w spokoju.

A może była zbyt pijana, by sobie przypomnieć jego numer.

*

Jacks stała blisko ojca, przyklejona do niego jak cień.

Ostatnio cały czas się tak zachowywała, ale Jeffowi to nie przeszkadzało. Musiało upłynąć trochę czasu.

A jeśli była zbyt przylepna tutaj, w tym miejscu? Cóż, a kto by nie był? Cmentarz wyglądał ponuro, nawet gdy świeciło słońce i niebo było niebieskie. Ale tego dnia niebo zasnuły szare chmury, a postacie świętych i krzyże na nagrobkach wcale nie sprawiały, że czuli się pewniej.

Pewnie miało to coś wspólnego z wiedzą, że umarli nie zawsze zachowują się jak martwi.

Jeff położył bukiet róż na grobie Megan Russell. Stał przez chwilę w ciszy i odmawiał modlitwę. Nie mógł się jednak skupić, by odnaleźć właściwe słowa. Wpatrywał się w zaschnięty, zwiędły bukietik goździków, oparty o pomnik z różowego marmuru. Kwiaty owinięto w chusteczkę, która zapewne kiedyś była zielona, ale wypłowiała od słońca i zżółkła. Podarł ją deszcz i wiatr. Dotknął bukietika i chusteczka rozpadła się. Suche płatki goździków rozsypały się w jego palcach. Wiatr uniósł pył.

Schwycił jeden kwiat, zanim poniósł go podmuch. Trzymał go w dłoni i delikatnie włożył do kieszeni.

- Chodź, Jacks.

Poszli do domu. Rozmawiali o szkole, o jesieni, o uczelni. Jacks wiedziała, że może iść, gdzie zechce. Pieniądze nie miały znaczenia. Jeff zaczął pracować za niezłą stawkę jako dyrektor artystyczny dla mieszczącej się na północnych przedmieściach Millimark Publications Group. Nadzorował zespoły projektujące dla siedmiu różnych czasopism i już dostał premię w wysokości dwudziestu pięciu tysięcy za świetną robotę, wykonaną w ciągu dwóch miesięcy od rozpoczęcia pracy.

Uzgodnili razem, że Jacks pójdzie do Loyola University, w centrum. Zamierzali zobaczyć campus w śródmieściu na Michigan Avenue, obok hotelu Park Stratford. Jacks drażniła się z nim, mówiąc, że pójdzie na Wydział Sztuk Pięknych. Może zacznie od dyplomu licencjata w projektowaniu graficznym, czyli czymś, co miało do

czynienia z komputerami, ale na swój fajny sposób. Planowała mieszkać w ich domu i dojeżdżać do szkoły. Jacks cichła, wstawiała i wychodziła z pokoju, gdy Jeff choćby wspomniał o akademikach i studenckich mieszkaniach. Mówiła coraz więcej o kupnie samochodu, jakiegoś niewielkiego i sportowego pojazdu, może jednego z tych modnie wyglądających, ekonomicznych, trzydrzwiowych wozów, które wzbudzały irytację Jeffa.

- Hej, staruszkule - żartowała - parę miesięcy temu wróciłam do domu, a ty znów chcesz się mnie pozbyć?

Ale Jeff wiedział, że nie chodzi jej wyłącznie o to. „Bycie w domu” nie miało zbyt wielkiego znaczenia. Wiedział, że Jacks jeszcze nie jest gotowa. Kiedy zaczynał mówić o tym, Jacks była wciąż do głębi przerażona. Może tak miało być jeszcze przez długi czas. Zastanawiał się, kiedy znikną blizny. Myślał, ile jeszcze innych dzieci leczy takie same rany.

Jeff jechał po wąskich pasach Lake Shore Drive, które w godzinach szczytu sprawiały wrażenie jeszcze węższych. Włączył światła, a potem zjechał na prawo, widząc napis „Następny zjazd - Montrose Avenue”.

- Co się stało, tato? - Początkowo jej nie odpowiedział, tylko wjechał na Montrose. Kiedy przejeżdżali obok kościoła Świętego Alstantiusa, Jacks wyprostowała się i rozejrzała. Po chwili poznała okolicę. Zobaczyła, że zbliżają się do świateł na Damen Avenue. - Tato, co robisz?

- Ja tylko... - Skręcił w lewo, na Damen. - Jacks, chcę to zobaczyć. Muszę.

- Tato, ale ja nie chcę.

- Może powinnaś, skarbie. Może obojgu nam to dobrze zrobi. Potrząsnęła przecząco głową.

- Tato, nie. Ja...

Jeff zaparkował przy krawężniku, między dwoma przepełnionymi budowlanymi kontenerami na śmieci. Wszystko zniknęło.

Nie było śladu po Gothique. Klub został całkowicie starty z powierzchni ziemi. Zniknęła każda gipsowa belka, każdy akrylowy witraż i odlewany plastikowy gargulec. Budynek wyburzono aż do najgłębszych poziomów pod piwnicami, usuwając ostatni śmierdzący, osmalony kawałek kamienia. Wypalone ruiny wyrwano z ziemi i wywieziono na wysypisko tuż po Nowym Roku. Zamiast nich pojawił

się głęboki dół. Wykopano go, gdy odtajała ziemia. Tutaj miano wylać fundamenty pod Westlake Centre.

Jeff spojrział na drugą stronę ulicy.

Jego wzrok padł na wielki billboard, przedstawiający artystyczną wizualizacją centrum Westlake, w którym miała mieścić się biblioteka, centrum seniora, sklepy i supermarket. Wszędzie przechadzali się szczęśliwi klienci. Był to uroczy fragment podrabianych przedmieści, wrzucony w sam środek północnego skraju Damen Avenue.

Jeff wpatrywał się w znak.

Podpory stały w miejscu, gdzie niegdyś rósł klomb przed domem Franka Hoelevicha, a staruszek wciskał w kwiaty wodoszczelny, wojskowy pojemnik z niedozwolonymi cygarami. Góra billboardu znalazła się mniej więcej na poziomie okna Franka. Tam staruszek wyglądał przez żaluzje i patrzył na przerażający budynek naprzeciwko. Dziewięć metrów z tyłu stał ustawiony na blokach dźwig. Znalazł się na miejscu podwórka, używanego przez Soksę przed wieczornymi spacerami.

Wszystko zniknęło.

Wszystkie domki i puste sklepy przy Damen wyburzono, poczynawszy od skrzyżowania z Montrose po Irving Park Road. Budynki zostały wykupione przez deweloperów albo ostatecznie skazane na śmierć przez miasto i wysadzone, zamieniając się w kupki potrzaskanych cegieł, odłamki dachówek, fragmenty tokarek i gipsowych ścian. Na niektórych odłamkach jeszcze widniały skrawki niemodnych tapet. Cała okolica zniknęła. Odeszły w niepamięć ludzkie istnienia. Ten fragment miasta miał być przekopany i zbudowany od nowa. Ale to było dobre wyjście. Ogień nie oczyścił wszystkiego. Całe zło w tym miejscu, każdy centymetr ulicy i chodnika, na którym stanęła stopa demonów, musiał zostać oczyszczony i odkażony, a nawet wykopany i wywieziony.

Jacks patrzyła przez okno na wielką dziurę w ziemi.

- Naprawdę zniknęło, tato? Ale tak naprawdę? - Skinął głową. - I nigdy nie zdołają wrócić?

Jeff wyciągnął rękę nad deską rozdzielczą i złapał dłoń córki. Ścisnął ją mocno. Może ją nawet zabolalo, ale nie zwróciła uwagi.

- Nie mogą wrócić. Ich już nie ma. - Wrzucił bieg i wyjechał z powrotem na ulicę. - Myślę, kochanie, że rzeczywiście zniknęli.

*

Jechali powoli po Stevenson. Zaczął się korek godzin szczytu. Jacks wyciągnęła rękę i postukała mały krucyfiks, zawieszony na wstecznym lusterku.

- Skąd to masz?

- Frank mi go dał. Frank Hoelevich.

- Ten starszy pan z psem? Jeff skinął głową.

- Widziałem go jeszcze parę razy po... po tym wszystkim.

Mieli stawić się na posterunku w dniu, gdy Gothique stanął w płomieniach. Mieli składać zeznania w sprawie krwawego morderstwa ojca Gila Silvereza w kościele Świętego Alstantiusa. Oczywiście, nie pojawili się.

Jeff spotkał się z Frankiem w Tawernie Mike'a. Wypił z nim kilka piw, zjadł parę hamburgerów, którymi, oczywiście, podzielił się z Soksem, czerpiącym korzyści ze swojego bohaterstwa, żebrząc o każdy kawałek, mimo że jego mały szetlandzki umysł nie do końca rozumiał, co się stało. Wymyślili parę całkiem zgrabnych historyjek, ale nigdy nie musieli ich powtarzać. Nikt do nich nie zadzwonił. Nie pojawiło się ani jedno pytanie w sprawie pani detektyw Wydziału Dochodzeń Wewnętrznych Terri Shepherd, jakby zwykłe fakty były ostatnią rzeczą, którą chciała usłyszeć policja. Jeff tak naprawdę nie wiedział, co ostatecznie przytrafiło się Terri, ale domyślał się. Doskonale się domyślał.

Ostatni raz spotkali się przed świętami Bożego Narodzenia. Za drzwiami Tawerny Mike'a szalała śnieżycą. Jeff podwiózł do domu Franka i Soksa. Jadąc powoli Damen, widzieli burzącą ściany kulę. Buldożery wrzucały do wywrotek wielkie, brzydkie stosy osmalonych cegieł i pogiętych rur.

Zobaczyli tłumek czarno ubranych nastolatków, który obserwował wszystko z alejki.

- Jezu - mruknął Jeff. - To nigdy się nie skończy, prawda?

Frank trzymał Soksa na kolanach i głaskał. Karmelowo - białe futro nastroszyło się.

- Może i nie. Może nigdy nie wygramy. Ale to nie powód, by przestać walczyć. - Frank pogrzebał w kieszeni i wyciągnął krzyżyk. Podał go Jeffowi. - Synu, chciałbym ci to podarować.

Ten spojrział na niego. Przez głowę przemknęło mu tysiąc paskudnych obrazów: Gothique, kościół Świętego Alstantiusa, ksiądz

przybity do góry nogami na krzyżu, powrót do domu i najstraszniejszy widok otwartych drzwi wejściowych, gdy zniknęła Jacks.

- Frank, on należał do twojego przyjaciela. Może powinienes...

- Nie... Chcę, żebyś go zatrzymał. Ja stąd niedługo zniknę. Powinienes go mieć. Gil pewnie by tego chciał. Mam nadzieję, że nigdy go nie będziesz potrzebował. Ale przynajmniej przypomnisz sobie trochę dobra, które ze wszystkiego wyniknęło. Może.

Jeff wziął krucyfiks. Uścisnęli sobie ręce na krawężniku przed domkiem Franka. I tyle. Nie uściskali się, nie powiedzieli sentymentalnych słów. Jeff czuł, że to nie w stylu staruszka.

Jeff kupił łańcuszek tego samego dnia. Odtąd krucyfiks wisiał na wstecznym lusterku.

*

Jeff zjechał trans amem z obwodnicy i czekał na pierwszych światłach na Pulaski.

- Wczoraj dostałem list od Franka.

- List?

- Tak, Jacks. List. Wiesz, znaczek, koperta, papier z ręcznym pismem. My, starzy ludzie, wciąż tak czasem robimy.

- Tak, wiem, poczta. - Jeff otworzył schowek i wyjął kopertę. Światła się zmieniły. Wyjął ze środka fotografię i podał ją Jacks. - Ojej... Jakie śliczne.

- Tak. Zdaje się, że Frank i jego żona w końcu zostali w pewien sposób dziadkami.

Jacks uśmiechnęła się do fotografii, na której Sox siedział dumny obok czarno - białej suki collie. Sześć już nie takich małych szczeniaków siedziało karmelowo - czarno - białą gromadą u ich stóp.

- Och, tato, możemy wziąć jednego z nich?

- Taka była wymowa jego listu.

Oddała mu fotografię.

- Naprawdę lubiłeś staruszka, prawda?

- Ledwo go znałem, kochanie. - Przejechali przez skrzyżowanie z 47 Street. - Cóż, dobrze, że podoba mu się na Florydzie. Pewnie ubił niezły interes z deweloperami i dostał sporo za swój domek. Jego żona mieszka wreszcie blisko rodziny. Nigdy jej nie spotkałem, ale pewnie jest nadzwyczajną kobietą. Frank nawet zaczął pracować. Znalazł sobie pół etatu w Searsie, w dziale z narzędziami. Mówi, że dzieciak,

któremu składa raporty, doprowadza go do szaleństwa, ale kocha każdą spędzoną tam minutę.

Trans am jechał po Karlov Avenue. Jeff zaparkował przed małym domkiem z brązowych cegieł. Wysiedli oboje i podeszli do frontowych schodów. Po drodze minęli znak na trawniku. Napisano na nim „Sprzedany”.

*

Musieli zostawić samochód na ulicy.

W garażu piętrzyły się kartony i śmieci z piwnicy. Jutro rano o ósmej pojawi się ekipa od przeprowadzek, zapakuje wszystko i wywiezie do schludnej, małej posiadłości na przedmieściach.

Jedną z pierwszych rzeczy, które zrobił Jeff po znalezieniu pracy, był telefon do agenta nieruchomości. Jacks poszła do szkoły i najgłębsze rany zabiłszy się na tyle, by mogli wrócić do normalnego życia.

W salonie zjedli na pół odgrzewaną pizzę. Zapalili wszystkie światła. Jacks wołała tak siedzieć. Nawet telewizja grała, choć ze ściszym głosem. Jeff osuszył swoją puszkę z pepsi.

- Przyniosę drugą. Chcesz jeszcze?

- Pewnie, tato. Dietetyczną. - Jacks zeskoczyła z kanapy. -
Czekaj, idę z tobą.

W kuchni Jeff otworzył napój i podał go Jacks.

- Rachel nadal chce przyjechać w przyszłym tygodniu? Dziewczyna skinęła głową, przełknęła i wróciła z nim do salonu.

- Tak. Ostrzegłam ją, że to nie to samo, co powrót na stare śmieci. Ale pewnie oszaleje tam w Milwaukee. - Jacks wzięła kolejny kawałek pizzy i pożarła pół jednym kęsem. - Możesz wierzyć albo nie, ale ja uważam, że tęskni za Rorem. Ale musiałyby być z nim w Kolorado wraz z mamą i tatą, którzy mogą chcieć pojechać... chyba wszędzie, byle tylko nie tutaj. - Patrzyła na Jeffa, który wbił w nią wzrok. - Nie martw się, tato. To tylko odwiedziny. Nigdzie nie pójdziemy. Pooglądamy filmy na wideo, zjemy niezdrowe żarcie, posiedzimy w piżamach. I tyle. Myślę, że nawet Rachel ma za sobą dni imprezowania. I to na zawsze.

Skończyli jeść. Odnieśli do kuchni papierowe talerzyki, chusteczki i puste puszki. Jeff zawiązał ostatnią torbę ze śmieciami i wyniósł ją na alejkę. Wrócił na podwórko i zobaczył, że Jacks stoi w kuchennym oknie i patrzy na niego.

- Kochanie, ja tylko... - Przestał mówić i wszedł do niej do kuchni. Usiadł przy kuchennym stole i wyjął ostatnią puszkę napoju z lodówki.

Jacks siedziała na blacie obok zlewu i leniwie machała nogami. Chyba nad czymś myślała.

- Tato?

- Hm?

- Naprawdę próbowałeś? To znaczy... Naprawdę dzwoniłeś i...

Jeff odstawił puszkę. Co mógł jej odpowiedzieć? Co było właściwe? Jak miał powiedzieć Jacks, że ile razy dzwonił telefon, a on podnosił słuchawkę, nikt mu nie odpowiadał? Ile razy zamierał, myśląc o wszystkich strasznych rzeczach, przez które przeszli, ale też myślał, że to cały czas dzwoniła Elanie. Jak mógł powiedzieć córce, że...

- Kochanie, naprawdę próbowałem. Wiele razy.

- I nic?

Potrząsnął głową.

- Nic od czasu tuż po świętach, gdy była w Houston.

- I nic jej jeszcze nie powiedziałaś?

- Kochanie, nie sądzę, że powinienem cokolwiek mówić przez telefon. Najlepiej to zrobić osobiście, gdy znów się zobaczymy. Może wtedy. A może ty i ja najpierw wszystko przedyskutujemy.

- To mama nic nie wie o tym, co tu się stało?

- Nie wiem, w jaki sposób miałyby się dowiedzieć.

- Tato, a może wpadła w jakieś kłopoty, skoro nie zadzwoniła ani razu od czasów w Houston?

Przez chwilę myślał nad tym, a potem odparł:

- Nie, Jacks. Słuchaj, nie mam żadnej wiadomości, gdzie się mieszczą te Nowe Wymiary Ltd. Ale jestem pewien, że twojej mamie nic nie jest. Po prostu podróżuje. Taką ma pracę. Ma wykłady w jednym mieście, potem przenosi się do następnego. Wciąż zmienia hotele. - Ale niewypowiedziane pytanie wciąż wisiało między nimi: „A więc dlaczego Elaine nie zadzwoniła?”. - Jacks, wszystkie telefony zostaną przekierowane za parę miesięcy na nasz nowy numer. Tak samo listy. A ja będę wszystko sprawdzał. - Odstawił puszkę przy zlewie. - Słuchaj, może pójdziemy dziś wcześniej spać? Jutro czeka nas wielki dzień.

Jacks zeskoczyła z blatu i skierowała się do swojej sypialni. Innej niż poprzednio. Po wszystkim przeniosła się do przerobionego gabinetu Jeffa. Jego rzeczy od kilku miesięcy leżały w garażu.

Stała przy drzwiach do sypialni.

- Tato?

- Tak, Jacks?

- Wiesz... To jest... Dziękuję. Chciałam ci podziękować za wszystko, co zrobiłeś. Byłeś jak... jak prawdziwy bohater. I nigdy nie powiedziałam ci dziękuję. - Skinął jej głową, stojąc w drzwiach swojej sypialni. - Tato?

- Tak?

- Wiesz, mimo tego wszystkiego, co się wydarzyło, cieszę się, że wróciłam do domu.

- Ja też, Jacks. Ja też.

*

Dlaczego Elaine nie zadzwoniła?

Elaine Stancheck - ponownie - Porter nie dzwoniła od paru miesięcy, ponieważ początkowo rzeczywiście była niezwykle zajęta, zarządzając programami Nowych Wymiarów Ltd. w południowo - zachodnim regionie.

Cały czas była w drodze. Miała wykłady w miastach, a potem ruszała do następnych. Wciąż zmieniała motele. Skrupulatnie konsultowała działania w międzymiastowych rozmowach z Calvinem. Uczciwie odsyłała mu na czas przychody. Calvin był dyrektorem programu Wymiar, który zaangażował ją w Encino. Sterował ją po drodze przez Arizone, Nowy Meksyk i Teksas, od czasu do czasu pojawiając się w hotelu z sieci Ramada lub Holiday Inn, by przejrzeć z nią podręczniki i zagrać do dzieła rozmowę. Zwykle odbywało się to późno wieczorem, po kolacji i napojach w jakiejś jadłodajni przy autostradzie, po tym jak Calvin „napępniał ją energią” w jej motelowym łóżku.

Calvin po raz ostatni zagrzewał ją do dzieła w grudniu, mówiąc tak głośno i długo, że goście w sąsiednim pokoju zaczęli walić w ściany. Działo się to w Red Roof Inn, motelu na przedmieściach Houston. Stamtąd Elaine pojechała do Dallas, San Antonio, Galveston i całego szeregu bezimiennych miasteczek po drodze. Wysyłała raporty, czeki, gotówkę i kwity z kart kredytowych. Ale Calvin nie

odwiedzał jej w styczniu i lutym. Nie zadzwonił w marcu, gdy już jechała z El Paso do Nowego Meksyku.

Był to tydzień, który miała spędzić w mieście po przekroczeniu granicy stanowej. Jeszcze nie miała planu kolejnych dat seminariów. W tym momencie zjawiała się policja.

Elaine została pewnego popołudnia wyprowadzona w kajdankach z bezimiennego motelu. Powleczono ją do biura szeryfa, gdzie czekała na nią policja stanu Nowy Meksyk, przedstawiciele głównego prokuratora Teksasu i kalifornijskiego urzędu skarbowego.

Wypuścili ją następnego dnia.

Dziwne, ale naprawdę jej uwierzyli, gdy powtarzała, że nic nie wiedziała o piramidach finansowych, zagranicznych kontaktach i tysiącach dogłębnie przepojonych energią uczestnikach kursów, którzy nigdy nie dostali nagrań, broszur i inspirujących kaset. Najprawdopodobniej brzmiała przekonująco, bo przecież mówiła samą prawdę. Nic o tym wszystkim nie wiedziała. Wierzyła z całego serca we wszystkie dwuznaczne słowa Calvina, w każdą bzdurę, którą po kawałku opowiadał jej podczas seminariów w salach konferencyjnych hoteli na przedmieściach. Była na tyle głupia, że uwierzyła w niosące nadzieję słowa, które Calvin szeptał jej do ucha, gdy leżeli nadzy w pościeli i próbowali złapać oddech.

Musiała opuścić bezimienny pokój hotelowy następnego dnia, gdy kierownik uprzejmie poinformował ją, że firmowa karta kredytowa Nowych Wymiarów Ltd. została anulowana. Mężczyzna upuścił plastikowe kawałki w drzwiach przy jej nagich stopach.

Od tamtego czasu Elaine powoli zdążyła na zachód. Kierowała się do Encino, choć Jacks wróciła do Chicago, do swojego ojca, a dom wynajęto nowemu lokatorowi. Nic na nią już tam nie czekało. Opuściła bezimienny motel w Nowym Meksyku, mając w portmonetce dokładnie cztery dolary i sześćdziesiąt centów. Zaledwie dzień wcześniej wysłała skrupulatnie raporty i pieniądze, a stawki dzienne w Nowych Wymiarach były niezwykle małe.

Tak więc musiała zatrzymywać się co chwilę w swojej długiej drodze, by przez jakiś czas pracować jako kelnerka albo jako telemarketerka na nocną zmianę w małym sądzie w Flagstaff, choć to zajęcie trwało tylko jedną noc. Nigdy nie dostała pieniędzy. Zresztą, okazało się, że zatrudniono ją tak naprawdę w seks linii.

Gdy Jeff i Jacks mówili sobie „dobranoc” przed przeprowadzką, Elaine Stancheck - obecnie - Porter usiadła na spłowiejącej od słońca i wiatru drewnianej ławce na przystanku autobusowym w Tucson, w stanie Arizona.

To nie był przystanek linii Greyhound, tylko jakiegoś małego lokalnego przewoźnika, który był tańszy o kilka dolarów. Obliczyła, że wystarczy jej na bilet do granicy stanu Kalifornia, gdzie jakoś wymyśli, skąd zdobyć pieniądze na resztę drogi. Mogła zmywać w brudnej jadłodajni albo czyścić toalety w barze z fast foodem, bo miała już serdecznie dość pustyni i życia na walizkach, miała po dziurki w nosie robienia prania w środku nocy w zrujnowanej pralni miejskiej i jedzenia na śniadanie burritos odgrzewanych w kuchenkach mikrofalowych. Chciała dostać się do domu, gdziekolwiek ten dom miał teraz być.

Ale podróż do Kalifornii mogła pozostać jedynie w jej marzeniach, ponieważ autobus miał się znaleźć na przystanku dopiero jutro rano. Elaine nie była pewna, ile będzie ją kosztował bilet. Z ostatniej pracy w barze przy autostradzie wyrzucono ją, zanim jeszcze nałożyła strój kelnerki. Kobieta zaczęła głupio napominać swojego szefa, mówiąc, że różowo - białe stroje są stanowczo za krótkie i może jego klienci nie życzą sobie, by tak uprzedmiotowił kobiety i... Cóż, Elaine kazano się wynosić. Wyszła przez tylne drzwi, a w ślad za nią powędrowała walizka.

Choć przez cały dzień panował upał, w nocy robiło się coraz zimniej, wręcz lodowato. Tak potrafiła mrozić jedynie wyprazona przez cały dzień pustynia.

Tani przewoźnik musiał ustawić przystanek w podejrzanej dzielnicy Tucson. Elaine co prawda nie wiedziała, czy Tucson miało podejrzaną dzielnicę i czy ona właśnie tak wyglądała. Dwie godziny temu przegoniła bezdomnego. Obok niej przejechał zbyt wiele razy stuningowany samochód, pełen roześmianych latynoskich chłopaków. Elaine zeszła z ławki, podniosła swoją ciężką walizkę i skierowała się na ulicę. Cały wieczór wpatrywała się w podświetlany znak. To był tylko neon, zbyt stary, by go naprawiać. Wyświetlał anemiczny napis „Koktajle” okrągłymi, różowymi literkami we frontowym oknie knajpy.

Nie mogła zmarnować pieniędzy na napoje. Ale znów zobaczyła reflektory samochodu o przecnicę dalej.

Otworzyła drzwi.

W środku panował przyjemny chłód. Było tam rześko i ciemno. Mrok ledwo rozświetlały reklamy piwa za barem i lampy z abażurami na malutkich okrągłych stolikach.

W środku panowały pustki.

Przy stolikach nie było żywej duszy. Nikt nie siedział na barowych stołkach. Nikogo nie było za barem.

Elaine wzruszyła ramionami i upuściła walizkę przy jednym ze stołków.

- Dobry wieczór! - dobiegł ją głos zza wahadłowych drzwi obok baru. - Za chwilę wychodzę.

- Poczekam - odkrzyknęła Elaine. Wśliznęła się na stołek i rozejrzała wokół, mrużąc oczy w przyćmionym świetle. - Przepraszam, macie tu telefon?

Nie usłyszała żadnej odpowiedzi.

Ponownie zmrużyła oczy. W mroku za stolikami zobaczyła stary znak telefonu na monety. Za nim wisiał na ścianie automat. Elaine ześliznęła się ze stołka.

Przez dłuższy czas jej palce wisiały nad przyciskami. W końcu wybrała numer. Poczekala, aż operator powie jej, ile ją to będzie kosztowało, wyjęła drobne z kieszeni i wrzuciła je w szczelinę. Poczekala jeszcze chwilę i usłyszała: „Halo”.

Usłyszała głos Jeffa.

Elaine odsunęła słuchawkę od ucha i odwiesiła ją. Wpatrywała się w aparat i zastanawiała, czemu znów to zrobiła. Dzwoniła tyle razy, odkąd wszystko się rozpadło. Mówiła sobie: „Poczekaj, aż znów staniesz na nogi. Nie możesz zadzwonić do niego o pomoc, nie możesz znów błagać go o pieniądze”. Oparła głowę o telefon. W oczach wezbrały jej łzy. Przełknęła je, wytarła oczy rękawem i obróciła się.

Prawie wrzasnęła.

Dziewczyna stała tak blisko Elaine, że niemal wpadła na nią, gdy się obróciła.

- Jezu! Przeraziłaś mnie.

Dziewczyna skrzywiła się i odsunęła od niej.

- Przepraszam. - Elaine ponownie rozejrzała się po małym barze. Wciąż pusty. Zastanawiała się, gdzie się podział barman. W takiej dzielnicy musiał być barman, ktoś wielki i krzepki, z tatuażami z

kotwicą na przedramieniu. To nie mogła być taka młoda dziewczynka.

- Macie... hm... otwarte?

- Oczywiście. - Dziewczyna odeszła i wskazała jeden ze stołków.

- Proszę, usiądź. Co mogę podać?

Elaine szła za nią. Patrzyła, jak chudziutka istotka powoli obchodzi boso bar, a jej krótka, zwiewna sukienka i długie czarne włosy porusza chłodny wiatr, który nie miał prawa tu wiać.

- Sama nie wiem. - W takim miejscu? Wódkę i puszkę piwa? Szklanekę podłej whisky i małąkę żytniej?

- Mam bardzo dobre wino, którego może pani spróbować. Mam go całe mnóstwo. Nie robię tu zbyt dobrego interesu.

Elaine wśliznęła się na stół i patrzyła, jak dziewczyna wyjmuje z lodówki zieloną butelkę chablis i fachowo wyciąga korek. Smukłe palce z długimi paznokciami zgrabnie poradziły sobie z korkociągiem.

- Nie robisz interesu? Ty? To miejsce...

- Tak, obawiam się, że należy do mnie. Chciałam pojechać gdzieś, gdzie będzie ciepło. Cóż, chyba mi się udało. - Dziewczyna naląła wina. - Znalazłam ten uroczy bar. Tak się złożyło, że właściciel nagle zdecydował się zakończyć pracę. A ja stwierdziłam, że jest to dokładnie to, czego od bardzo dawna szukałam. Ale najwyraźniej dokonałam złego wyboru. Podejmowanie decyzji nigdy nie wychodziło mi specjalnie dobrze.

Dziewczyna przyniosła śliczny kielich i postawiła go przed Elaine. Wino było pyszne, odpowiednio schłodzone. Na szkle już się zbierała rosa. Elaine prawie westchnęła, gdy białe wino wlało się do gardła.

- Mmm, ależ dobre.

- Cieszę się, że ci smakuje. - Dziewczyna uśmiechnęła się, a Elaine mrugnęła, nagle zauważając niesamowitą czerwień ust dziewczyny, biel jej zębów i ich błysk w przyćmionym świetle. Nastolatka miała bladą cerę, jakby udało jej się unikać promieni słońca, co było dość trudne w Arizonie.

Dziewczyna - a może kobieta, nie wiadomo było, ile ma lat - była absolutnie oszałamiająca. Elaine wzięła torebkę.

- Ile płacę? Dziewczyna potrząsnęła głową.

- Na koszt firmy. Jesteś dziś moją pierwszą klientką. Wygląda na to, że potrzebujesz chwili odpoczynku z kieliszkiem wina.

- Dobrze to ujęłaś - uśmiechnęła się smutno Elaine. - Dziękuję.

- Masz kłopoty? Nie chciałam podsłuchiwać przy telefonie, ale...
To jakiś mężczyzna? To zawsze jest jakiś mężczyzna.

- Nie, to... hm...

- Może mi opowiesz, gdy będziesz piła wino?

Elaine wzięła kolejny łyk i wygodnie usiadła na stołku. Po wszystkim, co ją ostatnio spotkało, mogła sobie wyobrazić gorsze sposoby na spędzenie wieczoru niż sączenie cudownego wina i opowiadanie o kłopotach ślicznej, lecz dziwnej dziewczynie. Rozejrzała się wokół w malutkim wnętrzu baru.

Było tu niemalże elegancko na swój sposób. Z odrobiną twórczego podejścia... Zmieniając to i owo...

- Aha, mam na imię Elaine. Elaine... Porter. - Wyciągnęła rękę.

Dziewczyna pochyliła się nad barem i jej długie włosy rozsypały się na lakierowanym drewnie. Jej twarz zawisała ledwie o cale od Elaine. Oczy dziewczyny, niebezpiecznie ciemne, błyszczały w odbitym świetle reklam piwa i lampek na stolikach. Wyglądały jak ciemne klejnoty, jak opale, jak czarne diamenty bez skazy. Powoli wysunęła dłoń i delikatnie włożyła ją w rękę Elaine.

- Bardzo mi przyjemnie, Elaine, że dołączyłaś do mnie tej nocy. -
Białe palce objęły palce Elaine. - Mam na imię Arianne.

Od autorki

Nie, na Damen Avenue na południe od skrzyżowania z Montrose nie ma żadnych starych kin, choć w Chicago nie brakuje groźnie wyglądających, zrujnowanych lokali, w których równie dobrze mogło się mieścić Gothique. Damen i Karlov to prawdziwe ulice Chicago, a nie zniekształcone wersje „Damn” lub „Karloff”. Nie idźmy tak daleko w interpretacjach!

Choć niniejsza powieść krytykuje fanów wampirów i społeczność gotycką (jeśli to sprawiedliwe łączyć w społeczność ludzi na wielu poziomach zafascynowania „sceną”), wszystko to służyło jedynie stworzeniu dobrej historii. Proszę pamiętać, podziwiam „Rozkosznie zniechęconą, odczarowaną i ponownie zniewoloną” kulturę gotycką jako niezwykle bogatą i zróżnicowaną fin de siecle em odmianę starej bohemy bitnikowskiej - mimo zdecydowanie mroczniejszych i perwersyjnych cech. Niemniej jednak zawsze mnie zastanawiało, w jaki sposób punk zamienił się w gotyk, disco w darkwave, a pompatyczna muzyka New Age stała się „nieziemska” dzięki zwolnieniu nieco tempa, obniżeniu wokalu o oktawę i ubraniu zespołów w różne kombinacje czarnych spodni i gorsetów. Kiedy patrzę na subkultury młodzieżowe, wypełza cynizm mojego wieku. Czy to surferzy, modelki, rockmeni, hipisi czy rozświergotane jazzmanki, wszystko sprowadza się do odpowiedniego wyglądu i rodzaju kupowanej muzyki. Rozbudowane rytuały zostały zaprojektowane tak, by w pewien sposób zaopatrzyć najwierniejszych fanów w jakieś daty.